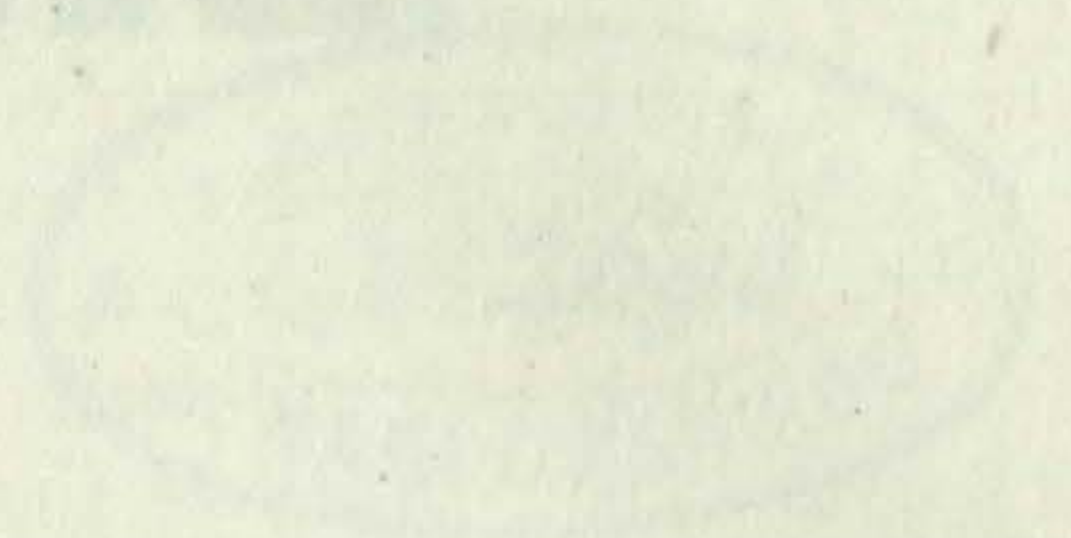


KSIĘGA ŚWIATA



WYDZIAŁ

Z DZIAŁANIA W SĄDZIE PRAWNYCH

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

WYDZIAŁ

KSIĘGA ŚWIATA.

KSIĘGA ŚWIATA.



WIADOMOŚCI Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODZONYCH,

HISTORYI KRAJÓW I LUDÓW,

ŻYWOTY ZNAKOMITYCH LUDZI,

PODRÓŻE, OPISY CIEKAWYCH MIEJSCOWOŚCI, OPOWIADANIA

ODKRYCIA I WYNAŁAZKI.

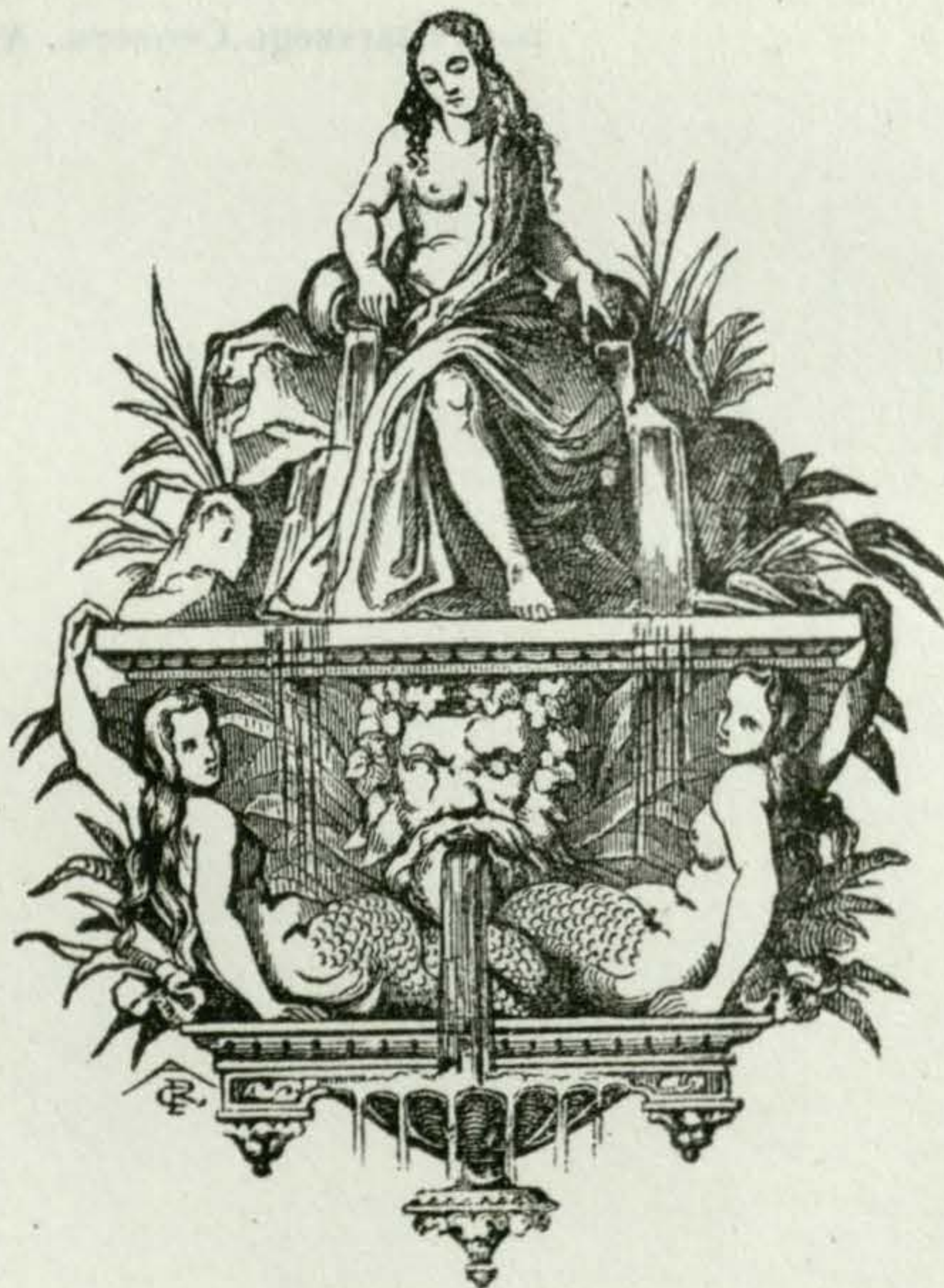
WAŻNIEJSZE ZAJĘCIA PRZEMYSŁOWE,

Obrazy Towarzyskie, Literackie, Statystyczne, Ekonomiczne i t. p.

ZRYCINAMI NA STALI LITOGRAFOWANEMI CZARNEMI I KOLOROWANEMI ORAZ DRZEWORYTAMI.



CZĘŚĆ DRUGA.

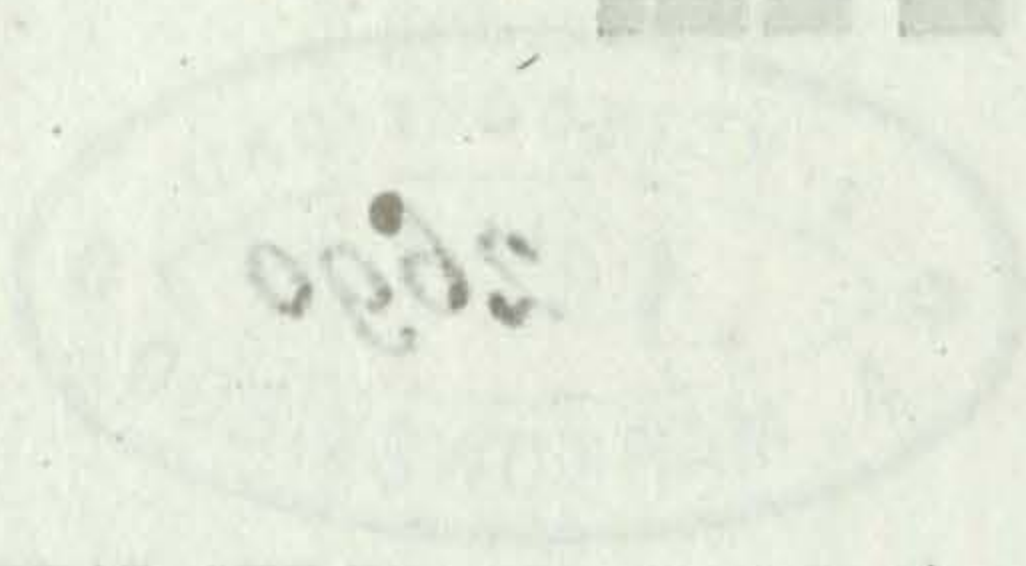


WARSZAWA.

NAKLADEM S. H. MERZBACHA, KSIĘGARZA.

1863/2

KSIĘGA ZWIĘTA



WIADOMOSCI

Z DZIEDZINY ZAK PRZYRODZONYCH

HISTORJI KRAJOW I LUDOW

ŻYWOTY ENAKOMITYCH LUDZI

PODROBE OPISY CIERKAWYCH MIEJSCOWOSCI GLOWIABANIA

ODRUKI I WYDAWKI

WANNIWSNE ZALOGA PRZEMYSLOWE

Opisy powiatow, powiatow, powiatow, powiatow

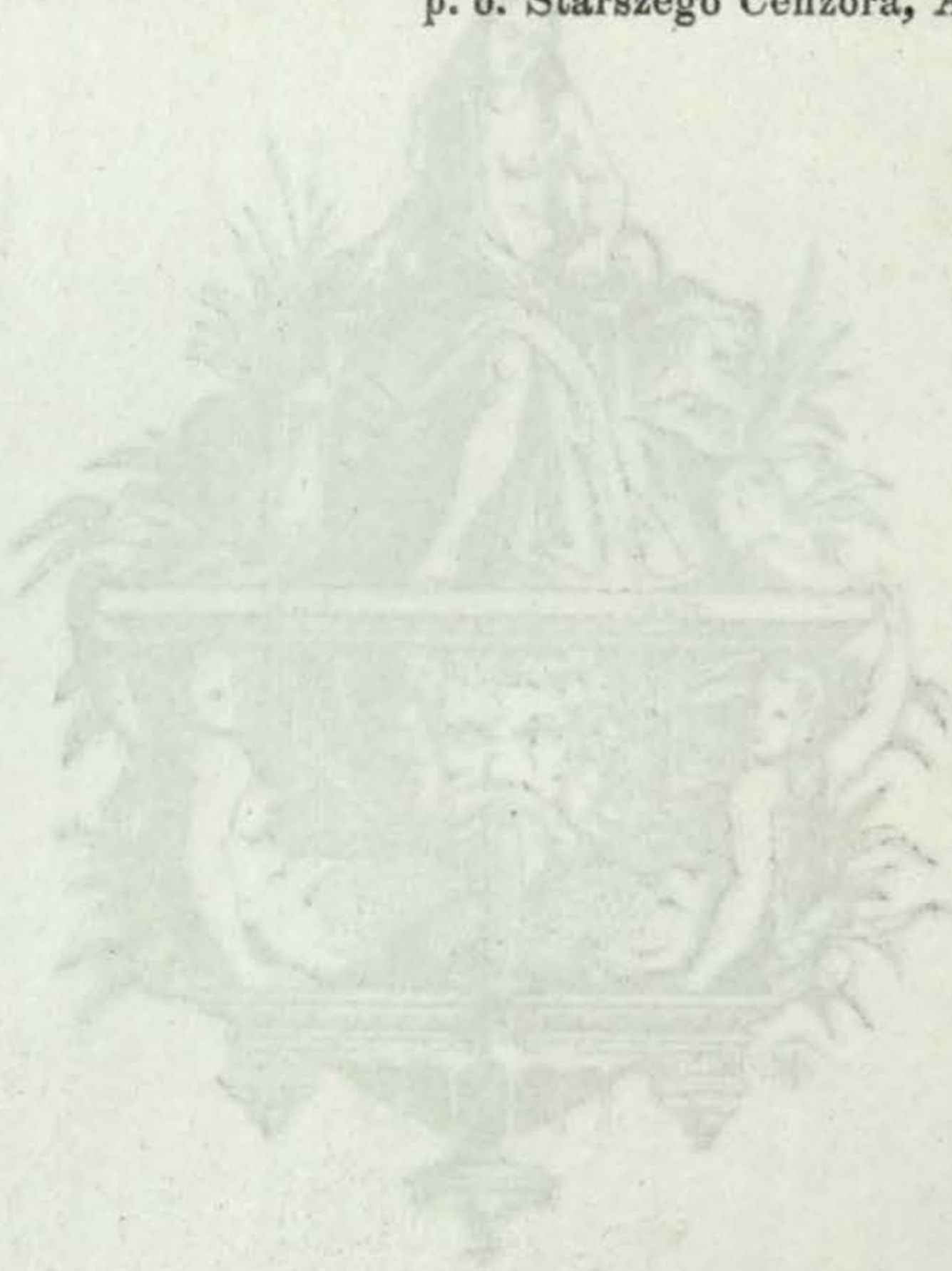
ZRYCINIAMI NA STALI LITOGRAFOWANEMI WARSZAWIE I KOLONIOWANEM ORAZ DREWNIAMI

Handwritten signature

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa dnia 2 (14) Września 1863 r.

p. o. Starszego Cenzora, Assessor Kollegialny, I. ROGALSKI.



WARSZAWA

w Drukarni J. Jaworskiego.

WARSZAWA S. H. WERSZAWA, KSIĘGARZA

Handwritten mark

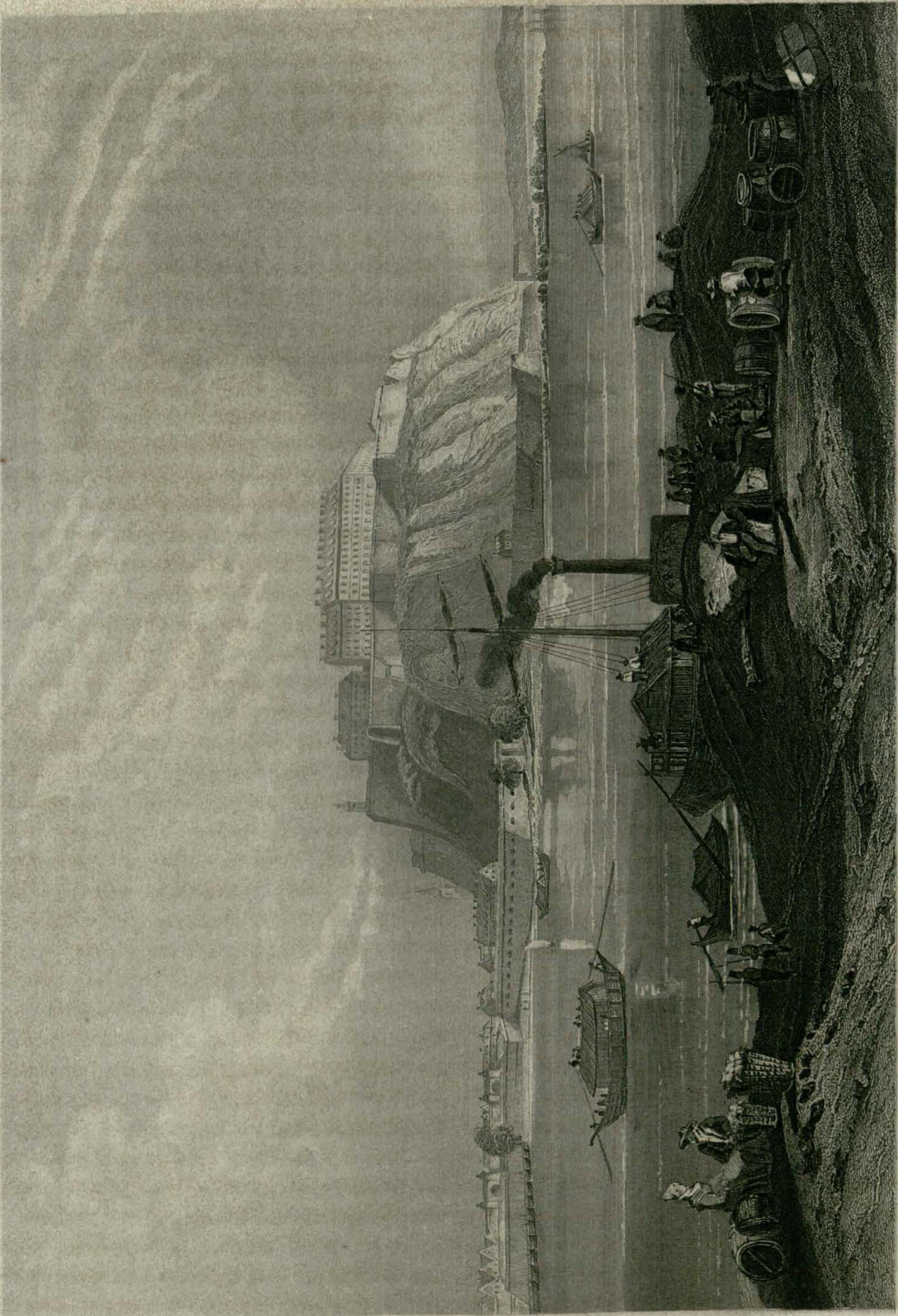
ESSEGA INFLATA

MADE IN GERMANY

LIQUOR OF THE ESSEGA INFLATA

ESSEGA INFLATA

Handwritten signature or mark



PETERWARDEIN.

KSIĘGA ŚWIATA.

PETERWARDEIN.

(ZE STALORYTEM).

Mało jest osób, którymby nie znanymi były piękne brzegi Renu; zwiedzają je podróżni (turyści), zwiedzają szukający zdrowia w pobliskich mineralnych źródłach, zwiedza młodzież udająca się do pobliskich Uniwersytetów, zwiedzają nakoniec przemysłowcy. Dla tego więc wznoszące się pod nad brzegami jego góry, sterczące na nich rozwaliny dawnych feudalnych zamków, lubo oszpecone zostały w niektórych miejscach nowymi budynkami dla wygody zwiedzających i dla zysku mieszkańców wystawionymi, powszechnego atoli nabyły rozgłosu. Malarze przenoszą je na papier, poeci snują treść nie do jednej ballady, zgoła wszyscy o nich mówią i piszą. — Inaczéj się dzieje z brzegami wielkiego Dunaju, przyjmującego czternaście rzek do swego wspaniałego koryta, którego okolice obfite w najróżnorodniejsze obrazy, dla tego tylko nie są dosyć dziś opisywane, że dość znane i zwiedzane nie były.

Dunaj, którego śmiało rzeką słowiańską nazwać możemy, nie tylko ciekawością jako mniej znane miejsce nęcić nas może, lecz razem jako rzeka nad którą tyle się miast słowiańskich wznosi, nad którą panują nasze Tatry, także nie dość znane, a tém samém niedość wysławiane, obudzać w nas wielkie zajęcie powinien. — Nie będziemy tu opisywali biegu jego nurtów, czasem podmywających smutne, skaliste, uderzające swoją dzikością ustronia, czasem znów bujne lesiste góry i cudowne łąki; zatrzymamy się tylko nad jedną skalistą górą, dziś murami niedobytej fortecy pokrytą, przezwaną Gibraltarem Węgierskim.

Na prawym brzegu szerokiego Dunaju, wznosi się miasto z zamkiem warownym, na ogromnej skalistego pokładu górze zbudowane. Dla czego to miasto na granicy Serbsko-węgierskiej wzniesione, nosi na-

zwę Peterwardein? z pewnością wiedzieć nie można, tém bardziej, że wiek założenia jego, mgła dalekiej przeszłości pokrywa. Podanie niesie iż pustelnik jakiś, znamienity ze swój świętobliwości, tam się urodził, czyli też prawdopodobnie zamieszkał to wówczas dzikie ustronie. Zkąd przyszedł? kim był? nie wiadomo. — W początkach chrześcijaństwa wiekach, mnóstwo wyznawców nauki Pańskiej, w najodleglejsze chroniło się miejsca; jednym zbyt ciężko było żyć w pośród pogan, uciekali aby nie patrzeć na bałwochwalstwo i nieprawość którym zaradzić nie mogli — inni znów pochwywszy naukę prawdy, ukochali ją nadewszystko i chowając ten skarb w głębi serca, uciekali z nim w odludne miejsca, aby tylko rozmyślać o nim, cieszyć się nim i żyć w nim mogli jedynie. — Być może, iż jeden z podobnych ludzi, za miejsce ziemskiego pobytu gdzieby się od świata ukryć mógł, obrał sobie pustą, skalistą, a mimo to piękną i majestatyczną górę, wówczas lasami okoloną, nad brzegiem Dunaju. Może być iż pierwszą niekształtną chatką, był domek jaki sobie pustelnik wystawił, że go od imienia jego nazwano — a później w około miejsca przez świętobliwość wstawionego człowieka, osiedlali się, czy to świeżo nawróceni, czy potrzebujący schronienia ludzie, i że z tak małej zagrody wzniosło się z czasem i miasto i warownia. Podobniejszym jest wszakże do prawdy drugie podanie, jakie założycielem miasta a mianowicie zamku na wzniosłej górze, podaje pewnego Węgra, który zastawszy szczątki murów po budowli warownej, przez Rzymian niegdyś wystawionej, podniósł czyli odbudował ją — a uznawszy to miejsce za niedostępne, za niedobyte, chciał mu nadać stósowne miano. „Piotr apostoł — miał mówić ów Węgier — nazwanym był przez Chrystusa opoką, na której budował

kościół niezwalczony przez żadne burze, a ponieważ zamek który stawiam, również przez żadne burze i napady zwalczonym byź nie może; niechże nosi nazwę Piotra Apostoła.” Kiedy potem do początkowego nazwiska miasteczka i warowni dodali wardein? to jest w którym czasie nazwa ta Petrus przeniemczoną została? — nie wiadomo.

Dziś Peterwardein jest najpotężniejszą bo niezdobytą fortecą z pomiędzy wszystkich pod panowaniem Austryjackim będących. Jako miasto nie odznacza się niczem prócz znamienitym handlem win Węgierskich, które ze składów tamecznych parostatkami w rozmaite rozchodzą się strony. Miasto nie wielkie, nie posiadające żadnych godnych widzenia gmachów, ma tylko 5,000 mieszkańców: całą jego znakomitością i ozdobą jest zamek, główny punkt warowni, na wyniosłej górze, z jednej strony głębinią Dunaju strze-

żony, a z drugiej niedostępnymi rozpadlinami skał. Można sobie łatwo wyobrazić, jak cudownym jest widok ze szczytu téj góry, jak rozmaite krajobrazy przedstawiają się zachwyconemu oku, śledzącemu to bieg Dunaju gubiącego się w oddali, to znów spoczywającemu na górach, gajach i rozmaitych tu i owdzie rozrzuconych wsiach i miasteczkach. Najważniejszą epoką w dziejach miasta i warowni Peterwardeinu był rok 1716. — W tym to roku raz jeszcze zapragnęli Turcy zdobyć Państwa Chrześcijańskie, i napadli na Węgry za panowania Osmana III, którego ogromne wojska pod dowództwem Allego wyprowadził. Sławna i stanowcza bitwa stoczona została pod murami Peterwardeinu — a na tém miejscu na pamiątkę wygranej nad Muzułmanami, wzniesionym został kościół do dziś dnia istniejący.

A.

LAS CASAS, OSWOBODZICIEL INDYJ,

W AMERYCE.

(Dokończenie).

Zwołaną została Rada czyli Junta do Meksyku — tam Las Casas pragnął publicznie Wice-królowi wystawić nadużycia i zniesienie prawa *repartimentos* uzyskać. — Prawnicy nie spodziewali się osobistego przybycia Biskupa — „będzie się lękał sam jeden stanąć wśród tylu przeciwników” mówili. — Tém bardziej że już i Wice-król mimo rozsądku swego, był ze strony kolonistów, którzy publicznie w pismach i w mowie, Las Casasa, jako najszkodliwszego spokojności publicznej, okrzyczeli. Biskup jednak sam jeden z pastorałem w ręku wybiera się na piechotę do Meksyku, a gdzie tylko ujrzała go ludność krajowa, kupi się koło niego. — Ci proszą o radę, tamci o wymiar sprawiedliwości, a wszyscy wołają: „Oto ojciec nasz, oto prawdziwy posłannik Chrystusa!” — Takie oznaki miłości i wdzięczności Indjan, za złe poczytano Biskupowi; Władze Kastylijskie widzieć w nim chcieli burzyciela, przeciwnego sobie. — Nie pamiętali że także chrześcijanami byli, że łzy i krzywdy współbraci również i ich wzruszać powinny, że za nie rachunek Bogu zdać muszą.

Wice-król odrzucił przedstawienie Las Casasa o zniesieniu *repartimentos*, tudzież o wprowadzenie w czyn Prawa *Nuovas leges*, nadanego oddawna a nie wykonanego. Wice-król słuchając podszeptów, osądził, mimo rozsądku swego, że zmiana postępowa-

nia, że łagodność Rządu, uzuchwali krajowców i zgubę Hiszpanii zgotuje. Wtedy Las Casas po skończonej radzie, wchodzi na ambonę; był to bowiem dzień świąteczny i Wice-król także nabożny po swojemu, wraz z innymi wiernymi znajdował się w kościele. Wziąwszy tekst z pisma Śgo; „*Chcą, aby ci co widzą nie widzieli, co rozumieją milczeli; nie chcą słuchać wyrazów prawdy*” itd. — natchniony nim kapłan w wymownych wyrazach skreśla niedolę chwytanym do niewoli braci Indjan, skreśla straszną odpowiedzialność jaka ciąży nad narodem uciskającym drugi naród, wykazuje jasno obowiązki Hiszpanii wymierzania sprawiedliwości. — Po skończonem z taką odwagą i namaszczeniem wypowiedzianem kazaniu, Wice-król przystępuje do Las Casasa mówiąc: „Rób jak chcesz, zwołaj juntę Biskupów do klasztoru swego, a ja skutek narad waszych sam przedstawię królowi.”

Tak Las Casas po przeszło-półwiekowej, ciągłej, wytrwałej a silnej bo w Imię Boga i praw Jego prowadzonej walce, odniósł zwycięstwo! — Nowa Junta Biskupów pod przewodnictwem jego ogłosiła Prawo pociągające do odpowiedzialności kryminalnej, czy to chwywanie i utrzymywanie niewolników, czy to inne krzywdy wyrządzane Indjanom. — Nadane Prawa rozkazano najsurowiej w czyn wprowadzić i roku

1547, zablęsa nowa epoka dla ludności Amerykańskiej! — To zwycięstwo praw Chrystusa nad zdyktwem i przemocą, jakkolwiek zupełne, nie zdołało zmienić ludzi przywykłych do bezprawia. Obawa kary wstrzymywała ich od głośnych nieprawości czynów, nie palili wiosek, nie łapali mieszkańców; ale wojskowy a razem właściciel lub urzędnik, tysiączne znajdował sposoby nadużywania praw mocniejszego; tém bardziej że tron, o którym skarga oprzeć się mogła, był nader daleko. Nieustala więc praca Las Casasa i przyjaciela jego Pedra, równie jak innych, czy to braci Miłosierdzia czy Domikańskich księży. — Gromią wciąż nadużycie, upominają się o sprawiedliwość dla pokrzywdzonych, a 80letni naczelnik tej armii, pokojem i miłością walczącej — puszcza się znów do Madrytu, aby osobiście monarche przedstawić skargi swoje. Tam spotyka nowe przeciwności. Znaleźli się dumni, daleko od teatru tej świętej walki żyjący, nie pomni ciężkiej pracy, poświęcenia i niebezpieczeństwa, na jakie się lat tyle Las Casas narażał, którzy zazdrościli mu wziętości i dostojności, choćby go sami takim kosztem zdobyć nie byli w stanie — tacy spotwarzali czcigodnego męża! — Między innymi, pełen dumy Franciszkanin, wystąpiwszy w obronie spotwarzonych (jak dowodził) kolonistów, — wszystko złe intrygom Las Casasa przypisywał. — Inny Don Juan Sepulveda doktor, piszący historję Karola Vgo, starał się znów dowieść że Indianie byli zrodzeni do niewoli. Las Casas jasno odpowiedzią swoją dowiódł uczonemu doktorowi, że nieznał nie tylko praw Chrześcijańskich, ale ani charakteru i usposobień Indian, o których pisze. Była to ostatnia literacka praca jaką wydał uczony Biskup. — Znaném jest wszędzie to dzieło noszące tytuł: *Zniszczenie Indji*, tłómaczono je na wszystkie języki. — Las Casas otrzymawszy

12 rozprządzeń królewskich ku powstrzymaniu nadużyć służących — wraca do swoich Indian.

Nieszczęściem to zwycięstwo aczkolwiek zupełne, zbyt późno skutkiem uwiecznione było, można powiedzieć, iż tylko resztki ludności ocalić zdołało! — Zawsze jednak ta ludność swobodnie w pokoleniu rozrodzona, zawdzięcza jemu, prawa i światło wiary na jakich wzrosła.

W późnej starości złożył w ręce Papieżkie swoją godność Biskupią, czując się w niemożności piastowania jej dłużej — a w pare lat potem, w skromnej celi zakonu swego w Madrycie, pełne świętości życie zakończył, mając lat 92. Mimo tak ciężkich moralnych utrapień i trudów cielesnych, człowiek ten odznaczający się czystém, skromném życiem, zachował władze umysłowe i siły fizyczne do końca; jeden tylko organ słuchu ucierpiał, bo na pare lat przed śmiercią ogłuchł zupełnie. W 90tym roku, już złożwszy Biskupstwo, zapragnął świętobliwy mąż na pożegnanie odwiedzić raz jeszcze Indje swoje i nie wahał się puścić w tak ciężką stosunkowo do wieku swego podróż! Nie potrzebujemy pisać jak tam przyjętym i powitanym przez Indian został! — Wróciwszy, na rękach ukochanego przyjaciela Pedra, razem spowiednika swego, bez boleści i ciężkiej choroby, zasnął spokojnie.

Filozofowie XVIIIgo wieku, nie byli w stanie zrozumieć Las Casasa — to jest nie mogli pogodzić rozumu z wiarą religijną. — Ztąd malują go jako filozofa, jako nieprzyjaciela duchowieństwa. A on tymczasem był tylko prawdziwym wyznawcą nauki Chrystusowej, prawdziwym katolickim kapłanem, karzącym w Brewach duchownych, *złe postępowanie ich*; gdyż sam założył kilka Zakonów w Ameryce: karcił on właśnie niepojęcie, niedopełnienie tego wielkiego powołania.

ESTETYKA ROŚLIN.

(Dokończenie).

Pozostaje nam jeszcze do rozważania ostatnia główna forma, w której najściślej zlewają się z sobą kształcenie pnia i liścia i nierozdzielnie odznaczają zbiorowe wrażenie, nie bez tego żeby takowe nie doznało modyfikacyi, czy to od pnia i jego rozgałęzienia, czy to od liści i jego form. Taką jest *forma drzew* która znowu rozpada się w większych, jeszcze, jak

w palmach, stosunkach na szczególnie charakterystyczne podrzędne formy.

Trzy z nich tak blisko przedstawiają się naszemu oku że dość jest tylko o nich wspomnieć. Jest to *forma ulistnionego drzewa* z pniem na wszystkie strony rozgałęzionym, a swem obfitem, krótkim i szerokim ulistnieniem tworząca gęste, ściśle roślinne

massy;— *forma wierzb* z opuszczonemi prętowatemi gałęziami, z wązkiemi lub długo-kończastemi trzepocącemi liśćmi, z których dolna zwykle biało kosmata strona, poruszonemu liściu nadaje właściwy biały połysk, u nas reprezentowana przez wierzbę i topolę, na południu zaś przez pożyteczne drzewo oliwne; — potrzebie nakoniec forma *drzewa szpilkowego* odznaczona wązkiemi, szaro-zielonemi liśćmi i młynkowato-podzielonemi lub tarczycowato-rozpostartemi gałęzmi szaro-czerwonego pnia, prawie jakby osadzona na drzewie karłowata, lecz gęsta wegetacya sitowców.

Naprzeciwko nim występują trzy formy z południowych i równikowych okolic, które są całkiem odmiennych istot lecz w pewnym względzie z nimi porównać się mogących. Massa ulistnionych lasów mianowicie zaś niskie drzewa krzewów pod zwrotnikami szczególnie, są nacechowane *formami Malw*, u których wielkie, dłoniasto-porozdzielane, zwyczajnie długoogonkowate liście, jaki pomimo szerokiego rozprzestrzenienia z powodu obwisłego położenia niedają żadnego cienia, i po większej części na krótko grubych, tylko na końcu w koronę rozgałęzionych, rzadziej na długie, wygięte, podzielone są pieńki. Do tego rodzaju należą: olbrzym świata roślinnego święty *Baobab*, niekształtna masa beczkowato-wydętego pnia *Bambusu*, purpurowo-kwieciste *krzaki dyni*, lecz także i szybko-rosnąca *Paulownia imperialis*.

Osobnem wrażeniem jakie sprawiają rośliny swoją budową i kolorem swych liści, *forma lauru* i *myrtu* więcej spokrewnioną jest z północnemi wierzbami, w które przechodzi wiele nowo-hollandzkich Myrtowych właśnie aż do fizyonomicznego odróżnienia. — W ogólności szerokie, jak skóra twarde i jakby od lakieru błyszczące aż do oślepienia światła, odbijające liście, są cechą tych roślin, która jeszcze szczególnie modyfikuje się, gdy jak w *Proteaceach* dolną powierzchnię liścia powleka biała gruba obwódka, mieszając tym sposobem do połyskującej zieloności osobny srebrnego koloru odcień. Za najwyższą doskonałość wszystkich roślinnych form mógłbym naznaczyć *formę Akacyi*. Wielorakie, często poprostu tarczowate, często siatkowato-przezroczyste, często w kształcie konarów dębu ugałęzienie tu wysmukłych, tam przysadzistych pni, sprawia taką do piękności przyczyniającą się obfitość odmian form, która tak różnorodnie urozmaica się w lekko-oskrzydłone liście, raz małych i pięknie jak najdelikatniejszy haft rysujących się na jasnym nieba błękiecie, drugi raz daleko rozpościerając się w malowniczych zagięciach,

i współubiegając się z liściem palmowym. Słaby tylko obraz daje nam, doszła do nas z północnej Ameryki *Robinia*, o rozmaitości, delikatności, ozdobie i wspałości do jakiej się rozwija ta forma pod ożywczym promieniem zwrotnikowego słońca.

Jeżeli się ograniczymy na tem naszkicowanem wyliczeniu charakterystycznych form, z natury rzeczy wypada, że takowe dla odmalowania bogactwa przyrody, wcale dla nas będzie niedostatecznem, lecz właśnie najwięcej tu nam zbywa na pewnych, artystyczną ręką, wykonanych rysunkach. Podróżni, często bezduszni zbieracze, zanadto mało tę część postrzegania natury wykształcili. Nawet i między takimi, którzy mieli to na względzie, wielu się znajduje których oko niedość jest spokojne i bezstronne, dla oddzielenia tego, co się im wydało subiektywnie podobającym się i ciekawem, od tego co w krajobrazie stanowi charakter. Wielu natchnionych próżnym popędem powiedzenia czegoś szczególnego, mozolnie układają wyszukane słowa niedające żadnego obrazu, albo oddają się natłokowi uczuć i polotowi niewstrzymanej fantazyi. Rzadko znaleźć można klasyczną przedmiotowość i plastyczne zapatrywanie się odznaczające zarysy natury — jasno-widzącego *Goetego*, obfitego i ożywionego *Sealsfield*, przed wszystkimi zaś mistrza w nauce z artystycznym pojęciem i językiem, Aleksandra Humboldta.

Uszykowałem te formy obok siebie według tego, jak one nagą ziemię pokrywają, lub też jak się nad nią w samoistnych postaciach wznoszą, a ostatnie według tego jakie one szczególnem ulistnieniem a bardziej charakterystycznym odznaczeniem się pnia, albo nakoniec połączeniem się i zlaniem obojga, szczególne wywierają wrażenie na widza utworzonym przez się krajobrazem. Możliwość jeszcze wykazać inne ważniejsze, z artystycznego punktu zapatrywania się wzięte zasady podziału. Tak jak sam krajobraz dzielimy na część przednią, środkową i tylną, tak też przedewszystkiem charakterystyczne formy roślin powinnyby według różnej ważności swojej być objęte w tych trzech częściach każdego obrazu natury i pewnym rysunkiem być uwydatnione. Mniejsze formy *traw* znaczące tylko coś w całkowitem wrażeniu swoich mass, nie tracą przez wielką odległość, gdy rośliny *Pisangu* i *Aroideów* z przyczyny pięknych form ich wielkich liści, mogą uchodzić nawet na przednim gruncie. Przeciwnie cienkie liście mimozów rozplývają się na 3m planie w zieloną masę; gdy wysokie palmy zanadto blisko posta-

wione, przeważać będą w całkowitem wrażeniu tak, że piękność ich przestanie być działającą.

Następni podróżnicy powiększą liczbę roślinnych form, wykażą dokładniej ich znaczenie i nauczą obejmować delikatniejsze odcienia na jakie pozwalają rozdrabiać się owe większe grupy, mianowicie zaś zyska na tem zastanowienie się nad naturą, jeżeli będziemy przed sobą mieli wielki zapas tak artystycznych opisów, jakie nam podał z nienaśladowaną prawdziwością Baron Kittlitz w swoich wegetacyjnych poglądach ¹⁾. Największego godną zastanowienia, całkiem prawie pomijana i niezbadana, jest strona form roślinnych odnosząca się do człowieka, historii jego kształcenia się i jego poglądu na życie. Tu dopiero naprzód te typy natury zyskują wyższe znaczenie a dla psychologa-etnografa stają się one prawie ważniejszymi jak dla badacza roślin. Zanadto zdaje się widocznem iżby nie zasługiwało na wspomnienie jest to: że pogląd świata inaczej się musi przedstawiać temu, kto pierwsze swoje wrażenie otrzymał od poważnych i w zimie zielonych jodłowych lasów Szwecyi, inaczej temu kto wzrósł między mglistymi bagniskami i zaroślami Szkocyi, inaczej znowuż takiemu kogo od dzieciństwa otaczał połyskujący liść laurów i mirtów pod jasnym greckim niebem; a jednak wpływający ztąd pogląd na życie łatwiej daje się uczuć aniżeli jasno słowami wyrazić. Jak w mitologii tak i tu najżywotniejsza i najobfitsza strona nie została jeszcze zbadaną; możemy wszakże położyć za ogólne prawidło, że, nie masz ćwiczenia mogącego się odnieść do jakichkolwiek ziemskich stosunków lub też w nich urzeczywistnić się, któreby nie opierając się na przyrodzono-histerycznej podstawie było czem innem jak tylko martwą nauką wyrazów i nieprawdziwym fantazyowaniem. Nie można zrozumieć duszy człowieka bez jęj połączenia z ciałem, a ciała bez jego zależności od całej natury; i cóż jeszcze jest nadto coby zasługiwało być przedmiotem nauki!

Wpływ ten, który szczególnież ustanawia także

¹⁾ Nie mogę przy tej zręczności wstrzymać się ażebym nie zwrócił uwagi moich czytelników na niedawno rozpoczęte dzieło tegoż autora. Te „widoki roślinności” których 14 zeszyt wyszedł w 1859, położyły sobie za zadanie wystawienie w kolorowanych rysunkach charakterystycznych formacji roślinnych ojczyzny Niemiec. Pierwsze cztery karty wzięte z zachodnich Szkiców obiecują dzieło równie ważne i ciekawe dla botanika i estetycznego przyjaciela natury.

świat roślinny na rozwój człowieka, okazują te roślinne formy jednak nie przez się, ale raczej dopiero przez połączenie z wymienionemi już *formacjami roślinnemi*.

Niech tu nikt odemnie więcej nie spodziewa się nad treściwą wzmiankę o nieskończonych bogactwach przyrody, gdyż coś więcej nadto zrobić nie pozwalają mi ciasne ramy, w których się mieszczą moje obrazy. Gdyby nawet mojem tu zadaniem było, całkiem wyczerpnąć ten stosunek, to musielibyśmy nawet wciągnąć w ten zakres naszego rozważania świat zwierzęcy i geognostyczną zasadę. Człowiek natury nie żyje wyłącznie tylko z tem lub owem przyrodzonym ciałem lecz ze wszystkim co go otacza: krajobraz ze wszystkiemi nierozdzielniemi z nim żywiołami działa na jego umysłowość, a przez to nieznacznie na całą jego wewnętrzną historję i dopiero stopniami, przy rozwiniętem dobrze wykształceniu możebnem, zdaje się dla niego wyjąć z tego obrazu pojedyncze składowe części, a całkowite wrażenie rozebrać na osobne działania. Nie trawa lecz łąka, nie drzewo lecz las, nie krzak myrtu lecz cała płaszczyna nizkimi krzaczystemi wiecznie zielonemi roślinami, otaczającemi jakby pasem greckie góry, w sprzeczności zostająca z jednej strony z kwitnącemi łąkami, z drugiej strony z wysoko pnąciami się sosnami, przeważny wywierały wpływ na powodzenie i niepomyślność człowieka. I tak zastanowienie się nad formacjami roślin jak się one z tych form składały, będzie dla nas nierównie ważniejszym, gdyż w tem właśnie wyraża się szczególny rozmaitych krajów charakter.

Nikt z naszych, kogo tylko przyjazny jeniusz szczęśliwie zaprowadził w bogaty świat prostopadłych promieni słońca, nie mógł uchylić się od wrażenia, jakie na nim zrobiła właściwość zwrotnikowe roślinności, której nigdy nie zapomnę. Bardzo niejasne i słabe są zwyczajne wyrażenia: bogactwo, obfitość, bujność któremi chcemy oddać ten charakter; są słowami fałszywemi, gdyż ktokolwiek zobaczył północny pierwotny las, potężnie sterczące pnie, gnijące trupy roślin, obfitość paproci i mchów pokrywających i oblekających wszystko, co umarłe i żyjące, ten musi zaraz dojść do tego prawdziwego przekonania, że nie można już myśleć o większej bujności wzrostu roślin. Już prawdziwsze wyobrażenie obudza mowa, że im się więcej zbliżamy do gorących stron, tem bardziej też gubią się towarzysko żyjące rośliny, tem bardziej zdarzają się same przez się najrozmaitsze formy roślinne. Równie też

o ile to zdanie jest prawdziwym, tem mniej skłon-
nym go będzie uznać ten, kto więcej trzymając się
fizjonomii aniżeli botanicznych oznaczeń, przypo-
mina sobie charakterystyczne niektóre formy lasów,
kształty krzewów lub stepów; gdyż chociaż w obja-
śnieniu wymienia się główna przyczyna zjawiska,
nie wyklada jednak ono jakim sposobem otrzymuje
się ostateczny wypadek.

Jeżeli uczynimy wniosek z grubego cienia naszych
gęstym liściem pokrytych bukowych lasów i nieró-
wnie pełniejszej i ściśnionej roślinności podzwrotni-
kowego pierwotnego lasu, uczujemy się dziwnie za-
wiedzionymi znajdując wszystko tak jasnym, tak peł-
nym światła. To bogactwo roślinności zstępujące
z najwyższych wierzchołków *palm* i *Bertolleccjów*
od gałęzi do konaru, od konaru do pnia pokrywające
ziemię i ciągnące się bogatemi festonami w powie-
trznój przestrzeni, byłoby niemożliwym gdyby tak
niezbędne dla wegetacji światło nie miało przystępu
do miejsc, najniższych. Gęsty cień naszych lasów
który sprzecznie z podzwrotnikowemi lasami nasze
nawet cienkoszpilkowe sosny gęstem swoim ugałę-
zieniem sprawiają, za pomocą którego stawia one
opór jesiennym burzom, srogięj zimie i gniotącemu
ciężarowi mass śniegowych, przeszkadza właśnie
rozwijaniu pod drzewami owęj bogatęj rozmaitości
roślinnego życia, zdobiącego pod zwrotnikiem wzdłuż
i wszerz, w górę i w dół, i napełniającego każdy za-
kątek. W charakterze zwrotnikowych drzew leśnych
leży właśnie szczególne, obszerne, swobodne rozga-
łęzienie i wegetacja liści, która pojedynczo i w mniej-
szym rozmiarze naśladowując strój *palm*, często wyka-
zuje się tylko na ostatnich końcach gałęzi. Nastę-
puje tu potem wielka rozmaitość roślin, znajdują-
cych się obok siebie na małej przestrzeni, a które
tak nierównym sposobem wznoszą się w powietrze
że już w oddaleniu zwrotnikowy las nie okazuje tak
prostych zaokrąglonych rysów jak północny las bu-
kowy lub lipowy. Dodać do tego trzeba przemaganie
lub często zdarzające się połyskujące liścia, które
odbijając światło słoneczne, wprowadzają je do cie-
mniejszych cieniów, lub też białęj powierzchni wy-
soko umieszczonych liści palmowych i innych, które
nakszałt zwierciadeł wprowadzają promienie słońca
w głąb lasów. Z takich, a może z niezliczonych jesz-
cze innych małych rysów, złożony jest ten obraz
przedstawiający się nam z tak obcym charakterem, a
jednak z takim pociągającym powabem.

Mówiąc jednak o formacjach roślin, właściwie po-
życzamy tu wyrażenia z innęj nauki to jest Geogno-

zyi i o ile dopuścić można takie porównanie, sędzi-
my że coś podobnego tem oznaczamy. Jak zaś w geo-
gnostycznym rozważaniu powierzchni ziemi rozró-
źniamy pomiędzy sobą kraj równy i pasma gór,
tak też i tu stosując te uwagi do świata roślinnego
oddzielamy naprzód jako dwa główne kształty *ró-
wniny* i *lasy*. Każdy z tych głównych oddziałów
rozpada się znowu na pojedyncze formacje, które
właśnie tu i owdzie będąc rozwinięte, występujące
lub odsunięte, tak jak w Geognozyi geognostyczny
tak i tu nadają krajowi roślinno-obrazowy charakter.
Szczególniej zaś na wyszukaniu i wystawieniu tych
formacji polega prawdziwy powab jaki zwykle w po-
mieszaniu wyobrażeń przypisujemy roślinnej jeogra-
fii. Ta ostatnia może i powinna popierać naukowe
cele, zakładać sobie i rozwiązywać teoretyczne za-
dania — bo choć

„Mglistą, drogi przyjacielu, jest wszelka teoria.”
Lecz „zielonem jest złote drzewo życia.” Wskazali-
śmy że właśnie nieprzystępną jest dla ściślejsz nauko-
wości estetyczna strona natury, która jakkolwiek
trudno za nią śledzić w jęj działaniu, jednakże potę-
żnie się ona wciska, określając, przeszkadzając i
sprzyjając postępowi historyi umysłowego rozwoju.
To prawda że „jakim człowiek, takim i Bóg jego
utworu” lecz trzeba jeszcze więcej dodać że człowiek
na pierwszych szczeblach swego rozwoju, jest także
podobny do natury w której wzrósł!

Z drugiey strony nie powinniśmy też zaniedbać
wykazania istotnej różnicy, za pomocą której geogno-
styczna formacja różni się od roślinnej. Pierwsza,
przez wyraźną nieruchomość jest nieprzechodną i
niezmienną, przynajmniej sięga daleko poza wylicze-
nia ludzkie na wieki; druga zaś nosząc cechę orga-
nicznego życia, swoim sposobem śledzi za grą potęż-
nych sił natury na ziemi. Rysunek jęj nie jest mo-
cny, nieporuszony; lecz tak jak na większą skalę
zmienia się charakter natury, okazuje też inne rysy
i patrzy jakoby na człowieka inną twarzą: a tenże
sam utwór który dziś pobudzał do wesołych uczuć,
jutro może przygniatać będzie umysł obrazem po-
sepnęj pustyni. Im więcej postępujemy ku górnym sze-
rokościom, tem rozmaitszą jest przyroda w swęj zi-
mowęj i letnięj szacie, i według tego jak klimatyczne
stosunki czy to jedną czy dwie, trzy lub cztery pory
roku uwarunkowują, fizjonomia świata roślinnego
jest albo stale niezmienną, albo też w rozmaity spo-
sób swój charakter zmieniającą. Nie na tym jednak
lub owym stanie, lecz szczególniej na tem jak historia
natury określając według czasu bieg zmian towarzy-

szących czynności ludzkiej, opiera się silne działanie na uczucia i ich grę, na postęp myśli i ich wykształcenie. Gdy modro szara zieloność sosnowych szpilek pod ciężkim pokryciem śniegu tem przykrzejszem i posepniejszym robi wrażenie zimy, jasny blask wiecznie zielonych liści drzew na południu kłamanem latem jeszcze ożywia pierś ludzką, chociaż ciało przejęte mroźnym chłodem, przeczy widocznie temu meteorologicznemu błędowi. Trudno jest jakkolwiek bądź żywo i widocznie oddać słowami rozmaite *formacje lasów*, co tak łatwo skutecznie może malarz obrazowy, u którego są na rozkaz rysunek, układ drzewa, kolor i skutek światła. Równie wszakże jawnymi są te różnice dla każdego kto z otwartem uczuciem przystępuje do natury. Już sosnowe i choinowe lasy okazują w swych rysach prawdziwe różnice; pierwsze z prostymi, słupkowatymi, między sobą równoległymi pniami i na kręglowatą ze swiderkowatymi gałęziami, koronie, drugie na sękowato powyginanych pniach, których linje wszędzie się w perspektywie krzyżują, nosząc płaską liściową zasłonę, odzież, którą najdokładniej i najszlachetniej przedstawia *Pinia*. Te choinowe lasy jakie na milowe rozciągłości pokrywają Marchją brandeburską, powtarzają się w bujnym rozwoju w *gajach choinowych* ²⁾ północnej Ameryki. Tu i tam lubiąc krzemienisty grunt ciągną się szerokim na kilkaset mil angielskich, długim pasem wzdłuż brzegów Virginii i północnej Karoliny, a swoją masą tworzą mocno odznaczony rys w fizyonomii całego kraju.

Widoczniejszą jest jeszcze różnica pomiędzy pojedynczymi formami *liściowych drzew*; ścieśniony rodzaj *buków*, *lip* lub *wiązów*, tworzy lasy o gęstem cieniu i grunt pozbawiony roślinności; gdy dumny *dąb* przytłumiając wszelki zarost drzew w bliskości siebie, rośnie, albo odosobniony na gruncie pokrytym przyjaźnie trawą i ziołami, albo łączy się w małe grupy dla utworzenia cudnych leśnych krajobrazów jakie nam nieśmiertelny pędzel *Ruisdaela* oddał. Inaczej działa wspaniały blask *lasów magnoljowych* południowej Ameryki, aniżeli powabna piękność afrykańskich *akacjowych gajów*, albo druhowa przezroczystość północnych *brzóz*; a nakoniec świat podzwrotnikowy rozwija rozmaitość, której skreślenie będzie niewyczerpanym tematem. Chcę tu tylko zwrócić uwagę na szczególny kontrast jaki przedstawiają niektóre okolice gorących klimatów. Ostry chłód

zimowy pozbawia nasze lasy najpiękniejszej ich ozdoby i ogałaca z liści czarniawe gałązki sterczące z pod śniegu lub czarnego gruntu w posepnem grudniowem powietrzu; przeciwnie zaś brazylijski podróżny w gorącym upale *Catingas*, lasy które właśnie w czasie lata są pozbawione liści przez palące letnie słońce — a nagiem swoim ugałazieniem w dziwnej zostają sprzeczności ze świeżą bujną zielonością na brzegu małego strumyka, lub też z nie- tkniętymi od upału, soczysto-mięsistymi *massami Kaktusów*. Lecz i przy najświeższem ulistnieniu lasy mogą przyjmować cechę najokropniejszej pustyni. Gdzie gęste ulistnienie przeszkadza wpływowi słońca i odświeżającej zmianie powietrza, czyniąc tym sposobem powolniejszym rozkład mass roślinnych, gdzie grunt rzadki i bez zagięć pozbywa się trudno obfitości swój wody, tem bardziej gdy wzniesiony czarnoziem chciwie wciąga wilgoć, tam tworzą się najrozciąglejsze *bagniska*. Przez ciągłe przybywanie szczątków roślinności, wznosi się grunt i często nakoniec tak wielka, wół-płynna, wodą przesycona massa, zalega daleko nad poziom otaczającej równiny tak dalece, że słońce pomimo tego iż burze odsłaniają ochraniającą je pokrywę, nie jest w stanie tego bagna wysuszyć lub przynajmniej rozszerzania się jego ograniczyć. Podobne bagno wznosi się do 12 stóp ponad otaczającą równinę w Wirginii pomiędzy miastami *Suffolé* i *Waldon* od mieszkańców nazwane the great dismal (wielką klęską) dające początek dość znacznym rzekom i zasilające je wodą. Szczególniej zaś amerykański *Cyprys* ³⁾ swoim wazkiem lecz gęstem ulistnieniem dał początek do jego utworzenia. Toż samo drzewo tworzy tak strasznie okrzyczane *bagna cyprysowe* Luisiany na brzegach Redriver (czerwonej rzeki) i Missisipi. Olbrzymie pnie, niesłychanej grubości, cisną się obok siebie, splatając między sobą gałęzie i rozszerzając wśród najjaśniejszego dnia ciemny mrok. Grunt składa się tylko z nawpół przegniłych, powalonych jedne na drugich, złomów, a pomiędzy tem, z niezgruntowanego płynnego mułu, w którym przewracają się żarłoczne alligatory i zjadliwe żółwie, jedyni władcy tego dymiącego od żaru tropikowego prawie słońca, piekła; tak się dzieje wśród lata; lecz na wiosnę wylewają się przez tę zgubną wegetacją, na wiele mil rozciągłości, mętne, bagniste wody występujących z brzegów rzek. I tak, te cyprysowe bagna, których nam Szalsfield tak żywy skreślił obraz, odpowiadają w po-

²⁾ Pine barrens.

³⁾ Tanubium distichum. Rich.

średnich krajach lasom *Mangrove*, ogarniającym ujścia wszystkich prawie podzwrotnikowych rzek. Składając się z niewielu gatunków roślin, z których najpospolitszem jest drzewo *Mangle* (*Magnolia*): najbardziej się one odznaczają wielką liczbą wysoko z pnia wyrastających mocnych korzeni, wlokących się każdy po ziemi. Prawdziwem miejscem przebywania tej rośliny jest tak nazwany (wybuch wody) *Brakwasser*, który powstając ze słodkiej wody w rzece w czasie wezbrania morza, bywa podczas powodzi od napierającej wody morskiej odpychany. Liczne korzenie tworzą tak gęstą sieć, że przerwy w niej zakryte są spadającym liściem i takim sposobem stopniami zbiera się grunt do drugiej roślinności, pod którym w rozmaitych porach dnia, morze albo rzeka toczy swoje fale. Częściej jednak działanie korzeni na tem się ogranicza, że bieg wody czyni powolniejszym i że w tej swojej sieci zatrzymuje napędzone przez rzekę zwłoki roślin i zwierząt, które dopiero tu, w zetknięciu z wodą i jej solami, gniją. Tak wywiązuje się w tych okolicach straszny gaz wodorodno-siarczysty, zatruwający atmosferę, że przyzwyczajeni od młodości do pobytu tamtejszego mieszkańcy włączają się jakby upiory, gdy dostającego się tam Europejczyka prawie nieochybnie śmierć pochłania. Te lasy są szczególną przeszkodą o którą wszystkie prawie ekspedycje do Nigru nie przewyciężenie się oparły, przerzedziwszy okropnie szeregi śmiałych awanturników. I ja także opłakiwałem przyjaciela zawczasie dla nauki zmarłego, *Teodora Vogla*, który na *Ferdando da Po* padł ofiarą tego szatana.

Jak pomiędzy górą a równiną pośrednie trzyma miejsce pagórek, tak między formacjami lasowymi i płaszczynami trzyma zarośle (*Gebüsch*) i oddzielnymi małymi gruppami drzew zasadzona równina.

Po części trzeba tu zaraz zaliczyć tak nazwane lasy na północnym brzegu Australii pokrywające niezmierną przestrzeń kraju rozciągającego się ku południowi zatoki *Raffles* i portu *Essington* aż do środka. Okazują one całkiem osobną fizyonomją która wszędzie prawie w tym dziwnym kraju napotyka się. Drzewa i krzaki mają skórkowate liście, większa część ich pokryta bywa białym, żywicznym pyłkiem, nadającym im nadzwyczaj jednostajną, smutną, blado-zieloną powierzchowność. Główniejszymi drzewami są *Eucalypty*, *Akacje*, *Sznurkowate* (*Prachtfaden*) i rodzaje *Cajeputowe*⁴⁾. Obok wspomnianych, wiele innych roślin za ledwie dają się po-

liczyć i żyją pod zasłoną tych wysokich, szarych, daleko od siebie stojących pni, których nędzne, nieustannie drżące listowie przypomina żałobne pola. Na całej rozciągłości tych zarośli rosną piękne krzaki trawy o długim, wysmukłym źdźble a w nich gnieźdzą się *Kangury*, *Turkawki* i inne ptaki. Promienie słońca łatwo przenikają przez wąskie liścia, nieustannie na swych cienkich chwiejące się ogonkach, sprawiając wątpliwą, z ulotnym cieniem zmieszaną jasność. Oko sięga daleko przez sklepienie gałęzi i liścia i mniej go wstrzymuje gęstość wegetacji, aniżeli ciągle zmieniający się blask, niepewnego mistycznego światła.

Jeszcze jaśniejszą, jeszcze mniej ścięsnioną stan lasów wyobrażającą, jest właściwa *forma palm* tam wszędzie, gdzie się z nią razem grupują towarzysko żyjące rośliny. Prawdziwe gaje palmowe już na północnym brzegu Sahary, na brzegach brazylijskich rzek, więcej mają podobieństwa do otwartych gmachów ze słupami z porozrywanym pokryciem, a całkiem odmiennie ustawiają się na suchym gruncie górnej wyniosłości *Mexyku* pnie *Yucca*, *Fourcroyi* i innych o wysokich pniach gatunków *Lilii*, nie dających ani cienia od słońca, ani ochrony od wiatru. Za nimi idą niekształtne masy roślinne *Maguey* ze swemi szerokimi, grubymi, szaro-zielonemi, stojącymi i ostro z brzegu ząbkowanymi liśćmi i swym na 20 stóp wysokim okwiatem, zaokrąglone *Kakteami* rozmaitego kształtu i w fantastyczne, nieprzeniknione ułożonemi zarośla.

W rozległych przestrzeniach nieprzeniknione *Chapporals* między *Nucus* i *Rio grande* składające się z krzaków *Mesquitu* na 6 do 7 stóp wysokich, obciążonych *Lianami* — składające się ze trzciny i palm karłowatych pola *Palmitto* na brzegach *Sabiny Natches* i innych rzek w *Texas*; — nizkie krzaki *Akacjowe* w *Australii szczęśliwej*, a nakoniec szeroko rozciągające się, przebiegane przez słonie i tygrysy, z bambusów i innych wysokich traw utworzone we Wschodnich Indyach *Djungles*, są właśnie tak odznaczająco nacechowane formacjami tworzenia się zarośli, które często nie przechodząc wysokości człowieka albo też mało co ją przewyższając, na pierwszy pozor nie zdradzają nieprzewyciężonego oporu jaki stawia przybyszowi, i długo jeszcze potem, gdy już człowiek w ich okolicy osiadł, można tylko chodzić ścieżkami, które sobie dzikie zwierzęta utorowały.

Najważniejszym środkiem do obudzenia estetycznego uczucia lub zajęcia, jakie wywołuje w poglądzie

⁴⁾ Eucalyptus, Acacia, Leptospermum, Melaleuca.

lub w myślach swem poruszeniem, jest to zmienność. Linija prosta nie jest piękną a właściwie nie jest ani piękną ani brzydką, lecz już linija wygięta i złamana, zniewalając oko do nienormalnego poruszenia, domaga się estetycznego sądu, i nazywamy ją piękną, gdy poruszenie oka odbywa się łagodnie i ciągle pośredniczo, brzydką zaś, gdy oko często i nagle odstępkuje od swojej drogi i kiedy nie może śledzić za kanciasto łamaną linją, ciągłym zwisłym swym ruchem, lecz tylko bezpośrednią zmianą swego ruchu. Lecz uczucie dla piękności może być także obudzone kontrastem albo przeciwieństwem, jeśli jakby nieświadomie bierze się za zasadę prawidłowości (jak w znajomem zestawieniu obok dopełniających kolorów) i przestając na wymaganiu dopełnienia idealnej całości jakiego zjawiska, a tym sposobem w samym przeciwieństwie wywołuje się zadowalniające uczucie doskonałości. Z tych uwag lepiej może zrozumiećmy dawne mniemanie, że najgłówniejszym powabem jaki zbywa krajobrazowi gorących okolic, jest brak naszych łąk, gdyż w ogólności w nowym świecie wcale nie zbywa na zarosłych trawą i drzew pozbawionych równinach, mianowicie zaś pod zwrotnikami starego i nowego lądu. Jeżeli jednak mówimy o piękności naszych łąk, to w rzeczy samej właściwie myślimy nie o łące, to jest równiej, trawą pokrytej, płaszczynie lecz o bogactem w formy, a ztąd miłym przeciwieństwem pomiędzy aksamitno-zielonym kobiercem i wznoszącymi się obok w pięknych okrągłych zarysach krzakami, aż do wspaniałego gęstego lasu; ztąd też niemniej pięknymi okażą się smutne sosnowe gaje Marchii, gdy cała nieskończona, nieobjęta okiem równina, której żaden nieprzerywa pagórek, z wyłączeniem wszelkiej wegetacji, pokrytą także zostanie równie bujnym zarostem trawy.

Jeżeli teraz obok formacji płaszczyn postawimy formację lasów, wprowadzimy tym sposobem do rozważania przyrody całkiem nowy estetyczny żywioł. Myśląc o lasach, niemożna oddzielić od nich pierwiastku piękności z przyczyny bogactwa form, zlewania się rysunków nieustannie pobudzających czucie i ducha do zmiennych działań. Zupełnie inaczej się dzieje z wielkimi roślinnymi równinami, które z tej przyczyny całkiem szczególne na umysł ludzki robią wrażenie.

Z pewnem uczuciem zawiedzionego oczekiwania wjeżdża podróżnik w zachodnie *Prairies* i nie pokrzepiającą okazuje się mu jednostajnie wysoka, trawą zarosła, monotonna równina, której linija poziomemu żadnem najmniejszym nie jest przerwaną podwyż-

szeniem. Jedzie on coraz dalej, i zawsze tak samo jednostajnie i z tą samą spokojną prostotą rozciąga się przed jego oczami przestrzeń bez granic. Co z początku uchylało się z pod jego wzroku, nieprzystępna dla małego człowieka nieskończoność występuje przed nim, nieznacznie wciska się do jego serca uczucie zrospaczonej samotności. Dzień po dniu wznosi się od wschodu a spuszcza się na zachodzie. Coraz dalej rozciąga się na około niego nieskończoność i wzrasta, przewyższając wszystkie jego dotychczasowe wyobrażenia o wielkości. Własne jego uczucie ciągle się ścieśnia, ciągle drgającą jego duszę zalega paraliżujące i gniotące przekonanie o nicości, a nim jeszcze dosięgnął z drugiej strony ich granicy, sercem jego o władnęły rozpacz albo nieskończenie głębsza wewnętrzna pobożność. W ogólności, jak tylko jednostajna wielkość zdolną jest do sprawienia estetycznego wrażenia, taką też staje się wzniosłość, przed którą człowiek ze czcią w proch upada. Szczególną modyfikację tych *Prairies* osadnicy oznaczają nazwiskiem *rolling prairies* (kuliście równiny) jakby nieograniczone płaskie morze jednostajnie na 20—30 stóp wysokich fal ziemi. Nie ośmielam się kreślić inną ogniem zajętej postaci tych olbrzymich łąk, gdy latem z przypadku albo z umysłu zapali się ta sucha trawa, a pożar z szaloną prędkością kłębi się po równinie: według *Coopera* i *Sealsfield* nazywa się to „nieść sowy do Aten.”

W podobnych szerokościach i klimatycznych stosunkach będąc położone *Pampasy*, *Buenos Ayres*, podobny także do północno-amerykańskich *Prairies* noszą charakter, tylko że gdzieniegdzie człowiek swem działaniem na naturę wycisnął właściwe piętno. Przeniesione z przybyciem Europejczyka *Oset* i *Karczoek* szybko opanowały nie posiadany przez nikogo grunt, i z szybkością nie do uwierzenia, kolczastą swą roślinnością pokryły krainy na wiele kwadratowych mil, która się tu z nieznaną w Europie bujnością rozwinęła. I tak, te pustynie ostu stały się straszną klęską kraju, jakby zbójcy wydzierający grunt lepszym roślinom; oraz niewstrzymaną kryjówką wielkich drapieżnych i chciwych mordów *kotów*, jako też nierównie niebezpieczniejszego człowieka-bandyty, tego kolącego zielska, będącego w połowie dokończonej Cywilizacji.

Możnaby prawie sądzić, że właściwe, bliżej w koło nas leżące stepy, mniej są nam znane aniżeli owe naturalne formy dalszych części świata, z którymi prawie nas oswoiły opisy ludzi jeniałnych, gdyż istotnie zanadto często słyszymy w mowie ludzkiej jak fał-

szywe mają oni wyobrażenie o tych rozległych równinach, które zwykle oznaczają nazwiskiem północno-niemieckich stepów. Od zachodnich granic północnej Francji przez Belgję, północne Niemcy, Rosję, aż prawie do wschodniej granicy Syberji, ciągnie się szeroka równina, rzadko przerywana niskimi wzgórzami i równie rzadko okazująca, dla rozciąglejszego zarostu lasu, odpowiedni grunt, który się w ogóle ogranicza na przesiąkniętym poblizszymi rzekami gruncie. Na południowym krańcu tej równiny ciągnie się łańcuch pagórków i gór, już to wyskakujących w kształcie przylądków na szerokich płaszczynach, już to cofających się by utworzyć szersze lub węższe zatoki na brzegach pokrywającego niegdyś całą równinę morza. Na całej tej nieskończonej przestrzeni jeden tylko rodzaj roślin wyłączne założył sobie panowanie, to jest wrzos, a który tej części kraju nadał swoje nazwisko. Stosunki podobne do tych, jakie w północnej Ameryce wywołują różnicę pomiędzy stepami choinowymi i bagnami cyprysowemi, i tu także są działającymi, ustalając istotną różnicę. Wielka równość gruntu, na niektórych nawet miejscach geognostyczne stosunki, gdy mniejsze wyniosłości tworzą zamknięte (w około płaskie, kotliny), na wielu miejscach niepodobnym czynią wolny odpływ wody a błonę wspartą, wywołaną za pomocą wilgoci, własną roślinnością (gromadzącą się corocznie roślinną substancją, która nie rozkładając się zupełnie, zwęglą się tylko w wodzie do pewnego stopnia), tworzy owe czarne masy roślinnych szczątków, grających, jako *torf*, tak ważną rolę w ekonomii mieszkańców. I tak w rozmaitem podzieleniu przeplatają się tu suche *piaskowe* błonia z mokremi gębczastymi *torfowiskami* czyli *bagnami*. Na brzegu tych ostatnich, rzadziej na nich samych, sadowi się zwykle więcej lub mniej zdrowa drzewiasta roślinność i często w Luneburskiem błoniu znajdują się grupy wspaniałych dębów, które ocieniając jeden z tych miłych, uprzejmych, słomą pokrytych domów podniesione tłem, szczególnymi czerwonymi barwami jaśniejącego stepu, nie spodziewany tu krajobrazowy rozwijają powab. Z temi wielkimi bagniskami równają się jeszcze torfowe bagna niektórych wyższych gór Brockenu, Röhn, sosnowych gór (Fichtelgebirgs) i tak nazwane Mchy (moose) południowych Niemiec i Szwajcaryi.

Podobne stosunki okazują się pod innym klimatem, pod innym pasem roślinności, ciągnące się po najodleglejszej północy Europy. Jak tam naprzemian idą suche piaskowe stepy, z wodą przesiąkniętymi ba-

gniskami, tak i tu mieniają się w rozmaitym sposobie suche bezwodne pasy z bagnistym gruntem. Lecz tu znajdujemy się w państwie Wahlenberga, szuwarów i mchów. Suche miejsca pokrywają w nieścięgnionych równinach kędzierzawe, suche, szaro-olwiane szuwały, pod którymi renifer szuka szczupłego swego pokarmu, a na głęboko przesiąkniętym i najlżejszego kroku nie znoszącym gruncie, pozorem uśmiechającej się łąki, zwodzi zdaleka bujna roślinność mchu. Nieostrożny podróżnik topi się tu w bardziej ukrytej, niż przez mchy wypartej, wodzie, gdy na owych błoniach szuwarowych, które Lapończyk nazywa *Tundrami*, latem przepalona od słońca ziemia każdy krok czyni męczarnią.

Jak w lasowych formacjach południowo-amerykańskie *Catingas* w przeciwieństwie stają z północnymi *lasami* drzew liściowych, tak też pomiędzy równinami stają *Lanos* w Wenezueli z rosyjskimi stepami. W pierwszych, których A. Humboldt tak żywy skreślił obraz, sen natury następuje w lecie w czasie gorącej suchej pory roku, roślinność wysycha i w proch się rozsypuje, zostawiając grunt nagim: zwierzęce życie (czworonożnych opuszcza kraj obumarły, gdy *Boa* i *krokodyle* zakopują się w mule stopniowo wysychających rzek stepowych i razem z nim drętwieją, tężeją, aż póki pierwszy deszcz, odczarowujący na pustym gruncie świeżą młodzieńcą vegetację, nie przywoła ich znowu do zmartwychpowstania.

Inaczej się dzieje na *Stepach* rozciągających się od południowej Rosji przez środkową Azję ku Wschodowi. Chcę tylko wspomnieć o szczególnych *solnych Stepach*, często latem błyszczących z powodu zwietrzałej soli, jakby od świeżo spadłego sniegu i karmiących całkiem właściwą roślinność.

Przeciwnie zaś nie mogę sobie odmówić ażebym nie spróbował skreślić chociaż szczupło zaludnionych, zamieszkałych jednakże, tatarskich Stepów nad Czarnem morzem (Pontus). Nie wszędzie przedstawiają one jednostajną równinę, przerywaną raczej przez *Durriny*, niskie krzaczyste gromady Głowienki (Prunella) głogu, Przytulii (Galium), Jeżyny. Lecz i reszta roślinności, według jej użytku w hodowaniu bydła jest przez Małorossyan dzielona na dwie całkiem różne grupy na „trawa” to jest pasza i „burjan” koleczaste wysoko strzelające zielska które z przyczyny drzewiastej swojej łodygi nie dają żadnego pożywienia trzodom stepowym. Z pomiędzy

traw najglówniejszą roślinę stanowi *Ostnica* ⁵⁾. Zaraz po odkwitnieniu wyciąga ona z kłosa swoje długie lekko-pierzaste bródki, bardzo podobne do najdelikatniejszych piór *marabu*, unoszące się daleko po nad pączkami wązkich suchych liści traw. Im step jest starszy tem wyżej rozwija się drzewiasty pień korzenny po nad ziemią, na przekor koszącym chłopotom. Kto tylko kilka mil ujechał w stepach, posłyszysz zaraz wyraz *burjan*. Burzan klnie pastuch ze swoimi wołami i końmi, na burzan narzeka rolnik, burzan przeklina ogrodnik a pociechą jest dla kucharki. Gdyż na szczególniej płodnym dla pewnych roślin które my nazywamy zielskiem, stepowym gruncie, wystrzelają one do niewiarogodnej wysokości, gdzie tylko uprawa zaniedbała stały grunt; którego one unikają: jedynym ich użytkiem jest to, że uschnąwszy w jesieni, dostarczają oraz jedynego w tych pustych okolicach palnego materiału. Przedewszystkiem zaś i tu, tak jak na Pampasach przy Buenos-Ayres, odznaczają się *osty*, które w rzeczy samej do godnej podziwienia dochodzą wielkości, rozwinięcia i rozgałęzienia. Często stoją one nakształt małych drzew obok niskich chat z ziemi rolnika, często na sprzyjających miejscach tworzą obszerne krzaki, przewyższające nawet jeźdźca na koniu, który tem bardziej w nich zbłąkać się może, iż mu one obejrzyć się przeszkadzają, a jednak nie okazują pnia, na któryby się można było wdrapać. Obok bodjaku wznosi się do wysokości człowieka *piołun*, pomieszany z olbrzymią *dziewanną* zwaną u Małorosyan „Stepową świecą.” Mały nawet *Krwawnik* wyrasta na kilka stóp i nie mało jest ceniony, gdyż przy szczupłym zapasie ogrzewalnej siły burzanu skrzętnie przez tamecznego mieszkańca doświadczonej, uważa się on za najcharakterystyczniejszą roślinę. To, co Rosyianie nazywają *perchati pole*, (przeskocz pole), niemieccy zaś koloniści jeszcze dobitniej Powietrzną Czarownicą (Windheze) mianują; ta nędzna ostu roślina, rozpierzcha swoją siłę na utworzenie licznych, suchych, cienkich gałązek na wszystkie strony rozszerzających się i między sobą płączących. Będąc bardziej gorzką jak piołun, nawet w głodne lata nie jest przez żadne bydło dotknięta. Sklepienia które ona tworzy na trawie, mają często trzy stopy wysokości, a czasami 10—12 stóp w obwodzie i sklepienie są z samych delikatnych, cienkich gałązek. W jesieni pień rośliny gnije, podwój-

na kula zsycha się w jedną wielką, jak pióro lekką, galę, którą wtedy wiatr jesienny pędzi w powietrzu przez stepy. Wiele podobnych kul ulatuje wtedy naraz po równinie z taką szybkością, że żaden jeździec nie może ich doścignąć, już to w szybkich, krótkich poskokach unoszą się po ziemi, już to kołują, tocząc się wielkimi kręgami jedna za drugą, odprawiając jakby tańce upiorów po darni, już to nagle porwane wichrem secinami wznoszą się w powietrze. Często jednak wietrzna czarownica czepia się drugiej i tak ich ze dwadzieścia złączywszy się, jakby olbrzymia massa toczy się dalej popychana wschodnim świszczącym wiatrem. Prawdziwie że dla wynalezienia pokarmu, przesądowi człowieka, nie potrzeba ani skalistych przepaści, ani górzystych miejsc, ani burz morskich. — Niebezpiecznym jednak staje się życie w stepie gdy wieśniak „oczyścił swoje podwórze” to jest gdy zapalił na nim burzan i wszystkie resztki nieużyteczne, z przyczyny nowego żniwa, słomy i siana ze znajdującymi się w nich myszami i innem plugawstwem, i gdy ten pożar objął suchą trawę. W zwyczajnej trawie posuwa się on z mierną jak wąż szybkością; tam zachwytuje on krzak burzanu, a z wielkim hałasem pryskając i sycząc, płomień wysoko wznosi się ku niebu; potem dosięgając przestrzeni porosłej bujną trawą, obejmuje ją cienkimi białymi płomykami, buja ze straszną zwinnością po falującym polu, pochłaniając w kilku minutach miliony delikatnych piórek. Czasami płomień ciągnie się wązko ściśniony pomiędzy dwiema taśmami wody, bliski już prawie zniknięcia; potem nagle dostaje się do suchej trawiastej płaszczyzny, nabywa nowych strasznych sił, zamieniając się w szerokie morze dymu i ognia, na którym wyżej i jaśniej kłębiące się ogniste słupy oznaczają nieszczęsne posady ludzkich mieszkań. Podobny pożar stepów, w nieobliczonym krzyżowaniu i przecinaniu dróg swoich, krąży w jednej okolicy przez ośm lub dziesięć dni, idąc za każdą zmianą wiatru, niweczając wszelkie najlepiej obmyślane usiłowanie ucieczki. Nakoniec spada deszcz i potężny żywioł ognia ulega silniejszemu jeszcze żywiołowi — wodzie.

Lecz step jest pustym, pozbawionym roślinności; co oszczędził płomień, stało się prócz tego ofiarą mroźnego tchnienia nadchodzącej zimy. Coraz grubsze i ciemniejsze nasuwają się chmury, coraz gęściej śnieg pada, i coraz ostrzej zimna pólnoc ciągnie po nad nieochronioną równiną. Spóźniony wędrownik szybko znagła swe konie do wyteżonego pośpiechu. Srebrne pasy wznoszą się z równiny

⁵⁾ Szelkowaja Trawa (jedwabna trawa) w niektórych okolicach niemiec nazwana Federgras, *Stipa pennata*. L.

i częściej wstępują do góry; zaczyna się wycie i świst wiatru, powietrze coraz więcej połyskuje od kryształów śniegu, nakoniec wszystko to zamienia się w gęstą, ciemną masę, ciągnącą się w jednym kierunku aż póki nie zostanie pochwyconą wichrem który miota w kółko lub też nie odbije się od wynioślejszych miejsc stepu. Jest to *Buran* czyli burza stepowa; dawno już przestraszony woźnica poznał jego oznaki, i ze zrozpaczoną siłą ćwiczył coraz słabnące konie. Coraz prędzej i gwałtowniej następują po sobie śniegowe wichry, wplatając i przytępiając wszystko w powiewnym swoim zawrocie; trzeba się pozbyć wszelkiej myśli zorientowania się i ślepo oddać się pędowi koni, które lecą po równinie jakby pędzone szale. Przed sankami bieząc ryczy przestraszona trzoda i zaledwo przez gęstą śniegową zamieć przelotne spojrzenie dostrzega jak ona w popłochu spada z urwiska skały, u stóp której na następną wiosnę świecić będą pogruchotane jej kości.

Wszelka zdaje się już być stracona nadzieja i zguba nieuchronna; zbliża się już noc i burza słabnie; nawiane masy śniegu osiadają i tak jak nagle

powstał, po południowym trwaniu ustaje *Buran*; widok znowu się trochę rozjaśnia od wieczornego zmroku, a wycieńczony podróżny widzi przed sobą ludzkie mieszkanie. Jeżeli zaś ono słabe tylko daje wynagrodzenie za wycierpiane trudy, dozwala przynajmniej odpoczynku. Przyjazny sen przenosi zmęczonego podróżnika w daleką ojczyznę. Idzie on bujną łąką po nad miłemi brzegami łagodnie płynącej rzeki, wieczór się schyla po nad ogrzaną łąką. Wilgotne mgły pokrzepiająco wznoszą się z ziemi, ciągną nad brzegami okrywając swą zasłoną. Król Olch (Erlkönig) i jego córki unoszą się w ułudnej grze postaci po nad zestarzałemi pniami wierzb. Wtem zadrzał w wonnem powietrzu lekki dźwięk. Dzwon ojczystej wioski wzywa znowu do spoczynku tego, kto po nieustanném błędzeniu po wielkim bożym świecie wrócił do rodzinnej strzechy, po mnogich poglądach, zajmujących wypadkach, wyteżonych nieszczęściach, dziwnych uciechach i wbrew niezapomnianego tego, co go na około otacza, do niezapomnianego rajy dzieciństwa, do domu rodzicielskiego, w objęcia matki. *K. D.*

ADMIRAŁ NELSON.

(Z WIZERUNKIEM SZTYCHOWANYM).

W życiu sławnego bohatera, każda prawie chwila zasługuje na uwagę, ale między niemi znajdują się pewne ustępy, które nadzwyczajem błyszczą światłem i z których charakter jego najlepiej daje się wykazać. Takimi najświetniejszymi punktami w zawodzie admirała Nelsona, są bitwa pod Abukir, walka pod Kopenhagą i nakoniec pamiętna bitwa pod Trafalgar, w której waleczny ten marynarz chlubną śmierć znalazł. Dla tego krótko żył, lekko tylko przebiegnięmy liczne pośrednie wypadki, aby się mózdz przy tych najgłośniejszych dłużej zatrzymać.

Horatio Nelson urodził się 29 września 1758 r. we wsi Burnhem Thorpe w hrabstwie Norfolk, gdzie jego ojciec był pasterzem duchownym. Jakkolwiek drobnój budowy ciała, od dzieciennego wieku okazywał niczem niezachwianą odwagę, a w dwunastym roku oświadczył już stanowczo że do zawodu marynarza nie przezwyjęzony ma pociąg; i zaraz też na statku *Raisnable*, dowodzonym przez jego wuja kapitana Suckling, do służby téj wprawiać się zaczął, a odbywszy podróż do Indji zachodnich,

a następnie do bieguna północnego, i w końcu do Indji wschodnich, dzielnością w służbie doszedł do stopnia kadeta. W dwudziestym roku życia był już drugim porucznikiem, a w rok później otrzymał dowództwo brygu *Badger*. Słabość, będąca skutkiem gorącego klimatu Jamajki i San-Domingo, zmusiła go wrócić do Anglji, ale jak tylko wyzdrowiał, został ze statkiem Abbé Marle wysłany do Kanady, gdzie zjednał sobie wysoki szacunek księcia Wilhelma Henryka późniejszego księcia Clarence, z kąd atoli z powodu zawarcia pokoju 1782 r. musiał wracać do Anglji. W dwa lata później jako komendant statku *Boreas* o 28 działach, udał się do floty stojącej w Indyach wschodnich. Tam w Nevis ożenił się z 18to-letnią wdową doktora Nisbet i sądzono że porzuci służbę morską. Ale za powrotem do Londynu przedstawiony królowi, został tak łaskawie przyjętym, że na zapytanie: „czy chce już na zawsze pożegnać morze?” oświadczył z zapałem, że na pierwsze wezwanie gotów będzie na usługi ojczyzny.

Przeszło cztery lata pozostał w Burnham oddając się przyjemnościom domowego pożycia, ale



NELSON.

kiedy w końcu r. 1792 wybuchła wojna z Francją, napisał do księcia Williama, prosząc o dowództwo jakiego statku, oświadczając że będzie zadowolony, jeżeli mu rząd choć skorupkę orzecha przeznaczy. Zamiast tego atoli dostał okręt liniowy Agamemnon o 64 działach, z rozkazem przyłączenia się do floty znajdującej się na morzu Śroziemnym pod dowództwem lorda Hood. Jako dowódca dawał on swoim podwładnym trzy przepisy postępowania: Najprzód przełożonych ślepo słuchać, potem uważać każdego za osobistego nieprzyjaciela, kto o ich królu lub ojczyźnie źle mówi; potrzenie każdego Francuza nie nawiedzić jakby samego szatana.

Po krótkim pobycie pod Tulonem w sierpniu 1793 r. Nelson został posłany z depeszą do ówczesnego posła przy dworze neapolitańskim sir William Hamilton i tam pierwszy raz zobaczył piękną Lady Hamilton, która później zniszczyła jego szczęście domowe. W kilka tygodni potem odznaczył się przy zdobyciu Bastyi, dalej pod Calvi stracił prawie oko: zabrał liniowy okręt francuzki *Gaira* i mniejszy statek *Censeur*, i za te zasługi postąpił na stopień Komandora. W tym czasie francuzi połączyli się z hiszpanami przeciw anglikom i admirał Jervis uderzył na nich w bliskości przylądka St. Vincent 14 lutego 1797 r. Pomimo dwa razy większej siły nieprzyjaciół, Anglicy odnieśli świetne zwycięstwo, dzięki waleczności i energii Nelsona, który dwa najpiękniejsze statki francuzkie wziął w niewolę a dwa inne uczynił niezdolnymi do boju. Tytuł baroneta i stopień Kontr-admirała były nagrodą tych świetnych czynów.

Nelson zatknął swoją flagę na okręcie *Theseus* i został posłany z trzema fregatami do Vera-Cruz dla schwytania kilku okrętów z srebrem i złotem stojących w tym porcie i opanowania jeżeli się uda miasta Vera-Cruz. Ale hiszpanie dobrze byli przygotowani do obrony i pomimo dzielności marynarzy angielskich, całe przedsięwzięcie nie powiodło się: Anglicy stracili 250 ludzi a co gorsza Nelson dostał postrzał w prawą rękę, którą musiano mu odjąć. Rana ta zmusiła go udać się dla kuracji do Anglii, gdzie przez cztery miesiące zostawał między życiem i śmiercią.

Wróciwszy zupełnie do zdrowia w r. 1798, Nelson otrzymał rozkaz wyszukania floty francuzkiej, która z jenerałem Bonaparte wyruszyła z Tulonu. Od 19 maja, w którym to dniu z 3 liniowymi okrętami i 4 fregatami wypłynął z Lyonu, do 1 sierpnia wśród burz, które kilkakrotnie rozpraszały jego eska-

dre, przebiegał jak błyskawica do Egiptu, Karamaryi, Kandji i Sycylii, nigdzie nie mogąc znaleźć nieprzyjaciela; dopiero powtórnie puściwszy się do Egiptu, postrzegł nareście flotę francuzką w bliskości Alexandryi.— Toż to była radość na flotyli angielskiej, a Nelson który od kilku dni skutkiem niecierpliwości nic prawie pić nie mógł, kazał zastawić obiad dla wszystkich oficerów flotyli. O godzinie 6 siedzieli jeszcze przy stole, a o wpół do siódmej rozpoczęła się bitwa. Dla płytkości wody flota francuzka admirała Brueys nie mogła zawinąć do przystani Alexandryi i dowódca francuzki ustawił ją linją w zatoce Abukir, a statki z żywnością i materiałem wojennym miał w samym porcie. Flota francuzka była daleko silniejszą od angielskiej i dla tego admirał nie przypuszczał żeby Nelson chciał go atakować.

Ale admirał angielski za długo czekał na sposobność do bitwy, żeby ją chciał i tym razem ominąć. Plan ataku był niesłychanie śmiały, bo chodziło o złamanie linji nieprzyjacielskiej, działając jedną połową z frontu, drugą zaś w tyle floty francuzkiej. Plan ten został we wszystkich punktach wykonany i uwieńczony najzupełniejszym zwycięstwem.

O wpół do siódmej, jak powiedzieliśmy, Nelson dał znak rozpoczęcia walki, o dziewiątej już pięć wielkich okrętów francuzkich straciło wszystkie maszty i zwycięstwo było prawie stanowcze, ale wtem admirał angielski otrzymał postrzał w głowę, który zrazu sądzono śmiertelnym i naturalnie powstało ztąd nie małe zamieszanie. Ale kiedy chirurg okrętowy opatrzył ranę admirała i oświadczył że nie jest niebezpieczną, Nelson wrócił na pokład i na nowo rozpoczął się bój morderczy, wśród ciemności nocnej, oświetloną tylko blaskiem wystrzałów działowych. Zaraz po 9tej wybuchł ogień na ogromnym o 120 działach okręcie francuzkim *Orient*; w jednej chwili płomienie objęły ten kolos i blask był tak wielki, że wszystkie okręty obu flot jakby wśród dnia policzyć było można. O godzinie 10 *Orient* z przerażającym hukiem wyleciał w powietrze i z obu stron ogień ustał. Nelson kazał spuścić szalupy na wodę aby ratować ludzi którzy z płonącego okrętu rzucili się w morze, jakoż ocalił ich przeszło siedmdziesięciu, ale przeszło dziewięćset znalazło śmierć w tej katastrofie, w której przytem piętnaście milionów franków stało się pastwą morza. Walka ponowiła się i trwała do godziny 3 zrana, a z całej floty francuzkiej dwa tylko okręty i dwie fregaty uszły. Dziewięć okrętów linjowych zdobyli Anglicy, dwa inne, tudzież

dwie fregaty spalili i zwycięstwo pod Abukir jest jednym z najświetniejszych w rocznikach wojen morskich. Pozostałe cztery statki francuzkie uszły, bo wszystkie statki angielskie tak były uszkodzone, że ścigać za nimi nie mogły. Admirał angielski nie mógł także odżalować że nie miał choć kilka lekkich, płytko zanurzających się statków, boby z nimi udał się do portu Alexandryi i zniszczył wszystkie nieprzyjacielskie statki transportowe i prowiantowe, czego teraz z wielką korzyścią dla francuzów musiał zaniechać. Mimo-to strata tych ostatnich była niezmierna, bo z okrętami stracili 5225 ludzi a 3105 mieli rannych lub wziętych w niewolę; strata anglików w ogóle wynosiła 895 ludzi.

Radość nieprzyjaciół Francyi po tém świetnem zwycięstwie nie miała granic. Nelson został obsypany dowodami wdzięczności dworów interesowanych w téj sprawie, zacząwszy od sułtana który mu przysłał futro sobole z spinką djamentową wartości 150 tysięcy złotych i 2000 cekinów do rozdania między podwładnych mu marynarzy, aż do króla sardyńskiego, od którego otrzymał piękną tabakierę wysadzaną drogiemi kamieniami. Jeszcze hojniejszą okazała się naturalnie ojczyzna bohatera. Król wyniósł go do godności para z tytułem barona Nelson of Nil, a parlament dodał do tego roczną pensję 80000 złotych. Ale najoryginalniejszym był dar który Nelson otrzymał od kapitana Hallowes, którego waleczność nie mało przyłożyła się do zwycięstwa. Marynarz ten złapał część głównego masztu owego wysadzonego w powietrze okrętu *Orient* i z tego drzewa kazał zrobić trumnę którą przysłał admirałowi aby „skończywszy zawód swój na ziemi, mógł spocząć w pamiętce swego świetnego zwycięstwa.“ Nelson bardzo mile przyjął ten dar i kazał trumnę postawić w swojej kajucie, aby nawet na szczycie sławy, zawsze miał przed oczami przypomnienie: że jest śmiertelnym tylko człowiekiem. Towarzystwo wschodnio-indyjskie przysłało admirałowi w darze 400000 zł. a wszystkim marynarzom rozdało medal pamiątkowy bitwy pod Abukir; oficerowie wyżsi otrzymali złote, niżsi srebrne, a podoficerowie, żołnierze i majtkowie spiżowe medale: prócz tego z pieniędzy za zdobyte statki i ich ładunki, 100000 fst., to jest około 4 milionów złotych rozdzielono między tych dzielnych towarzyszy Nelsona.

Ale nigdzie radość nie była tak wielka jak w Neapolu, bo bitwa pod Abukir uwolniła dwór Obojga Sycylii od grożącego mu niebezpieczeństwa ze strony Francyi, która zdobywszy już górne Włochy, go-

towała się na podbój niższej ich części. Dla tego też kiedy Nelson dla poratowania zdrowia ciężko nadwreżonego i dla naprawienia mocno uszkodzonych statków swoich, w siedm dni po owéj pamiętnej bitwie przybył do zatoki neapolitańskiej, przyjęto go jak zbawcę z nieba zesłanego, jak półbożka.

Zrazu Nelson pomimo tych hołdów i uwielbień, nie był zadowolony z swego pobytu w Neapolu, bo widział niezmiernie wady rządu i skutkiem ich będący nieszczęśliwy stan kraju. Ale kiedy wdzięki lady Hamilton zajęły nie tylko jego serce ale i głowę, od-tąd zaczął jój tylko oczami patrzeć na wszystko i dał się jój powodować tak bezwarunkowo, że nie tylko już żadnych wad rządu neapolitańskiego nie widział, ale nawet stał się jego największym obrońcą i jemu tylko dwór neapolitański winien był szczęśliwą ucieczkę do Sycylii i bezpieczne schronienie na téj wyspie, kiedy zdobycie Wenecyi i Medjolanu przez francuzów i zwyciężkie ich posunięcie się przez Rzym ku granicy neapolitańskiej, zmusiły króla do opuszczenia stolicy. Zgubny wpływ lady Hamilton wciągnął bohatera angielskiego do niektórych czynów, które są skazami na świetnych kartach jego życia. Wydanie w ręce młodego następcy tronu neapolitańskiego, garnizonów zamków Uovo, i Nuovo, którym kapitulacya podpisana przez kardynała Ruffo zapewniała życie i zupełne bezpieczeństwo, hańbiący wyrok wydany i wykonany z rozkazu admirała na osobie sędziwego księcia Caraccioli, którego jedyną winą było że uległ przemocy francuzów i objął zarząd marynarki po ucieczce dworu z Neapolu, ale który potępiony został dla tego że lady Hamilton była jego śmiertelną nieprzyjaciółką,— są czynami które niedodają blasku imieniu admirała Nelson, a czas jego pobytu na wodach Neapolu, jest najciemniejszą kartą jego życia. Na szczęście perjod ten nie trwał długo. Mianowanie lorda Keith naczelnym dowódcą floty morza Środiemnego, obraziło bohatera z pod Abukir, który spodziewał się sam otrzymać to dowództwo, i poprosił o pozwolenie powrotu do Anglii, które też otrzymał. Przybywszy do ojczyzny, ciągle pod wpływem lady Hamilton, rozłączył się z swoją, żoną z którą trzynastcie lat szczęśliwie przeżył, a krok ten zniechęcił dla niego nawet wielu dawnych jego wielbicieli.

Wkrótce potem, to jest w początku r. 1801 Rosya, Szwecya i Dania zawarły przymierze w celu złamania potęgi Anglii na morzu. Potrzeba było nie dopuścić połączenia się flot tych trzech państw, które razem mogły być niebezpiecznemi dla floty angielskiej.

W tym celu pod dowództwem admirała Sir Hyde-Parker i mianowanego wice-admirałem błękitnej flagi lorda Nelson, wysłano na morze Wschodnie eskadrę złożoną z 16 okrętów linjowych i 35 małych statków. W dniu 30 marca eskadra ta stanęła w szyku bojowym, aby przez cieśninę Sund utorować sobie drogę do Kopenhagi. Twierdza nadbrzeżna Kronenburg strzelała do przepływającej eskadry, ale bezskutecznie i okręty angielskie zarzuciły kotwicę przy wyspie Hven. Tu admirałowie Hyde, Nelson i Graves dowiedzieli się jak olbrzymie przygotowania do obrony poczynili duńczycy, jak ogromną liczbę różnego rodzaju statków nagromadzili na przestrzeni półtorej mili pod Kopenhagą. Rada wojenna chwiała się w postanowieniu co do dalszego posunięcia się, ale Nelson radził stanowczo atak i prosił aby jemu powierzono dowództwo tego przedsięwzięcia. Naczelnym dowódcą zgodził się na to żądanie. Nelson wiedząc że nie znajdzie przewodnika na cieśninie bardzo niebezpiecznej, tem bardziej że duńczycy zniszczyli wszystkie dawniej istniejące latarnie, poświęcił całą dobę sondowaniu drogi, puściwszy się w tym celu w małej łodzi z kilku tylko marynarzami. Bez tego rozpoznania niebezpiecznej drogi, cała flota byłaby niezawodnie zniszczoną.

Zrana 1 kwietnia Nelson dał znak do rozwinięcia żagli i w parę godzin rzucono kotwicę przy piaszczystej ławie zwaną Mittelgrund, o dwadzieścia mil odległej od Kopenhagi. Tylko tak zwany kanał królewski rozdzielał anglików od fortyfikacyj duńskich. Trzeba było czekać pomyślnego wiatru aby wejść na kanał. Dnia 2 kwietnia o godzinie w pół do dziewiątej, eskadra podniosła kotwicę, ale zaraz w początku dwa okręty linjowe Russell i Bellone wpadły na mieliznę i nie mogły się wydobyć; inne dwa dostawszy się na niezmierną głębiny, gdzie niepodobna było rzucić kotwicy, nie mogły zająć wskazanego im miejsca, co popsuło w części plan bitwy ułożony przez admirała, ale on tem nie dał się zachwiać. W pięć minut po 10tej rozpoczęła się walka, a w godzinę potem cała flota osłonięta została gęstą chmurą dymu. Przeszło tysiąc dział grało ze strony duńskiej, Anglicy odpowiadali równym ogniem, czując że mają przed sobą godnego siebie przeciwnika. Naczelnym dowodzący admirał Hyde, patrząc dobrą lunetą ze stanowiska, gdzie pozostał z kilka statkami w rezerwie, widział że nie wszystkie statki eskadry tam stanęły gdzie z planu wypadało i gdy po trzech godzinach ogień nieprzyjacielski nie ustawał, osądził że położenie floty angielskiej musi być niekorzystne, a

nie mogąc przyjść jej w pomoc dla przeciwnego wiatru, o godzinie 1 popołudniu dał sygnał do odwrotu, bo uważał za powinność ocalić od zgubnej walki to, co jeszcze można będzie ocalić. W tej chwili właśnie Nelson przechadzając się wśród gorącej walki po pokładzie, wydawał nowe rozkazy, kiedy oficer pilnujący sygnałów oświadczył mu, że naczelnym admirałem wywiesił numer 39, to jest znak zaprzestania bitwy. Nasz bohater nic nie odpowiedział i przechadzał się dalej; wtedy oficer ów znowu stanął mu na drodze i powtórzył poprzednie doniesienie: „Już słyszałem” odpowiedział Nelson i znowu wydał jakiś rozkaz, a potem obróciwszy się do kapitana Foley, zapytał: jaki sygnał wywieszono na maszcie admirałskiego okrętu? „Numer 39ty” odpowiedział kapitan wzruszając ramionami. „Aha! krzyknął Nelson, tupnąwszy gwałtownie nogą; mam przestać walki, ale niech mię szatan zdławi jeżeli to uczynię!” to rzekłszy wziął lornetę, przyłożył do wystrzelonego oka i powiedział: „Nie widzę tego sygnału a zatem nie mam obowiązku być mu posłusznym, i dodał gwałtownie: „Zawiesić sygnał bojowy na wielkim maszcie, takim tylko sposobem mogę odpowiedzieć naczelnemu wodzowi na rozkaz odwrotu.” Walka zatem nie ustała i z obu stron straty były znaczne, ale daleko większe u duńczyków, gdzie w niektórych bateriach słały się stosy trupów i wkrótce zabrakło ludzi przy działach. Ogień ich zaczął słabnąć, a o godzinie 2 kilka ich okrętów spuściło flagę, poddając się, ale walka w ogóle nie ustawała jeszcze i Anglicy nie mogli nawet brać poddających się statków, bo gdy się do nich zbliżali, działa z brzegu strzelały do nich, nie bacząc na to że kule przechodziły przez ich własne rozbrojone statki, przez co wiele ludzi ginęło. Aby położyć koniec temu straszному przelewowi krwi, Nelson napisał do księcia następcy tronu duńskiego, dowodzącego ze strony duńskiej, list w którym oświadczył, że ma rozkaz oszczędzenia duńczyków jeżeli zaprzestaną walki, ale jeżeli baterie z brzegów nie przestaną strzelać, wysadzi w powietrze wszystkie zdobyte okręty z wszystkimi ludźmi. Rozpoczęły się negocjacje i zrazu zgodzono się na zawieszenie broni na 24 godzin, dla wymiany zdobytych statków i przewiezienia rannych duńczyków na brzeg. Ale kiedy pokazało się że duńczycy stracili 6000 ludzi i trzy czwarte swoich statków, następca tronu żądał przedłużenia zawieszenia broni na 14 tygodni i przez ten czas ułożono warunki pokoju; tak więc przez dzielność Nelsona przymierze mocarstw północnych rozerwane zostało pierwój

nim *de facto* przyszło do skutku, a siła morska Danji została zupełnie zniszczoną. Największym atoli skutkiem téj smutnej bitwy, było to, że Napoleon I, który zbierał ogromną flotę w Boulogne, niezawodnie w zamiarze wylądowania z znaczną armiją na brzegach Anglii, zaniechał tego planu i wkrótce potem zawarł pokój z Anglią i Hiszpaniją. Nelson został mianowany naczelnym dowódcą floty i otrzymał tytuł wice-hrabiego.

Nie było już nic do czynienia na morzu i Nelson osiadł w dobrach Merton które nabył w hrabstwie Surey, w towarzystwie sir Williama Hamilton i jego małżonki. Sir William umarł wkrótce a jego wdowa nie przestawała osładzać życia walecznego admirała. Wojna z Francją 1803 roku wyrzuciła Nelsona z łona domowych przyjemności, stanął on na czele floty, która przez 19ście miesięcy blokowała port Tulu. Gwałtowne wichry zmusiły nakoniec wielkiego admirała zarzucić kotwicę z całą flotą przy wyspach Magdaleńskich, na przeciw brzegu Sardynji, i wtedy flota francuzka wypłynęła z Tulu dla połączenia się z hiszpańską. Tu zaczęło się polowanie. Nelson nie mogąc zasięgnąć dokładnej wiadomości dokąd się floty nieprzyjacielskie udały, szukał ich przy brzegach Egiptu, Malty, Barcelony, Barbarji, Indji zachodnich, ale nadaremnie. Na wieść że francuzi chcą wylądować w Irlandji, popędził tamże lotem błyskawicy, ale i tu bezskutecznie. Nakoniec złączywszy się z eskadrą kanału zawinął do Portsmouth, a stamtąd udał się do swojej posiadłości Merton, aby po dwuletnim prawie uganianiu się po morzu, odpocząć nieco.

Tymczasem admirał Calder spotkał się z nieprzyjacielem w bliskości Finisterre i zabrał mu dwa statki, ale widząc przed sobą mocno przewyższające siły, zaniechał walki; korzystając z tego francuzi i hiszpanie wypoczęli i naprawili uszkodzone statki w Vigo, a następnie wygodnie stanęli w porcie Kadyxu. Nelson puścił się w tym kierunku, i chciał przez niespodziane ukazanie się z dzielnymi marynarzami, jednym zamachem zniszczyć połączone floty, do czego potrzeba tylko było wywabić je z portu, i dla tego skradał się tak ostrożnie żeby nieprzyjaciele nie prędko dowiedzieli się o jego obecności i całej sile jego floty. Nakoniec 21 października 1805 roku zrana, obie nieprzyjacielskie floty były już tylko o 12 mil morskich od siebie i Nelson kazał rozpuścić wszystkie żagle i dwiema linijami puścić się na nieprzyjaciela. Na dziesięć minut przed dwunastą w południe dopiero rozpoczął się ogień i niepodobna

opowiedzieć szczegółów téj strasznej walki, bo wśród okropnego dymu i przerażającego huków dział, często nie podobna było na sto kroków nic widzieć przed sobą. Nelson ani na chwilę nie schodził z pokładu, nie dał się nawet nakłonić do zdjęcia z piersi czterech gwiazd orderowych które był ozdobiony, a które mogły służyć za cel strzelcom tyrolskim rozstawionym na masztach okrętów francuzkich. Już okręt admirałski *Victory* zatopił kolosalny *Sanctissima Trinidad* i uderzył na *Redoubtable*, któremu takim samym losem zagroził, kiedy kula karabinowa z tego ostatniego, raniła Nelsona w lewy bok tak ciężko, że natychmiast padł jakby piorunem rażony. Dwaj majtkowie podnieśli go a kapitan Hardy przyskoczył aby go wesprzeć. „Dostałem odprawę, rzekł do niego Nelson, czuję że mam krzyż przestrzelony.” Zaniesiono go pod pokład, gdzie już pełno było rannych i umierających, i chirurg oświadczył że rana jest śmiertelna. W chwilę potem trzy razy zabrzmiało na pokładzie głośne hurra. Oczy umierającego zabłysły radością, bo każdy ten okrzyk był znakiem poddania się jednego okrętu nieprzyjacielskiego. W kilka minut przybył kapitan Hardy. „Jak stoi bitwa? zapytał Nelson. „Bardzo dobrze admirał, odpowiedział kapitan, dziesięć już okrętów nieprzyjacielskich spuściło flagę!” — „Dzięki Bogu! zawołał Nelson, ale ja liczyłem przynajmniej na dwadzieścia!” Hardy pośpieszył na pokład, a chirurg zapytał admirała czy bardzo cierpi? „Tak okropnie, odrzekł bohater, że wolałbym umrzeć, ale nie, nie, pragnę żyć póki zwycięztwo nie będzie zupełnem!” W kilka minut przybył znów Hardy donosząc że już 15 okrętów nieprzyjacielskich poddało się, a z angielskich jeszcze ani jeden nie spuścił flagi. „Dzięki Bogu! słabym głosem odpowiedział Nelson, spełniłem moją powinność.” To były ostatnie już jego słowa. O godzinie w pół do piątej, w trzy kwadransy po otrzymaniu śmiertelnego postrzału, największy bohater morski Anglii zamknął oczy na wieki. Ale i na okręcie *Redoubtable* ani jeden człowiek nie pozostał żywy; ten zatem, którego strzał śmierć zadał Nelsonowi, nie przeżył go. Chwila zgonu Nelsona była świadkiem zupełnego zwycięztwa Anglii i zniszczenia połączonych flot Francji i Hiszpanii, a ta pamiętna bitwa otrzymała w historii nazwę zwycięztwa pod Trafalgar, od przylądka, w bliskości którego stoczona została.

Zwłoki Nelsona d. 8 stycz. 1806 r. złożono w kościele Śgo Pawła w Londynie, a plac, na którym stoi pomnik, otrzymał nazwę „Trafalgar-Squarre.”

LOZANNA

(Z PAMIĘTNIKÓW WĘDROWCA).

Przybyliśmy nakoniec do Lozanny i zbliżyliśmy się znacznie do ostatecznego kresu naszej podróży! Nie możemy tu długo zatrzymać się, bo za parę godzin wezwie nas świstawka parostatku; musimy jednak choć przelotnie rzucić okiem na miasto, które już z tego samego znane jest w całej Europie, że w niem słyszyć można najwykwintniejszy język francuzki, jakim nawet w Paryżu nie wszyscy mówią.

Ale oprócz tego godnem jest widzenia to dawne „miasto tych pagórków” które jeżeli zbliżamy się doń od strony gościńca prowadzącego z Rue (dawnego Roda), przedstawia się prawie jakby ogromny zamek rycerski z blankami i niebotycznymi murami. Ci, którzy pierwsi osiedlili się tu czepiając swoje zagrody na spadzistości góry Jorat, gdzie się łączą rzeczki Flon i Lue, nie myśleli pewno, że kiedyś na trzech wzgórzach wznoszących się nad płaszczyzną doliny i w nizinach objętych temi wzgórzami, a raczej tworzących między niemi jakby rozpadliny, zgromadzi się takie mnóstwo domów i domków, że się w nich ludność siedmnaście tysięcy dość wygodnie pomieści. Ale im ciaśniejsze uliczki, im przykrzejsze spadzistości, im dziwniejsze grupy domów i groźniejsze mury bastionów, tem romantyczniejsza całość i bardziej uderzający odskok od uśmiechającej się okolicy, nad którą powabniejszej wyobrazić sobie nie można.

Środkowym punktem całej tej feodalnej smutności stanowi potężna katedra Lozanny, z którą pod względem ogromu i rozciągłości jak równie co do czystości i szlachetności stylu, żaden inny kościół w Szwajcaryi w porównanie iść nie może. Leży ona na najwyższym punkcie szczytu i panuje nad niem jakby była świeckim władcą nie zaś zakładem chrześcijańskiej miłości i pokory; ale też władcy tej katedry, zawsze biskupi Lozanny, którzy niegdyś mieszkali w pobliskim zamku (z którego dziś zrobiono ratusz kantonu) za nim reformacja zmusiła ich do przeniesienia się do Fryburga, nie grzeszyli bynajmniej pokorą i skromnością.

Prawie równie wysoko, na innym nieco skromniejszym szczycie góry stoi kościół Śgo Franciszka, widocznie starożytna ale wcale nie ozdobna budowa. Warto jednak zwiedzić ją bo w niej zasiadał ów

wielki sobor Bazylijski, kiedy członkowie jego w r. 1448, po ucieczce antypapieża Felixa Vgo i po usunięciu opieki cesarza Fryderyka IIIgo, nie czując się bezpiecznym i w Bazylei pośpieszyli za swoim papieżem! Lozanna jest miastem historycznym i każdy stary jego dom, pozorem przypominający rycerskie zamki, mógłby opowiedzieć wiele legend, powieści i wspomnień niezrozumiałych dla tegoczesnej za pieniędzmi tylko goniącej prozy. Tu umarł oprócz wspomnianego wyżej papieża, sławny Wilhelm Meuthener, założyciel klasztoru i szpitalu na górze Ś. Bernarda, i nieustraszony Hasman de Montfaucon co niedarmo sokoła gór imie nosił. Tu żyli niegdyś śmiały major Dawel co na rusztowaniu położył głowę za to że swoje rodzinne miasta z pod jarzma berneńskich patrycyuszów uwolnić usiłował, i sławny uczony La Harpe i historyk Gibbon, poeta-filozof Voltaire i Mickiewicz.

Ale czas ucieka, przebieżemy już stare miasto we wszystkich kierunkach, przystanęliśmy nawet w niejednej bocznej uliczce dla odcyfrowania jakiego napisu lub podziwiania zuchwałej architektury tego lub owego, nad przepaścią zawieszzonego domku. Obejrzelśmy i nowe miasto które wzniesione podług planu budowniczego Pihard, upiększa stary gród i do jego rozwicia się nie mało się przykłada. Nakoniec aby niepominąć żadnej osobliwości Lozanny, przeszliśmy po ogromnym drogociaгу od imienia budowniczego, nazwanym mostem Picharda, łączącym dwie dzielnice miasta, Śgo Franciszka i Śgo Wawrzeńca, które niegdyś stromemi tylko, wązkimi, jedynie dla mułów przystępnymi ścieżkami wiązały się z sobą.

Ale... dłużej zatrzymać się już nie możemy. Dalej więc na dół ku wiosce Ouchy, leżącej o pół godziny drogi nad jeziorem i stanowiącej port Lozanny! Dalej naprzód! wpośród winnic i ogrodów, żeby się nie spóźnić do statku, mającego nas powieźć do miasta, od którego jezioro Genewskie ma swoje nazwisko.

Dwa lata temu, odbyło się w Lozannie Zgromadzenie naukowe, zwane kongressem, a mające za przedmiot rzecz o podatkach. Dwa zebrania się ekonomiczne belgijskie (w 1847 i 1851 r. w Brukselli) zaczęły tylko tę kwestyę, którą jedynie zajął

się kongres podatkowy w Lozannie r. 1860 w lipcu. Miał tu udział i nasz rodak.

Kongres powstał z powodów konkursu o kwestjach finansowych, przez Radę Stanu kantonu *Vaud* ogłoszonego, a doprowadzony do skutku gorliwością p. *Pascal Duprat*, wychodźcy francuzkiego z r. 1852 i profesora ekonomji politycznej w akademji Lozańskieję. Na wezwanie komitetu zebrało się w Lozannie 100 osób, z których trzy części były z różnych kantonów Szwajcarji, a czwarta z innych krajów Europy, a mianowicie z Francji, Włoch, Hiszpanji, Polski, Rosji i Niemiec; zjawiały się i znakomitości już uznane i nowe talenta. Posiedzenie trwało dni cztery od 25 do 28 lipca.

Na pierwszém, *Pascal Duprat* zdał sprawę z czynności komitetu organizacyjnego, którego był duszą; powitał zgromadzonych, wspomniał szczególnie o deputacji hiszpańskiej, odznaczając się i liczbą i charakterem swoich członków; wyraził żal, iż wielu uczonych mężów angielskich i niemieckich, zatrzymał kongres Statystyczny jednocześnie odbywający się w Londynie, a włoskich powstrzymały okoliczności polityczne we Włoszech. Następnie oznajmił o nadesłanych do komitetu rozprawach w językach: francuzkim, niemieckim, angielskim i włoskim, które co do treści dzieli na trzy kategorie: 1) traktaty teoretyczne o podatku w ogólności (filozofia podatku); 2) specjalne o kwestjach szczegółowych, mianowicie o podatku z dochodu i z kapitału; 3) dokumenta prawodawcze rozmaitych krajów, mogące służyć do poparcia teorii doświadczeniem. W końcu *Pascal Duprat* skreślił pobieżnie stan obecny finansowości i wykazał istniejącą od początku społeczeństw nierówność i arbitralność podatku. Oto jego słowa:

„Oskarżając ministrów skarbu o zbytek pomysłowości co do sposobów wyciągania pieniędzy od ludów; zanadto im czyniono honoru: oni tylko ślepo naśladowali jedni drugich, posiłkując się zawsze arsenałem fiskalnym z czasów feudalnych i rzymskich, a nawet dawniejszych. Zresztą kongres w swoich naradach zachowa spokój właściwy nauce, trzymać się będzie ogólników ekonomicznych, nie tykając sfery polityki.”

Przystąpiono potem do urządzenia biura. Prezydencję honorową oddano p. *Meystre* (prezesowi Rady Stanu kantonu), rzeczywistą p. *de Miéville* (deputowanemu), wice-prezydentami mianowani cudzoziemcy: *E. Girardin* (z Francji), *Maria-Pastor* (z Hiszpanji), hr. *Fryderyk Skarbek* (z Polski) i marg. *Pepoli*

(z Włoch). na sekretarzy powołani: *Pascal Duprat*, *J. Garnier* i *Cérésolle*.

Zgromadzenie rozdzieliło się na dwie sekcje: 1-ą pod prezydencją hr. *Skarbka* z sekretarzem *Clamagerem*, do rozbioru kwestij teoretycznych; 2-ą pod prezydencją mgr. *Pepoli* z sekretarzem *Junot*, do kwestij szczegółów i zastosowania.

Program był następujący:

1. Teorja podatku czyli zasady jakich się powinna trzymać administracja finansów, ażeby być w zgodzie z nauką i słusnością, które stanowią podstawę ustaw społecznych.

2. Rozbiór krytyczny rozmaitych form podatków istniejących w budżetach państw europejskich. Wpływ tych podatków na bogactwo, moralność i dobrobyt ludów.

3. Przegląd reform finansowych dokonanych w ostatnich czasach i ich następstw. Jaką rolę w tych reformach grał podatek z kapitału albo z dochodu?

4. Czy rozliczne podatki wzięte z finansowej praktyki zeszłych wieków dadzą się sprowadzić do jednego typu, t. j. czy możebny podatek jedyny?

Jeśli możebny, czy jest pożądany?

Czy powinien być zaregulowany do kapitału, czy do dochodu?

Czy miałyby być stosunkowy czy postępowy?

5. O reformach cząstkowych jakieby można niezwłocznie zaprowadzić w podatku, zanim nastąpi reforma kompletna, radykalna.

Do pierwszej sekcji należały punkta 1 i 4, do drugiej 2 i 5, co do 3-go, ten został nietkniętym dla braku czasu, a mógłby właściwie znaleźć miejsce na pierwszej sesji zebrania ogólnego jako przegląd statystyczny. Sekcja pierwsza błąkała się w mglistych strefach metafizyki i do żadnych określonych nie doszła rezultatów. Przedewszystkiem należało jej zająć się *prawną zasadą* podatku. Tu wystąpili filozofowie utrzymujący zasadę *podatku moralizującego*, zasadę zgubną, gdyż opodatkowany występek staje się przywilejem zamożnych, rodzajem zbytku. Pojęcie tych filozofów wypływa z pojęcia teologicznego o grzechu pierworodnym: przyjmując *a priori* człowieka jako złego z natury, zamiast nauki finansowej, tworzy się cały system fiskalności karnéj. *J. Garnier* sprowadził kwestję ze sfery mistycznej do racjonalnej społecznej; dowodził, że podatek nie powinien mieć z moralnością nic wspólnego i proponował definicję podatku jako *składki bezpieczeństwa*, — definicję zmierzającą do najprostszéj i najmniej krępującéj formy rządu. Ale sekcja nie chciała

podobną formułą przesądzać innych decyzij kongresu i wdawać się w nieuniknione przytem roztrząsanie atrybucij rządowych, podatek usprawiedliwiających.

Stracono czas na jałowych rozprawach i żadnego rezultatu, żadnej propozycji co do zasady prawnej podatku sekcja nie wydała. A przecież byłoby rzeczą pożądaną, ażeby kongres wyrzekł: czy każdy obywatel kraju winien płacić podatek i z jakiego tytułu?

Zresztą o jednej kwestji sekcja głosowała: *czy podatek ma być jedyny, czy wieloraki?* Podzieliły się głosy i kwestja nierozstrzygnięta przeszła na ogólne zebranie kongresu.

Druga sekcja obradowała z większem powodzeniem i zbijając kamień po kamieniu, obalała całą budowę fiskalną przeszłości. Jój konkluzje prakty-

czne po większej części przyjęte zostały przez zgromadzenie.

Kwestja zasady prawnej, pominięta w sekcji, nie była też debatowana na zebraniu ogólnem: kongres milczkiem uznał podatek jako instytucję społeczną sprawiedliwą i konieczną, — i zajął się rozbiorem pytania: jaki jest najlepszy *system* podatkowy? pytania zawartego w 4-m punkcie programu. Kwestja stanęła między *mnogością* podatków praktykowaną od wieków i dotąd, a podatkiem *jedynym*, uważanym przez znakomitszych ekonomistów za ideał, do którego dążyć należy. Idea jedności podatku, na samym wstępie rodzi pytanie: na jakiej on ma się oprzeć podstawie? Dwie głównie wykazano podstawy: jedni przyjęli *kapitał*, inni *dochód*. (D. n.)

PODRÓŻ ZNAKOMITEGO NATURALISTY P. DE SAUSSURE

W RZECZYPOSPOLITEJ MEKSYKAŃSKIEJ.

Zeszedłszy z góry zwanój „Strzynią Perot’a,” zwiedziłem dawny wulkan Pizaror. Dziwna ta góra w kształcie głowy cukru, wznosi się wśród płaszczyny Perot’a jak wyspa wpośród morza, i zadziwia podróżnych regularnością i powabem swych kształtów. Gdy się zbliży, i zacznie wchodzić na tę stronę piramidy z lawy, doznaje się nad zwykłej i nieoczekiwanej niespodzianki na widok dziwnej roślinności, wyściełającej ziemię żuzłowatą. Ta blada zieloność, którą można wziąć z daleka za leśną, składa się z zadziwiającej liczby *Agawów*, z liśćmi ułożonemi w gwiazdę, mającą zaledwie 2 do 3 stóp obwodu, a kiści od 2 do 3 cali. Między tym rodzajem karczochów co przystrajają piaski białawe, wielka Juka rzuca niedostateczny cień na błękitnawe góry, i zastępuje drzewa w owym kraju, gdzie ten płód natury stał się rzadkiem zjawiskiem. Już zaczynała na mnie wywierać smutne wrażenie pustynia głucha i sucha, żadnem niemal żyjącem stworzeniem niezaludniona, gdy zagłębiając się w puszcę najeżoną kociami, oczy me zostały uderzone wielką liczbą dzięciołów, jedynych mieszkańców tych miejsc opustoszałych. Zawsze kiedy się znajdzie istoty żyjące podróżując wśród puszczy obumarłych doznaje się pewnej radości. Spostrzegłem zaraz że *Colaptes rubricatus* tak znaczny połyskiem czerwonym swych

skrzydeł, panował w tych miejscach; a choć i inne rodzaje zgromadzały się tu niekiedy, on miał wyższość nie tylko swym wzrostem, znacznie większym od innych, ale i liczbą okazów. Wszystkie te ptaki małe i duże nadzwyczajnie szybko latały; w całym lesie aloesowym panował szelest i szmer nienaturalny, oraz czynność niezwykła. Zresztą zgromadzenie tak znacznej ilości dzięciołów w jednym miejscu miało już coś w sobie niezwykłego niepojętego, albowiem natura przeznaczyła dla tych ptaków życie bardziej pustelnicze i rodzaj karmienia się taki, że im wzbrania pod karą głodu życia towarzyskiego. To też zamiast przestraszać tych mieszkańców skrzydlatych niespodzianym wystrzałem, położyłem się w cieniu nie zbyt gościnnym Juki, i jako ciekawy niedyskretnik, badałem, nie dając znaku życia, wszystko co się działo wpośród téj rzeczypospolitej skrzydlatej. Wkrótce przeniknąłem tajemnicę. Dzięcioły przylatywały i odlatywały, przyczepiały się chwilę do rośliny, i zaraz uciekały. Szczególniej przyczepiały się do kiści aloesowych, pracowały czas jakiś, kując silnie łodygę swym ostrym dziobem; potem odlatywały do Juków, na których powtarzały swe prace, i znowu wracały na aloes, by dalej kuć mogły. Zbliżyłem się do jednej agawy i spostrzegłem że cała jój łodyga podziurawioną zo-

stała w nierównych odległościach porobionemi otworami. Te dziury oczywiście były otworem do próżni wewnętrznej. Pośpiesznie uciąłem kiść, i otworzyłem ją, by zobaczyć wewnątrz. Jakżeż zdziwiłem się gdy znalazłem tam prawdziwy skład żywności!

Zmyślność, z jaką ten przemyślny ptak wybiera miejsca na swe składy i zręczność w układaniu ich, zasługują na opis. Po okwitnieniu, latorośl Agawy usycha, ale jeszcze długo stoi w tym miejscu, gdzie żyła; kiść zaś wygląda jak tyka prostopadle wetknięta; powierzchnia jej schnąc twardnieje, a środek niszczycielsko stopniowo, i zostawiając próżnię w środku każdej łodygi, robi z niej jakby rurę w całej długości. Tych wydrążeń używa dzięcioł na swoje składy.

Lecz i te zasoby są zadziwiające swym szczególnym wyborem, bo to ani owady, ani poczwarki lub inne przedmioty karmi lubionej przez dzięciołów, poszukiwanej w korach drzew; nie; należały one wszystkie wyłącznie do dziedziny roślin, jak żołądki i t. p. nagromadzone do tych spichrzów naturalnych na pokarm zimowy.

Wnętrze kanału środkowego kiści Agawy zaledwie pozwala zmieścić się żołądki; dla tego one mieszczą się tu jedna za drugą jak paciorki na sznurku, i po przelupaniu na pół kiści, znaleźć można cały szereg żołądki. Jednak w grubszych agawach, gdzie kanał bywa szerszym, porządek się przerywa i żołądki nagromadzone, nie tak równo leżą.

Ale jak się ku temu bierze dzięcioł, aby napęcznieć swój spichrz, który naturalnie musi być zamknięty ze wszech stron? W dokonaniu tego dzieła, instynkt ptasi najwięcej podziwu w nas obudza.

Dzięcioły dzióbem robią w najniższej części kiści otwór okrągły aż do środka. Napęniają tą dziurką część kanału, będącą poniżej otworu. Potem wyżej otwór wydzióbawszy, napęniają go jak przedtem; i tak ciągle w górę się posuwając dochodzą aż do cienkiej kiści, gdzie dla zbyt małego obwodu środkowej próżni, przestają już dzióbem kuć dziurki więcej.

Trzeba tu zauważać, że ponieważ ściany środkowe Agawy, nie są ani bardzo szerokie, ani gładkie, dzięcioł zaś musi popychać żołądki swym dzióbem, przeto otwory bardzo blisko jeden drugiego wyłabia.

Niektóre kiści nie dadzą się wydrążyć; to też dzięcioł używa innego wtedy sposobu. Kuje sobie na każdą żołądkę osobną dziurkę aż do środka łodygi i tam ją umieszcza. Bardzo wiele znajduje się takich łodyg pokrytych otworami, w których mieszczą się żołądki. Nader dużo trudów potrzebuje i wielkiej wymaga zmyślności urządzenie takiego rodzaju skła-

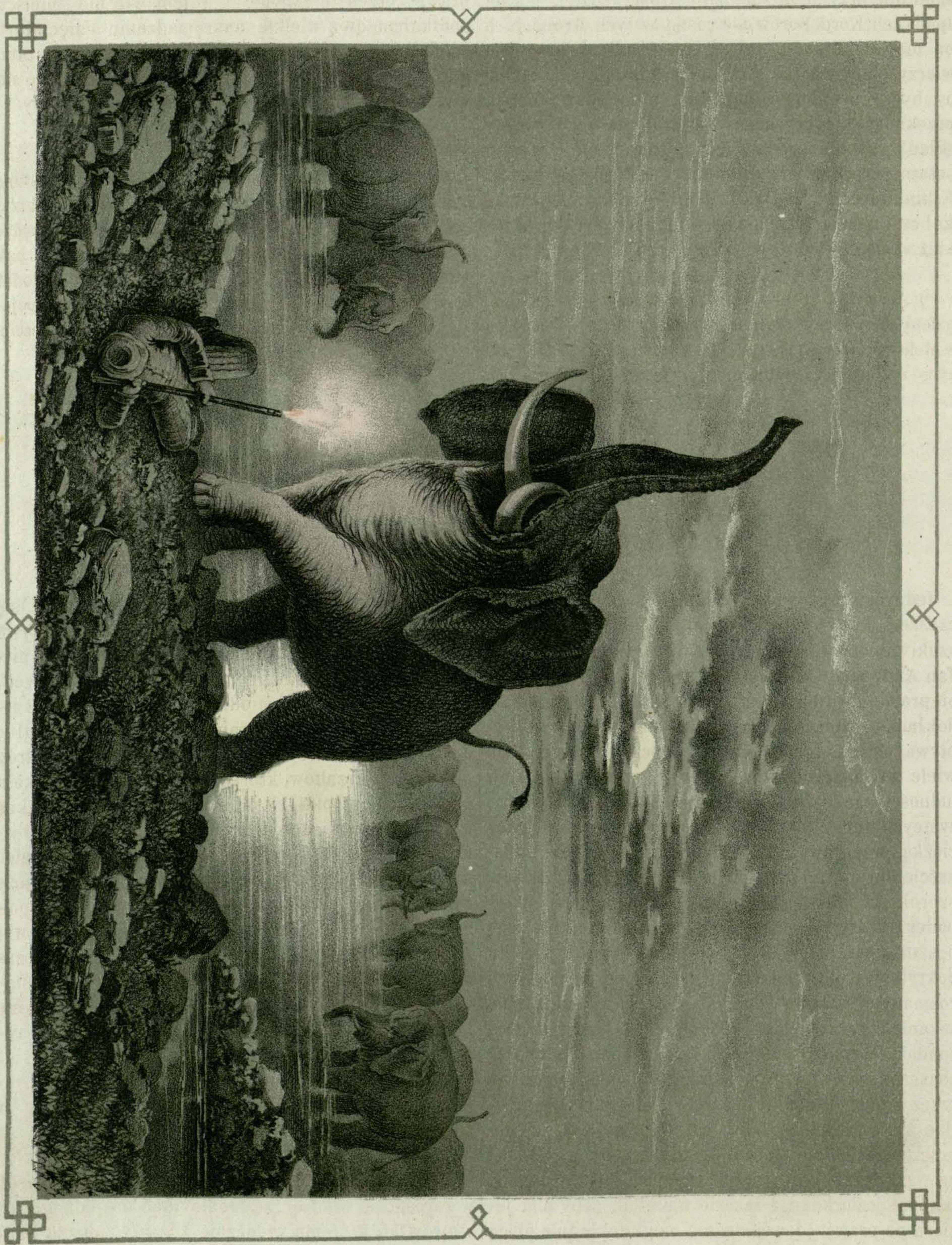
du; prawda że się potem łatwo zeń użytkuje, gdyż zamiast szukania pracowitszego jeszcze może w posród zimy, pod twardą korą drzew, owadów; znajduje się za każdym wścibieniem dziobu gotowy już pokarm

Obyczaje tego czerwoniastego „Coloptera”, chociaż znacznie różne od innych dzięciołów, wymagają jednak dzioba takiego samego jak one mają, albowiem powłoka kiści Agawy jest bardzo twarda, i tylko tak mocnym narzędziem daje się nacinać.

Napełnianie spichrzów jeszcze nie jest najbardziej zajmującą rzeczą; w życiu tych ptaków ciekawszym jest jeszcze to, z kąd one dostają żołądki? gdyż Pizarro leży wposród płaszczyzny piaszczystej, na której ani jeden dąb nie rośnie. Chyba więc aż z za Kordelierów, odległych o mil kilkanaście przynoszą! Wielkić-to zapewne zmysł, jakim obdarzyła natura te dzięcioły, aby ustrzedz od głodu tak łatwo mogącego się zdarzyć w kraju obumarłym, podczas sześćmiesięcznej zimy i gdzie od suszy, choć pod pięknym niebem, umierają rośliny, a z niemi owady, któremi się zwykle żywią dzięcioły. Więc bez owych składów musiał-by biedny ptak albo opuścić rodzinne miejsce, albo umierać z głodu!

Byliśmy już w kwietniu, to jest w piątym lub szóstym miesiącu pory umarłej; dzięcioły zajmowały się wtedy jeszcze wydobywaniem pożywienia. Z tego, com widział, wnoszę, że nie same gąsienice będące często w żołądkach, ale one same służą za pokarm. Sposób ich spożywania jest także godzien uwagi. Żołądkę gładką i zaokrągloną, nie łatwo może być ujęta przez dzięciołów. Przeto one robią małą dziurkę w kiści Agawy i umieszcwszy tam żołądkę cienkim końcem, powoli rozdziubują. Za korę odstającą od łodyg Juki uschłej także często składają żołądki. Warto zwrócić uwagę na tryb postępowania wyżej opisany. Dzięcioł meksykański z dalekich stron niesie pożywienie aż w to miejsce, gdzie żyje roślina zdolna je przechować. Nie kryje on swego pokarmu ani w dziuplach, ani w szczelinach skał; zmysł potężny wskazuje mu otwór wśrodku rośliny; dostaje się doń po ciężkiej pracy; napęcznieć wszystko porządnie, i umieszcza żołądki w warunkach najlepszych dla ich zachowania, bo tam ani wilgoć psuć nie może, ani ptaki owocożerne dostać nie zdołają, albowiem powłoka drzewna kiści za twarda na ich dzioby!

Nie wątpię że te fakta są godnymi uwagi, i polecam podróżnym sprawdzać je dla dopełnienia spostrzeżeniami swými. Warto by na pewno wiedzieć



zkąd one przynoszą żołądziej? Gdzie indziej, jak na spadkach Kordeliorów nie rosną w tych stronach, a od nich do Pizarro jest dziesięć mil: trudno jest wierzyć, aby aż tak daleko po nie latały. Trzeba by być przytomnym napełnianiu składów; potem przekonać się czy każdy dzięciół ma swój własny skład? czy nie kradnie jeden drugiemu? i czy ten ostatni wypadek nie wywołuje bitew między niemi? Kilka innych rodzajów Dzięciółów zamieszkuje w okolicy Pizarro, lecz nie wiem czy ich życie jest także samo. W jednej części góry, kiści Agaw ¹⁾ były

¹⁾ Agawy są rośliny trawiaste, olbrzymiej wielkości, należą do rodziny czyli rodziny Amerylisów. Pochodzą z Meksyku; teraz są zaaklimatyzowane w całej Ameryce i Europie południowej. Żyją wieki w ogrodach.

prawie przedziurawione, i w tém właśnie miejscu spotkałem owo wielkie nagromadzenie dzięciółów. Zapewne przepędzają porę suchą czyli zimę tam, gdzie mają swe składy, a z wiosną rozlatują się na wszystkie strony żyć owadami, jak inne dzięcioly.

A. M.

Zadziwiająco szybko rośnie kiść kwiatowa bo na stopę dziennie. Liście główne są długie i kolczaste, po brzegach zadarte, w nich włókna dają doskonałą przędzę zwaną jedwabiem roślinnym. Meksykianie urywają pęk w środku rośliny będący i zebrawszy sok płynny i słodki co z nich wycieka, robią przez fermentację napój upojający zwany *Pulque*. U nas błędnie Agawę zowią Aloesem.

(Przyp. A. M.)

NIEBEZPIECZNY WYPADEK ZE SŁONIEM.

(Z RYCINĄ KOŁOROWANĄ).

Jednym z najslawniejszych podróżników w naszych czasach, którzy poświęcają się niebezpiecznym poszukiwaniom w południowej Afryce, jest Anglik Karol Jan Anderson. Od przylądka Dobrej Nadziei, dotarł on prawie do 19 stopnia szerokości i jemu winniśmy dokładne rozpoznanie jeziora Ryami, z którego wypływa potężna rzeka Teoge. Prócz tego opisał on wiele zajmujących szczegółów z życia i obyczajów ludności zamieszkującej te gorące okolice, tudzież i żyjących tam zwierząt, z którymi miał nie jedną ciężką przeprawę. Między innymi bawił on kilkanaście dni u stóp góry Kolus położonej pod 21 stopnia szerokości południowej i tam zdarzył mu się przypadek, który mógł zakończyć nagle i smutnie jego poszukiwania. Góra Kolus od podnóża aż do szczytu pokryta jest gęstymi lasami, i niezmiernie mnóstwo rozmaitego rodzaju zwierząt ma tam wygodne mieszkanie i schronienie. Prócz tego ze szczytu góry spadają liczne strumienie, które w nizinach tworzą obszerne stawy i jeziora bagniste, odwiedzane co noc przez słonie, które tu licznymi gromadami towarzyskie życie prowadzą. Otoż raz, w lipcu 1853, już dobrze po zachodzie słońca, śmiały Anderson udał się na wązki grzbiet góry wznoszącej się między dwoma takimi jeziorami i tak się umieścił, żeby oba jeziora po prawej i lewej stronie mógł dokładnie objąć

spojrzeniem. Był sam zupełnie, ale zaopatrzył się w dwie dobre strzelby. Księżyc, jak to zwykle bywa w tych podzwrotnikowych okolicach, świecił tak niezmiernie jasno i pogodnie, że najdrobniejszy przedmiot nawet w znacznej odległości można było z łatwością rozpoznać, jego samego zaś nikt nie mógłby dostrzedz, bo leżał w wysokiej i gęstej trawie, wśród ciernistych krzaków, które tam bujno rosły. Dokoła panowała głęboka cisza, przzerwana po jakimś czasie dziwnym odgłosem, jaki zwykle sprawia ciężka artylerja postępująca po bruku. Śmiały strzelec nie mógł sobie wyjaśnić co ten odgłos znaczyć może i podniósł się w pół ciała z głębi zarośli, aby spojrzeć w stronę, w której się ów dziwny, nieco nawet nadzwyczajny odgłos odzywał. Przez niejaki czas nie widział, chociaż huczne te odgłosy coraz stawały się głośniejszemi, ale nagle wyszedł z gęstwiny lasu ogromnej wielkości słoń, a za nim szły inne różnego wzrostu, i było ich ośmnastu albo dwudziestu. Wspaniały to był widok, bo zwierzęta te przy jasnym blasku księżyca postępowały jak potężne wieże, a tak swobodnie i spokojnie, iż widocznem było że nie zwietryły jeszcze obecności nieprzyjaciela, człowieka. Anderson natychmiast skrył się napowrót w zarośle, a wiedząc że słonie idąc do jednego ze stawów ku któremu widocznie zdążały, muszą bar-

dzo blisko obok niego przechodzić, chwycił strzelbę aby przodem postępującego słonia, który od wszystkich znacznie był większy, skoro się dostatecznie zbliży, powitać kulą. Strzał taki z powodu nadzwyczajnej grubości skóry słonia, pospolicie bywa bezskutecznym, jeżeli kula nie trafi pod łopatkę, dla tego śmiały strzelec strzedz się musiał zawczesnego wystrzału, bo gdyby chybił, byłby nieomylnie zgubiony. Tak przeszło kilka chwil trwożnego oczekiwania, aż nareszcie pierwszy słoń przyszedł tak blisko, że jego potężna trąba prawie nad głową jego zawisała. W tej chwili Anderson przyłożył strzelbę do oka, ale w tej samej chwili spotkał się z wzrokiem słonia, który natychmiast zwrócił się ku niemu z podniesioną trąbą i szeroko rozwartą paszczą. Niebezpieczeństwo było straszne, nie było można myśleć ani o ucieczce ani o zabiciu słonia; gdyby Anderson pół sekundy dłużej pozostał w miejscu, potwórny kolos byłby go pochwyił potężną trąbą i rozbił jak skorupę orzecha! Ta myśl przebiegła w jego głowie jak błyskawica i w tej samej chwili rzucił się gwałtownie na wznak i

zarazem z zwinnością węża odsunął o parę kroków w bok. Cudem prawie, pomimo okropności położenia nie stracił przytomności i padając wystrzelił i krzyknął przeraźliwie aby olbrzymiego przeciwnika przestraszyć. Ta przytomność umysłu ocaliła mu życie; bo słoń zmieszany strzałem i krzykiem, w momencie zwrócił się w lewo, a siedmnaście kolosów pobiegło za nim w tym samym kierunku. Naturalnie w sekundę potem Anderson był już na nogach, a chociaż na deptany szeroką stopą jednego ze słoni, chociaż w nagłym upadku stłukł się nie pomału, niezważając jednak na to, zniknął z niebezpiecznego miejsca, aby po drugiej stronie wzgórza znowu się ukryć w gęstwinie. W pół godziny potem, słonie napoiwszy się w stawie, wróciły spokojnie do lasu, zapomniawszy zupełnie o swoim dwunożnym nieprzyjacielu. Teraz dopiero nasz strzelec mógł się za zupełnie bezpiecznego uważać, ale na zawsze zachował pamięć tej strasznej chwili, kiedy trąba okropnego zwierzęcia już się nad jego głową unosiła, aby ją zgruchotać w swoim uścisku.

RUINY MICENY, PALMIRY, BALBEKU I BABILONU.

Ruiny Miceny.

Rozwaliny Miceny, tego miasta, które według Homera, było niegdyś mieszkaniem króla królów greckich, dają się widzieć na pagórku, nazwanym przez krajowców *Mire*, z którego rozlega się widok na płaszczyznę *Argos*, w niewielkiej odległości od jaskini, którą ukazują podróżnemu, jakoby służyła przed wiekami, za schronienie dla lwa Nemeusza. Pagórek ten, u dołu swojego, był otoczony szerokim i wysokim murem kamiennym, którego szczątki dotąd istnieją; według historyka Pauzanasza, mur ten został wzniesiony przez Cyklopów.

Brama wchodowa, nazwana *Bramą Lwią*, dotąd stoi, chociaż większa jej połowa jest zawałona gruzami. Dolna część tej bramy jest daleko szersza, niż górna, która jest połączona kamieniem, mającym cztery metry, sześćdziesiąt sześć centymetrów szerokości, a dwa do trzech metrów wysokości. Po obu stronach tego kamienia, wyciosane były dwa lwy, których głowy już są zupełnie zniszczone. Brama ta znajduje się na przeciw miasta Koryntu. Koryntarz, na w pół podziemny, prowadzący do wnętrza gma-

chu tego, który jest prawie całkiem zniszczony, będący niegdyś, jak niektórzy monografisci utrzymują, świątynią; według zaś innych, grobem Agamemnona; ma on dwadzieścia metrów, sześćdziesiąt sześć centymetrów obwodu, i tyleż wysokości.

Na prawo, znajdują się drzwi w wielkiej alkowie, czyli framudze, które prowadzą do obszerniej komnaty, mającej dwa metry, sześćdziesiąt sześć centymetrów obwodu, i wyciosanej z kamienia. Jej wysokość wynosi od ośmiu metrów, trzydziestu dwóch centymetrów, do dziesięciu metrów. Wewnątrz tej komnaty, na ścianie, na podłodze, i na suficie, są powbijane ogromne ćwieki brązowe, których mimo wszelkich usiłowań, niepodobna wydobyć.

Według pewnego ustępu z historyi Pauzanasza, w którym to on utrzymuje, że pomiędzy ruinami Miceny znajdują się lochy podziemne, gdzie Atreusz, i dzieci jego przechowywali swe skarby, można wnioskować, że ten gmach nie jest niczem innem chyba tylko grobem Agamemnona; na jego opoce płyną wody przezroczyście źródła, z którego (według tegoż pisarza), Perseusz wysączył wody, wrywając dziki grzyb, nazwany po grecku *Myces*; prawdopodobnie

miasto Miceny, winno swoje miano téj bajce, zmieniając słowo greckie *myces* na *Myceno*, a po polsku Miceny.

Ruiny Palmiry.

Grecya i Egipt posiadają najwięcej pięknych ruin, resztek żyjących starożytnéj architektury, która zachwyca oko widza pięknnością kształtów; których znowu majestatyczność zadziwia rozum ludzki. Znaleźlibyśmy podwójną korzyść, opisując te piękności starożytne, które są żywą historią postępu, cywilizacyi i sztuk pięknych, uprawianych w starożytności, ale oba te kraje, tylekroć razy były zwiedzane i opisywane, że sądzimy lepiej zamilczéć o nich, a zapoznać czytelników naszych z innemi ruinami, mniej znanemi, lecz niemniej ważnemi do poznania.

Miasto Palmira, które wielu pisarzy mianuje być *Tadmorem w pustyni*, wzniesionym przez Salomona, niegdyś zamożne i potężne miasto, dziś jest zebraniem porozrzucanych tu i owdzie olbrzymich kamieni, odłamów murów, cegieł połamanych, i rozmaitych głazów, w miejsce pałaców, świątyń, grobów i innych gmachów, które architektura grecka tak cudnie niegdyś ozdobiła.

Pomiędzy ruinami, które zajmują przestrzeń kilko-kilometrową, godne są uwagi ruiny świątyni, poświęconéj słońcu; zewnętrzna jéj część była zbudowana z szerokich kwadratowych kamieni, i ozdobiona wielką liczbą gzymsów.

Wchodząc na ganek, widzimy dwa rzędy kolumn z najpiękniejszego marmuru, od jedenastu do dwunastu metrów wysokości; na wierzchu zaś, są rozmaite figury. Jeszcze pozostało pięćdziesiąt dziewięć z tych kolumn, ale było ich daleko więcej bo otaczały cały gmach, gdy tymczasem pozostałe, zajmują miejsce tylko przy drzwiach wchodowych. Cała świątynia miała długości od północy do południa trzydzieści trzy metry i dwadzieścia trzy centymetrów, a szerokości od wschodu do zachodu od jedenastu do czternastu metrów. Wchód był przepyszny; drzwi ozdobione najpiękniejszymi rzeźbami. Nad drzwiami znajdują się dwa skrzydła olbrzymich rozmiarów, reszta korpusu, z którym one tworzyły całość, jest zniszczona.

Od północy znajduje się kopuła, mająca trzy metry, trzydzieści trzy centymetrów obwodu, a dziewięć metrów, sześćdziesiąt centymetrów wysokości, i była wyciosana z jednego kamienia. Koło téj ko-

puły, wznosi się obelisk, złożony z siedmiu kamieni, nie licząc dolnego i górnego. Niektórzy pisarze utrzymują, że na nim stał jakiś posąg, ale podczas szalonej wojny Ikonoklastów, został zburzony. O sto kroków od obeliska, znajduje się portyk, bardzo misternéj roboty, który, przez korytarz, mający trzynaście metrów i trzydzieści trzy centymetrów, prowadzi do ruin pałacu królewskiego. Korytarz ten był utworzony przez dwa rzędy kolumn, których było pięćset sześćdziesiąt, obliczając odległość pozostałych.

Prócz ruin, dopiéro co opisanych, znajduje się ich jeszcze bardzo wiele; noszą one cechę stylu egipskiego, połączonego z greckim. Są to, po większej części samotnie stojące, lub piaskiem zasypane kolumny, szczątki świątyń, obelisków, pałaców i grobów, które są rozrzucone na przestrzeni dwukilometrowéj i otoczone ogromnie wysokim murem, który tylko w kilku miejscach stoi. Wszystkie prawie groby są kwadratowe, o trzech, a nawet pięciu piętach.

Ruiny Balbeku.

Ruiny pałacu w Balbeku, albo wieży Labanon, która jak podanie niesie, była zbudowana przez Salomona, są najpiękniejszymi rozwalinami Azyatyckimi. Pałac ten, wznosi się o pięćdziesiąt staj od Damaszku, w stronie północnéj na szczycie góry, oblanéj ze wszech stron wodą. Najprzód dwie wieże uderzają oko nasze wysokością swoją, i zdają się zakrywać portyk, służący do wejścia wewnątrz. Część jego północno-zachodnia, składa się z siedmiu kamieni; każdy z nich ma trzydzieści trzy metry, sześćdziesiąt sześć centymetrów długości, a dziewięć metrów, trzydzieści trzy centymetrów szerokości, to jest wysokości.

Ósmego kamienia, który z miejsca pozostałego, widać, że musiał się znajdować, i który kończył tę część portyka, wcale niéma; insze zaś są tak połączone, a co więcej dziwna, bez wapna, że formują jeden olbrzymi głaz. Przez ten wielki portyk, wchodzi się do ciemnéj sieni, mającéj dwadzieścia kroków szerokości i długości; wychodząc z niéj, spostrzegamy drzwi od podwórza, prowadzące do wnętrza pałacu; po ich obu stronach, znajdują się wschody, przez które schodzi się do lochów podziemnych, służących niegdyś za więzienia. Lochy te są nadzwyczaj niebezpieczne, albowiem są miejscem schronienia zbrojców i złodziei, którzy obdzierają i zabijają nieroz-

ważnych podróży, zwiedzających miejsca te, bez dostatecznej eskorty wojskowej.

O pięćdziesiąt kroków, wchodzi się do dziedzińca ogromnych rozmiarów, okrągłego, i otoczonego kolumnami, z jednej sztuki granitu wyrobionymi; mają one u dołu trzy metry, trzydzieści trzy centymetrów obwodu. Te kolumny granitowe, stylu jońskiego wznoszą się na podstawach marmurowych; na nich zaś, znajdowała się terassa, czyli balkon, którego przednia część była ozdobiona figurkami bardzo pięknej roboty. Większa część tej kolumny jest zniszczona. Sam pałac wznosi się na sto sześćdziesiąt sześć metrów, sześćdziesiąt sześć centymetrów nad ziemią; jego długość wynosi sto trzydzieści trzy metry, trzydzieści trzy centymetrów a szerokość sześćdziesiąt sześć metrów, sześćdziesiąt sześć centymetrów.

Na części zewnętrznej tego pałacu, ze strony zachodu, wznoszą się dwie wysokie wieże, podobne do dwóch drugich, będących ze strony wschodniej pałacu. Wszystkie razem, są połączone ogromnie szerokim murem kamiennym.

Obok tego pałacu, stoi świątynia, która, według miejscowego podania, była audjencyonalną salą Salomona. Wysokość jej wynosi od dziewięćdziesięciu metrów, trzydziestu trzech centymetrów do stu metrów, i cała była ozdobiona płasko-rzeźbami, ale wszystkie figury ludzkie, zostały zatarte przez Machometan.

Pomiędzy pozostałymi postaciami zwierząt, najpiękniejszym jest orzeł, otoczony girlandą laurową. Na prawo znajdują się drzwi, po obu ich stronach, stoi po dwie kolumny wydrążonych, w których są wschody kręcone. Niedaleko tego gmachu, jest długa świątynia, której portyk jest nadzwyczaj pięknej roboty.

Ruiny Babilonu.

Ruiny Babilonu, mało znaczące swą pięknnością, stają się niemi jedynie przez starożytność.

P. Rich, prezydent kompanij Angielskiej w Indjach, i P. Maurice, autor: sławnego dzieła: „*O starożytnościach indyjskich*” zwiedzając te krainy, najdokładniej je opisali. Wyjątek z tego dzieła tu przytaczamy:

„Babilon wznosił się na obszernej płaszczyźnie, po obu brzegach Eufratu. Most kamienny, wzmo-

„niony sztabami żelaznemi, które spajały jedne kamienie z drugimi, łączył obie części miasta. Według Herodota, miasto było zabudowane w kwadrat, i miało obwodu od 480 do 500 staj; domy były o trzech, czterech lub pięciu piętrach, ulice proste i szerokie, i nadzwyczaj długie, a rów niezmiernie głęboki, otaczał całe miasto; z ziemi, którą zeń wyrzucali, kopiąc, robiono cegły zdatne do murowania domów. Miasto było podzielone na dwanaście części; w każdej z nich, oprócz innych świątyń, była świątynia poświęcona bożkowi *Belus*; z jednej z nich, która znajdowała się w samym środku miasta, wychodziła wieża, wynosząca sto sześćdziesiąt sześć metrów, trzydzieści trzy centymetrów wysokości; obok niej było siedm pomniejszych wież. Diodor dodaje, że na najwyższej z nich, był posąg Belusa.

„Z drugiej strony miasta, wznosił się pałac królewski, otoczony potrójnym murem. Nie będziemy już więcej rozciągali się nad opisami Herodota (mówi P. Rich), nie będziemy wspominali ani o ogrodach wiszących, ani o murach bajecznej wysokości, bo nie już nie pozostało z tych cudów, ręką ludzką wyrobionych. Niezmierzoną okiem równinę, zalegają kawałki cegieł połamanych, i rozmaite gruzy, które wznoszą się do dość znacznej wysokości, lecz trudno jest odgadnąć do jakich robót te cegły były używane, bo mury, po większej części, były kamiennie. Parę razy, znaleziono pomiędzy gruzami, jakieś urny marmurowe, alabastrowe lub metalowe, których kolory wybornie się przechowały.

„Na południo-wschodniej części, rozlegają się one z kilku ścian, pomiędzy którymi, znajdują się ślady dawnego bogactwa i zamożności Babilończyków...”

O parę staj od tego pałacu, idąc ku północy, spotykamy drugi stos ruin, w których *Piotr-della-Valle* z majorem *Rennel*, wynaleźli wieżę *Belusa*, nazwaną przez miejscowych *mukelibe*, a przez Arabów *muze-libe*. Te ruiny zajmują przestrzeń kwadratową, mającą dwieście metrów szerokości i długości. Część najwyżej wzniesiona, ma 47 metrów wysokości, a część zachodnia, najniższa, daje ślady jakiegoś budynku. Z przeciwniej strony rzeki, wznosi się trzeci stos gruzów, nazwany przez krajowców *Nizn-roud*, a przez żydów tamecznych, więzieniem *Nabuchodnozora*.



WYŚCIGI WIEŚNIAKÓW.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Bretańja, zachodnio-północna prowincja Francyi, z trzech stron granicząca z morzem i wydająca się jakby wielka wyspa gór, skutkiem tego odgraniczenia i odosobnienia, zachowała aż do naszych dni szczególny, właściwy sobie charakter i dotąd jeszcze znajdujemy ten sam lud, z tym samym ubiorem i obyczajami, co przed stu lub dwustu laty.

Do tych właściwych Bretonom zwyczajów, należą przede wszystkim wyścigi, które wieśniacy tamtejsi corocznie o pewnej porze wyprawiają.

W całej Bretańji, a szczególnie w górzystej jej części, wieśniacy mają niezwykle zamiłowanie w koniach i nie ma tam najbiedniejszej nawet rodziny, żeby nie miała choć jednego stępaka; bogatsze utrzymują po trzy, cztery a nawet i po sześć koni. Do tego wiele przykładu się może ta okoliczność, że w Bretańji wyżywienie konia daleko mniej kosztuje niż u nas, a rasa tamtejszych koni tak jest wytrzymałą i mało wymagającą, że bretański koń nie traci na sile i powierchowności, choćby przez cały rok nieskoztował ziarnka owsa. Świeża łąka na wzgórzach, daje im wyborne pożywienie i tylko w najostatniejszej porze zimy, potrzeba nieco poprzeć się sianem. Równie nie wybrednemi są bretańskie konie pod względem stajni, bo większą część lata i jesieni przepędzają dniem i nocą pod gołym niebem i dopiero przy bardzo ostrój zimie potrzebują ochrony pod jakim bądź, choćby najbiedniejszym, dachem. Obok tego atoli są one niezmiernie przywiązane do swoich panów, którzy też nie obchodzą się z nimi jak z bezrozumnymi zwierzętami, ale raczej jak z członkami swojej rodziny; w czasach niedostatku dzielą się z nimi ostatnim kęsem i prędjby sami głód cierpieli, niżby zostawili bez pożywienia swoich czworonożnych towarzyszy.

W takich okolicznościach łatwo domyślić się że bretańczycy wszyscy bez wyjątku są doskonałymi jeźdźcami i lubią się ze swoją zręcznością w tym względzie popisać. Dla tego zwyczaj wyprawiania wyścigów, powstał tu w czasach przedśredniowiecznych i stara kronika opowiada, że w szóstym wieku po

Nar. Jez. Chrystusa, kiedy Bretańja podzieloną jeszcze była na małe monarchje, jeden król bretoński, nie wiedząc komu z licznych zalotników córka jego, piękna Leonora, ma dać pierwszeństwo, zwołał wielkie wyścigi i za nagrodę temu, kto wszystkich przegoni, jej rękę przeznaczył. I później pod władzę książąt bretońskich, corocznie bywały wyścigi konne, ale nagrodą nie była już ręka szlachećnej dziewczycy, tylko złote łańcuchy i gronostajowe płaszcze. Dzisiaj już i te łańcuchy i płaszcze znikły i zwycięzca poprzestawać musi na wieńcu z wawrzynu, którym mu zdobiją skronie i kawałku wstążki wplatanej we włosy na czole jego wierzchowca. Ale cóż to znaczy? Główną nagrodą jest przyjazny uśmiech ładnych dziewcząt i okłask tłumu przypatrującego się gonitwom, i przekonanie wewnętrzne o swojej wyższości nad współzawodnikami. Równie prostem jak wieniec zwycięzcy jest przygotowanie do wyścigów, bo zwykle wybierają do tego jedną z obszernych równin w które Bretańja tak jest obfitą, nie usuwając nawet żadnej z licznych naturalnych przeszkód, które gonitwę niebezpieczną czynią. Przeciwnie im bardziej równina poprzecinana jest trzęsawiskami i bagnami w których koń do piersi grzęźnie, im więcej skał, rozdołów i przepaści znajduje się na drodze jeźdźcy, tem chlubniej jest po przewyciężeniu tych wszystkich trudności, pierwszym być u celu. Wprawdzie ze zwyczajnym koniem takie wyścigi byłyby niepodobnemi, ale koń bretański z swoją krótką, zwężłą postacią, silnemi i smukłemi członkami, żywym temperamentem i rozumnym instynktem, zdaje się być do podobnych gonitw stworzonym i niezmiernie rzadkiem jest zdarzeniem, żeby który z nich upadł. Przytem Bretończycy liczą się do najśmielszych jeźdźców w świecie, których żadne przeszkody nie odstrasza.

Liczba biorących udział w takich wyścigach, nie jest nigdy ściśle oznaczoną; dziś może ich być dziesięciu, na następny raz zbiera się dwudziestu albo trzydziestu. Nie ma także przepisu kto w tych wyścigach może występować, owszem każdemu biedz wolno kto sądzi że ze swoim wierzchowcem spodziewać

się może zwycięstwa i tylko potrzebuje swe imię zapisać poprzednio u zwierzchności miejscowej. Niekiedy zbiera się kilka gmin dla odbycia wspólnych gonitw i wtedy naturalnie odbywa się to z niemałą uroczystością, a każda wieś sili się żeby przewyższyć drugą doborem swoich koni. Z tego samego powodu, ten kto na takich wspólnych wyścigach odniesie zwycięstwo, nadzwyczajnie bywa wynagrodzony i uczczony, a nie tylko wszyscy jego towarzysze, ale i wszyscy mieszkańcy wsi z której pochodzi, składają mu powinszowania, a nadto często się trafia że jaki włóczący się uliczny śpiewak, układa pochwalną pieśń, która wkrótce potem brzmi w ustach wszystkich dziewcząt okolicy. W takim razie sława zwycięzcy staje się nieśmiertelną i jego wnuki i pra-

wnuki rozpowiadać będą o nim jako o najdzielniejszym jeźdźcu. Ale i zwycięzcy w małych pojedynczych wyścigach dumni są ze swego powodzenia i wieniec który otrzymali, zachowują jako świętą relikwię, zawieszając go jakby najkosztowniejsze malowidło, na najszczytniejszem miejscu w mieszkaniu, to jest między muszkietem, na którym w żadnym domu nie zbywa i obrazem Pana Jezusa lub Najświętszej Panny, które także znajdują się w każdym bez wyjątku domu.

Wiele jest poezji w corocznych wyścigach Bretańskich, a chociaż wszystko odbywa się tam z wielką prostotą, każde jednak wyścigi są prawdziwą uroczystością ludową.

W.

ZGIERZ I ŁAGIEWNIKI.

„A czy znasz ty orle młody!
Twoje ziemie, twoje wody?“

W. P.

Przyzwyczajonemu do równin Gostyńskiego, miłe czyni wrażenie wzgórzyste położenie tutejsze, lasy mieszane liściastych i iglastych drzew, pola dobrym okryte zbożem, co każe domyślać się starannę uprawę ziemi. Wsi większych przy trakcie prawie nie masz. Leśmierz z murowanemi zabudowaniami, czerwonymi dachami; jeszcze jakaś wioseczka, a reszta koloniji porozrzucanych, tam wśród łąki, owdzie na wzgórzu, charakterystyczne prosto ściętymi szczytami budynków. Na tę modłę, budowane są wszystkie domy kolonistów niemieckich. To też chociaż i urodzaje dobre, i lasów sporo, choć jakiś pozór jeśli nie kwitnącego stanu, to przynajmniej dobrobytu, ruch na szosie transportu bawełny i węgla, pomimo tego wszystkiego smutno tu jakoś i duszno. Zdaleka widać Zgierz co rozsiadł się szeroko i długo na pochyłości góry, ów Zgierz, jedno z fabrycznych liczących w miast Łęczyckim powiecie. Przyznajemy, żeśmy spodziewali się innego pozoru *fabrycznego* miasta. Zdawało nam się że musimy zobaczyć tutaj las kominów buchających kłębam dymu, błyszczących iskier chorągwiemi, coś fantastycznego, miasto ożywione mijającemi się w szerokich ulicach ładownemi furmańskimi brykami, tragarzami barczystymi, jednym słowem, pełne ruchu, gwaru i życia. Tymcza-

sem nic z tego wszystkiego tu nie masz. Zamiast wielu, kilka kominów, a i z tych niektóre z zastyglęmi na zawsze ogniskami. Na ulicach prawie pusto, gdzie nigdzie spotkać można tkaczy odnoszących swoją robotę, czasem bryczka lub wózek zadudni po niewygodnym bruku, wiatr przyniesie szelest tkackich warsztatów lub dźwięk kowalskiego młota, i cicho jak jak w Ryczywole lub Osmolinie. Ulica Długa łącząca dwa rynki na dwóch przeciwległych końcach miasta, dzieli je na 2 niemal równe połowy, czy części. Domy przy niej prawie wszystkie murowane, piętrowe, nie mają pretensyi do odznaczenia się, są sobie zwyczajne, jak wszystkie inne, stoją przyzwoicie wedle sznuru, nie wybiegając naprzód; a wyższe z pomiędzy nich, obszerniejsze, widocznie budowane z rachunkiem na przyszłość, która zawiodła, zdają się wstydzic tej swojej wyższości, i zrzucają z siebie po trochu jasną sukienkę wapna lub farby. Inne negliżują się aż do cegieł, jakby chciały dać żywy dowód braciom domom, że z tej samej budowane gliny, że choć los-figlarz ręką mularza wyniósł je wyżej, one z własnej woli, przyznają się do pokrewieństwa, z mniej pozornemi domkami. Mądre to są kamienice!

Przy głównym, formującym kwadrat, czyli starym rynku, zbudowany kościół katolicki, trochę, jak nam się zdawało, za mały, stosunkowo do rozległości miasta. Ratusz zajmuje jeden bok owego kwadratu, i jak przystało jego powadze, odsunął zbliżające się

zbyt poufałe domki i kamienice, sam się rozparł z pewnym rodzajem buffonady, zapomniał że powstał miasta staraniem. Piętrowe kamienice formują trzy ściany owego czworoboku, stoją jak parawan, za którym różne różności się mieszczą, mogące razić wzrok nowo-przybyłego podróżnego, nie pragnącego wglądać w zakulisowe tajemnice, któremu pozór wystarcza. I rzeczywiście. Gdyby nie dwie nieprzyzwoicie wywrócone skrzynie w samym rynku, służące niegdyś pompom za pokrycie, gdyby nie jatki gwałtem proszące ratunku, gdyby nie przymuszona skromność niektórych kamienic, miasto Zgierz, niegdyś Zegrz, uznałibyśmy za *kompletnie porządne* ¹⁾. W innych bocznych ulicach, lecz również jak Długa, szerokich, więcej parkanów, ogrodów, mniej domów piętrowych: w wielkich budynkach również za efektem nie goniących, mieszczą się przędzalnie wełny i jedna bawełny. Dość obszerny ogród spacerowy angielski, pare cukierni, bawaryi, są miejscami odpoczynku. Za miastem strzelnica, kręgielnia z karuzelami, hustawkami, piwem, jednym słowem: czego dusza zażąda, Paradies cały ²⁾, służy dla pewnej części uprzywilejowanych mieszkańców. Tutaj przepija się i przegrywa w kręgle znaczna część tygodniowego zarobku. A ma się kto bawić, bo, wedle urzędowego wykazu z 1861 r. z którego czerpiemy dane, znajduje się:

Drobnych fabryk wyrobów wełnianych 94, zatrudniających 1065 osób, w nich mieści się 140 ręcznych przędzalni, warsztatów tkackich 320. Koni w 37 manęczach roboczych 80. Sukna cienkiego wyrobiły mniejsze fabryki 1100 arszynów, średniego 6400, grubego 30,000, flaneli 1200, baji 600, kortu 71,000 arszynów, 120 chustek z sukienka damskiego. A na to użyto szerokiego materiału t. j. wełny, 8000 pudów, co po przerobieniu przedstawiało wartość 270,000 r. s. maszyny zaś, na których te przedmioty wyrobiono, warte są 43,000 r. s.

Większych fabryk wełnianych wyrobów jest ośm, z których najznaczniejsze są: Zacherta, Długoszewskiego, Kunzego i pare innych. Te posiadają wrzcionek do 7000, warsztatów tkackich 65, maszyn parowych 50, o zbiorowej sile 67 koni. Wyrobiły sukna cienkiego 22,000 arszynów, średniego 11,000, grubego 2000 arszynów, kortu przeszło 66,000. Przędzy

wełnianną 176,000 funtów, czego ogólna wartość była 383 tysiące rubli sr. ³⁾, i dawały zajęcie do 600 ludziom.

Fabryka bawełnianną przędzy największa, poruszana parową maszyną o sile 12tu koni. *Mniejszych* jest 22, w nich 50 warsztatów tkackich ⁴⁾, tasiemkowych 6. Zacherta fabryka, którą oglądaliśmy, i po której nas uprzejmie oprowadzano, wyprodukowała 200,000 funtów przędzy do tkanin, a tkacze zrobili: rypsu 400 arszynów, chinganu czyli baiciku 180,000 arsz. ⁵⁾, tkaniny kolorowej na poszwy do pościeli 80,000 ⁶⁾ arszynów i 500 sztuk tasiemek, za ogólną wartość 146,000 r. s., z których na przędzalnię Zacherta przypada 115,000 reszta na 22 drobniejsze fabryki. We wszystkich tych fabrykach ludności stale pracującej 326. Jeżeli teraz przypomnimy sobie że:

W rękodzielniach wełnianych pracuje ludzi przeszło 1600, w rękodzielniach bawełnianych 426 różnych rzemieślników, jako to krawców, szewców, stolarzy (546), foluszników, farbierzy, i innych dających zatrudnienie 2500 ludziom, będziemy mieli przeszło 5000 ludności najmniej, pracującej nad warsztatem dzień cały, i ztąd brak ruchu na ulicy w dnie powszednie. A że ta pięcio-tysięczna ludność ma ograniczone potrzeby, to też i sklepów wystawnych, wielkimi oszklonych szybami, błyszczących złoconemi szyldami, niemasz tutaj, choć nie brak dobrze zaopatrzonych. Jest tu nawet filja domu Włocławskich rolników. Nie widziałem w samem mieście przy główniejszych ulicach, hałaśliwych szynków *trunków krajowych i zagranicznych*, ani słyszałem wrzasku katarynek, co nie źle uprzedza.

Zgierz nie należy do rzędu małych miast, ma bowiem ludności stałej: Katolików: do pięciu tysięcy, więcej drugie tyle Ewangelików mających ładny dom modlitwy, i Starozakonych do dwóch tysięcy, razem około 12 tysięcy, nie licząc ludności niestałej, dość znacznej. Teraz mając już statystyczne cyfry, umiemy sobie mniej więcej wyobrazić Zgierz takim, jakim jest istotnie, to jest miastem ludnym, czystym, z szerokimi ulicami, uderzającym na pierwsze wejście brakiem ożywienia, zajmującym połowę ludno-

¹⁾ Przepraszam pewnego pana, któremu kradnę jego ulubione przysłowie, mające określać w zupełności człowieka doskonałego prawie.

²⁾ Takie nazwisko nosi podobny zakład w Łodzi.

³⁾ Najwięcej wyprodukowała fabryka Raecgera, bo 9,000 funtów przędzy wełnianą za 100,000 r. s.

⁴⁾ 19 mniej niż 1860 roku.

⁵⁾ 17,000 mniej jak 1860.

⁶⁾ 64,000 mniej jak 1860.

ści warsztatami, z których najliczniejsze i najznakomitsze są rękodzielnie wyrobów wełnianych.

Teraz przypatrzmy się, jak wełna zdjeta z głupio-cierpliwéj owcy ¹⁾, przechodzi różne fazy, aż w postaci sukna staje się godną okryć barki nasze. Najpierwszą rzeczą, najpierwszym processem przeistoczenia wełny w sukno, jest jéj wypranie. W budynku umieszczonym nad korytem bieżącej wody, stoi duży obmurowany kocioł, do wygotowania wełny. Tłustość i brud jako lżejsze, zbierające się na powierzchni wody, wyrzuca się, a wełnę wydobytą z kotła, układa się w kosze pół-okrągłe, ruchome, i za pomocą stosownego, bardzo prostego przyrządu, przedkiem więc silnem nurzaniem w bieżącej wodzie, wełna płucze się raczej jak pierze. Tak wypłukana, otrzymuje trojaki przeznaczenie: albo się ją farbuje, idzie na przędzę, lub sukno. Farbowane tkaniny są pośledniejszego gatunku, dla tego tańsze, mniej też wymagają pracy. Trudniejsze, lepsze za to jest farbowanie przędzy. Ponieważ przez wygotowanie, wełna traci tłustość w niéj zawartą, a bez téj tłustości farbowanie byłoby niemożebne, chcąc ją przeto farbować, potrzeba znowu dać jéj ubylą tłustość. W tym celu macza się ją w oliwie, w której małą ilość potażu rozmoczono; tak napojoną wełnę, wystawiają przez kilka dni na działanie mocnego ciepła.

Przygotowaną przędzę oddaje się do farbiarni. Indygo, drzewo sandałowe, koszenilla są najważniejszymi preparatami, z tych trzech prawie zawsze jeden przynajmniej znajduje się w farbowanym wełnianym wyrobie. Indygo w naturze, jest prawie w każdym zielonym listku drzewa lub trawy, lecz wydobywa go się za pomocą ługowania z roślin gorącego klimatu, z kąd jako gotowa twarda farba przychodzi. Farbiarnie przygotowują do użytku, w umyślnie na ten cel urządzonych kotłach. Sandał do farbiarni którą oglądaliśmy (p. Remus) przychodzi w szczapach: tu bowiem jest jedyny w kraju do tarcia przyrząd, który poruszany siłą dwóch koni chodzących w kieracie, składa się: z piły okrągłej do przerzynania szczap grubszych i z maszyny do rznięcia. Ponieważ maszynę taką tylko w Zgierzu oglądać można, podajemy jéj opis bardziej szczegółowy. Na przodzie wąskiej lecz długiej skrzyni, (na podobieństwo *lady* u sieczkarń) umieszczony jest

¹⁾ Jeżeliby kogo razilo to wyrażenie *glupio-cierpliwa owca*, niech raczy przekreślić, a napisać *ideal biernéj enoty*. Dalszy spór zostawiamy ludziom *specjalnym*.

bęben, czyli walec o dużej około 20tu calowéj średnicy z stalowych noży, tak ułożonych, że kaźden nóż mniej więcej 3 cale szeroki, leżąc poprzecznie, stanowi część łuku na okręgu bębna. W skrzyni leży drąg, którego spód i boki równe i gładkie; wierzch zaś, opatrzony zazębieniami, odpowiadającymi zazębieniom kółka (trybu) którego obracając się popycha; w końcu drąga są zęby ostre długie, mocne. Jeśli maszyna jest w ruch puszczona, bęben się obraca, drąg żelazny za pomocą stosownego przyrządu kółek i trybów, posuwa się zwolna, przyciskając zębatym końcem do bębna szczapę, która trze się na mialki proszek. Gdy już szczapa jest startą, i drąg przyciskający przyszedł do pewnego punktu, wtedy jedno z zębatych kółek przesuwają się, i tarcie ustaje. Jakkolwiek drzewo tutaj jest zmielone na bardzo drobne trociny, przecież te są jeszcze za grube do użytku. W tym celu poddają go tarcu dwóch kamieni na osi obracających się w kierunku pionowym, jak uwozu, na trzecim leżącym poziomo, tak jak w olearniach. Kamienie te, rozcierają trociny do reszty, na mialki jak mąka proszek. Farba tak przygotowana, daje kolor krwisty, podobny do koloru rdzy żelaznej, i rozchodzi się po farbiarniach w kraju, wychodzi nawet znacznemi partjami do Rossyi, jakkolwiek brak dogodnej komunikacyi bardzo transport utrudnia. Ufarbowana, wypłukana przędza, jeśli ją przeznaczono na tkaninę, idzie do tkackich warsztatów, których tutaj mechanicznych nie ma. Niech więc webry (tkacze) rękami i nogami nad nią pracują, a my tymczasem, pójdźmy do przędzalni wełny i bawełny Zacherta, poruszanej machiną parową o sile 12u koni; tam się zobaczymy z przędzą w postaci kortu lub sukna.

Przędzalnia wełny lub bawełny, dla nie techników, nie przedstawia prawie różnicy dla oka; każda z nich w innéj części gmachu urządzona; dla nas dosyć gdy jedną z nich obejrzymy. Z południowéj Ameryki przychodzi bawełna w wielkich worach, w czworokąt sprasowana, ale choć starannie zbierana, zawsze przymieszają się tam trochę niepotrzebnych rzeczy; zostało nieco nasienia, sporo wiórów. Ładując je na okręta lub wyładując, spracowane ręce niewolnika lub majtka, nie zbyt delikatnie się z nią obchodzili; zakurzyła się przez drogę, wycierając tyle różnych kątów. Z wełną, gorzej jeszcze, bo jakkolwiek wygotowana, wypłukana, to zatrzymała wiele części obcych, twardych, mogących oszpecić sukno i popsuć maszynę. Więc trzeba czyścić. Służy do tego maszyna wilkiem zwana (Wolf). Wilk dużemi że-

lawnymi kłami, osadzonemi w żelaznym poziomo leżącym obracającym się wale, chwyta chciwie kłaki odwilżonej oliwą wełny, rozgryza je, rozszarpuje, i mruczając, pod pokrywą machając skrzydłami, wyrzuca, co było niepotrzebne, osobno, wprost do śmietnika, czystą zaś wełnę na posadzkę sali. Lecz tutaj wełna jeszcze dostatecznie oczyszczoną nie jest, dla tego przenoszą ją do innej maszyny. Tu znów chwytana zębami, przechodzi na walec znacznej średnicy (bo mniej więcej 3 stopy). Walec ten czyli bęben, około 4 stóp długości mający, żelazny, obłożony drewnianemi dzwonami, w które nabito drucików bardzo gęsto sterczących ostremi końcami do góry. Druciki te, są tak cienkie jak najcieńsze do nasiekania paciorków, dłuższe cokolwiek, mniej łamliwe, więcej elastyczne. Lecz bęben ten, za pomocą koła pasowego, nie sam się obraca; na nim umieszczono kilka innych walców takiéżże samej długości, lecz znacznie mniejszej i różnej średnicy, obracanych bardzo dowcipnie pomyślanym łańcuszkiem. Wełna podana tutaj zębami jak u wilka, lecz delikatniejszymi nieco, wchodzi na bęben wielki, z tego na mniejsze, z mniejszych na wielki, i wciąż rozdzielając się na igielkach w podłużnym kierunku włosa, przechodzi z bębna wielkiego na mniejszy, z mniejszego na wielki, aż każdy włoszek rozłączony lecz nie porwany, a wszystkie połączone przez tłustość zawartą w wełnie i naturalną zdolność skupiania się, jak delikatna przezroczysta tkanka krepy lub pajęczyny, zwija się wkrąg na innym walcu poziomo leżącym. A co było niepotrzebne, opadło na dół. Jednakże gdzieś tam, jeszcze się znajdują pęczki niezupełnie rozproszonych wełny, jeszcze zamieszkał się proszek jakiś. Więc dostatecznej grubości wał tej rozczesanej wełny, podają działaniu drugiej maszyny, różniąc się od pierwszej tem, że już nie ma zębów, i tkanka przechodzi bezpośrednio na taki sam bęben jak u poprzedniej maszyny, z tą różnicą, że bębny w pięcio-calowych odstępach, mają calowe przedziały nie wypełnione igłami. Gdzie nie ma igieł, tam nieprzechodzą włosy wełny, ztąd też uważana na walcu zbierającym, już należycie oczyszczona, przedstawia się również jak pajęczyna lub krepa, nadzwyczaj słaba w dotknięciu, lecz podzielona, a na jej powierzchni przesuwający się w poprzek jej biegu, lekki skórzany wałeczek, skręca cokolwiek pojedyncze włosy. I to jest pierwszy związek nitki. Ztąd, pozbywszy się jeszcze resztek nieczystości, przechodzi na inną maszynę bardziej podobną do ostatniej czyszczącej; tutaj już skręca

się lekko w knot gruby $\frac{1}{2}$ calowej może średnicy, do warkocza podobny więcej niż do sznura, obwija się na pionowo obracającym się walcu. Pierwszy proces skończony: ale cóż zrobić z tym grubym, za ledwie trzymającym się w spokojności warkoczem wełny lub bawełny. Oto stoi kilka lub kilkanaście tej nawiniętej na walce przędzy, która przechodzi póty pomiędzy krótkimi, żelaznemi, karbowanemi w podłuż wałeczkami i które ją rozciągają i prostują póty, aż gruba jak cienki szpagat, czasem grubsza, niekiedy cieńsza, stosownie do potrzeby, obwija się na wrzecionach, na podobieństwo wrzecionek (szpułek) na których nasze wieśniaczki len przędą. I warczą setne wrzecionka, a jeden robotnik lub dziewczyna pilnuje ich kilkadziesiąt, zwraca jedynie oko czy gdzie nieprzerwana nitka. W takim razie jedném prawie skinieniem ręki, zatrzymuje całą maszynę, nawiązuje nitkę i znów obracają się koła, warczą wrzecionka i nieć się wysnuwa. Ale powiedzieliśmy że ta nieć nie jest dostatecznie skrecona i cienka. To też gdy zapełnią się wrzeciona, stawiają je pionowo rzędem mniej więcej na ośm łokci długim, tak aby się łatwo obracać mogły, na przygotowanym w tym celu stałym przyrządzie. Tu znów przechodzi każda pomiędzy kilkoma wałeczkami na wrzecionka, nie stale przymocowane na przyrządzie ruchomym. Wyobraźmy sobie ławę długą na stóp 16, stojącą równolegle z pierwszym przyrządem stałym, ruchomą za pomocą żelaznych kółek, chodzących po żelaznej kolei, a na tej ławie gęsto stojące wrzecionka, każde z swoim kółkiem, każde jak osobna machina niezmiernie skomplikowana, mogące obracać się z nadzwyczajną szybkością. Przy środku tej ławy stoi robotnik, mający z każdej strony po jednej dziewczynie do nawiązywania zerwanych nitek. Patrzymy co on robi, może to nam lepiej objaśni całą tę, bardzo, jak nadmieniliśmy, skomplikowaną maszynę. Otóż robotnik odsuwa przyrząd ruchomy, całą tę masę żelaza i stali po żelaznej kolei, wrzecionka na nim się kręcą, i skręcają nitkę, co jednocześnie odwija się na pierwszych wrzecionach przyrządu stałego, wyrównana pomiędzy wałeczkami. Odsunął przyrząd ruchomy do pewnej odległości, chwilę poczekał, nitka skręciła się mocniej, ruszył kołem, i znów wszystko przysunął do stałego przyrządu: w tym czasie nitka obwinęła się na wrzecionkach ruchomego przyrządu, którego robotnik bezwłocznie znów podsuwa, znów nitkę przędą wałeczki stałego przyrządu, skręcając wrzecionka przyrządu ruchomego: robotnik poczekał chwilę, pchnął go, trzasło,

w jednej chwili obwinęła się nic uprzedzona, i znów się przedzie nic cienka i równa. Musimy uchylić czoło przed wynalazczym rozumem ludzkim, co kawałkowi metalu, dał zdolność pracowania z dokładnością, do jakiej najwyższą wprawą człowiek dojść nie może; jedną osobą kilkadziesiąt zastąpił. Tak umiał użyć środków, jakie mu nastreczyła w naturze Opatrzność, tak potrafił uszlachetnić, samą z siebie już szlachetną, każdą pracę.

Musimy uznać potęgę rozumu, co potrafił machiną zastąpić tysiące pracowników, dając łatwość nabywania przedmiotów ku wygodzie i uprzyjemnieniu życia, a ręce pracujących ludzi oszczędza na jednym miejscu, aby ich użył na drugim, i podnosił inny przemysł, budował sieci dróg żelaznych, przebijał skały, dobywał z ziemi łona kruszec i węgiel, na którym go do użytku zdolnym czyni i przygotował drogę do postępu ludzkości. Aby pod wpływem bólu lub zniechęcenia nie ustali pracownicy, aby obalamuceni nie popchnęli dziejów na fałszywą drogę, dał Bóg innych pracowników, pracowników ducha, proroków i wieszczów. Gdy tamtym w złej doli opadają ręce, ci zbierają w siebie wszystkie ich bóle, przerabiają w sobie na balsam pociechy, pieśnią ożywiają; błyska słowo nowej idei, nowych wyobrażeń! I powstają opadłe ręce, podnoszą zwątpiałe serca, świat idzie swoją drogą, drogą co się dziejowym rozwojem zowie, drogą postępu, cywilizacji, ku możebnemu szczęściu na ziemi, ku Bogu. A biada temu, co w tych pracowników kole myślał o sobie tylko, on przepadł bez wieści, i nie znał szczęścia jakie własne przekonanie daje, i zginął jak trawa. I biada temu, co był ciężarem pracującej gromadzie, co utył na jej krwawym pocie, co wysysał pożywne soki, a nic nie dawał z siebie. On był jedną więcej zawadą na drodze dziejowego rozwoju, szedł wbrew przeznaczenia ludzkości, wbrew woli Bożej. A im kto więcej i lepiej pracował, tem większe zasługi położył. W ogromie prac i zasług ludzkich, i wielkim ich rachunku, znajdzie się bezwątpienia i jego cząsteczka, i nie przepadnie, żyć będzie wiecznie!

Teraz musimy opuścić przedziałnie, a zwiedzić warsztaty tkackie ręczne, gdyż takie tylko znajdują się w Zgierzu, które użyto do tkania wełny, czy bawełny, z małą różnicą są także same jak warsztaty płócienników, tak znane, że ich opisanie uważamy za zbyteczne. Przędzę wełnianą lub bawełnianą kupują zamożniejsi tkacze, lub mniej zamożni, biorą do roboty nie spekulując, lecz tylko ciesząc się zapłatą za pracę. Tkacze znowu, albo ją

sprzedają innym fabrykantom jako niewykończony towar, lub zamożniejsi przedsiębiorą sami dalsze roboty, i jako wykończony, sprzedają kupcom na potrzebę krajową lub do Rosyi. Ale tkacz, jako majster, jeszcze nie wykończył ostatecznie sukna; jeszcze trzeba je prać, dostrzygać i gładzić. I oto postaw sukna niosą do folusza. Dwa pionowo obracające się walce, i dwa poziomo, ściśnięte do siebie sprężynami, w zakrytej skrzyni, chwytają jeden koniec postawu, przeprowadzają pomiędzy sobą: pierwsze dwa stojące, podają drugim dwom leżącym, gniotą z mydlaną wodą lub ziemią foluszką; woda brudna odpływa, świeża nadchodzi; raz wrzucony postaw sukna, przechodzi parę razy w minucie całą długość pomiędzy walcami; spływają smugi brudnej wody, aż wprawny robotnik uznał wymycie dostatecznym, w jednej chwili zatrzymał maszynę, i uwolnił sukno z gniotących walcy. Po wyschnięciu jest grube, nierówne, jakiegoś niepewnego koloru, zda się nie wiele warte. Aż przyszedł czas na niego, ściągają z suszarni i niosą do postrzygalni. Tu stoi machina, która ma dopełnić tej bolesnej operacji. Sukno tak niepozorne, przechodzi po obracającej się szczotce z trwardej szczeciny, która na nim włos, czyli barwę podnosi; koniec jego jeden już schwytały dwa walce żelazne, wyprężają i rozciągają je sztywno, spada na nie śruba nadzwyczaj szybko obracająca się poziomo po powierzchni sukna. Śruba to straszna! gwinty jej stanowią noże, walce ciągną i rozciągają sukno, śruba po nim obraca się z nadzwyczajną szybkością, i goli równo, gładko, odrzuca pęczki ogoloniej barwy; a za śrubą przed walcami, widzimy deseń na suknie; kolor jego stał się wyraźnym; srebrnego jedwabiu nitki, błyszczą jak sronu listki: i zwija się na innym walcu. A gdy już cały postaw uległ takiej metamorfozie, jeszcze na innej maszynie drapią go szyszkami ostu, którego kolce zagięte jak haczyki, jakby go natura umyślnie wylała na sprawienie jedną więcej męki postawowi sukna. Lecz potem, co wyrabiał z nim folusz, co dokazywała śruba, drapanie to jest miłym głaskaniem. Jednakże proszę nie sądzić, że cokolwiek bądź marnuje się tutaj; wszystko się zużytkowuje. Brud tłusty z wygotowania wełny daje mierzwę; śmiecie z wełny, resztki pozostałe w szyszkach, zgoloną barwę, wszystko to zakupił przemysłny anglik lub francuz, i jeszcze z tego sukno robi.

Dla braku czasu, nie mogliśmy przejrzeć przywiłejów i nadań miasta, które obecnie mają wartość pamiątkową. Miasto ma 40 włók boru, z którego,

jak nas z dobrego zapewniano źródła, nie korzysta. Obywatele mają zamiar zaprowadzić większy ład, co będzie możebne przez utworzenie rady miejskiej. Przędzalnie miały swoje świetniejsze czasy nim Łódź stanęła. Zamożniejsze tylko i umiejętniej prowadzone, utrzymały się dotąd; fabryki którym zbywało na kapitałach, jakkolwiek wspierane przez Rząd, upadły brakiem wykształcenia fachowego, nie mogły wytrzymać konkurencyi. Opuściliśmy Zgierz, nie odznaczający się wspomnieniami historycznymi. Licha miejscina, starostwo niegrodowe; wedle lustracyi z r. 1789 było domów 15, rzemieślników do 50 z których kołodziejów 21. Nie upłynęło wieku, a jakież różnica!

Nazajutrz rano udaliśmy się do Łagiewnik, miejsca słynnego cudownym obrazem Śgo Antoniego, i grobem Rafała Chylińskiego.

Jadąc od Zgierza szosą ku Łowiczowi, po prawej stronie, zdaleka już postrzega się klasztor Łagiewnicki, na ciemnym tle borów świerkowych, któremi miał być otoczony kiedyś Kościół zbudowany jest w kształcie krzyża, którego mury klasztoru zajmujące znaczną przestrzeń, a wyniesione na górze, powleczone piętnem starości, pare wież wyniosłych, wioska rozesłana pokornie u stóp klasztoru, wszystko to sprawia, że myśl cofa się w wieki żelaznych ludzi, kamiennych grodów i brutalnej siły.

Łagiewniki, niegdyś własność Jerzego Bełdowskiego z Bełdowa do 1669 r., aż Zelewski Samuel, dostał je w posagu za Domicellą Bełdowską, później przeszły na własność Karnkowskich. Bzura tutaj w boru bierze początek, płynie wolno, rozlewa się po łąkach szeroko, i przy źródle już widać, że w olbrzymia nieurośnie. Bo też zaledwie jest strugą zwięk-

szającą się coraz małemi strumykami, i to jest jéj całym szczęściem, bo połączywszy się z jaką większą rzeką, straciłaby wszystko aż do imienia; tak przynajmniej ma tyle, że sama pod własnym nazwiskiem, królowej wód naszych, Wiśle, daninę przynosi. Może gdyby poszła w innym kierunku, któż wie co byłoby? może stałaby się większą; lecz jak tu było inaczej iść, kiedy młynków terkoczących na niej, upustów, co nie miara. Tak wysługuje się ludziom słaba biedaczka, aż do Lucimierza, gdzie koła w fabryce cukru obracała. Dalej już płynie po łąkach, piasku i błotach bez przeszkody o ile wiemy, owdzie rozdzielona, ledwie znaczna, tam zebrana w jedno koryto, lecz bezużyteczna, mało rybna i nie spławna. Kiedyś, według kroniki, gdy źródło Prądnika biło wodami życiodajnymi w Bzurze poławiały się perły i niezmierna moc piskorzy, mających w jéj wodach swoją stolicę, i wielką liczbę w błotach, bagnach i błotkach potworzonych wylewami rzeki, asystujących staremu Borucie, jak jeszcze dawniej delfiny płynącej Ichys. Teraz o perlach ani słycho, wysycha i Bzury źródło, i piskorze gdzieś się podziały, i stary Boruta z rogatywką, kontuszem, pasem i zardzewiałą karabelą, przyczał się w lochach ciemnych. Około 1669 roku, przez Zelewskiego cieśla do budowania młyna sprowadzony, miał objawienie Śgo Antoniego, co gdy się rozgłosiło, a cieśla przysięgł w Gidlach u ks. Dominikanów, i na Kalwaryi za Krakowem u ks. Bernardynów o prawdziwości widzenia, Zelewski wybudował kaplicę w miejscu wskazanem przez Śgo Antoniego. Władza Archidiecezjalna, pozwoliła na odprawienie Służby Bożej w nowo wybudowanej kaplicy, a wkrótce chorzy, strapieni, i kalecy doznawali ulgi w cierpieniach za sprawą Śgo Antoniego.

(D. n.)

SZEŚĆ TYSIĘCY MIL PRZEBIEŻONYCH PEDEM PARY.

(ARTYKUŁ J. SAND, O DZIELE SYNA, w R. D. D. M.)

Ten dziennik podróży był tylko przeznaczonym dla mnie, dla kilku bliższych przyjaciół. Syn mój, nie mając ani czasu, ani zamiaru zgłębiania uczynionych spostrzeżeń, nie mógł się zajmować żadnym wydawnictwem. Po przeczytaniu całości rozmaitych urywków, Bóg wie jak, bo od niechcenia na papier rzuconych, zdawało mi się właśnie że szybkość i niespodzianość téj podróży, były jéj największym wdziękiem.

Wyjawszy jeden miesiąc poświęcony poznania Algieru, w charakterze naturalisto-artysty, wszystko inne było pochwycone pobieżnie, raczej spostrzeżone jak zauważane w téj wycieczce odbywanéj *pe-dem pary*.

Dziwne położenie podróżującego wyrobiło w nim odrębny sposób widzenia. Wezwany niespodzianie przez osobę wielkiego znaczenia, z którą nas łączy

dawna przyjaźń prawdziwa a bezinteresowna, przeskoczył że tak powiem z Algieru do Brestu wstąpiwszy po drodze do Oranu, Gibraltaru, Tangeru, Kadixu, Séwilli, Lizbony, do wysp Azorskich, Nowéj-ziemi, nowéj Szkocyi, New-Yorku, Washingtonu, do obozu Bulls-Runa, przejechawszy Wielkie jezioro od północy do głębin *Wyższego*; Hickapeo, aż do granicy: Misissipę aż do wyspy Śgo Ludwika, Niagarę, Śgo Wawrzyńca do Québe'ca; z powrotem do New-Yorku, — zwiedził Boston, Saint-Jean i północny Atlantyk. — Sześć tysięcy przeszło mil ziemi i morza przebyć w przeciągu trzech miesięcy i dwudziestu dni, niewiedząc prawie nigdy, do jakiego celu się zmierza; przyznajmy że to widok dosyć wzruszający, szczególnież wtedy, kiedy jeszcze w przeddzień wyjazdu o czemści podobnym zupełnie się nie marzyło.

Książę Napoleon robiąc wycieczkę swoją dla przyjemności i dla nauk, w sobie samym miał zasób wiadomości nabytych, wyrozumowanych i zastosowanych specjalnie do każdego spostrzeżenia osobistego. — Dosyć więc było dla niego poświęcić kilka dni a czasem kilka godzin tylko na poznanie ludzi i rzeczy, które znał naprzód, i względem których miał swój sąd oparty na pewnych zasadach.

Nadto, chęć księżnej Klotyldy towarzyszenia księciu w całej podróży; musiała stawiać zawadę zamiarom. Pomimo męstwa duszy i serca charakteryzującego córkę Wiktora-Emanuela, niedorzecznem byłoby wystawiać ją na zmęczenie w drodze przewyższające siły kobiece; musiano więc zostawiwszy ją w New-Yorku, przyspieszyć podróż przez Nowy-Świat aby skrócić jéj dni oczekiwania, na które sama się skazała. Pośpiech ten wprowadził zapewne na niespodzianą drogę, albo też książę niechciał poddawać pod sąd swoich towarzyszy téj podróży, którą sobie nakreślił: w czem im dogadzał, bo droga wyknęta miesza zawsze wyobraźnię, i wystawia na mnóstwo rozczarowań. Wreszcie w niektórych przypadkach niechce się wystawiać wiernych przyjaciół na umęczenie i na trudności jakie się spotyka, a ci przyjaciele delikatnie uwolnieni od wszelkich skrupułów, poświęcają z łatwością swoje współdziałanie.

Nikt bardziej od mojego syna nie uważał tego za słuszne. Zostawiony sam sobie, o ile mu pozwalało niebezpieczeństwo ujrzenia się oddzielonym od swoich towarzyszy, jakim wypadkiem nierozważnym wśród pustyń lub wśród tłumów ludzi, syn mój, bez żadnego urzędu i charakteru, sądzący i notujący z sa-

mowolnością zupełną, słyszał zawsze z radością wyrażenie uświęcone zwyczajami o *wolności działania* co znaczy w języku marynarskim: „Niech każdy idzie gdzie mu się podoba.“ — Korzystał też z niego aby się rzucać jak ptak w przestrzeń niezmierzoną, nie myśląc o powrocie potrzebnym i przewidzianym a pojąc się poetyczną terażniejszością z zapowiedzeniem o przyszłości.

Był więc dla niego, i będzie może dla czytelnika pewien wdzięk w tém całkowitem zaniedbaniu przygotowań dla wrażeń doznanych. Czuć się tam będzie dawała szczerść, że tak powiem, bierna umysłu wielkiego, wylanego na rzeczy zewnętrzne.

Zapytywana o zdanie przez mego drogiego turystę, czułam się w obowiązku zachęcić go żeby nic nie zmieniał w swoim sposobie opowiadania pełnym i zaniedbania młodości. Zdawało mi się że jeżeli w czem się mylił, tedy odpowiedzialnym za to być nie mógł, nie jadąc nigdy w zamiarze zbadania i sądzenia o wielkim przesileniu społeczności Amerykańskiej. — W jednym ze swoich listów które mnie się blisko tyczą, mówił mi: „Piszę mój dziennik, nie troszcząc się o *pisanie*. Nie umiałbym wyrównać Twemu rozumowi. Ja jestem dwojgiem oczów, i dwojgiem uszów na przyjęcie uwag jakie zechcesz robić.

Sądzę że kwestja amerykańska jest już dosyć wyświecona teraz, szczególnież w *Revue des deux mondes*, dzięki wybornym pracom jakie wydała, ażeby czytelnik każdy *Revue* mógł robić uwagi, do których mnie samą syn mój namawiał.

Co do niego, jedne tylko spostrzeżenia dobrze były czynione i skreślone, to jest: poszukiwania entomologiczne. Radziłam żeby to zajęcie techniczne w niczem nie zostało skróconem. Chociaż ono było notowane dla pamięci, dla własnej satysfakcyi, ma przecież swoją wartość dla naturalistów z przyczyny miejscowości.

Trudnem jest położenie matki w podobnem zdarzeniu; przyznaję jednak że moja skromność nic na tem nie cierpi. Dosyć, myślę, otworzyć ten dziennik podróży, aby poznać w nim brak zupełny pretensyi i przymusu. — Żadnego dogmatyzowania, żadnego starania o zrobieniu efektu, wiele rzeczy widzianych i pocutych pod formą zapytania naiwnego; prędkość poglądu skromnie wyrażonego, wesołość bez przymusu udzielająca się nawet rzeczom małej wagi, oto zdaje mi się zalety dzieła, którego by przymioty wraz z wadami podniosła surowa krytyka.

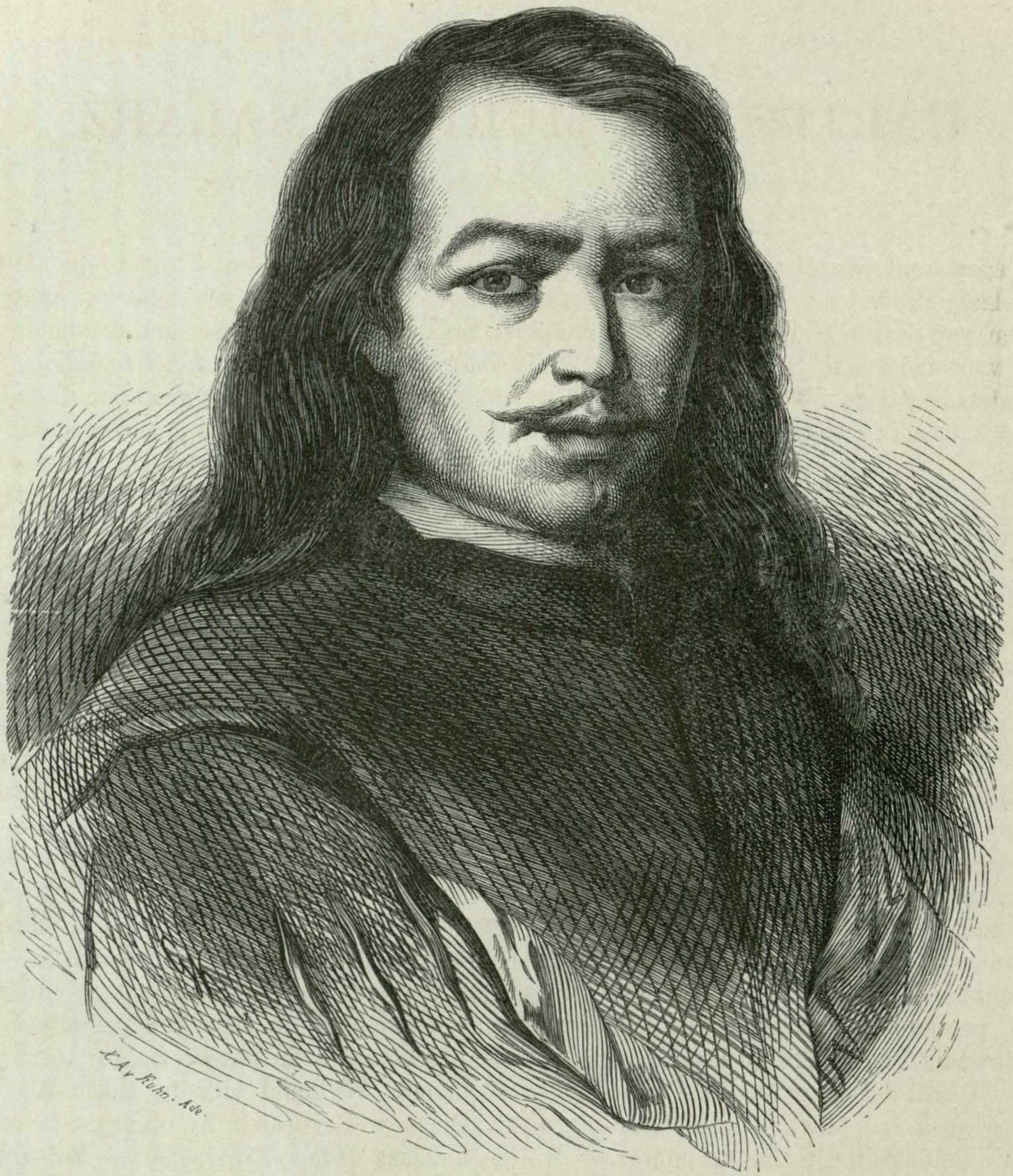


Murillo gem.

Druck v. A. Schuler in Stuttg.

C. Deis gest.

MADONNA MURILLA.



MURILLO.

BARTŁOMIEJ MURILLO MALARZ.

(z wizerunkiem artysty i wyobrażeniem jego arcydzieła).

Murillo, jeden z pierwszych w 17tym wieku europejskich malarzy urodził się w małym miasteczku hiszpańskim pod Seville, że w tym mieście pobierał nauki, nazywany najczęściej Sewilczykiem, tem słuszniej, że niektórzy jego biografowie Seville, za miejsce urodzenia mu naznaczają. — Pierwszym jego nauczycielem był daleki krewny jego, Jan de Castillo który w Seville miał szkołę maleńką: młody Murillo wielkie robił postępy, co w owych czasach było nader trudnym; nie było bowiem zwyczajem w Seville używać żywych *modeli*. Uczniowie patrząc na swe własne ręce, układali stosownie jak im się to wydawało potrzebne; czasem habit Mnicha służył im za wzór do odrysowania figur świętych. — Nie długo i w tej niedokładnej początkowej szkole mógł się kształcić Murillo. Jego nauczyciel i krewny Castillo udał się do Kadyxu. Wtedy biedny młodzieniec pozostawiony bez opieki, przyciśniony nędzą, sprzedawał na placach, gdzie włoszczyznę i inne gospodarskie sprzedawali produkta, swoje obrazy święte i różne inne; malował także chorągwie. Od tego czasu otworzyła mu się praktyka jako biegłemu koloryście. Nie miał więcej jak 16 lat kiedy zobaczywszy prace Moyi, przejeżdżającego przez Seville, powziął chęć naśladowania Van-Dycka, od którego ten artysta świeżo był brał lekcje w Anglii. — Nie mogąc długo korzystać z rad Moyi, umyślił udać się do Włoch — ale funduszów nie miał na podróż. — Zebrawszy jednak co mógł, kupuje płótno, kraje go na wiele części, maluje na niem przedmioty święte i kwiaty, i sprzedaje do Ameryki. — Zebrawszy za to szczupłą sumkę, wymyka się z domu bez wiedzy rodziców i przyjaciół. Przyjeżdża do Madrytu, udaje się do Velasqueza współrodaka swego i odkrywa mu swoje zamiary. — Uderzony zdolnościami młodego artysty Velasquez, przyjmuje go z dobrocią, dodaje odwagi i odradza podróż do Rzymu, dostarczając mu wiele roboty tak w Eskurialu jak w innych gmachach Madryckich. Po trzechletniej niebytności Murillo po-

wrócił do Seville w 1645. Powrót jego nie wiele zrobił wrażenia, ale kiedy wymalował mały klasztor Ś. Franciszka, wszyscy osłupieli ze zdumienia. Obraz *Smierci Śtej Klary* i *Sty Jakób rozdający jałmużnę*, dopełnił jego sławy. W pierwszym dostrzeżono kolorystę wyrównywającego Van-Dyckowi, w drugim współzawodnika Velasqueza. Obrzuczony wtedy już został mnóstwem prac, które mu przyniosły znaczne dochody. Nie naśladowując wcale tyłu artystów którzy przez wzięcie jakie mają, zaniedbują starania o swą sławę, Murillo wydoskonalął owszem ciągle swój talent, dawał śmiałe zarysy swoim obrazom, nie odstępując od miłej słodczy kolorytu, która go tak bardzo odznaczała między artystami. — Postawiony w pierwszym rzędzie malarzy kraju swego, mógłby sam jeden dowieść zalety szkoły hiszpańskiej tak źle ocenione; następnie przewyższył się Murillo w obrazach które wymalował dla Śtej Maryi-la-Blanche: w *Niepokalaném Poczęciu* jakim przyozdobił kopułę katedralną, a szczególnie w *Świętej Elżbiecie*, i *Synu Marnotrawnym* które to obrazy wykonał w r. 1674 dla kościoła Miłosierdzia. — Zrobił on prawie w tymże samym czasie drugi obraz Niepokalanego Poczęcia dla zakładu *Czcigodnych*, z którym szkoła Lombardzka nawet, małoby co miała do porównania. Wykonał Murillo także dla klasztoru Kapucynów Sevilskich 23 obrazy, stanowiące najpiękniejszą ozdobę ich kościoła. — Zakonnicy ci zabrali z sobą do Ameryki te arcydzieła. — Zadługoby było wyliczać wszystkie prace tego artysty. — Wezwany do Kadyxu aby tam malował wielki ołtarz w kościele Kapucyńskim, wykonał tam sławny swój obraz: *Zaślubiny Śtej Katarzyny*. — Ukończając go, skaleczył się tak mocno o rusztowanie że do śmierci, która nastąpiła w Seville 25 Kwietnia 1682 roku, dawały mu się czuć skutki tego wypadku. — Licznymi uczniami jego byli: Antolinez, Manezis-Oxorio, Tobar i Villavicencio jego ulubieniec i jego najszcześniejszy naśladowca. Murillo łączył do zalet malarza

historycznego pod względem wymownej a zgrabnej kompozycji, połączonej z wiernem oddaniem prawdy, dar malowania z równą zdolnością kwiatów i krajobrazów. — Długo używał Goiarta do malowania tła swoich obrazów, a nawzajem malował twarze w obrazach tego ostatniego. Ale gdy ci artyści pokłócili się pewnego razu, to Murillo nie chciał już pomocy obcej i postanowił sam robić paysage (krajobrazy) do swoich obrazów. Pierwsza próba jego była dziełem mistrza; i od tego czasu robił w tym rodzaju z takim powodzeniem że nie mógł mieć współzawodnika między współrodakami. Henryk de Las Morinas jeden może być z nim porównanym.

Muzeum w Luwrze posiada pięć obrazów mistrza tego, a te są: *Jezus jako dziecko na kolanach Matki swojej bawiący się koronką. Bóg Ojciec i Bóg Duch Święty patrzący na Stą Familję. — Jezus Chrystus na górze Oliwnej. — Sły Piotr błagający odpuszczenia. — Młody żebrak.* Widziano w 1814 na wystawie w Luwrze cztery piękne obrazy Murilla. *Pokłon Pasterzy. — Sta Elżbieta Węgierska. — Plac Stój Maryi. — Majeur wskazany patrycjuszowi Janowi przez przestrzeń śniegiem pokrytą.* Obrazy te malowane były na płótnie. Ostatnie trzy, które można uważać za arcydzieło mistrza tego, dane były marszałkowi Soult przez miasto Seville. W 1814 marszałek ofiarował go królowi w czasie jego tam bytności, ale sprzymierzeńcy zażądali zwrócenia go w 1815. Ostatnie te obrazy ugruntowały w sposób niezaprzeczony stopień doskonałości, do której wzniosła się szkoła hiszpańska, i prawdziwy charakter jej artystów, bo Murillo nigdy nie opuszczając kraju swego, nie mógł być natchnionym obcą metodą; i właśnie téj-to oryginalności talentu winien on jest jedno z pierwszych miejsc jakie zajmuje pomiędzy

najznakomitszymi malarzami różnych narodowości. Nie ma on godności zawsze pełnej wdzięku jaką posiadał Rafael, nie ma okazałości Carrachów, ani zgrabności Correggia, ale wierny naśladowca natury, jeśli jest kiedy trywialnym, niedokładnym, zawsze przecież jest prawdziwym, zawsze naturalnym; a słodycz, świetność, świeżość i harmonja kolorytu, każą zapominać o niektórych wadach.

Zostawił Murillo jednego syna, Gaspara, który oddał się literaturze, zajmując się tylko malarstwem dla zabawy. Miał i on trochę talentu, choć o wiele nie dorównywał ojcu. Umarł 2 Maja 1709. — Niewiadomo czy to tego samego historycy zowią Janem a inni Józefem, i dają poznać jako znakomitego artystę o którego śmierci mówią że ta nastąpiła w Indjach, gdzie udał się był dla ćwiczenia się w swojej sztuce.

Lubo znawcy twierdzą że żadna z Madon Murilla nie wyrówna Madonnie, Rafaela, który zdołał oddać prawdziwy niewinności i świętości wyraz jaki jedynie Matce Boskiej przystoi, to pierw oddać należy sprawiedliwość wielkim zaletom Madonn Murilla. — W nich także spotykamy wyższą, niekiedy nadziemską, pełną wyrazu anielskiej słodyczy i szlachetności piękność. Przekonać się możemy z przyłączonego tu sztychu wyobrażającego ulubioną przez znawców Madonnę z Madrytu, z rękami na piersiach na krzyż złożonemi, otoczoną sześcioma aniołkami; oprócz wdzięcznych i pięknych rysów, artysta umiał jej nadać wyraz prostoty, niewinności a razem pełnego świętości cierpienia — dodawszy do tego prześliczny koloryt i nadzwyczajną delikatność pędzla, cechującą wszystkie jego obrazy, przyznać należy że Murillo słusznie za wielkiego mistrza uznanym został.

A.

KOLIBRY.

Niewypowiedziane uczucie przejmuje każdego badacza natury po raz pierwszy wysiadającego na szczęśliwe brzegi podzwrotnikowe. Kwiecistością kraj odkryty, przepych roślinności rozścielającej swe bogate barwy zielone, pod blaskiem nie do opisania promieni słońca; te ptaki z błyszczącymi piórami, owady najpiękniejszych barw; jednym słowem owa cała natura zdumiewająca i nowa, wprowadzić musi w zdu-

mienie, w podziw, jakby na widok jakiego krajobrazu czarodziejskiego. — Uwaga jego tak jest rozerwaną że na żaden przedmiot w szczególności nie może jej zkuścić. Dopiero gdy ochłonie z pierwszego wrażenia, wróci mu spokój konieczny do spostrzeżeń w naturze, w której najmniejszy szczegół pobudza jego ciekawość i przemawia do wyobraźni.

Jeden z tych cudów, który go napełnia podziwem,

jest mnóstwo niby żyjących szmaragdów, latających bezustannie, z kwiatu na kwiat, a gdy się gdzie zatrzyma ją to tak krótko, że zaledwie spostrzedz można i odlatują szybko jak strzała, dotykając zaledwie każdej rośliny, wkoło kwiatów układających się niby w koronę z najpiękniejszych kamieni.

Gdym postąpił zaledwie kilka kroków w stepach Jamaiki, zobaczyłem, błyszczący owad zielony, nadzwyczaj szybko latający, przelatujący ciągle między cienkimi gałązkami krzaków.— Zdziwiony byłem z jaką zręcznością umyka przed moją siatką, a gdy nakoniec zdołałem go złapać, jakiż był mój podziw, gdym znalazł na jej dnie ptaka zamiast owadu!

Rzeczywiście, Kolibry nie tylko są tak małe jak owady, lecz mają ich ruch, postawę, rodzaj życia. Latają one sposobem owadów, i z tego względu stanowią pomiędzy ptakami zastanawiający wyjątek. Gdy w naszych zbiorach przyglądamy się tym długim skrzydłom, możnaby sądzić że używają ich Jaskółki lub Jerzyki. Któżby pomyślał że skrzydełka tak długie, prędzej jeszcze są poruszane niż skrzydła najgorzej do lotu opatrzone, jakimi są kaczek i innych ptaków wodnych, i to z taką szybkością, że ruch ich staje się niewidzialny. Nim ich w locie widziałem nigdy nie przypuszczałbym, aby było możebnem ptakowi poruszać skrzydła z taką szybkością, i utrzymywać się w powietrzu tym zawsze sposobem co komary, antraxy i inne owady powietrzne.

Dziwnym się zapewne wydaje ten fakt, jednak można go sobie wytłómaczyć przez nadzwyczajną wąskość skrzydeł, przez cienkość ciała, które u Mucho - Ptaków jest stosunkowo znaczny; przez ścisłość wielką mięs i kości; nakoniec przez małość ptaków, których skrzydło porusza tylko bardzo szczupłą cząstkę powietrza. Rzeczywiście opór powietrza, nie może być w stosunku z powierzchnią skrzydła, które sprawia jego przepływ, lecz z kwadratem jego powierzchni, lub też z sześcianiem gdy ruch staje się bardzo szybkim; z czego wynika że zachowawszy wszystkie proporcje między wagą ciała a powierzchnią organu, mały ten ptaszek nie może się utrzymywać w powietrzu inaczej, tylko poruszając swe skrzydła daleko prędzej niż duże ptaki. Te są zapewne przyczyny nadające Kolibrowi lot owadu. Latając od krzaka na krzak, jakby zawieszony w powietrzu, zatrzymują się przy każdym kwiecie, bezustannie trzepiąc skrzydłami gdyby éma i wydając podobneż brzęczenie.

Lot Kolibrów można podzielić na dwa rodzaje, pierwszy gdy leci na prost; a wtenczas tak prędko

że powietrze świszcze, i trudno go widzieć; drugi utrzymuje go w powietrzu, jakby bez ruchu w jednym miejscu. W tym locie ostatnim ptak prawie poziomo jest zawieszony i porusza skrzydłami z wielką szybkością i nateżeniem. Naturalnie w tym razie najszybciej poruszane są skrzydła, albowiem nieruchomość ciała wymaga uderzania skrzydeł mniejszego a tem samem częstszego; nad to, w takim stanie skrzydło uderza równie często z góry na dół jak z dołu w górę, aby utrzymywać ciało w równowadze, przez co znaczna część siły użytej wyłącznie dla sprawienia nieruchomości jest zupełnie straconą w obec trwania ciężkości.

Te istoty są ptakami zupełnie powietrznymi. Przelatują jak błysk, zatrzymują się, siadają nagle na pare sekund na małej gałązce, i odlatują nagle z taką szybkością, że często nie można widzieć kiedy odleciały: znikają jakby przez zaczarowanie. Całe ich życie ma coś gorączkowego; żyją one zapewne z większem nateżeniem niż inne istoty naszej kuli. Od rana do nocy migają po powietrzu, szukając kwiatów zawierających słodycze. Widzi się ich przelatujących jak błyskawica, wznoszących się w powietrzu prostopadle, i jak wspomniałem wyżej, poruszających skrzydła z taką szybkością że tego nie widać.

Podczas tego manewru wglębiają swój cieniutki język w kielich kwiatu, a potem odlatują tak szybko jak przyleciały. W ogóle Mucho-Ptaki zatrzymują się tylko paresekund nad kwiatem i odlatują daleko; jednakże gdy ich nic nie niepokoi, bujają z kwiatu na kwiat jak motyle wieczorne. Nigdy nie usiądą na krzaku aby zapuścić wygodniej język w kielich kwiatu. Żyją za prędko, jakby czémś naglone, jakby za wiele im to zabierało czasu: wołają ciągle trzepotać skrzydłami nad każdym kwiatem, niż usiąść; chwilka wystarcza im do zabrania wszystkiego, co im potrzebne z kwiatu.

Zastanowiwszy się nad tym rodzajem życia, zupełnie powietrznego i nad ową wielką siłą, jakiej potrzebują te ptaki aby ciągle latać, przesuując się z miejsca na miejsce jak tylko można sobie wystawić najprędzej, zdumi się każdy nad wyższością stosunkową siły tego maleńkiego ptaszka w porównaniu z człowiekiem.

Kolibry lubią żyć na słońcu; nigdy nie są w cieniu i nadzwyczajnie się obawiają zimna. Chociaż wielu podróżnych twierdziło przeciwnie, nigdy nie widziałem ich w głębinach lasów; najwięcej uczęszczają one na łąki kwieciste, drzewka w polach, ogrodach i zarosłach. Moznaby powiedzieć że z upodobania błyszczą

na słońcu i mieszają się ze stadami owadów, do których natura tak ich zbliża, a które pod zwrotnikami upiększają okolice bogatymi barwami. Większa część kolibrów lata tylko w sam dzień, zaledwie kilka gatunków przy wschodzie i zachodzie słońca.

W Meksyku, gdzie bardzo wiele jest tych ptaków, piramida kwiecista Maguey (*Agava americana*) z wonnymi kwiatami, bardzo przez nich jest poszukiwaną. Tak wiele ich się widzi latających jak czasem u nas do chrabąszczów. Podczas kwitnięcia kukurudzy, pola są napełnione Kolibrami.

Przed nadejściem zimy odlatują w cieplejsze okolice; jednakże za jej nadejściem znajdują się na dość znacznych wyniosłościach. Podróżnik Bourcier znalazł je w kraterze wulkanu Pichincha ¹⁾; a ja zabiłem zwanego *Calathorax lucifer* na górach Sierra Cuernawaca, wyżej jak na 9500 stóp.

Nie zawodną jest rzeczą że Kolibry żywią się małymi owadami; nie będę rozbierał więc tej kwestji, która już oddawna przez badaczy natury rozwiązana została.

Lecz także jest bardzo prawdo-podobnem, że te ptaki lubią nektar kwiatów, i że on wchodzi w znacznej części w skład ich pokarmu. Twierdzenie me opieram na tem, że widziałem kolibry w klatkach od wielu miesięcy żywione miodem i innymi ciałami słodkimi, coby zapewne nie wystarczało ptakom li tylko owado-żernym.

Podczas mego pobytu w stolicy Meksyku, jeden z moich znajomych robił sobie przyjemność trzymając w wielkiej klatce wiele tych ptasząt, które swymi żywymi barwy, zgrabnemi i dziwaczniemi ruchami, rozrywką dla nas były w chwilach wolnych od zajęć.

Nie wiedząc jeszcze wtenczas że można je karmić miodem, wstawialiśmy do ich klatki bukiety w szklankach z wodą i cukrem. Nasze ptaszęta chętnie przylatały do nich i zanuzwały swe języczki w bukiety. Na nieszczęście żadna istota nie jest tak delikatną jak one; troszkę dymu, powietrze duszne, zepsute, najmniejsze zimno, zabija je od razu. To też po kilku dniach zaczęły nam umierać jedno po drugim.

W ogóle nigdy długo nie żyją Kolibry w zamknięciu, chociaż nawet właściwie karmione; zdaje się że ich żwawość nadzwyczajna nie znosi więzienia, albo też że ich potrzeby tak są delikatne, że nie potrafimy im zadośćuczynić; być nawet może że ich

¹⁾ Trzeba zauważać że kratery są miejscem ciepłym i dobrze osłoniętym od wiatrów.

oddychanie potrzebuje ciągłego bujania w przestworach powietrznych.

Bardzo jest łatwo złapać Kolibra. Indyjanie namazują lepem krzaczki kwieciste; z ręczniejsi łapią je siatką jak motyle. Schowani za krzakiem, do którego kolibry lubią przylatywać, czekają; a gdy który z nich zatrzyma się nad kwiatem, prędkim ruchem siatki chwytają go; lecz aby przyjść do potrzebnej wprawy, trzeba zrobić z tego, jak oni rzemiosło.

Meksyk prowadzi zupełnie handel żywymi kolibrami, które kupują się na targach za małą cenę, jednego reala ²⁾, to też wiele mieszkańców miasta trzymają je w klatkach w swych salonach, tryumfując nad ich śmiertelnością ciągłym dokupywaniem.

Pomimo swjej małości, kolibry są bardzo burzliwego usposobienia. I choć z tak małą siłą, wcale nie bywają nieśmiałe ani zgodne. Rzucają się z wściekłością na wszystko co im przeszkadza, i staczają walki zacięte z istotami których nie lubią; między temi, émy najwięcej nie znoszą. I gdy przypadkiem która z nich wcześniej zacznie latać koło kwiatów, i spotka Kolibra, to musi umykać lub znajdzie niechybną śmierć, choćby była dwa razy większą od Kolibra. Gdy ją ujrzy, rzuca się, dziobie ją jak narwał wieloryba swoją dzidą, jeśli wolno porównać dwie ostateczności natury.

Ćma spłoszona tą niespodzianą zaczepką, odlatuje, lecz nęcona wonią kwiatów, powraca; ale jej zacięty nieprzyjaciel znowu ją swem dziobaniem odgania. Ta scena powtarza się kilka razy; nakoniec znużony natręctwem émy Kolibr, gania ją od krzaku do krzaka, jak może najdalej, i tylko gdy noc zapadnie, éma spokojnie powraca do kwiatów. Lecz jeśli podczas tych bitw, nie potrafi unikać dziobu, to z pewnością straci kilka kawałków, łatwo dostanie parę dziór w skrzydłach, i nie mogąc latać, padnie na ziemię, gdzie setki żarłocznych nieprzyjaciół wkrótce ją pożrą.

Lecz jakaż jest przyczyna tej nieprzyjaźni między owymi dwiema istotami, które zdają się być stworzone aby nigdy się nie widziały, bo jedna się pokazuje gdy druga się chowa, jedna je śniadanie gdy druga zjadła wieczerzę.

Dla czegoż Mucho-Ptak émy zaczepia? Zapewne przez zazdrość. Zapytuję sam siebie, czy czasem nie widzi w émie niby siebie w karykaturze? Czy ten owad, wysysając kwiaty i bujając nad krzaczkami, nie zdaje się drwić z ptaka, mającego podobnyż rodzaj

²⁾ Około 12 sous. 1 sous jest 5 centimów.

życia? lub też czy ćma nie jest niedogodnym spożywaczem, któremu wypowieda wojnę, jak my szczerom?

Zdaje mi się, iż te ptaki pojmują, że wszystkie ćmy są ich nieprzyjaciołmi, to jest że z téj saméj krynicy czerpią co one; więc tępią ich dla zabezpieczenia się.

Zresztą cierpkość ich charakteru tłumaczy dostatecznie wściekłość; dzielają one te usposobienie ze wszystkimi małemi stworzeniami: czyż nie widzimy że maleńcy ludzie, pieski pokojowe, im są mniejsze i słabsze, tem nieznośniejsze.

Kolibry dziobią nawet inne ptaki; biją się bezustannie między sobą. Napastują nawet duże ptaki, i wszystko im ustępuje. Można by powiedzieć że stworzone są dla błyszczenia wśród kwiatów; prawdziwie zepsute dzieci natury! piękność ich jak pięknym kobiecie każę przebaczać wymagania i kaprysy. Bardzo jest prawdopodobnem, że kolibry nietylko z potrzeby, ale i z kaprysu toczą bójkę z wieloma stworzeniami. Pająki naprzykład także są bardzo źle przez nich widziane, lecz zapewne za to, że często łapią kolibry w swe sieci, a przynajmniej przeszkadzają ich lotowi. To też jak tylko zobaczy Kolibr pająka, zaraz rzuca się na niego. Szybkość téj napaści bywa tak wielka że niewidać co się stało; pająk zginął bądź przebity dziobem, bądź uniesiony przez niego. Bez wątpienia jedzą one małe pajęczki, ale nigdyby nie zdołały połknąć wielkich. Trzeba też dodać że wielkie pająki mszcząc się za małych i za całe swe plemię, chwytają Kolibrów w swe sieci i pożerają.

Ale nie tylko z tak małemi stworzeniami mają one do czynienia; są jeszcze i mocniejsze, co im nie mało

dają zajęcia; zdarza im się albowiem bić się z jastrzębiami. Sumienny spostrzegacz zapewniał mnie że wygrana zawsze zostaje przy liliputach. W tych bitwach Kolibry będąc liczne i maleńkie, a szczególnie nadzwyczajnie żywe i nierówno latające, mają niezaprzeczoną wyższość nad ptakiem drapieżnym. To też wiedząc o niej, zgromadzają się i dziobią w oczy napastnika. Jastrząb pojmuje zaraz swą niemoc w obec mnogich małych napastników, to też ucieka, szukając pociechy w pogardzie względem tych pigmejczyków, a w szlachetności zwolnionego lotu znajduje powrót godności na chwilę uchybionéj.

Aby dokończyć opis charakteru Kolibrów, trzeba dodać, że prócz złego usposobienia są jeszcze bardzo roztrzepane. Podczas bójek tak się zapominają że wpadają na myśliwego i bywają złapane z własnej winy. Bardzo też często w szybkim locie rozbijają się o mury świeżo wybielone, lub też łamią swe dzioby o szyby okien.

Tak powabne stworzenia nie dziwnego, że musiały wyrzeć wpływ na wyobrażenie ludów Indyjskich; to też Kolibry były u Meksykanów obrazem największego szczęścia, a ich mitologia nauczała, że żona Bożka wojny Tojamiqui zwana, prowadziła dusze rycerzy, zmarłych w obronie bogów, do domu słonecznego gdzie zamieniały się w Kolibry. Jednakże ta dziwna wyobraźnia nie broniła ich od śmierci, albowiem ciż sami Meksykanie, widzących w nich obraz boskości, swych współbraci tępili bez wstydu. A z ich błyszczących piór robili świąteczne płaszcze które tak wyglądały jak przepyszna mozaika z piór. Napęłniały te wyroby podziwem zdobywców, Hiszpanów.

DIGLOSSA (PTAK MEKSYKAŃSKI).

Opisawszy Kolibry Meksykańskie, musimy dodać kilka słów o ptaszku zwanym Diglossa; jest on bardzo zbliżony co do wzrostu, kształtu i zwyczajów do nich. Bywa zwykłym w ogrodach doliny Meksykańskiej; uczęszcza w też same miejsca co i Kolibry. Zabijają je często za tamte, lecz bez porównania mniej ich jest niż Kolibrów, i nie żyją podobnie do tamtych wyłącznie w strefach gorących. Naturaliści umieścili te ptaki w familii Nectarinidów, albowiem mają ten sam rodzaj życia, co i one. Jest

jednak pewna różnica między niemi; albowiem skrzydła mają krótkie, szerokie, co sprawia że odbywają zupełnie inny lot, bardziej zbliżony do lotu naszych sikorek.

Nie mogą jak Kolibry zawieszać się w powietrzu, tylko jak inne ptaki muszą siadać na gałązkach. Dla tego nie latają ciągle z krzaku na krzak, ale skaczą po gałęziach. Ruch ich jest bardzo zbliżony do sikor. Latając tak samo jak one, za każdym ruchem skrzydła nazad do ciała przyciągają, co

nadaje lotowi ruch podobny do ciągłych skoków. Zdaje mi się że żyją pojedynczo. Nie wiem czy się poją nektarem, wątpię nawet bardzo; to też znajduje się że właściwszemby było Kolibry zwać Nektorydami, niż Diglossy.

Żywią się one owadami, które szukają skacząc po krzakach lub też łapią gdy im się nawinie, lecąc koło dzioba. Po ich zabiciu często się widzi dziób jakby obsypany pyłem kwiatowym, albowiem nawet na dnie kwiatów szukają owadów ku pożywieniu. A. M.

URYWEK Z DZIEJÓW WENECYI.

(Patrz kartę jeograficzną załączoną w przeszłym tomie).

W wiekach Xtym XIym XIIym i XIIIym, handel Wenecjan nie rozciągnął się dalej jak w wieku VIII i IX; lecz zwiększył liczbę miejsc zetknięcia ze wszystkimi ludami Europy. Azji i Afryki, rozprzeszczerzył zakres swoich przedsięwzięć, uporządkował i uzasadnił swoje postępowanie, i rozwinął usiłowania tém dzielniejsze, iż napotykał współbieganie tak przemożne, że nieraz ledwo nie upadł w zapasach. W tych czasach dzielił się on na dwie równie ważne gałęzie: handel zagraniczny, zależący na kupnie, przewożeniu i rozprzedaży płodów cudzoziemskich, i wywóz płodów narodowego przemysłu. Pójdźmy za nim w jednym i w drugim kierunku.

Powiedzieliśmy że stosunki handlowe Wenecjan najczynniejszemi były ze Wschodem: Grecy i Arabowie, dwa narody najbardziej oświecone i najprzemysłniejsze w średnich wiekach, dostarczali Wenecjanom największą część przedmiotów zbywających krajom europejskim, jako zioła lekarskie, delikatne tkaniny jedwabne i wełniane, kosztowne kruszce; w zamian za to otrzymywali zboże, wino, żelazo, miedź, a głównie drzewo budowlane, w które obfitowały laguny, Italja i kraje zaalpejskie. Muzułmanie Syrii, Egiptu, Barbarji, Karamanji, poszukiwali żelaza, drzewa, a szczególniej broni wyrabianej w Francji, Niemczech i Italji.— Wtedy Tunis i Tripoli były głównymi miejscami, do których Wenecjanie przywozili te wyroby, a które ztamtąd rozchodziły się wewnątrz Afryki. Miasta niegdyś tak kwitnące, Barbarji i Morollo, Tunis, Fez, Tanger, Barza, Alger, gdzie Wenecjanie utrzymywali kantory i konsulów, przedawały czarnych niewolników, oliwę, złoty piasek, drzewa farbierskie, płótna, gumę kość słoniową, tkaniny lniane, jedwab, i bawełnę. Zapewne to żeglując w tych stronach, Alviso Cada-masto (1443) powziął myśl posunięcia się aż do

Gwinei, co go skłoniło chwalić, się iż on pierwszy przebiegał po Oceanie Atlantyckim po tamtej stronie cieśniny Gibraltarskiej. Jednak wnosić wypada, że już poprzednio współziomkowie jego czynili również dalekie wycieczki, a nawet i wyspy Kanaryjskie były im znane.

We wszystkich epokach handel korzeniami indyjskimi był najkorzystniejszym, dla tego też narody Europy i Zachodniej Azji starali się z największym zapalem i wytrwałością sobie go wyłącznie przywłaszczyć. Przedmioty te częstokroć różnemi drogami do Europy przybywały; w średnich wiekach przybywały one lądem lub morzem do portów cesarstwa greckiego, a mianowicie do portów Aleksandrii i Konstantynopola; to ostatnie miasto, naówczas stolica świata, stało się głównem targowiskiem Wschodu i Zachodu; tam to jeszcze napływały płody orientalne, których barbarzyńska Europa pragnęła z niewysłowionym zapalem, a od VIIgo aż do Xgo wieku otrzymywała je przez pośrednictwo Wenecjan; później Genuęńczycy, Pizańczycy i mieszkańcy Amalfi weszli z niemi w spółzawodnictwo; lecz Wenecjanie największy otrzymali udział.

Skoro Saraceni, stawszy się panami Egiptu, Palestyny i Syrii, przyciągnęli do portów swoich towary i płody Indji, Wenecjanie pośpieszyli na te nowe targowiska i wywarli przewagę. — Pozakładawszy wszędzie składy i konsulaty, posuwali się wewnątrz kraju. Stosunki handlowe zawarte w XIym i XIIym wieku z Armeńczykami, niemniej okazały się korzystnymi, gdyż lud ten odegrywał taką samą rolę w Azji, jaką odgrywają żydzi w Europie. Pod panowaniem, a raczej wiekiem Persów, Saracenów, Tatarów, Turków, Krzyżowców i t. d. Armeńczycy zachowali swoje nawyknięcia do pracy, swój duch kupiectwa; w XIIym wieku założyli w Azji mniejszej, nazywa-

nej naówczas *Natoljā*, królestwo potężne i szanowane, gdzie wyrabiano owe tkaniny z sierci kóz angorskich, owe kamloty, które dziś jeszcze nie straciły dawniej swęj sławy. Wkrótce Wenecjanie, wpuszczeni do portu Torsy, ładowali dla Hiszpanji i Barbarji większą część tych wyrobów, które w końcu u siebie tkać zaczęli. Z wybornych jagód tēj stolicy, wyrabiali również wina, wysyłane do Konstantynopola i północnej Europy, gdzie za nie płacono ogromną cenę. Nakoniec pomiędzy najszacowniejszemi przywilejami, otrzymali przywilej wolnego przejścia ładem do Tauris, Persji i dalej dla kupców przewożących kobierce, muśliny, jedwab, surowy, materje indyjskie i mnóstwo innych towarów.

Wenecjanie utrzymywali również długie i częste stosunki z Tatarami, którzy pod panowaniem Gengiskana i jego następców rozciągali się od Chin, aż do Pontu-Euxinu. W czasie XII i XIII wieku, liczne ich statki udawały się do Tana, naówczas miasta sławnego na brzegach morza Czarnego, przy ujściu Tanaidy, gdzie głównie zabierali smołę i konopie; posuwając się dalej aż do morza azowskiego, zbierali wzdłuż wybrzeży skóry surowe i garbowane, złoto, perły, płody rozmaite Azji środkowej i wschodniej, które sprzedawali im Tatarzy. Miasto Trebizonda, które, po wzięciu Konstantynopola przez Krzyżowców, stało się stolicą nowego cesarstwa greckiego i ogniskiem rozległego handlu (w XIIIym wieku), było dla nich niemniej ważnym targowiskiem: mieli tam składy i konsulów, równie jak we wszystkich prawie portach morza Czarnego.

Te handlowe stosunki z narodami Wschodniemi, ogromne korzyści jakie przynosiły, wcześniej zbytek wprowadziły do Wenecji. Już w XI i XII wieku, panie miejskie nosiły suknie z aksamitu i tkaniny z jedwabiu i złota, włosy przeplatały nitkami złota, przystrajały kosztownościami; dziwne przeciwieństwo z skromnością jaka panowała w innych miastach Lombardji i Toskanji. W istocie, Jan Villani pisze, iż w roku 1273 panie pierwszych rodzin Florencji nie nosiły żadnych ozdób i poprzestawały w czasie najważniejszych uroczystości na sukni szkarłatnej, przepasanej rzemiennym pasem; Galvano Fiamma dodaje, że koło roku 1250, bogate medjolanki okrywały głowy opaskami lnianemi, że suknie ich również były płócienne lub z pewnego rodzaju tkaniny mieszanej i pospolitej, którą nazywano *pignolato*. Dopiero koło roku 1340 zbytek wkradać się zaczął do stolicy Lombardji, kiedy już Wenecjanie od dawna używali tkanin kosztownych, nawet na ozdo-

bienie okrętów swoich. W roku 1205, naprzykład, galery wysłane po Piotra Ziani, świeżo obranego na tron, które przywieść go miały z Arles do Wenecji, strojne były długimi chorągwiami, tkanami ze złota i jedwabiu, których końce dotykały powierzchni wody.

Spojrzymy teraz w stosunki handlowe Wenecjan z Zachodem. Europa uległa w średnich wiekach feudalizmowi wojskowemu, pozostawiła ludom Wschodu wykonywanie sztuk i rzemiosł. Frankowie, Lombardowie. Niemcy pogardzali handlem: u nich przemysł ulegał tysiącnym zawadom, a książęta, baronowie, wielcy i mali panowie feudalni, zawsze uzbrojeni jedni przeciw drugim, najmniejsze podróże czynili tak trudnemi, a nawet niebezpiecznemi, że kupcy zagraniczni, zmuszeni podróżować karawanami, drogo opłacali opiekę tych rabusiów, gotowych zawsze rzucić się na bogatą zdobycz. Pomimo takich przeszkód, Wenecjanie rozpościerali się po obu stronach Alp, roznosząc towary Wschodu, lub przedmioty własnych rękodzieł. Okolice sąsiednie Adryatyku, Węgry, Bułgarja, Serbja, Bośnia, widzieli ich niemniej czynnemi, żądającemi od nich skór, bydła, smoły; wzamian za to oddającemi ubrania, sprzęty, tkaniny, narzędzia i t. d. Za pośrednictwem morza, które zawsze otwartem dla nich było i na którym szanować się kazali, udawali się do Francji, Hiszpanji, Italji, Anglji i Flandrji.

Corocznie rząd wysyłał kilka flot, z których jedna, zwidziwszy Brindisi, Otranto, Manfredonjā, opłynawszy Sycylję, wstąpiwszy do Tunis, Tripoli, Algieru, Barca, Tangieru, Oranu, kierowała się ku Flandrji: przybywała do Bruges, obciążona kosztownemi towarami zebranemi w czasie podróży. Powracając, wchodziła do portów Hiszpanji, Kadyksu, Alikantu, Barcelony, gdzie zabierała jedwab surowy. W tēj epoce, Wenecjanie wysyłali do Londynu większą część płodów wyrobionych, które teraz ztamtąd otrzymują.

Okolice najbardziej ku Północy posunięte, między innemi port Archangielski, widziały chorągiew Św. Marka: w roku 1390, bracia Zeni posunęli się aż do Grenlandji i przebiegli okolice biegunowe: bracia Pabotto zwiedzili w tym samym czasie co i Kolumb brzegi Ameryki. Podróże Mikołaja i Maffio-Paolo, a szczególnie Marka Paolo, syna Mikołaja, po całej prawie Azji, wznieciły w Europie takie uwielbienie, że przez długi czas za bajeczne je uważano.

Wenecjanie, w ten sposób rozrzucając po całym ziemskim obszarze, w owęj pamiętnej epoce, ulegali

instynktowi, który popycha handlujących w dalekie okolice. „Wille, ogrody, pałace naszych współobywateli, mówi jeden stary kronikarz wenecki, to „Dalmacja, Albanja, Romanja, Grecja, Trebizonda, „Syrja, Armenija, Egipt, Cypr, Kandja, Appulea, „Sycylja i inne ziemie, w których znajdują szczęście „i bezpieczeństwo, i gdzie zostają przez lat dziesięć „siatki z swymi synami, siostrzeńcami i rodziną. „Leonard Venzeri, który był prokuratorem Ś. Marka, zamieszkał w Konstantynopolu, gdzie kupił „pałac; wielu z rodziny Co-Monto pozostało w Syrii; Sebastian Ziani, który później był dożą, przez „długi czas mieszkał w Armenji; kilku Bondumierich osiadło w Akrze; Donado-Moro w Negreponcie. „Liczba szlachty przebywającej za granicą celem „zrobienia majątku była tak wielka, iż obawiać się „zaczęto, ażeby interes prywatny nie przeważał interesów ogólnych w obradach publicznych: dla tego „też w pewnych sprawach, dotyczących się handlu, „usuwano od rady tych, którzy mieli jaki interes „handlowy sami lub przez krewnych swoich, w kraju „o który rzecz chodziła.”

To wszech-obywatelstwo na wszystkie strony rozlewało wpływ rzeczypospolitej. Dopomogło ono również do obiegu pieniędzy weneckich we wszystkich znanych częściach świata, a szczególniej na Wschodzie, a nawet w Chinach i Indjach. Nie można jednak oznaczyć ścisłego porównania pomiędzy bezpośrednimi stosunkami Wenecjan z Europą, (choćby były one rozleglejsze, aniżeli stosunki innych narodów handlowych), z temi jakie sami sobie utworzyli z ludami Wschodu; a to z tej przyczyny, że największa część handlu z Europejczykami, a nawet z Italjanami, odbywała się w ich mieście, dokąd Lombardowie, Francuzi, Szwajcarzy, Niemcy, Dalmaci, Anglicy, Flamandczycy. Polacy przybywali zaopatrywać się już to w towary przez Wenecjan sprowadzane, już to przez nich wyrabiane.

Handel właściwie tak zwany, zasadzający się jedynie na kupnie, sprzedaży lub przewożeniu przedmiotów do użytku przeznaczonych, nie mógłby istnieć na wielką stopę, bez przemysłu i sztuk które je utwarzają; dzieje nie wskazują nam, żadnego narodu handlowego, któryby się ograniczył jedynie na tém

podwójnym działaniu, Przeciwnie, przemysł narodowy rozwija się w tym samym czasie co i handel zewnętrzny, i służy mn za podstawę lub punkt oparcia. Tak też było w Wenecji. W samym początku ich osiedlenia w lagunach, widzimy Wenetów jak z swoich bogatych kopalń i soli tworzą sobie gałęź najkorzystniejszego i najpewniejszego handlu; a z obszernych lasów, pokrywających ich ziemię, wybierają drzewo budulcowe, które sprzedają Saracenom, lub sami ciągną korzyści za pośrednictwem stolarskich wyrobów.

Pośród barbarzyństwa i ciemnoty reszty Europy, Grecy zachowali podania i wykonywanie sztuk; Wenecjanie, dzięki swoim codziennym stosunkom z tym ludem, zadziwiająco w tym względzie czynili postępy. Jeszcze przed Xtym wiekiem, wzniesli rękodzielnie, których wyroby posiadały zasłużoną sławę. Naprzykład, rękodzielnia kryształów i zwierciadeł, znajdująca się na wyspie Murano, wydawała szkła wszystkich barw i kształtów, naśladownictwa owoców, kwiatów, zwierząt, naramienniki, naszyjniki, świeczniki, i tysiąc innych przedmiotów zbytku lub wyobraźni, wykonywanych z doskonałością i gustem, jakim nikt wyrównać nie był w stanie; tutajto również odlewano owe sławne zwierciadła, których rzemieślnicy nie utracili jeszcze wyłączności; szkła do okularów, i narzędzi optycznych w wielkiej znajdującej się cenie. Do tegoż samego przemysłu należały wyroby szklarstwa nazywane w Wenecji *margarite* lub *convi*, składające się z rurek szkła kolorowego, rozwartego kształtu i wielkości, które rozdrabniają nieskończenie i wyrabiają następnie sakiewki, naramienniki, naszyjniki, ozdoby wszelkiego rodzaju, główne żywioły zamiany z dzikimi ludami Ameryki, Afryki i Oceanji. Corocznie odbywały się w Murano dwa wielkie jarmarki poświęcone wyprzedaży wyrobów rękodzielni szklanych. Wyrób sukna przerabianego złotem, tkaniu jedwabnych i aksamitnych, niemniej był doskonałym. Cienkie sukna weneckie, a szczególniej sukna szkarłatowe wielce były poszukiwanymi; dla tego też Wenecja dostarczała ich dla całej Europy, pomimo współubiegania się Florentczyków.

(D. n.)

DZIEJE ŚWIATA ROŚLINNEGO.

Dziwnem może się wydawać, że od najdawniejszych czasów człowiek o niczem tak chętnie nie rozmyślał, niczego tak dokładnie nie rozwijał, o niczem tak obszernie nie nauczał i nie pisał, jak o tem, o czem my ludzie nic nie wiemy ani wiedzieć możemy. Bardzo też naturalnie rzecz ta opiera się z jednej strony na ludzkim lenistwie, a z drugiej na jego próżności.

Człowiek, jak tylko przewyciężył pierwszy stopień zmysłowej podniety i nawykłego trybu życia, jak tylko w ogólności zaczyna znajdować upodobanie w umysłowym ruchu, obudza się też w nim żądza większej wiedzy i głębszego od innych poglądu. Bardzo jednak trudną i nie dla każdego przystępną rzeczą jest droga do tego celu ogarniającej wiadomości i wytrwałego, poważnego, pojętnego rozmyślenia, a zamiast dążenia po tej drodze do tego co ma być poznawaniem, człowiek zwraca raczej swoją fantazją (tę władzę której czynność z przyczyny jej w pół zmysłowej natury pozornie nierównie większy ma użytek) ku tym krainom, gdzie ani niewygodny fakt ani z pewnością przecząca logika, nie staje poglądom na zawadzie, gdzie fantazja nie ulegająca wyrokowi prawdy, równie w jednym jak w drugim może być usprawiedliwioną, następnie nie może się lękać zarzutu od tego ostatniego, i gdzie ona przeskakując osnowę wystawionych marzeń, kryje się jakby za niezdojty szaniec: dowiedz mi co przeciwnego! Nie chcę tu rozszerzać się nad rozmaitemi religijnymi fantazmagorjami, nad badaniami co się stanie po śmierci i tym podobnem, wykażę tylko kosmogonje jak je sobie każdy naród, a nawet w każdym narodzie wszelki pojedynczy człowiek inaczej wystawia, a przytem wspomnę że gorliwiej daleko walczą o prawdę sześciodniowej mojżeszowej historii stworzenia, aniżeli tej gorliwości kiedykolwiek użyto dla rozwinięcia pod wszelkimi względami, i postępowania według tej zasady „Kochaj bliźniego jak siebie samego.” Gdy dumny kościół Angielski daleko pogardliwiej aniżeli papieżstwo w najprzeciwniejszych swoich nadużyciach, tuczy się krwią i potem milionów ubogich zgłodniałych Irlandczyków, w Anglii wszel-

kiemi niegodziwościami jakie tylko ma w swęj mocy, przesładuje ono wszelkie naukowe badanie, które ograniczonemu jego pojęciu zdają się być sprzecznem z literalną prawdą dawnych żydowskich poezji. Nigdzie bardziej i prawie tam tylko człowiek jest nietolerantem, gdzie nie można myśleć o naukowej zasadzie lub jej zbitiu. Kto w dziedzinie dowodzenia chce stanąć w oczy zdrowemu ludzkiemu rozumowi, ulega potępieniu wysmiania, temu nic się nie opiera. Ale tam gdzie niepodobnym jest dowód za, a następnie też nie ma dowodu przeciw, próżność połączona z siłą wymusza uznanie swoich marzeń i z bluźnierczą zuchwałością utrzymuje nawet, że odwieczny Rządca światów obdarzył ją przed wszystkimi ludźmi szczególnem tajemnem powiernictwem. Co w tem jednak jest najgorszego, to że oddając się snuciu bronienia i napaści marzeń o rzeczach niedoścignionych, traci się często czas i zręczność nie tylko wykonania swego obowiązku i bojaźni bożej w życiu, lecz także poj-mowania spokojnie i jasno warunków do zbierania faktów potrzebnych dla poparcia i rozwijanie *możliwej wiedzy*.

Najgłębszy badacz natury nie odstępował od tego prostego orzeczenia: Bóg jest świętym twórcą wszystkich rzeczy, miłość jego świat stworzyła. Dla niego równie jak dla każdego rozumnego człowieka, jest ono nienaruszoną prawdą. Lecz nie osłabia on przezto tej prawdy, że ją w czas i przestrzeń lub nawet tylko do ziemskości przenosi. Nie pyta się on o udział Wszechmocnego według ludzkiego ograniczonego jak? ani też u tego co wieczne i bez czasu nie pyta się, według skutków następujących w czasie, o przyczynę i działanie. Wie on że gdziekolwiek czy to wstecz czy naprzód śledzi on otaczającą naturę postrzeganiem i myślą, może tylko znaleźć szereg zmian tego co stworzone, ale nie tego co powstało lub zginęło.

Prosta poetyczna powieść żydów, czyli tak nazwana historia stworzenia, porusza się naturalnie na tem stanowisku, na którym okrąg ziemi ogarniał jeszcze wzrok człowieka, kiedy słońce, księżyc i gwia-

zdy były tylko dla niego przyjaznymi światłami oświecającymi dzień i noc ozdabiającymi. Zastanawianie się nad naturą w ogóle i przy wspaniałej przyrodzie, nie rozstrzelone jeszcze wprawiającą w zamęt ilością pojedynczych poglądów mogły wcześniej, w wykształconym stanie egipskich kapłanów, obudzić przeczucie, że ziemię naszą gwałtowne przewroty mogły tylko stopniowo doprowadzić do tego stanu w jakim ją teraz widzimy. Przez rozmyślanie nad wielką grą sił natury, mogły się wykształcić pewniejsze poglądy o powolnym tworzeniu się twardej ziemskiej skorupy, poprzedzeniu roślinnego rozwinięcia przed zwierzęcem i nakoniec wystąpieniu człowieka jako najdoskonalszego, jaki znamy na ziemi, organizmu, który słusznie poprzedzono stopniowem okazaniem się mniej doskonałych. Takie poglądy o stopniowem tworzeniu się *ziemi*, wydającej się dla ówczesnego człowieka być tem samym co i *świat*, powstały w starożytności w jeniałnej głowie tego, którego według przyjętego sposobu zwykli nazywać *Mojżeszem*, wraz z jasną i czystą wiarą Boga, a które on skreślił w obrazie stworzenia świata. Kilka jednak znajdujących się w tem rysów przyrodzono-historycznej wiedzy, nie są rzeczą najwspanialszą, daleko przewyższającą powieści innych ludów, lecz to jedno wyrzeczenie: „Świat nie istniał od nieskończonego czasu, nie był on igraszką ślepej siły twórczenia, nie był produktem martwej siły konieczności; losu, lecz jest on wolnym czynem świętego twórcy, odwiecznej miłości.“ W tem znaczeniu żadne inne plemie ludzkie nie wzniosło się do takiego pojęcia *stworzenia*, gdyż nawet blisko brzmiąca i widocznie spokrewniona Bramańska powieść, względnie do tej prostej, jasnej myśli, wydaje się być fantastyczną mieszaniną i zmysłowie nie jasną. — Zawsze w najpotomniejsze czasy niezmiennie rozlegać się będzie że „*Bóg stworzył świat*; jużemy jednak daleko zaszli ze złączonymi z tem naukowo przyrodzonymi początkami. Odnoszą się one nie do świata lecz do jednego z najmniejszych proszków, jednej z niezliczonych takowych kupek odbywających po eterycznym morzu nieskończone swe tańce. O powstaniu zaś i rozwoju wszystkich milionów innych wielkich, dziwnych ciał wszechświata nic nie wiemy, tylko że on jest i ulega teraz prostym bezwyjątkowym prawom natury; przeciwnie zaś owa Mojżeszowa historia stworzenia, złała się w jeden wiersz w tej olbrzymiej księdze opowiadającej czasowe zmiany tego co już stworzone, w wiersz w którym rozpoznałismy wprawdzie kilka liter więcej niż ludzkość za

czasów Mojżesza nie mogąc go jednak całkiem wyczytać. Sprobujmy czy możemy złożyć wyczytane litery w jedną zrozumiałą całość. Pierwszy stan ziemi, do poznania którego więcej niż same marzenia prowadzą przynajmniej dobrze uporządkowane naukowe podobieństwa, jest to stan roztopionej ognio-płynnej masy, otoczonej gęstą atmosferą, zawierającą jako parę wszystkie teraz na ziemi płynące wody, może też razem, znacznie większą ilość kwasorodu, a niezawodnie liczącą do swych części składowych, nierównie większą niż teraz ilość kwasu węglowego. Przynajmniej według przybliżonych obliczeń, musiała ziemia, w przestrzeni 40 stopni zimna stopniami ochładzać się, stopione masy musiały skrzepnąć i tak utworzyła się twarda skorupa, na którą część pary wodnej nie utrzymywana już zmniejszonym gorącym ziemi, w kształcie deszczu opadła. Lecz każde ochładzające się ciało ściąga się, musiała też i ziemi skorupa ściągać się, musiała powstać szpary, z których część płynnego jeszcze jądra została wypchniętą, wzniosła się po nad szparą i rozszerzyła się nad jej brzegami tworząc tym sposobem pierwsze nierówności czyli góry a tym sposobem i różnicę pomiędzy wyższym osuszonym lądem i pokrywającym równinę morzem. Przy coraz większem ochładzaniu przy ciągle mocniejszym grubieniu i ściągnięciu się ziemskiej skorupy, proces ten musiał się częściej i gwałtowniejszym sposobem powtarzać, gwałtowniejszym gdyż szczeliny zgrubiałej kory stawały się coraz ciaśniejszemi, masa zaś jej która przez ochładzanie stała się ciąglejszą, występując ze szpar nie rozszerzała się jednakowo po brzegach lecz stopniami coraz się wyżej podnosiła. Lecz w téjże samej mierze w jakiej twarda skorupa grubiała i zdolniejszą była do oporu, processa te musiały także być więcej miejscowymi, a wstrząsające ich działanie musiało się rozszerzać na mniejszą część zewnętrznej powierzchni ziemi. Na niektórych nawet miejscach potworzyły się tylko pęcherzykowate podniesienia występujące z ponad wody, częściej zaś, gdy to co w nich się zawierało, gdzieindziej znalazło sobie ujście, prędziej lub powolniej znowu opadły.

Nie wiemy wcale jak często mogły się powtarzać podobne zjawiska w wielkim rozmiarze. Wielu Geologów, według stosunków uważanych na naszych teraźniejszych systematach gór, przypuszczają że podobnych wzniesień mogło się odbyć 12 lub 24, niektórzy więcej jeszcze naliczają, inni mniej, to jednak przypuszczenie dla teraźniejszego przedstawiającego

się nam produktu jest odpowiednim, gdyż nikt nas w tem objaśnić nie może jak wiele już w dawniejszych czasach powstało systematów gór i całkiem znowu zaginęło lub też na dno Oceanu opuściło się.

Do tego skrzepnięcia ognio-płynnej masy, w którym może kwasoród atmosfery o tyle przyjął udziału, o ile się on z metalem wapna, krzemionki, potażu, sody i innych tlenowych związków czyli niedokwasów połączył, z jakich się teraz górzyste masy składają — do tego bezpośrednio tworzenia się gór z ochładzającej się i twardniejącej zasadniczej masy, przyłączył się jak mówię, nie mniej wielkiego wpływu process. A mianowicie jak tylko pierwsze twarde masy kamieni podniosły się w powietrze, czynnemi także zaraz stały się siły, do powtórnego ich zniszczenia, siły, które i teraz powiększej części, chociaż może mniej gwałtownie widzimy nieustannie pracujące nad zniszczeniem i wygładzeniem gór. Zmiana gorąca i ochłodzenia sprawiła pęknięcie kamiennych mass, w szczeliny wcisnęła się nasycona kwasem węglowym woda, rozłożyła pozostałe przedtem chemiczne połączenia, i tym sposobem rozpuściła wewnętrzny związek skał, który się potrzaskał i w proch się nakoniec obrócił. I tak widzimy jeszcze jak się na górze Brocken wielkie granitowe bryły w pewnym przeciągu lat rozpadają na grubo ziarnisty piasek. Te wszakże masy piasku i pyłu przy dalszem ochładzaniu się ziemi, coraz gwałtowniej spadającymi ulewami zostały do głębin wielkich kotlin Oceanu spławione, a przy spokojnem ustaniu się wody, warstwami na dno się ułożyły, aż póki nowy wybuch tego dna morskiego i osiadłych na niem warstw, znowu się po nad zwierciadło wody nie wyniosł. Ma się rozumieć że i te tak wyniesione masy gór, uległy processowi zwietrzenia i że spławione ich produkta musiały dać powód do innego rodzaju osadów. Jednakże początkowe różnice tych osadów co do czasów, nie bardzo są od siebie oddalone i dają się sprowadzić do piaskowca, wapienia, gliny lub marglu, powracających we wszystkich perjodach. Processa te musiały trwać wiele set tysięcy lat, póki twarda skorupa ziemi nie zbliżyła się do téj postaci jaką dziś jeszcze okazuje, i dopóki gwałtowna walka pomiędzy ognio-płynną jeszcze massą i atmosferą pary, nie przyszła do pewnego spoczynku. Ta historia tworzenia się naszej ziemskiej kuli, prowadzi nas do przyjęcia dwóch co do wewnętrznej ich istoty różniących się górzystych mass, a mianowicie niewarstwowej z roztopionego stanu ostygłej i warstwowych z osadu wody powstałych skał.

W pewnym z perjodów tego kształcenia się lądu, siłami jakie jeszcze mogą istnieć lecz w warunkach i współdziałaniu ich jakie teraz na naszej ziemi zdaje się być niepodobnem, powstały pierwsze zarodki organicznych istot. Prawdo podobnie że morze musiało być miejscem rodzenia się tych organizmów a formy ich były jeszcze bardzo proste. Umierające organizmy zostały na dnie morskiem od osadów zagrzebanemi i zachowały się w całości albo w twardszych swoich częściach (łupinach lub kościach) przynajmniej co do zewnętrznej swojej formy, chociaż organiczna substancja po większej części została zniszczoną i często przez wciskającą się nieorganiczną materję zamienioną, na tak zwane *skamieniałości* (petryfikacye). Już z tego co się powiedziało o historii tworzenia się gór, pokazuje się, że podobne skamieniałości mogą się tylko napotykać w kamieniach warstwowych. W późniejszych peryodach powstały także organizmy na suchych lądach i z tych także przeszły szczątki jako skamieniałości do gór a to dwojakim sposobem, albo trupy zostały zaniezione ulewami i wielkimi strumieniami do morza, albo cały grunt na którym one żyły, zanurzył się, jakśmy wyżej wspomnieli, pod powierzchnię morza i tym sposobem całemi massami zagrzebał je pod osadami wód.

Staranne śledzenie systemu gór, mass górzystych i skamieniałości, przyprowadziło nas do tego, że stopniowe tworzenie się ziemi można było podzielić na odznaczone, w prawdzie nie co do czasu ale co do ich produktów, określone perjody, które nazywają *formacyami gór*, a które będąc uporządkowane w oznaczonym szeregu, tak się zachowują że nigdzie nie znajdujemy na ziemi głębiej w porządku stojącej formacyi, umieszczonej nad wyżyną; tak dalece że z pewnością przyjąć można iż się one w tym porządku jedna po drugiej utworzyły. Z takich formacyi bierze się kilka, tworząc z nich większe formacyjne peryody, jak gdyby stopnie wieku ziemi, według których też skreślę dalej pokrótce później stopniowe rozwijanie się państwa roślinnego.

Nim jednak do tego przejdę, muszę jeszcze raz powrócić do początkowego stanu naszej atmosfery ziemi, do klimatycznego jej stanu i stopniowych jej przemian. Temperatura ciała naszej ziemi ma podwójne źródło, to jest swe własne wewnętrzne ciepło i to które otrzymuje od promieni słonecznych. Z tego jednak ciepłika który posiada lub otrzymuje, oddaje ona ciągle pewną ilość w zimną przestrzeń świata. Teraz ochładzanie się i ogrzewanie od słońca

stoją w takim stosunku względem siebie, że prawie w doskonałej utrzymują się równowadze i że przynajmniej od 3000 lat temperatura ziemi ani $\frac{1}{10}$ część stopnia nie mogła się zmienić. Mamy na to dwa dowody: jeden astronomiczny opierający się na postrzeżeniach zaćmień słońca Kipparcha, który tu pomijam, a drugi botaniczny który dowcipny Arago pierwszy wynalazł. Owoce winnej latorośli nie dojrzewają już tam, gdzie średnia temperatura roku jest wyższą od 20 stopni, a przeciwnie daktyl nie udaje się już tam, gdzie temperatura spada niżej 20 stopni. Warunki te zbiegają się właśnie w Palestynie; tu Żydzi przy objęciu tego kraju znaleźli w połączeniu daktyl i winogrona; gdyby temperatura ziemi od owego czasu choć najmniej podwyższyła się lub niżyla, powinnyby jedna z tych roślin w Palestynie zniknąć, lub przynajmniej stać się nie płodną, ten jednak przypadek nie zdarza się.

Gdy jednak ziemia tyle teraz od słońca przyjmuje ciepła ile go przez ochładzanie się znowu w przestrzeni świata traci, to się innemi słowami znaczy że słońce jest *teraz* jedynem źródłem ciepła, musi przeto ciepło na ziemi, stosownie do jej położenia względem źródła tegoż ciepła być rozdzielonem, zwrotniki muszą być najgorętszemi a bieguny zimnymi, jak to już w innym odczycie wyłożonem zostało. Nie zawsze jednak ten stosunek miał miejsce. Dopóki ziemia była jeszcze ognio-płynna i otoczona gęstą, promienie słońca mało przepuszczającą atmosferą, ilość ciepła jaką otrzymała od słońca była nieporównanie mniejszą względem tej jaką traciła przez ostyganie, czyli innemi słowami: w czasie tworzącej się na początku ziemi, źródło jej ciepła całkiem się tylko prawie w niej samej zawierało. Tu więc nie miało wcale miejsca rozdzielenie ciepła zależne od stanu ziemi do słońca, i wszędzie prawie miała ona jednostajnie temperaturę wysoką. Gorąca, wilgotna, teraz charakterystyczna temperatura zwrotnikowego świata, panowała wówczas na całej ziemi, a okolice biegunowe czyniła podobnymi do krajów zwrotnikowych. Dopiero stopniami gdy ziemia coraz więcej ochładzała się, gdy atmosfera coraz więcej w kształcie deszczu otrząsała się ze swoich par, oddawała swój kwas węglowy organicznemu światu i stawała się tym sposobem jaśniejszą i przezroczystsza, słońce nabyło większego znaczenia, i tak stopniowo okolice wyższych szerokości, a nawet kraje podbiegunowe, przechodziły jedne po drugich klimata, które teraz idąc od równika ku biegunom znajdujemy na ziemi leżące obok siebie.

Stosunek ten okaże się później bardzo obfitym w następstwa, przy wyjaśnieniu rozmaitych po sobie następujących na ziemi roślinności.

Jak już było wspomnianem, zapewne że pierwsze zarodki żywotności powstały w wodzie, a stosownie do tego znajdujemy, w najstarszych warstwowych rodzajach skał, w górach szarego łupka (Grauwacke) albo jak go Anglicy nazywają w *silurycznych górach*; tylko niektóre szczątki z rodzaju porostów (Tangarten) w towarzystwie, okazujących się już w poprzedniczej *kambridzkiej formacji* niektórych przedstawicieli morskich zwierząt. Znajdowane rodzaje porostów w ogólności okazują wielkie podobieństwo z napotykanemi dziś pod zwrotnikowemi formami.

Nie powinniśmy tu wszakże zostawić bez uwagi, że szaro-łupkowe góry dotąd prawie tylko w Anglii i w Niemczech były starannie zbadane, i że właśnie na tych miejscach pokłady takie później wzniesionemi górami i działaniem rozpalonej masy tak gwałtownie zostały zburzone i przemienione, że niezawodnie wiele zawartych w nich szczątków, temi rewolucjami znowu zostało zniszczone. Przeciwnie zdaje się że formacja ta znajdująca się w Rosyi na nie zwykłej przestrzeni i w nienaruszonych jeszcze pokładach, powolnie i spokojnie podniosła się nad powierzchnię morza, i ztamtąd dopiero z postępem czasu otrzymamy dokładniejszą wiadomość o tym najdawniejszym osadzie morskim. Ku końcowi tego najstarszego czasu, występują już lądowe rośliny, a nawet między zachowanemi szczątki wyraźnie poznaniem zostało jedno szpilkowe drzewo.

W drugim peryodzie potworzyły się liczne wyspy, których grunt złożony po większej części z pokładów przeszłego peryodu, karmi już bogatą lądową roślinność. Możemy z pewnością wymienić jako takie grupy wysp, część Anglii i Szkocyi, okolice Renu, górę miedzianą (Erzgebirge) i Sudety, Środkową Francję, Wegezy, na północy część Szwecyi i Norwegii, Allegany w Ameryce północnej i inne punkta, na których rozwija się wedle ich charakteru całkiem tropikowa, lecz co do ich pojedynczych form całkiem obca i po większej części ze znikniętych z ziemi rodzajów składająca się roślinność. Trochę *palm* i niektóre *Cykadee*, kilka olbrzymich 12—20 stóp wysokości form *skrzypów* były rozrzucone po lasach drzewiastych paproci, pomieszanych z *Lepidodendrami* (wznoszące się ogromne pnie rodzajów widłaku) *Sigillarjami* (być może roślinami

do Kaktusa podobnymi) z Kalamitami Stigmariami i drzewami szpilkowymi. Nie znajdujemy jeszcze śladu, żeby te wyspy zamieszkałe były przez zwierzęta, lecz w morzu upędzały się już za małemi rybami straszne ludojady (rekiny), brzegi były usiane mnogimi formami *Koralów*, *Trilobity*, szczególne z rodzaju raków zwierzęta, dziwne z *Nautilami* spokrewnione istoty, i przesłiczne do lilii podobne *Enkrinity* i *Pentakrinity* nadawały bogatą różnorodność faunie wodnej. Wszędzie na całej ziemi znajduje się też sama flora od lodowatych dzisiejszych skał Islandyi, aż do gorących brzegów Malabaru. Długo taka roślinność trwać musiała, często musiał grunt pokryty szczątkami zmartwiałyh roślin i warstwą humusu, na nowo zapadać pod powierzchnię morza, a pokrywszy się warstwą osadu znowu być podnoszonym, ażeby stał się dogodnym dla podobnej i tak bujnej roślinności, gdyż ona to właśnie zostawiła nieobrachowaną wielkość, w półzniszczone roślinne masy, stanowiące dziś w postaci węgla kamiennego prawie jedną z najistotniejszych części przyrodzonego bogactwa pewnego kraju. Znajdujemy czasem po 20—30 pokładów węgla kamiennego jedne nad drugimi, zawsze pooddzielane osadami wapiennymi zawierającymi zwierzęta morskie. Nadto w takich pokładach węgla kamiennego znajdujemy często pnie całych lasów, dowodzące że cały kraj z całą swą roślinnością pograżył się powoli bez znacznej rewolucyi pod powierzchnię morza, jak coś podobnego i teraz jeszcze się dzieje na południowo-wschodnim brzegu północnej Ameryki; znajdujemy nawet podobne pnie korzeniami pograżone w węgiel kamienny, to jest w grunt obfitujący w humus, gdy górna ich część powleczone jest warstwą zaległego później na gruncie wapienia. Zastanowiwszy się że przy najbujniejszej zwrotnikowej roślinności, utworzenie się warstwy humusu na 9 cali grubości wymaga prawie jednego stulecia, że warstwa ta aby się stała węglem kamiennym, powinna być uciśnięta do 27 części swojej grubości, a zatem produkt jednego stulecia do 4 linii, można sobie zrobić przybliżone wyobrażenie o trwaniu tego peryodu, gdy leżące nad sobą pokłady węgla n. p. w Anglii mają całej objętości 44 stóp, a zatem przy utworzeniu węgla odpowiadałyby przestrzeni czasu przynajmniej 150,000 lat. Cecha świata roślinnego peryodu węgla kamiennego, wyrażonego przewagą wielkich drzewiastych skrytoplciowych mianowicie zaś paproci, najwięcej przypomina florę zwrotnikowych wysp morza południowego, zdaje się także że roślinność tych organizmów uwarunkowuje szcze-

gólnie gorąca wilgocią przesycona atmosfera, jaką zmuszeni jesteśmy przyjąć dla owój epoki na ziemi.

W następnym potém peryodzie *wtóraczych gór* istniejące przedtem wyspy zdaje się że były z florami swojemi po części znowu zatopionymi w morzu, gdy tymczasem wzniosły się inne obszerniejsze przestrzenie lądu, których grunt utworzył się szczególnie z wapieniów i piaskowców peryodu węgla kamiennego. Te przestrzenie lądu po części weszły w połączenie z istniejącymi jeszcze wyspami i tym sposobem ocalały niektóre roślinne formy poprzedzającej epoki, wszedłszy w nowy porządek rzeczy, gdy większa część osobnych rodzajów roślin, już to zatonała wraz ze swym gruntem, już to wyginęła w skutek stopniowo całkiem zmienionych fizycznych okoliczności. Istnieją wprawdzie jeszcze drzewiaste paprocie i Calamity, lecz stają się rzadszemi, przeciwnie zaś Cykadee i drzewa szpilkowe rozwijają się w większej ilości i w liczniejszych szczególnych formach, tworząc gęste lasy po brzegach wielkich lądowych jezior, w których rosną wielkie z rodzaju trzciny i sitowia rośliny. Wspaniałe kształty w drzewa wznoszących się *lilijowych*; *Bucklandye* i *Clatharje* może na wyższych gruntach tworzyły osobne grupy. Między niemi przewalały się olbrzymie cielska przedpotopowych *Gawialów*, *Leguanów* i *żółwiów*, przelatowały dziwaczne rodzaje *Pterodaktylów*, które porównać można do kolosalnych nietoperzy, a na suchych miejscach igrały dziwne Workowate (*Beutelratsen*), gdy w morzu żywiły się licznymi mieszkańcami wodnego żywiołu potworne niekształtne, *Plezyosaurus* i *Ichtyosaurus* w pół ryby w pół jaszczurki, które to morze oprócz tego zaludnione było *Ammonitami* i *Nautilami*, rakami i osobliwzemi *morskimi gwiazdami*. W bardzo małym rozmiarze powtórzyły się tu okoliczności peryodu węgla kamiennego i szczątki tego świata roślinnego, znajdują się w tak nazwanej formacyi *Keupru* i *gliniastego węgla*, gdziekolwiek tak obficie, że nie uważano godnem pracy, wydobywać je sposobem górniczym. Jeżeli właściwość flory węgla kamiennego, zależała na przewadze drzewiastych skrytoplciowych, do których przyłączyły się tylko niektóre Szyszkowe i Cykadee to przeciwnie dla peryodu wtóraczej formacyi te ostatnie rośliny stają się nadającymi charakter, gdy formy jednolścieniowe pojedynczo się tylko znajdują. Lecz już ku końcowi wtóraczego peryodu zmienia się cecha roślinności, gdy zapewne wielka część utworzonego już lądu, znowu się powoli w morze opuszczała, będąc obrzeżoną ogromnemi ławicami kora-

łów, gdy z drugiej strony wzniosły się potężne łądy, odpowiadające po części już dotąd istniejącym. Z ostatniej przeto formacji gór wtóraczych, zaledwie znajdujemy niektóre porosty i jednoliścienne wodne rośliny i tylko wskazania, że Cykadee i drzewa szpilkowe nie wyginęły jeszcze. Następujący potem nowy szereg, który Geognostycy oznaczają jako *trojaczą formacją*, zaczyna się wprawdzie jeszcze szeroko na ziemi rozprzestrzenioną cechą zwrotnikową w wyższym nawet szerokościach jak w Anglii znajdujemy nawet bogatą *palmową* roślinność, w ogóle widocznie teraz występującą, która zdaje się całemu krajobrazowi nadała fizyonomiją, gdy *szyszkowate* i Cykadee stopniowo usuwają się do pewnych miejscowości, może pierwsze do chłodniejszych wyżyn, a ostatnie do suchych oświetlonych pagórków. Po między Pandaneami i potężnymi trzciniami (Rohrkolbe), pasą się olbrzymie Tapiry, a utworzone z dwuliściennych drzew o szerokim listowiu lasy, ożywają ptaki i mniejsze lądowe zwierzęta. Wieloryby, hipopotamy i psy morskie wędrują po morzach.

Gdy ziemia idąc od biegunów zaczyna się stopniowo aż do terazniejszej swojej temperatury ochładzać, rośliny i świat zwierzęcy coraz dokładniej umiejscowiają się, tworzą się fauny i flory pewnych pasów. Już ku końcowi tego perjodu Mammut w stepach Syberyi potrzebuje ogrzewającego wełnistego włosa przeciw rozszerzającemu się chładowi, bardziej zaś po macoszemu aniżeli młodszy brat jego *słoń* będąc zabezpieczony, musi ginąć przed odgraniczającymi północ i wysokie góry drzewami szpilkowemi. Coraz więcej w świecie roślinnym występują formy terazniejszego świata. Olchy i topole pokrywają świeżą dolinę, kasztany zaś i figi, oświecone pagórki, a wysmukłe brzozy walczą z sosnami o posiadanie jałowszego i chłodniejszego gruntu. — Olbrzymia rzeka Ameryki północnej Mississipi corocznie na swoich falach toczy niezmierne massy, spławionych zwłok roślinnych, wielkie pnie drzew z lasów okolicznego kraju jęj źródła, w dół ku morzu. Tu powolniejszy bieg rzeki nie może już owych ciężkich mass utrzymać pływającymi i osadza je przy ujściu zapełniając przerwy między niemi mułem i drobnymi kamieniami. Od Nowego Orleanu w dół na wiele mil rozciąga się bagnista nizina, składająca się całkiem z podobnych spławionych, piaskiem i gliną powiązanych i stopniami na szaro-węglistą substancją przemionych mass roślinnych, tworzących na odległe czasy pokład węglowy. Podobnym sposobem wielkie rzeki trojaczego perjodu spławiły i złożyły w odnogach i zbiorowiskach

słodkiej wody, mnóstwo pniów szczególnie z drzew szpilkowych, które przez późniejsze pochylenie głębiej jeszcze zaniezione zostały pod powierzchnię morza, pokryte zostały osadami piasku, wapna i gliny i razem potem wyniesione zostały nad powierzchnią. One to tworzą, tę tak często szeroko rozchodzącą się warstwę *brunatnego węgla*, który będąc zawsze szacownym darem gruntu, bardzo jednak szczupło wynadgradza odjęcie węgla kamiennego. Zdaje się że całemu temu życiu, po największej części położyło koniec powtórne wzniesienie niektórych znacznych systematów gór, a mianowicie Himalai, przez sprawioną zmianę w powierzchni morza, a gdy w tymże czasie ziemia dosięgła kresu możliwego swego ochłodzenia, wywołanem przez to zostało terazniejsze wykształcenie stałego ładu i jego organizmów. Wszystkie następne jakie tylko miały jeszcze miejsce, podniesienia i pochylenia ładu, miały tylko bezpośrednio podrzędne miejscowe działanie.

Podane tu rysy możemy pokrótce w następnych głównych zawrzeć punktach. Stopniowe rozwijanie się roślinnego świata, zaczyna się od najprostszych roślin i stopniami postępuje w następnych perjodach, aż do najdoskonalszych roślin terazniejszej wegetacji. — Tworzenie się pierwszych perjodów odpowiada jednostajnie po całej ziemi rozszerzonemu zwrotnikowemu klimatowi, który postępując powoli od biegunów ku równikowi, przechodzi w terazniejsze klimatyczne stosunki, a razem jednocześnie okazuje się inna zmiana, gdy rośliny najstarszego perjodu zdaje się że będąc rozszerzone po całej ziemi, dopiero stopniowo ograniczeńsze oznaczyły obwody rozszerzenia, i tak przeszły w wielką jeograficzną różnicę roślinnego świata. — Stopniowa przemiana ogólnego zwrotnikowego klimatu, na klimatyczne terazniejsze strefy, daje się ciekawszym jeszcze sposobem wykazać na szczególnym przykładzie. Każdy pień szpilkowego drzewa grubieje nieustannie w całej swojej objętości. W okolicach podrównikowych gdzie klimat nieustannie przez cały rok też samą zachowuje cechę, toż samo zgrubienie ciągle i jednostajnie się odbywa, żaden słoń na gładkiem poprzecznem nacięciu pnia nie wyjawia nam czasu jakiego potrzeba było do jego wykształcenia. W miarę jednak jak postępujemy ku północy, w miarę jak klimatyczne stosunki coraz więcej uwarunkowują różnicę pojedynczych pór roku, stosownie też do tego okazuje się, że do wzrostu na grubość przyczyniają się sprzyjające pory roku, przeciwnie zaś niesprzyjające pory wstrzymują go albo całkiem przytłumiają. Na poprzecz-

nem nacięciu pnia, tem więcej okazują się różnice w kształceniu następujących po sobie części *drzewa* im pod wyższą szerokością rósł takowy; a nakoniec różnice te tak jawnie w szerokościach z ostrą zmianą zimy i lata odróżniają ostatni latem powstały od następnej zaraz wiosny utworzonego słoja drzewnego, że na powstałym z zacięcia okrągłym rysunku z największą dokładnością i pewnością można wyliczyć liczbę lat której użyło dotąd drzewo do utworzenia się. Dla tego też te koliste linije poprzecznego nacięcia znajome każdemu leśniczemu nazywają: *rocznymi kółkami*. Jeżeli teraz opatrzeni będąc taką wiadomością, porównamy z sobą pnie drzew szpilkowych, które się nam dochowały z rozmaitych perjodów formacyi, znajdujemy że najstarsze pozostałości wcale żadnego nie okazują śladu obrączek pór roku, w miarę zaś tego jak bliżej z czasem postępujemy, stają się one wyraźniejszymi, a nakoniec w najmłodszej formacyi n. p. w górnym brunatnym węglu tak właśnie dobitnie występują, jak na żyjących i teraz w tychże samych okolicach drzewach.

Jak treściwym i niedokładnym jest zrobiony przezemnie wykład następujących po sobie ziemskich roślinności, równie też tylko w wyższym stopniu niedokładną i w ogóle urywkową jest nasza wiedza o tych nie istniejących już czasach. Rozważywszy jak wiele przypadkowych zająć mogło okoliczności, kiedy mogące się jakkolwiek rozpoznać organizmy, mogły być zawarte w tworzących się górzystych masach, jak wiele niszczących sił w przeciągu sta tysięcy lat, rozciągających się od pierwszych początków roślinności do teraźniejszego świata, musiały wpływ swój wyrzeć na zachowane organizmy, nikt się dziwić nie będzie, że nasza w tem wiedza więcej niż gdziekolwiek jest sztuką, lecz nikt także nie odmówi podziwu tym ludziom, których niezmiernie trudna praca, których dowcipne kombinacye, potrafiły wyjaśnić to co wiemy o początkowej historii pierwotnego roślinnego świata i na tak wysokim stopniu pewności ją postawić mogły. Szczególnie wspomnieć tu trzeba imiona Sternberga, Brogniarta, Göpperta i Ungra, którzy sobie zjednali nieśmiertelną zasługę co do znajomości flory pierwotnego świata. Szczególniej zasłużył sobie na naszą wdzięczność jeniálny i bogatęj wyobraźni Unger, zestawiając wypadki dotychczasowych badań w szereg obrazów i który potrafił widoczniejszem aniżeli najlepsze opisanie uczynić przedstawiając w obrazowym wykończeniu charakter rozmaitych perjodów tworzenia się ziemi, moim zaś czytelnikom najusilniej zalecam zapewnić so-

bie jakim bądź sposobem zadowolenie jakie można znaleźć w zapatrywaniu się na podobne wizerunki.

Lecz rzuciłem tu tylko szkic tego co *wiemy*, co w rozmaitych czasach było na ziemi, chociaż zdawać się może komu, że większą może wzbudzać ciekawość pytanie o tem czego *nie wiemy*, i jak to było? Tu już całkiem prawie wchodzimy w dziedzinę dowolnej fantazyi, możemy tylko tu i owdzie nie pewnie podać podobieństwa, dla przedstawienia sobie obrazów ze słabym odcieniem prawdopodobieństwa, a chociaż z jednej strony naturalną jest rzeczą że tu poglądy niektórych badaczy nieskończenie od siebie się różnią, to jednak z drugiej strony śmiesznem i bez celu wydałoby się spieranie się, jak często się zdarza, o to lub owo zdanie, o prawdę lub fałsz jakiegoś snu na jawie.

Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że przynajmniej raz zarody życia organicznego na ziemi musiały wyjść z walki nieorganicznych żywiołów, lecz inne jeszcze zachodzi pytanie: czy ten wypadek często miał miejsce i czy musiał on często następować? Gdy zaś w tym przedmiocie każdy ma i mieć powinien swoje urojenia, dlaczegożbym i ja nie miał mieć swoich. Przypuszczenie kilkarazowego tworzenia (*Urzeugung*), całkiem nowego powstawania roślinnych zarodków z nieorganizowanych, albo nawet nieorganicznych materyi, uważam za zbyteczne, a następnie godne odrzucenia, a to na mocy zestawienia następnych uwag o stopniowym rozwoju świata roślinnego. Zasadą całego roślinnego świata jest komórka, cewka, organizm nadzwyczaj prosto zbudowany, którego powstanie, ze szczególnego związku kwasu węglowego i wody, dla utworzenia z jednej strony gummy i roślinnej galarety, jakoteż kwasu węglowego i Ammoniak, dla utworzenia z drugiej strony śluzu czyli białka; nie tyle zdaje się uchylać od możebnego wyjaśnienia, aniżeli nagłe powstanie roślinnego zarodka z całkiem oznaczoną siłą rozwoju na osobny roślinny rodzaj. Że cewka może wegetować jako samoistna roślina, wiemy to z otaczającego nas i teraz roślinnego świata, gdyż wiele roślin prostszej budowy, mianowicie zaś *wodnych roślin*, składają się z jednej komórki i między sobą tylko rozmaitą formą tych cewek się różnią.

Głównymi warunkami bujnego i w formy obfitującego roślinnego podzwrotnikowego świata, są wilgoć i ciepło, przyczyny jego różnaitości zdaje się że polegają na bogactwie gruntu w lekko rozpuszczalne nieorganiczne materye, które razem też wywołują zmianę chemicznego procesu w roślinach, a nastę-

pnie większą lub mniejszą odmianę form. Obie te okoliczności znajdują się razem pod zwrotnikami połączone, gdyż są od siebie zawisłe, albowiem wywołany ciepłą atmosferą bujniejszy świat roślinny, usychaniem i prędkim ich gniciem przygotowuje obfitujący w lekko rozkładające się substancje grunt, dla następnego pokolenia. Podobne stosunki, to jest większe bogactwo rozpuszczalnych nieorganicznych materii, przedstawia także nasz gnojny uprawny grunt i okolica alpejska, który składając się z nagich najbardziej zwietrzeniu podległych wysokich skał, zaopatrywanym jest bogactwem rozpuszczalnych produktów zwietrzenia ¹⁾. Wiemy także że raz utworzone sztuczne rodzaje jeżeli pod temiż samemi warunkami będą wegetować przez kilka generacji,

¹⁾ Ktokolwiek tylko rzuci okiem na jakiś doręcznik dokładnie zbadanej flory, nikt temu pewnie nie zaprzeczy, że rośliny Alpejskie okazują się w daleko większym bogactwie form, tworząc szeregi najwyraźniejszych odmian. Nie tak oczywiście może się to wydać dla uprawy ziemi, dla tego w krótkości wspomnę tu co następuje: Z pomiędzy niemieckich roślinnych rodziny mączników i ebiody (*Chenopodeen* i *Atriplex*) rosnących na zwaliskach, kupach śmieci i w ogrodach, a zatem właśnie pod nieuniknionym wpływem danych przez naszą uprawę warunków, a wiadomo to każdemu znawcy roślin w jak wielką obfitość form i odmian przeradzają się te rośliny. Weźmy z najlepszej i najstaranniej obrobionej niemieckiej flory, te rodzaje roślin, które najstalsze okazują gatunki, a razem też obejmują gatunki stale wegetujące, gatunki pod wpływem naszej uprawy, a natychmiast pokaże się że ostatnie wyłącznie lub szczególnie odznaczają się bogactwem i grą form i mniej lub więcej oddalają się od głównego charakteru swego rodzaju! Stawię tu dla przykładu takie rodzaje jak *Thalictrum minus*, *Ranunculus arvensis*, *Viola tricolor*, *Silene gallica et inflata*, *Spergula arvensis*, *Medicago falcata*, lupina, *tribuloidis*, *Vicia villosa*, *sepium*, *grandiflora*, *angustifolia*, *Knautia hybrida arvensis*, *Scabiosa grammuntia*, *Cirsium arvense*, *Taranacum officinale*, *Galeopsis ladanum*, *Agrostis stolonifera*, *vulgaris*, *Aira cespitosa*, *Festuca ovina rubra*, *Bromus secalinus*. Niektóre nawet gatunki mogły dopiero z takich odmian powstać w czasie historycznym, jak n. p. *Thalictrum minus et majus*, *Veronica praecox* i *triphyllos*. Zaledwie jednak potrzebuje wspomnieć, że wszystkie właściwie uprawne rośliny w licznych zdarzają się odmianach, kiedy nie mówiąc nawet o grochu, kapuście i kartoflach i o drzewach owocowych każdemu ta prawda jasną się wydaje.

przechodzą nakoniec w wyrodki to jest sztuczne rodzaje, które z pewnością z nasion dają się rozkrzewiać jak n. p. nasze grzędy grochu, nasze plantacje kapusty, nasze pola pszenicy tego dowodzą. I znowu, jeżeli też same wpływy, które wywołały odmianę pierwotnego kształtu jakiejś rośliny, nieustannie działając nie wprzeciągu stulecia lub tysiąca lat lecz przez 10 i 100 tysięcy lat w podobnym sposobie — jak nakoniec, po przejściu z odmiany na wyrodka z tego ostatniego, nie robi się trwała roślinna forma którą moglibyśmy i powinniśmy nazywać rodzajem? Teraz zaś, jeżeli dana jest pierwsza komórka, to według poprzedzającego, wskazaną też jest droga jakim sposobem wychodząc z niej mogło się stopniami utworzyć całe bogactwo roślinnego świata, na nowo rozpoczynające się przez utworzenie sztucznych rodzajów, podgatunków i gatunków, — zapewne że to się odbyło w okresach o których nie mamy żadnego wyobrażenia, o których jednak, gdy nic temu nie przeciwi się, możemy według upodobania roić w naszych marzeniach! — gdyż wspomnijmy tu jeszcze że wszyscy nowsi geologowie coraz więcej zbliżają się do tego poglądu, że przy utworzeniu się naszej ziemskiej pokrywy, wiele z tego co dawniej przypisywano gwałtownym konwulsyjnym i nagłym rewolucjom, było raczej wypadkiem w ogromnych przestrzeniach czasu powolnie działającej czynności. Wodospad n. p. Niagary wylewa się w przepaść wykrojona z górzystego terasu, Lyell zaś dowiódł że ten wodospad z początku, to jest na końcu wszystkich tak nazwanych ziemskich rewolucji i potopów, zlewał swoje wody po brzegu tego terasu i dopiero stopniami wypłókał sobie tę przepaść. Do tego potrzeba było perjodu przynajmniej 20,000 lat, a zatem przynajmniej od tak dawna istnieje północna Ameryka w terażniejszej swojej postaci i tychże samych fizycznych stosunkach. Język ziemi leżący pomiędzy Nowym Orleanem i Balizą całkiem został utworzony z napływów i osadów wód Mississipi. Dr Bidlec bardzo dokładne i obszerne o tem zjawisku porobił postrzeżenia i według nich wyliczył, że utworzenie tego języka potrzebowało najmniej perjodu 67,000 lat, a nadto prawdopodobnie 33,000 lat. Trzeci podobny przykład przywieśliśmy już wyżej mówiąc o węglach kamiennych i łatwo możnaby pomnożyć dowody, że przestrzeń czasu którą z chętną zarozumiałością lubimy nazywać historją powszechną, zaledwo jest ostatnią przelotną chwilą w nieskończenie długiej historyi życia drobnuchnego pyłku naszego planety.

(D. n.)

ZGIERZ I ŁAGIEWNIKI.

(Dokończenie).

R. 1677 Zelewski przed aktami grodzkimi zrobił zapis na fundację dla ks. Franciszkanów, a 1678 r. zjechała komisya dla wybadania i przekonania się o sprawiedliwości cudów. Dwudziestu świadków stanęło z osób różnego stanu i wieku, Komisya uznawszy prawdziwość cudów, przyjęła zapis dla Franciszkanów do swoich akt, które przesłała do uznania władzy wyższej. Lecz proboszcz Zgierski w widokach własnego probostwa, protestował przeciw założeniu publicznej kaplicy i sprowadzeniu Franciszkanów, oraz zaprzeczał wiarogodności cudów. Dla tego władza Administracyjna, delegowała inną komisję, której czynności roztrząsnął Stanisław Krajewski, kanonik Łowicki, Administrator Arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego, przyznał cudowność, pozwolił odprawiać nabożeństwa publiczne w miejscowej kaplicy, zatwierdził miejsce dla ks. Franciszkanów, z zastrzeżeniem praw kościoła parafijalnego Zgierskiego.

Franciszkanie zajmowali jakiś czas spokojnie klasztor Łagiewnicki, lecz ponieważ coraz więcej ludzi pobożnych schodziło się do Łagiewnik, proboszcz Zgierski, znów zaskarżył Franciszkanów do Rzymu, do papieża Innocentego XIgo, co spowodowało jeszcze jedną komisję zarządzoną przez Nuncjusza Papieżkiego, Opicjusza Palawicini bawiącego przy Janie III. Akta téj komisji, Nuncjusz przesłał świętemu zgromadzeniu kardynałów, które upoważniło go w roku 1680 do wydania wyroku na stronę Franciszkanów. Czego też dopełnił 1681 zatwierdzeniem fundacyj Zelewskiego dla Franciszkanów i osadzić zakonnikami rozkazał.

Pierwszy gwardjan tutejszy, Piądzikowski Adrjan, założył fundamenta pod kościół obecnie stojący 1701 roku. Z różnym powodzeniem prowadzono fabrykę do roku 1726, w którym ukończono kościół, konsekrowany przez Teodora Potockiego Prymasa Arcybiskupa Gnieźnieńskiego. Kościół wewnątrz obszer-

ny, bogato ozdobiony złoconiami, ma charakter poważny.

Był to wtorek. Przed wielkim ołtarzem, w którym umieszczony jest obraz Śgo Antoniego Cudotwórcy w srebrnej sukni, odprawiała się Msza Święta z wystawieniem Najświętszego Sakramentu. Po mszy pokazano nam skarbiec. W skarbcu relikwiarz z ułamkiem Krzyża Świętego. Pudełeczko, w którym znajduje się brewjarz i pas kolczasty żelazny Rafała. Aparatów kościelnych, zwłaszcza ornatów ładnych jest kilka, z tych jeden po ś. p. Arcybiskupie Fijałkowskim: Duży dywan kredową robotą, pare kielichów, jeden z kokosowego drzewa w złoto oprawny, zdaje się być bardzo dawnym zabytkiem. Oprócz wielkiego ołtarza, w lewej kaplicy stanowiącej lewe ramię krzyża, w kształcie którego jak nadmieniliśmy kościół zbudowany, znajdują się trzy ładne ołtarze. Środkowy Najświętszej Maryi Szkaplerza Śgo. U spodn obrazu spoczywający król Dawid, z jego piersi wychodzi drzewo genealogiczne Naj. Maryi Panny, grubemi splotami figury oznaczające pochodzenie Maryi Panny i Ś. Józefa. Boczny jeden Ś. Salomei drugi Śgo Józefa. W drugiej przeciwległej kaplicy, stanowiącej drugie ramię krzyża Ołtarz Śgo Franciszka Serafickiego, i dwóch bocznych, pierwszy Ś. Jana Chrzciciela, drugi Śgo Bonawentury. Bliżej ławek są umieszczone dwa ołtarze, po jednej stronie Pana Jezusa Ukrzyżowanego, po drugiej Śgo Dydaka. Dawną zakrystją, przerobiono na kaplicę Przemienienia Pańskiego, i przeznaczono na złożenie zwłok Błogosławionego Rafała, jeśli Kanonizacja jego przyjdzie do skutku.

Pod lewą kaplicą spoczywają zwłoki Karnkowskich, pod prawą Rafała Chylińskiego.

Rafał Chyliński urodził się 1694 r. ojciec zwał się Arnolf Jan z Chylizen Chyliński, a matką była Małgorzata z Kierskich. Już w młodości odznaczał

się między rówieśnikami dobrem postępowaniem, i wywierał wpływ wielki zwłaszcza na dzieci włościańskie, które zbierał w gromadki, a które go słuchały i szanowały bardzo. Uczył się dobrze, a ukończywszy nauki w Poznańskich szkołach, gdy kraj jego usług potrzebował, jakkolwiek czuł powołanie do stanu duchownego i kształcił się w tym kierunku, wstąpił do wojska. Dobre dziecko, dobry uczeń był dobrym żołnierzem i otrzymał dowództwo chorągwi, co dużo znaczyło podówczas w hierarchii wojskowej, tak więc i tu odznaczył się jako żołnierz-obywatel, a młodym musiał być bardzo, gdyż jak przekonywamy się, w roku 1713, a zatem mając lat 21, już jako zajmujący wyższe stanowisko wojskowe, opuścił je i wstąpił do nowicjatu. Tu w dwa lata, a zatem w 23, poświęconym został na kapłaństwo przez Piotra Tarła, Biskupa Inflantskiego. Jak w młodym wieku prowadził gromadki dzieci za sobą, tak na stanowisku kapłana, przykładem własnym, życiem, słowem, prowadził tłumy ludu do dobrego, ku Bogu. Poświęcenie nie było trudem dla niego; rozumiał że życie nie mierzy się długością lat, lecz liczbą czynów. On też niezmordowany w niesieniu pomocy i pociechy religijnej, prowadził życie nadzwyczaj ostre i surowe. Nim stanął klasztor mурowany, zakonnicy mieścili się jak mogli w drewnianych domkach; jeden taki, dotąd zachowany w ogrodzie, zajmował Rafał Chyliński. W żelaznej na gołym ciele noszonej opasce, po trudach dziennych, spoczywał na desce służącej mu za łożo. Ale Rafał nie pamiętał o sobie, bo życie braciom, bliźnim poświęcał ⁷⁾.

Pozwalamy sobie jednakże przytoczyć wyjątek z wzmiankowanej książki: „Że śmierć sługi Bożego „Rafała była pełną chwały i szczęśliwą, widzieć to „można z wielu zdarzeń i przykładów, które skon „jego poprzedzały, szczególnie *wytrwałość aż do „końca, która tylko podług Śgo Bernarda, mężom „chwałę, a cnotom koronę wyjednywa*, nie odstąpiła

⁷⁾ Nie podajemy bliższych szczegółów o życiu Rafała, gdyż te znaleźć można w książce drukowanej u Strąbskiego 1844 r. Książka ta pod tytułem: „Wiadomość „historyczna o cudownym objawieniu się Śgo Antoniego „z Padwy we wsi Łagiewnikach, z przydaniem krótkiego „rysu życia księdza Rafała Chylińskiego przez X. J. „Piaseckiego” wyczerpująca przedmiot. Ponieważ pierwsze wydanie rozeszło się już, obecnie ma wyjść w drugim na korzyść Łagiewnickiego klasztoru, potrzebującego śpiesznej reparacji.

„na jedną chwilę Rafała.” Przepowiedziawszy śmierć swoją ze wszystkimi szczegółami, zasnął w Panu 1741 roku, a zatem, mając lat 47. Jak żył użytecznie, jak pracował dla ludzi, były najlepszym dowodem tysiące ludu zebrane na obchód pogrzebowy, a jak Bóg jego życie przyjął, okazało się z łask nadzwyczajnych, jakich doznawali strapieni, proszący przyczyny Rafała, którego ciało bez okazałości między innymi było złożone: aż dopiero Władysław Alexander Łubieński, Arcybiskup Gnieźnieński, Prymas, zesłał pierwszą komisję do Łagiewnik 1761 r. Trzydzieści pięć osób stanu świeckiego, i trzynastu zakonników stanęło albo jako naoczni świadkowie, albo dla zeznania jakich łask dostąpili. Po tej pierwszej komisji, przeniesiono zwłoki w miejsce gdzie dziś spoczywają. Sprawa o kanonizację z różnemi przerwami dotąd agitująca się, w przeszłym roku znowu przerwana, zdaje się z czasem ukończoną zostanie.

Cożkolwiek bądź, pamięć żywa jego dobroci i poświęcenia, tkwi dotąd w pamięci okolicznego ludu, i lud już dzisiaj uznał go za świętego.

Zstąpiliśmy do otwartego grobu po kilku schodkach. Światło i świeże powietrze dochodzi tutaj przez otwarte okienko w przeciwległej umieszczone ścianie. Szczątki Rafała (w opieczętowanej trumnie, oddzielone sztachetkami, prostej roboty) przypuszczają miejscowi kapłani że zapewne przechowują się w całości, gdyż podczas ostatniej komisji, przy dopełnionej rewizji ciało nawet najmniejszej nie uległo korupcyi. Miejsce to nie robi wrażenia grobu, gdzie cicho, spokojnie umarłym, gdzie patrząc na popioły człowiek głębiej patrzy w siebie, zapytuje dokąd dąży? Tu inne uczucie ogarnia. Stoi się w obec grobu człowieka wielkiej zasługi, ciągłej, niezmordowanej, człowieka co prawie żadnemi nie rozporządzał materjalnemi środkami, a tak cichy, nie pragnący chwały od świata i ludzi! Ile serc zjednał niebu, ile umysłów naprowadził na użyteczności drogę, któż wie oprócz Boga? któż policzyć zdoła? A przecież powtarzamy, wielka musiała być jego zasługa, bo wielka miłość.

W sklepionym na kształt łuku grobie Rafała, jest z każdej strony przepierzenie z drzwiami. Na lewo zwłoki spowiednika Rafała, przechowwały się w całości. I trzech braci zakonnych, z których dwóch zginęło przypadkową śmiercią przez otrucie! Spóźnionym z przechadzki zgotowano coś z mąką przysposobioną dla wytrucia szczurów; po prawej ręce leżą dobrodzieje i fundatorowie klasztoru.

Oprócz tablicy marmurowej, na pamiątkę poświęcenia kościoła, z portretem Konsekratora Prymasa Potockiego, po prawej stronie przy wejściu do kaplicy umieszczona jest jeszcze na przeciwległej stronie dla uczczenia pamięci Benedykta XIIIgo wraz z jego wizerunkiem.

Przy wielkim ołtarzu, jest marmurowa tablica z napisem:

D. T. O. M. H.

Nobiles Generosi de Renucewice Stokowscii.
Hic jacent Gaspar Pater, Joannes et Antonius Filii.

.....
Vixit annis 75. Mortuus septembris Anno 1715.

Tablicę tę, zgromadzenie własnym kosztem sprawiło, dla przekazania potomności dobrodziejstw fundatora, który nawet w klasztorze umarł.

Pod kaplicą Najświętszej Maryi Panny, spoczywają zwłoki ostatniego z tej linii Karnkowskich, Stefana kasztelana i senatora królestwa polskiego, zmarłego dnia 17 Marca 1824 r.

W ładnym położeniu jest jeszcze cztery kapliczki w dość znacznej odległości od murów klasztornych, z nadanemi odpustami.

S. C.

LOZANNA

I ZJAZD W NIÉJ EKONOMISTÓW.

(Dokończenie.)

Na posiedzeniu, pierwszy głos zabrał *Maria Pastor*, b. hiszpański minister skarbu i odczytał teorię podatku, owoc pracy i rozmyślenia całej młodości. Nie jest to system podatku jedyne, ale *patentów* nazwany od Garnier i Royer *poglównem z podziałem na kategorie*. Tu stosunkowość zasada się nie na zamożności podatkujących, ale na usługach od rządu przez jednostki wymaganych. Dotąd nie odzielano *podstawy* od *rozkładu* podatku. Podstawą nazywa cyfrę ogólną dochodu z podatku, zastosowaną do potrzeb rządu. Tu p. P. chce aby rząd, jak śmiały przedsiębiorca, w wydatkach nie oglądał się na środki, licząc na dobry rezultat obrotów. Dla ustosunkowania rozkładu M. P. ustanawia 45 kategorii społecznych i podatkujących, w sposób następujący: Cała cyfra podatku rozdzielona przez liczbę mieszkańców daje *minimum* taksy. Taż cyfra rozdzielona przez liczbę podatkujących stanowi *średnią* takse. *Maximum* ustanawia się ze względu na okoliczności miejscowe, powodujące większe dla rządu ciężary. Oznacza się liczba płacących maximum, potem minimum, a pozostali płacą *średnią* takse. Każda z tych taks dzieli się na 3 stopnie, więc otrzymuje się 9 stopni taksy. A że całą ludność rozdzielić można na 5 serij: właścicieli ziemskich i przemysłowców (umysłowi, rolni, fabryczni i handlo-

wi), każda zaś z tych serij dzieliłaby się na 9 stopni według stopni taksy, ztąd więc utworzyłoby się, 45 kategorii podatkujących. Stopniowanie taksy dla właścicieli ziemskich zasada się na rozciągłości ich posiadłości, w innych zaś na skupieniu ludności. Ztąd wynika, że przemysłowcy jednego rodzaju, z których jeden ma dochodu dziesięć razy więcej od drugiego, jednakowy mieliby płacić podatek; tak np. dwaj adwokaci w jednym mieście zamieszkali, jednakowo byliby opodatkowani, chociażby jeden z nich miał 10 a drugi 100 tysięcy dochodu. System ten nie da się usprawiedliwić, gdyż przy większej praktyce więcej się korzysta z instytucij publicznych. Choć zawiera w sobie wiele rzeczy dobrych, ale ma nie mało stron słabych, M. P. utrzymuje, że *stosunkowość możebna jest tylko przy jedności podatku*, na jakiejkolwiek oprzemie go zasadzie — kapitału, dochodu, czy też usług publicznych.

Potem wystąpił młody filozof-ekonomista *Walras*. Lekki szmer powstał w zgromadzeniu, gdy on ukazał się z ogromnym zeszytem i zabrał się do czytania; nie zachwiały go wyraźne reklamacje obecnych. W długiej metafizyczno-komunistycznej rozprawie p. W. obok wykładu zasad elementarnych ekonomii politycznej, rozwija pogląd na kwestję podatku i dochodzi do konkluzij oryginalnych, a nawet parado-

ksalnych: że podatek jest iluzją, fikcją; że żadna forma nie zdoła uczynić go racjonalnym, stosunkowym, sprawiedliwym; że podatek jest kwestją do rozwiązania niepodobną, że jest *komedją*. Główną myślą był tu *komunizm gruntowy*. „Gdyby, przyjęty został system komunizmu, wtedy skarb publiczny byłby właścicielem wszystkich kapitałów i dochodów,— nie byłoby kwestji podatku; przeciwnie, należałoby rozwiązać zadanie odwrotne: określić, jaka część dochodu publicznego powinna być wydzielona na rzecz jednostek, i w jaki sposób miałyby się odbywać to wydzielenie.” „W razie połączenia dwóch systematów: komunizmu i indywidualizmu, gdyby własność bogactwa krajowego przyznana była w części skarbowi a w części jednostkom: tym ostatnim własność zdolności osobistych i kapitału *sztucznego*, skarbowi zaś własność ziemi, która będąc wydzierzaną przemysłowcom i kapitalistom czyniłaby dochód *naturalny* skarbowi,— i w tym razie nie byłoby wcale kwestji podatku.” Kwestja ta podług W. wynika jedynie z zasady indywidualizmu, dziś wyłącznie w społeczeństwie panującej, — i jeżeli się okaże do rozwiązania nie podobną, będzie to świadczyło nie przeciwko nauce ani postępowi, ale przeciwko zasadzie organizacji społecznej — zasadzie indywidualizmu. Nakoniec p. W. podał do głosowania propozycję dwuznaczną. Uważając za jedyny sposób sprowadzenia podatków do jedności ustanowienia *jedynego podatku gruntowego*, ten zaś podatek jako konfiskatę części gruntów ze szkodą właścicieli, konkluduje o niemożności podatku jedynego. Cała trudność w tem, że ziemia przywłaszczona; gdyby można było poprawić ten błąd naszych przodków i wyjść z indywidualizmu, — trudność byłaby usunięta. W. zyskał oklaski, ale przy głosowaniu tylko dwa głosy.

Wystąpił następnie *E. Girardin*. Powołując się na zdanie Monteskiego, złożył następną propozycję: Przyjmując definicję: „*Podatek jest to pewna część majątku przez obywateli oddana dla ocalenia pozostałej*,” kongres jest zdania, że w skutek tego podatek powinien być *rzeczowy*, a nie osobisty; że musi być *jedyny*, ażeby mógł być stosunkowym i sprawiedliwym; że będąc rzeczowym i jedynym, staje się dokładną miarą bogactwa kraju; że wyłączając tych co nic nie posiadają, jest najłatwiejszy w regulacji, najmniej kosztowny w poborze, usprawiedliwiony w teorji i prosty w zastosowaniu. W tej proporcji streścił G. swój system, i oświadczył, że pod kapitałem do opodatkowania rozumie *czyste activum*.

Roger uważa to objaśnienie za zbyt ciche, gdyż majątkiem nie można nazwać tego, co się winno. Ta prawda nie dla wszystkich jasna, zwłaszcza w rzeczach zawikłanych, a właśnie w kwestji obecnej objaśnienie to usuwa niezrozumienie, które dzisiejsza praktyka finansowa łatwo nastreczyć może. Tak np. podatek gruntowy u nas w Polsce cały, z tytułu własności, to jest niezależnie od włościańskiego, — spada na właściciela ziemskiego, bez względu na obciążenie hipoteki, gdy przeciwnie w Anglii na mocy prawa z roku 1842 rozdziela się między właściciela i wierzycieli.— Tu zwrócimy uwagę na sprzeczność w połączeniu charakteru podatku *rzeczonego* z innym jegoż charakterem — podatku *ubezpieczającego* i *dobrowolnego*, gdyż osoba, równie jak rzecz, więcej potrzebuje bezpieczeństwa i opieki. G. uwalnia od podatku kapitały moralne, zdolności, których dosięga podatek dochodowy. A czyż i te kapitały nie potrzebują opieki i składka ubezpieczenia od nichby się nie należała? Osoby nieubezpieczone czyżby miały być pozbawione prawa korzystania z instytucji publicznych, dróg, policji i t. p.? Na te pytania p. G. nie mógł odpowiedzieć. Z drugiej strony podatek jedyny z kapitału ma niezaprzeczone zalety: jest sprawiedliwszy od wszystkich dotychczasowych podatków, gdyż dopuszcza stosunkowość, usuwa arbitralność, nie podobnem czyni przerzucanie; łatwy jest i niekosztowny w poborze, a nakoniec daje możliwie dokładny kadastr bogactwa krajowego. Dodajmy nadto że ze wszystkich teorji podatku jest najwięcej rozwinięty, a pomijając niepraktyczną myśl *ubezpieczenia dobrowolnego*, byłby może i najłatwiejszy do wprowadzenia. Ekonomista Hiszpański *Piguierola* odpowiedział p. G. wychodząc z zasady, że podatek winien być *osobisty*, a dotyczyć rzeczy tylko jako dopełnienia osoby. Pod względem zasady prawnej, utrzymywał również w brew panu G., że podatek nie może być dobrowolnym, że każdy winien go płacić za usługi i prawa sobie zapewnione, że zatem podatek musi być osobisty i dosięgać obywatela kraju w jego majątku, zdolnościach, — w ogóle we wszystkich przejawach jego istoty. Podatek osobisty daje *tytuł obywatelstwa*, którego to G. pozbawia ludzi nieposiadających kapitału. Teraźniejsze podatki niestałe są podatkami czysto rzeczowymi. System podatku rzeczowego z kapitału pomija wiele źródeł bogactwa. Zważywszy wielką nierówność uposażenia umysłowego, zdolności, trudno nie przyznać, że pominięcie tego kapitału moralnego wielką jest niespra-

wiedliwością. Co do praktycznego zastosowania F. był za *stosunkowością* rozkładu jako środkiem jęj zachowania i za *jednością* poboru. „Jak w samym „związku społeczności, mówi F. podatek jest jedy- „ny, tak też w idealnym jęj stanie jedynym zostać „powinien; ale w przechodnim stanie ludzkości był, „jest i będzie wielorakim. Zresztą w budżetach eu- „ropejskich widzimy dążenie do tęgj jedności: W Hi- „szpanji np. mieliśmy kiedyś przeszło 200 rozmai- „tych podatków; dziś liczba ich zmniejszyła się do „14 czy 15. Nie mamy jeszcze jedności podatku, ale „do nięj dążymy.” Figuerola zyskał ogólną sympatię zgromadzenia i serdeczne oklaski, chociaż mu język stał na przeszkodzie. Podatek jedyny i osobisty pana F. stanowił przejście naturalne od podatku p. Girardin *rzeczowego z kapitału* do podatku *dochodowego*, który z natury swojej musi być *osobistym*.

Jako przedstawiciel podatku jedynego z dochodu wystąpił *Pascal Duprat*, ale z góry oświadczył, że wyklądać swego systemu teraz nie będzie i ograni- czy się rozbiorem podatku kapitałowego. Część kry- tyczną systemu Girardina przyjmuje P. D. bezwa- runkowo: podatek wieloraki, potępia bezpowrotnie. Ale w części dogmatycznej różni się on z p. Girar- din. Przyznając podatkowi kapitałowemu, że jest prosty, łatwy w ustanowieniu i niekosztowny w po- borze, wskazuje wady, dla których nie może być przyjęty bezwarunkowo. — Czyniąc zarzuty teorii, P. D. raził swego przeciwnika sztyletem tak zręcz- nie osłodzonym pochwałami, że G. wcale się nie obraził. — Zarzuty zmierzały do wykazania, że sy- stem p. G. prowadzi do zgubnych dla społeczeństwa i kraju następstw: bo najpierw, podatek czysto rze- czowy stawia członka społeczeństwa w dzikiem odo- sobnieniu. Powtóre system G. jest niekompletny, a zatem niesprawiedliwy: pomija mnóstwo elemen- tów bogactwa, — pracy, działalności, zdolności ludz- kich — ograniczając się na kapitale materjalnym, nagromadzonym. Girardin, tworzy dwie klasy, szla- chetnych pracowników i myślicieli, wolnych od po- datku i bogatych prostaków, na których cały ciężar spada. Jakkolwiek uwolnienie pracy i inteligencji od ciężarów podatkowych nie jest całkiem bezzasa- dne, bo ci pracownicy służą krajowi w rozmaity sposób, gdy tymczasem próżniak bogaty jedynie pieniędzmi służyć może ludzkości, której postęp złem użyciem bogactwa tamuje, — wszakże te wzglę- dy wyjątkowe nie uchylają niesprawiedliwości wyłączenia: zresztą wyższość inteligencji nie jest wypad- kiem własnej woli, — daje ją społeczeństwo, jego

organizacja, — nakoniec przeciążenie bogatych, pra- cowitych i z intelegencją, byłoby zarazem niespra- wiedliwością i błędem ekonomicznym. Po trzecie, ów system uwalnia od podatku niedbałych, marno- trawnych, a obciąża przezornych, oszczędzających część swojej pracy: jest to kara za roztropność. Człowiek utalentowany, — artysta, profesor, mówca, dziennikarz, — nie nie zapłaci, chociażby miał ogro- mne dochody. Zważmy przytem, że w pewnych epo- kach burzliwych, w przesileniach, kiedy inne źródła upadają, potęga publicystów, a razem ich dochody wzrastają. Po czwarte: podatek kapitałowy spada na kapitały nieczynne, jakimi są rozmaite zbiory naukowe i artystyczne, biblioteki, muzea. System taki może mieć wpływ najgorszy, okropny, niszcząc, pożerając stopniowo podobne kapitały. Po piąte, dowolność podatku otwiera pole egoizmowi, a w o- statecznym rezultacie prowadzi do negacji wszelkie- go rządu i do powierzenia bezpieczeństwa publicz- nego prywatnej kompanji. Myśl wspólna z Rousseau (*Contrat social*), czego się nawet p. G. nie zapiera. Zachodzi między nim a Rousseau różnica w tem, że on niema pogardy dla nauk i sztuki i lubi kompanje ludzi znakomitych, jak tego dowodzi przytoczenie ustępu z Montesquieu, na którym oparł swoją pro- pozycję. Pascal Duprat robi tu uwagę, że Montes- quieu nie był ekonomistą, że nauki ekonomiczne w jego czasie nie były rozwinięte, w końcu wnio- skuje za odrzuceniem propozycji Girardina.

Podjął się obrony systematu Girardena *Serno- Sołowiowicz*; ale wdał się w niemiecką filozofję: do- wodził, że związek społeczny jest realizacją idei sprawiedliwości i postępu, że sprawiedliwość zasa- dza się na wolności i równości, że ludzie są równi w obliczu natury i t. p.; odrzucił wszelką teorię po- datku i w końcu niczego nie dowiódł, — chyba tylko nierówności mówców w obliczu kongresu. Ta propo- zycja była skróceniem propozycji p. Girardin. Dalej głos zabrał *J. Garnie*; przyjmując zasadę podatku jedynego, pozostawia czasowi dojście do tego ideału, a proponuje system przechodni w tych słowach: a) że można sprowadzić do *małej liczby*, w przy- szłości zaś do *jednego* rozmaite podatki, wzięte z praktyki finansowej ostatnich wieków; b) że przej- ście to stanie się możebnem i coraz łatwiejszem w miarę postępu swobód publicznych, niepodległo- ści narodów i cywilizacji w ogóle — i że c) podatek winien spadać przedewszystkiem na *dochód* robo- tników, przedsiębiorców, kapitalistów i właścicieli ziemskich. Girardin, uważając zapewne obronę Soło-

wiowicza za zbyt słabą, stanął jeszcze w obronie swego systemu; odpowiedział iż kwestja leży w tem: czy podatek ma być *rzeczowy* czy *osobisty*,— i obstał za rzeczowym. Na zarzut Duprata co do uwolnienia kapitału umysłowego, powiedział Girardin, że sam będąc dziennikarzem płaci wszystkie podatki: gruntowy, od ruchomości, drzwi i okien, konsumcyjny; że zebrałszy kapitał z dziennikarstwa, musi go przecie użyć na kupno ziemi, domów, sprzętów i t. p., a wszystko to płaci podatek.... Są to podatki właściciela, — ale nie dziennikarza, który, gdyby cały swój dochód przeżył, nie płaciłby podatku. Co do zarzutu, że podatek kapitałowy niszczyłby stopniowo przedmioty sztuki, muzea, — odparł Girardin przypomnieniem o ubezpieczeniu, protekcji, zapewnionej opodatkowanym przedmiotom; podatek z kapitału artystycznego nie czyniącego dochodu, może ograniczyć fantazję osób prywatnych zatrzymywania pod kluczem kosztownych zbiorów dla samolubnych pobudek, bez żadnej dla ogółu a z małą dla siebie korzyścią; może nawet czasem zniewolić do pozbycia się pewnych przedmiotów. Ale sztuka na tem zyskać tylko może: bo niktby przecie obrazów, rzeźb nie niszczył; tylko przy zwiększonym ofiarowaniu, a mniejszem żądaniu, straciłyby one na zbyt wygórowanej fantastycznej *cenie*, nie tracąc bynajmniej *wartości*, owszem nabywając większego znaczenia przez umieszczenie w zbiorach publicznych. Girardin zapytał: „czy należy nakładać podatek na tych, co nic nie mają i na tych, co od rządu żadnej nie doznają usługi?” Otóż właśnie najslabsza strona systemu podatku ubezpieczającego: najslabsi, ci właśnie, co nic nie posiadają, najwięcej potrzebują protekcji i usług rządu i zakładów publicznych, największą zatem powinnyby płacić składkę ubezpieczenia, — i to w stosunku do nędzy, t. j. w stosunku odwrotnym do środków. Argument dla obrońców dzisiejszych podatków niestałych!

Przywodził jeszcze p. Gir. inne argumenta ale nie odniósł stanowczego zwycięstwa. Przyznać trzeba, że oba systemata mają przeciw sobie broń prawie równą, że żaden z nich wyłącznie panować nie będzie, ale że się wzajemnie dopełniać powinny.— Mówiąc o dochodach z profesij G. ze szczególnym naciskiem wymienił artystów, a zwłaszcza tancerkę, czyniąc alluzję do ich dochodów poza obrębem artysty. Na to łatwo odpowiedzieć, że i tancerka jako artystka ma dochody określone bardziej nawet niż w wielu innych profesjach; a jeśli, jako przed-

miot zbytku, płatną jest przez człowieka, który już od swego dochodu podatek zapłacił,— nie należy go powtórnie obciążać. W skutek podziału pracy i wprowadzenia w użycie pieniędzy, żaden dochód w pierwszym ręku nie zostaje, — chyba tylko o ile jest oszczędzony; a zresztą drogą zamiany, kupna, sprzedaży, przechodzi z rąk do rąk,— do kupca, adwokata, medyka, artysty, rzemieślnika, sługi, wyrobnika,— i wszędzie, jako nowy dochód może być słusznie opodatkowany, — co jednak wcale nie znaczy, ażeby jeden i tenże sam dochód, tylokrotnie miał być obciążony; bo dochód pierwiastkowy przez zamianę, nie zmniejszył się wcale, tylko zmienił naturę, postać. Zapewne, jeżeli przedmiot zamiany, usługa, nie jawna, jak w obecnym wypadku, łatwa jest defraudacja; ale nic nie przeszkadza tancerce być pod tym względem dobrą obywatelką i w deklaracji mieścić swoje przypuszczalne czy określone dochody.

Zabrał głos Secretan Prof. Prawa, mówiąc że kiedy nikt w obronie rozlicznych i niestałych podatków nie stanął, nie może on pozwolić aby je żywcem pochowano, nawet bez mowy pogrzebowej. Zapalony gniewem bohaterów Homerowskich, na widok przeciwników, jak drugi Ajax, narzekający, iż nie miał zbroi Achillesa, również jak Ajax przegrał sprawę przed kongresem. Naprzód pochwyił p. S. tę okoliczność, że przedstawiciele podatku jedyne, krytykowali siebie wzajemnie i wnosili, że ta niezgodność obala samą zasadę jedności podatku,— nie chcąc zrozumieć, że ścieranie się dwóch systematów podatku jedyne, z dochodu i z kapitału, przeciw tej zasadzie wcale nie walczy, owszem do jej utrwalenia prowadzi. Zresztą, czyżby miało być fałszywem w zasadzie cokolwiek krytyce podlega? Historia świadczy, że największe dziś uznane prawdy nie już krytyce, ale i prześladowaniu ulegały. S. uważa podatek *jedyny* za szkodliwy bogactwu narodowemu, jako wyczerpujący kapitał. Ale o jakimże podatku jedynym chciał tu mówić? chyba tylko o kapitałowym. Następnie zarzucił S. że ten podatek nie może rozróżnić części bogactwa przeznaczonej do konsumcji *produkcyjnej*, od tej która się spożywa nieprodukcyjnie. Konsumcją nieprodukcyjną nazywa on zaspokojenie koniecznych, pierwszych potrzeb życia, potrzeb zwierzęcych, i tę od podatku uwalnia; wszystko co nadto, a zatem co właściwie stanowi życie człowieka jako istoty moralnej, zalicza do kategorii konsumcji nieprodukcyjnej i do podatku pociąga. Podatek

konsumcyjny Secretana byłby w swoim rodzaju podatkiem *jedynym*, — z dodatkiem tylko gruntowego. Ależ taki podatek jedyny (konsumcyjny), niemając zalet dochodowego i kapitałowego miałby ich wady, — fałszywość deklaracji lub arbitralność oszacowania, a prócz tego swoje własne, — faworyzowanie skąpstwa, obciążenie pracy, albo w razie zaregulowania podatku stosownie do rzeczy nie do osób — spadanie na ostatniego konsumenta przez przekładanie (*répercussio*). Zresztą przy takim ogólnym podatku niestałym, zostawienie stałego gruntowego byłoby niesprawiedliwością względem właścicieli ziemskich, którzy staliby się podwójnie opodatkowani, i z produkcji i z konsumcji. Gruntowy podatek spada na czysty dochód. Ale czemuż S. nie pociąga równie czystego dochodu z akcji lub renty wieczystej, — słowem dochodu z kapitałów ruchomych? Bez takiego ogólnego systemu sam podatek gruntowy byłby niesłusznym wyłączeniem. Cały system Secretana stanowią podatki: *gruntowy* i *zbytkowy*. Jest to system dziś w kantonie Vaud praktykowany. Secretan dowodzi, że podatek nie tylko nie wyprowadza kapitału do obiegu, ale owszem powoduje jego ukrywanie, i na dowód stawia doświadczenie kantonów Szwajcarii, gdzie podatki z dochodu i z kapitału wprowadzone były. Twierdzenie to ma wartość względną; bo nie podatek wyciąga na jaw kapitały, ale jawność kapitałów będąca w prostym stosunku do stopnia rozwoju społecznego, daje możność ich opodatkowania. Podatek jedyny, podług Secretana obciąża uczciwego, a faworyzuje oszusta. A czyż podatki niestałe nie mają téj wady? Czy fałszywe deklaracje byłyby większym złem jak dziś jest kontrabanda i rozmaite defraudacje, którym zapobiedz niepodobna? Celnicy najwięcej może defraudują. Fałszywość deklaracji do pewnego stopnia może być usunięta rozmaitemi sposobami, a najpewniej przez dobry system *decentralizacji*: w małym okręgu, w gminie, gdzie się wszyscy znają, nie łatwo utaić swoją zamożność. Drugą rękojmą jest *solidarność* i z nią nierozłączna *wzajemna kontrola*. Co do podatku kapitałowego, zarzuca mu S. niesprawiedliwość względem kapitału *sztucznego*, gdyż system ten nie czyni różnicy między rentą gruntową — ciągle wzrastającą i procentem — zniżającym się stopniowo. Niesłusznie też zarzuca Secretan, że podatek jedyny, czy to z dochodu, czy z kapitału, staje się łatwo narzędziem despotyzmu. Nie tylko, iż dotąd w praktyce widzimy te podatki tylko

w krajach swobodnych, ale z samej ich natury wynika, że powodzenie takiego systemu w prostym musi być stosunku do rozwiniętego w jednostkach poczucia obowiązku obywatelskiego, a zatem do rozwoju swobód politycznych. Wspomnieliśmy już o decentralizacji, solidarności, wzajemnej kontroli, — potężnych środkach systemu podatku jedynego, a które z despotyzmem wzajemnie się wyłączają. — Wreście Secretan zaproponował ażeby kongres wyrzekł, że *srowadzenie rozlicznych podatków do jednego nie jest pożądane*.

Girardin, Duprat i Garnier, podali propozycję zbiorową następną: Kongres jest zdania, że podatek, ażeby był sprawiedliwy, powinien obejmować wszystkie czynniki bogactwa i dotykać tak kapitału, jak i dochodu. Ten *podatek* może być nazwany *z majątku*. Połączenie przeciwników wywołało pewny ruch, z którego korzystając p. Walras głos zabrał. Loika jego systemu jest to *kapitał sztuczny*, a niektóre prawdy zdrowe, ustnie wypowiedziane, to jego kapitał naturalny: coś to nakształt żywej trawy wydobywającej się z pomiędzy płyt źle połączonych, któremi umysł jego jest wyłożony. — Wśród licznych rozumowań, między innemi, niesprawiedliwie zarzucał systemowi Girardina, że faworyzuje próżniactwo; gdy przeciwnie, podatek kapitałowy ma właśnie tę dobrą dążność, ażeby w kraju najmniej było obywateli nieczynnych. Oświadczył, że związek społeczny jest naturalnym stanem człowieka, że zatem podatek jest obowiązkowy. W końcu wyraził więcej niż wątpliwość, ażeby stosunkowość podatku odpowiadała słuszności.

Gdy dyskusja nad kwestją zasady podatku została wyczerpaną, żądano wtedy jej streszczenia. Podjął się tego p. *Clamageran*. Zbił nieliczne argumenta zwolenników podatków niestałych i oświadczył się za *kombinacją podatków z dochodu i z kapitału*, co stanowiłoby podatek *stały* roczny. Przyjął też jako uzupełnienie systemu podatek od spadków i donacji, czyli zmian bezpłatnych. Dalej twierdząc słusznie, że brak zdrowych pojęć ekonomicznych, główną stawi zaporę przeprowadzeniu reform, żądał ażeby się kongres objawił za rozpowszechnieniem nauk ekonomicznych. Podatki niestałe rozdziela na *konsumcyjne* i *tranzakcyjne*. Z tranzakcyjnych przyjmuje, podatek spadkowy, ale odrzuca stempel i podatek od kupna, zmian płatnych. Z konsumcyjnych wymienia szczególnie podatek *tabaczny*. Potępia go, bo chociaż tytón jest przedmiotem zbytku, wszakże wykazuje cyframi, że podatek ten

obciąża ubogą klasę ludności w stosunku znacznie większym niż wyższe. I tak, najniższy gatunek płaci we Francji podatku 400%, cygara niższe 184%, wyższe 66%. Na korzyść podatków stałych przytoczył angielski dochodowy (income tax), który zdaniem p. Gladston, gdyby ustanowiony był przed rokiem 1788, dług angielski nie istniałby wcale. „Jest to, mówi on, olbrzym, który w czasie wojny osłania nas swą tarczą, a w czasie pokoju przewodniczy naszym pracom.” Potem wspomniał o podatku z kapitału istniejącym jako jedyny we wszystkich prawie stanach Związku amerykańskiego. Zarzut, jakoby podatek kapitałowy wypędzał z kraju kapitały, wcale się tu nie stwierdza w obec szybkiego wzrostu ludności i stanu kwitnącego miast związkowych. System Secretana, polegający na podatku konsumcyjnym zbytkowym, zbija: że ograniczając się ściśle do przedmiotów zbytku wydałby nieznaczający rezultat, a rozciągając się do bardzo wielu przedmiotów, zjadałby sam siebie kosztami poboru; że zatem *podatek konsumcyjny musi się regulować do małej liczby przedmiotów pierwszej potrzeby*. Podatek niestały nie dość że sam nie może być stosunkowym, ale jeszcze niemożliwą czyni stosunkowość innych podatków. Jedynie stały podatek może być zbliżony do ściślej stosunkowości. Specjalne podatki psują równowagę; podatek jedyny ją ustanowi. Jako sprawiedliwszy i moralniejszy, podatek stały jedyny, zbawienne na ludy wywarłby skutki. Dziś każdy, nie wiedząc co płaci, a czując jak rząd ciągnie dochody wszelkimi drogami bez względu na słusność, rad zawsze uniknąć podatku: jest to system wzajemnego oszukiwania. Przy jedynym podatku, sama już jawność jest pewną rękojmią uczciwości jak z jednej tak z drugiej strony; ale dla zapobieżenia np. fałszywym deklaracjom, znajdują się łatwo i proste administracyjne środki; tak w systemie podatku kapitałowego Girardin proponuje *wykup* z pewną nad deklarację podwyżką; w angielskim zaś dochodowym postanowiona jest kara potrójnego podatku. W połączonym systemie podatku z dochodu i z kapitału, sposoby ich sprawdzania i ściągania podatku dopełniałyby się wzajemnie. Wielką tego zaletą jest łatwość podwyższania i zniżania, — która skarbowi dałaby możliwość uniknięcia przesilen i uchylałaby uciekanie się w trudnych przejściach politycznych do środków nadzwyczajnych, — pożyczek, zawsze dla potomności uciążliwych, a rzadko rezultatem usprawiedliwionych. Angielski *income tax*

oddawał już podobne usługi. W Polsce *ofiara* mająca pierwiastkowo cel patriotyczny (zasilenia skarbu w trudnych politycznych okolicznościach), opartą została na dochodzie, jakkolwiek tylko gruntowym, — co wynikło z jej charakteru szlacheckiego a w części z braku środków dosięgnięciem podatku do wszystkich bez wyjątku obywateli kraju; ale rozróżnia *dochód zarobkowy* czasowy, dożywotni od *kapitałowego* — wieczystego: pierwszy ma płacić jeden tylko podatek — dochodowy, ostatni i z dochodu i z kapitału. Na tem właśnie zależy połączenie tych podatków. Przyjmuje podatek *spadkowy*, uważając go jako niezbędne kółko w mechanizmie fiskalnym, niby oliwę ułatwiającą ruch innych kółek. Podatkowi spadkowemu nieprzyznajemy znaczenia niezbędnego kółka w systemie podatkowym, zgodzimy się raczej na porównanie do oliwy zmniejszającej tarcie, bo i samo zdjęcie ciężaru takież sprawia skutek. Podatek ten, mniej jeszcze niż dochodowy, jest dziś na czasie, ale do jego uznania potrzebne silne poczucie dobra publicznego, przewaga jego nad egoizmem rodowym, — do czego nigdzie jeszcze nie doszło. Wykształceńsze nawet jednostki hołdują temu egoizmowi. Słyszeliśmy autora rozprawy o enocie obywatelskiej powstającego przeciwko samej myśli podatku spadkowego. W końcu Cl. wskazał główną przyczynę niepowodzenia w zastosowaniu najlepszych teorii — brak potrzebnych wiadomości w masach, nieprzygotowanie opinii publicznej. Reforma narzucona ludziom niepojmującym jej użyteczności, ma charakter despotyczny; stąd łatwość dla pewnej liczby interesowanych w jej niedopuszczeniu pociągnięcia za sobą tej obojętnej a potraconej massy. Jest to historia wszystkich reakcji. Clamageran przyłączył się do trzech poprzednich wnioskodawców i razem podali uzupełnioną zbiorową propozycję treści takiej: że podatek obejmować winien wszystkie czynniki bogactwa — kapitał i dochód; że najlepszym podatkiem w zasadzie jest dochodowy w połączeniu z kapitałowym i spadkowym: oraz, że zastosowanie tego systemu poprzedzić należy oświeceniem opinii publicznej przez rozpowszechnienie zasad ekonomji politycznej. Przy głosowaniu za tą propozycją t. j. za podatkiem jedynym z majątku, oświadczyło się głosów 31, a za mnogością podatków reprezentowaną przez Secretana — 26. Dodać należy, że w liczbie pierwszych znajdowali się wszyscy przedstawiciele nauki — ekonomiści, cała deputacja paryzka, deputacje: hiszpańska, polska, ruska, oraz deputacja z Nefszatelu, gdzie podobny podatek

z majątku jest już praktykowany z wielkiem zadowoleniem ogółu, wyjąwszy może nielicznych zwolenników dawnego systemu monarchicznego pruskiego, co oszczędzał silnych a słabych obciążał. W liczbie stronników mnogości podatków byli wszyscy miejscowi konserwatyści szwajcarscy i, co rzecz dziwna, p. Serno-Słowiowicz — ów przed chwilą zapalony obrońca podatku kapitałowego.

Sprawozdanie p. Junot jasno i treściwie przedstawiło pracę sekcji drugiej, która zajmowała się dwoma ustępami programu: *a.* rozbiorem podatków istniejących i *b.* reform cząstkowych dziś możebnych. Konkluzje sprawozdania Junota zeszyły się z ostatnią decyzją kongresu w dążności do zniesienia dziś przemagających podatków niestałych, a zastąpienia ich podatkiem *stałym i jedynym*. Opłaty rogatkowe potępiono. Mnóstwo przywiedzionych faktów, mówi p. Junot wykazało ich szkodliwość, jako obciążających żywność klasy wyrobniczej, paraliżujących przemysł przez podniesienie cen surowych materiałów i opału, tamujących rozwój rolnictwa przez utrudnienie odbytu. Potępione też zostały ze względów ekonomicznych i moralnych, jako zbyt kosztowne w poborze, zachęcające do defraudacji, zwiększające nędzę. W Paryżu, gdzie do tych opłat i sól pociągnięto, 115,000 fr. ciężaru spada na 60,000 ubogich, żyjących z dobroczynności. W końcu przyjęto wniosek sekcji; że: „Kongres jest zdania, aby cła rogatkowe były uchylone bezwarunkowo.” Przeciwno podatkom *konsumcyjnym*, w ogóle walczą też same co i przeciw cłom rogatkowym argumenta; nadto przytoczono połączone z poborem niektórych z tych podatków przykrości: rewizje zakładów, handlów i mieszkań, we dnie i w nocy, często w skutek fałszywego doniesienia lub podejrzenia. Nie jeden, zwłaszcza przemysłowiec, zgodziłby się na opłatę stałą nawet znacznie wyższą od tych podatków, byle podobnych wizyt uniknąć. Henryk Nakwaski wnosił, ażeby się kongres oświadczył za zniesieniem opłat od głównych artykułów żywności. Sekcja zaś sformułowała propozycję w wyrazach ogólniejszego znaczenia: że podatki konsumcyjne od przedmiotów pierwszej potrzeby, powinny być uchylone w zasadzie. Amatorowie wina i cygar usiłowali podciągnąć je pod tę kategorię przedmiotów niezbędnych i uchylić w zasadzie podatków od truntów i tytoniu. Przywodzili nadto względy polityczne: wspomniano, że konsumcja tych przedmiotów, odbywa się głównie w klubach, szynkach, miejscach publicznych; że ich opodatkowanie najmniej jest zamaskowane, a dotyka

ludzi mających łatwość podniesienia głosu; że podatek trunkowy, w znacznej części przyczynił się do upadku kilku ostatnich rządów Francji. Wernadski żądał ścisłego oznaczenia przedmiotów pierwszej potrzeby, mających być od podatku wolnymi. Słusznie odpowiedzieli na to Pepoli i P. Duprat, że pojęcie granicy między potrzebą a zbytkiem względne jest, zależne od warunków miejscowych, oraz moralnych,—czasu, obyczajów; że zatem oznaczenie tej granicy dla kongresu, jest rzeczą niemożliwą. Co do konsumcji zbytkowej, tej opodatkowanie, jakkolwiek na pozór, dające się usprawiedliwić, w gruncie jest bezzasadne i szkodliwe: wyłącza pewne przedmioty z użytku ludzi roztropnych, nieogłędnych zaś nie powstrzymuje, tylko ich ruinę przyspiesza. Zresztą syn marnotrawny rujnuje ojca, rodzinę; bankrut — licznych pracowników; tak, że w końcu ciężar ostatecznej likwidacji, a zatem i podatek, spada na ludzi rządnych i uczciwych. Czy nie lepiej więc przez proste, bezpośrednie upodatkowanie pozostawić ludziom zacnym należny im zaszczyt usługi publicznej? Przystąpiono do głosowania i wyżej podana propozycja sekcji względem podatków konsumcyjnych bez zmiany przyjętą została. Udowodniono szkodliwość systemu celnego dla postępu materialnego społeczności, już ze względu tam, jakie ruchowi przemysłowemu kładzie, już z powodu ciężarów bezpośrednio konsumcję gniotących. Rezultaty osiągnięte w skutku reform w duchu wolności handlu dokonanych dają pewną miarę fałszywości i szkodliwości systemu protekcyjnego. Pod względem nawet fiskalnym, obliczenia na tym systemie oparte, okazały się nie tylko mylnymi ale zostawały często w stosunku odwrotnym do rzeczywistych wypadków, tak nawet, iż np. przy niżeniu cła w postępie ilorazowym. Fatalny wpływ systemu celnego pod względem moralnym jest rzeczą powszechnie uznaną: ponętność kontrabandy silniejsza od najsurowszych przeciwko niej środków; w rządzie kontrabandyistów niepoślednie miejsce zajmują wszędzie i zawsze celnicy. Wniosek Pesquera, ażeby w interesie przemysłu krajowego cło protekcyjne usprawiedliwione było o tyle, o ile równoważy ciężary do odpowiednich przedmiotów w kraju przywiązane, — pominięty został dla czystości zasady, i zgromadzenie odwracając wszelką myśl protekcji i zakazu, wyrzekło: iż cła powinny być stanowione jedynie w celu fiskalnym i tak małej wysokości, ażeby ponętność kontrabandy ustała.” Co do *monopolu*, Junot podał propozycję tej treści, że „Kongres uznaje

potrzebę uchylenia wszelkich monopolów fabrykacji i sprzedaży przedmiotów konsumpcji." W poparciu wniosku przytaczał fakta z dokumentów urzędowych czerpane. I tak, dochód tabacznym w Anglii przy wolnej fabrykacji i sprzedaży czynił w 1832 r. 74 miliony franków, na 24 milionów mieszkańców (3,08 na jednego); we Francji przy monopolu— 45 milionów fr. na 32 miliony mieszkańców (1,40 na jednego). Potępiał szczególnie monopol na sól — przedmiot pierwszej potrzeby i nadzwyczaj ważny w rolnictwie. Nakwaski wyrządza, mianowicie w Galicji, rolnictwu, przemysłowi i w ogóle całej ludności. Junot szczególnie napierał na ważność użycia soli w rolnictwie; ubolewał, że dzięki fiskalności, użycie to jest niepodobne, a nawet i potrzeba nieuznana. Przy tej okoliczności wyraził myśl: że „ekonomja polityczna nie jest nauką prywacji, ale raczej rozpowszechnienia dobrobytu. Rząd, co tej prawdy nie rozumie, pozbawia się wielkiej dźwigni, potrącając ludność w jej moralizującym uczuciu postępu i dobrobytu,— uczuciu podnoszącym znaczenie pracy zarówno w indywidualnym jak publicznym interesie. Kongres wszystkie monopole *bezwarunkowo* potępił i przyjął powyższą propozycję.

Na ostatnim posiedzeniu roztrząsano kwestję: *o podatku mutacyjnym i o stosunkowości lub postępowości* podatku. Wniosek stawiony w sekcji o odrzuceniu podatku z mutacji płatnych nie znalazł opozycji; przeciwnie w zebraniu ogólnym atakowany był, mianowicie przez konserwatystów Vaud'skich. Guisan, adwokat z Lozanny utrzymywał, że te nieruchomości ziemskie, których wartość wzrasta, najwięcej ulegają mutacjom, że zatem podatek od sprzedaży ziemi utrzymać należy, jako zapełniający próżnię w podatku gruntowym, zwiększenia tego niedotyającym. Twierdził dalej, że kongres, oświadczwszy się już za podatkiem od mutacji bezpłatnych (spadków, legatów), musi się zgodzić i na opodatkowanie płatnych, gdyż w razie przeciwnym pierwsze przybrałyby samulowaną formę sprzedaży dla uniknięcia podatku.— Zarzucił następnie, że kongres nie został wierny zasadzie podatku jedyne; że dopuszczając podatek spadkowy, stawia obok poboru perjodycznego drugą formę poboru, nieregularną,— ze śmiercią kontrybuentów. „Kiedy więc, ze związku dwóch podatków — dochodowego i kapitałowego zrodziło się już dziecko, czemuż się nie ma urodzić i drugie? Mówiono o oliwie ułatwiającej bieg mechanizmu podatku jedyne: dodajmy jeszcze tej oliwy. Słowem przyjmując podatek z mutacji bezpłatnych,

przyjąć należy i z płatnych." Odpowiedź na to prosta: że jeśli z małżeństwa dwojga białych rodzi się dziecko białe, to nie idzie zatem, ażeby się w następstwie miał murzyn urodzić. Otóż podatek spadkowy jest dziecięciem prawem związku nazwanego podatkiem z majątku; gdy przeciwnie podatek od sprzedaży jest najzupełniej podatkiem niestałym, ciężącym transakcje, tamującym obieg, posiadającym w pewnym stopniu i tę cechę podatków niestałych, że dotyka podatkujących w stosunku odwrotnym do ich zamożności, bo posiadłości drobne i w upadku będące najwięcej zmianie właścicieli ulegają. Przyjąć taki podatek do systemu przez kongres uchwalonego — byłoby to nie dolać oliwy, ale rzucić przeszkodę między koła mechanizmu. Głosowano naprzód o podatku od sprzedaży, który odrzucono, potem o podatku spadkowym — i przyjęto wniosek pana Guisan w tych słowach, że: „Podatek z czystego *activum* spadku przyjmuje się w zasadzie." Jeden tylko przyjęty został wniosek p. Bory, ażeby traktaty między narodowe, na wypadek śmierci właściciela majątku zostającego za granicą, oznaczyły udział każdego rządu w podatku spadkowym, a to w celu zapobieżenia iżby majątek taki ani unikał podatku ani też podwójnie go nie ponosił.

Nastąpiła kwestja *stosunkowości* lub *postępowości* podatku. Garnier proponuje podatek postępowy; ale przewidując przeciwnie usposobienie większości, nazywa go *stosunkowym ale w stosunku wzrastającym*. „Do pewnych wyrażen, przywiązane znaczenie hasła chorągwi partij krańcowych; z tego powodu wywołują one opór systematyczny, namiętny, trudny do zwalczenia. Jednym z takich wyrażen jest *podatek postępowy*: był on chorągwią mających na celu wywłaszczenie i zaprowadzenie wspólności. Ależ nie są to wcale następstwa konieczne podatku postępowego; można mu zakreślić granice, jakie się podobają, — a przy powolnem stopniowaniu podatek ten nie tylko że praw nie naruszy, ale owszem stanie się wymiarem sprawiedliwości." Tu G. cytuje znakomitych prawników i ekonomistów przyjmujących zasadę podatku postępowego, — między innymi: Montesquieu, Smith, Say, Condorcet. Następnie oznacza granice postępu 0 i 15%; ułożył nawet tablice, na których okazał jak postęp może być wolny i wcale własności nie zagrażający. Zresztą, nie ma pretensji, ażeby system postępowości odniósł zwycięstwo natychmiastowe; wie, że najlepsze rzeczy często bywają potępiane, ale ufa w przyszłość. Girardin obwinia pana Garnier o nieszczerłość; twier-

dząc, że nauka go potępia, i że on z natury swojej jest podatkiem osobistym, — a Girardin, chce przede wszystkim podatku rzeczowego. Duprat uważa podatek postępowy za zgodny z nauką, wszakże obawia się jako niebezpiecznego narzędzia. W każdym razie przyznaje, że w obecnym stanie przechodnim, w obec istniejących rozlicznych podatków niestałych, ciężących w stosunku odwrotnym do zamożności, — podatek postępowy byłby prawdziwym regulatorem, doprowadzającym do pewnej równowagi, do stosunkowości. Jeszcze Clamageran, zaczął od wywodu historycznego, i wykazał o ile błędnem jest mniemanie, jakoby ten podatek prowadził do barbarzyńskiej niwelacji niezgodnej z cywilizacją. Istnienie jego odpowiada najświetniejszym w dziejach ludzkości epokom: w Atenach istniał on przy Periklesie, we Florencji w 15-m wieku, w Holandji od czasu jej wyswobodzenia przy Filipie II do wojny z Ludwikiem XIV. Dziś zresztą praktykowany jest w niektórych państwach niemieckich dalekich od barbarzyństwa, — między innymi w Bawarii, w Holandji, Anglii i Francji, znajdujemy też pewne podatki z taryfą postępową. Też same względy, usprawiedliwiają zasadę postępowości i w podatku ogólnym skarbowym. Stosunkowość nie byłaby sprawiedliwością, gdyż najmniejsza część, ujęta z potrzeb koniecznych, cięży więcej, niż najznaczniejsze uszczuplenie zbytku. Mówiono o niemożności oznaczenia granic postępu: granice te znajdujemy tylko w moralności rządu; ale czyż i stosunkowość ma inne granice? Jak łatwo jest dekretem podnieść wykładnik postępu lub jego wyraz ostateczny, tak również łatwo podnieść normę stosunkową. Zresztą zważyć należy, że w rzeczach polityki ścisłość matematyczna bezwzględna jest niepodobna i zgodzić się trzeba ze zdaniem że *prawodawstwo powinno łagodzić gorycze życia*. Otóż jednym z tych środków łagodzących jest podatek postępowy. Liczne są głosy za podatkami zbytkowemi, — a właśnie najlepszym z nich jest podatek postępowy. Jeśli teoria tego podatku nie jest czysto naukową, to można odpowiedzieć: że nie jest wprawdzie teorią oderwaną, bezwzględną, — nie jest arytmetyką, ale za to jest antropologią; nie należy do matematyki, ale do filozofji. Bo też kiedy o ludzkość chodzi, nie można w rachunku pomijać człowieka. Podczas gdy Clamageran tak zrecznie zadawał cios bezwzględnej stosunkowości podatku, deputacja hiszpańska narażdała się nad jej ratowaniem. Figuerola wystąpił z stanowczym oświadczeniem, że odrzuca podatek

postępowy, nie tylko w zastosowaniu do podatku jedynego, ale i przy obecnej ich mnogości. „Bogactwo, jest pracą nagromadzoną: dla czegoż obciążać więcej pracą moich przodków niż moją, albo obciążać więcej pracą w większej ilości nagromadzoną?” — Figuerola w swoim rachunku pomija człowieka. Royer zwraca uwagę, że jakkolwiek bogactwo powinno być owocem pracy, tak jednak nie jest w rzeczywistości. Początkiem wielkich fortun po większej były części podbój, grabież, przedajność, spekulacja na słabości lub nędzy ludzkiej oparta, łaska królów, monopol, przywilej, lichwa i t. p. — źródła niezbyt czyste, a w każdym razie od pracy różne. Wszystkie te zarzuty Figuerola załatwia prostym umorzeniem: maże całą przeszłość i wygłasza ogólną amnestję na zasadzie przedawnienia, nie już nie mówiąc o fortunach dziś z podobnych źródeł powstających. Tym co odziedziczyli tylko nędzę co odpowie Figuerola na zapytanie: „jak się to stało, że oni, mając tyleż przodków co i bogacze, nie po nich nie otrzymali?” Czyżby ich praca nie zgoła nie była warta? Serno energicznie popierał podatek postępowy i jak najszersze jego zastosowanie w celu rychłego dokonania pewnej niwelacji na rzecz proletariatu. S. nie lękając się ostateczności; idzie prosto do celu. Girardin raz jeszcze powstał przeciwko podatkowi postępowemu: jest to, mówi, podatek kategoryczny, dzielący ludzkość na kasty, a zatem anty-socialny. Po mniej znaczących przeciw postępowości podatku wystąpieniach, pp. Secretan, Hurt-Binet, Pesquera, Girardin, — p. Reinach mówił za nią i przytoczył, że w samej Szwajcarii podatek postępowy istnieje w Bazylei, a w Nefszatelu zaprojektowany został przez p. Piaget — światłego i popularnego męża stanu, i tylko do czasu w zastosowaniu odłożony. Następnie P. Dupart odczytał projekt podatku postępowego z dochodu przez Radę Stanu kantonu Vaud ułożony, pięknie wymotywowany i tylko — dzięki stagnacyjnej partji tamtejszych konserwatystów — dotąd zaniechany.

Przystąpiono do głosowania: Propozycja pana Garnier za postępowością podatku, otrzymała 13 głosów, za stosunkowością oświadczyło się 26 osób. Człł Garnier, że myśl podatku postępowego jeszcze nie dojrzała; lepszego rezultatu nie oczekiwał. I ten jest na przyszłość obiecujący, — zwłaszcza, że większość przeważnie składała się z miejscowych konserwatystów przeciwnych *a priori* wszelkiej nowości. Żałować należy, że w propozycji nie oddzielono kwestji zasady od kwestji natychmiastowego zastoso-

wania. Duprat miał tę myśl i powinien był stawić poprawkę: miałby zapewne wielu za sobą. Zresztą ma to opuszczenie i dobrą stronę: bo kiedy kwestja rozstrzygnięta tylko w zasadzie, można utrzymywać, że współczesności rozwiniętej normalnie, — gdzieby nie było potrzeby regulować dawne gwałty, błędy, niesprawiedliwości, — stosunkowość podatku może być uważana jako zasada słuszna; ze względu zaś na nienormalny stan społeczności, konieczny jest regulator, — i w tym charakterze podatek postępowy musi być dopuszczony. Całość prac kongresu przedstawia pocieszające zjawisko, bo w każdym

punkcie nabyte w nauce prawdy zwycięstwo odniosły, bo przyjaciele ludzkości śmiało głos podnosili w obec milczących, albo półgłosem odzywających się zwolenników rutyny i przywilejów. Spodziewać się należy, że przedmiot tak ważny jak kwestja podatkowa, a tak mało jeszcze wyświecony i uregulowany, zachęci wyznawców nauk społecznych do podobnych prac zbiorowych; — że kongres podatkowy Lozański nie będzie ostatnim w swoim rodzaju, zwłaszcza, że ten za pośpieszenie był organizowany i nie mógł być kompletnym.

STOLICA MORMONÓW.

(WYJĄTEK Z PODRÓŻY).

W czerwcu przybyliśmy do stolicy Mormonów, którą znaleźliśmy zupełnie opuszczoną. — Cisza grobowa panowała na ulicach; dopiero po jakimś czasie samotnego jeżdżenia po mieście spostrzegliśmy gromadę na pół nagich dzieci Indyjan. — Ponieważ o tem mieście mnóstwo na tworzono baśni, nie będzie więc zbytecznem przytoczyć tu o niem kilka rysów zebranych przez prawodawców. — Okolica, w której ono leży, jest równiną prawie zewsząd otoczoną górami, około stu mil długą, a dwadzieścia szeroką. — Miasto założonem jest we wschodniej jej części w pobliżu gór w czworobok rozległy na sześć mil kwadratowych. — Ulice są 130 stóp szerokie i przecinają się pod kątemi prostymi w kierunku czterech okolic nieba. — Są one obsadzone drzewami i wybrukowane a chodniki ich mają 20 stóp szerokości. „Blocks” (to jest place zamknięte ulicami a przeznaczone na budowę domów) są bardzo obszerne, a niektóre z nich obejmują 10 akrów ziemi. — Powierzchnia jest z północy ku południowi nieco pochylona; ulice idące w tym kierunku mają po bokach rowy, któremi płynie świeża woda i przez które prowadzą małe mostki. — Rowy te mogą dostarczyć wody prawie do wszystkich ogrodów. — Wielkie, na budowę miasta przeznaczone przestrzenie są w małej tylko części zabudowane; po większej części dwa albo trzy małe domki stoją na rozległym Blocksie, którego resztującą część zajmują ogrody i pola.

Domy są zbudowane z Adobes'u (cegły na słońcu wysuszonej) koloru jasno szarego. — Nie mogą one zgoła rościć prawa architektonicznych piękności, chociaż styl ich jest zupełnie odrębny, w ogóle jednak widok miasta uważają za przyjemny. Wprzód nim prorok wyjście Mormonom nakazał, mogło ono liczyć około 15,000 mieszkańców. — U największej liczby domów okna były powyjmowane a drzwi zamknięte, były również poczynionemi przygotowania, jak się dowiedziano, aby miasto przed wejściem wojska zapalić, później jednak nie zdało się prorokowi powtarzać traicznej pogorzeli Moskwy.

Jako odznaczające się budowle można tylko uważać domy proroka, a mianowicie jego dom mieszkalny i dom *Lwa*. — Leżą one w najludniejszej części najbliższej środka miasta, na czworoboku graniczącym z placem przedkościelnym. — Ten czworobok obejmuje 10 akrów ziemi i jest obwiedziony murem 10 stóp wysokim z ciosowego kamienia wzniesionym. — W małej od muru odległości zbudowane są zaokrąglone bastjony, które wysokością o dwie stopy mury przechodzą. Zdają się one być wzniesionemi z wielkim kosztem dla zabezpieczenia się przeciw wzburzeniom ludu, a może i dla lepszego zamknięcia licznych żon proroka. — Na północno-zachodnim rogu tego obmurowanego czworoboku znajduje się gmach przeznaczony na przyjmowanie seciny. — Tam składać mają Mormoni setną część dochodów swych kościołowi. Daniny ich jednak w ogóle wynosić mogą

zapewne piątą część dochodu. — Dom lwa leży w samym środku kwadratu, ma dwa piętra, jest 25 stóp szeroki a 100 stóp długi, zbudowany w stylu gotyckim ze szpiczastym szczytem w ogóle jednak zastosowany do planu szczupłych amerykańskich domów. Na frontonie znajduje się z kamienia wykuty lew z napisem: „Spoczywający lecz ostrożny.” Zdaje się to być godłem proroka, który przez „Świętych.” „Lwem Pana” jest zwany. — Dom ten kosztuje więcej niż 30,000 dollarów.

W pobliżu domu Lwa od strony wschodniej leży mały bydynek w stylu amerykańskich wiejskich domków, mieszczący gabinet Brigham Joung’a i pokój jego sekretarza. — Większy niż dom lwa jest dom mieszkalny Proroka, trzechpiętrowy, wprawdzie zbudowany tylko z adobes’ci, lecz gładko wytrynkowany i pobielony. — Nad nim wznosi się wieża zakończona ułem, który jest symbolem Mormonów, a zarazem służy za herb całego ich terytorjum. W tym domu mieszkał Brigham Joung z pierwszą swą żoną i jej dziećmi, w domu zaś lwa mieszkała większa część jego żon, których on więcej jak 80 mieć musi, inne mogą zajmować dowolne w mieście pomieszkania. — Tak więc dom lwa służy prorokowi za harem.

Podróżujący z trudnością zaledwie wynaleźli w mieście miejsce przytułku, — Znajdujący się tu podówczas „niewierni” w liczbie około 20 do 30 osób jadalni w Globe-Saloon’ie, sypiali zaś na wozach albo na korytarzach rzeczonoego domu. — Tylko Gubernatorowi Cumming’owi i małej liczbie innych udało się znaleźć mieszkania; również z żywności nie dostać nie było można, prócz trochy ogrodowizn. Sami Mormonowie znajdowali się również pod ówczas w położeniu nie bardzo błogiém. — Na rozkaz proroka wyruszyli oni ku południowi do Provo, miasta liczącego około 7000 mieszkańców i o połowę mniejszego od miasta Słonego jeziora. — Wyjście wszakże to nie było skutecznioném w zamiarze militarnego tam oparcia się, Provo bowiem leży w miejscu otwartém, na dolinie szczodrze zroszonej wodą. — Kommissarze pokoju, którzy wyprzedzili armię i już w dniu 2 Czerwca przybyli do miasta Słonego Jeziora, w dniu 14 t. m. udali się do Provo, znaleźli oni tu mnóstwo ludu, w części bezładnie nagromadzonego. Największa liczba nie mogła się pomieścić w domach, ale obozowała na wozach albo w norach w ziemi wykopanych, nieco tylko osłoniętych słomą ryżową. Z odzieży także można było wnosić, że cierpieli wielką nędzę; niektóre kobiety zaledwie niedostatecznie miały czém przykryć swą nagość. Większa

część tego ludu zdawała się składać z zagorzałych fanatyków — mimo to jednak niektórzy użalali się przed kommissarzami i mówili że znajduje się wielka liczba takich, którzy życzyli sobie dalej wyruszyć i zupełnie opuścić krainę Mormonów. — Kommissarz Powell miał mowę na zgromadzeniu złożoném z mężczyzn i kobiet, która dobrze przyjętą została. — Położenie kobiet Mormonów nie zdawało się być rozkoszném, a przecież były one zajmującemi. — Nie widać było wśród nich, ani pięknych oczu, ani kwitnących zdrowiem ust, owszem przedstawiały się one jako osoby melancholiczne, niezdrowe i upadłe na duchu. — Wprawdzie można to było przypisać ich ówczesnemu przykremu położeniu, czytałem jednak w innym wcześniejszym opisie Mormonów, że ich kobiety nie robią rozkosznego wrażenia.

Z gazet dowiedzie się że wojska w dniu 26 Czerwca wkroczyły do miasta Słonego Jeziora. — Kommissarze Pokoju wyjechali na spotkanie Jenerała Johnston’a i przyłączyli się do jego sztabu. — Za każdą kolumną ciągnął się długi szereg jej powozek, tak że wojska potrzebowały 10 godzin do przejścia przez miasto, które zawsze jeszcze wydawało się jakby wymarłe; jednakże kilku Mormonów wróciło już z południa aby się przypatrzeć temu niezwykłemu widokowi wkroczeniu wojska, zaspokajali oni jednak swoją ciekawość przez szczeliny i szpary między deskami, któremi były zabite otwory okien w domach opuszczonych. — Tylko na rogu placu przedkościelnego dało się widzieć kilku spektatorów na ulicy. — W innym miejscu pracujący, zatrudnieni robotą w ogrodach i na polach wykopywali swe zajęcie z zupełną obojętnością na tę wrzawę wojskową, — obojętność przecież tę uważano udaną. — Wojska, nie wyłączając oficerów, przeciągały w grubiej ale wygodnej marszowej odzieży, zachowały zaś wyborną karność i porządek; nie słyszano ani śmiechów ani krzyków, zdawano się wszystkiego unikać coby mogło obrazić Mormonów. — Muzyka grała, umilkła jednakże gdy pochód nadciągnął przed otwarte podwoje Gubernatora Cumming’a, którego wojska nawet niesalutowały. — Przyczyną tego były rozmaite nieporozumienia jakie zaszły między Gubernatorem a Jenerałem Johnstonem.

Wojska przeszły przez miasto i po zaniem rozłożyły się obozem, rozciągającym się prawie na 2 mile na brzegu Jordanu. — Później większa część wojska została odsuniętą o 30 mil od miasta, a tymczasem nadesłano rozkaz z Washington’u, w skutku którego 2,500 ludzi ma pozostać w terytorjum Mormonów. —

Wkrótce po wkroczeniu wojsk Gubernator Cumming udał się do Provo i powrócił z tamąd z prorokiem w dniu 1 Lipca.— W nocy z 1 na 2 Lipca nadciągnęło około 30 wozów zdających się mieścić starszyzną ludu, a zarazem przywożących mnóstwo sprzętów domowych.— Od tąd rozpoczął się powrót Mormonów do miasta Słonego Jeziora, który trwał przez następujące tygodnie.— Cała 25 milowa przestrzeń dzieląca te miasta była pokrytą wozami i karawanami powracających.— Wielu z tych podróżnych można było widzieć w najokropniejszej nędzy, wiele kobiet szło pieszo, odzianych najlichszymi łachmanami, zaledwie wystarczającymi do przykrycia ich nagoci, otoczonych za to kłębami pyłu, wznoszącego się z pod przeciągających wozów.— Przeciwnie prorok wkrótce urządził napowrót swój dom i starannie zabezpieczył harem przed wzrokiem „Niewiernych.” Wielu także przeciągało przez miasto ku północy do założonych tamże siedlisk, które poprzednio również opuszczonemi zostały.— Korrespondencij jednak Amerykańskich dzienników są zdania, że znaczna część dawniejszych mieszkańców miasta Słonego Jeziora nie będzie w stanie powrócić.— Przyczyna tego leży w tém, że kościół czyli rząd Mormonów ułatwił wielu niezamożnym familjonu podróż ku południowi, po części bydłem pociągowem zabranem wojsku, jak niemniej w tem, że niektóre familje posunęły tak daleko swój fanatyzm, iż przed wymarszem spaliły swe domy lub uczyniły je niezdatnymi do zamieszkania.— Obecnie wielu z tych nie dostaje środków do powrotu albo do nowego osiedlenia się.— Na drodze urzędowej utrzymują że spokojność i porządek już przywróconemi zostały w terytorjum Mormonów, nawet Kommissarze Pokoju w dniu 4 Lipca wyruszyli z powrotem; tymczasem jednak uspokojenie téj ziemi zdaje się być dopiero zarządzoném jak to widzieć się daje z rozmaitych korrespondencyj dochodzących do 17 Lipca.— Podług nich Brigham Joung i jego stronnicy okazują się dumnymi i upornymi. Już przy wkroczeniu Amerykańskich wojsk Jenerał kwatermistrz armii Mormońskiej zdobył się na bezwstydną zachwalstwo zażądać dziennego czynszu 150 dollarów za miejsce zajęte przez obóz, chociaż ziemia w Utah należy do Stanów Zjednoczonych, a Mormonowie nie mają do niej żadnego innego prawnego tytułu prócz okupacyi.— Niektórzy Mormonowie przechwalali się że mogli zeszłej jesieni zniszczyć każdy transport i wojska od siebie wypędzić, lecz temu wspaniałomyślność proroka stanęła na przeszkodzie. Cumming

jest tylko tytularnym Gubernatorem, Brigham Joung zaś jak dawniej tak i teraz jest rzeczywistym rządcą.

Nad stronnikami swemi Brigham Joung panuje despotycznie.— Wielu z pomiędzy Mormonów ślepej wiary skazuje on „na poświęcenie” kościołowi swych majątków, co zależy na tem iż oni każą sporządzać tytuł własności swych gruntów na jego imię.— Jeśli mu się więc spodoba, odbiera on po prostu podobne własności a wierni wtedy przed sądami żadnej nie mogą spodziewać się pomocy.— Podług zaś innych wiadomości wpływ proroka upadł u wielu Mormonów, tak że tenże musiał się otoczyć rodzajem straży przybocznej.

Postępowanie Mormonów względem władzy Związkowej jest mieszaniną przebiegłości i nieogłędności, zuchwalstwa i podłości co się i gdzieindziej u mataczów, barbarzyńców lub przewrotnych napotykać daje. Mimo to nie można przewidzieć, czy oni tym sposobem nie zdołają co pozyskać; mają bowiem do czynienia również z nieprzezornym, słabym i pod wielu względami skrepowanym Rządem; w Europie tylko nie dadzą w sobie w mówić, że tak niedołężne postępowanie Rządu wypłynęło z łagodności jaką dyktowała ludzkość, nie zdająca się być domową cnotą w Stanach Zjednoczonych.— Zresztą niedostatek sił moralnych i fizycznych Mormonów, który przy téj okoliczności wyszedł na jaw, rozproszył marzenia, jakie sobie tu nawet tworzone o ich potędze, waleczności i bogactwie.— W ogóle opinia tutejsza jest im nieprzychylną.

Jednakże wyprawa wojsk Związkowych również nie odpowie wyobrażeniu jakie może jeszcze wielu ma w Europie o potędze Stanów Zjednoczonych, spostrzegają oni do jakiego stopnia potęga Stanów łamie się o niedoświadczenie i nieogłędność polityki partii, o ogromne przestrzenie niezamieszkałych okolic i o trudności wystawienia w razie potrzeby jednolitych wojsk, tak że przesadzone wielolicznymi frazesami wyobrażenie o potędze wojennej potomków. Sani'a o wiele zmniejszyć się musi.

Pomijam oskarżenia o niesłychaném oszustwie przy dostawach dla armii, głośnie dziś, lecz bezwątpienia przeznaczone aby przebrzmiały bez skutku, jak wiele podobnego rodzaju zaskarżeń. Jedna z korrespondencyj New-York'skich Tribune, podaje dotychczasowe koszta wyprawy do Utah na 20,000,000 dollarów, chociaż je wprawdzie obniżyć wypada, mimo to przecież rzeczą pewną, że żaden kraj na świecie, nie prowadzi wojny i nie robi poruszeń tak kosztownie, jak Stany Zjednoczone.



ZEMSTA ŚWIĘTEGO

LEGENDA TEGOCZESNA.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Beppo! Beppo! — Wołał młody Fakino na placu przystani Molo, siedzący na swoim podłużnym koszu jak na koniu, a tak zręcznie, tak prosto, iż patrząc na jego wysmukłą kibić, na ruchy pełne wdzięku, rzecby można, iż to jaki młody baletnik przebrał się w tę prostą i zaledwie okrywającą go odzież. — Beppo! po raz trzeci zawołał: „O czym ty myślisz? chodź ze mną na Policzynela.” Beppo, zrobił gest przeciwny i szedł swoją drogą, ale wołany co raz głośniej i natarczywiej, zbliżył się i cichym głosem coś mu mówi, a mówiąc to ściska pięść to wznosi rękę do góry, jakby niebu grożąc, a bystre czarne oczy ogniste rzucają płomienie. Nie słysząc co mówi domyśleć się można, że straszną jakąś koledze zwiastuje nowinę. — Istotnie tak było, opowiadał mu że brat jego Wincenzio nie słusznie o zabójstwo obwiniony, skazanym został na galery i za dwa dni ma opuścić Neapol, i to właśnie w chwili, kiedy spodziewali się że na wolność wypuszczonym zostanie; gdyż złapanym został inny człowiek podejrzany również o to morderstwo, ale że był krewnym jednego z nad Dyrektorów więzień, przyspieszono więc sąd, ażeby Wincenzio raz skazany i przewieziony do Messyny nie mógł apelować. — Powiedziawszy to młody Beppo, poszedł dalej a nie zatrzymując się ani przed deklamującym jakieś wiersze improwizatorem, ani przed tańczącymi Tarantelę, dobył fajkę, zapalił i odszedłszy z placu zgiełku na którym różnorodne sceny się odkrywały, zbliżył się do brzoza przystani, wskoczył na jej szeroki most, i tam wyciągnąwszy się chciał widać uspokoić wewnętrzną burzę, widokiem spokojnego morza i błękitu nieba. Nie nęciły go ani owoce na przyległym straganie sprzedawane, ani makaroni którego wyborny smak zachwalał sprzedający, miał zarobione dnia poprzedniego pieniądze w kieszeni, ale nie myślał ich użyć tego wieczora — tém lepiej dla niego, na dłużej mu ich wystarczy, dłużej używać będzie *dolce far niente*.

Nie słusznie jednak oskarżają podróżni o zupełne próżniactwo lud Neapolitański, bo oni pracują tyle, ile im nie tylko potrzeba na wyżywienie, ale nawet na przyjemności tego życia, — a że potrzeby ich są ograniczone na makaroni, owocach, rybach; wszystkiego tego potroszku wystarcza do utrzymania w sile i czerstwości Neapolitańczyka; do przyjemności zaś życia, należy kontemplacja pięknego pokrytego iskrzącymi gwiazdami nieba, lub promieni słońca powszechnie na Zachodzie złojących powierzchnię morza i szczyty gór. — Używa więc tej przyjemności czystym sumieniem, bo zapracował na nią nasz Beppo w poprzednim dniu, dobrze się nadźwigał towarów przenosząc je z komory, aby sobie zakupić swobodę dni następnych, na pracę zawsze pare dni w tygodniu poświęcać musi; a mimo to, patrząc na tak piękny kształt jego, na zręczne i swobodne ruchy, niktby nie odgadł że się kiedykolwiek pod ciężarem uginać musi. — Jeden z uczonych podróżnych naszych zrobił uwagę, że to życie ciągle z naturą, broni Neapolitańczyków od pewnego piętna, jakie na człowieku wyciska rodzaj zatrudnień kole rzemiosła jakiemu się oddaje; że u nas na północy poznać można, jak to mówią z miny, kto szewc, kto stolarz i t. d. naturalnie — bo u nas każdy wcieli się nie ledwie w swoją pracę, tak że cały tydzień jej tylko będąc oddany, stósownie do jej wymagań, nie tylko kształty ciała, ale nawet wyraz twarzy ułożyć musi; gdy tym czasem południowiec, dziecie pięknej natury, woli mniej zarobić, obejść się bez dostatków, a niżeli wyrzec się tych chwil odpoczynku, w których się cieszy ze skarbów których mu nikt nie odbierze, widoku pięknej przyrody. Jemu poczucie artystyczne z którym na świat przyszedł, nie dozwala zbyt męczyć ciała, wykrzywiać go tak, żeby w końcu niekstałnem się stało. — Ale wróćmy się do naszego młodego Beppo.

Popatrzwszy przez chwilę w Niebo osłonięne

resztką promieni słońca, które się już kryło, odwrócił głowę ku przekupce trzymającej dziecko na ręku i wołającą na przechodzącego kapucyna: „Padre Geromo! proszę na chwilę” kapucyn zbliżywszy się do niej, przystanął. „Widzisz Ojczy mego małego? jak już zdrów? — chciałam ci podziękować za twoją modlitwę do Madony — odmawiałam ją nie ustami ale sercem, jak kazałeś, wołałam tak silnie, że o to wysłuchała mnie. — Daj mi mój ojczy jeżeli masz, jeszcze taką modlitwę, prosi mnie o nią sąsiadka, chce się modlić ażeby syn jej w marynarce służący, szczęśliwie powrócił z Malty dokąd z okrętem popłynął.

Dobrze — rzekł z uśmiechem kapucyn, rad że modlitwa pomogła — masz ją moja kobyto, tylko zaleć sąsiadce żeby z sercem czystym, bez zawziętości do nikogo, udała się do Śtęj Maryi delle Gracie, i tam gorąco błagała Madony o powrót Syna, a pewny jestem że wysłuchaną będzie jej prośba.

Słyszał z dala tę rozmowę nasz Beppo; Kapucyn odchodząc, właśnie w tę stronę gdzie siedział Beppo skierował kroki, zastępuje mu więc i prosi o cudowną modlitwę. — „Spróbuję jeszcze Madony, bo Śty January zdradził mnie, modliłem się, paliłem świecę — odchodząc zdawało mi się że nadzieja do serca mi wstąpiła; biegnę do domu a tam Matka mówi mi że właśnie już nie ma żadnej, że jutro brat mój niewinny, wywiezionym będzie! — okrutny Świty! o! traditore (zdrajco) powtórzył zaciskając pięści i płomienne rzucając spojrzenia.” „Uspokój się — odrzekł mu Kapucyn — nie gniewaj się na Świtego; jego czysty duch wtedy tylko może nieść nam pomoc gdy Bóg pozwoli, nie było widać woli Boskiej, lub też obraziłeś Boga, i modlitwa dla tego nieskutkowała. Uspokój się, weź tę do Madony prośbę, ależ bez urazy do Świtego lub kogokolwiek, z czystą o Bogu myślą i wiarą proś gorąco nie obrazu, bo on tylko powinien pobudzić pobożność, ale proś Boga i Matki dziewicy opiekunki nieszczęśliwych.” — Porwał modlitwę Beppo i w tęg chwili miał szczerą chęć zadosyć uczynić warunkom podanym do osiągnięcia skutku modlitwy. — Pośpieszył do kościoła, a po drodze kupił świeczkę, choć mu tego Kapucyn nie zalecał, a nie zalecał z powodu że był z dalekich północnych stron i w skutek reguły i woli przełożonych dostał się pomiędzy południowców, których pobożność aczkolwiek gorąca, ale dziwna w objawach, przywiązana do powierzchownych oznak raziła go, tak iż lubił przechadzać się pomiędzy ludem aby zaszczerpieć wyższe pojęcie modlitwy i czei ku Świtym.

W chwili kiedy młody Beppo ze świeczką i modlitwą śpieszył do kościoła na przeciwnę stronie miasta położonego, w małej uliczce przyległej Strada Tolleda okropna odbywa się scena. Młoda Neapolitanka piękna Lucia rwie włosy, rzuca się o ziemię, poddając się boleści; bo tu czy radość, czy smutek objawia się gwałtownie — nareszcie jakby zmęczona, siada na ziemi, piękną głowę zwiesiła, a załamawszy ręce, „Stało się — rzekła — odprowadzając go skoczę w morze i zakończę to wszystko.” Była to narzeczona Vincenzia, szlub ich był naznaczony właśnie na dzień w którym biedny młodzieniec miał odpłynąć do Messyny. — Wincenzio dla zupełnego braku dowodów, był tylko na lat 10 skazanym. Stary ojczy Lucyi pocieszał ją jego powrotem. — Ale ośmnastoletniej dziewczynie 10 lat, zdaje się wiekiem, a tęg bardziej w tęschnocie. — Z niecierpliwiony ojczy chciał innego jeszcze użyć sposobu, zaczął jej dowodzić że zapomnieć o nim powinna, że młody Lorenzo, któren także ją kocha, byłby lepszą dla niej partją. „Wincenzio zdawał mi się bardzo poczciwym, ale to zabicie człowieka bez żadnej przyczyny... „zabicie człowieka! — przerwała z oburzeniem Lucia — jak możesz temu wierzyć! On tak mnie kochając, mógłby zabić niewinnego człowieka? „A po cóż nosił sztylet?” — ku swojej obronie — odparła dziewczyna, — on tylko jednego człowieka na tęg ziemi mógłby zabić, Lorenza, gdybym go dla niego zdradziła — on mi to sam powiedział, gdym go w tęg szkaradném więzieniu widziała, o! wtedy mówił mi że i mnie by gotów zabić, a ja szczęśliwa jego miłością, ufna w niewinność jego, zapewniałam go że do tego nie przyjdzie, bo mu do śmierci wierną będę, — i tak będzie — dotrzymam mu słowa! a ty Ojczy nie wspominaj mi więcej o Lorenzo. — Gdy tak mówiła biedna Lucja nadeszła stara kobyta, której oczy w dół zapadłe, jakby obłąkane świadczyły o strasznęj boleści; była to Matka skazanego Wincenzio. — „I cóż Matko? — zerwała się mówiąc Lucja — czyż nie ma jakieg nadziei?” — „Byłaby nadzieja, bo Monsignor mówił ze mną i obiecał użyć wpływów swoich, ale żebym ja zdołała wstrzymać tu syna, gdyż jeżeli go wyszłą, już nadziei nie będzie. — Tamten obwiniony wypuszczonym zostanie, a Wincenzio nie obecny, nie mogąc stawać przeciwko niemu, nie może apellować. — Używałam różnych sposobów, ale na próżno; tamten widać ma silne plecy; i chociaż pewną jestem że on zabił tego starego Signora, bo znał go i widzieli jak do niego przychodził i o pieniądze się dopominał, to jednak uwolnili go

a mego biedaka skarali na lat dziesięć! O! jak okropnie zdradził mnie Śty January! śliczny Patron! — On widać mści się żeśmy naszemu pierworodnemu imienia jego nie dali, ależ on wiedział dobrze, dla czego najpierw mu Wincenzo. O! okrutny Święty! — nie doczeka się świeczki odemnie.” To oburzenie na Śgo Patrona przerwane zostało nadejściem różnych szczebiotliwych sąsiadów i sąsiadek, a każdego po swojemu tłumacząc rzecz, albo się oburzał z biedną matką i Lucją, albo je pocieszał; większa była liczba tych ostatnich; bo Neapolitańczycy nie lubią przykrych wrażeń, nie dla tego żeby boleści czuć nie umieli, owszem umiejają długo i stale cierpieć, ale co innego jest silne uczucie a zatem trwałe, a co innego wrażenie. — Nadszedł i Beppo z pogodniejszą twarzą, pokazał modlitwę, opowiedział jak ją od kapucyna dostał i dodał że istotnie po niej odchodząc od Madonny, uczuł jakąś wstępującą w siebie nadzieję, zachęcał Matkę i Lucję aby także użyły tego tak zachwalonego przez przekupkę środka. Z żywością pochwytyły obie kobiety modlitwę, a matka z całą gorącością wiary, przeniosła swoje nabożeństwo od Śgo Januarego do Madonny i postanowiła nazajutrz Mszy Śtej wysłuchać. „Widzisz — ozwał się młody „kowalczyk, którego poprzednio już zaczął pocieszać Lucję, — zobaczysz że jeszcze jakimś cudownym sposobem twój Wicenzio powróci w lat 10 „wielkim panem. Wiecie historję *Zingaro* ¹⁾, naszego Malarza, co tę cudowną Madonnę malował?” „Nie wiemy! krzyknął Beppo — powiedz nam ją.” — „Ja ją znam doskonale, — zaczął mówić kowalczyk — bo *Zingaro* był także jak ja kowalczykiem. Majster nasz twierdzi że początkowo był w domu jakiegoś jego protoplasty. Otoż ten *Zingaro*, a właściwie *Solario*, szedł sobie niosąc na sprzedaż swoje wyroby kowalskie, jak to i ja robię; w tém, spotyka go Wielki Malarz bardzo bogaty, kupił coś od niego, a widząc że wyrób bardzo zręcznie i ładnie wykonany, namówił go do siebie, bo właśnie dom sobie urządzał i potrzebował robót kowalskich. — Młody *Zingaro* chętnie przystał do niego — począł pilnie pracować u nowego Pana, ale razem począł uwielbiać śliczną jego młodzieńką córkę. — Córka także dopatrzyła, że choć często posmolony, *Zingaro* był ładnym chłopcem a serce jego gorące jak żelazo, które

¹⁾ Antoni Solario, znakomity artysta z XVgo wieku, nazywanym był *Zingaro*, może z powodu że tak wędrował jak Cygan po świecie. Istotnie z miłości dla córki Colantonio del Fiore, został z kowalczyka malarzem.

rozpalał. Gdy ojciec spostrzegł że biedny chłopak kłęczał przed córką jego jak przed Madonną, a ona wyznała że pokochała *Solario*, dał jej taką odpowiedź: „Ja tylko za znakomitego artystę oddać cię myślę — jeżeli *Solario* nim zostanie, to i owszem, daję mu na to 10 lat czasu.” — *Solario* nie pomyślał ile to dni w 10ciu latach, ile trudności żeby z kowala zostać malarzem! tylko mu tętniła w uszach obietnica że ukochana przez niego, żoną jego zostanie. — Ona też samo (tém bardziej że się obawiała iż Ojciec nigdy nie zezwoli na podobne małżeństwo) cieszyła się nadzieją. Z miłością w sercach, żalem a zarazem nadzieją pożegnali się kochankowie.

Zaledwie 10 lat upływało, kiedy staje przed królową, młody jeszcze jakiś i pięknie ubrany malarz, składając jej w darze, cudnej roboty Madonnę. — „Jestem *Solario*, wracam do kraju odbywszy nauki w różnych Włoskich miastach.” Natychmiast królowa przywołała najpierwszego malarza, aby osądził czy pięknym jest obraz którego się jej podobał? — Malarz stanął w zachwyceniu, pytając kto jest twórcą arcydzieła. — „Znasz go — odpowiedziała królowa — to ziomek twój.” — „A więc Pan uznajesz mnie za artystę — rzekł wychodząc z ukrycia *Solario*.” — Uradowany Malarz, poznawszy go, zaprowadził do domu jako przyszłego zięcia. — Kochankowie znaleźli się piękniejszymi, zapomnieli że 10 lat upłynęło gdy się ostatni raz widzieli i długie lata jeszcze w szczęściu i miłości przeżyli. — Otóż i ty *Lucio* myśl o dniu powrotu *Wincenzia*; ja mam nadzieję że się połączycie, że będę tańcował na waszém weselu pięknie ubrany; o! bo ja także nie będę kowalem, śliczna chórzystka z Teatru del Fondo kocha mnie, a ja obiecałem jej że będę śpiewakiem, bo ona tylko za śpiewaka iść musi, — mam głos, jutro wstąpię do konserwatorium, a za lat 6 zostaję śpiewakiem. Ażeby was przekonał że tak będzie, słuchajcie!” tu młody kowalczyk zaczął śpiewać ulubioną o *Mazanielu* piosenkę.

Może się to dziwném nadnaturalném wydawać, że między tym ludem tak powierzchownie żywym, tak na pozór lekkim, takie przykłady stałości i wytrwałości, jak w malarzu z dawnych wieków i śpiewaku tegoczesnym okazują się, a przecież są to bardzo zwyczajne zdarzenia. Bo tam uczucie, czy to miłości, czy nienawiści jest tak silne, głębokie, że musi być trwałe. — *Lucia* jednak nie chciała czekać *Wincenzia* powrotu i ciągle o samobójstwie marzyła. Matka *Wincenzia* nie omieszkała zanieść świeczki *Madonie*, zrobić jej tysiące obietnic i modlić się gorąco za po-

mocą modlitwy Kapucyna. Tymczasem dnia następnego wszystkie starania żeby wstrzymać wyprawienie Wincenza były bezskutecznymi, okuty z innymi razem, nazajutrz rano miał być wyprowadzonym. — Nie wiedziała biedna Matka do kogo większy mieć żal: czy do Madonny, której tak gorąco prosiła, czy do Śgo Januarego, którego jako Patron syna jej winien się był nim opiekować — jednak mimo żalu, zasnęła nad ranem, a sny dziwne przesuwały się przed jej zmęczoną wyobraźnią. — Zdawało się że mąż jej w światłej jakiejś aureoli stanął przed nią mówiąc: »Wincenzio nie pójdzie na galery, kazali Ci przyjść o 10tej żeby go pożegnać, ty bądź tam o w pół do dziewiątej, bo tak trzeba.» — Obudziwszy się cała w pocie matka, opowiada sen młodszemu synowi, którego także mówi jej, że jakby widział jakąś postać jakby świętego, która mu mocno pogroziła — a było to w chwili kiedy zasypiał z postanowieniem, że nigdy ani do Madonny ani do Śgo Januarego modlić się nie będzie; a grożąca światła postać powiedziała mu czekaj. «O! przez Boga — zawołała matka, czy Śty January jakąś nam niespodziankę gotuje? A ja właśnie obawiałam się że on może gniewa się, że go zupełnie dla Madonny zapomniała? wczoraj, tak byłam rozżalona że mówiłam sobie: to niech się gniewa. — A on kochany Święty obiecuje że Wincenzio nie odejdzie, mówię On, bo ta światła postać była Jego postacią; z razu sądziłam, że to kochany ojciec wasz, zawołałam nawet mimowolnie przez sen, o! January! ale nie, to nie był on, był to niezawodnie sam Święty. — Matko — mówił Beppo — zapewne posłuchasz rady Jego, i o w pół do 9tej pójdiesz tam; trzeba tedy i Lucję uprzedzić żeby wcześniej przyszła.» — „Nie rób tego Synu, jeźliby było trzeba, to i jej toż samo Święty powie, pójdziemy bez niej i zobaczymy co dalej będzie.”

Stara Neapolitanka jak to tam często spotkać można, miała pogańskie o *obcowaniu świętych* pojęcie; snadniej było przerobić świątynie na bazyliki chrześcijańskie, snadniej także posągi bogów pogańskich, przeistoczyć w świętych nowego kościoła; raz wyrzeźbiony marmur, nie odstąpił przez wieki od nakreślonej mu linii. — Inaczej dzieje się z umysłem ludzkim; łatwo on zwraca się z drogi prawdy do dawnych mrzonek, a mianowicie w krajach, gdzie gorąca wyobraźnia rozmaitych szukając dla siebie pokarmów, wybiega gdzie je łatwiej znaleźć może i nieświadomie z czystemi na pozór chęciami i uczuciami, chwyta je łakomie z przeszłości pogańskiej. Neapolitańczyk bez własnej wiedzy, z Nieba chrześcijań-

skiego wybiega do Olimpu — a zatarte dłutem snyderza ślady pogaństwa w posągach świętych, odtwarza z małymi odmianami tylko; — jedna postać Boska Zbawiciela, zostaje nie tkniętą na dnie duszy jego, tej jedynie nie śmie, nie może skazić; ale też zato, czuje się tak dalekim od tej wielkości, świętości i doskonałości bez granic, że jakby nie śmiał w życiu codziennym przywoływać jej do myśli, do duszy swój; chowa ją na wypadki, na sakramenta, bez których obejść się w życiu nie może, a zwykle ucieka się do świętych, niby starszych braci swoich. — Postępowi księża nie wiele dotąd na te żywe, mało zastanawiające się umysły wpłynąć mogli — dowodem Matka biednego Wincenza, która tradycyjne podanie o charakterze i usposobieniu patronów świętych do dziś dnia zachowała.

Gdy przyszła Matka z synem, już wszystko gotowem było do wyprowadzenia więźniów, gdyż jak to zwykle bywa, okrutna litość zbirów chcąc niby oszczędzić żalu krewnym, uprzedziła o półtorej godziny odpłynięcie ich, ażeby przybywający na pożegnanie już ich nie zastali. — Dopuścili biedną matkę na jej usilne błaganie — lecz cóż się dzieje? — W chwili kiedy otwierają więzienie, huk straszny daje się słyszeć i krzyki wychodzące z okien! — Gdy przeszła chwila zamieszania, pytań bez liku i różnorodnych mniej więcej na domysłach opartych odpowiedzi, okazało się że narysowane przez dawne trzęsienie ziemi sklepienie, runęło w miejscu gdzie były cele więźniów i że kilku z nich, jak się zdawało, zostało zabitych. — Wszędzie w takim wypadku byłby zgiełk, krzyk i tłok, a cóż dopiero w Neapolu! Lud pełen oburzenia że tak niebezpieczne miejsce więźniom przeznaczyli, nie czekając na dozorców, odbił drzwi ażeby ratować nieszczęśliwych. — Naturalnie statek którego ich miał zabrać do Messyny odpłynął. Nieszczęśliwi na wolne powietrze wyprowadzeni zostali, każdy szukał swego znajomego lub krewnego. Okazało się że więcej było przerażenia, niż istotnego nieszczęścia; sądzono zrazu, że kilku straciło życie, okazało się potem że tylko jedna cela zawałoną została a w niej dwóch więźniów. — Jednym z nich był stary zbrodniarz, na całe życie skazany; a drugim młody człowiek, którego z razu nie wiedzano imienia — ale wkrótce rozpaczliwe krzyki Matki i narzeczonej, uwiadomiły wszystkich, że imie jego było Wincenzio! — „Dobądź ciała tych nieszczęśliwych ofiar” krzyczał lud — i wzięto się do dzieła.

Z razu Lucja gotową była rzucić się w morze, stósownie do zamiaru dawniej powziętego, ale nadzieja

że choć martwe zwłoki narzeczonego zobaczyć będzie mogła, zatrzymała ją. — Po kilku-godzinnéj pracy, wyniesiono zwłoki już nie młodego człowieka; twarz zsiniała, świadczyła że uduszonym został, że ciężar walący się, obalił go na ziemię i brak powietrza przez kilka godzin odjął mu życie. — Nieszczęśliwy zbrodniarz nie miał nikogo, ktoby się ciałem jego zajął, odniesiono go do Urzędu więziennego. — Inaczéj się stało z naszym Wincenzio! Z większą trudnością dostano się do niego, część muru jak widać oparłszy się o kąt ściany, nie zwała się całym ciężarem na ciało jego, tylko brak powietrza pozbawił go życia; postać więc jego nie była zsiniała, wydawał się jak snem twardym ujęty. — Ogólną litość i sympatję obudził; piękniejszym jeszcze zdawał się jak za życia młodzieńcem; nawet władza więzienna nie była od niéj wolną i bez oporu, udając że tego nie widzi, pozwoliła nieszczęśliwéj Matce unieść ukochane resztki. Naprędce z kilku gałęzi cyprysowych zrobiono nosze, a Beppo, kowalczyk i dwóch młodzieńców niosło ciało poprzedzane przez Matkę i Lucję, której niema boleść miała coś okropnego. — Matka także milczała w pierwszéj chwili, ale wkrótce wybuchnęła gniewem, raczéj żalem: „ha! poznaję Cię okrutny Świąty! prawdę powiedziałaś że zostanie! kiedyż poprzestaniesz mścić się za to, że mu twego imienia najpierw nie dała! o! poczekaj ty okrutny Świąty!...” „Zatrzymaj nieszczęśliwa matko bluźnierstwa twoje... zawołał przerywając jéj narzekanie, znajomy nam Kapucyn— zamiast dawać przystęp złości ku Świątemu, którego jak człowieka uważasz, ukorz się przed Bogiem, a może ci powróci dziecko. Po kolorze twarzy tego biedaka, zdaje mi się że nie był uderzonym ani gwałtownie uduszonym, połóżcie go pod tą kolumną i starajmy się, probujmy czy nie uda się przywołać go do życia.” Gdyby nie ten promyk nadziei ukazany przez kapucyna, Neapolitanka nie byłaby tak cicho i pokornie przyjęła jego napomnień, od których nie mógł się wstrzymać, ile razy spotkał się z tą pogańską pobożnością krajowców, tak dziwną dla mieszkańca stron innych. Złożono biednego Wincenzia pod kolumną należącą do odłamku jakiegoś starego gmachu, ocienioną kasztanem. Kapucyn dobywszy jakiegoś mocnego spirytusu kazał nim rozcierać ciało Wincenza, a obróciwszy się do matki jego, rzekł pełen wiary w Bożkie miłosierdzie i w modlitwę którą odmówił: „Padnij na kolana matko i najpierw oczyść z nienawiści serce twoje z wszelkiéj nawet niechęci, bo inaczéj modlitwa twoja za-

dnéj siły mieć nie będzie i błagaj Pana któren wskrzesił Łazarza, do życia powrócił córkę księżęcia, aby się zlitował nad tobą.” Słowa kapucyna pobudziły do prawdziwéj i czystéj modlitwy słuchających; każdy wznosił ręce do Nieba, a stara matka padłszy obok Lucyi na kolana, biła się w piersi na znak żalu. — Gdy w gorących wyrazach błagała Boga, krzyk: „On żyje! przerwał jéj modlitwę— spojrziała, i istotnie spotkała wejrzenie syna, budzącego się jakby ze snu; podano mu wody do którój kapucyn wlał orzeźwiających kropel i wkrótce przyszedł do siebie. — Zapytany co go bolało? gdzie głównie uderzonym został? — odpowiedział zdziwionym słuchaczom, że wyraźnie cudowna ręka ochroniła go od śmierci, albowiem w miejscu gdzie on siedział, kawał sklepienia wklęsłego, spadł w taki sposób, że on znalazł się jakby pod kloszą i tylko słyszał jak na ten cudowny nad nim dach waliły się gruzy— mimo to zemdłał, nie tylko z braku powietrza, ale z pragnienia i głodu, albowiem od czasu jak mu przeczytano wyrok, nie jadł nic, bo nie mógł już jeść a w wygiją czytania wyroku, przypadkiem wyrócił dzbanek z wodą którą mu codzién przynosili. — „A cóż matko— rzekł uradowany kapucyn— wszak poznajesz w tém wszystkim, *Zemstę Świątego?* — „O wielki! kochany Świąty! błogosławiona Madonna! błogosławiona modlitwa twoja! i tyś mój Ojciec błogosławiony!” — zawołała Neapolitanka. „Jam tylko niegodny sługa Boży — odrzekł z pokorą kapucyn.— Dziękuj Bogu matko— mówił daléj— służ mu wiernie, szanuj świątych i pamiętaj że to duchy czyste bez ciała a więc bez złości, bez zemsty— módl się do Boga ale czystém sercem, nie usty; módl się; i ufaj że niewinność syna twego wykrytą zostanie i będzie pociechą starych lat twoich.”

Wincenzio podany przez władze więzienne za umarłego, razem z tym na prawdę zmarłym, używał czas jakiś zupełnéj spokojności — nie spuszczano się jednak na to, tém bardziéj że wieść o cudowném wskrzeszeniu zabitego więźnia, krążyła między ludem i daléj się rozchodzić zaczęła. — Skoro więc wrócił do Neapolu właściciel domu, w którym się rodził Wincenzio i któren go do chrztu trzymał; na prośby Matki czynił starania, i te tak się powiodły, że niewinnie oskarżony dla zupełnego braku dowodów, wygrał w najwyższym Sądzie i zupełnie uwolnionym nadal od wszelkiego prześladowania został; co tém łatwiéj się udało, że tamten na którego padało podejrzenie, miał czas opuścić Neapol, a spokojny o los jego krewny, już nie miał

powodu chcieć zguby Wincenzia, już przez samą opatrność ocalonego.

Wkrótce kapucyn wielbiony przez całą rodzinę dawał szlub szczęśliwemu uwolnionemu od wszelkich zarzutów młodemu Wincenzio. — Kowalczyk istotnie jak przepowiedział, tak tańczył na weselu; straciła już jego piękna twarz ślady jakie zwykle zostają, po robocie przy węglach kowalskich— przyjęty do konserwatorium, lubo mu nie tak zręcznie i wygodnie było w stroju ucznia, wesoło płąsał; bo mu robili nauczyciele nadzieję że nie będzie potrzebo-

wał lat sześciu żeby zostać śpiewakiem chórów. — „Cóż matko— rzekł po odbytem weselu kapucyn do Neapolitanki — czy będziesz jeszcze posadzała o zemstę Śgo Januarego?” „Tak mój ojciec— odpowiedziała ze śmiechem— zemścił się nasz kochany Patron, zemścił się jak święty! bo kiedym na niego narzekała, on mi ratował syna; mówi Wincenzio że wyraźnie jakby cudowna ręka, oparła ten kawał sklepienia o ściany, tak, żeby on schronienie pod nim znalazł. O! to dzieło mego Świętego! to zemsta jego!

SŁÓWKO O MIKOŁAJU ANTONIEWICZU

I OSTATNIM POEMACIE JEGO.

Mikołaj Bołos Antoniewicz urodził się w Galicyi w roku 1809 z Krzysztofa i Salomei z Baronów Merej Kapri Bołos Antoniewiczowej.

Jako Brat rodzono-stryjeczny ś. p. księdza Karola Antoniewicza znanego powszechnie z swych zasług w kościele i Literaturze, liczy on się do téjże saméj prawości obywatelską i patriotyzmem odznaczającéj się rodziny.

Już w młodym wieku pisywał wiersze Liryczne. Przechodząc szkoły Gimnazyalne, a następnie i nauki Filozoficzne Akademickie we Lwowie, gdzie Językiem Polskim mówić nawet wzbraniano, nie małą musiał przebywać walkę między objawami myśli swoich, a mową Ojczystą, co nie tylko widać w jego dawniejszych (mniejszych) w Czasopi-smach umieszczanych ale nawet w późniejszych utworach (większych) jeszcze czasami spostrzegać się daje.

Antoniewicz nie czując w sobie powołania ani do prawnictwa ani do roli, wstąpił po ukończeniu studiów Filozoficznych do wojska Austryjackiego. Dosłużywszy się stopnia Officera otrzymał uwolnienie, a następnie zaciągnął się do Pułku 3go Ułanów naszych. W czasie wojny był w wielu bitwach; okryty ciężkimi ranami: otrzymał za nieustraszone mężstwo krzyż wojskowy. Wkrótce w War-

szawie wydał Rymy Zbrojne pod mianem Mikołaja z Pokucia.

Do późniejszych utworów zaliczyć należy „Uriel Akosta” z Gutzkova. Dramat Filozoficzny w pięciu Aktach przekład wolny wierszem w Lwowie 1848.— Sam Autor dziękując Antoniewiczowi za to tłumaczenie, wyraził iż więcej w nim serca niż w Oryginalie.

Ale do najcelniejszych utworów Antoniewicza zaliczyć należy Annę Oświecimównę,— poemat Dramatyczny Oryginalny (w Lipsku 1853 r.) mieszczący wiele zajmujących i wzniosłych ustępów. Do innego rodzaju prac udatnych należy drukowany przed siedmiu laty w *dodatku* do czasu (Kwiecień 1855 „Dziewcze z Martigni” spory poemat liryczny. — Oprócz tego cośmy przytoczyli, wiele napisał drobniejszych wierszy po części w pismach periodycznych umieszczanych, po części zaś w tece Poety spoczywających, i tylko znajomym w rękopiśmie udzielanych, między którymi znajduje się Poemat większych rozmiarów w dwóch Oddziałach, pod napisem: „Braniec pod Warną” do druku zupełnie wykończony. Tyle tylko dzisiaj pobieżnie o Antoniewicz u wspomniawszy, żałować potrzeba dla czego dotąd prace swoje w ukryciu chowa, a przez to nie małą szkodę Literaturze Ojczystéj wyrządza.

E. Marylski.

MIASTO KANO

I JEGO OKOLICE.

(Wyjątek z ostatniej podróży po środkowej Afryce).

Leon z Grenady znakomity Geograf, zwany Afrykaninem, z powodu że po zdobyciu przez Hiszpanów Grenady, on jako Maurytańczyk wyniósł się do Afryki; w swoich zajmujących opisach téj części świata, wspomina o okolicach, w których leży bogate miasto Kano, jako o kraju nie znaczącym, zaludnionym przez dzikich, na pół nagich ludzi. Jakaż to ogromna zaszła zmiana od początku XVIgo wieku w którym to czasie wydawał swoje opisy Leon Afrykanin, do dzisiejszych czasów i odbytych podróży uczonego Doktora Barth'a; które tłómaczone na francuzki język wyszły w roku zeszłym.— Ten ostatni zapewnia, że owa prowincja zwaną jest *ogrodem Sudanu*, dla uroczystych swych dolin, lasów, gór tworzących najpiękniejsze krajobrazy.— Bogata roślinność stroi pola i łąki w różnobarwne kwiaty i krzewy, wśród tego porozrzucane wioski, a w nich mieszkańce wcale nie pół-nadzy, ale przeciwnie w różnych malowniczych ubiorach, dają dobre wyobrażenie o bycie swoim.— Ocieniające tę piękną dolinę gaje, pełne są ptastwa strojnego w śliczne pióra— na zielonych łąkach pasą się liczne trzody — pola obfitują w zboża rozmaitego rodzaju — tytoń, konopie, indygo, kodena czyli drzewo maślane, melonik pełen chłodzącego soku i t. p. każą się domyślać że rodzajna ziemia różnorodnymi produktami darzy mieszkańców; — Gdyby nie częste napady sąsiadów, którzy ich czasem pozbawiają owoców pracy i darów bogatej natury, to jak twierdzi Doktor Barth, możnaby śmiało uważać ich za najszczęśliwszych kuli ziemskiej mieszkańców. Starają się też oni jak można zabezpieczać od łupieżstwa wioski swoje, także miasteczka, opasują palisadami roślinnymi lub murem. Takimże murem tylko większym bo 40 stóp wysokim a do 30stu szerokim, opasane jest stołeczne miasto prowincyi, główny punkt ruchu i życia handlowego miasta Kano. Zdaje się że miasto to głównie powstało czyli zakwitło bogactwem i handlem w XIXtym dopiero wieku;

albowiem dawniejsi podróżni wspominają inne miasta, dziś w rozwaliny zamienione jak Kantsena, Kankana, a milczą o Kano, które dziś tak się wzniosło, że jest głównym środkowym miejscem bandlu i którego żaden podróżujący, żaden z jakiegokolwiek części świata kupiec, czémkolwiek handlujący nie minie. To właśnie stanowi największy wdzięk, największą oryginalność miasta; trzeba być naocznym świadkiem, żeby sobie wyobrazić ową rozmaitość kolorów nie tylko odzieży ludzkich w jakie się przybrali, ale również kolory jakimi od natury zostali uposażeni. Wszystkie tu rasy, wszystkie kolory, wszystkie kształty, jakby umyślnie dla zadziwienia oka sprzecznością, obok siebie pokazują się, równie jak wszystkiego rodzaju twory, zadziwiają przechoźnia z każdego narodu. — Krajowcy znajdują tu swoje oryginalne cudnych kolorów odziewki, Egipcjanie piękne szale, Europejczycy Weneckie perły, Saskie sukna, jedwabne Lugduńskie materje.

Nieszczęściem, ten zajmujący różnością obraz, zaciemnia się, przysłania, jakby czarną, najeżoną piorunami chmurą, gdy podróżny spojrzy na miejsce gdzie niewolników sprzedają! Z tym okropnym obrazem, każdy w jakąkolwiek stronę Afryki udający się, spotkać się musi koniecznie.— Tu Arab śniadój postaci, wieczny podług zasad koranu niszczyciel różnowierców, dogadzając zarazem swojemu łakomstwu, napada na biedne osady z psami i strzelbą jak na szkodliwe zwierzęta. — Biada tym nieszczęśliwym jeźli się bronią! tych tylko los jest do zazdrości, którzy w téj nierównej walce na miejscu giną! Owdzie handlujący ciałem ludzkim z najemnikami, chwyta ich za upoważnieniem Władzy krajowej, która często opłaca podatek głowami ludzkimi, uprowadza ich tysiącami i w różne sprzedaje strony — Dalej aż straszno wyznać, bo Europejczycy, chrześcijanie, członkowie najucywilizowanego narodu, gdzie osobista wolność jest tak szanowaną, Anglicy, kupcy na swoją rękę, z równą Arabom lub

innym barbarzyńcom dzikością i okrucieństwem, chwytają nieszczęśliwych, okupiwszy miejscową władzę i tysiącami *swoich współbraci bliźnich* ładują okręta, a w podróży, w miarę potrzeby, starych lub chorych mordują, ciskaając ich w morze.— Tysiące nastroca się pytań, dla czego ta nieszczęśliwa rassa, od tylu wieków na tak straszną poniewierkę i na takie katusze skazaną przez współbraci została? — W czasach pogańskich, kiedy nawet tak wielki filozof jak Arystoteles, nie mógł pojąć społeczeństwa *bez niewolnika urodzonego do niewoli*, tyle tylko że kazał obchodzić się z nim łagodnie, nic dziwnego że bogatsza w inteligencją przemysłową ludność, owładnęła dziką, w niemowlęctwie będącą, i obróciła ją sobie ku wygodzie swojej. — Ale żeby 19 wieków chrześcijaństwa, żadnego prawie ulepszenia w losie tej nieszczęśliwej rassy czarnych przynieść nie zdołało! to ciężka wina która prędzej czy później okropnymi skutkami spłaconą być musi! — Przysznie wszakże trzeba, że coraz więcej dostaje silnych, pełnych poświęceń obrońców ta żywotna kwestya oswobodzenia Murzynów. Wiadomo jak wielkie stronnictwa powstały w Ameryce, w tym teatrze głównym, gdzie się na wielką skalę odgrywały, straszne dla połowy ludności, dramata. Już przecie ustaje przesąd dla wygody własnej utrzymywany a nawet przez niektórych świątłych ludzi popierany, że *każdy Afrykanin jako pośrednie stworzenie między Urangutanem a Człowiekiem, o wiele jest niższym od brata białego, a czaczka jego, równie jak układ rysów niekształtny, dowodzi, że on tylko do ciężkiej zwierzęcej pracy stworzony; że tylko zwierzęce mając popędy, nigdy umysłem ani uczuciem, wznieść się na równi z tamtym nie może.* — Tysiączne wyjątki Murzynów oswobodzonych, wykształconych, będących czy to w zakładach naukowych w prowincjach Amerykańskich przychylnych sobie, czy też na czele fabryk, lub Administracyjnych posad, przekonało, że ten brat nasz czarny, będąc człowiekiem obdarzonym duszą nieśmiertelną jak wszyscy, ma też same objawy swego człowieczeństwa. Ileż to prawdziwie wyższych, pełnych poświęceń uczuć, czytamy w opisach podróży, spotykających osady chrześcijańskie Murzynów. Na tym to gruncie łzami i krwią zaprawionym, najbujniejsze wydaje plony *wiara i miłość*; ztąd czerpią możność wzniesienia się do ideału, do pojęcia życia duchowego.

Nie podobna obojętnie czytać opisów szczęśliwego kawałka ziemi, gdzie czarni współbracia nasi używają praw równych Europejczykom, gdzie za-

czawszy od Naczelnika do innych, dają dowody, jak wyższe wykształcenie pojąć byli zdolni, jak godnie odpowiadają wszystkim powołaniom swoim.— Nie możemy się oprzeć chęci zamieszczenia tu, choć w kilku wyrazach wiadomości bliższych o tej Rzeczypospolitej, uorganizowanej za wytrwałem staraniem ludzi dzielnych, pełnych poświęceń, między którymi nazwiska Wilberforce i Webster na szczególną zasłużyły wzmiankę. — Ci czcigodni Amerykanie nie szczędzili wszelkich starań, aby choć w milionowej części, nagrodzić braciom czarnym, zbrodnie przez współbraci swoich na nich wykonywane, i ażeby rozwiązać tę ciągle prowadzoną kwestję: czy mogą Murzyni być niepodległym narodem? Skutki najlepsze uwieńczyły prace tych ludzi, jak to zaraz się przekonamy:

„Za pomocą Rządu Amerykańskiego i sprzyjających Murzynom ludzi, z obu światów, — założoną została na przytułek dla uwolnionych niewolników, Rzeczpospolita pod nazwą Liberia, między Sierra Leone a przylądkiem Palmas. — 1822 R. czasu założenia swego, rządzoną była przez Prezydentów białych— od roku zaś 1841go został jej Prezydentem Murzyn Roberts, mąż odznaczający się pismami swemi, dyplomacją i umiejętnym używaniem Władzy, czém dowodzi o wyższem usposobieniu i talentach jakimi natura go obdarzyła. Liberia ma swój Senat, Izbę doputowanych, trybunały i sąd najwyższy.— Territorium jej składa się z trzech hrabstw, zaludniających się ciągle, to przyłączeniem dobrowolnem pokoleń sąsiednich, to przypływem uwolnionych, wracających do swego kraju, z którego ojcowie ich tak okrutnie wygnanemi zostali; Roberts w 1848 odbył podróż do Ameryki, Anglii, Francji — gdzie przyjmowanym był ze współczuciem a ze szczególnem poważaniem przez generała Cavaignac.”

Lecz wróćmy się do naszego *ogrodu Sudańskiego* i do miasta jego. — Jakiśm to wyżej powiedzieli ruch handlowy jest nadzwyczajny w Kano, pomimo że utrudniony oryginalnemi do przenoszenia pieniądźmi. Albowiem z powodu wielkiej rzadkości srebra, złota, a nawet miedzi, które to kruszce czasem tylko w rękach Turków lub Europejczyków na ich własny użytek widzieć można; monetą krajową, zdawkową są tak zwane kori czyli kurdi.— Są to małe muszelki znajdujące się w Azji i ztamtąd sprowadzane — a lubo taka moneta nie jest z metalu, ani z żelaza jak u Lacedemończyków, również jest trudną do przenoszenia i tak np. na 200 franków po-

trzeba 100,000 kori, co stanowi ciężki ładunek na jednego wielbłąda. Kurs ich naturalnie zmienia się stosunkowo do miejsca i łatwości z jaką dostarczają okolice mniej więcej odległe. Na pogranicznych brzegach tak są tanie, że małe kori jakby z porcelany wyrobione, nawlekają po 100 na sznurek, co więcej do pobożnego rożanca jak do pieniędzy podobne. — Zaś w środkowej części Afryki, jak np. w naszym mieście Kano, na sztuki się liczą; przyznać trzeba że wiele cierpliwości i wiele czasu zmarnować trzeba żeby przeliczyć 50,000 tego drobiazgu, czyniącego dopiero 100 franków; mimo to jednak wprawa ułatwia trudności, prędko się odbywa liczenie, z którym oswojeni już są wszystkie narodowości różnokolorowe znajdujące się na ulicach miasta. Ludność jego wszakże nie odpowiada rozległości; zwykle stała ilość mieszkańców wynosi tylko 30,000 — ale od Stycznia do Kwietnia, w których to miesiącach największy jest ruch handlowy, w dwójnasób się powiększa.

Wyroby bawełniane tego miasta są wszędzie nadzwyczaj poszukiwane; posiadają oni właściwy sobie sposób farbowania ich, nadają im kolory tak piękne, tak trwałe, że wszystkie Europejskie farbiarnie nie mogłyby im dorównać. Leon Afrykanin nie wspomina wcale o tej ich zdolności, widać ten sekret przyniesiony im był później jak w XVI wieku, ale przez kogo? jak? niewiadomo.

Miasto Kano i okolice jego są osiadłe przez pokolenie Haussańskie, zdaje się że pierwotni jego mieszkańcy, nie byli z tego plemienia, że z czasów jakie opisywał Leon Afrykanin, inna, mniej cywilizowana ludność, zamieszkiwała te okolice, — jakim sposobem przez Haussanów owładniętą została? nie wiadomo. — Przyznać jednak należy że oni harmonizują zupełnie z miejscowością którą zamieszkali; albowiem lubo kolor twarzy ich podobny jest do koloru innych mieszkańców Afryki, kształt ciała i rysy mają znacznie odmienne. Kobiety z wdzięcznym uśmiechem, niczem nie odrażają podróżnego, a ruchy ich zręczne, ubiór przyzwoity, nadaje im piętno wyższej cywilizacji. Jakaż to uderzająca różnica, gdy w ulicach miasta Kano, obok zręcznej z drobną nóżką i uśmiechniętą twarzą Haussanki, spotyka się sąsiednich stron mieszkańca atletycznej postaci, płaskich rysów, żółto-czarnego koloru. Haussowie są gościnni dla cudzoziemców. — Doktor Barth wspomina w swój podróży z jaką uprzejmością witali go, gdy zwiedzał okolice; jak kobiety częstowały go krajowemi przysmakami, a najkorzystniej usposobił

go dla mieszkańców następujący wypadek: — Wyjechawszy z Kano, Doktor pragnął połączyć się z bardzo zacnym podróżnym *obrońcą czarnych*, czyli jak zowią powszechnie *Negrophilem* Panem Ryszardson, którego jedynym celem życia, była praca nad oswobodzeniem braci czarnych i który w tym celu podróż do Afryki przedsięwziął. Lecz jakże bolesną była wiadomość, którą (w drodze do miejsca gdzie się spodziewał spotkać ziomka) odebrał Doktor; Ryszardson w skutek wielkich upałów i utrudzenia zakończył życie. — Mimo to Doktor udaje się na miejsce, chce uszanować szczątki jego, i z wielkiem zdziwieniem swoim, znajduje go pogrzebanego pod pięknym drzewem Sykomorowem; mieszkańcy ze czcią zaprowadzili go na miejsce, gdzie *chrześcijaninowi* grób wykopali. — Haussowie stanowią dziś największe i najlepiej zorganizowane królestwo z całej Afryki środkowej — panującą w niem religją jest Mahometańska: z bardzo niewielkimi wyjątkami poddali się mieszkańcy temu wyznaniu, w czasie kiedy przy początku naszego wieku, Osman jeden z Szeików Fulachów, przyjąwszy Islamizm a z nim chęć i obowiązek podbojów, naszedł Hausów, owładnął i swoje im wyznanie narzucił. Język Haussów także wyższą cywilizację ich dowodzi, bo bogatszy dźwięczniejszy od innych — rozszerzył się po całej Afryce środkowej: podróżni nazywają go *francuzyczną Afrykańską*, gdyż w innych miastach handlowych rozumieją go i mówią nim. — Powodu dla którego sztuka pisania u nich jest na zasadach Semickich, wiedzieć nie można, albowiem język ich do Semickiego żadnego nie ma podobieństwa. — Niektórzy utrzymywali że Haussowie byli jednego szczepu z ludnością Punicką, lecz późniejsi badacze zbijają to przypuszczenie zupełnie, a to na zasadzie, że język ich nie ma żadnego podobieństwa do języków barbarzyjskich, którym przypisują styczność z językami Semickimi.

Handlujący Murzynami, prowadzący swoje okrutne rzemiosło na wielką skalę, nie owładnęli jeszcze królestwa Haussanów; nie widać ich tam i dla tego krajowcy nie przyuczeni do okropnego obchodzenia się z kupionemi niewolnikami, tém większą w podróżujących wzbudzają sympatję. — Istnieje tam naturalnie niewola, wprowadzona jak się zdaje przez Arabów. — Niewolnik w skórzanym fartuszk, potem zlany od pracy, spotyka się wszędzie, ale tutaj, jest on tylko bydłem używanym do roboty, dbają więc o niego, jak w dobrém gospodarstwie dbają o bydło. — Jest to niczem w porównaniu z okolicami,

gdzie polują na nich, brakują, czyli wybierają zdolnych jeszcze do pracy, a wybrakowani pozostają jakby na śmierć głodową skazani — gdyż jako nieprzynoszący pożytku pracą, zbyt szczupłą dostają żywność.— Zgoła okolica, którą wyżej opisaliśmy, pod każdym względem jest dla podróżującego milszym nad inne obrazem.

A.

URYWEK Z DZIEJOW WENECYI.

(Dokończenie: patrz kartę 38).

Oto wykaz, utworzony przez dożę Tomasza Mucenigo, potrzebowania sukna weneckiego przez główne miasta Italji:

Todtona i Nawarra żądały corocznie 6000 sztuk sukna po 15 dukatów sztuka.

Pawja	3000 sztuk	po téjże cenie:
Medjolan	4000 sztuk	po 30 dukatów sztuka.
Como	12000 sztuk	po 15 dukatów.
Muza	6000 sztuk	po téjże cenie.
Brescia	5000 sztuk	po idem.
Parma	4000 sztuk	id.
Bergamo	10000	po 7 dukatów.

Cremona poprzestawała na 40,000 sztuk po 4 1/4 sztuka.

Werona żądała corocznie 200 sztuk tkanin złotych, srebrnych lub jedwabnych.

Wicenza	120 sztuk.
Padwa	200 sztuk.
Trewizo	120 sztuk.
Friul	50 sztuk.
Feltre i Belluno	12 sztuk.

Skóry złożone, jedna z gałęzi przemysłu weneckiego najwięcej chwalonych, przynosiła rocznie czystego zysku 100,000 dukatów. Nakoniec przygotowywanie mnóstwa przedmiotów chemicznych i aptecznych, jak borax, ałun, cynober, mydło, barwniki, kamfora, witryol, wosk, stanowiły gałąź korzystnego wywozu.

Te to były główne gałęzie i główne miejsca wewnętrznego i zewnętrznego handlu Wenecji, w świetnych jej czasach. Pieniądze pobierane z Lombardji wynosiły 28,800,000 dukatów rocznie, dających czystego zysku 1,000,000 dukatów; zyskiwała oprócz tego 600,000 dukatów za przewóz lub pośrednictwo; Florencja czysto jej przynosiła 400,000 dukatów rocznie. Ku środkowi XVgo wieku. Wenecja wypuszczała corocznie w obieg 10 milionów dukatów, na

których zyskiwała 4 proc. Pośpieszmy powiedzieć, że utwierdzenie kredytu publicznego, działając z cudowną doskonałością, a którego bytu żadne państwo w Europie się nie domyślało, nadawało popęd i życie temu ogromnemu ruchowi sztuk pieniężnych.

Początek banku weneckiego, który w początku nazywano *Monte* a później *Banco del Giro*, przypada w XII wieku. Pierwszy kapitał był wynikiem pożyczki przymusowej, której wysokość przedstawiana przez certyfikaty procentujące, zrodziła myśl użycia tych certyfikatów jak samychże pieniędzy, i bank zaczął wykonywać na rachunek niektórych osób prywatnych wypłaty listów zamiany (weksli). Dochody jakimi bank rozporządzał oznaczają na 5 milionów franków. Dziejopisarze podali nam tylko szczegóły bardzo niepewne o jego urządzeniu i działaniach, lecz jest wiadomem, że od roku 1453 jego kredyt na trwałych opierał się zasadach; zaufanie w papierach było tak wielkie, że wkrótce bank wywiózł wszystką gotowiznę, która mu służyła za porękę, a żaden z obywateli najmniejszej z tego obawy nie okazał.

Wykazaliśmy osobiste usiłowania kupców Weneckich, pozostaje nam powiedzieć w jaki sposób rząd wspierał ich przedsięwzięcia.

W ciągu ośmiu wieków wielkości swojej, rzeczpospolita widziała tylko dwa wielkie przedmioty: utwierdzenie i obronę arystokratycznej ustawy wewnątrz, rozszerzenie panowania handlowego zewnątrz. Pod tym ostatnim względem, polityka rządu była tém zręczniejszą, że opierała się na najgłówniejszych i bezustannych interesach całej ludności, jak nie mniej na najżywszych skłonnościach ducha narodowego. Starał się on o trzy nie rozdzielne z sobą wypadki: 1szy o nieskończone rozprzestrzenienie stosunków zewnętrznych dla kupna i sprzedaży płodów cudzoziemskich, i o nieprzestanne zwiększanie miejsc rozwoju płodów przemysłu krajowego; 2gi widoczna

opieka życia i mienia obywateli na lądzie i morzu; 3ci zniszczenie współzawodnictwa. W Xym wieku senat podpisywał traktaty handlowe z cesarzami Wschodnimi, z patriarchą Akwilei, z cesarzem Karolem IVm w Mantui, z Ottonem IIem w Rawennie; w XIem i XIIem wieku z królem jerozolimskim, Baudouin'em, z Wilhelmem IIIcim królem sycylijskim (1152—1174); potem z beyem tunetańskim i wszystkimi książętami saraceńskimi na brzegach Afryki, z Tatarami, Anglikami, Flamandami, Hiszpanami, królestwem neapolitańskim i wszystkimi prawie miastami italijskimi. Wszystkie te traktaty nadały prawa i przywileje, a najprzód pozwolenie zakładania składów czyli kantonów (*fondachi*), utrzymywanych przez Wenecjan, które stawały się prawdziwymi osadami, posiadającymi swój zarząd na wzór kraju macierzystego. Nie było miasta ważniejszego na Archipelagu greckim, w Syryi, Afryce, Azji mniejszej, po nad morzem Czarném, któreby nie miało swego cyrkułu weneckiego; w Antiochji na przykład zawierał on blisko trzecią część miasta. — I tak, kiedy Wenecjanie, Genuńczycy lub Pizańczycy, znaleźli na pobrzeżu punkt jaki który im się podobał, za pomocą prośb, darów, nalegań, otrzymawszy pozwolenie zakupienia tam pewnej przestrzeni ziemi, budowali kilka domków i kilka szop, otoczonych prostym częstokołem; zwolna potem zwozili kamienie, marmury, wznosili wysokie mury otoczone rowami, i wtenczas, zmieniawszy ton, postępowali jak panowie. Czyli nie w ten sam sposób postępowali Portugalczycy, Hollendrzy, a szczególnie Angliki? Nietrzeba jednak mieszać tych zakładów zupełnie handlowych z lennościami, jakie Wenecjanie założyli w rozmaitych częściach cesarstwa greckiego, które im przypadły w podziale po zdobyciu Konstantynopola.

Instytucja, wynikła z poprzedzającej, która ją uzupełniła, jest instytucja Konsulów. Wenecjanie zaprowadzili ich we wszystkich prawie portach i miastach Grecji, Azji, Afryki i Europy: wybierali ich pomiędzy szlachtą lub mieszczanami. Upoważnieni do utrzymywania jałmużnika, notariusza, siedmiu służących, dwóch kuniuszycy, dziesięciu koni, urzędnicy ci otrzymywali płacę odpowiednią ich ważności. W skutek słusznej wzajemności, rząd udzielał wyłączną opiekę cudzoziemskim kupcom osiadłym w Wenecji, i poręczał wszystkim narodom, którzy tu posiadali kantony, prowadzenie wolnego handlu. Jednak prawa, przywileje, swobody, obostrzenia i ciężary, były dosyć nie równo rozdzielone pomiędzy

tych cudzoziemców. Niemcy mieli najwięcej przywilejów: w XIIIym wieku pozyskali prawo posiadania własnego lokalu przeznaczonego na ich towary i kupców; położony nad wielkim kanałem, obejmował pięćdziesiąt sześć izb czyli składów ¹⁾. *Fondaco* Armeńczyków był w początku tylko miejscem schronienia, wystawionym kosztem Marka Ziani, synowca doży tego nazwiska, którego rodzina przez długi czas przebywała w Armenji i tam się z bogaciła; w XVym wieku ci Azjanie otrzymali budowle obszerniejsze i zbudowali Kościół ich wyznaniu przeznaczony. Co się tyczy Greków, których liczba nadzwyczajnie wzrosła, a zwłaszcza po zdobyciu Konstantynopola przez Turków, pozyskali oni również prawo posiadania dóbr ziemskich i prowadzenia handlu w Wenecji; dozwolono im nawet sprawować obrzędy swojego wyznania w kościele Ś. Jerzego; lecz surowa prawowierność rządu wzniewała im częste niesnaski, a jurisdycja duchowieństwa greckiego, w stosunkach swoich z duchowieństwem rzymskim i władzę cywilną, przez kilka wieków była przedmiotem sporów, uchwał papieżkich i licznych urzędzeń. Pomimo to Grecy używali wielkiego poważania i wolności religijnej bardzo znośnej jak na owe czasy. Gryzonowie i Turcy niemniej dobrze byli uważani.

W pierwszych miastach chrześcijaństwa, żydzi rozpierchli się po wszystkich okolicach Wschodu i Zachodu, a szczególnie po miastach Italji, gdzie byli zmuszeni do opłacania pewnego haraczu. — W Wenecji dozwolano im tylko czasowego pobytu. W ciągu XIV i XV wieku, pozwolenia te udzielano już to na pięć, już na dziesięć lat; czasami nawet ich nie przedłużano. Wtenczas zmuszeni opuszczać miasto powracali do niego pod różnemi pozorami; musiano przeto wydawać przeciw nim wyroki formalnego wygnania. Sprowadzeni znowu przez zwykłe

¹⁾ Spalony w czasie pożaru dawnego mostu Rialto, odbudowany w początku XVIgo wieku na większą stopę, budynek ten, który dziś jeszcze nosi nazwę *Fondaco dei Tedeschi*, miał 512 stóp obwodu i otoczony był dwudziestu dwoma sklepami. Ściany zdobne były malowaniami wykonanemi przez pierwszych malarzy owej epoki, a między innymi przez Tycjana i Giorgiona. Wewnątrz obszerny podwórzec otoczony przedsionkiem prowadził do dwustu izb. Wnijscie do *fondaco* zabronione było kobietom: i kupcy, którzy w Wenecji osiąść chcieli z całym gospodarstwem, musieli zaślubiać tamtejsze kobiety, to jest zjednoczyć się z krajową ludnością.

swe natręctwo i nadzieję zysku, stawali się użytecznymi rządowi w trudnych okolicznościach i otrzymywali już to nowe upoważnienia, lub tajemne ich znoszenie, aż do chwili, dopóki ich obyczaje lub zdzierstwo nie oburzyły ludu, a zwłaszcza ślepa nienawiść jakiejś ród ich był przedmiotem, nie wywołała nowych prześladowań. I tak, w roku 1463, wyrok rady Dziesięciu, zatwierdzony przez legata papieżkiego, znakomitego kardynała Bessarion, dozwolił żydom zamieszkiwać we wszystkich miastach i ziemiach rzeczypospolitej, z warunkiem stosowania się do praw poprzednich, nakładających na nich mniej lub więcej trudne warunki, jako to: noszenia na piersiach kawałka tkaniny żółtej, lub na głowie czapki odznaczającego kształtu lub barwy, a szczególnie nie przebywania dłużej nad dni piętnaście w Wenecji.

Zasadne postępowanie rządu weneckiego dążące do tego, ażeby pozyskać wyższość, a nawet wyłączność handlową, jest tém godniejsze uwagi, że wiele w tym względzie używanych środków mało się zgadza z dzisiejszą ekonomją polityczną. Takimi są prawa, które dozwalały tylko obywatelom, szlachcie lub mieszczanom, a pomiędzy temi pewnej tylko klasie, wolnego wywozu lub przywozu; prawa wymagające, ażeby cały handel zewnętrzny odbywał się za pomocą statków weneckich, dowodzonych przez Wenecjan i naładowanych towarami do Wenecjan tylko należącemi; prawa nie dozwalające najmowania gdzie indziej statku dla handlu z Lewantem, przedawania cudzoziemcom, lub kupowania od nich statków; prawa rozkazujące, ażeby wszystkie statki budowanemi były w Wenecji, i ażeby wszystkie płody lub towary, zanim wywiezionemi zostaną, przybywały bez różnicy z której idą posiadłości, do tego portu, uważanego za skład główny rzeczypospolitej; nakoniec prawa, które ściągały do stolicy lub jej bezpośredniego obwodu wszystkie rękodzielnie prowadzone przez własnych jej poddanych. Rozporządzenia dotyczące się taryf, poborów opłat, tworzyły prawodawstwo ugruntowane na zasadach najsurowszych zakazów, i pozostawiały obszerne pole nadużyciom i dowolności spowodowanej przez namiętność tak rządu jak i osób prywatnych.

Szczególniej przez rozwój swój marynarki, Wenecja pozyskała tę wyższość handlową, która była ciągłym celem jej ambicji. Rzeczpospolita nie tylko opiekowała się życiem i mieniem poddanych swoich osiadłych lub kupczących w portach cudzoziemskich, ukazując często wpośród nich okręta wojenne; sama

wprost wysyłała floty kupieckie, składające się z statków nazywanych galionami: dwie na morze Czarne, do Caffy i Trebizondy: jedną do Konstantynopola i do portów Romanji lub Grecji; czwartą na brzegi Syrii i Azji Mniejszej; piątą zwiedziła Hiszpanję i kraje Barbarji; szósta żeglowała do Egiptu; siódma, o której jużesmy wspominali, przeznaczenie swoje miała płynąć do Flandryi i Anglii. Na każdym galionie, oprócz dowódcy i potrzebnych oficerów, znajdowała się pewna liczba żołnierzy, jałmużnik, lekarz i chirurg, do których przydawano dwóch młodych szlachty, w dwudziestym roku życia, ażeby się uczyli żeglarstwa i kupiectwa. Zbudowane, zaopatrzone, uzbrojone przez rząd, galiony te wystawiane były na licytację i kupiec który ofiarował najwyższą cenę za najem, ładował je towarami swojego wyboru. Za powrotem rząd odbierał je znów na swoją własność i pobierał małą opłatę od przywiezionych produktów. Flotta rządowa nie mogła zboczyć z wyznaczonej drogi; nawzajem statkom prywatnym surowo zabronionem było zawijać do portów dla niej przeznaczonych: okręt, któryby zastano pomimo zakazu, uległ zabraniu, ani mniej ani więcej jak rozbójnik morski. Widocznem jest, iż rząd Wenecki, zachowując sobie prawo kierowania temi karawanami morskimi, nie tworzył wyłączności na swoją korzyść; pragnąc korzystnie używać floty swojej w czasie pokoju, nakazał uszanowanie dla swoich chorągwi, znajdował sposób pomagania niezbyt bogatym kupcom. Dwadzieścia lub trzydzieści galer o tysiącu, tysiącu dwieście, dwutysiącach beczek, każda niosąc ładunek oszacowany na 100,000 dukatów; o to wydatki jakie czynić postanowił. Interes prywatnych na tém był tak korzystny, że w roku 1406 ładunek floty flandryjskiej wynosił do 350,000 dukatów; syryjskiej w roku 1417 niósł towarów za 16,000 dukatów i 360,000 dukatów w gotowiznie przeznaczonych na kupno w portach Wschodu.

Żegluga prywatna była nie jako zależną od rządu, gdyż nikt w Wenecji nie mógł bez wyraźnego upoważnienia ani urządzać, ani wysyłać żadnego statku. Wreszcie, chociaż było ich 3, do 4,000, po większej części należących do patrycjuszów, handel ograniczał się na wyprawach nadbrzeżnych: przebiegali oni dwa wybrzeża Adrjatyku, port Ponenta, to jest Sycylję, Neapol, Państwo Kościelne, Toskanję, nakoniec porty Lewantu, które nie były zamkniętymi dla flott rzeczypospolitej. Tu również młoda szlachta odbywać była powinna podróże: jeśli byli ubogimi przyjmowano ich bezpłatnie na pokład, a rząd dostarczał

im nawet pieniędzy na zakupienie ładunku, bo pragnął, ażeby wszyscy jego obywatele działalność swoją zwracali na kupiectwo z odległymi ludami.

Marynarka wojenna poszła w ślad za tym gwałtownym rozwojem marynarki kupieckiej. W ciągu VII i VIII wieku zatoka Adrjatycka wystawioną była na napady dzikich mieszkańców wybrzeży Istriji, Dalmacji, Sławonji, do których przyłączyli się wprędce korsarze saraceńscy i barbarzyńscy. Należało więc wcześniej pomyśleć o obronie przeciw tak licznyemu nieprzyjacielowi. W roku 729 eskadra wenecka uderza i zdobywa Rawennę; w 808, druga podobna pustoszy brzegi Dalmacji; w 827 dwie bitwy morskie toczą się przeciw Saracenom i Sławończykom wewnątrz i zewnątrz zatoki: w 840, sześćdziesiąt statków wojennych, niosących 20,000 wojska ginie z ręki Saracenów przed Tarentem, a w rok potem Weneccjanie mszczą się poniesionej straty na wybrzeżach Istriji; w 880, 889 i 998 wysyłają na morze eskadry złożone z trzydziestu, czterdziestu okrętów przeciw Sławończykom; w roku 1004, wielka flotta pobija Saracenów i oswobadza Bari, gotowe poddać się. W XI wieku rzeczpospolita wspiera usiłowania Normanów, władców Sycylii; w roku 1084 wystawia przeciw tymże Normanom, grożącym Albanji, flotę z sześćdziesięciu galer, których ogrom zadziwia Greków: wkrótce potem, trzydzieści sześć wielkich statków czyli dromanów, czternaście galer i dziewięć lekkich statków, zwyciężają Normanowie, połączeni z Sycyljanami, i Wenecja traci pięć tysięcy ludzi w zabitych, trzy tysiące w więźniach. Wkrótce potem, armja morska, silniejsza aniżeli poprzedzająca, składająca się z tak wielkich statków, że Grecy nazwali je *plywającymi twierdzami*, wypływa z Pagun. W roku 1111 eskadra z stu żagli złożona, na rozkaz Krzyżowców, udaje się do Syrii; w roku 1117 czterdzieści galer i dwadzieścia wielkich statków, grożą tronowi cesarza Manuela. W roku 1201, na wyprawę przeciw Konstantynopolowi, Wenecja jednoczy sto dromanów, sześćdziesiąt długich galer, sześćdziesiąt statków przewozowych niosących 4500 koni i około 30,000 wojowników, Francuzów, Niemców i t. d. dodaje do nich jeszcze pięćdziesiąt innych galer dla *miłości Boga*, jak mówi Villehardouin, nacowny świadek przez siebie opisywanych czynów. W roku 1268 Weneccjanie dostarczają Ludwikowi ś. piętnaście wielkich okrętów, które przewożą do Syrii cztery tysiące koni i dziesięć tysięcy ludzi; a piętnaście zbrojnych galer dzielne dają im poparcie; wkrótce potem inna flotta, złożona z siedmdziesięciu

wielkich okrętów, stu dwudziestu galer i innych statków, w liczbie trzystu, przewożyły na Wschód armję z 35,000 ludzi złożoną, tak konnych jak pieszych. W ciągu wieku XIII i XIV, z kolei zwycięzcy Genueńczyków lub przez nich zwyciężani, Weneccjanie stale utrzymują na morzu ogromne floty. W roku 1379, w niepełna dwa miesiące po zupełnej utracie floty w Istriji, kiedy Chiozza była w rękach Genueńczyków, a Wenecja ściśle blokowana, spuszczają z warsztatów czterdzieści galer z odpowiednią liczbą pomniejszych statków, za pomocą których powstrzymują postęp nieprzyjaciela aż do chwili, kiedy Zeno ratuje ją od zguby. W XIV, XV i XVI wieku, rzeczpospolita, że tak powiemy pozostawiona sobie samą, stawia czoło wszystkim siłom państwa Ottomanów.

Tę pobieźnem wyliczeniem chcieliśmy wykazać ogromne, niewyczerpane źródło Wenecji. Utrzymanie jednej galery średniej wielkości, przez jeden rok, oznaczano na 4200 dukatów złotych, a zaopatrzenie jej w żywność na 7200; jeśli dodamy do tego kosztu budowy i naprawy, kupno broni i potrzeb wojennych, dowiemy się iż uzbrojenie całe wynosiło 20,000 dukatów na jedną kampanję, a tym sposobem wysłanie stu galer powodowało wydatek 30 milionów na nasze pieniądze.

We wszystkich okresach Weneccjanie wielce byli zręcznymi we wszelkich budowach morskich, której sztuki nauczyli się bez wątpienia od Greków. Rząd ze swojej strony zachęcał ich do tego przez nagrody, a w potrzebie przez zaliczenia: ustanowił uroczystości *Regaty*, w pośród których rozwijało się współubieganie budowniczków i żeglarzy, nakoniec rozmaite korporacje miasta przyjmowały obowiązek wystawienia jednego, dwóch, lub więcej okrętów.— Przez wiele wieków zbrojownia ich uchodziła za cud świata. Miała ona tylko dwa wejścia: wejścia od strony morza broniły dwie czworoboczne wieże, poprzedzane mostem spuszczanym, który spuścić należało, za nim się doszło do kraty kolczastej, bronzowej, która służyła za bramę wchodową pomiędzy te dwie wieże; wniście ze strony lądu odznaczało się przez dwa ogromne lwy marmurowe, zdobiące niegdyś port Pireus, lecz które zaświadczały wówczas, że Wenecja odziedziczyła po Atenach władztwo morza. Wysoki mur, najeżony budkami strażniczymi, zewnątrz zabezpieczony szerokim kanałem, tworzył wielką przestrzeń którą oznaczają blisko na 3 mile kwadratowe. Wnętrze zbrojowni dzieliło się na trzy części. W pierwszej były kuźnie, gisernie, pracownie rzemieślników, mieszkania zarządców: pra-

rownia powroźnicza zajmowała przestrzeń 500 stóp długości, 90 szerokości. W drugiej części znajdowały się izby broni, składy drzewa. Trzecia wyłącznie przeznaczoną była do budowy statków. Trzy wielkie wodozbiory wewnątrz zbrojowni, połączone kanałami, ułatwiały spuszczenie statków: skoro kadłub okrętu został ukończonym pod szopą, wprowadzano go w ten wodozbiór, gdzie uzupełniano jego budowę i uzbrojenie. Zakład ten stanowił dumę rzeczypolitéj: w jego to zabudowaniach Wenecja ucztowała królów i książąt przybywających ją zwidzać, jak gdyby przez okazanie potęgi, uczuć im dawała ważność swojej przyjaźni. Opowiadają, że okręt wojenny został zbudowanym i spuszczonym w oczach Henryka III króla Francji, w czasie obiadu, danego mu w komnatach zbrojowni. Silni *Arsenaloto* (rzemieślnicy zbrojowni) dokonywający tych cudów, tworzyli klasę równie liczną jak wierną rządowi.

Oprócz przedmiotów koniecznych do zbudowania wielkiej floty, należało jeszcze mieć majtków, którzyby na niej służyli: kontygenca były stale wyznaczone. Stolica dostarczała osady dla pięćdziesięciu galer; miasta stałego lądu, dla dwunastu; wyspa Kandja dla dziesięciu; Capo-d'Istria, wyspa Voglia, Biazza, Zara, Lesina, Spalato, Traú, Corsola, Cettaro dla trzynastu. Takim sposobem dziewięćdziesiąt pięć galer w krótkim przeciągu czasu wyjść mogło z portów rzeczypolitéj; w okolicznościach nadzwyczajnych wystawiano większą ich liczbę.

Za pośrednictwem téj polityki czynnej i przewidującej rządu, marynarka kupiecka i wojenna Wenecjan nabyła i utrzymywała przez tyle wieków niezaprzeczoną wyższość nad wszystkimi współzawodnikami, a miasto dosięgło takiego stopnia bogactw i potęgi, iż słusznie pozyskało tytuł *Królowej Adrjatyku*. Obliczenie ludności, dokonane w roku 1336 wykazało w samej Wenecji 40,000 ludzi zdolnych do noszenia broni, a według sprawozdania odczytanego senatowi przez dożę Andrzeja Mucenigo, koło roku 1400, zamykała ona w ciasnym obrębie swój laguny 3345 statków 23500 majtków i 16000 rzemieślników pracujących w warsztatach lub zbrojowniach.

Powtarzać nie potrzebujemy, że Wenecjanie nie bez oporu doszli do tego stopnia pomyślności; Grecy, Saraceni, Genuęńczycy, Pizańczycy, a zwłaszcza rozbójnicy morscy, zmusili ich do zwiększania sił morskich. Stawszy się panami, z niesłychaną surowością wykonywali prawo mocniejszego; nie poprzestając na zasłanianiu swojego handlu, tysiące przeszkód stawiali handlowi innych, jeśli ich zniszczyć nie byli

w możności. I tak, kilkakrotnie podniecali dzikich mieszkańców wybrzeży Afryki do napadu na portugalskie posiadłości. Tam gdzie napady zbrojną ręką wykonywać się nie dawały, wydzierzawiali prawa władcy, i czyniąc uciążliwymi te prawa, znajdowali środki zupełnego zniszczenia handlu. Duma ich wzrastała wraz z powodzeniem: wyższość na morzach nie była dostateczną dla nich; zapragnęli wyłącznego na nich panowania. Pomiedzy czynami najbardziej znamionującymi te niesłuszne roszczenia, przytoczyć nam wypada zaprowadzenie *kapitanatu zatoki* (w XIIIIm wieku), za pomocą którego używali w całym znaczeniu tego wyrazu panowania nad morzem Adrjatyckiem. To zdziercze prawo, o którym mówić zaczęto w Xtych wieku, kazali wytłómaczyć i uzasadnić swoim prawnikom, gdy tymczasem przemocą je wprowadzali w wykonanie. Zaraz w początku swojej potęgi morskiej, Wenecjanie wzięli na siebie policję zatoki, z której zdołali wypędzić rozbójników istryjskich, sławiańskich, dalmackich, normandzkich, saraceńskich, i w tym względzie zasłużyli na wdzięczność wszystkich handlujących narodów; lecz od tegoż samego czasu zaczęli przeszkadzać wolnemu krążeniu po tém morzu, a szczególnie wojennym okrętom. Ażeby uzasadnić, uświęcić to gwałcenie praw narodów, ustanowili instytucję, jakiej przykładu dzieje nam nie przedstawiają, a która jednak pozostawała w wykonaniu, aż do upadku rzeczypolitéj. W następujący sposób instytucja ta działała.

Statki uzbrojone pilnowały ujścia wszystkich rzek, wpadających w morze Adrjatyckie, i nie pozwalały wrócić ani jednej łodzi, bez należytego jej przetrząśnienia. Dwie eskadry krążyły bezustannie, jedna przy brzegach Istrii i Dalmacji, druga przy brzegach Raweńskich i królestwa neapolitańskiego, gdy tymczasem kapitan zatoki, z dwudziestu galerami stojącymi w Zara lub Korfu, gotów był biedz tam gdzie słuszne lub niesłuszne roszczenia rzeczypolitéj napotykały jaki opór. Statki, żeglujące pomiędzy Fanó i ujściem Po miały mu płacić podatek, następnie zarzucać kotwicę w Wenecji. Dowództwo powierzono patrycjuszowi, staremu wojownikowi morskemu, który przybierał miano *kapitana*, czyli *gubernatora* zatoki, a każda galera jego eskadry, znajdowała się pod rozkazami szlachcica nazywanego *sopra comito*. W początku mieszkańcy Bolonji i Ankony, którym najwięcej to zdzierstwo szkody przynosiło, usiłowali stawić opór, ale wprędce przywiedziono ich do posłuszeństwa; w ciągu wieków, rażące to przywłaszczenie otrzymało uświęcenie dobrowolne lub przy-

muszone, przez poddanie się wszystkich ludów i wszystkich władców Europy. Wenecja nie ścierpiała nigdy najmniejszego w tym względzie uchybienia w sposób nawet najmniej obraźliwy²⁾).

Przy współdziałaniu téj to cudownej pilności, troskliwości, tych ciągłych przywłaszczeń, wojen, niesprawiedliwości, ucisku, Wenecja zdołała handel swój wesprzeć na silnych podstawach i przez niego pozyskiwać pomyślność krajową. Dzięki handlowi, skarb publiczny napełniony był gotowizną; dzięki handlowi, lud zawsze pewnym był pracy i łatwych środków utrzymania; dzięki handlowi, rzeczpospolita mogła utrzymywać na lądzie i morzu siły znakomite. Jeśli wejrzymy na przestrzeń, jaką obejmowały spekulacje obywateli rzeczpospolitej, jeśli przypomniemy sobie wszystkie osady, jakie ona zajmowała, wszystkie kraje w których jako władczyni rządziła: jeśli zważymy ten ogromny przestwór brzegów otwartych dla działalności tylu żeglarzy i spekulantów, u których żądę wywyższenia się rząd sam pobudzał, to żaden z ówczesnych narodów nie rozrządzał, ani tylu ludźmi do żeglugi nawykłymi, ani tylu lądami które zwidzać należało, ani tylu portami, w których okręta swoje chronić mógł, ani tak wielką roz-

²⁾ Oto przykład jak Wenecjanie szanować kazali panowanie swoje nad morzem Adrjatyckim. Kiedy infantka Merja, siostra króla hiszpańskiego, miała udać się w r. 1630, z Neapolu do Tryestu, w towarzystwie floty hiszpańskiej, celem spełnienia małżeństwa zawartego z Ferdynandem królem węgierskim, senat odpowiedział posłowi hiszpańskiemu, który go zawiadomił o tym zamiarze: „iż rzeczpospolita, posiadając panowanie nad „toką, niedozwoli nigdy wejść do niej żadnemu okrętowi „wojennemu: że jeśli J. K. Mość król katolicki zechce „przyjąć ofiarę galer weneckich, najjaśniejsza infantka „przyjętą będzie z wszelkimi honorami winnemi jój urodzeniu: lecz jeśli odrzuci to przedłożenie, rzeczpospolita „siłą bronić będzie praw swoich.” Seniorja oświadczyć kazała w tym samym czasie wice-królowi neapolitańskiemu za pośrednictwem posła swojego Marka Antoniego Padavini, „że jeśli Hiszpanja przekładać będzie przejście „przemocą nad te korzystne ofiary, najjaśniejsza królowa „narazić się musi na strzały działowe, chcąc obchodzić „swoje małżeństwo.” Król hiszpański nie nalegał wcale, a rzeczpospolita, chcąc mu okazać swoje zadowolenie, kazała odprowadzić młodą królowę z nadzwyczajną okazałością. Sławna i dziwna uroczystość zaślubin doży z morzem była również pewnym rodzajem corocznego ogłoszenia téj przywłaszczonej władzy.

maitością płodów, ładunek ich stanowiących. Lecz niemniej godną jest uwagi sztuka, z jaką te rozliczne źródła używanemi były.

Osady, zawsze niespojne, rządzone były przez patrycjuszów, a utrzymywane w posłuszeństwie przez pułki Dalmatów, niemniej burzliwych w swoim własnym kraju; w zamian za te wydatki, dostarczały majtków; majtkowie ci napełniali skarbiec, z którego czerpane płace Dalmatów, a szczególnie oddziałów najemników, którzy podbijali dla rzeczpospolitej posiadłości, lub, w razie potrzeby przywozili do posłuszeństwa samychże Dalmatów. Wpóśród tego oddziaływania rozmaitych klass ludności jednych na drugie, wszystkie mniej lub więcej przywiązane były do rządu węzłem własnego dobra. Wysoka płaca przyciągała pod chorągwie Ś. Marka najlepszych żołnierzy cudzoziemskich, i najlepszych rzemieślników do warsztatów Wenecji; potem, zwierciadła, broń, tkaniny, sól, tysiące różnych przedmiotów, wychodziło z tych warstatów, ażeby opłacić wszystkie płody Europy i Azji.

Każda gałąź handlu ściągała kapitały do Wenecji z obcych krajów. Z kolei kapitały te zamieniały się na nowy płód surowy na który przemysł się wysilał: wyrobnicy nadawali im znakomity przyrost kupnem przedmiotów pierwotnych, które wyszedłszy z ich rękodzielni zwiększały dwakroć, trzykroć dziesięćkroć swoją wartość. — Przemysł zwiększał ludność, wzrost ludności zwiększało spożywanie przedmiotów wyrabianych, a spożywanie to nową stawało się spekulacji zachętą, nowém bogactw źródłem. Zamożność powszechna, postęp zbytków, ruch wewnętrzny i zewnętrzny, żywienie i utrzymywanie wojsk, zaopatrywanie floty, wszystko stawało się dla biednego sposobnością zarobkowania, źródłem bogactwa dla obywateli i rządu.

Ukazując się zawsze i wszędzie, uprzedzając potrzeby innych narodów, a zwłaszcza niezbaczając z raz nakreślonej drogi, Wenecjanie stali się niejako węzłem łączącym narody i stali się tak niezbędnymi że częstokroć, chcąc pokonać sąsiadów swoich, potrzebowali tylko zawiesić stosunki z niemi. W taki sposób Robert, król neapolitański, który prowadził wojnę z rzeczpospolitą, musiał zawrzeć pokój, gdyż poddani nie chcieli mu płacić podatków. „Od czasu „jak Wenecjanie zaprzestali uczęszczać do portów „naszych, mówili oni w prośbie swojej, nędza nas „przyciska; nie jesteśmy w stanie zaspokoić pierwszych potrzeb, tém bardziej płacić podatków.” — W czasie jednej z wojen rzeczpospolitej z Turkami,

wysyłanie flott do Lewantu i brzegów barbarzyjskich zostało koniecznie przerwanem; lecz skoro tylko kroki nieprzyjacielskie przerwanemi zostały, bey tuneński wysłał ambasadora, aby prosił doży o przywrócenie stosunków handlowych z Afryką.

Handel, w rękach rzeczypospolitój, stał się nie tylko pewnym źródłem bogactwa, ale również narzędziem potęgi, które szanować ją kazało przez jej sprzymierzeńców; bronią, jakiej z ręcznie używać umiała dla karania swoich nieprzyjaciół. Oto korzyści rządu w tém świetnym położeniu. Nie mniejsze były korzyści prywatnych: położenie groźne, a bezpieczne, łatwy przystęp i przywileje w obcych pań-

stwach, opieka nieustająca we wszystkich miejscach ziemi, sposobność łatwego przewozu, dla ludzi, przedmiotów, pieniędzy: założenie banków pieniężnych udoskonalonych sztuk, zachęty wszelkiego rodzaju, kredyt ogromny, wszystko współubiegało się, ażeby kupca weneckiego, a każdy Wenecjanin był kupcem, uczynić obywatelem całego świata, któryby posiadał wolność zwrócenia zdolności swoich na zwiększenie dobrego bytu. Tę to wyższość nad wszystkimi ludami Wenecja wtedy utrzymywała: w miarę jak zbliżała się do naszych czasów, przyszło wiele przyczyn, które spowodowały upadek handlu i przemysłu weneckiego.

PAŃSTWO BORNUNU

I JEZIORO CZAD (TSAD).

(WYJĄTEK Z PODRÓŻY).

Doktor Barth opuściwszy miasto Kano i jego piękne okolice, i sympatyczny lud Haussów; udał się do potężnego państwa Bornu, które był swój czyli potęgę, głównie dopiero od początku XIXgo wieku liczy. Wtedy bowiem Szeik El Kanemi opanował Burno. — Odtąd język Arabski został upowszechnionym równie jak i religja Muzułmańska. Miasta poprzednio kwitujące upadły, a powstała dzisiejsza stolica państwa, założona przez Elkamina nazwiskiem Kuka (Kaukona) nad jeziorem Czad położona. Twierdzą iż nazwisko tego miasta pochodzi od drzewa Kuka, które niepospolite w środkowej Afryce zajmuje stanowisko — jest to drzewo słusznie olbrzymiem drzewem nazwane, jest to król całego roślinnego królestwa — a przyzwyczajone oko Europejczyka do rodzinnych drzew swoich, nie może sobie wyobrazić tak ogromnego, z tyłą niezliczonemi gałęziami, z owocem blisko łokieć długości mającym. — Miasto pod nazwą tych drzew, jest nader zajmującym, jak mniej więcej wszystkie miejsca tych tak mało nam znanych krajów, różnych zwyczajami, ludnością, od tych jakie się w innych częściach świata spotykają. Miasto, Kuka *podwójnemby* nazwać można. — Jedna część jego przeznaczona dla bogatych mieszkańców, obfituje w piękne domy, ulice szerokie — druga przeciwnie, ma wąskie uliczki i liche

zabudowania, w których mieszczą się ubodzy. — Oba te miasta łączą się ogromnym bulwarem, otoczonym pięknymi plantacjami i wspaniałemi budynkami.

Ponieważ Kuka nie jest jak Kano, przemysłowem miastem, nieuderza w niem podobny jak w Kano ruch handlowy, tyle zajmujący swoją oryginalnością Europejczyka — ale za to mnóstwo snujących się zbrojnych jakby średniowiecznych rycerzy i mnóstwo dworskich w rozmaite strojnych szaty, nadaje miastu oryginalną fizyognoję.

Największą ciekawością całego Państwa Bornu, jest ogromne jezioro Czad nad którym leży Kuka, a które znajduje się w samym środku Państwa, jezioro nazwanem jest Dżad, co znaczy w języku tamtejszym *Wielka Woda*, przez podróżujących zaś, często morzem Nigrycji bywa zwane. Zdaje się że jeszcze Ptolomeuszowi znane było, bo wspomina o ogromnym jeziorze w środkowej Afryce znajdującem się i nazywa go Nuba. — Arabowie zowią go morzem Soduńskim, a częściej jeszcze *morzem ciemności* (Barel Zalam). Pierwsi Anglicy poznali się z tém jeziorem, a mianowicie znany z dzieł swoich o Afryce środkowej Kloperton (Clopperton) towarzysz naszego Doktora Bartha. Owerweg niemiecki, podróżny, był pierwszym pływającym po niem Europejczykiem. — Twierdzą niektórzy iż terażniejsi podróżni przesadzają wiel-

kość jego, rachując mu blisko 700 mil kwadratowych powierzchni — zdaje się jednak że ci co mu tę olbrzymią przypisują rozległość, równie jak inni mniejsze daleko dający mu rozmiary, nie mylą się. Albowiem jezioro do którego kilka rzek wpada, nadzwyczaj zmienia swoją rozległość stósownie do pór roku, do deszczów mniejszych lub większych, a nawet może i do wezbrania Nilu, z którym jak uporeczywie twierdzą Arabowie, jezioro Czad ma podziemne komunikacje. To ostatnie twierdzenie zbite jest przez Europejczyków podróżujących. Lecz to jest pewnym że to jezioro jakby miało tajemnicze sposoby nikiwienia i wzbierania niekiedy do olbrzymich rozmiarów. — Wylewając się w strony płaskie, gdy się połączy z bagnistemi łąkami, tworzy istotnie jakieś ciemne, ponure morze, a niekiedy znów tak zmaleje, że brzegi jego zupełnie przystępne, pozwalają zmierzyć odległość i wtenczas nie znajdują w niem nic nadzwyczajnego. — Lecz takie wypadki zupełnego opadnięcia wody są rzadkie; słusznie więc za stan jego normalny, uważają chwile w których do wyżej opisanych dochodzi rozmiarów. — Stosunkowo do wielkości swój nie jest zbyt głębokie jak zwykle wody wylewom ulegające — woda jego słodka i dość czysta a w ryby nader obfita. Blisko sto wysp mieści się na tém Afrykańskim morzu, z których największa część jest zamieszkała przez pokolenia pogańskie rozbójnicze Bidaumów, Jedynów — możnaby ich nazwać w pewnym względzie Piratami. — Ci zręczni, wysmukli wyspiarze, na niewielkich czółenkach sporządzonych z desek z drzewa *kugo*, ściśle związanych za pomocą nici palmowych, przesuwają się po powierzchni wody, w milczeniu, z ostrożnością jak złowrogie duchy, i śledzą biednych nadbrzeżnych mieszkańców, którzy potrzebują gałęzi z łoziny, po nad brzegiem rosnącej, na pokrycie lub naprawienie dachów w siedzibach swoich. — Wtedy, skoro z po za tych zarośli spostrzegą ich wyspiarze, rzucają się gwałtownie na nich, porywają, wiążą i sprzedają w mieście kupcom handlującym niewolnikami, których jakeśmy wspomnieli to wyżej, nie brakuje w żadnej stronie Afryki.

Brzegi tego olbrzymiego jeziora, są nadzwyczaj urodzajne, obfitują w różnego rodzaju zboża i we wszystkie strączkowe rośliny — a na łąkach bujnej i prześlicznej zieloności, przechowują się wielkie stada wołów — zgoła życie roślinne i zwierzęce rozmnaża się tu nadzwyczajnym sposobem — antylopy, słonie, dziki, małpy i t. d. stadami się spotyka. — Gdy pewny podróżny Europejski zjawił się nad brze-

giem tego tajemniczego wówczas jeziora, obskoczonym został ze wszech stron mnóstwem różnego kształtu i barwy ptaków, much, koników skrzydlatych. — Cała ta gromada skrzydlata na niskich i wysokich nogach, małej i wielkiej postaci, szarych i świetnych piórek, przyglądała się żadnej nie mając obawy, z równą ciekawością nieznanemu gościowi jak on się jej przypatrywał.

Nasz podróżny rad zapuszczać się w nieznaną Europejczykom okolice, skorzystał z karawany powracającej do kraju Adamua, państwa niedawno powstałego i zupełnie jeszcze Europie nieznanego. — Bezpieczeństwo w tej podróży, miał jak się zdawało zapewnione, gdyż karawanę tę składali posłowie od Sultana, czyli Rządecy prowincji tamtejszej, wysłani do Szeika Omera. Nie tylko ciekawość kraju w którym dotąd stopa Europejska nie powstała, zagnała Doktora do tej podróży, ale nad to, zbliżając się ku Równikowi, pragnął różne hydrograficzne poczynić doświadczenia a mianowicie dojść jeżeli będzie można, pochodzenia źródeł dostarczających wód do wschodnich przypływów rzeki Nigier. W zajmującej podróży swojej, opisuje Doktor spotkanie z wędrującymi Arabami zwanymi Suwas, którzy od półtrzecia wieku ciągną się z Azyi, z Jemenu, do Afryki środkowej drogą zachodnią. Liczbę tych koczujących wędrowców w Państwie Bornu wynosi do dwóchset pięciudziesiąt tysięcy. Przejeżdżając przez prowincje Gamerga i Margi dziwić się można sprzeczności jaką przedstawiają — jedna z nich bowiem obfituje w piękne krajobrazy, kwitnąca, urodzajna, zabudowana, a pierwsza lesista, smutna i wojną zniszczona. — Margrabowie czyli Marghi przyjęli nader gościnnie naszego podróżnego i nawzajem wielką w nim wzbudzili sympatję, wiele o nich rzewnych opowiada anegdotek. Lud ten bałwachwalczy, ale łagodny, więcej kolorem do miedzianych jak do czarnych należeć może — rysy ma regularne, wzrost, budowa prawie atletyczna, znamionuje wiele siły i wytrwałości, a przytém łagodnych obyczajów i pociągającej prostoty.

Dostawszy się do prowincji Adamua, wkrótce Doktor Barth spostrzegł ogromne wody, które rozpoznał jako napływy dążące do Nigru, a potem razem do Atlantyku — późniejsze spostrzeżenia tego podróżnika równie jak i Fogla dowodzą, że te ogromne wody, z których jedną krajowcy nazywają rzeką Benue a drugą rzeką Faro, mają także styczność z Jeziorem Czad, czyli z morzem Sudanu. Podróżni nasi są przekonani iż półwieku nie upłynie, jak za po-

mocą tych komunikacyjnych rzek wpadających do Atlantyku, statki Europejskie z wielką łatwością zawiążą ciągłą nawigację między Europą a temi krajami tak dotąd tajemniczymi i tak potrzebującymi cywilizacji chrześcijańskiej. Wtedy to bracia nasi *czarni* i *bronzowi* przybywać będą jak dalecy sąsiedzi, dla ułatwienia interesów handlowych i jako zarówno uprawnieni z braćmi starszymi ucywilizowanych Europejczyków; wtedy obrazy okropne jakich dostarczają zdobywcy, tępiąc nieszczęśliwą ludność handlem ciał ludzkich, już razić nie będą podróźnych udających się już z wszelką łatwością, do tych pod równikowych krain. Gorączka tak straszna nie dawno jeszcze, zupełnie niebezpieczną nie będzie; gdyż dziś już według sprawozdania z podróży swój Doktor Bojke, któren na małym statku Angielskim bardzo szczęśliwą podobną żeglugi zrobił próbę w r. 1854 mówi: że ani jeden człowiek ze statku nie zachorował na gorączkę, w skutek przedsięwziętych ostrożności higienicznych.

Państwo Adamua bardzo niedawno istnieje; założył go jeden ze zdobywców nazwiskiem Adamu, rycearz z narodu Fellanów, którzy to na początku naszego wieku tak wielkimi w środkowej Afryce odznaczyli się zaborami. — Zasługuje na szczególną uwagę plemię Fulachów, a że w Sudanie jakieśmy to wyżej powiedzieli język Haussów jest najwięcej wyrobionym w handlowych miastach, jak francuzki w Europie, przeto Doktor Barth przyjął nazwę, daną przez Haussów i Tullahów, i nazywa ich Fellani. — Pierwiastkowe pochodzenie tego narodu tak niedawno powołanego do odgrywania roli w historii Państw Afrykańskich, tajemnicą dotąd jest pokryte. — Sądząc po kolorze ich bardziej miedzianym niż czarnym, możnaby ich wiaść za potomków Egipskich, tém bardziej że dzisiejsze nazwisko Fullahów Egipskich ma dziwne z Fellanami podobieństwo. Geografowie po większej części robią ich braćmi kafrów i innych pokoleń Polinezyjskich i Malagoskich do których językiem są bardzo zbliżeni. — Zdaje się jednak iż śmiało możnaby ich pochodzenie pierwiastkowe z Indjanami zwiazać, albowiem z niemi łączy ich najgłówniejsze w sposobie życia podobieństwo, jak np. zwyczaje pasterskie, przemysł, podział społeczeństwa według kast, nawet używanie monety z rodzaju skorupki wodnych to jest muszli, o których wspomnieliśmy przy opisie miasta Kano. — Nie wiadomo w której epoce Fellani przyszli ze wschodu do Afryki; opuściwszy wzmianki jakie o nich w wiekach średnich robią podróźni i geografowie, tylko iż roz-

począwszy od tamtych czasów swoje cząstkowe podboje, naród ten w początkach naszego wieku, bo w roku 1802 odbył na wielką skalę zaborcze *inwazje*, za pomocą której połączywszy drobniejsze niektórych prowincji zabory, dziś stanął w ogromnej potęgze i nią o władnął prawie całą Afrykę środkową, nie bez ciągłych miejscami wojen, dla podbijania niektórych wyłamujących się z pod ich panowania pokoleń. — Fellanowie obok zwyczajów ludu pierwiastkowo koczującego i pasterskiego, które dotąd zachowali, są chciwi podbojów, chciwi władzy i dumni z niej — zapewne jest to wynik religii Mahometańskiej, którą od tylu wieków przyjęli, iż na mocy koranu, narzucają swoje wyznanie ludom których krew przelewają. Powierzchność Fellanów jest ujmująca, twarz ich koloru brunatno-czerwonego, ma wyraz pojętności, rysy regularne, tak że prócz ciemnego koloru nic ich od Europejczyków nie odróżnia — niektórzy na wysokich stopniach urzędów będący, jak Szeikowie i ich Wezyrowie, nie są bez wykształcenia. Szeik Omar i Wezyr jego którzy w Kuka tak gościnnie przyjmowali naszych podróźnych, są ludzie z wyższymi pojęciami; to też tém boleśniej było Doktorowi Barth być świadkiem, jak mimo wyższej oświaty i szlachetnych zasad, ci ludzie dopuszczali się najokropniejszych barbarzyństw względem podbitych przez nich ludów. Szeik Omar z powodu wyniszczonego skarbu skutkiem zbytków zaprowadzonych w Serajach jego i Wezyrów, wyprawił dwudziestotysięczną armję, dobrze uzbrojoną, opatrzoną we wszystkie jak przystało dla wojska wygody, na *poskromienie* nie dość posłusznych hołdowników, którzy de facto w niczem nie uchybili — tylko pozór ten potrzebnym był do osiągnięcia celu, jakim był, pochwylenie tysięcy niewolnika, ażeby sprzedawszy go zaspokoić brak w skarbie przez zbytkową rozpustę rządzonego. Na pochwylenie czyli upolowanie kilku tysięcy młodych chłopców i dziewczyn, potrzeba było wymordować kilkanaście tysięcy starszych, albowiem lud silny, rzeźki i zdrowy, nie łatwo da się zamienić w bydle pracujące — więc tylko niedorostki chwytać polecono, dojrzałych zaś, jako niezdatnych kazano zabijać na miejscu, żeby się nie sprzeciwiali. Takie wyprawy zwyczajne są u bohaterów muzułmańskich. Wielki El-Kanemi podobną w swoim zarządził czasie. Nie wstydzą się mówić przedchrześcijańskim Europejczykiem o konieczności zaspokojenia potrzeb zbytkowych ciałami ludzkimi, które są *ich własnością*, bo podbite przemocą zostało. Religja ich zkadinał moralna, nie broni im tępić obcych

plemion, są więc pod *każdym względem* w zupełnym prawie. Mimo takich przykładów, są jeszcze ludzie dowodzący, że w każdej religii jest równy wszystkim religjom moralny pierwiastek, i tylko od zachowania prawideł tychże religij, zależy moralność wyznawców! Zapewne mniej więcej wszędzie złodziejstwo, morderstwo *bez przyczyny* na równym sobie człowieku dokonane, prawem jest karane i nie dozwolone przepisami religii. — Ale gdzie mimo tych moralnych i zabezpieczających pod pewnym względem porządek społeczny ustaw, religia upoważniając do zemsty, rozwija nieszlachetne namiętności; gdzie poligamja miasto podnieść, zezmysławia naturę ludzką i niszczy rodzinę, tę podstawę moralności społecznej; gdzie nakoniec niewolnictwo ma uznanie w religii, która przypuszcza, że są ludzie do niewoli stworzeni; tam nie można dopatrzeć *tożsamości* moralnych pierwiastków we wszystkich religjach tworzących podstawę. — Dość jest zwiedzić Azję, Afrykę a nawet Indję tę kolebkę Budyzmu, ażeby odróżnić prawdziwe światło, od powierzchownych blichtrów mniej więcej wydatnych i naśladowujących prawdziwej jasności promienie. — Zapewne że zwiedzający Europę, uczeń Koranu, mógłby być temiz samemi moralnemi chorobami uderzony, co u siebie; ależ mówimy o *zasadzie uprawnionej*, o zasadzie będącej w uznaniu wewnętrznym, lubo jeszcze nie dostatecznie wprowadzonej w życie.

Ale wróćmy się do krainy Adamua, która niegdyś nim została przez Fellanów podbitą, była bałwochwalczym królestwem Tumbinów. — Miasto stołeczne tej prowincji Jola leży w miejscu otwartem równie jak Kano, przeplatane mieszkaniem wiejskiemi wśród pięknych drzew i pól uprawnych — a lubo niema ruchu handlowego podobnego jak w Kano, zawsze przedstawia zajmujący widok różnaitości tamecznych. Miasto to i cała prowincja dotąd przez żadnego Europejczyka nieziedzana, bardzo była ciekawą dla naszego podróżnego. Ale nieszczęściem potomek założyciela miasta czyli podbójca Adamua, Sułtan Mohamed Luel, wcale niegrzecznie przyjął gościa Europejczyka przyczepionego do ambasady powracającej od Omara, — gość zdał mu się człowiekiem podejrzanym, stronnikiem a może i szpiegiem wielkiego Szeika — kazał mu przeto natychmiast opuścić prowincję swoją. Rad nie rad musiał zaniechać dalszych ku ekwatorowi wycieczek i wrócić się do Burno, do miejsc które był częściowo już zwiedzał w bliskości miasta Kuka stolicy Burno. Tam zjechał się z towarzyszem podróży Owerweg, powra-

cającym ze swoich wycieczek po jeziorze Czad poczynionych, za pomocą statków z Malty przez Socharę z wielkimi trudnościami sprowadzonych.

Ztamąd udali się razem ku północno-wschodniej stronie Jeziora do Państwa Kanem. Tu znów smutny czekał ich widok, na jakich niestety długo zbywać nie będzie w Afryce! Niegdyś kwitnąca prowincja, z ludem roztroptym, z urodzajnymi i dobrze uprawionymi polami, strojna w piękne krajobrazy, przedstawiła się im jak niegdyś świetny w pięknym ogrodzie postawiony budynek, uległy zniszczeniu i przez upadłych właścicieli opuszczony. Prowincja ta wtedy była oddaną na pastwę *Najemnikom* wielkiego Szeika Omara: było to pokolenie Arabskie, łupieżkie, rozbójnicze — a pełen oświaty Szeik Omar, nie wahał się oddać mu na pastwę pięknej, żyznej krainy, byleby ściągnąć jak największe w ludziach i produktach zyski.

Nie będziemy dla szczupłości miejsca opisywali szczegółów dalszej podróży Doktora Barth wśród rozmaitych plemion i okolic odbywanych; wspomniemy tylko o bolesnej stracie jaka go w Sudanie spotkała i o przykrościach jakich doznał, nim dostać się zdołał do miasta Tomboktu, tej stolicy pustyń Afrykańskich tylokrotnie wspomianej, a mimo to jakby urokiem tajemnicy pokrytej. — Towarzysz jego podróży z powodu deszczów i utrudzeń zapadł na zdrowiu i wkrótce niedaleko brzegów tego jeziora, po którym on pierwszy Europejczyk rozpoczął żeglugę, pożegnał przyjaciela i pełne nadziei życie! — Zdała od kraju, od rodziny patrzył na statek którym mu Europę przypominał i na którym spodziewał się nie jedno jeszcze zrobić odkrycie jako młody człowiek nieskończywszy lat 30stu. Nie upadł na energii Doktor Barth mimo tak ciężkiej straty, sam jeden pozostał wśród Afryki, doznał mnóstwa za każdym krokiem wznoszących się przeszkód do dalszych wycieczek, ale te przeszkody nie zrażały go wcale; jeźli gdzie władze krajowe składające się z hołdowników Szeika Omara, lub innego dowódcy należącego do przemożnego pokolenia Fellanów, nie dozwalały mu zwiedzić okolicy, udawał się w inną stronę. — Nieustraszony przeciwnościami postępując jak można w swém trudnym przedsięwzięciu, nasz podróżny zmierzał przez Sokoto do Tomboktu: będąc w tém mieście nieomieszkał odwiedzić domku w którym zmarł poprzednik jego sławny Klopperton w roku 1827 skutkiem wyniszczenia i męczących podróży; wierny służący jego, nieodstępny towarzysz wszelkich Pana podróży, przeżył wszystkich, którzy

do téj wyprawy należeli. — Jest to ten sam Lander który mimo braku zupełnego wychowania i nauki, obdarzony tylko naturalnym rozumem i rzadką energją, w trzy lata później razem z bratem swoim odkrył tak długo tajemne ujście rzeki Nigier.

Doktor Barth był pierwszym podróżnym udającym się drogą z Sokoto do Tomboktu: przebywał rozmaite prowincje podbite przez Fullohów (Fellani), którzy miejscami tak są fanatycznymi Muzułmanami, że aż zmuszonym był przebrać się za podróżnego Szeryfa wracającego z Mekki i przezwąć się Abdel-Kierem. Wiele doznał przykrości, nieraz groziło mu niebezpieczeństwo z powodu złego i obłudnego przewodnika, ale to wszystko udało mu się pokonać — w końcu wsiadł na statek i kanałem wpadającym do Nigru, chciał się dostać do Tomboktu ostatecznego celu swéj długiej i niebezpiecznej podróży: wkrótce znalazł się na zwierciadlanej powierzchni téj olbrzymiej rzeki, bogatej w roślinność, w malownicze krajobrazy z najpiękniejszymi brzegami, wystawionemi na ciągłe zniszczenie; albowiem od wielu wieków wydzierają je sobie ludzie — kolejno niszcząc wzajemną pracę i wytepiając się wzajemnie! — Zdaje się jednak iż nie w odległym czasie, ten niemy świadek tylu okropnych dramatów, piękny Nigier, stanie się pomocniczym środkiem do zaprowadzenia chrześcijańskiej cywilizacyi i ożywienia moralną kulturą swych bogatych brzegów. — Z niecierpliwością upatrywał nasz podróżny murów miasta do którego dążył — w końcu zarzucił kotwicę w porcie którego przedpokojem miasta nazywa, w miasteczku Kabra, niegdyś ogromnego portu cesarstwa Askia, a dziś zaledwie 2000 ludności liczącego. — Natychmiast wzgórek i dom w którym się umieścił został napełniony ciekawemi, kaźden pragnął widzieć mniemanego Szeryfa wracającego z Mekki. — Coraz bardziej niebezpieczeństwo dawało się czuć Doktorowi — gdyby odkryto że był chrześcijaninem, śmierć by go spotkała niezawodnie — bo z pomiędzy trzech poprzedników którzy odwiedzali Tomboktu, dwóch padło ofiarą, a jeden tylko uszedł śmierci udając się za Muzułmanina. Na nieszczęście Szeik El-Bakai człowiek światły nie znajdował się w mieście, a brat jego lubo był u podróżnego i oświadczał mu się z grzecznością, nieobudzał wielkiego zaufania. Sambał ma jakiś urok dla wszystkich Mahometańskich ludów i opatrzony pieczęcią Sułtańską list polecający, ma wielkie znaczenie wszędzie; nie posiadał takiego Doktor Barth, co położenie jego trudnijszem czyniło. — Udając się już z Kobra do Tombo-

ktu, o mało nie wpadł w ręce rabusiów tamtejszych, których dowódzca zażądał od niego okupu, jakiego od cudzoziemców wymagają, według praw *mocniejszego*. — Zaledwie zdołał wywinąć się z tego niebezpieczeństwa, kiedy wjeżdżając już do miasta tyle ciekawych biegło za nim, że tylko szybkości konia winien był możliwość dojechania na miejsce, śpieszył się wykręcając po małych uliczkach, a powitawszy wystrzałem z pistoletu pałac zamieszkały przez Szeika El-Bakai, wpadł do bliskiego domu, którego na mieszkanie przez Szeika był przeznaczonym.

Tomboktu lubo długo zbliżona nieznane Europie, jeszcze w czternastym wieku miało już miejsce na geograficznych Katalońskich kartach. — Miasto to przechodziło jak wszystkie tamtejsze, smutne koleje wzrostu i upadku. — Za pomocą manuskryptów krajowych pierwszy Doktor Barth zapuścił szperanie swoje w przeszłość tych Cesarstw i dynastij spychających się wzajemnie. — Najdawniej znaną częścią tego Państwa jest Gana w trzecim wieku założona, a według twierdzeń niektórych geografów, mieszkańcy jej wyszedłszy ze środka Afryki ku brzegom, owdąnęli miejscową ludność, a na pamiątkę pochodzenia swego, nazwali prowincję Guineo (Gwineo).

Doktor Barth ze wzruszeniem podziwiał to miasto pustyni, bez drzew, bez ptastwa żadnego, otoczone morzem ruchomego piasku — domy z płaskimi dachami przypominają podziemną Pompeę, wszystkie prawie są z gliny, niektóre tylko z cegły na słońcu wysuszonej. — Drugie to miasto w Afryce środkowej w którym cegła spostrzegać się daje, wszystkie bowiem inne z drzewa i gliny są budowane, równie jak obmurowania ich. Mieszkańców różnorodnego pochodzenia liczy Tomboktu przeszło 13,000. — Okazało się że to miasto nie było nigdy stolicą polityczną Państwa, tylko ogniskiem handlu, oświaty a razem stolicą religii, albowiem duchowni muzułmańscy tam głównie rezydują i biblioteki swoje mają. — Jednakże opisy tych bibliotek i meczetów, równie jak całego obfitego w legendy miasta, znalazł nasz podróżny nadzwyczaj przesadzone. Ruch handlowy niedający się teraz porównać z tym jaki poznał w mieście Kano, dziś ogniskiem handlu Afrykańskiego będącym; dopiero w przyszłości podnieść i okazać się będzie w stanie, jak skutek spodziewany za pomocą żeglugi na wielkiej *rzece czarnych* osiągniętym będzie. Arabowie nazywają tę rzekę Nil-Abeed co znaczy *rzeka czarnych*.

Po ośmiu miesiącach które podróżny nasz mimo opieki szlachetnego Szeika El-Bakai, w ciągłej oba-

wie o życie przepędził, bo co chwila z miasta na pustynie uciekać musiał, opuścił w końcu Tomboktu bez żadnego wypadku, zbogacony wieloma odkryciami niezmordowany Doktor Barth.— Pięć lat życia poświęcił na ciekawą po Afryce podróż — dwa razy przejechał całą Nigrycję, zwiedził miejsca przez nikogo jeszcze nie zwiedzane. W powrocie swoim gdy przejeżdżał na koniu samotny wędrowiec jeden las w Bornu — widzi zbliżających się ludzi — jeden biały i blady — a za nim trzech krajowców. Jakież było uczucie Doktora, gdy ten blady śpiesznie się zbliża do niego i rzuca mu się na ramiona! był to młody człowiek, rodem z Niemiec, Doktor Fogel — łatwo pojąć radość dwóch ziomków z niespodzianego spotkania w środku Afryki. Wszakże miłość nauki i chęć dopięcia celu podróży, rozdzieliła ich wkrótce.

W mieście Kuka pożegnali się, Barth udał się do Trypoli z kąd przybył — a Fogel życząc sobie wracać przez Egipt, w inną udał się stronę.

Rozeszła się wieść iż ten młody podróżnik okropną śmiercią zakończył podróż swoją, o czém z żalem wspomina Doktor Barth; lecz wiadomości jakie odebrał Ojciec Fogla, zbijają tę pogłoskę. W roku zeszłym 1861 niejaki Doktor Hartman znajdując się w wyższym Egipcie, spotkał Poulo Bornu udającego się do Mekki, i ten mu powiedział, że młody Niemiec jest zatrzymany na dworze panującego Sułtana w Uodai jako Radca. — Wysłano ekspedycję z Niemiec z poleceniem aby dotarłszy do Sułtana Egiptu aż do Uodai wyzwoliła podróżującego *jeżeli żyje*, a w przeciwnym razie aby zabrano po nim wszystkie rękopisma.

J A Ł M U Ź N A.

(Z MIEDZIORYTEM CZARNYM).

Jałmużna! jakież to wielkie słowo, ileż w sobie mieści szczytnych i pięknych uczuć, a razem ileż małości i kału! Jak przyjmujący jałmużnę tak dający ją zarówno wpływają na nadanie jej szczytnego lub szkaradnego charakteru. — Czém jest żebractwo, jakim rakiem społeczeństwa są te postacie wybladłe, łachmanami pokryte, najczęściej przez próżniactwo i niemoralność w stan ten wtrącone, wiadomo każdemu i nie jeden głębszy umysł szukał zaradczych środków, badał przyczyny tego nieszczęścia. Ale może za mało zastanawiamy się, jak nawzajem jałmużna źle zrozumiana, źle zastosowana, wielką wyrządza krzywdę społeczeństwu, osuszając serca, wykrzywając pojęcie obowiązków w warstwach wyższych. — Bogaty właściciel domu w Londynie, obojętnie patrzy na zchorzałą postać nie śmiało wlekaącego się nędzarza, któren odważył się zleść z czwartego piętra, z zapowietrzonej uliczki, w nadziei, że jaki cudzoziemiec rzuci mu z parę szilingów za które chleba dawno niewidzianego kupi. — Bogaty mieszkaniec ulicy jest człowiekiem uczciwym i moralnym; mimo to gdyby tego nędzarza śmierć głodowa spotkać miała, nie rzuci mu szilinga; bo on opłaca roczną składkę dla ubogich — czyni więc zadosyć obowiązkowi człowieka, mającego sobie za powin-

ność, udzielić coś dla biednych bliźnich. — U nas znów pobożna Pani wychodząc z kościoła, widzi wiele chudych i czarnych rąk wyciągających się po datek, — a drobną monetę na ten cel w niedzielę przygotowaną, rozdaje najskrupulatniej — i wraca do domu zadowolona, bo modliła się i jałmużnę dawała; nie chce więc słyszeć o żadnym nieszczęściu. — Biedny rzemieślnik mieszkający w suterrenach oficyny, należący do domu w którym Pani ta mieszka, zostawił kilkoro dzieci i żonę nie mającą czém opłacić komornego — cóż Pani do tego! ona przeznaczyła co tydzień pewną kwotę dla rozdania ubogim; więcej dać nie może — dopełnia obowiązków swoich. — Takich i tym podobnych przykładów źle zrozumianej jałmużny naliczyć byśmy mogli mnóstwo, a mało nader takich którzy pamiętając na słowa Wielkiego Apostoła mówiącego: „choćbyś majątek ubogim rozdał, jak miłości nie masz, nic nie zrobiłeś” dają jałmużnę nie tylko z obowiązku moralnego, ale z serca! dają ją nie tylko w pieniądzach! ale *w uczuciach*. „Co też to za przesada” gotów kto powiedzieć „jakie to nawet nie zrozumienie, sponiewieranie uczucia, żeby go jako jałmużnę rozdawać? a któżby chciał przyjąć uczucie jako jałmużnę?” — Zarzuty te mogą być po części sprawiedliwe — a chcąc się wytłómaczyć co

rozumiemy przez jałmużnę uczucia przytoczymy następujący wypadek: Za długo byłoby opowiadać dla czego Pani Julja z posażnej Panny i z bogatej dziewczki, zostawszy wdową i matką trojga dzieci, znalazła się stosunkowo do swoich nawyknień a nawet istotnych potrzeb, prawie bez funduszu.— Zaledwie bowiem mogła mieć tyle dochodu, żeby zająć małe mieszkanie na drugiem piętrze przy końcu Ulicy Leszno i żeby do dwóch chłopczyków chodzących do klass ugodzić korepetytora choć po parę razy w tydzień; zaś dla córki trzynastoletniej mającej dobre początki muzyki i dar do niej wielki, już nie starczyło na lekcje! — Nie potrzeba mówić jak bolesną była ta zmiana położenia, ten niepokój o przyszłość dzieci! Prócz oszczędności, prócz zmiany Tureckiego szalu na pled szkocki, kosztownych materyj na czarny tibet, srebrnych imbryków na fajansowe; biedna kobieta nie mogła inną znaleźć rady aby zadość uczynić potrzebom jakich młodzi uczniowie wymagali— a że takich zapasów w końcu braknąć musi, obawa Matki o dalszą przyszłość zwiększać się musiała. Pani Julja znała wyższe towarzystwo, ale unikała z niem spotkania. „Po co odnawiać te stosunki— mówiła— cóż oni mnie pomogą? możeby jaką loteryję, jaką składkę urządziły dla mnie, rozprowadzając moje nieszczęście przy sprzedawaniu biletów? O! nie! tak nie będzie— żadnej od nikogo nie przyjmę jałmużny— od tego mnie Bóg zachowa, może znajde lekcje francuzkie którebym dawać mogła, może roboty jakie, wszystko zniosę byle nie jałmużnę.” — Nie potrzebując nic od dawnych wysokich znajomości, unikała ich, ażeby zmiana w ubiorze jej nie zwróciła uwagi, nie naprowadziła na jakie domysły o zmianie jej położenia, zgoła chciała być *niepostrzeżoną* i myślała jak wielu nieszczęśliwych że chowając się przed światem, nie będzie dostarczała przedmiotu do rozmów, do ubolewania. Myliła się biedna kobieta. Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi mówi przysłowiu. Pewien uczony mieszkał w tym samym domu i był ciekawym mimo uczoności swój — wkrótce tak zdołał zbadać położenie sąsiadki, usposobienie jej, jakby ją znał oddawna. Nadto Hrabina A. w piątek w kaplicy Pana Jezusa u Fary, poznała modlącą się Panią Julję która ją także poznała, ale wierna postanowieniu udała, jakby jej nie widziała. Hrabina B. krewna tamtęj również ją spotkała w ogrodzie Saskim. Zgoła ponieważ Warszawa mniejszą jest od Londynu, w przeciągu roku, prawie całe towarzystwo wiedziało, że Pani Julja mieszka w Warszawie, chodzi czarno, nigdzie nie bywa. — I gdy razu je-

dnego u Hrabiny A. na wieczorze złożonym z małej liczby osób, zapytała Hrabina B. swojej kuzynki: „Czy pamiętasz też Panią Julję C.? ona mieszka w Warszawie i jakąś tajemnicą zdaje się osłaniać, parę razy spotkałam ją, jeszcze piękna, ale bardzo zmieniona; po stroju nadzwyczaj skromnym, domyśliłam się że musiała zajść zmiana w jej położeniu, nie chciałam jej *żenować* i równie udałam że jej nie poznaję.” Znajdujący się na wieczorze uczony sąsiad Pani Julii, skreślił całe jej położenie i wypadki przez które przeszła z całą prawdą. Nastąpiło ubolewanie, rady, czémby jej dopomódz. Loteryja, składka, i te wszystkie *delikatne* sposoby udzielania jałmużny były na placu. Na to sąsiad uczony zapewnił że Pani Julja jest tak szlachetna, tak drażliwa, iż zamiast uczynku miłosiernego, sprawiłby jej kaźden największą boleść, gdyby jej pod jakąkolwiek formą, chciał jałmużnę ofiarować.

‘To źle zrozumiana szlachetność — zawołała hrabina B. — próżnością i dumą nazwaćby ją można. Pani Julja może żałować tego, bo dzieci jej bardzo na tém ucierpieć mogą.

To też — odezwał się sąsiad — trzebaby jakiego innego rodzaju jałmużny dla takiej osoby; czyż tylko datek, pomoc pieniężna nią się nazywa? współczucie okazane w porę... „Przepraszam Pana — przerwała hrabina B. współczucie jest obowiązkiem chrześcijańskim, wszyscy go dla niej mamy, ale prócz pociechy moralnej która jej nic nie pomoże, ona potrzebuje po prostu *wsparcia, jałmużny* — a tego współczucie nie zastąpi, kiedy nie ma sposobu udzielić jej takowej, więc moje zdanie, że nawet współczucia nie można jej okazywać widocznie, bo i to mogłoby ją ranić i dla tego ja widząc że ona unika wszystkich, ile razy ją spotkam, także w inną patrzę stronę. Biedna kobieta! ale cóż robić? kiedy nie ma sposobu dopomożenia jej, to trudno, sama sobie będzie winną jeżeli dzieciom zbraknie w końcu na wszystko.”

„Może do tego nie przyjdzie — ozwała się Hrabina A. Pani Julja tak dobrze wychowana, tyle mając stosunków, z rodziny majątniej, da sobie radę bez uniżenia się aż do przyjmowania jałmużny.” To powiedziawszy zwróciła rozmowę do czego innego i już więcej mowy o Pani Julii nie było.

Ta pogadanka miała miejsce w Czwartek — naza jutrz hrabina A. udała się do Fary — tam umiała tak zręcznie zajść drogę Pani Julii, w sposób tak naturalny ją powitała dziwiąc się że ją spotyka — potem zapytawszy się gdzie mieszka, tak uprzejmie zaprosiła żeby wsiadła z nią do karety, gdyż właśnie

w tamtą ma się udać stronę — że Pani Julja jako znająca świat osoba, nie mogła bez niegrzeczności wyłamać się od zaprosin — wsiadła więc i tylko rozmyślała jakby się nadal wywinąć z téj znajomości. — Po różnych pytaniach nastąpiło i to, czy Pani Julja i teraz, jak dawniej robi, tak piękne roboty? — Nieszczęśliwi są nader podejrzliwi — to pytanie zaraz zrodziło posądzenie, że może Hrabina dowiedziała się o jój położeniu i chce jój dać coś do roboty. — Lubo Pani Julja myślała że za pomocą pracy będzie tylko mogła dalej się utrzymać; to jednak zadrzała na myśl że Pani A. u której bywała na wieczorach będzie jój *placiła jak wyrobnicy* — i zapominając w obecnej chwili o obowiązkach dla dzieci, o możliwości z którejby skorzystać powinna żeby przysporzyć dochodu; na pierwsze pytanie o robotach, odpowiada, że tak upadła na wzroku iż już zupełnie takich ładnych perełkowych robót nie robi.

Wierzę Pani — odpowiedziała bardzo naturalnie hrabina — ja zupełnie prawie w tym samym jestem wypadku i musiałam się ograniczyć na robotach na dość grubej kanwie — jednak lubo się Pani nie zajmuje robotami, musi mi Pani jedną wyświadczyć łaskę. Zasięgałam rady różnych moich znajomych i albo ja kapryszę, albo one mi źle radzą, ale dotąd nie mogę się zdecydować jakim ściegiem, jakimi nawet kolorami, czy pella, czy perełkami robić śliczny deseń na ornat. — Może Pani jutro się do mnie pofatyguje i doradzi mi — pamięta Pani jakieśmy to przed kilką laty podobne odbywały sessje?

Miłoby mi było, ale ja tak nigdzie nie bywam od śmierci mego męża — żadnych *nie robię tualet!*... To i temu podobne tłumaczenia nie pomogły. Hrabina tak nalegała a razem przepraszała że ją tą naradą nudzić zamyśla, tak zapewniała że teraz i ona sama mało się ubiera, a istotnie miała podobnie tybetową czarną suknię, tak zaręczała że w rannych godzinach nikogo nie zastanie u niej — że Pani Julja przystała. Naturalnie hrabina chciała tylko wymyśleć pozor sprowadzenia jój do siebie i odnowienia znajomości. — Narada o roboty odbyła się bardzo naturalnie, tak że Pani Julja pewną była iż wyświadczyła hrabinie przysługę. — Z razu Hrabina oddając wizyty nie zastawała nigdy Pani Julii, bo ta nie mogła się z początku odważyć żeby ją do swego małego mieszkanka zaprosić — nie mogła wszakże odmówić grzecznych zaprosin hrabiny, która poznawszy chłopczyków Pani Julii, uznała ich za bardzo dobrze wychowanych i prosiła żeby odwiedzali jój siostrzeńców.

Rozumie się że hrabina miała rozliczne znajomości — zdarzyło się że bogaty bardzo Ojciec dwóch chłopczyków, ubolewać przed nią zaczął, że nie wie gdzieby synów umieścić, że lubo ma nauczyciela pod każdym względem wzorowego, niechciałby samego jego z dziećmi obsadzić i oddzielny dla nich prowadzić dom. Hrabina radzi żeby umieścić ich przy jakiejś zacnej rodzinie, gdzieby dzieci miały macierzyńską opiekę i dobrze wychowanych rówieśników. — Krótko mówiąc hrabina podejmuje się uprosić swojej bardzo dobrej znajomej Pani Julii, ażeby przystała na wzięcie pod swoją opiekę synów bogatego Ojca. — Naturalnie Pani Julja przystaje, gdyż tego tylko pragnęła, o tém marzyła. Bogaty Ojciec nie potrzebował nawet widzieć ubożego mieszkania przyszłej opiekunki swych dzieci — hrabina zaprosiła ich na obiad do siebie, i sama *menażując* delikatność jednej i drugiej strony, ustanowiła warunki, które lubo były bardzo korzystne dla Pani Julii, z wdzięcznością przyjął bogaty Ojciec, gdyż zawsze mniej wynosiły, niż gdyby był Nauczyciela w osobnym osadził mieszkaniu. — Nadto miał tę korzyść iż każdemu mógł *opowiedzieć* o dobroci dla niego hrabiny, która mu najlepszą dała radę do umieszczenia dzieci — a nawet sama poniekąd tem się zajęła. — Dla téj próżnostki, bogaty ojciec gotów był 100 rubli rocznie tracić więcej; jakżesz był uradowanym kiedy tyleż mniej wydawał. — Zmieniło się położenie Pani Julii a razem i usposobienia; straciła tę niepewność, nieśmiałość na każdym kroku, zwyczajną osobom tkliwym, które zmiany przykrój w losie doznały: zaczęła nie uważając na skromny ubiór, bywać w towarzystwach, gdzie jój to w końcu za zasługę brano; mieszkanie z końca Leszna zamienione zostało na skromny ale przyzwoity lokal, nie daleko gimnazjum, gdzie każdego bez upokorzenia przyjąć mogła, i gdzie córka jój nie jeden wieczorek muzyką i śpiewem umiliła. Sumienne staranie koło dzieci, dobry wpływ jaki wywiera osoba wykształcona i dobrze wychowana, zjednał Pani Julii szacunek całej rodziny chłopczyków; dodawszy wszakże ze smutkiem ale z prawdą, że dobre uważanie, kordjalne przyjmowanie Pani Julii przez Hrabinę, wiele na to wpłynęło; bo słabości i małości wszędzie jest pełno i nieświadomie ludzie im podlegają.

W lat kilka jedyna córka Pani Julii, miła, dobrze wychowana, znalazła majątnego męża; szczęśliwa Matka mieszka przy nich — o los synów zupełnie spokojna, dziś razem z bogatymi kolegami na Uniwersytecie będąc, pewno nie tylko że sobie los za-

pewnią ale i krajowi użytecznymi będą. Zapytujemy się teraz, czy postępowanie Hrabiny A. nie było jałmużną uczucia? — cóż dała? czém dźwignęła całą rodzinę? a przecież de facto wydobyła z zagrażającej nędzy rodzinę najbardziej zasługującą na wsparcie, bo wstydzącą się prosić o nie. Taka to jałmużna jest wyższą nad wszystkie — i ani wiedzą osoby majątkiem i stanowiskiem wysoko stojące, ile dobrego na wszystkie strony taką jałmużną zrobiłyby mogły! Ale na nieszczęście! więcej jest takich które w podobnym wypadku nie postąpią jak Pani A. tylko jak Pani B. całą kwestję roztrzygną tém: „Nie można ję ratować, wesprzeć, bo ona nic nie przyjmie,” a dawszy wsparcie wyciągającej rękę i obdartej ze wstydu nędzy zasilek, są pewne i spokojne że *wiele rozdają ubogim*.

Nie chcemy jednak pozbawiać żebrzących współczucia, doświadczających głodu, zimna, z jakiegokolwiek przyczyny; zawsze i oni mają prawo do litości i pomocy współbraci; pragniemy tylko aby bogaci rzucając jakby w bezdenny koszyk część swoich dostatków ludziom, którzy do nędzy przez niemoralność przyszedłszy, już się z niej dźwignąć nie mogą; nie sądzili, że podobnymi uczynkami już się uwolnić mogą od innej jałmużny i żeby uznali że takowa nie tylko na datku pieniężnym zależy.

Przyznać także trzeba, że czasem żebractwo nawet otwarte, zasługuje na prawdziwe współczucie, że wspierając go jest pociecha w nadziei, iż istotnie dopomaga się zasługującym na prawdziwe nazwisko *braci chrześcian*. Takiem zwykle imieniem sami się nazywają biedni słowaccy górale. — Nie ich to wina że zrodziwszy się w górach, gdzie zaledwie trochę kartofli ziemia im wydać zdolna, muszą *wędrować* i rzemiosła jakiego się wyuczyć bez kosztu, i tém zarabiać na kawałek chleba: ależ przy tém rzemiośle, potrzebują jeszcze jałmużny; z téj, przy skromném życiu zebrawszy jakąś małą sumkę, spieszą w góry aby zanieść rodzinie dawno niewidzianych trochę *groszy*. — Moralny, cichy, pobożny lud ten, jak może pokrywa żebractwo swoje — zwykle przychodzą w kilkoro, np. starszy brat i dwóch małych, albo ojciec z małemi synami. — Starszy ręki nie wyciągnie, ale na to prowadzi małych aby oni wyproszoną jałmużną dopełnili miarki potrzebnego koniecznie funduszu, do wyżywienia nadal pozostałej w górach rodziny. — Czém u nas są górale słowaccy, *druciarze*, tém we Francyi z małemi odmianami są Sabaudczyki. Nie porównujemy tu wcale ani bytu politycznego, ani położenia geograficznego

Sabaudczyków z góralami tatrzańskimi. Mówimy tylko że jak u nas, wędrowni mali górale niby dla zarobku przybyli, tym małym zarobkiem pokrywają cel główny swojej podróży, to jest wyjednanie sobie jałmużny; tak równie mali Sabaudczykowie, czy to za pomocą lichéj na kobzie muzyki połączonej ze śpiewem, czy to czyniąc posługi przy niektórych rzemiosłach jak np. przy kominiarzach, starają się wzbudzić zajęcie i niby nie żebrząc otwarcie, wyjednać sobie jałmużnę. Nie jedno pióro a mianowicie Pani K. L. z uczuciem skreśliło nagrodzone poświęcenie i poczciwość *druciarza*. Równie we Francyi Sabaudczyki oddawna dostarczają wątku do rozmaitych piosenek, Vaudevillów, powiastek. Tu młody Sabaudczyk jako kominiarczyk, spuściwszy się kominem, ratuje życie dziecka unosząc go z płomieni. Owdzie dostawszy mały kawałek chleba na całe śniadanie, mimo głodu, oddaje go młodziej od siebie rodaczce, która chcąc matkę ślepa ratować, wybrała się w świat z lirą, ale siły jęj, wiek młodociany nie dozwoliły jęj dopiąć rychło celu; zapadła w ciężką chorobę i gdyby nie młody rodak, niktby jęj nie udzielił ratunku. Ale Bóg czuwa nad biednymi, mimo nędzy swojej ufającymi w Nim. — Razu jednego młody Sabaudczyk, którego od niejakiego czasu uważała bogata Pani, przechodzi zgłodniały koło muru przylegającego do jęj ogrodu. Łzy błyszczące w wyrazistych oczach, nie z głodu ale z żalu i niepokoju o chorą pochodzące, jeszcze go piękniejszym czyniły. — Bogata Pani wychodzi, wypytuje się o rodzinę jego, o powody tak wielkiego smutku? — Sabaudczyk opowiada jęj całą prawdę z prostotą. — Odchodzi Pani, wpytawszy się poprzednio o miejsce gdzie leży biedna chora, pociesza go, obiecując za kilka minut przysłać mu pomoc. — Istotnie woła małej swęj córeczki i mówi jęj o poczciwości Sabaudczyka, pyta, gdzie ma na cukierki przeznaczone pieniądze? — Z ochotą dziecko na ofiarę je daje, do których matka swoją sztukę złota dołącza. — Bona prowadzi dziewczynkę w miejsce gdzie Sabaudczyk nie chcąc *darmo* brać jałmużny, wygrywał smętne piosenki na swęj kobzie. — Z jakąż wdzięcznością odbiera z małych rączek wysłane przez matkę córeczki pieniądze — nie śmie prawie wierzyć że wszystkie dla niego przeznaczają! — spieszy z niemi do choręj, gdzie znów wdzięczność ku Bogu i radość powstaje. — Nie skończyła na téj jałmużnie bogata Pani, przysłała Doktora do choręj, a chcąc zupełnie podźwignąć z nędzy młodą parę, tyle im dała, że wróciwszy w góry, ani głodu ani zimna nie lękali się wcale. —



von v. Underhill

Druck von A. Schuler Stuttgart

gegr. von C. Deis

Savoyarda.

W parę lat młoda Sabaudka poszła za swego młodego opiekuna; ślepa matkę wzięli do siebie i w czystym u stóp góry przyczepionym domku, życie w pracy ale nie w nędzy pędzą. Opowiadali słuchającym z zajęciem, przygody swoje w wielkiem mieście Paryżu, o dobrej i bogatej Pani, o jej córeczce podobnej do anioła. — Takie to i tym podobne powiastki prawdziwe, w różnych formach i rozmiarach, dowodzą sympatii ogółu dla tego poczciwego, pracowitego a ubogiego ludu. Prawdziwy niedostatek, rzetelne nieszczęście, rzadko bardzo żeby nie były zrozumiane i uznane, a kiedy przytém nie odstępca formami, kiedy nie odstępca od pewnych estetycznych prawideł tak różniących się od żebractwa, napiętnowanego życiem spędzonym w pijaństwie i próżniactwie,

to zawsze spodziewać się może iż znajdzie współczucie i pomoc w bogatych. Nie jest wszakże myślą naszą ostudzać litość i dla tych nędzarzy, którzy swoją wstręt obudzającą powierzchownością, chcą poruszyć serca przechodniów; bez wątpienia ich upadek moralny połączony z nędzą fizyczną, zasługuje na większą może litość; ależ takim rzucony grosz nie dźwignie! takim trzebaby moralnej jałmużny — trzeba zachęcenia do ukrycia swego kalectwa i nędzy w zakładzie na ten cel urządzonym. — Mamy nadzieję w usposobieniu rodaków chętnie składających dary — w gorliwości opiekunów, — iż pożądane zakłady dla kalek i rozmaitego rodzaju nie wyleczonych, coraz się zwiększać będą.

An.

HISTORIA RELIGII W KRAJACH SŁOWIAŃSKICH.

Jeden z rodaków naszych, niedawno zgasły, napisał dzieje religii w ziemiach wielkiego plemienia Słowian — ale w obcym języku. — Dwie główne myśli zdają się przewodniczyć całemu dziełu. Pierwszą z nich jest panslawizm to jest połączenie wszystkich różnych a tak licznych krajów Słowiańskich w jedno ogromne polityczne ciało, z jednym rządem, literaturą i wiekowemi dążnościami. Za drugą zaś uważa autor wolność sumienia czyli religijnych przekonań, jako środek nieodzowny do rozwoju cywilizacji i oświaty: dla tego *zdaje mu się* że religija Ewangeliczna mogłaby stać na straży swobód umysłowych i dążeń historycznych przyszłej Słowiańszczyzny.

Więc Panslawizm i reformacja oto są główne myśli wypowiedziane „w Historii religii krajów Słowiańskich.” Takim panslawizmem on niejako grozi Niemcom, wzywając tych szczególnie, którzy mają pod swoim berłem szczepy Słowiańskie, by ich przypuścili do Konstytucyjnych swobód nie tamując szerzenia się piśmiennictwa i oświaty na narodowym rozwoju opartej, ostrzegając, że systematyczna germanizacja Słowian nie tylko że się nie uda, ale może kiedyś potężnie zagrozić samymże Niemcom, jednocząc Słowian razem na obronę od wspólnego nieprzyjaciela. Jeszcze cesarz Leon filozof (881 do 912) wzmiankuje że Słowianie wolą być uciemiężani przez swe własne książęta; niżeli żyć pod władzą Rzymian i pod praw ich opieką; praw, które wzbudzały uwiel-

bienie świata i od których dotąd, mimo tak olbrzymiej cywilizacji współczesnych, nie wynaleziono lepszych. Straszna-bo była toby walka dwóch plemion, dwóch olbrzymów stojących przeciw sobie. — Słowianie z pamięcią wiekowych obelg, poniewierania i gnębienia; — Germania z uczuciem wyższości, dumy i należnego im lennictwa, którego dotąd zapomnieć nie mogą feudalni książęta w swych gotyckich zamkach. Dość niedawno Słowacy i Kroaci, którzy od wieków stanowili jedną całość z państwem Węgierskiem, wspomagali rząd centralny przeciwko Węgom dla tego że ci (1844) chcieli im przemocą narzucić swój język z uszczerbkiem narodowego. Jeżeli więc targnienie się na świętość ich mowy, było dość silną dźwignią do zerwania dobrych stosunków jakie od najdawniejszych pokoleń istniały między temi plemionami żyjącymi pod jednemiż prawami, cóż może się w tym samym wypadku spodziewać rząd obcy od tychże Słowiańskich pokoleń z którymi go żadne sojuszowe nie wiążą tradycje? Dawne Rakuzy od pewnego czasu mają Węgry bezpowrotnie przeciw sobie, Niemców za sobą nie wielu, a Słowianów w przemagającej liczbie.

To powiedziawszy autor zwraca się głównie do swjej ulubionej myśli, to jest prozelityzmu protestanckiego w krajach Słowiańskich, starając się wykazać, że nauka ewangelii oswohobdzona od preponderencji Rzymu, wszędzie była główną dźwignią narodowej

oświaty. Twierdzi autor że kraje, co przodkują cywilizacyi Europejskiej, mają tę naukę rozwiniętą w całej sile, jak Anglija, Hollandja; że zupełnie jest inaczej w krajach zostających pod opieką Rzymu.— Stosując tę zasadę do Słowian, dowodzi że tam właśnie wzrost i upadek oświaty jest w ścisłym związku z wzrostem i upadkiem wolnej nauki Ewangelii: że stos który spalił Hussa i Hieronima z Pragi pochłonął cały rozwój duchowy i intelektualny Czech a zarazem z zaprowadzeniem Jezuitów, to jest z początkiem prześladowań różnowierców w Polsce, grube chmury ciemnoty i zabobonów zakryły wspaniałe słońce narodowej oświaty tak dzielnie za Zygmunta-Augusta dla bohaterskiego błyszczące narodu.

Jak wiadomo, w Morawii tłómaczona została pierwszy raz Biblia na język Słowiański i ztamtąd światło Ewangelii rozeszło się na ludy Słowiańskie; obrządki kościelne początkowo odbywały się w języku Słowiańskim tak w Morawii jak w Czechach, co osiągnęło nawet prześladowania na Metodiusza i Cyryllego. Ci tłómacze zaskarżeni przez duchowieństwo niemieckie musieli stawać przed papieżem Mikołajem Iszym, ale przez tegoż po ich wysłuchaniu zostali uważani za zupełnie niewinnych, co nie przeszkodziło, że sobor w Salonie (Dalmacja 1060) uznał Metodiusza za heretyka; alfabet zaś Słowiański za wymysł djabelski. Mimo to utrzymywał się alfabet ten w niektórych krajach Słowiańskich.

Czechy które potrafiły się wydobyć z pod zależności Karola W. szukały opieki Swiatopełka króla Morawii, a jak książę Bożywoj ochrzczony był przez Metodiusza, to wnet zaprowadzono w Czechach ten sam co w Morawii obrządek liturgiczny, to jest mszę w języku narodowym podług obrządku greckiego ze zwierzchnictwem Rzymu.— Po upadku państwa Morawskiego, przy coraz większej przewadze cesarzów Niemieckich na losy Czech, ich biskupi prześladować zaczęli istniejący rzeczy porządek w Czechach co do kościoła, i powoli obrządki łacińskie ustalać się tam zaczęły; tak że w roku 1094 klasztor w Szawa gdzie jeszcze były ostatnie szczątki pierwotnego kościoła, został zniesiony.— Tu był początek pierwszej niechęci do Stolicy Apostolskiej i wtedy wystąpił Huss, rektor Uniwersytetu Pragskiego przeciw władzy papieżkiej, nabożeństwa odprawiał w języku narodowym, a wszędzie opierał się na najczystszy i najwznieślijszym patriotyzmie: w krótkim czasie massy poruszył i tysiącami dusz zawładnął. Zniewagę jaką Papież i Sobor Konstancyeński narodowi Czeskiemu w osobie jego ulubieńca wyrzą-

dzili,— naród w morzu krwi pomścił, w tysiącach ofiar oddał, a pamięć w długiej nienawiści przechował.— Dziwna bo była walka tej garstki ludu ze ślepym wodzem; przeciw spotęgowanej sile germańskiego monarchizmu, przeciw klątwom papieżkim, krucjatom katolickim i wręcz nienawiści z Niemiec całych, którzy wszyscy razem na widok tych kilku tysięcy ludzi sfanatyzowanych uczuciem religii i narodowości, pierzchali— 15 lat trwała walka i nikt jej niepodołał i nie było przegranej bitwy w Hussyckim obozie, i kraj się wzbogacał bo łupy niemiec całych przysły za wojny daninę i spokojnie było na Uniwersytecie w Pradze, gdzie Katedry uczone mi profesorami, a sale uczącą się młodzieżą napełnione były. Aż wreszcie nastąpiła straszna bratnich rozterek godzina, i Czechy pokonali Czechów tak, jak to dawno Cesarz Zygmunt przepowiedział utrzymując, że inaczej podołać im będzie niepodobna. — W tym czasie literatura się wzmogła; dysputy i rozprawy religijne wykształciły narodowy język; oświata na najwyższym stanęła szczeblu. Zygmunt zatwierdził *compactata*, i Czechy pod zwierzchnictwem Cesarzów niemieckich rozmaite przechodziły koleje. Nauka Lutra gdy się ukazała, dobrze już uprawiony grunt tam dla siebie znalazła; bujnie się też i rozkwitła. Późniejsze prześladowania Jezuitów i ukrócanie przywilejów ywołało powstanie, lecz nie w róciły się już świetne dni Żyski i Prokopa! — Pod białą górą 8 Listopada roku 1620— wojsko narodowe pobite przez cesarskie, a Czechy utraciły własną autonomję. Odtąd nikt już o nich blisko przez dwa wieki nie posłyszał. Aż zbudzili się nareszcie dopiero w tych czasach pracując skrzętnie koło dawnych zabytków i pamiątek; język swój ocierają z pyłu wieków, dawny kościół zwątlonemi siłami odbudowywać usiłują, i przytém wszystkiém i nadto wszystko podają rękę braciom i pragną aby te oczekiwania pomyslniejszym skutkiem uwieńczone zostały niż pod białą górą, od ich współwyznawców Protestantów, którzy im żadnej nie dali pomocy.— Oto jest treść obrazu jaki kreśli nasz autor co do Czech: a kreśli go z upodobaniem i wyraźną dla Czechów sympatją. — Wszędzie i zawsze dowodzi wyższości intelektualnej nad współczesnemi im Słowianami, przez niepodległość sumienia i kościoła, uważając upadek protestantyzmu za przyczynę upadku oświaty w tym kraju. — Niepomny na to, że niewola w żadnym kierunku bądź moralnym, bądź intelektualnym nie kształci ani indywiduów ani ludów, że Czesi musieli już być mocno zmęczeni i wyczerpani po bitwie pod

Białą Górą, kiedy tak długi czas w zupełnym odretwieniu odpoczywać musieli i pozwolili bez najmniejszego oporu nie tylko wyrastać, ale i rozrastać się na swą piękną ziemi biurokracji niemieckiej z obskurantyzmem Jezuickim. Nawet przy czytaniu historyi Czeskiej mimowolnie następuje uwaga, że wszystkie dowolne tłumaczenia Pisma Śwego nie są w stanie utworzyć kościoła stałego i wyłącznego, któryby się oparł ludzom złej woli czyli też złego natchnienia. Kościół nie uorganizowany silnie i stale jeżeli z jednej strony otwierając drogę do polemik, wykształca w pewnym stopniu umysłowo, to obudzając namiętności religijne będące w człowieku najsilniejszymi, daje pole do niesnask, kłótni domowych i zewnętrznych — oraz gubi tak indywidualia jak i ludy całe.

Nauka Hussa wcześniej także do Polski zabłąkała się, licznym znajdując u nas zwolenników; gdyż Hussyci skoro tylko rozpoczęli wojnę, wnet wysłali poselstwo do Władysława Jagiellończyka będącego wtenczas na tronie, prosząc o pomoc. — Władysław posłał tam swego siostrzeńca Korybuta, z kilku tysiącami wojska: pomoc była materialnie nie wielka, ale moralnie oddał im wielką przysługę gdyż tym sposobem pokazał że nie jest przeciwny i tej sprawie sprzyja. Za powrotem do kraju Korybut i jego towarzysze broni rozszerzali pojęcia i zasady Husyckie: głównym ich wyobrazicielem był Melsztyński, pan możny. Wszakże te idee nie przyjmowane u nas były z takim zapalem jak w Czechach, gdzie one były zarazem bronią odporną przeciw Niemcom i niejako wyzwoleniem przynajmniej z jednej strony z pod ich przewagi. — Był to dopiero sam początek tych nowości religijnych, które w rozmaitych barwach i odcieniach dość szeroko kraj ogarnęły. — Autor zwraca uwagę, że jedną z pierwszych poezyj Polskich, zaraz po hymnie do *Boga - Rodzicy* jest poemacik na cześć Wicklefa przez Andrzeja Gałkę Dobrzyńskiego ułożony; że wreszcie tak była utworzona droga w Polsce do zmian religijnych iż te byłyby konieczne i objawiłyby się bez popędu jaki w tym względzie poszedł z Niemiec, co już jest widocznym w listach Bernarda z Lublina do Szymona z Krakowa, których publikacja poprzedziła o dwa lata reformację Lutra.

Różnowiercy dzielili się w Polsce na trzy części a mianowicie: na kościół reformowany, na Helwecki i braci Czeskich. Na sejmie połączenia Litwy z Polską (1569) szlachta tych wyznań znajdująca się na sejmie, umyśliła połączyć się razem i ustanowić jeden

kościół, w nadziei że Zygmunt-August, dosyć skłonny ku tym nowościom, przyłączy się do ich kościoła i że wreszcie tym sposobem położy się koniec ciągłym religijnym rozsterkom i kłótniom, które każdego dobrego chrześcijanina słusznie gorszyły. — W Sandomierzu roku 1570 (w Kwietniu) miał miejsce pierwszy Synod dyssydentów i zgoda była podpisana 14 Kwietnia tegoż roku: gdyby ta zgoda była utrzymana, autor nie wątpi że kościół różnowierców byłby tryumfował w Polsce, ale ugoda zerwana została, a następnie ciągle między niemi kłótnie, sprawiły tegoż kościoła ostateczny upadek.

Tu jest punkt kulminacyjny tryumfu reformacyi w Polsce: najwięksi panowie do niej należeli, jakoto: Potocki, Tarło, Morsztyn, Radziwiłł i inni, a Król Zygmunt-August jakkolwiek mając charakter niezdecydowany, zaczął się do niej skłaniać, ale niezgody protestantów między sobą oraz zabiegi katolików wstrzymały ich postęp.

Kardynał Hoziusz, człowiek wielkiej nauki i gorliwy katolik, zadał im cios niepowetowany przez sprowadzenie Jezuitów, a prymas Uchański dość widocznie sprzyjający sprawie dyssydentów, całkiem ich po śmierci Zygmunta-Augusta opuścił.

Zupełnie też się odtąd zmienił stan rzeczy: Jezuici poczęli pracować gorliwie nad wytepieniem herezji — a Henryk Walezjusz, następca Zygmunta-Augusta, do tego stopnia pokazał się niechętnym dla sprawy różnowierców w Polsce, że przy koronacji wahał się z zaprzysiężeniem im swobod; i gdyby nie przytomność Firleja, który wzięwszy w rękę koronę wyrzekł stanowczym głosem: si non jurabis, non regnabis, byłby niezawodnie tę część przysięgi pominął. Zabłysła jeszcze chwila nadziei dla protestantów, przy obiorze na tron Batorego, jak wiadomo wyznającego też same zasady; ale Solikowski potrafił go przekonać że Anna, siostra Zygmunta, gorliwa i pobożna katoliczka, nigdy nie pojmie małżonka nie należącego do Rzymsko-Katolickiego kościoła. — Nareszcie rozpoczęło się długie panowanie Zygmunta IIIgo równie smutne dla kraju jak i dla różnowierców. — Jezuici jedną rękę sieli obskurantyzm na kraj a drugą rozterki nietolerancyjne i nienawiści religijne pomiędzy synów jednej ziemi; ziarno zasiewu bujnie się krzewiło; nauki w kraju upadły, literatura malała — zatargi z kościołami obrażały ziemie polskie i zadały okropny cios rzeczypospolitej: piękna prowincja Liwonii, zamieszкана przez protestantów, odpada, bo Krzysztof Radziwiłł, jako różnowierca, który jój bronił, przez za-

wiść i niesnaski religijne nie otrzymał potrzebnych zasiłków. Interesa kraju własnego, byt jego i przyszłość, ustępują miejsca, przed niczem niepowstrzymaną gorliwością zapewnienia przewagi katolicyzmowi w kraju. Władysław IV ty panuje po ojcu krótko ale świetnie. Ten monarcha obdarzony od natury pojęciami rzeczy szerokiemi i głęboką miłością kraju, starał się zagoić rany mu zadane; odsuwał Jezuitów od Rządu i pod jego panowaniem różnowiercy odetchnęli. Nareszcie wstąpił na tron Jan Kazimierz, Jezuita i Kardynał; po śmierci brata swego przez Papieża od ślubów kościelnych uwolniony, mimo to jednak mniej od Zygmunta IIIgo otoczony Jezuitami. Po cudownym prawie odzyskaniu kraju, Jan Kazimierz oddaje kraj pod opiekę Matki Boskiej; a Jezuita Karwat wzywa sejm (1658) by swą wdzięczność Bogu czynami dowiódł, w skutku czego uznane zostało za konieczne wygnanie Socynianów z Polski. Tylko trzy lata im zastawiono, które później zmniejszono do dwóch; dla urządzania interesów i sprzedawania majątków; chyba kto chciał zmienić religiję i to nie na reformowaną, ale tylko na Rzymsko-katolicką.

Jan Sobieski jakkolwiek człowiek waleczny i rozumny nie mógł przeszkodzić przewadze wyznawców Lojoli, tak już władza Jezuitów wtedy była szeroka i silna: przez ich wpływ nastąpiło zburzenie kościoła protestanckiego na przedmieściach Wilna; z ich przeważnych zdań zginął okropną śmiercią Łyszczyński, któremu sąd wydano o „Theologię naturalną” jakkolwiek krótką, bo tylko z czterech wyrazów na marginesie bez uwagi napisanych składającą się: „Ergo non est Deus.” Ta bezmyśl przyniosła śmierć powolną, trzechkrotną, bo wyrwanie języka, ścięcie i spalenie ciała. Nie lepsze było położenie różnowierców za Sasów; ci ostatni zmieniwszy religiję protestancką na katolicką by otrzymać tron w Polsce, nie szczędzili przychylności dla biskupów by tym sposobem tron utrwalić. Nareszcie gdy Leduchowski podniósł broń by poskromić nadużycia jakiego wojsko Saskie dopuszczało się w kraju, obcy monarcha ofiarował się za pośrednika między królem a poddanymi i zawarł traktat w Warszawie 13 Listopada 1716 w którym między innymi punktami zawarowano, że ponieważ rozmaite nadużycia wkradły się podczas wojny Szwedzkiej, a zatem wszystkie kościoły protestanckie, które były zbudowane od roku 1632 mają być zniszczone. Ten punkt jak wreszcie wiele innych nadużyć ze strony duchowieństwa krajowego tak jak np. sprawa w Toruniu,

która zaczęta od bójk studentów na processyi, skończyła się śmiercią wielu obywateli miasta, a mianowicie rajcy Roesnera, wywołały niechęć posuniętą do tego stopnia zapomnienia się, że przeciw słabej i opuszczonej ojczyźnie, różnowiercy nie wachali się wezwać obcych sił i cudzej opieki. Smutnym to rezultatem był traktat 1767 stawiający różnowierców na tej samej stopie cywilnej co i katolików w kraju. Ten czyn swoich współwyznawców autor dzieła wydanego najprzód po angielsku, a potem i po francuzku, potępia, jakkolwiek przypomina narodowi, że i różnowiercy zanieśli daninę ojczyźnie w poświęceniu i w krwi niejednokrotnie za wspólną sprawę przelaną.

Oto jest mniej więcej treść tego co napisał nasz rodak W. K. o różnowiercach w Polsce; daje ono acz jednostronne, ale dobitne wyobrażenie kolei, jakie przechodził kościół dyssydentów w kraju naszym. Jakkolwiek zapatrywanie się protestanckie co do jego stosunków z kościołem Rzymsko-katolickim tchnie tu zupełną stronnością co do położenia względem Rzeczypospolitej. — Ale autor nie mógł inaczej uważać kościół katolicki tylko jako zostający w grubych błędach i zabobonach, który skaził pierwotną czystość Ewangelii bo sam był w innej wychowany wierze. Dla tego po swojemu sobie tłumaczy upoważnienie radców miasta Malborga (1556) żeby wyjednały u króla pozwolenie słuchania czystego słowa bożego; ztąd częste jak utrzymuje, bywały i pomiatania katolicką wiarą i nadużycie ze strony różnowierców, szczególnie po miastach na processjach już Hoziusz w Elblągu wytrzymać nie może i z oburzeniem mówi że: rajcy chcą sobie przywłaszczyć „władzę nie tylko biskupią ale królewską i papieżką.”

Szlachta przyjmowała chętnie obce wyznania, może po części i z przekonania a pewniej dla tego żeby się z pod wpływu biskupów uwolnić; który im mógł ciężać, a oni nie byli przyzwyczajeni do żadnych karbów. Przynajmniej tak to się daje widzieć w sprawie Orzechowskiego, który mimo że był księdzem, jednakże prawem kanonicznym karać go nie dano, dla tego że tenże Demostenes polski był dość zręczny by szlachtę w ten sposób do swojej sprawy wciągnąć, że kary i klątwy biskupie są niby nadużyciem dla wolności szlacheckiej; a na sejmie w Piotrkowie 1551 szlachta w wielu miejscach dała instrukcje posłom by „położona została granica dokazywaniu biskupów.” To też powiada Górnicki że całkiem rozprzegła się za Zygmunta-Augusta wła-



dza kościelna, w rozwiązłość poszły dobre obyczaje; w bliskich pokrewieństwach małżeństwa bezkarnie zawierano a zdarzał się taki co kilka żon pojmał.”

Za narodowy kościół różnowierców (szczególniej zachodnich) nigdy się zupełnie nie uważał, jakkolwiek mieścił w swoim łonie ludzi historycznej sławy które wiekopomne swemu narodowi oddali usługi. Moraczewski tak w tym względzie mówi: „Szlachta tedy nowych zasad całego królestwa z miasteczkami do siebie należącemi związała się nie jako w jeden kościół, ale mieszczanie miast a zwłaszcza rodu niemieckiego zostali przy luterszczyźnie i bardziej się oglądali na Niemcy i Prussy niż na cały ruch nowowierców Polskich. — Że zaś przeciwnie się działo z kościołem katolickim który równo z katolicyzmem szczepił i narodowość Polskę, oto mamy poparcie tego samego Jędrzeja Moraczewskiego, który w swém dziele „historyja rzeczypospolitej Polskiej” tak mówi: Podniesienie Hozjusza r. 1551 po śmierci Giesego przez kapitułę Warmińską i przez króla na biskupstwo Warmińskie podniosło w Prusach i wpływ narodowości Polskiej. Wreszcie religija katolicka więcej na uczuciu niż na rezonowaniu oparta, lepiej od innych przystawała do poetycznego i wrażliwego ludu polskiego, a niczem nie tłumiona swawola szlachty dobrze że w dyscyplinie i potędze kościoła znajdowała skuteczną i pewną duchową zaporę.— Wspólne nieszczęścia zbliżyły i złączyły jeszcze ściślej ducha narodowości z duchem religijnym i każdy prawy Polak w jednej urnie składać się nauczył łązy religijnego zachwytu ze łzami miłości ojczystej ziemi.”

Tego-to autor nie wykazał dokładnie w swem dziele, raz że kościół różnowierców stał zawsze groźnie z kościołem katolickim; to wreszcie może być

rzeczą naturalną; lecz mniej usprawiedliwiać się już daje to, że był nietolerancki względem niego od którego przecież tolerancyi się domagał i że wreszcie szczególniej po miastach był zupełnie obcym względem swoich współrodaków; nadzieją i sercem więcej daleko do swoich współwyznawców Niemców zwrócony.

Opuszczamy, co autor mówi o sektach w innych krajach Słowiańskich. — Streściliśmy tylko tutaj to, co autor o historii w prowincjach polskich mówi. — Odłożywszy na bok gorący zapach prozelityzmu protestanckiego, którego my jako katolicy podzielać nie możemy, nie sposób jednak nie przyznać iż opis ten jest dla nas ciekawym, gdyż wiele wypadków historycznych w ich prawdziwym i oddmiennym podaje światło, odkrywając ukryte sprężyny nie jednych faktów, które bez tego mogłyby się zdawać nie logiczne i nie pojęte. Dar ten złożony na ognisku narodowym wspólnej pracy krytycznej, tem jest jeszcze szacowniejszym iż napisany we dwóch językach obcych wielkich narodów, obznajmia cudzoziemców z naszą przeszłością, a poniekąd i teraźniejszością; których w ogóle tak są nieświadomi albo co gorsza tak źle świadomi! — Wszak im więcej prac podobnych w jakimkolwiek kierunku pisanych tém lepiej; iskra życia i prawdy przecież koniecznie tryśnie z tych starć różnostronnych, z tych prac mozolnych badawczym a więc naukowym okiem w ubiegłe czasy patrzących. — Naśladowmy zacnych Czechów, którzy jedynie tą bronią, bo umysłową pracą, zdołali dorobić się uznania prawdziwie szlachetnych i godnych mężów i otrząsnąć po trosze z żałobnego całunu rozpostartego nad nieszczęśliwą ich ojczyzną!

O MIESZKAŃCACH NORWEGII.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Norwegja położeniem swoim i ostrym klimatem nie pociąga podróżnych, tak chciwych zwiedzać zachód i południe Europy.— Najczęściej szczegółów o tym kraju dostarczają nam przypadkowo, burzą morską zagnani po Oceanie wędrowcy.— Bez wątpienia żaden z nich nie żałował, żaden nie zlorzezył wypadkowi, któren go zmusił do rozpatrzenia

się w życiu, w obyczajach gościnnych potomków, uwiecznionych poezjami Skandynawów. — Każden rad, gdy pośród lodowatych gór, skał, śniegów w górach, pośród zadziwiających pięknością swoją wodospadów w dolinach, pośród ponurych jodłowych lasów, spotyka mieszkańców tworzących sprzeczość z dziką naturą. Albowiem Norwegczyk z dumą

człowieka czującego swą niepodległość, łączy grzeczność, gościnność, łagodność jaką cywilizacja nadaje ludziom, niepotrzebującym schlebiać nikomu, ugiąć karku przed jakimkolwiek uciskiem. Powierzchność ich zatem nader ujmująca, wzrost średni, kształtna postać, rysy regularne, oczy niebieskie, wdzięczny uśmiech okazujący rząd białych zębów; oto są główne zalety tych mieszkańców północy. Czasem tylko szpeci ich włosy kolor rudawy lub kopiaty, jak to się zdarza w północnych strefach. — Co do ubioru ich, nie można go pod pewną regularną określić formę — jak zwykle ulega on różnym odmianom, stosownie do zwyczajów i położenia każdej prowincyi, — i dla tego spotkawszy z różnych okolic zebraną ludność na ulicach miasta, pod czas wielkiego jarmarku, sądzićby można, iż się jest między rozmaitemi narodowościami. W górach jednak zatrzymał się poniekąd ubiór narodowy; mający styczność mniej więcej, ze wszystkimi góralskimi strojami — też same krótkie niżęj kolan opięte ubranie, zgrabny krótki kaftan nie tamujący zręcznych pośród gór skoków, tylko kapelusz południowych górali, zastępuje tu czapka futrem obłożona, często cała futrzana śpiczasta, a czasem z daszkiem dla ochrony oczu od iskrzących kruszących śnieg promieni słońca. — Kolory lubią jasne, i dla tego kaftan świąteczny jest zwykle biały w rozmaite desenie kolorami wyszywany — kobiety również kształtniej postawy, obciągnięte gorsecikien pokrytym z wierzchu krótkim kaftanikiem, spódnica bywa najczęściej koloru błękitnego z ciemnym u dołu szlakiem, mały biały fartuszek czasami obszywany lub haftowany dopełnia stroju. — Najwięcej dodaje im oryginalności i wdzięku pokrycie głowy — nie jest to kapelusz Szwajcarski ani Neapolitanek zasłona. — Chustka zręcznie ułożona, jak śnieg biała jest razem kapeluszem chroniącym od wiatru i słońca — dwa sploty gęstych jasnych włosów, nie błędzą tu swobodnie po ramionach, silny wiatr w górach nazbytby igrał z niemi — służą tu one do ozdoby i ciepła razem — splecione poza uszami wzięte są ku przodowi, tak że przysłaniając trochę skronie zakręcają się nad czołem, co tworzy jakby wieniec otaczający głowę.

Domy mają obszerne i wygodne, powiększej części budowane z balów okrągłych prostopadle ustawionych i mocno z sobą spojonych, a po wierzchu dla ozdoby korą brzożową obitych. Niektóre jak

ich kościoły na dwa lub trzy kondygnacje czyli piętra podniesione. W górach wszakże są mniejsze z mniejszemi oknami, zaś w dolinach bardzo obszerne, tak podzielone że jest *gościnna izba* do której wszyscy się zchodzą, jest druga gdzie gospodarze sypiają, oprócz tego inna dla służebnych mężkich, inna dla dziewczek, oprócz tego kuchnia, schowanie, a około domu rozmaite potrzebne zabudowania i piwnice. Z tak wygodnego, odpowiadającego warunkom przyzwoitości mieszkania, wynikać musi przyzwoitość i obyczajność w obcowaniu; to też wszyscy znający bliżej kraj ten, podziwiają czystość obyczajów.

Jedyny to jest kraj gdzie zupełnie kast nie ma, są mieszczanie to jest obywatele miejsy i wiejsy. Naturalnie stan majątkowy jest bardzo różny, ztąd i słabości i małości z natury ludzkiej wypływające. — Często majątny właściciel patrzy z góry na sąsiada mającego dziesiątą część jego dochodów, ale ponieważ to jest tylko sąsiad jego, nie może mu widocznie uchybić, a tamten nie czując się w potrzebie ustępowania lub schlebiania, lubo się trzyma w pewnej odległości, nie uznaje się niższym. Oświata mniej więcej równa zniwelowała prawie wszystkich mieszkańców. Po mnóstwie pism wychodzących w Krystjani i innych miastach, sądzić możemy jak wiele jest czytających, potrzeba dzienników i innych pism jest tu tak konieczną, że nawet trudności położenia tamować jej nie zdołają. Nadchodzą pory gdzie komunikacja pocztowa jest niemożliwą, drogi zasypane nie przepuszczają ani konia ani żadnego powozu; wtedy krajowcy wytrwali, zręczni, robią strome ścieżki po skałach, unikając zasypanych wąwozów, wieszają się jak ptaki po pochyłych górach, i lubo przez to omijanie zwykłej drogi, o kilkoro powiększają sobie odległość, tak są przyzwyczajeni do tego, że zda się iż im to już nie zawadza. — Takim sposobem ta poczta piesza, lubo później jak zwykle, dostawia pisma i listy, nie zalega nigdy, i ruch literacki i polityczny krąży jednakowo, dostarczając umysłom potrzebnych pokarmów, bez których jużby się obejść nie mogli. — Tam wieśniak idący za plugiem musi czytać; lepiej mu idzie ta fizyczna praca, kiedy ją moralną zasila. Zresztą, potrzebną mu jest koniecznie, bo Izbę deputowanych składają równo z duchowieństwem, sędziami, kupcami, rzemieślnikami i chłopami.

PTAKI DRAPIEŻNE.

SEPY MEKSYKAŃSKIE.

Za najliczniejsze w Meksyku ptaki można poczytać drapieżne; bo tak ich plemię, jako też i zwierzyzna co im służy za żer, nie jest wyniszczaną przez myśliwych. Ptaki te, znajdując wszędzie na lądzie amerykańskim łatwe wyżywienie się, a szczególnie Sępy, którym zostawiono starannie oczyszczania ze wszelkich zgnilizn i padlin całej powierzchni kraju, nie bywają przez wdzięczność od nikogo wytepiane; ztąd mnóstwo ich się znajduje, i kto nie widział tego, pojąć nawet nie może. Szczególniej zwane przez Indyan Brazylijskich Catharte aura i Catharte urubu. Meksykańscy zaś Indianie zwali te dwa gatunki od najdawniejszych czasów Zopiloti, nazwę którą Hiszpanie przekształcili na Zopilote, i która teraz jedynie jest w całym kraju.

Mięso zwierząt zdechłych nie jest jedynym ich pokarmem, bardzo też im jest do smaku mięso mniej cuchnące; to też nie rzadko można widzieć je napastujące zwierzęta chore lub konające. Siedząc na wyniosłych czubkach drzew lub bujając nadzwyczaj wysoko, ciągle mają na oku stada bydła. I jak tylko wół, koń lub muł padnie, zaraz się znajdzie pełno sępów do pożarcia. Zbliżają się one holując w powietrzu nad swą zdobyczą, uważając każdy ruch, każde drgnienie, i czekają ze smętną cierpliwością chwili, w której śmierć odda im ofiarę. A gdy zacznie się konanie, te nikiemne i obrzydliwe ptaki, zbliżają się nakształt harpij, otaczają ofiarę w koło, i pilnują z flegmatyczną pożądlivością, podobne do grona spadkobierców przy łożu konającego. W miarę gaśnięcia życia, czarne koło ptaków ścieśnia się; zbliża się, ale jeszcze nie śmiało. Nareszcie gdy już ruchy zwierzęcia są tak słabe, że nie mają się już czego sępy obawiać, wtedy rzucają się na nie i rozdzierają mu brzuch, wnętrzości rozszarpując dziobami. Często drgania konwulsyjne konających odpędzają ich na chwilę, ale wcale się tem nie przerażają. Unikają uderzeń nóg swych ofiar skacząc w bok; i wracają znowu do dzieła bez porywczosci złości

ale za to z ponurą obojętnością, mającą w sobie coś diabelskiego.

Równow ze świtem pełno już ich bywa w mieście Vera-Cruz gdzie rozgrzebują stopy śmieci wyrzucanych przez mieszkańców, bijąc się z psami o odpadki kuchenne i nieczystości. Wyczyściwszy miasto ze wszystkich plugastw, i najadłszy się podczas tej smacznej uczyty, trawią sobie spokojnie siedząc na krzyżach kościołów, poręczach ganków, a nawet na progach drzwi. Chwilowo tak ich bywa wiele że kopuły, gzymsy wież, pomniki, zupełnie czarnieją równie jak i place przedmieść.

Więcej niż inne ptaki sęp ściąga na siebie uwagę podróżującego, albowiem jego pierwszego spostrzeżenia wysiadając z okrętu, i widzi w nim poufałość stanowiącą kontrast z dzielnością naszych ptaków Europejskich. Mylnie utrzymują niektórzy że Zopiloty z nadejściem nocy opuszczają miejsca zaludnione, i lecą pomiędzy skały i góry aby ją na drzewach przepędzić. Śpią one najspokojniej w świecie na drzewach wśród dziedzińców, lub na poręczach ganków. Ścielą nawet swe gniazda na niskich drzewach, a w okolicach Vera-Cruz, na murach a nawet na ziemi w krzakach. Jednakże wolą drzewa odosobnione a szczególnie takie, które stoją nad brzegiem przepaści. Często podczas znoszenia jaj, sępy zgromadzają się w liczne stada w miejscach odludnych, i stanowią rodzaj zborowiska, zwanego od Meksykan „Zopiloterjas.” Zdaje się że te stworzenia mogłyby stać się ptakami domowymi; więcej nawet mają do tego tytułu niż ptastwo nowych kurników, albowiem ich nie przymus, lecz instynkt wrodzony ciągnie do życia w towarzystwie człowieka. Przypuszczać można, że spokój jaki dają sępom, jest jedyną przyczyną ich wielkiej familiarności. Inne rodzaje sępów również wcale nie są prześladowane, lecz nie bywają dla tego łaskawymi. Zopiloty zaś tak mają cały swój układ ptaka domowego, że kilku podróżnych za nie ich wzięło. Desmarchais powiada, że to są kury Indyjskie przyzwyczajone żyć padliną,

a Benloch je porównyw do wielkich kur. Jest to fakt nie do zaprzeczenia, że żaden ptak nie da się tyle obłaskawić co Urubu lecz dziób jego oblepiony resztkami z uczt śmieciowych wydaje woń nieprzyjemną która się rozchodząc, czyni z tych przyczyn przymilania się Urubu nie zbyt miłemi, toteż towarzystwa jego nie poszukują i do klatek nie więżą. W Meksyku, gdzie pola są pełne stad bydła i koni, a po drogach przechodzi tysiące wołów, bardzo łatwo im się wyżywić. Trupy zwierząt zdechłych z głodu, z pragnienia lub ze znoju, spotyka tam sęp prawie co chwila. Zdarzyło mi się widzieć w czasie głodu obszerne pole pokryte bydlęm zdychającym wtedy nawet za mało było sępów na taką wielość trupów. — Ale zato w płaszczynach piaszczystych w okolicy Anahuak, trup mułu często jabłkiem bywa niezgodny między sępami, psami i kojotami.

Rozmaici podróżni utrzymywali że Catharty zgromadzają się w stada, aby napastować duże zwierzęta, i że tak ich męczą swemi harcami, że nakoniec upadłe ze znużenia rozdzierają jeszcze za życia. Ale czy to nie są inne sępy, zbliżone do gatunku orłów, co tak polują? bo Zopiloty zanadto podłe, i leniwe aby można przypuścić w nich taką śmiałość. Zresztą mogłoby się to zdarzyć chyba wtedy tylko, gdyby głód ich bardzo przyparł; ale w Meksyku nigdy żeru nie brak; w każdej porze sute mają biesiady, i nie zdaje się aby im przychodziło gonić za zwierzętą. Możliwe nawet powiedzieć że właściwym sobie instynktem rozpoznają, czy zwierze kładzie się, czy spać, czy też upada bez siły i sposobów obronienia się przed niemi. Dopóki zwierze chodzi spokojnie, nie myślą wcale go niepokoić; lecz gdy tylko jakie znaki nienormalnego stanu w nim ujrzą, zaraz jakby ćmy Zopilotów się zlatują. Nie koniecznie trzeba aby zwierze był zdychającym, dość gdy nie ma możliwości obronienia się aby Zopiloty rzuciły się nań i przyspieszyły ostatnią chwilę życia. We wsiach, mają zwyczaj przywiązywać bydła sznurem za szyję. Pewnego dnia widziałem muła, który urwawszy się, biegł wlekąc sznur za sobą między krzakami. Nareszcie sznur zaczepił się gdzieś o krzaki; muł chcąc go odczepić zaczął się w koło kręcić i tak okręcił się nim, że sznur zaczął go dusić, a on upadł. Czujne oko sępów, zaraz spostrzegło w jakim on stanie się znajduje, i wnet też przyleciały i zrobiły mu w boku dziurę wielkości ręki. Przybliżyłem się wtenczas, nie znając przyczyny obalenia się muła, a gdy oberznął sznur wkoło szyji będący, wstał i poszedł spokojnie do stajni; rana wkrótce się zgo-

iała. — Był on zatem pełen życia gdy go sęp skaleczył.

Zdaje mi się jednak że sępy wolą z potrzeby mięso nadgniłe. Bywa ono miększe, a dzioby sępów są dość słabe, i dla tej przyczyny drapią żywe zwierzęta w najdelikatniejsze miejsce. Może też dla tego że wnętrzności najpierw się psują, one najpierw do nich się biorą; aby użyć zapachu zgnilizny który tak lubią. Gdy ziedzą wnętrzności, wtedy sępy włączają w kadłub i objadają mięso wkoło żeber, idąc coraz głębiej, jak górnicy w kopalniach. Często wyjedzą wszystko mięso bez naruszenia skóry, tak że ona przykrywa tylko kości. Kolb powiada że tak samo czynią małe sępy przylądka Dobrej Nadzieji.

Gdy Zopiloty oprawiają małe zwierzęta, druzgoczą kości i polykają z mięsem. Bardzo wiele kościotrupów zniszczyły mi, com przyrzadził i wystawił na słońce aby wyschły. Zopiloty, gdy im przeszkodzić uciekają ale nie unoszą swój zdobyczy; musiały więc zjeść kościotrupy o których mówiłem.

Zmysł, który uczy małe sępy napastować żywe zwierzęta, czyni je niebezpiecznymi dla prowadzących muły. Albowiem gdy który oddzieli się od karawany i zabłąka się, prędko bardzo go zabijają. Muł zaczepiony o krzaki swym pakunkiem lub upadły pod ciężarem który jest przypięty na jego grzbiecie, nie może się podnieść i staje się pastwą nieprzyjaciół.

Bardzo jest prawdo-podobnem że gdyby człowiek był porzucony gdzie w odludnem miejscu, z nogami i rękoma związanymi, Zopiloty przyszłyby stanąć w około niego aby się przekonać czy rzeczywiście nie może się obronić. Zbliżałyby się coraz więcej i skończyłyby zabiciem go, otwierając mu brzuch. To przypuszczenie przypomina mi zdarzenie opowiedziane na miejscu przez Mułaza, a które warte być opowiedzianem.

Pewien Ariero, któremu polecono zawieść srebro do Wera-Cruz, zgubił na dzień odległości od tego miasta, jednego muła niosącego na swym grzbiecie 20,000 tysięcy franków w srebrze. Muł przybył bardzo zmartwiony do swego konsignatora, a ten po chwili namysłu poradził mu aby poszedł w okolice gdzie muł zaginął i uważał gdzie krążą sępy. Usłuchał tej rady Mułaz, i drugiego dnia poszukiwań spostrzegł stado sępów krążących w powietrzu ciągle w jednym miejscu. Poleciał galopem w tę stronę a przyjechawszy pod koło sępów, znalazł w cztery dni temu zgubionego muła, jeszcze żyjącego ale przygniecionego ciężarem srebra; gęste krzaki kolczaste osłaniały go przed sępami.

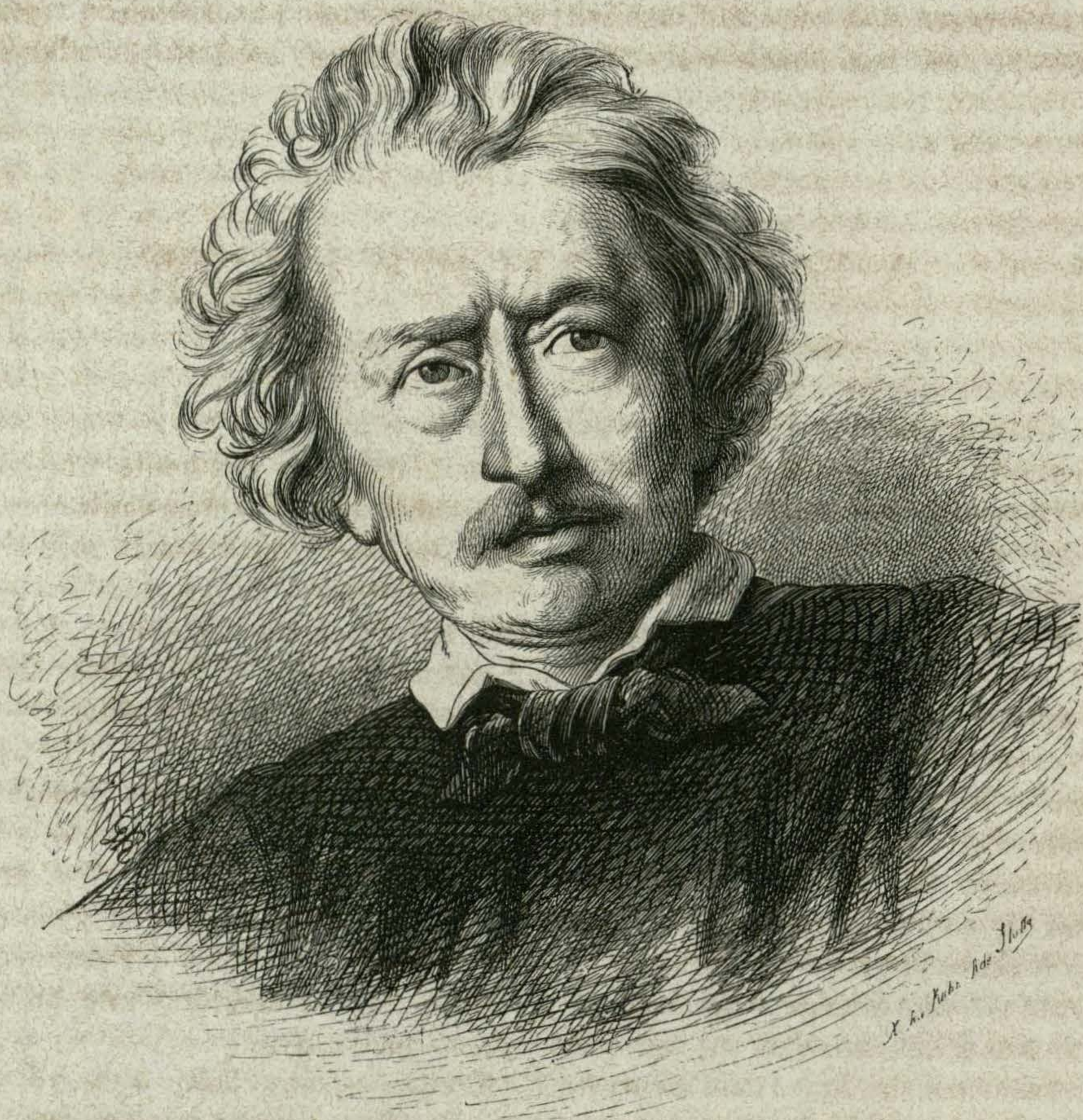
The first part of the document discusses the general principles of the law of contract, which are based on the freedom of contract and the sanctity of contracts. It is essential to understand these principles as they form the foundation of the entire legal system. The law of contract is a branch of law that deals with the legal relations between parties who have entered into an agreement. The basic principle of the law of contract is that a contract is a legally binding agreement between two or more parties. The law of contract is based on the principle of freedom of contract, which means that parties are free to enter into a contract and to determine its terms. The law of contract is also based on the principle of sanctity of contracts, which means that a contract is a legally binding agreement and must be enforced by the law.

The second part of the document discusses the formation of a contract. A contract is formed when two or more parties agree to enter into a legally binding agreement. The formation of a contract is based on the principle of offer and acceptance. An offer is a proposal made by one party to another, and acceptance is the agreement by the other party to enter into the contract. The offer and acceptance must be made with the intention of creating a legally binding agreement. The offer must be clear and definite, and the acceptance must be made in response to the offer. The formation of a contract is also based on the principle of consideration, which means that each party must provide something of value to the other party in exchange for the contract.

The third part of the document discusses the performance of a contract. A contract is a legally binding agreement, and the parties to the contract are required to perform their obligations under the contract. The performance of a contract is based on the principle of good faith and fair dealing. The parties to the contract must act in good faith and must not engage in any conduct that would be unfair or inequitable. The performance of a contract is also based on the principle of mitigation of damages, which means that a party who has breached a contract must take steps to minimize the damages caused by the breach.

The fourth part of the document discusses the remedies for breach of contract. A breach of contract occurs when one party fails to perform its obligations under the contract. The law provides several remedies for breach of contract, including specific performance, damages, and rescission. Specific performance is a remedy that requires the party who has breached the contract to perform its obligations under the contract. Damages are a remedy that requires the party who has breached the contract to pay the other party the amount of money that would have been received had the contract been performed. Rescission is a remedy that requires the contract to be set aside and the parties to be restored to their original positions.

The fifth part of the document discusses the discharge of a contract. A contract is discharged when the parties to the contract are no longer bound by the contract. There are several ways in which a contract can be discharged, including agreement, frustration, and impossibility. Agreement is a discharge of a contract when the parties to the contract agree to terminate the contract. Frustration is a discharge of a contract when an event occurs that makes the performance of the contract impossible. Impossibility is a discharge of a contract when the performance of the contract becomes impossible due to the death or incapacity of one of the parties.



A. Scherzer

Łatwość z jaką sępy odkrywają trupy w miejscach często bardzo zasłoniętych, pozwala przypuszczać, że także są obdarzone bardzo ostrym węchem. Obszerność ich nozdrzy utwierdza także to mniemanie. Wzrok ich także bardzo jest bystry albowiem często widziałem je gdy były tak wysoko że wydawały się jak punkciki czarne krążące nad trupem. Słuch ich również bardzo bystry; dość jest łamać kostki aby

przyleciały, gdyż natychmiast przybywają, myśląc że to ich współbracia ucztę spożywają.

Wszystkie więc zmysły ich jak najlepij im służą do znajdowania żeru. Cały kraj bywa pokryty temi szukaczami którzy z jak najdokładniejszą akuratnością odszukują trupy. Trzeba też dodać że mają one wielką zmyślność i zadziwiającą zręczność w dochodzeniu oznak do spożywnych odkryć. A. M.

ARY-SCHEFFER

(Z WIZERUNKIEM NA DRZEWIE RYTYM).

Znamienity ten artysta, o którego narodowość może jeszcze kiedyś powstać spór tak jak o naszego Kopernika, urodził się w Hollandyi 1794 roku, w mieście Dordrecht, gdzie ma niedawno wzniesiony pomnik. Zakończył żywot w Paryżu 15 Czerwca 1858 roku.

Trzy kraje mogłyby rościć prawo do zaliczenia w grono swych znamienitych mężów Ary-Scheffera. Pochodził bowiem z ojca Niemca, poświęcającego się także, lubo bez zbyt wielkiej sławy, malarstwu. Urodził się w Hollandyi. Wychował się, żył, umarł i duszą przywiązał się do Francyi, którą poczytywał za swą ojczyznę. Niechże teraz uczeni rozwiążą, do jakiego narodu zaliczyć tego wielkiego artystę?

W dwunastym roku życia, zwróciło już na siebie uwagę dziecko, rzeczby można, które dało na wystawę publiczną w Amsterdamie pierwszy swój obrazek historyczny. Dziecko!... i obraz dziejowy!... Mały wykonawca... i wielki przedmiot!...

Po stracie ojca, z matką, którą nadzwyczaj kochał, szesnastoletni młodzianek przybył do stolicy świata cywilizowanego i tu ciągle się doskonalił w malarstwie pod kierunkiem Piotra Guérin.

W ośmnastym roku życia wystawił na widok publiczny dla powszechności paryzkiej zajętej wtedy wojnami Napoleona Igo dwa arcydzieła swoje: „Tyr-sys pastérkę, opiewającą chwałę Najwyższego” — i „Abla” wielekroć obrabianego pędzlem i rylcem tylu artystów.

W pięć lat później wykonał niepośledniej wartości obraz, wystawujący śmierć króla Ludwika, co zyskał miano Świętego. W roku 1819 podziwiali wszyscy przepyszny utwór Ary-Scheffera wyobrażający So-

kratesa stojącego w obronie Alcybiadesa. Na jakiś czas zaniechał potem malowania obrazów dziejowych; wziął się zaś do wystawiania scen z życia ludu i od-twarzania typów lub przygód. Do tego zakresu prac jego, należą obrazy następne: „Pożar folwarku.” — „Siostra miłosierdzia.” — „Małe sieroty.” — „Wdowa po żołnierzu Napoleońskim.” — „Chrzest dziecięcia.”

Probując kilku rodzajów malarstwa, szukał zawsze jakiejś wyższej idei godnej swego niepospolitego pędzla. Bo Ary-Szeffer był prawdziwym artystą-filozofem. I dla tego też jeniałne pomysły Bajrona, Szyllera, Getego i Danta podolał wydać na płótnie. Ztąd-to niektórzy zwa go malarzem romantyczno-poetycznym.

Trudno byłoby tutaj wyliczyć wszystkie prace Ary-Szeffera; przeto musimy ograniczyć się przy-wiedzeniem tylko niektórych lub znakomitszych.

Najznamienitszém z arcydzieł jego wykonanych 1835 roku, była „Francesca z Rimini.” Oryginał *najpierwszy* artysty nabył ś. p. Zygmunt Krasiński i ten znajduje się w Warszawie, w pałacu Krasińskich na Krakowskim Przedmieściu. Mówimy *naj-pierwszy*, bo artysta pożałował tego utworu, że się go pozbył — i wykonał po raz drugi. Co się z nim stało po skonie Ary-Szeffera? nie wiemy. Zapewne we Francyi na zawsze już pozostanie.

Również wzniosło-poetycznym zadaniem malarza, było wyobrażenie. „Westchnień ziemskich wznoszących się ku niebu i przetwarzających się w nadzieję!”

Wspomnieliśmy już wyżej o wielkiem przywiąza-niu do matki, którą też artysta pragnął uwiecznić

w kilku obrazach, szczególnie zaś w Świętej Monice z synem swym Śwym Augustynem.

Do roku 1846, oprócz wzmiankowanych już, wykonał jeszcze następujące utwory pędla: „Małgorzata w ogrodzie.“ — „Małgorzata w dzień Sabbatu.“ — „Małgorzata przy kołowrotku.“ — „Małgorzata w kościele.“ — „Małgorzata opuszczająca Świątynię Pańską.“ — „Eberhard oplakujący skon swego syna.“ — Medora oczekująca powrotu Konrada.“ — „Giaur.“ — „Magowie.“ — „Anioł prowadzący pastérzy.“ — „Chrystus Pocieszyciel.“ — „Zbawca świata na górze oliwnej.“

Do bardziej znanych obrazów Ary-Szefferowskich po roku 1846 należą: „Chrystus Pan płaczący nad Jeruzalem.“ — „Matka belejąca.“ — „Święte Niewiasty wracające od grobu Chrystusowego.“ — „Sąd Chrystusa Pana.“ — „Cztery wieki żywota ludzkiego.“ — 1847: „Dante z Beatryczą.“ — „Ruth i Noemi.“ — „Skargi młodej dziewczyny.“ — „Święty Jan piszący objawienia“ — i „Magdalena przejęta zachwytem.“

Możnaby powiedzieć że artysta, o którym tych kilka słów rzucamy, w niejakijs części wpłynął na losy narodu francuzkiego. Miał bowiem bardzo blizkie stosunki ze wszystkiemi znamienitościami kraju. Ze znanym historykiem Augustynem Thierrym, razem się w młodości uczył obrotów i manewrów wojskowych. Wpłynął na wezwanie Ludwika-Filipa na tron francuzki — i począwszy od roku 1827 aż do skonu służył jako zagorzały Orleanista, i całą tę rodzinę uwiecznił w swych wizerunkach. Tak wszakże

kochał swój naród, którego wiernym został synem, że gdy Ojczyzna potrzebowała tego, z oklaskiem wsadzał do powozu Ludwika-Filipa, koronę i kraj żegnającego, owego króla, którego przedtem tak gorąco na tronie widzieć pragnął!

Prawie żaden rodzaj malarstwa nie był trudnym i obcym dla Ary-Szeffera: nawet i w portretach celował. Dowodem są liczne wizerunki znamienitości jemu spólczesnych, jak Berangera, Lamartina, La Fayette i naszego Zygmunta Krasińskiego ¹⁾. Na wystawie Krakowskiej 1859 był jego pędzla portret hr. Potockiego Adama i Józefa Szembeka. W Tulczynie na Podolu, znajduje się w pałacu Mieczysława Potockiego wizerunek pierwszej żony jego Delfiny z Komarów Potockiej.

Wiele utworów Ary-Szeffera uwiecznił rylec sztycharski. Posiadamy dwa staloryty, z obrazów znajdujących się u książąt orleańskich: „Mignon opuszczająca ojczyznę — i taż bohaterka Getego wzdychająca do nieba.“ Ilustracje drzeworytnicze powtarzały także ów utwór.

Kilka Polek uczyło się malować w pracowni Ary-Szeffera, jak panie Potockie (Adamowa i Augustowa), Krasińska Elżbieta z Branickich i t. p. Kopije tej ostatniej z dzieł swego mistrza „Pocałunek Judasza“ i Chrystus z dzieciąciem“ były przed dwiema laty na wystawie obrazów w Warszawie.

Sk.

¹⁾ Umieściliśmy przerys tego portretu w Księdze Świata T. II. z r. 1860.

O MLECZNYM SOKU ROŚLIN.

„Oto sok co prędko upaja“ (z Fausta).

Na tym przepysznym paradnym placu pięknego świata którego wchód zdobi sławny luksorski Obelisk, na tem polu Longchamp na którym chociaż początkowie było ono poświęconem pokorze (humilité de Notre Dame), w niekrwawych walkach rozstrzyga się zwycięztwa mody; niedawnemi czasy rozlegało się hasło: „Paletot lub Mackintosh.“ — W tej chwili zwycięztwo odniósł Paletot lecz wkrótce i on też musiał uleść Bnrnusowi i innym następcom, gdy Mackintosh, nie będąc już władzcą mody, chociaż

w cokolwiek odmiennych kształtach, przeżył nędznie aż do obecnej chwili. Godzi się jednak zapytać, co właściwie nadało Makintoshowi wartość mogącą go na dłuższy czas utrzymać jako niezbędny przedmiot do pewnych celów w garderobie? Oprócz poprzedników mody stają naprzeciw siebie dwa stronnictwa, z których jedno utrzymuje doskonałość, a drugie jest za całkowitem odrzuceniem Mackintosha. Nie mamyż ich wysłuchać? obrońcy chwalą lekkość, zupełną nieprzenikliwość dla wody i wielkie ciepło.

Wszystkie te zalety opierają się na szczególniej materji, z której wyrabia się tkan na Mackintosh, na tak nazywanej *gummie elastycznej* czyli *kauczuku*. — W ostatnich czasach nabyła ona w rzemiosłach tak rozległego użycia, że nie bez ciekawości będzie bliższa o niej wiadomość. Najogromniejszy użytek z tego produktu roślinnego świata, robią Anglicy. W 1830 r. przywieziono do Anglii przeszło 52,000 funtów, w roku 1829 przywieziono prawie 100,000 funtów. W roku na cło naznaczonym, który się ukończył z 1833, opłacono cła od 178,676 funtów. Od tego czasu spotrzebowanie ciągle się zwiększało. W jednej tylko fabryce w Grunwich poddaje się dziennie suchej destyllacyi w żelaznych naczyniach około 800 funtów. Pozostałość jest szczególną smarującą substancją, nie pozbywającą się nigdy swój ciąłości i gjętkości, opierającą się wszelkiemu wpływowi powietrza i wody, i dla tego używaną do napojenia powrozów w marynarce angielskiej, dla zrobienia ich przez to trwalszemi. Przeciwnie zaś płyn przedestylowany jest lotnym, przypalonym olejem, posiadającym własność łatwego rozpuszczania kauczuku, lecz przy odparowaniu osadzającego go znowu ze wszystkimi swemi własnościami. Tym sposobem możebnem się stało łatwe zastosowanie kauczuku do wszystkich, jakie się podoba, form, i przenoszenia na wszelką inną materję jego nieprzenikliwości dla powietrza i prawie wszelkiego rodzaju płynów. Tak powstało wiele nieprzenikliwych dla wody wyrobów, z których jeden od swego wynalazcy nazwanym został Mackintosh.

Otóż w sposób najrozmaitszy używają jego sprężystości, tój nadzwyczaj dla wielu celów szacownej własności. Na ten koniec osobną machiną rozcinają się wielkie massy kauczuku na cienkie blaszki a te potem na bardzo cienkie nici. Nici te oprzędzają w len, bawełnę lub jedwab; później zaś, będąc przetykane zwyczajną wełną służącą za osnowę, wyrabiają się na wstęgi i tym podobne. Nakoniec i w nie przygotowanym stanie kauczuk bywa wielorako używanym, wspomnę tu tylko o tak nazwanych gumma-lastycznych trzewikach. Lecz najważniejsza w nowych dopiero czasach odkryta własność kauczuku zależy na tem, że gdy szczególnym sposobem połączoną zostanie z siarką, sprężystość jój nie tylko że się nie do uwierzenia wzmaga, lecz także, co w zwyczajnym kauczuku wyraźnie nie ma miejsca — że całkiem prawie staje się niezawisłą od zmiany temperatury. Zmieniony tym sposobem tak nazwany *wulkanizowany kauczuk* możebnym uczynił całkiem

nowy, nieskończenie rozmaitszy sposób użycia tój materji i każda prawie dama używa go w paskach do ozdoby i w ściągankach utrzymujących rękawiczki.

Południowa Ameryka jest krajem dostarczającym najobfitszą ilość kauczuku dla tój wielkiej potrzeby; lecz także wiele się go przywozi ze wschodnich Indyj, a nawet mogłaby tój materji dostarczać i Afryka, gdyby społeczne stosunki krajowców nie przeciwiły się zużytkowaniu miejscowych źródeł ich płodów. Wszystkie kraje liczące między swemi płodami kauczuk, należą do strefy gorącej. Już A. Humboldt, w swoich pomysłach do Jeografii roślin, robi uwagę że rośliny wydające sok mleczny pomnażają się w miarę zbliżania się do zwrotników. A właśnie też mleczny sok roślin zawiera właściwą substancję sprężystą. Ciepło zwrotnikowe zdaje się wywierac stanowczy wpływ na ich rozwinięcie; gdyż zrobiono postrzeżenie że też same rośliny, które pod równikiem wydają obficie kauczuk, nawet w naszych cieplarniach, zamiast niego, zawierają pierwiastek bardzo podobny do tego jaki się otrzymuje jako ptasi lep z naszej rodzimój jemioły.

Któż z moich czytelników nie widział naszego krajowego ostromleczu, którego biały nakształt mleka sok wiarą ludu zaleca się jako środek przeciwko brodawkom. Któż przynajmniej w młodości nie zapoznał się z jaskółczem zielem z którego po oderwaniu łodygi i liścia wypływa mlecz piękno-pomarańczowego koloru. Któż nie zauważał że i z naszej sałaty po jój wystrzeleniu za najmniejszém dotknięciem wytryska płyn biały jak mleko. Lecz nie na tem tylko trocha ogranicza się pochodzenie podobnych mlecznych soków w roślinach. Świat roślinny daje nam po części w tych mlecznych sokach najpożyteczniejsze i najjadowitsze pierwiastki, i wspomnę tu tylko o *Opium* wysuszonym mleczu naszego wielkiego ogrodowego maku. Większa ilość roślin należących mianowicie do trzech wielkich familii to jest ostromluzowych, apocynców, i niesplikowych odznacza się szczególniejszą anatomiczną budową. W korze ich a także po części w ich rdzeniu znajdujemy pewną ilość długich rozmaicie pokręconych i między sobą rozgałęzionych rurek dosyć podobnych do żył u zwierząt. To podobieństwo dało powód berlińskiemu professorowi *Schultze* do rozwinięcia obszerniej teoryi krążenia po tych utworach zawartych w nich płynów, które on nazwał żywotnym płynem, którą niestety rozważna nauka, natychmiast po jój ogłoszeniu, chociaż to tem większe wzbudziło zajęcie że pismo to po swem zja-

wieniu uczczone zostało przez paryską Akademię nagrodą Monthyona, zmuszona była ogłosić za czysto fantastyczne urojenie. W rurkach tych znajduje się płyn mętny konsystencji tłustego mleka, który dla téj przyczyny nazywa *sokiem mlécznym*. Ma on zwyczajnie kolor biało-mleczny, lecz bywają także mleczki żółte, czerwone a bardzo rzadko błękitne, częściej zaś płyny te są całkiem bezbarwne lecz mętne. Podobnie jak mleko zwierzęce sok ten składa się z przezroczystej jak woda cieczy i z małych kulek. Stosownie do składu znajdujemy w nim najrozmaitsze pierwiastki, a na rozmaitej ilości i mieszaninie tych pierwiastków polega różność tego soku. We wszystkich w mniejszej lub większej ilości zawiera się kauczuk, okazujący się w kształcie małych kulek. Do ich krzepnięcia podobnym sposobem jak kulkom masła w mleku przeszkadza białkowata substancja. Tak równie jak w mleku śmietanka (masło) tak też i w mléczu roślin przy dłuższem ustaniu kulki kauczuku wypływają na powierzchnię, tworzą tu śmietankę i razem spływają i tak jak masło mogą znowu na osobne kulki rozplynać się.

Wszystkie te trzy wielkie familje odznaczające się proporcją soku mléczowego, chociaż botanicznie bardzo się między sobą różnią, jednak co do natury swego mlécza okazują nadzwyczaj zadziwiająca zgodność.

Nie będzie to obojętną rzeczą nauczyć się bliżej cokolwiek poznać te trzy familje, a szczególnie wykazać ważniejsze w nich rośliny.

Najważniejszą pod względem proporcji kauczuku jest gromada Ostromluzowych czyli Euphorbianae. Z portu Para w południowej Ameryce z Gajany i sąsiednich krajów przywozi się do Europy niezmierna ilość żywicy otrzymywanej głównie z wielkiego drzewa w owych okolicach ¹⁾.

W roku 1736 sławny francuzki uczoney *La Condamine* pierwszy zwrócił uwagę na kauczuk i dokładniej opisał jego otrzymywanie. To piękne na 60 stóp wysokie drzewo ma gładką brunatno-szarą korę w której Indyanie robią długie, głębokie aż do drewna sięgające nacięcia z których potem obficie wypływa sok. Póki jeszcze nie miał czasu wyschnąć, nasmarowuje się on na formy z niepalonej gliny, mających zwykle kształt większych lub mniejszych okrągławych i z krótką szyjką flaszek, a potem na dymiącym ogniu wysuszonym. To po-

ciąganie tak często się powtarza dopóki pociąg nie nabędzie należytej grubości. Przez tę operacyę przy której obce części soku nie oddzielają się, a sam zaś z przyczyny dymu bywa mocno zanieczyszczonym, nabiera kauczuk brunatnego lub czarnego koloru, gdy czysty kauczuk jest białym lub jasno-żółtym i w pół przezroczysty.

Późniejszą dokładniejszą wiadomość o tem drzewie i jego rozkrzewieniu winniśmy 1752 *Fresneau*, mianowicie zaś niespracowanie dla nauk przyrodzonych czynnemu Aublet du Petit-Thouars.

Nadto jeszcze wielka liczba roślin téj gromady zawiera kauczuk. Z żadnej go jednak tak łatwo w większej ilości otrzymać nie można. Jeżeli sok *Siphonii* przynajmniej jest nieszkodliwym, jeżeli sok *Tabayba dolce* ²⁾, jest nawet podobny do słodkiego mléka, i jak opowiada Leop-Buch w ciekawym swoim opisanu wysp Kanaryjskich, będąc zagęszczonym na galarete, od mieszkańców tychże wysp bywa jako specyał używany, za to największa część roślin téj gromady jest właśnie z powodu swego mlécza podejrzana albo też zaliczona do najgwałtowniejszych roślinnych trucizn. A jednak rzecz dziwna że po części stanowią one najzdrowszy pokarm z którym nic podobnego porównać się nie może. W całej gorącej Ameryce uprawa korzeni *Manioku* ³⁾, stanowi jedną z najważniejszych gałęzi uprawy. Dzicy krajowcy jak równie Europejczycy, czarny niewolnik jako i wolny Indyanin jednakowo zastępują nasz biały chleb i ryż *Tapioką* i *Mandiocą farinha* czyli mąką *Cassava*, która również wydobywa się z téj nadzwyczaj jadowitej rośliny i przygotowanemi z niéj plackami (pan de tierra caliente Meksykanów). Trzeba jednak rozróżnić słodką *Jucca* (Jucadolce tak się tam nazywa roślina (Maniok) od kwasnej i gorzkiej (Juca amarga). Pierwsza która dla tego sztucznie jest uprawiana może nawet bez niebezpieczeństwa być jedzona, gdy przeciwnie ostatnia będąc świeżo użytą jest szybko działającą trucizną. Służy ona za pokarm nieucywilizowanemu synowi amerykańskich zwrotników, przypatrzemy się też jéj na chwilę w jéj siedlisku. W gęstych lasach Gujany naczelnik Indyan rozwiesił swoją matę między wysokimi pniami magnolii, spoczywa on pod cieniem szerokolistnych bananów kurząc nieczynnie tytuń i patrząc obok siebie na zajęcia swéj rodziny. Żona jego drewnianą

¹⁾ *Siphonica elastica* Pers.

²⁾ *Euphorbia balsamifera*. Ait.

³⁾ *Manihot utilissima*. Pohl.

maczugą w wydrążonym pniu drzewa tłucze zebrane korzenie Manioku a gęste ciasto obwija w gęstą plecionkę z lipkich liści wielkich liljowych roślin. Długi ten zwój zawiesza się na kiju spoczywającym na dwóch drewnianych widłach, do którego przytwierdza się u spodu ciężki kamień który ciężarem swoim wyciska go. Wydobywający się sok spływa w podstawioną łupinę dyni kalabassa ⁴⁾. Tym czasem mały chłopczyk przysiadłszy zanurza strzały ojcowskie w kapiący zabójczy mlęcz, gdy żona rozpala ogień dla upieczenia na nim ciasta z korzeni i pozbawienia go całkiem za pomocą ciepła lotnych części jadowitego pierwiastku. Uciera się ono potem między kamieniami i tak gotową się staje mąka Cassava. Wtym czasie chłopczyk ukończył zgubne swoje zatrudnienie, sok po długim odstaniu osadził delikatną białą mączkę z której odlewa się jadowita ciecz. Po obmyciu jeszcze mąki wodą zostaje drobna biała w każdym względzie do Arrow root podobna Tapiocca. Podobnym mniej więcej sztucznym sposobem przygotowuje się wszędzie Mandioca i Tapiocca. Dziki człowiek nasycający się włóczy się naokoło chcąc wybrać sobie nowe miejsce do snu, lecz biada mu gdy go nieostrożność zaprowadziła pod straszne drzewo *Manselinowe* ⁵⁾, dla przygotowania swego spoczynku i gdy nagle spadający deszcz wstrząśnie nad nim z jego liści. Obudza się on ze strasznym bolem pokryty bąblami i jęczmionkami, a jeżeli ocali ztąd życie to przynajmniej na będzie strasznego doświadczenia o jadowitych własnościach roślin ostromleczowych. Lecz rzadko to się zdarza krajowcowi, gdyż drzewa Manselijowego w Ameryce unikają z również tajemniczym i prawie zabobonnym strachem jak bajecznego jadowitego drzewa w Jawie. Szczęściem że zwyczajnie tuż obok drzewa manselijowego jako nieodłączny jego towarzysz, wznosi się piękne z purpurowemi kwiatami drzewo *trąbkowe* (Trompetenbaum) ⁶⁾, którego sok daje najpewniejszą przeciwtruciznę dla tych niebezpiecznych Euphorbiaceów. Wiele podobnych drzew których wyziewy często a sok zaś z pewnością naraziły na niebezpieczeństwo zdrowie i życie należą do tej rodziny. Osadnik na przykład posypuje utartemi owocami miejscowej rośliny ⁷⁾, kawałki mięsa i rozkłada je jako niezawodną truciznę dla hyen. Takim to ostromleczem jak opowiada *Bruce* dzicy mieszkańcy południowej

Afryki zatruwają swoje strzały, podobnyż użytek według *Vireja* robią Etyopijczycy z drugiego gatunku ⁸⁾, a dzicy południowej Ameryki z soku trzeciego ⁹⁾. Nawet nasz tak na pozór niewinny bukspan, również należący do téjże rodziny, jest tak szkodliwym, że w pewnej okolicy Persyi w której jest bardzo upowszechnionym nie mogą być trzymane wielbłądy gdyż nie można je wstrzymać od używania téj zabójczej dla nich rośliny. Nie mogę rozstać się z tą rodziną nie wspomniawszy jeszcze o ważnym zjawisku o którym uwiadamia nas *Martius* w treściwej swojej podróży do Brazylii. Tam bowiem rośnie rodzaj *Ostromluzu* ¹⁰⁾, którego mlęcz gdy wypływa z pnia w czasie ciemnych gorących letnich nocy rozszerza na około siebie jasne fosforyczne światło.

Jeżeli dopiero co wspomniana rodzina, opatrzona po większej części niepozornymi liśćmi, prawie tylko szczególnymi kształtami z których niektóre zbliżają się do roślin Kaktusowych, tak dalece zwraca uwagę naszych ogrodników, to przeciwnie rodzina *Tojnowych* (Apocyncae) której cudnie ozdobny kwiat, pociągająca dziwnym utworem kwiatów i odmianą również do kaktusów zbliżających się roślinnych kształtów, stanowi bogatą ozdobę naszych ogrodów i cieplarni. Któryż miłośnik kwiatów nie zna przepysznych kwiatów *Caressy*, *Alamanda*, *Thevetia*, *Cerbera*, *Plumeria*, *Vinca*, gatunków *Nericim* i *Gelsemimen*, szczególnych łodyg i żabich kolorów brzydki woniejących kwiatów *Stapeliów*? Lecz i pod innemi względami niemniej ciekawą jest ta rodzina. Najlepszy dotąd znany kaczuk, *Pulo-Penangski*, pochodzi z rośliny z téjże rodziny ¹¹⁾. Także i kaczuk z *Sumatry* ¹²⁾, z *Madagaskaru* ¹³⁾, część brazylijskiego ¹⁴⁾ i wschodnio-indyjskiego ¹⁵⁾ otrzymuje się z roślin należących do gromady apocynców. Dziwnym sposobem i ta rodzina równie jak i następna i ostatnia okazuje szczególniejsze zjawisko odznaczające się już i w pierwszej ostromleczowych, to jest że sok mleczny obfitujący w niektórych rodzajach w żywicę, łagodnieje w innych na delikatne przyjemnego smaku i zdrowe mleko, gdy przeciwnie w innych płyn ten przybierając

⁴⁾ *Crescentia cajete* L. ⁵⁾ *Hippomane mancinella* L. ⁶⁾ *Bignonia uccoxylon* L. ⁷⁾ *Hyaenanche globosa* Lam.

⁸⁾ *Euphorbia cuput Medusae* L. ⁹⁾ *Euphorbia heptagona* L. *E. virosa* W., *E. cerciformis* L. *E. Cotini folia* L. ¹⁰⁾ *E. phosphorea* Mar. ¹¹⁾ *Cynanchum*. ¹²⁾ *Urceola elastica* Roub. ¹³⁾ *Vahea gummifera* Poir. ¹⁴⁾ *Collofora utilis* Mart. ¹⁵⁾ *Wilglaghbeja edulis* Roub.

stopniami większą proporcję szkodliwych pierwiastków dochodzi do najstraszniejszej trucizny. W lasach angielskiej Gujany rośnie drzewo które krajowcy nazywają Hya-Hya ¹⁶⁾. Jego kora i rdzeń są tak obfitujące w mleko że mierny pień który Arnott i jego towarzysze zrąbali na brzegu wielkiego leśnego strumienia, w przeciągu godziny nadał jego wodzie całkiem kolor biały i mleczny. Mleko to jest zupełnie nie szkodliwe, przyjemnego smaku i używane jest przez dzikich jako napój posilający. Jeszcze przyjemniejszy ma być smak mleka krowiego drzewa na Cejlanie *Keriaghuma* ¹⁷⁾, którego Cejlanczyki według opowiadania Burmana używają zupełnie tak jak my naszego mleka.

Przeciwnie, okropne jest działanie suszonej przy tajemniczych zaklęciach przez mieszkańców Ory-noko strasznej trucizny *Woorara*, do której soku dostarczają głównych ingrediencji jedna z należących tu roślin ¹⁸⁾, i kora kilku innych również do tej rodziny Apocynców zaliczonych drzew ¹⁹⁾. W ostatnich czasach podał nam bardzo poetyczny opis przygotowania tej trucizny *Schomburgh* w ciekawym opowiadaniu swojej podróży.

Pöppig w swoich romantycznych podróżach po południowej Ameryce miał dość często zręczność poznania strasznych działań *Woorare*. Indyanie wydrążają i bardzo starannie wygładzają długą rurkę, potem z bardzo twardego drzewa wystrugują strzały prawie na stopę długości których ostry koniec zanurza się do tej trucizny, drugi zaś koniec obwija się tak w bawełnę że szczelnie tę rurkę zatyka. Dziki opatrzonej w tę straszną broń, podkrada się do bezpiecznego nieprzyjaciela, który może zajęty jest wówczas przygotowaniem sobie smacznej uczy z upolowanego jelenia. Żaden szelest nie zdradzi jego wprawno lekko zbliżającego się kroku, żadne oko nie rozpozna w gęstym zarośnięciu niebezpiecznej rurki z której tylko mocnym zadęciem popchnięty, głucho i pewnie skrzydlaty posłaniec śmierci dosięga nawet o 30 kroków niespodzianie bezbronną ofiarę i przy najmniejszym zranieniu już po kilku minutach wśród konwulsji wyziewającą duszę.

I północy także Amerykanie używają na truciznę do strzał pewną Apocyncę ²⁰⁾, podobną rzecz

¹⁶⁾ *Tabernae montana utilis* An. ¹⁷⁾ *Gymneura lactiferum* Rob. ¹⁸⁾ *Echites suberecta* L. ¹⁹⁾ *Strychnos gaganensis* Mart. i *Str. toxifera* Schomb. ²⁰⁾ *Golonebicem macrophyllum*. Mich.

opowiada Mungo o Mandingos nad Nigrem. (U nich jest to rodzaj *Echites*). Wiele jeszcze innych spokrewnionych roślin należy do najjadowitszych trucizn ²¹⁾, a szczególnie nasiona tej gromady roślin bardziej jeszcze niż poprzedzające odznaczają się swoją szkodliwością, gdyż w nich to mianowicie znajdują się dwie najgwałtowniejsze roślinne trucizny *Strychnina* i *Brucyna*. W tym względzie znane są szczególnie niektóre z najczynniejszych lekarskich środków w naszych aptekach jak np. tak zwany *Bób Św. Ignacego* ²²⁾, z *Manilli* i *Wronie oko* ²³⁾, czyli *Kulczyba* rozszerzone po wszystkich zwrotnikowych krajach.

Nie można tu pominąć szczególnego użytku mieszkańców Madagaskaru (*Malgasze*) u których siła żołądka pewnym rodzajem boskiego wyroku roztrzyga o winie lub niewinności. Jeżeli ktoś jest oskarżonym o występki, to w publicznym zgromadzeniu pod przewodnictwem kapłana zmuszają go do połknięcia orzecha *Tanginy*; i jeżeli żołądek jego jest w stanie wyrzucenia tej strasznej trucizny przez wymioty, to go uniewinniają, jeżeli zaś nie, to wyjawienie jego winy staje się oraz jego karą i nieszczęśliwy umiera od bezpośrednich skutków dowodu.

Nie od rzeczy będzie, podać nawet niewtajemniczonymu do Botaniki niektóre istotne cechy dwóch wspomnianych roślinnych rodziny i tak je uwidocznić żeby z łatwością mógł poznać każdą tego rodzaju roślinę. Wcale inaczej rzecz się ma z ostatnią następną z rodziny Jussiego roślin *Pokrzywiowych* *Urticca*. Nadzwyczaj odmienne są tu należące rośliny co do zewnętrznej swojej budowy, od najmniejszych i najniepozorniejszych ziół jak n. p. i nasza *pokrzywa*, aż do największych drzew jak *drzewa chlebowe* ²⁴⁾, które ocieniając swymi wielkimi, szeroko rozpostartymi pięknego kształtu liśćmi chatkę mieszkańca wysp południowych i karmią ją swoim smacznym owocem. Jeżeli w rodzinie ostromleczowych tylko niektóre rośliny w nasionach swoich obfitują w smaczne do orzechów podobne ziarna ²⁵⁾, jeżeli w gromadzie *Toinowych* (*Apocyncae*) już wiele drzew okazują mieszkańcom stron gorących, soczysto chłodzące i dla tego

²¹⁾ *Cerbera Thevetia* L. i *C. Ahovai* L. ²²⁾ *Ignatia amara* L. ²³⁾ *Strychnos nux vomica* L. *Tanghina venifera* Poir. ²⁴⁾ *Artocarpus integrifolia* L. fil. et *incisa* L. ²⁵⁾ *Aleuritis moluccana* Willd. *Conceveibum gujanense* Bl. w połud. Ameryce.

bardzo cenione owoce ²⁶⁾, to familija pokrzywowych ogarnia najdziwniejszą rozmaitość utworu owoców. Małe w olój obfite ziarnka *konopi*, zielone nakształt winogron zwieszające się kitki i mile zdobiące wysmukle wijący się *chmiel*, korzenna *morwowa* jagoda, słodka *figa*, użyteczny *chlebowy owoc*, wszystkie te rozmaite formy należą do jednej roślinnej gromady, a Botanik śledzi we wszystkich, za jednakowym zasadniczym utworem, jakkolwiek dla oka profana rozmaite te utwory mogą się wydać niejednakowymi. Jedna tylko własność panuje bez wyjątku we wszystkich rodzajach tego licznego gatunku, mianowicie obecność w korze tych roślin cienkich, a jednak mocnych korowych włókien. — Utworzone początkowie z włókien pokrzywy ²⁷⁾, płótno dziś jeszcze nosi to nazwisko a przemysł łagodnego Otaitczyka przygotowuje najdelikatniejszą materję bez kołowrotka i warsztatu z białej cienkiej skórki Auté czyli drzewa *papierowej morwy* ²⁸⁾.

Spowinowaczone, piękne drzewo *Holquahuilt* Meksykanów czyli *Ule di Papantla* ²⁹⁾ Hiszpanów, wydaje nowo-hiszpański kauczuk, a niezmierne ilości tej substancji przywożone do naszych portów ze Wschodnich Indyi, są po większej części zbierane z szanownego drzewa figowego w które tak bogaty jest azyatycki świat zwrotnikowy. Na grubym, obszernym, rzadko jednak wysokością 15 stóp przechodzącym pniu, spoczywa ogromna korona *Banyanu* czyli świętej figi, równo jakby waga rozbiegają od pnia często na 100 stóp długie gałęzie, wypuszczając w mniejszych lub większych odstępach proste ku ziemi korzenie, które prędko w nią przenikając i wrastając służą niejako tym sposobem za podpórę długim gałęziom. W Siamie, dziwne te, każde z nich do małego lasu podobne drzewa, poświęcone są bogowi Fo, a na jego gałęziach nieopatrzny, leniwy Bonza buduje swoją chatkę, bardzo podobną do ptasiego gniazda, w której poczęści albo całe dnie przesypia, albo w kontemplacyjnej nieczynności zadowolniony chłodnym cieniem przepędza w marzeniu. Te wielkie figowe drzewa ³⁰⁾, niedają wprawdzie jadalnych owoców, lecz w mlecznym swym soku pożyteczny kauczuk.

Lecz i pomiędzy temi roślinami niektóre posia-

²⁶⁾ Carissa Carendas L. we Wschod. Indyi Arduina edulis Spr. w Arabii. ²⁷⁾ Urtica cannabina L. ²⁸⁾ Broussonetia papyrifera Vent. ²⁹⁾ Castilloa elastica Deppe. ³⁰⁾ Ficus religiosa, indica, benjaminea L. eilasttica Rorb.

dają nieszkodliwy sok. Pod tym względem najgodniejszym uwagi jest *Palo de Vacca* czyli *Arbol de Leche* krowie drzewo w południowej Ameryce ³¹⁾, z którym naprzód nas poznał A. Humboldt. — Przy znacznym cokolwiek nacięciu pnia tego drzewa tak wiele wypływa białego, tłustego, przyjemnie pachnącego, słodkiego, nawet co do składowych części bardzo do zwierzęcego mleka podobnego płynu, że doskonale wystarcza na posiłek i zupełne nasycenie wielu ludzi.

Przeciwnie w jakiejże sprzeczności znajdują się własności innych pokrzywowych roślin. Chęć bierze nazwać je węzami roślinnego świata, i nie trudno jest ustalić takie porównanie. Najdobitniejsze podobieństwo zachodzi w tém narzędziu którym oboje robią rany i zatrują je. Węże mają na przodzie w górnej szczęce dwa długie cienkie cokolwiek zagięte zęby, które podłużnie przerzniete są wązkim kanałem otwierającym się z przodu ostrego końca. Te zęby nie są tak jak inne mocno osadzone w szczęce, lecz nakształt pazurów u kotów tylko w mniejszym stopniu są ruchliwe. W wydrążeniu szczęki pod każdym zębem leży gruczołek, w którym wyrabia się jad, odwodowy zaś otwór tego gruczołu wchodzi we wspomniony kanał zęba i otwiera się przy jego końcu. Przy ukąszeniu ząb przez sam opór ukąszonego ciała cofa się w tył uciska tym sposobem jadowity gruczoł wyciskając z niego jatrzący sok do zadanej rany. Jeżeli teraz przypatrzymy się włosom na liściach pokrzywy znajdziemy dziwne podobieństwo. Jedna cewka tworzy włos kolący zakończony w górze małym guziczkiem. U dołu cewka rozszerza się w woreczek zawierający ostry jad. (Obacz rycinę). Przy najlżejszym dotknięciu ostry koniec odłamuje się wraz z główką, przez to włos staje się z przodu otwartym kanałem, ten potem przenika w części miększe, a w skutek ciśnienia wywieranego na woreczek przez opór w czasie wchodzenia w nie wytryska część jadowitego soku do zrobionej rany. Jad krajowych naszych pokrzyw i węzów jest bardzo nieznaczący, lecz im więcej zbliżamy się do zwrotników tem one oba stają się częstszymi i niebezpieczniejszemi. Tam gdzie palące słońce Indyi przygotowuje jad straszego węża okularnika, tam także rosną najniebezpieczniejsze pokrzywy. Któż u nas nie uczuł małych lecz dotkliwych żądeł, które wydaje nasza żegawka swemi cienkimi jadem

³¹⁾ Galactodendron utile.

napełnionemi włosami; lecz nie mamy żadnego wyobrażenia o cierpieniach jakie sprawiają w Indyach Wschodnich spokrewnione z niemi rośliny ³²⁾. Dostyć jest najłżejszego dotknięcia ażeby ręka spuchła wśród najstraszniejszych bólów i cierpienia te trwają przez kilka tygodni; pewny nawet na wyspie Timor rosnący gatunek ³³⁾, nazwany jest przez tamecznych krajowców *Davun-Setan* (Diable liście), gdyż bole trwają przez lat kilka a często tylko odjęcie zranionego członka zabezpieczyć może od śmierci.

Jeżeli rozważymy jak niezmiernie małą i trudną do wyliczenia jest ilość pierwiastku sprawiającego tak niebezpieczne skutki w ludzkim organizmie, to nie możemy nie przyznać że jad pokrzywiowy ze wszystkich dotąd znajomych jadowitych pierwiastków jest najstraszniejszym. Można z wielkości parzących włosów przez przybliżenie wyliczyć że do rany przy oparzeniu nie wchodzi nawet i 150000 część grana jadowitej substancji.

Wprawdzie wiele gwałtowniejszych jądów w tej rodzinie a nawet niektóre gatunki fig ³⁴⁾, należą do najniebezpieczniejszych roślin, nie warto jednak zatrzymywać się nad mniej znaczącymi. Lecz przy poznaniu krainy wysp Indyi Wschodnich, jakby jaka ponura i nieszczęsna powieść stają opowiadania o *Upasie* i o zatrutej dolinie. Wyspa *Jawa* korona osad hollenderskich, przeznaczona na to sprzyjającym swem położeniem i niezmiernem bogactwem swoich produktów, żeby się z czasem stała środkowym punktem wielkiego indyjskiego Archipelagu, oddawna też w wysokim stopniu zwracała na siebie uwagę badaczów przyrody. Holandia zawsze miała tę sławę że w żadnym czasie i w żadnej ze swoich osad, nie przestawała zwracać uwagi na poznanie przyrodzonych produktów nabytych przez się krajów, jakoteż zachęcania usiłowań nauk przyrodzonych oraz wspierania ich i nadgradzania. *Swamerdam*, *Leuwenhock*, *Rheedetot Drahensteen*, *Rumph* i inni, nie mówiąc już o żyjących, będą zawsze jasnieć nieśmiertelnemi imionami w rocznikach nauki. Nawet te objaśnienia jakie teraz posiadamy o sławnych jadowitych drzewach winniśmy zachętom i opiekowaniu się jakie okazuje rząd hollenderski badaczom natury, mianowicie zaś żyjącemu jeszcze Dr. *Blume* i Dr. *Horsfield*, z których ostatni chociaż rodem Anglik, rozpoczął był swoje poszukiwania jeszcze w 1802 roku, a zatem na 8 lat przed krót-

kiem posiadaniem angielskiem, pod opieką rządu hollenderskiego. Już w 16 wieku rozniosły się wieści o jadowitem drzewie Makassaru na Celebes, a stopniami głosili lekarze i badacze natury o działaniach trucizny tak strasznie odmalowanych, że najmniejsza jej ilość wprowadzona do krwi nie tylko wmgnieniu oka zabija, lecz nadto tak straszliwie działa że w pół godziny czasu mięso od kości odpada. Pierwsze opisanie w roku 1682 podał *Neuhof*. Jakkolwiek jednak dawniejsi pisarze tak strasznie tę truciznę opisali, wszakże wiadomości ich wolne są od ponurych bajek które późniejsi o tem udzielili. Już przy końcu 17 wieku *Gervaise* utrzymywał, że samo dotknięcie i wążanie trucizny było zabójczem, a u *Kamela* (1704) znajdujemy opowiadanie, że wzięty tego drzewa na znacznej w około przestrzeni niszczą wszystko co żyje, i że ptaki na nim siadające umierają jeżeli natychmiast potem nie zjedzą *wroniego oka* ³⁵⁾, przez co zostają zachowane przy życiu, lecz tracą wszystkie pierze. Pierwój jeszcze *Argensola* ³⁶⁾, dał wiadomość o pewnym drzewie w bliskości którego każdy zbliżający się ku niemu z zachodniej strony zasypia i umiera, zbliżający się zaś ze wschodniej strony właśnie przez sen uwolnieni zostają od śmiertelnego działania. Potem ogłoszono także że zbieranie tej trucizny powierzane bywa samym tylko złoczyńcom którym darowuje się życie i którzy uwalniani są od kary jeżeli szczęśliwie ukończą swe zatrudnienie. Od *Rumph'a* dowiedziano się że jadowite to drzewo oprócz na Celebes znajduje się także na Sumatrze, Borneo i Bali. Najdziwniejsze jednak wiadomości upowszechnił dopiero około połowy 18 wieku hollenderski chirurg *Försch* o jadowitem drzewie na wyspie *Jawie*. List jego o tem drzewie okazał się naprzód w 1781 a stopniami przetłumaczonym został na wszystkie prawie europejskie języki, a treść jego wciągniętą została do wszystkich dorecznych ksiąg historii naturalnej, nauki krajów i ludów. W przeciwną całkiem myśl donosili już w 1789 roku komissarze towarzystwa batawskiego van *Rhyn* i *Palm* którzy nie tylko wystawili jako kłamstwa wszystkie opowiadania *Förscha*, lecz nawet całkiem w wątpliwość podali samo istnienie podobnego jadowitego drzewa na *Jawie*. Tak samo prawie wyrażali się później *Stanton Barrow* i *Labi-Mardièrè*; przeciwnie zaś sądzi *Deschamps* który kilka lat przemieszkiwał na *Jawie*. (D. n.)

³²⁾ *Urtica stimulans*, *U. crenulata* Rorb. ³³⁾ *Urtica arentissima* Blume. ³⁴⁾ *Ficus toncariaria* L.

³⁵⁾ *Nasiona Strychnos nuz vomica* L. ³⁶⁾ *Conquista de las islas Molucas*.



OSTRYGOJAD (HAEMATOPUS)

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Brzegi Skandynawskie tyle zajmujące z innych względów, mają także dla podróżnych naturalistów wielki powab, a to z powodu iż dwa razy na rok różnego rodzaju ptastwo, wędrujące na zimowe miesiące w ciepłe strefy, jakby na spoczynek w podróży, zatrzymują się tam i zdobi brzegi różnaitością swoich kształtów i kolorów. Pomiedzy temi skrzydlatymi gośćmi, nie poślednie trzyma miejsce duży ptak zwany Ostrygojad (*Haematopus ostralegus*). — Zdaje się że Francuzi najwłaściwsze dali mu nazwisko — zowią go bowiem Sroką morską (*Pie de mer*), istotnie jest to ptak jakby pokrewny sroki i wrony, i dla tego niektórzy, mniej znający familje skrzydlatych zwierząt, podróżni, nazywają go wroną morską. — Ostrygojad nie żywi się wyłącznie ostrygami, jakby to z nazwiska jego sądzić można — zwyczajnym pokarmem jego są tak zwane przez Włochów *fruti di mare*, to jest rozmaitego rodzaju skorupiaki, mięczaki, robaki morskie przez przypływ morza na brzeg wyrzucane.

Naturaliści dzielą te ptaki na trzy rodzaje, lubo niczem się powierzchownie między sobą nie różniące. — Jeden z nich przebywa i gnieździ się w Europie, to jest na brzegach Anglii, Skandynawii i innych ku północy i Zachodowi położonych krajach. — Drugi na przykładu Dobrej nadziei; trzeci w Nowej Holandyi. — Gnieźdzą się zwykle wśród łąk z drzew ogołconych, na kępinach niską trawą porośłych. — Mięso ich jest twarde, niesmaczne, to też tylko naturaliści starają się upolować je, dla z bogacenia nauki i zbiorów swoich, ale trudno się im

to udaje — albowiem ptak ten jest nader szybki w locie, nigdy prawie w jednym kierunku nie leci tylko rzuca się w tę i ową stronę; tak jest ostrożny, że na najmniejszy pozór niebezpieczeństwa, ucieka z krzykiem dalej niż na lot strzału; żalonym krzykiem ostrzega braci, i tym sposobem zwodzi nadzieje pilnujących nań na statku myśliwych. — Nadto tak jest silny, że choć go ranią, jeszcze dopada morza i albo w niem ginie, albo jeżeli rana nie zbyt znaczna, płynie dalej, żeby na innym brzegu spocząć bezpiecznie.

Powierzchność Ostrygojada nie uderza ani pięknoscia, ani szczegolnoscia — dziob tylko zasluguje na uwage szczegolniejsza — jest on dlugi, cienki, scisniety jak u bekasa — tym to dziobem ostrym i silnym, otwiera on zrecznie skorupe muszli, azeby polknac bledaca w sredku ostryge. — Kolor dzioba takze jest niezwycajny, zolty mocno, a przy nozdrzach az do pomarańczowego koloru dochodzi. — Nogi ma dosc wysokie, koloru rozowego. — Skrzydla rozlozyste i nader lotne. — Glos tych ptakow najwiecej ich rozni od srok i wron, gdyz o ile te ostatnie chrapliwie skrzecza i krzyca — o tyle ostrygojady maja muzycznego dzwieku; jest to jakby rodzaj czystego przeciągłego gwizdania; a gdy się wzajemnie wabia, to gwizdanie zwykle jednotonne, przybiera jakoweś modulacje odmienne bardzo, dla ucha przyjemne. Tylko gdy są spłoszone lub przestraszone owe ptaki, wtedy jękliwe i wrzaskliwe wydają głosy.

G.

ŻUBR. (URUS)

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Tyle u nas już pisano o Żubrach, jako o rzadkiem zwierzęciu, znajdującem się tylko na ziemi litewskiej, iż zbyt rzadkiem byłoby tutaj w długie wchodzić opisy. Przywołując więc krótkie wykazanie źródeł w których czytelnicy wiele szczegółów ciekawych znaleźć mogą, podajemy tu cechy tego rzadkiego dziś bardzo zwierzęcia.

Żubr miewa sierć miękką jak wełna i dość krótką na całym ciele. Tylko grzbiet jego opatrzony twardszemi włosami, jak to widać na załączonej tu rycinie. Prawdziwa ta ozdoba Żubra, stanowi jakby grzywę jego, oraz brodę i pewien rodzaj podbródzia. Na wiosnę lenieją, a ku jesieni znowu odrastają i grzywa i broda; o kolorze mówić niepotrzebujemy,

bo jest widny na załączonj tu rycinie. Głowa w stosunku ciała, za wielka. Z rogów, gdy żubr był polszim zwierzęciem, robiono pułary w złoto oprowne. Mniemano nawet iż w te pułary nalana trucizna, jadowitość swą traciła; tak przynajmniej sądzi Hauer w swém dziele po polsku wydanem pod tytułem: „Skarbiec Ekonomii.”

Kędziory na głowie żubrowej dają zapach piżmowy. Gdy się rozgniewa, białka oczów krwią zachodzą. Nozdrza miernie rozwarę; uszy gęsto zarosłe; ogón długi do połowy goleni tylnych; skóra dwakroć grubsza niż u wołu domowego, do którego rodzaju żubr należy.

Samica (leżąca na rycinie) bywa nieco mniejsza, chociaż tak podobna, że trudno na pierwszy rzut oka rozróżnić. Naczynia mleczne miewa małe. Nosi płód od września do maja przez 9 miesięcy. Rodzi jedno tylko, którego przez parę dni pierwszych wcale nie odstepuje, gdyż wtedy płód jej nie podnosi się jeszcze z ziemi. Rośnie do lat sześciu lub siedmiu.

Mięso smaczne, podobne do wołu domowego. Kolor czerwony w gniew wprowadza żubrów, które dziś już tylko w jednej znajdują się Puszczy białowieżskiej, leżącej w Grodzieńskim, w powiecie Prużańskim.

Chodzą gromadnie, żyją od 30 do 50 lat. Aby zwierza tego niewypłenić, postanowiono karę za jego zabicie taką samą, jak za napad na życie człowieka. Królowie Polscy, odbywali sławne łowy na rzadkie już oddawna żubry.

Począwszy od Antoniego Possewina, który jako legat Grzegorza XIII za czasów Stefana Batorego był w Polsce i żubra w podróży swj opisał i rycinę załączył, pisali o nim Brinken, Jarocki, Ejchwald (b. professor uniwersytetu wileńskiego i wielu innych. Sławny Bojanus professor tegoż Uniwersytetu napisał anatomiję żubra, z której pokazuje się, że ma dwa żebra więcej od wołu zwyczajnego. Doktor Sochacki dopełnił rozprawę Bojanusa oddzielnem opisaniem kości podjęzykowej (De osse hyoideo Uri).

Sk.

ROZMAITOŚCI.

Nagrody literackie Akademii francuzkiej w roku bieżącym:

Pierwszą, wielką nagrodę Goberta, otrzymał Kamil Rousset za „*Historyę Ministra Louvois i jego rządów*“ którego 900 tomów listów przejrzał autor. Drugą Goberta, wziął Caillet za dzieło „*Administracya we Francyi za kardynała Richelieu*.”

Dwie nagrody po 3000 franków, dostali Pressensè za „*Historyę pierwszych wieków kościoła chrześcijańskiego*,” i Cochin za dzieło pod tytułem „*Zniesienie niewoli*.”

Dwa medale po 2500 franków, wręczono Duruyowi, za „*Historyę starożytnj Grecyi*“ i Bernardowi za rozprawę pod napisem „*O filozofii w wychowaniu klasycznym*.”

Cztery medale po 2000 franków, otrzymali: pan Saint-Projet autor dzieła: „*Des études religieuses en France*,” pani Debray za rozprawę „*Władza miłosierdzia*,” Arnould za tom poezyi p. t. „*Sonety i Poematy*,” Lafayette za „*Poemat Sielski*.”

Nagrodę 10,000 franków przeznaczoną w 1857 r. autorowi utworu dramatycznego we trzech aktach wierszem, w braku pisarza oryginalnego otrzymał Juliusz Lacroix za przekład Sofoklesowego *Edypa*.

Nagrodę Bordin'a (3000 fr.) podzielono tego roku na dwie części: pierwszą dostał Leon Halevy za przekład wierszem Tragików greckich; drugą August Lacaussade, za zbiór poezyi p. t. „*Poematy i Krajobrazy*.”

Nagrodę Lamberta za rozpowszechnianie dzieł literackich, otrzymał znany z prelekcji swoich Filoxen Boyer.

Świadeetwo Woltera o Kornelu: „Hołdy, jakie składano Corneillovi, nie były większe, nad te, które odbierała panna Camargo. Mogę zapewnić, że nigdy nie doznał poważania, na jakie zasługiwał. Będąc dzieckiem, widziałem wielu starców, którzy z nim żyli. Corneille był zaniedbany przez wszystkich w ciągu ostatnich lat dwudziestu swego życia. Zdaje mi się, że słyszę jeszcze owych starców mówiących o nim z oburzeniem. Biedak! był zapoznany i zaniedbany, jak każdy prawdziwie wielki człowiek zapomniany być musi pomiędzy nami. Nie miał żadnej powagi. Śmiano się z niego: chodził pieszo i wracał zabłocony od księgarza do teatru. Ostatnich jego sztuk parę wygwizdano; ledwie znalazł aktorów, którzyby raczyli grać jego tragedye.”

B. W.





Th. Brooks gem.

Druck von A. Schuler

V. Froer gest.

SEN MATKI.

PRZECZUCIE PRZYSZŁOŚCI

(Z RYCINĄ SZTYCHOWANĄ).

Julja córka właściciela pięknej majątności nie daleko Korku położonej, od dzieciństwa przez ciężkie przechodziła życia koleje.— Wiadome jest położenie Irlandyi, wiadomo jak pyszna bogactwem i prawami swemi Anglja, cięży nad Irlandją brzemieniem wszystkich krzywd, wszystkich niesprawiedliwości; bo prawa zapewniające wolność osobistą, prawa szanujące cudzą własność, tylko dla Wielkiego Albjonu służyć mogą. — Zaś Irlandja, jako nieszczęśliwa bo podbita, innéj religii, innéj narodowości, nie warta żeby ją przypuścić do równych ze szczęśliwymi zdobywcami, prawnych korzyści.— Nieśmiertelny Occonel napróżno był pracował, napróżno przedstawiał ucisk pod jakim kraj jego nieprzestawał jęczyć, na próżno inni mniej cierpliwi, żywsze niż on objawiali oburzenie przeciw niesprawiedliwościom; nie to niepomagało i ci ostatni ściągali tylko prześladowania na siebie. Pomiedzy temi znajdował się O'Kelly ojciec Julii, gorliwy katolik i krewny Occonela, broniący ubogich mieszkańców włości swoich od nadużyć poborców podatkowych. — Julja tedy od młodocianych lat przywykła patrzeć na okropne dramata w jakich głównemi osobami byli rodzice, dawni zasłużeni słudzy na czynszach osadzeni, biedni włościanie; albowiem majątek ojca jéj popadł konfiskacie; ze sreber i klejnotów zostało zaledwie tyle że sobie małą kolonję kupić mogli, zaś ich pałac i włości dostały się możnemu Lordowi, któren nie mieszkając, polecił rządy twardemu, fanatycznie do religii swéj przywiązanemu, rządcy.— Zaczny ojciec Julii zniósł wszystkie niesprawiedliwości, znosiłby niedostatek, ale widoku nędzy i ucisku swoich biednych braci-ludzi, których od dziecka nauczył się kochać, którzy nawzajem za ojca, za opiekuna go uważali, znieść nie mógł! Nie mogąc ani ochronić ich od prześladowań, zdzierstwa nowego rządcy, nie mogąc wykarmić obrzękłych z głodu, a mimo to, gnanych do roboty wieśniaków, gdyż sam zaledwie miał z czego utrzymać się, poczciwy ten człowiek wpadł w żół-

taczkę i życie zakończył.— Któż opisze nieszczęśliwy stan wdowy z dziesięcioletnią córką! — Chciała ona wyjechać do poblizkiego miasta Korek, gdzie ją krewni zapraszali, ale tak była kochaną od włościan, którzy ją *Świątą Panią* nazywali, których pocieszała i z którymi podzielała się ostatkiem, że nie miała odwagi opuścić ich. — „Któż wysłucha skarg naszych, kto z nami modlić się, śpiewać hymny w biednym kościółku będzie? kto nam ugotować każe owsianéj zupy, bez której bylibyśmy pomarli téj wiosny?”— mówili z płaczem wieśniacy, gdy się dowiedzieli że Pani ma do miasta wyjeżdżać.— Prawda tych słów odbijała się w sercu wdowy. — „Widać jest wolą Bożką abym nie opuszczała tego ludu— (mówiła sobie) będę się więc nim opiekowała a Bóg niech się za to dzieckiem mojem opiekuje.” To powiedziawszy, spokojną była— nie myślała że Julja rośnie bez innéj, jak jéj, pomocy naukowej, bez żadnéj przyszłości majątkowej. Obie z Proboszczem dnie pędziły nad wymyślaniem środków ażeby ulgę cierpiącym przynieść; udawała się przez różne sposoby do bogatego Lorda, ale posiadłości w Irlandyi były dla niego tak mało znaczące, a cała Irlandja tak nie zasługiwała na jego uwagę, iż nawet w notatkach swoich, nie zacyfrował prośby, jednego ze znajomych wstawiającego się za ubogimi głodem dręczonemi włościanami.

Nareszcie nadeszła okropna klęska na Anglję, czy jako pokuta, czy jako przestroga z Niebios; była to okropna cholera! poczęła ona straszny w ludności Angielskiej robić uszczerbek.— Wtedy okazała się potrzeba ludzi z *poświęceniem*— zasady czystéj moralności nie były dostateczne. Pastorowie nie czuli się w obowiązku narażania siebie i rodziny swojej, aby ratować obcych.— Wtedy Duchowieństwo Irlandzkie zapominając wszelkich krzywd, pośpieszyło nieść pomoc cierpiącym braciom; wiedzieliśmy z pism publicznych jakie wielkie przysługi chrześcijańskie oddało Anglii duchowieństwo Irlandzkie w r. 1833

w czasie cholery, jak pośpieszyło na ratunek z wielką korzyścią dla cierpiących. — Między innemi znajdował się Proboszcz z majątności należących niegdys do rodziny O'Kelly.

Zdarzyło się, iż właśnie czcigodny kapłan razem z towarzyszami znajdował się w pobliskim miasteczku ludném, ale nie wielkiém, o parę mil od pięknych włości bogatego Lorda położoném, gdzie cholera w takiej była sile, że Lekarze miejscowi, uznawszy bezskuteczność środków, opuścili swoje siedziby. — Pastorowie i Urzędnicy toż samo uczynili; tylko mieszkańcy ubożsi, jakby skazani na śmierć, bez pomocy i pogrzebu, w najopłakańszym znajdując się stanie, przyjęli jakby aniołów z nieba Irlandczyków, którzy gardząc niebezpieczeństwem, z miłością i gorliwością nieśli im pociechę religii i ratunek często skuteczny, z powodu doświadczenia jakiego już nabyli.

Lord właśnie znajdował się na wsi, bo na kwartał pierwój zaprosił był na wielkie polowanie w parku swoim licznych znajomych. Cholera w pobliskim mieście nie była dostatecznym powodem, aby odłożyć tak ważną sprawę jak polowanie na Danieli; wstyd byłby lękać się jój zdaleka; a więc tylko środki ostrożności powzięte zostały; lecz mimo tychże zaraza z całą wściekłością rzuciła się na gości i gospodarza — nadworny lekarz pierwszy padł ofiarą — na sprowadzenie z dalszych miejsc czasu brakowało; trzeba tedy było udać się do najbliższych rozstawionych już *lekarzy* Irlandzkich. — Na wezwanie, przybyło dwóch kapłanów, z których jeden był Proboszcz rodziny O'Kelly. — Prędki ratunek zachował przy życiu wielu chorych a między niemi gospodarza domu. — Bogaty Lord chce złotem nagrodzić Lekarza — ale ten zamiast złota którego dla siebie nie potrzebuje — prosi o pomoc dla parafjan, których ucisk i nędzę w strasznych a prawdziwych maluje kolorach. Lord rad z powrotu do życia, skłonny był do wspaniałomyślności. Kazał pełnomocnikowi zmienić rządy i zmniejszyć o połowę daniny i opłaty włościom swoim Irlandzkim, a nadto wydać pewną ilość zboża na zapomogę.

Z jaką radością śpieszył zacny Proboszcz do Parafii swojej! Zdawało się że matka Julii tylko na jego powrót czekała, aby odpocząć po ciężkim żywocie. — W dni kilka umarła, oddając córkę opiece Bożkiej: „Kiedy Bóg — mówiła — biednych braci moich pocieszył, to i dziecka mego nie opuści, spokojną jestem.” Stało się jak mówiła — Julja u krewnych mieszkających w Korcu drogą znalazła rodzinę. — Wszyscy ją pokochali a jako dziecko rodzi-

ców tak nieszczęśliwych a tak kraj kochających, ogólną przez ziomków otoczona została sympatją, tém bardziej że Julja, choć w cichém ustroniu wychowana, miała obok prostoty, rozwinięty umysł, twarz piękną i tak wyrazistą, że każde piękne uczucie odbijało się w jój dużych, błękitnych oczach. Kilku młodych ludzi starało się o rękę Julii. — Wybrała syna przyjaciela ojca swego, równie szlachetnych zasad, gorących uczuć jak był tamten. — Zaledwie odetchnęła w szczęśliwém z mężem pożyciu, po dawnych nieszczęściach Julja, kiedy nowa chmura przyćmiła jój dni jasne. — Już parę lat była szczęśliwą żoną i od roku szczęśliwą matką ślicznego dziecięcia.

Gdy mąż Julii wyjechać musiał do Londynu, dla ważnych krajowych spraw, ona ciężką dotknięta została boleścią. — Synek jój, śliczny Ryszard, nad wiek rozwinięty, gwałtownie zapadł na grype; wiadomo jak ta gwałtowna choroba działa, jak najpiękniejsze, najsilniejsze zwykle dzieci zabiera. — Choć lekarz silne dał lekarstwo, Julja widząc dziecko swoje nie zmienione, nie mizerne, nieprzypuszczała niebezpieczeństwa; jednakże pobożna jój dusza z całą siłą modliła się, wzywała opieki Boga a razem *radę matki swojej* — bo Julja miała jak mówią swoje *przesady*; w każdym nieszczęściu, w każdej wielkiej sprawie, jakby radziła się ukochanej matki, którą miała za świętą. — Często zdarzało się jój, widzieć ją w jasności, jakby w postaci anioła, często także zdawało jój się, że odbierała rady lub przestrogi od niój — tak że ile razy coś ważnego rozpocząć miała, zawsze myśl jój goniła za ukochaną matką, a zaspiając spodziewała się uspokojenia, przestrogi lub rady od niój. Gdy ukochane dziecko mimo lekarstw nie było lepiej; Julja wzywa matki aby ją nauczyła co ma robić, żeby je zachować przy życiu, a siadłszy przy małym łóżeczku, w słabo oświetlonym pokoju, z sercem ściśnionem śmiertelną trwogą, biedna Julja w koło siebie rzucała wzrok obłąkany, upatrując ukochanej matki. — „Wszak Bóg nie zerwał stosunku między żywemi a umarłemi — mówiła — wszak wierzymy w *świętych obcowanie*, a więc najdroższa święta moja, mój Aniele stróżu! podaj mi myśl, czembym dziecko moje ratować mogła? modlitwą? tak sądzisz? — dobrze” składa więc ręce biedna kobieta i gorące za dzieckiem szle modły. Poczem znużona, opiera się, zamyka oczy, opuszcza ręce, jakby chciała odpocząć i znużonej myśli i strudzonemu ciału razem. — Wtém widzi mimo zamkniętych powiek jasność, niby matki, niby anioła, i słyszy w głębi ducha te słowa:

„Słuchaj mnie z odwagą chrześcijanki z odwagą córki O’Kellich — Bóg dozwolił mi ratować dziecko twoje, nasze wspólne modły to sprawiły. — Ale ratunek mój nie taki, jak ty go po ziemsku rozumiesz, przychodzę aby ci go zabrać na czas jakiś, a ty powinnaś się zgodzić z wolą Pana.”

»Nie Matko! — szepnęła jakby skamieniała Julja — ja się nie mogę zgodzić na to, ja ci nie dam dziecka mego!?

„Wolisz aby tu cierpiało?”

„Cierpienie, wzniesieniem się do Boga, wszak cierpimy wszyscy, niech razem z nami cierpi a niech będzie z nami!”

„Sprawiedliwość i miłosierdzie Bożkie cuda czyni — cierpienia rodziny naszej okupiły zbawienie dziecięciu twemu, będzie szczęśliwe nie przechodząc przez uciski i prace ziemskie. Nie wiesz gdzie je poniosę, tego ci pokazać nie mogę, bo w terażniejszej obłonie cielesnej, nie mogłabyś pojąć szczęśliwości jego. — Ale Bóg dozwala abym ci przedstawiła w obrazach jakaby miało przyszłość, gdyby zostało przy tobie. — Skup uwagę ducha twego, staraj się dobrze pojąć obrazy, jakie się przed tobą rozwijać będą. — Ja nie wezmę ci gwałtem dziecka twego, zbyt silną jest miłość moja dla Ciebie; nie wezmę, dopóki mi sama nie pozwolisz.”

Po tych słowach które Julja wewnątrz duszy słyszała, wielka zaszła zmiana w jej widzeniu: W ciasnej uliczce wielkiego miasta, na czwartym piętrze w bardzo lichy izdebce, przy stoliku, siedział młodzieniec zaledwie 14ście lat mający; blada twarz, szczupły kształt ciała, zbyt skromne odzienie, wszystko świadczyło o biednym stanie i ciężkiej pracy jego.

„Rozumiem — rzekła Julja — straci majątek mój biedny Ryszard! ale jakież piękny! jak pracuje! przychodzi do niego młody Anglik, on go uczy za liche wynagrodzenie, pocziwe dziecko! — Nie! Matko, nie dam ci go! Nie bierz mi go Matko moja!”

„Czyż sądziłaś że się złękę użytecznej pracy dla dziecka mego? o nie! nie bierz mi go Matko moja!” Jeszcze Julja wpatrywała się ciekawie w ten smutny obraz, kiedy zwolna zmieniać się zaczął. — Zobaczyła jak młody, szczupły szesnastoletni góral Szkoeki, z małym tłómaczkiem, przebiega jakąś nieznaną jej okolicę, znużony widać podróżą, spoczywa co chwila. — Jakież zdziwienie Julii, gdy pod tą skromną górala odzieżą, poznaje swego Ryszarda! — Cóż to jest? — mówi — on ukrywać się musi? jakąż to wina ciąży na nim? — Biedny! — widać mnie

już nie stało!... sam... sierota!” — Jakby na zaprzeczenie domysłu tego, młodzieniec dobywa list z kieszeni pomięty, odczytuje, oczy się jego zwilżają, i pocałowawszy drze w kawałki to ukochane pismo, spoglądając na miasto do którego się zbliża. Wzrok Julii idzie za nim. — Wchodzi do nieznanego miasta — ale kolory straży świadczą że to miasto pod rządami jest Wielkiej Królowej. — Nie pokazując żadnego wzruszenia, wyjmując młodzieniec paszport aby go złożyć władzy — a Matka czuje mocne serca jego bicia i dzieli niebezpieczeństwo, lubo nie wie przyczyny, która go w tak straszne wtrąca położenie. — Czas jakiś towarzyszy mu Julja w jego po nieznanym mieście obrotach. — Z żalem widzi jak z próżnego prawie woreczka dobywa kilka szelingów, aby sobie liche kupić jadło. — Nareszcie widzi, jak człowiek jakiś niezmiernie mu się przypatruje, jak pod różnymi pozorami rozpoczyna rozmowę, która mięsza biednego młodzieńca. — W końcu gdy się po strudzeniu w małym kąciku brudnej oberży ulokował — otwierają się drzwi z trzaskiem! wchodzi człowiek którego go ciągle miał na uwadze, a za nim trzech ze służby krajowej ludzi! — „Oto jest ptaszek którego szukam — mówi wskazując na Ryszarda — nie był on nigdy w górach Szkocyi choć nosi góralski ubiór.” — Ja mam paszport — mówi śmiało młodzieniec. — „Możesz się wytłómaczyć, ale teraz pójdz z nami! — „O! mój Boże! — zawołała Julja — Syn mój w mocy twardych rąk angielskich — ale nie odbieraj mi go Matko! — rzecz się wyjaśni.” — I znów inny obraz przedstawia się oczom Matki. — Widzi ciemne sklepienie jakiejś izby, patrzy, aż w kącie jej na lichym posłaniu siedzi młodzieniec. — Kilka miesięcy czasu taką w nim zrobiły zmianę, że go ledwie rozpoznaje. — „Co to jest! — woła z boleścią — dziecko moje w tak okropnym więzieniu! Kaidany wpiły się w wąż jego nogi, ach nie mogę Matko moja! nie mogę znieść tego widoku! — — — ale nie bierz mi go — on tak młody, on dziecko jeszcze, będzie wolny. — Cierpienia przez które przejdzie podniosą duszę jego, hartu dodadzą charakterowi jego, wyrosnie na użytecznego obywatela — niech więc przecierpi a niech go nie tracą! nie bierz mi go Matko!” — Wtém zmienia się obraz: — Julja widzi i słyszy wielki zgiełk na szerokiej ulicy dużego miasta. — Lud otacza podeszłego wiekiem człowieka! — To Oconel! za zbyt śmiałe stawanie w obronie narodu swego, kazano mu się usunąć. — Idzie spokojny ale smutny, bo słowa jego pełne prawdy i uczucia odrzucono i obawia się żeby rodacy jego

oburzeni, przywiedzeni do rozpacz, nie dopuścili się jakiego nierozważnego czynu, którenby tylko smutny stan ich pogorszył.— Obraca się więc do ludu, prosi aby się rozeszli. „Irlandczycy!—mówi— jeszcze nie wybiła godzina oswobodzenia naszego, cierpieć więc jeszcze musicie, uzbrojcie się w cierpliwość na wszystko co być może. Czyn niesprawiedliwości i gwałtu jaki się gotuje, policzcie do tyłu innych i ufajcie sprawiedliwości Bożej.”— Zaledwie to widzenie znikło, inny lubo podobny przedstawia się widok zdziwionym oczom Julii.— Widzi znów masy ludu idące w smutnym jakby pogrzebowym pochodzie na plac.— Widzi młodzieńca pięknego jak Anioł śmierci! nie może wierzyć oczom swoim! obok niego idzie kat z mieczem u boku, na środku placu stoi rusztowanie!— „Co to jest?— woła— więc wiosenne dni jego! to krótkie pełne nędzy i cierpienia życie ma kat przeciąć! „Po być nie może! nie, tak nie będzie! — „Mówiłam ci — odezwie się Matka — że od takiego życia ochroni go Pan— ale pozwól mi wziąć go.” Weź go Matko! ach weź go! niech nie cierpi, niech ja nie widzę miecza nad jego młodocianą głową!— I znów zmieniło się widzenie; Julja zobaczyła jak matka w postaci Anioła, tuli do piersi jęć śmiejące dziecko, równą jak ona otoczone jasnością— tożsamość rysów przekonywają, że to uśmiechające się z promiennym wzrokiem, jest tym samym młodzieńcem tak znękanym cierpieniem.— Twarz się jęć wypogadza! — „Nie cierpi już! — mówi z cicha — cierpieć nie będzie, a gdy w ciężkiej życia kolei, uczujesz wewnątrz ducha, myśl czystą, myśl co ci życie rozjaśni, on będzie przy tobie— nie tracisz go więc.— Nie tracę mówisz?— Oh! już go straciłam!— ale straciłam i cierpienia jego, dzięki ci!

Siedziała jeszcze biedna matka, na półśpiąca, na pół odrętwiała, nad martwym dzieckiem swoim, kiedy wezwany przez nią do powrotu wszedł mąż

ukochany — z razu sądził że nie tylko utracił syna, ale że i żona pozbawiona zmysłów straconą dla niego została. — „Dobrze że go wzięła mój drogi mężu — mówiła do niego — o gdybyś widział tę szczupłą, bladą postać jego, to odzienie nędzne, te nogi kajdanami okute, ten miecz wiszący nad młodą głowę jego, wolałbyś jak ja wolałam utracić go, oddałbyś go, jak ja go oddałam.” Przybył czcigodny Proboszcz, aby pocieszyć rodziców i pogrzebać dziecko. On dopiero uspokoił ojca, wysłuchawszy Julii. „Jeżeli mój ojciec uważasz za łaskę Boga, że, zabrał dziecko które w podobnych cierpieniach żyć by miało to powiedz mi, pocóż przyszło na świat? na co nam go Bóg dał? Chciał powołać do życia wiecznego szczęścia jedną istotę, a wam chciał dać Anioła, którenby wśród ciężkich na tej ziemi przejść, spuszczał wam jak krople rosy w dzień skwaru, chwilki pociechy i radości.— Chciał was nadto ochronić od najcięższej boleści jaką mają rodzice, patrząc na cierpienia dzieci.

„Ależ mój Ojciec, my nie możemy posiadać wiedzy przyszłości, to wszystko były mrzonki biednej matki, przypuszczam że dla jęć pociechy zesłane.“

„Cóż łatwiejszego jak ażeby w naszym kraju, te mrzonki jak nazywasz prawdą były? Wszak mówiłeś mi dziś rano, że zupełną stratą majątku a nawet i wydaleniem z kraju zagrożonym jesteś? a więc ubóstwo czekałoby dziecko twoje! O wierzaj mi! nie jedna Matka w Irlandyi, wolałaby w kolebce rozstać się z dzieckiem, gdyby jęć przyszłość jego znajomą była. O ukochana Irlandjo moja! cóż może lepiej odmalować ogrom nieszczęścia twego, jak obraz Matki przenoszącej śmierć jęć jęć, nad życie jego? Jak straszne muszą być przejścia boleści, których się spodziewa dla niego serce jęć, które przeczuwa miłość jęć, kiedy w łonie śmierci schować go przed niemi pragnie! O biedna Irlandjo moja!

WSPOMNIENIE UROCZYSTOŚCI W ORLEANIE

1862.

Pan Lenormant piękny skreślił obrazek wrażeń jakich doznał, znajdując się w roku bieżącym na przedstawieniu Trajedyi *Persowie* przez Eschileasa, na uroczystości pamięci Joannie d'Arc poświęconej.— Przytaczamy tu niektóre wyjątki streszczone z tego

zajmującego opisu. — „Znajdując się — mówi Autor — na Trajedyi Eschileasa w Orleanie przedstawionej w pałacu Biskupim, przez uczniów Seminarium tegoż naczelnika kościoła francuzkiego, doznałem rozmaitych wrażeń i uczuć nazbyt tłumnie budzących

się we mnie. — Zkąd pochodzi że Trajedja tak prosta, ogołocona z czynu i wszystkich efektów scenicznych, odnosząca się do wypadków i czasów dawno ubiegłych, w takiej przestrzeni dzielącej nas, jest wstanie wzruszyć nas do głębi duszy? Zkąd pochodzi że żaden z nas nie może pozostać obojętnym na wspomnienie Maratonu, Salaminy, Platei? czyżby to pochodziło jedynie przez wrażenie doznane w dzieciństwie? — Nie, bo to jest szczególne i jedyne uwielbienie szkolne, które z postępem w lata, zamiast niknąć z pamięci, z każdym dniem wzrasta.

Zgłębiając historję uczymy się powątpiewać o nieprzedajności Demostenesa, który Harpalusowi dał się raz przekupić; o enocie Phocjona radzącemu przez politykę poddać się mocniejszemu, uporczywie utrzymującemu że *zdanie jego najlepsze*; o patriotyzmie Brutusa pysznego w Rzymie a łakomego lichwiarza po prowincjach; o *republikanach* rzymskich, chcących niewolę świata zakupić własną wolność i t. d. a czém *więcej* przykładamy się do historyi, tém bardziej walka Grecyi z Persami otacza się świetną aureolą przez oczyma naszymi, bo w Maratonie, Salaminie, Platei nie szło o to tylko, aby Grecja nie płaciła daniny wielkiemu Xerxesowi i uznała go władcą swoim; ale Grecja walcząc o niepodległość swoje, walczyła zarazem o niepodległość *człowieka!* Jeżeli sztuki, umiejętności, cała cywilizacja, wzięła górę nad ciemnotą, jeżeli świat cały nie został zgnieciony hańbiącym jarzmem barbarzyńskiej niewoli Azjatyckiej — jeżeli nauka Chrystusa przemogła gruby panteizm szerzący się od Eufratu i Nilu, winniśmy to wszystko nieporównanym walkom Hellenów. — Mnóstwo stoczonych walk na morzach i lądach pochłonęły Państwa potężne, nieprzeliczona liczba wyginęła ludzi, mnóstwo wypadków później nawet zdarzonych, w których przewidywano że losy świata zmienić się muszą, przeszły w zapomnienie. Jak imiona Wgo Aleksandra, Cesarza, Karola Wgo, Napoleona, które w przyszłych wiekach zapadną w mgłę otaczającą dzisiaj Sezostrysa! — lecz wśród tych ustawicznych starć, powtarzających się, tworzących historję świata, i znikających z pamięci ludzkiej; Salamina, Maraton, nie zatrze się nigdy z pamięci, bo to są dni zwycięstwa cywilizacji nad dziczą, swobody nad niewolą, światła nad ciemnotą. Pamięć tych epok pozostanie nieśmiertelnym godłem i podniętą dla dusz wspaniałomyślnych.

Persowie, trajedja Eschileasa odpowiada godnie sławnemu zwycięstwu które opiewa — jest ona najwznioślejszym hymnem tryumfu swobody, która mo-

wa ludzka wygłosiła. Nie kusimy się na roztrząsanie jej; tylu uczonych, już rozbiór jej ogłosiło. Poezja dramatyczna Grecka, przeszło od 20stego wieków naśladowana, utworzyła wielu szczytnych pisarzy — ze wszystkich jednak dzieł Eschileasa, Sofoklesa, Euripidesa, trajedja tego ostatniego *Persowie* najwięcej jest oryginalną i prawdziwie *Grecką*. Bo jakiegoż to mistrza sztuka wymaga, żeby od początku do końca dramatu, zajął słuchaczy, prostym opisem: *oczekiwaną niecierpliwie przez Persów wiadomości od armii i okropnego o niej doniesienia*. Oto cała trajedja! — Lecz jakież cudowne stopniowanie zajęć, od zaczynającego sztukę chóru, w którym Starcy, powierzony sobie mając od Xerxesa Rząd Cesarstwa, turbują się, nieodbierając o wojsku żadnych wieści, wyliczają ogromne siły Państwa Perskiego, pomimo że to wyliczanie nie jest w stanie ich zaspokoić; — aż do kończącej sztukę sceny; w której Xerxes zwyciężony, straciwszy kwiat ludności swych poddanych, scigany przez zgraję przeklinającą go i dopomagającą się o swych rodaków i dowódców dumie jego bez granic poświęconych, wraca ze wstydem jak zbieg do pałacu swego! — Zmieniwszy imiona i ubiory, można utworzyć sobie, uderzający, zawsze prawdziwy, obraz nauki, jaką opatrność zsyła dla dumnych i przemożnych. — Powrót Francuzów z Rosyi w 1812 roku, równie jest uderzającym jak następny dzień po zwycięztwie pod Salamina. — Włanością bowiem jest *poezyi Greckiej*, ażeby przez wieki utrzymywać młodocianność swoją; tak wyraża uczucia wiecznie wyrte w sercu człowieka, że przedstawia na wszystkie wieki nauki, mogące być do niej zastosowanemi.

Pan Lenormant ze smutkiem i całą szczerością ubolewa nad narodem francuzkim, tak lekkim, tak skorym do obrócenia wszystkiego w śmieszność. — O ile się unosi nad ideę poetyczną Greków, wierzących w świętość swęj sprawy, za którą walcząc obalili wielki kolos z glinianemi nogami, o wzniosłej, szczytniej, szlachetnej myśli, jaką powzięli, by żałobą i uroczystością ponurą, uczcić poległych przeciwników; o tyle się smuci, że nic podobnego w terażniejszych czasach, nie mogłoby nastąpić we Francyi; gdzie zamiast Trajedii Eschileasa, przekładają dramata Wiktora; zamiast Parthenonu, Nowy Louvre; a fotografie kolorowane przez modnych malarzy, zastępują freski Polygnata i innych wielkich artystów!

Szczupłość pisma nie dozwala umieszczać więcej uwag Pana Lenormant; wracamy więc do Trajedii

Persów— w której ustęp o Matce Xerxesa, maluje trafność Autora jak umiał korzystać z wszystkiego co mogło lud Ateński do najwyższego zachwycenia przywieść, nie wprost daną mu pochwałą; a zarazem malując nieświadomość kobiety w Seraju żyjącej.

„Królowa po nocy i snach okropnych, budzi się przerażona i pyta: „Powiedźcie mi w jakiej części świata, mówią, że te Ateny są położone?— Chór odpowiada.— „Daleko! gdzie promienie ostatnie słońca padają.”— „Czyż to jest miasto które Syn mój tak żąda podbić?”— „Tak! gdyż zaraz po podbiciu Aten, cała Grecja byłaby podległą królowi.” „Czy oni mają wielkie i liczne wojsko? — „Dostateczne — którym Medom wielką klęskę zadali.”— „A przytém, czy mają co więcej? bogactwa jakie w swych siedzibach?”— „Kopalnia srebra w ziemi jest dla nich otwartą.” — „Czy ręce ich są uzbrojone łukiem i strzałami?” „Nie wcale, mają długie piki ostrą miedzią obsadzone, a do ochrony swój puklerz.” „Jakiż jest pasterz tój trzody? jaki władca tego wojska?”— „Nie są poddanemi ani niewolkami żadnego żyjącego człowieka.” — „Jakżesz oni śmieją stawiać czoło obcym nieprzyjaciołom napadającym na nich?” — „Tak samo jak śmieli zniszczyć piękne i liczne zastępy Darjusza.”— „Oh to nasuwa smutne rozmyślanie matkom synów tych, którzy na tę wojnę wyszli.”

Wykonanie i oddanie tój Trajedyi najzupełniej się powiodło.— Młodzież w Seminarium wychowana, wykarmiona zdrowemi, głębokimi naukami, ze świeżością uczuć, można powiedzieć dziewiczych, niezepsuta gustem przesady paryzkiej, gdzie tylko aktorowie konwulsyjnie rzucający się na scenie, oklaski odbierają; była w stanie zrozumieć i oddać z przynależną godnością i naiwnością trajedję starodawną! To też począwszy od młodocianego syna zanego negocjanta w Orleanie, występującego w roli królowej Atossy, aż do każdego indywiduum wchodzącego w chórach, wszyscy z największym zadowoleniem widzów odegrali swoje role zaszczyt im samym przenoszące— ruchem, akcentem głosu, dowiedli zdolności pochycenia wszystkich piękności w poezyi Eschileasa, jakby w piersiach ich echo mu odpowiadało.— Już to trzeci raz jak gorliwy Pasterz czuwając nad trzodą mu powierzoną, przez trzy pokolenia nauczający powinności człowieka chrześcijanina; Arcybiskup Dupanloup, dla wyborowej publiczności i przyjaciół *Dobra i Piękna* wyprawia podobną uroczystość.

W czasie, kiedy wszystkie podania z przeszłości, więcej niż od pół wieku, tak szybko giną z pamięci

Francuzów, zaprzeczających nawet czynów świętych przodkom swoim; tém więcej tkliwą się zdaje obchodzona uroczystość na święto Joanny d'Arc, zręcznie z literaturą wzorową łącząca się.— Zbieg dwóch tak wielkich zdarzeń, jak pokonanie przez Temistoklesa na nurtach pod Salaminą Persów, a Gelona na płaszczyznach Himery; które wybawiło nie tylko Grecję ale całą cywilizację; — również siedemnastoletniej, bożkiem natchnieniem wiedzionej dziewicy, wybawiającej cudownie z przemocy walecznych wojsk przez Snffolka i Salisburego wiedzionych, jest także niepojętym faktem i można powtórzyć słowa z Pisma: *jest to dzień który uczynił sam Bóg!* Nie mały więc zaszczyt przynosi Orleanowi, z taką wystawnością święcenie pamiątki oswobodzenia Francyi, którą to uroczystość nie tylko miasto Orlean, ale cały kraj, jako najchlubniejszą, najświetniejszą dla siebie rocznicę winienby obchodzić.

Obchód ten jest podzielony na dwie części. Wieczorem 7go Maja właśnie o godzinie, w której Joanna jako zwycięzca weszła do oswobodzonego miasta; cała municypalność otoczona wojskiem regularnym, niosąc processjonalnie chorągwie miasta i sztandary dziewicy Orleńskiej, udała się do Katedry. Arcybiskup otoczony licznem duchowieństwem czekał w przysionku na zbliżający się liczny tłum ludzi.— W chwili kiedy processja do bazyliki się zbliżyła, jakby czarodziejskim sposobem dwie ciężkie, ogromne wieże Katedry, zapłonęły światłem, dziwnie bo prawie w Niebo sięgającym.— Arcybiskup podnosi rękę i przy odgłosie trąb, strzałów z dział, przy śpiewie hymnów, chorągwie zwycięskie, chorągwie niegdyś w tymże samym czasie, kurzawą wojenną opylone, zwolna pochylają się, aby błogosławieństwo odebrały! Napróżno wyszukiwanoby widowiska bardziej wzruszającego, symbolu więcej przejmującego; jak to połączenie religii i miłości kraju, które jedynie świat zbawić mogą. Nazajutrz podług odwiecznego zwyczaju, takąż processja udaje się na miejsce, gdzie zdobycie wieży bastylji, głównie się przyczyniło do odparcia Anglików wówczas — dla oddania dziękczynień Panu zastępów! Poczem pochwała Bohaterki głoszoną bywa ludowi z ambony Śgo Krzyża, przez najznakomitszych mówców.

Piękna i tkliwa pamiątka, że siedemnastoletnia bohaterka uwalniając miasto Orlean, a tém samym i całą Francję oswobodziła, wyłącznie jednak jest tylko w tém mieście obchodzoną; mieszkańcy wolą czasem znieść wyśmianie i żarty zbrudzonych kałem dowcipów, niżeli okazać się wyrodnymi i niewdzię-

cznymi, autorowi tego artykułu; mimo woli nasuwa się porównanie Herostratesa i jego chęci, aby choć nikczemnym sposobem słynność pozyskać; z szyderczym Wolterem, w którym zdaje się kropli krwi narodowej nie krążyło, kiedy się ośmielił zbezczęścić w swój *sarkastycznej poezji*, pamięć Joanny oswobodzicielki ojczyzny jego! Poezja ta słusznie oburza każdego prawego i religijnego francuza, upatrują-

cego w Joannie, wiejskiej, prostej dziewicy, natchnienie pochodzące od Boga i słusznie uważa także za cudowne zrządzenie opatrności, że pomimo tylu napadów na Francję, pomimo najsroższych wewnętrznych zaburzeń, jakie nią miotaly, nigdy w teritorium miasta Orleanu, stopa nieprzyjaciół i najeźdźców od czasu Joanny, nie powstała.— Libelk, pięknie w swój monografii Joannę wystawił.

P O W Ó D Ź

(Z RYCINĄ BISTREM ROBIONĄ).

Pięknym i pociągającym jest widok Gór! Któż w swój młodości nie doznał gorącej chęci zwiedzenia onych, a poznawszy, któż nie zatęsknił za niemi? Mieszkańca dolin przejmuje trwoga wstępując pierwszy raz na olbrzymie Pireneów, Alp, Tatrów lub Karpat szczyty — ale jakież widok ztamtąd otwiera się dla oka — jakie uczucia unoszą duszę! — Z tego gniazda Orłów, ludzkie oko obejmuje ziemię jak prawdziwy padoł, pomniejsze góry i dalsze wzgórza wydają się jak fale morza zmartwiałe i bez ruchu — a dusza zbratana niejako z niebem, okolona jego błękitem, zdaje się nie należeć już do ziemi.

O drogie wrażenia! których pióro nigdy dostatecznie skreślić nie zdoła; wspomnieniem samém wy jeszcze unosić duszę i wabicie tęsknotę ku tym stronom co umieją uskrzydlać myśl i duszę naszą do lotu ku wyższym sferom! — Tam bliżej nieba łatwiej lepsze czerpią się natchnienia — a w tym spokoju i wzniosłej ciszy, — bo szum wiatrów i burz samych, zdaje się ochraniać zaciszne cieniem gór doliny i po nad niemi tylko bojować — zdaje się że cała natura w zgodnym ustroju spoczywa! — Cisza! — Uroczą cisza gór wśród czystego nieba błękitu, który zdaje się przeglądać w powietrzu ziemi i swą barwę w niem odbijać — otaczając nią daleki widokrąg i ciemniejące na szczytach lasy; to błogi koloryt który zdaje się być cudownym tłem obrazu pasterskiego życia górali. Tam ziemskich potrzeb mniej, skromne pola wystarczają na chleb powszedni, a liczne trzody dostarczają żywnego nabiału; chaty skałami przysłonione i pod ich opieką zachronione przed zimnem. — Przyroda i Człowiek przedstawiają się tu w całym majestacie prostoty! I cóżby zakłócić mogło

spokój téj zgody ziemi z niebem? Czy te skromnie sączące się strumienie pokornie u stóp olbrzymów płynące? mogłyżby one innym odgłosem jak cichym szmerem po kamienistém łożysku, zakłócić spokój tych ustroni? A jednakże te rozpadliny, te poszarpane, jakby dziką jakąś siłą, szmaty opok i przepaściście wyrwy, świadczyć się zdają o przejściu burz straszliwych. Nie zawszeż bo czysty błękit otacza te wzniosłe gór szczyty, wspiera na nich jakby kryształową swą kopułę. Czasem zagniewane niebo grozi zasłaniając się ciemną oponą i zawiesza nad ziemią mgły falami wód obciążone. Wtenczas to rozdarte błyskami i gromem, zlewają się potokami po urwiskach skał, wzmagając rzeczki i strumienie gór do strasznej potęgi prawie pierwotnego potopu, i uwieczniają jego dzieło; a ludziom uprzytomniają obraz i przestach pierwszego kataklizmu przyrody — nawet bez Arki zbawienia! — Błogi pokój zamienia się w straszne przerażenie; płody pracy w zniszczenie; całe szczęście rodzin, często w rozpacz nie pocieszoną!

Widownią właśnie takiej sceny zniszczenia była jedna z wiosek położonych wśród wązkiej doliny Karpat, ciągnie się ona dwiema rzędami schludnych choć nie bielonych chatek, po obu brzegach kręto płynącej rzeczki Ruską Wodą — lub Grajcarkiem zwaną; każda prawie z tych chat drzewkami śliwowemi lub gruszkami otoczona, z ogródkiem po za nią, najczęściej już pnącym się ku górom dolinę tę ścisnąjącym: niektóre z nich rzucone na pochyłościach coraz wyżej wznosząc się, wyglądają jak gwiazdka do skał przyczepiona, obszerniej tylko zakreślone niżeli mieszkańców powietrznych, bo do rozmiarów

wymagalności ludzkiej rodziny zastosowane; po nad niemi wyżej, coraz wyżej, żytem, jęczmieniem i owsem zasiane różną zieleności barwą jaśnieją polany — podhale obfitą trawą — a poniższe łąki skoszonego już siana zastawione kopcami. Śpiew ptastwa rozlega się w powietrzu, na ziemi ruch i gwar krzątających się około sprzętu łąk mieszkańców. Jedni kosy ostrzą i szerokie nią zakreślają półkola zcinając paszę dla bydła i koni; inni już wozami toczącymi się po pochyłościach gór, sprowadzają ją do zachowań domowych; dzieci nawet biegną z grabiami i pomagają gromadzić pokosy, lub jeść niosą pracownikom; wszyscy przedstawiają zwinność skrzętnie pracujących mrówek. Jaśko, właściciel małego kawałka gruntu ornego i łąki, ale zamożny w porządek gospodarski w chacie i stajnię, która z najmu koni na spacerki przybywającym do źródeł Karpaczkich gościom, przynosiła mu niemałe zyski, znanym był we wsi jako oszczędny zbieracz grosza, który mu płynął tak obficie że sąsiedzi niemogąc doliczyć się, z kądyby tyle mógł wyczerpnąć dochodu, jakiegoś skrytego domyślali się źródła i coś na ucho o tém sobie szeptali. A goście? goście zaczęli także zrażać się do niego. — W długich po górzystej okolicy i po Dunajcu wędrownikach, gdzie nieraz łodziami sterował, milczący był i ponury a więcej słuchać jak rozpowiadać lubiący, nie przypadł im do smaku — bo gdy się sami rozgadali lub rozśpiewali to, chcieli żeby im każdy wtórował albo przynajmniej echa tylko głos słyszały i przechowały ich dźwięki lub poniosły do serc czujących — a on nie dopuszczał widać tych dźwięków do swego. — Dziwnie mu się nawet niepodobały i nie przychylnie się o nich miał wyrażać przed kim należało, albo raczej nie należało. — Wiele ztąd wypadło nieprzyjemności dla podróżujących, a na Jaśka z pod oka patrzyli sami współmieszkańcy wioski, powtarzając z cicha pod nosem: „Biesowi duszę zaprzedał i dobrze mu się dzieje, aleć Bóg choć nierychliwy to sprawiedliwy! — Nie jednemu sadła zalał za skórę, nie jeden na niego zapłakał — Bóg mu to wytrąci! — Nie uważał na to Jasiek i ufny w trwałą pomyślność zabiegał jak zwykle skrzętnie, starał się po staremu zyskiwać reńskie, a i roli i łąki nie zaniedbywał. Jednego pięknego południa, w Czerwcu, kiedy wszyscy nie dojadłszy śpieszyli do siana; on sobie siedział jeszcze za stołem wymiatając misę dobrze z okraszonych kartofli. Żona już podjadłszy sprzątała naczynie a chłopczyk i dziewczynka z utłuszczonemi jeszcze ustami przymilały się ojcu żeby ich powiózł na łąkę. —

Średnioletni chłopczyna brał za grabie obiecując ojcu czynną pomoc, a czteroletnie dziewczę wołało ciągle „weźcie i mnie tatulu, weźcie i mnie na łąkę i ja zbierać będę siano i kłaść na furę.” — No, no odrzekł im ojciec, jak zaprzęę to niechże was matka wsadzi na wóz — nie będzie to dużo grabienia, siano w kopcach już zebrane; a seta nie żałuję na najemnika a to już na łące gromadzi siano i na wóz mi je włożyć pomoże — a za nimi na własne ręce rachując deszczu nieraz się doczekają i wszystko im spłynie z powodzią, to ja se za pogody zwiozę do domu.” — Toć się i chmurzy Jaśku! odezwała się żona i nie wiem czy się uwiniesz ze zwiezieniem a i dzieci mi zmoczysz jeszcze — najgorzej też przez wodę co wnet wzbiera jak potok, kiedy deszcz lunie! — Zawsze się to straszysz byle czém kobięto — jeszcze chmura za górą — rzekł śmiejąc się gospodarz, a ja w lot założę konie i jadę. Dzieci, dalej na wóz! zawołał i w kilka minut już jechały uszczęśliwione dziecięta, jeszcze więcej ciesząc się powrotem na wyładowanym sianem wozie. W samej rzeczy miękkie to było posłanie — a w miarę jak przybywało siana na wozie, dzieci coraz wyżej wstępowały, układając je i tonąc w niem zarazem. Szybko jednak musiała iść cała robota; bo chmura lotem prawie wysunęła się z zagóry, wiatr dał silnie w jej skrzydła, które niebawem objęły cały widokrąg i nim Jaśko zdążył spuścić się z wozem z góry deszcz już padał ulewny. „Gospodarzu rzekł najemnik, pono lepiej przeczekać na tej stronie tę burzę bo leje coraz gwałtowniej, jakby się chmura oberwała, a woda szumi i pędzi jak szalona, a jak nam wóz obali, to i po sianie i po wszystkim będzie!” Bodaj to! albo mi to pierwszyna po grajcarce się pławić — nie jego góra ale moja, siano i dzieci całe do domu przywiozę. — To mówiąc wjechał właśnie na kamieniste dno rzeczki. Oba z najemnikiem brodząc w wodzie wyżej kolan, przytrzymują z obu stron furę. — Jaśko konie zacina, koła wozu, po nierównych kamieniach, niekiedy wielkością równających się skał odłamom, to wznoszą się to zapadają nie równo; dzieci drżą i skaczą jak piłki po sianie ruchem wozu kołatane — Ojciec uspokaja płaczące — w tem jedno koło zapada w dół, kiedy przeciwne wznosi na ogromnym kamieniu pokrytym wezbraną rzeczka, tak że go oko ojca dostrzedz nie mogło — i cały ładunek siana wraz z dziećmi runął w wodę przywalając je swym ciężarem! Jaśko i najemnik w tej chwili zachwiani falą i upadkiem wozu zaledwo utrzymać się mogli na nogach, a gdy zdołali rzucić się do ratunku dzieci, już te niewinne istoty



Hochwasser.

leżały bez życia na kamiennój w rzęce pościeli.— Straszny ten wypadek przeraził wieś całą i odtąd miejsca tego nieszczęścia wskazując podróżnym, opowiadają Górale — „tutaj Jaśko utopił dzieci — straszny tam był płacz matki — straszne sądy Boże!” — A Karpaty piętrzą się zawsze — cicha wioska śmieje się zawsze z obu stron z Ruskiej Wody —

a rzeczka skromnym strumieniem mruży niewinnie u stóp gór jakby niewydarła życia nikomu, zdolna zaledwie skąpać stopki dziecinne! — Jaśko milczący zawsze swe usługi ofiaruje podróżnym — a mieszkańcy wioski powtarzają — „Bóg nie rychliwy — ale sprawiedliwy!” — „Straszne sądy Boże!

W.

OBRZĘDY WESELNE NA RUSI

(O DWIE MILE OD BUGA).

Rodzice, którzy mają syna, dowiedziawszy się o jakiej dobrej dziewczynie, wysyłają dwie kobiety czyli swachy do niej z bułką chleba. — Te przyszedłszy mówią: „pochwalony“ — „na wieki“ — „Przyszłyśmo najpersz do Boha, do Was i do Waszej diwki w diwośluby.“

Rodzice odpowiadają: „A pytajtesia diwki szczo wona skaże“ — córka odsyła do Rodziców, i tak się drożą jakiś czas; nareszcie rodzice wzięwszy bułkę chleba od swach, dają im swój bochenek. — Swachy wychodzą, a w wieczór tegoż samego dnia młody z drużbą przychodzą z wódką pod okno młoděj i wołają: „Możebyście nas perenoczowały.“ „Może dalej pójdete,“ odpowiada ojciec, bo wu nas chata małaja, nima de perenoczowaty — „My budem pod porohom nocowaty aby u was.“ — Wtedy Rodzice wstają i otwierają drzwi: młoda, schowawszy się w kąt, zakrywa się dobrze. Drużba pyta: „A de nasza diwka?“ Młoda się chowa ale ją gwałtem drużba wyciąga i mówi: „Chodyno do nas! możeś kulhawa, nezdarnaja, abo szczo.“ — Ona ucieka w kątek, pan młody się śmieje i kończy się na tem że dziewczyna daje kieliszek drużbie, który pije do niej a ona do młodego — ten do ojca i t. d. — Umawiają się o wesela, o dniu zaręczyn któreń oznacza sama młoda. Wódkę wypiwszy, odchodzą. Ten obrzęd nazywa się *Zapitki*.

Zaręczyny odbywają się w ten sposób: w dzień oznaczony przez pannę młodą przychodzą do niej narzeczony, drużba i jeżeli żyje, ojciec. Przynoszą wódkę a drużba pod pachą w chustce zawinięty bochenek chleba. — Zaczynają przepijać a młoda przez ten czas wychodzi na wieś i zprasza gości na „zaręczyny“ wraca z gośćmi, których drużba ceremonial-

nie sadowi za stół a także i Rodziców młoděj: poczem drużka pyta: „Tato i Mamo czyście na mijscu? proszat' tyi dieti Was o błohosławiestwo, szczo mająt ich Pan Boh do kupy złączyty, na perszy posag (wytlomaczenie tego wyrazu będzie po niżej) tisty. — Młodzi zaczynają się kłaniać po trzy razy każdemu zaczawszy od rodziców. — Poczem Matka młoděj, daje drużbie chustkę, ten podaje dwa jój końce młodym obojga i prowadzi ich tak za stół pytając: „Mamo i Tato a budet' tak horosze?“ „Chorosze“ — „Dajże Boże żeb' tak do wieku buło chorosze.“ Drużba teraz kraje sér na małe kawałeczki i podając go wszystkim w około na talerzu, mówi do każdego: „Mołoda prosit' Was na zaruczyny.“ — Poczem układają się o weselników, wyznaczając ich jak następuje:

Pierwszy drużba (z batem u pasa), Starosta, Starszy Swat, Chorąży (z kwitką czyli dzwoneczkami poprzyczepianemi jakby na trójzębie i ubranemi w pióra i tasiemki kolorowe). Muzykant, Panieński Swat, dwie Starościny i dwie druchny. — Wszyscy mężczyźni mają ręczniki u pasa, a pióra i kolorowe tasiemki u czapek. — Starościny mają z piór i świecących papierków i słomy nawlekanój kawałeczkami ogromną jakby piramidę na głowie; czerwony kuśnik dużą w tem ubraniu gra rolę. — Druchny całą głowę mają okrytą kokardeczkami z różnokolorowych tasiemek i wstążek, z których mała liczba spada na plecy. Pan młody różni się od innych weselników sutszem ubraniem czapki baraniój¹⁾; panna młoda

¹⁾ Złożonem z wianka z ruty, (którego Ksiądz używa przy szlubie, kładąc go parze na głowę), ze wstążki i z kuśnika.

zaś od druchn najładniejszymi wstążkami pożyczonymi z całej wsi, ich większą ilością wiszącą na plecach i na głowie; nareszcie rozpuszczeniem włosów.— Wszystkie kobiety także mają ręczniki za pasem.

W Sobotę poprzedzającą Niedzielę weselną zaproszonych jest sześć kobiet przez młodą, te nazywają się *Korowajnice* czyli Korowaj piekące, to jest chleb weselny pszenny bez soli.— Najstarsza Korowajnica rozczynia ciasto, a wszystkie czekają aż się ruszy: poczem pytają: „Tato i Mamo ey z Bożom dozwole niem toj korowaj lepyty, toj dom zweselity?“

Otrzymawszy potakującą odpowiedź od Rodziców, śpiewają:

„Koło horoda biele
A w horodeczku ziele
A w tom domu światojele
Zaczynaje sia wesjele.
Nech sia zaczynaje
Nech Boh dopomahaje
Bateńko dokładaje.”

Poczem zamiesiwszy, kładą ciasto na stół na środek wysunięty i zaczynają go lepić, ubierać w rozmaite figlasy z ciasta. Podczas tego zatrudnienia młoda chodzi we wsi po błogosławieństwo od chałupy do chałupy; kłaniają się nawet dzieciom w kołysce: to odbywa z jedną druchną, obiedwie już trochę przystrojone na głowie. — Poczem przychodzą do domu i zaczynają wic wianeczki z ruty, które mają służyć do szluby. Korowajnice ugniotłszy korowaj, mając go w piec kłaść, śpiewają:

Atoża pieczka, hoża,
Jak czerwona roża,
Ne żal korowaja daty
Bo umijem zapekaty.

Stół myją śpiewając:

Husońki ne lebedońki po stołu pochodyły
Żonoczki korowajnoczki korowaj ulepyły.
My stół obmywajmo
My stoła ne dajmo
Nech nas bateńko prosyt'
Pywo, horyłku nosyt'.

Ojciec stawia stół na swoim miejscu i częstuje; korowajnice rozmawiają, zaglądają do pieca czy się korowaj upiekł, stół zaścielają, wpierw go owsem posypawszy: wyjmują korowaj, kładą go na wieku od

dzieży i z niem dają go jakiemu chłopcu na głowę, który tańcząc stawia go na stole. Śpiewają:

Witaj korowaju!

I z Bożoho daru

Deżeś buwał światy korowaju!
Cożeś widał i z Bożoho daru?
Stojał wże ja w czystom polu, na nywu,
Widał wże ja żyto, pszenyću
I wszelakoju pasznyću.
A teper że ja stoju
Na tym samom' stołu
I na obrusowi lnianomu
A teper wiżu bateńka z mateńkoju
Sedyt'se w noweńku swetlicy
Wspomynajut' medu szklenicy.

Chłopiec bierze korowaj i wynosi do komory.— Korowajnice dziękują i wychodzą.

W Niedzielę rano panna młoda się ubiera z druchnami a pan młody zbiera swaty — družba przyszedłszy do niego zabija w ścianę posag czyli trzy kołeczki w równej linii, na których rozścielają ręcznik. Starościna śpiewa:

Nasz družbońko tereń buduje
A w tym terenie ne w nuzie ²⁾ buty
Od Sobotońki do Seredońki.

Družba pana młodego sadza za stół, a starosta bierze węgla i pisze po scianie; to co pisze ma mieć niby znaczenie: Szczo buł (tu wymienia imię i nazwisko družby) to broń Boże zwaty joho (tu znów wymienia imię) tylo starszy družba (czyli komenda), obecił sia wun wysłużyty naszomu mołodomu, ale znać wun ne wysłużył sia bo ne wyspany. — Zagadnięty protestuje się i zapewnia, że się dobrze wysłuży.— To Starosta powtarza pisząc i mówiąc razem, do wszystkich weselników wymieniając każdego imiona po kolei. — Podczas takowego obrzędu starościna śpiewa:

Pisare, pisarońku
Zapyszty hospodońku
Dla konyków stajonku
A dla Bojarów światłońku,
Konykom obrok, sino
A Bojarom med, wino.

Poczem ze wszystkich weselników zdejmuje czapki oprócz pana młodego, bo ten przez całe wesele

²⁾ Nie długo.

nie zdejmuje jój wcale; starościna zdjawszy czapki ubiera je w pióra, i droży się z oddaniem ich właścicielom; ci dopiero muszą po groszu złożyć; te pieniądze w kieliszek wódki wrzuciwszy, družba wypija wódkę i wtedy oddaje pieniądze starościnie która udaje że nie może porachować, woła więc „światła!”, wyprowadzają ją aż za próg zwąc buntownicą,— ona jeszcze się droży, że ją oszukali, że jój za mało dali nareście oddaje czapki i wszyscy idą do młoděj. — Ta widząc że nadchodzą, chowa się do komory z druchnami. Komenda wchodzi zasunawszy drzwi za sobą i znowu posag czyli tron zabija w ścianę (pod temi kołkami ławkę zaścielają prześcieradłem na której siedzą młodzi). Rodzice młoděj wychodzą do weselników i proszą ich do chaty; ojciec pije do młodego który podany sobie kieliszek wylewa za siebie po za głowę, wszyscy wchodzi i pytają: „De nasza mołoda:“ Chorąży wtedy idzie do komory i wyprowadza jedną druchnę, pytając pana młodego: „To twoja?“ — „Ne moja“ — Tak czyni z drugą druchną, nareszcie wyprowadza młodą, a narzeczony zapytany odpowiada: „To Boża i moja.“ — Zaczynają śpiewać głównie starościny; jeżeli młoda niema matki to tak przyśpiewują:

1.

Nema Marysi w doma
Poszła do Pana Boha
Swój Matiuńki na wesile prosyty;
Bawit' hodynu, bawit' druhoju,
Ne może swyj Matiuńki poznaty.
Skoro poznała
Do nóżok upała
— „Proszu Matiuńki na wesyloczko!
— „Weselysia ditie ze wsimi światymi
Bo moje tiło pod troma zamkami.

Perszy zamoczok
Żółty pisoczok;
Druhi zamoczok
Trawa, murawa;
Treti zamoczok
Szytry deszczoczok.

2.

Marysina Matiuńka stoiť
Pred Hospodom Bohom
Hospoda Boha prosyt:
„Spusty mene Boże
Z Neba do zemli

Choć drobnym deszczykom,
Albo jasnym płomykom
Nech ja zobaczu swoje ditie
Czy chorosze ubranoje,
Na posah czy wysoko posadzone.“
— „Ja sama ne pójdu,
„Tebe ne puszczu,
„Ono Janioły zeszlu,
„Nech Janioły zobaczuť
„Czy chorosze ubranoje.“
— „Po syrotyński ubranoje
I nizeńko na posah posadzone.”

Młodzi zaczynają się kłaniać, prosząc o błogosławieństwo; śpiewają:

3.

Komu Ty też mołoda Marysieńko kłaniajesz
Koli ty Matiuńki ne majesz?
— „Majuż że ja rodyneńki ne mało,
Budu sia kłaniaty żeb' za matiuńku mi stało.“
— „Ne stane tobie Marysieńku! ne stane
Wże do tebe Matiuńka ne wstane.“
— „Radaby ja wstaty i poradek daty
Syraja zemla, dwery nalehła
Na nóżki ne stanu na oczeńki ne hlanu.“
— „Wstań Matiuńku z sudu
Wyradi swoje ditiatko do szlubu.
Wstań Matiuńku z hrobu
Wyradi swoje ditiatko w dorohu.“
— „Radaby ja wstaty i poradek daty
Syraja zemla, dwery nalehła,
Na nóżki ne stanu, na oczeńki ne hlanu.”

Družba sadza za stół młodych, a starościna zaczyna śpiewać zarówno dla sieroty jak dla mającej rodziców:

4.

Zleciulo dwa Janioły z Neba
Tooż bo nam mocny Boże treba,
Stali se po Janielsku hadaty:
„Koho my majom na posah sadyty?
„Posadymo dwoje ditok w Bożyj czas
„Daj im Boże szczaście, zdrowie, wsio raz.“
Szczśliwoju hodynu
Żeb' zweselity wsiu Maryńku rodynu,
Wsiu rodynu i wsiuj ród'
Bat'ka z materojuna peród.

5.

Małaja ptaszyna ne welyczeńkaja na rokitońce (na gałazce) sjiła

Wona mówyla szczo rokitońku złomyt, a wona pochylila.

Mołoda Marysieńka u swoho bateńka na posadzeńku sjiła

Wona mówyla, bateńka utieszyt' „wona zasmutyła.“

— „Teper żeś mi moje ditiatko za wsij czas myła.“

Sjiła sa stołom za tysaweńkom, jako kalina začwiła.

6.

Rozkinoniut pawołoczeńku po seniach

Tudy iszła mołoda Marysia na posah,

Wstupyła wona do batońka na radu:

— „Cy pozwolysz mój batońku na posah?“

— „Iż z Bohom moje ditiatko! z Bohom,

I z Bożom dozwołynoczkojom i z mojom.“

— „Seli postelyte szowku³⁾, to pójdu,

Seli położyte posażny chlib, to sedu,

Seli poprosite myłostiwoho Hospoda Boha to, sedu.

— „Iż Bohom moje ditiatko! z Bohom

I z Bożom dozwołynoczkojom i z mojom.

Jak weselni zjedzą, rodzice siadają na ich miejsca, a starościny śpiewają:

7.

W Nedilu rano, po-ranu, rano słoneczko schodyt'

Mołoda Marysia swoho bateńka za stołyczok zawodyt.

— „Sed' poset' Bateńku! nech ja uberusia;

Jak ja uberu sia, tobie ukłoniu sia,

Sama do szlubońku pójdu. —“

Najichało sto pacholików, try ludu,

„Wyberaj sia mołoda Marysiu do szlubu.

— „Wże sia ja dawno wybrała,

A szczem batońku do biłych nóżok ne upała

— „Zdejmi swój rutwiany winoczok w ruczeńki

Pady bateńku swomu do nóżok biłych.“

8.

A w Nedilu rano, porano,

Mołoda Marysia do szlubu ide

I jój bateńko wyradzaje

I na dobryj rozum nauczaje:

— „Marysiu, dytie moje! jak do cerkwi zajdziesz

Ne stójże, né pyszny sia

³⁾ Prześcieradło.

Hospodu Bohu, pomoly sia!

Swiatyj Pereczystyj pokłony sia!

Swiata Pereczysta Diewa Maty

Dopomoże tobie na szlub staty.

Z prawej ruczki persteń zniaty

Z mołodym Maksymciom szlub wziaty.“

I jój Bateńko u worot stoit u zołotoj wercionki⁴⁾

Slozka, slozkę pobywaje: „Cyt Bateńku ne płacz po mene,

Szcze se do tebe ja nazad wernu,

Ono pójdu szlub wezmu,

Szczeż bo ja ne szlubjona

Ono z Maksymciom namówlona.

9.

Dunaju, Dunaju! czom sia powoli kołybajesz?

Znać ty szumońku ne majesz.

„Ne majuż bo ja szumońku, ne maju

Tym sia powoli kołybaju.

Czom sia Marysiu tak powoli wyberajesz?

Znać ty Matiunki ne majesz

— „Oj ja Matiunki ne maju,

Tym sia powoli wyberaju

Bo Matiunki ne maju,

Poradońku żądaju

Ne maju sia komu ukłonyty

I chorošze do szlubu wyradyty.

10.

— „Odczyny Boże worota

Bo ide do szlubu syrota,

Ne ze wsim wona syrota

Tylo matiunki ne maje, poradońku żądaje.

To śpiewają sierocie; — mającej matkę zaś:

„Dunaju, Dunaju! czom sia tak chutko kołybajesz?

Znać ty szumońku mnoho majesz.

— „Oj ja szumońku mnoho maju

Tym sia chuteńko kołybaju.

— „Mołoda Marysiu, czom sia tak chutko wybirajesz

Znać ty szcze Matiunku majesz?

— „Oj ja Matuńku swuju maju

Tym sia chuteńko wyberaju;

Tym sia chuteńko wyberaju

Bo ja welyki ród maju,

Je komu sia ukłonyty

Do szlubońku wyradyty.

⁴⁾ Wrzeciądza.

11.

Rozłyj sia Dunaju po boru, po koryniu, po wszelakom zjilu
Rozplacz sia Marysiu pered swoim bateńkem,
Nechaj Bateńko toje czuje,
Nechaj tebe požaluje.
— „Wże bude mene mój bateńko żalowaty
Bo treba mene do szlubu wże jichaty.

Wtedy wszyscy wychodzą z chaty, idą do szluba a w drodze Starościna śpiewa:

12.

„Oj nema, nema Ksiądz w doma,
Poichał Ksiądz do Chelma
Kluczów kupowaty,
Cerkowci odmykaty,
Mołodym szlubu dawaty.

Ne rżycie worone konie, ne rżycie
Na posiomo was pod (NN.) na życie.

Po szlubie śpiewają:

13.

Diakujmo Ksiądzonkowi
Jak swomu bateńkowi,
Nam dwoje ditiok zweńczał
I ne doroho wziął,
Za hrusz za czetyry
I za złotych sztyry.

Z kościoła przychodząc, pod karczmę śpiewają:

Idemo do szynkaryj na objed,
Na sołodki med,
Na zelone wyno,
Na czyrwone pywo.

Z domów młodego i młoděj przynoszą przekąskę złożoną z mięsa i hreczaników; szynkarz darmo daje im kwartę wódki.— Idąc do dworu śpiewają:

Idemo do jehomości
Na joho majatności— na objed
Na sołodki med,
Na zelone wyno,
Na czyrwone pywo.
Budet' nas tam pryjmowaty
Medom, winom czastowaty.

Wychodząc śpiewają:

Diakujemo jehomości
Za jeho majatności— za objed,
Za sołodki med
Za zelone wyno.
Dobre nas pryjmali
Medom, winom czastowali!

Idąc do domu, przy muzyce marsza, śpiewają:

14.

Na hore cerkowka w Bożyj czas!
Wyjdy Bateńku protyw nas,
Wże twoje ditiatko zweńczone
Na białym ruczniczku ⁵⁾ stojało,
Z mołodym Maksymciom szlub brało.
Tam świczy śwityły,
Janioly w organy hrały
Jak na Marysiu z rutki winoczok kłały
Wyjdy bateńku z komory,
Prywitaj ditiatko z dorohy.—
— „Deś buło moje ditiatko?
Deś sia zabawyła?“
— „Byłaż bo ja w Bożom domu
Prysiahała ja Hospodu Bohu
I wsim światohom Janiołom bożym
I Maksymciowi mołodomu.

U młodego w Niedzielę korowaj pieką z takimi samemi ceremonjami co u młoděj w Sobotę. Wchodzą do chaty i śpiewają do brata młoděj:

15.

Bracisku, namiestniczku,
Sed' sobie w kreśliczku
Umiěj sia tarhowaty
Jak sestru prodawaty,
Ni za hrusz, za czetyry,
A za złotych sztyry.
Bo z hrusz bracie ślina,
Tobie sestrenka zawždy miła;
Ne umije sia brat tarhowaty
Jak sestru prodawaty
Prodaw za hrusz za czetyry
I za złotych sztyry.

⁵⁾ Rusini biorąc szlub stoją na rozestłanym dużym ręczniku.

Młodzi oboje za stół siadają pod posagiem.

16.

Zaszumiało zołoto u w kubońku stojałszy
Zapłakała Maryńca iz wińcom pryjechałszy,
„Oj mój bateńku rodneseńki!
Zwiazzał nam Książdz ruczeńki
Czerwonoju stułeńkoju,
Wyszytoju chusteńkoju;
Oj a ta chustońka i z tieńkoho pradnieczka
A z letnioho bieleneczka.
A hto je wybilił? Marysina Matuńka
Biłemi ruczeńkami a dribnemi slozeńkami.”

17.

Zwinczonaś Marysin, zwińczona,
Podaj Bateńku wodyjci,
Bateńko wodyije ne poda
Bo umene w wodyjcia doroha
Doroższaja medu, wyna
I zołotoho kamienia.

Tańczą, kolacje zjedzą i idą spać. Nazajutrz zmówiwszy pacierz zaczynają tańczyć; chorąży wynosi korowaj z komory, stawia go na stole i mówi: „Skłonij ty Marysieńku hołowu, nechaj rozplete braciszko korońku.“ Ona schyla głowę nad korowajem, młody kładzie jój we włosy kilka groszy, a druchna zapleta jój warkocz.— Brat młodej przystępuje i wyjmuje te pieniądze— starościna śpiewa a druchna spleta na powrót włosy.

18.

Oj z tycha witreć powywaje
Brat sestry kosy rozpletaje.
„Rozplitaj bracie jak najprędzėj
Ne zadawaj sestry żalu więcėj
Rozplytaj bracie a ne tarhaj
Bo wytarhasz zołoty talar.

Wtedy młoda głowę podnosi, družba korowaj kraje a chorąży go roznosi. — Skórka spodnia korowaju zawsze się daje muzyce, a także dwie bułki chleba i pieniądze. — Chorąży wywołuje po kolei każdego z całej wsi gospodarza w te słowa: Czy je, czy ne ma N. N. nech sia odzywaje do marcopanu. Jeżeli wywołanego nie ma w chałupie, to kawałek korowaju jemu przeznaczony dają komu innemu. — Przez cały dzień się bawią, jedzą parę razy i piją. — Z Ponie-

działku na Wtorek zaczynają się wybierać do młodego. Śpiewają:

19.

Czom ty Marysiu sedysz? ne weczerajesz u swoho bateńka?

Jak ty pójdziesz do swekorka, ne koli tobie bude Siedut zołwońki ⁶⁾ weczeryaty, a tebe wyszlut' po wodu.

Miesiat' wysoko za zorońkami
Woda daleko za horońkami, ne chutko sia wernesz.

Tieszyt' żejėj młody Maksymcio:

„Ne żury sia młoda Myrysia

Ja za widorcie, ty za druhoje

I prynesemo oboje.”

20.

Wyjszła Marysia z nowyj seni weczora wyhladaty
Wże słońce nyzko, wże weczór blizko; de ja budu noczeńku noczowaty?*

Wyjšzoł do jejėj, bateńko jejėj: „ne żurysia Marysia szczo w doma maju

To i tobie daju — a doleńki (losu) ne wyhadaju.

Zjadłszy kolację w nocy, okręca młoda starościna rańtuchem ⁷⁾. Przychodzi jaki posłaniec z domu rodziców młodego, prosząc weselników do siebie, wtedy śpiewają:

21.

Oj zarzał sywy konyczok
U nowych worotoczok,— ne jest to konyczok
Ono jest to posłońka od Maksymcia batońka.

Żeb sia Marysia wyberała,
Do Swekorka na nocz stała
Chodź ne późnoho weczerońku
A na ranie śniadanońku.

22.

Ej wyjdy, wyjdy młody Maksymciu
Na dwer, na dwer, oj pohlyń, pohlyń
Po nebe, po jasnych zorach
Seli (jeśli) raneńko, to szcze weselmo sia
A seli pozneńko, to do domońku berym sia

⁶⁾ Siostry męża.

⁷⁾ Jest to rodzaj szala z płótna lub perkalu, którym się kobiety na głowie i po szyi zawijając spuszczały dwa końce długo.

Bo ne kazał nam bateńko sia bawyty
Marysiu wziaty, podiakowaty, do dom pryhodyty.

23.

Ej śmiły Kozacze Marysiu!
De sia ty beres protyw z noczy temneńkiéj
I dorożeńki dalekiéj?

De budesz weczery weczery,
I noczku noczowaty?*

„—Moja nadiija w myłom Bozi
U Swoho swykorka w dorozii;
Tam budu weczery weczery,
Tam budu noczku noczowaty,
Tam je weczerońka uwarona
I postelońka postelona.“

Młodzi kłaniając się rodzicom młodéj, siedzącym
za stołem— śpiewają:

24.

Kłaniaj sia Marysiu, kłaniaj sia mołoda
Nyzko, pokorneńko, żeb' buło choroszeńko,
Perszy tobie ukłon od Boha myłoho
Od bateńka rodnoho,
Tylko twoho ukłonu szczo u bateńka w domu.

25.

Ty jasnaja zorońko, jak ty z miasiacem rozyjdzieszia?
Oj jak ja pijdu po za horu i małohońkoju opusz-
czu sia

Drobnym dyszczykom obleju sia,
W ton czas z miasiacem rozejdu sia.

Ty mołodaja Marysiu! jak ty z bateńkom rozyjdziesz
sia?

„Oj jak ja pójdu po za stił, koseńkoju ostełu sia,
Drobnemi ślozkami obleju sia

W ton czas z swoim bateńkom rozejdu sia.“

Weselnicy wychodzą z chałupy wszyscy, ale dru-
żba z młodym wraca do niéj, i obydwu dziękują za
dziewkę rodzicom siedzącym ciągle za stołem. Mło-
dy się kłania trzy razy a Družba mówi: „Diakuju
za chlib, za horyłku, za waszą poczciwoją diwku.“

Wtedy wszyscy już idą i śpiewają:

26.

Ne rój, ne rój, ono pszołońka lata po polu,
Ide Maksymcio z swoju družynoju do domu.

Pryjichaw pod woroteczka, schylyw sia
Swomu batońkowi do bjielych nózok skłonyw sia:

— „Ne hnewaj sia mój batońku na mene
Szczoz ja pryjichaw z swoju družynoju do tebe.“

— „Ja tebe mój synońku wytaju
Wsiuju twoju družynu pryjmaju.“

27.

Swytaje zorońka, swytaje
Newistka ⁸⁾ w worota wjizdżaje;
Odczyny swekrucho worota,
Bo ide newistka mołoda
I jéj noczeńka zahnała
Rosozu kosońku posypała.

28.

Panowie susidy, Boh wam dał
Pryleciuła ⁹⁾ tut chałupka wam
Pryjmite jéj jak sobie
Jak to na czużéj storonie,
Wona tut ludy ne znaje
I rodynońki ne maje.
Tieszyt' jéj Maksymcio:
„Ty tut ludy poznajesz
I rodynońku tut majesz?“

29.

Wyjdy swekorku, wyjdy batońku!
Pryweźliśmo tobi newistońku
U w czyste pole robotnyczku,
Do chałupy poradnyczku,
Do twojiéj komory kluczyczku.

Wszyscy wchodzą, młodzi siadają pod posagiem
zaczynają jeść i pić wódkę z miodem, którą-to tak
przyprawioną zwą krupnikiem. Śpiewają:

30.

Po pod sadońkom, po pod wiszniowym, barwynoczok
zelony

Pryszow ja mój batońku, do tebe ożeniony.

— „Dobre mój synońku, dobre, ne daj sebe po woli,
Trymaj konyka za powodońki, nedaj jemu swywoli.“

Przyjeżdżają goście młodéj t. j.: jéj rodzice i inni;
wiozą jéj pościel i skrzynię z bielizną i ubraniem.
Przyjeżdżający śpiewają:

⁸⁾ Synowa. ⁹⁾ Przybyła.

Wyjdy Marysiu, wyjdy, czy ne majesz tut krywdy? „Szczem tu ne dawno nastala. Szczem krywdy ne doznała.”

Goście wjeżdżają ze wszystkim prosto do stodoły; młody, družba i chorąży wychodzą do nich z wódką przekąską: pościel i skrzynie zdejmują z wozu, starościna ściele a chorąży kładzie się spać na tej pościeli. — Młody wraca do chałupy i posiedziawszy jeszcze jakiś czas za stołem, wstaje z młodą, rodzice na ich miejsca siadają, a oni się im kłaniają prosząc o błogosławieństwo. — To się odbywa już w wieczór we Wtorek — śpiewają:

Cwit' kalinońku łomyt',
Son hołowku kłonyt' —
Cwit' kalinońki łomaty,
Choczet Marysia spaty.

Wszyscy się rozchodzą do spoczynku, chorążego budzą żeby młodym ustąpił. — W nocy matka i inne kobiety ogień palą i gotują pierogi, a nad ranem wzięwszy wódkę, mięso i wodę, niosą je do młodych: ci zbudzeni muszą się umyć, jeść mięso, pić wódkę i znowu się położyć. Przez ten czas inni weselni powstają i zbierają się do chałupy. Starościna młodego (bo drugiej niema, jako też i druchny które wszystkie już nie należą do wesela w domu młodego) plecie warkocz ze lnu, chorąży struga kimbałkę¹⁰⁾, inni biorą pierogi i dwa koła — wszyscy idą do stodoły, tam kołami podnoszą młodych, sadzają na pościeli młodą, śpiewają, czepkują i jedzą pierogi. — Jeden z weselników podaje na misce młodej trochę wody jeżeli nieświadoma młoda to umyje tylko ręce a wtedy się z niej wszyscy śmieją, lecz jeżeli nauczona to powinna ręką chlupnąć trochę wody w oczy podajacemu; to samo powinien zrobić i młody. — Potem starościna zdejmuje czapkę z młodego, który się z nią nie rozłączał, kładzie ją na głowę młodej, a czapkę chorążego na młodego. — Poczem przykrywa ich oboje płótnem długości do 6ciu łokci. — Przez ten czas kilku weselników cepami sztukają we drzwi

¹⁰⁾ Kółko drewniane które noszą kobiety przykryte czepkiem bawelnianym.

stodoły, wołając: wiwat! — Przykryci tak płótnem idą młodzi aż do chałupy, chorąży ściele przed nimi słomę a starościna śpiewa:

Szczepijte rozeńku,
Stelite dorozeńku
Dobre chodyty
Mołodych zwodyty (sprowadzać).

Młodzi wchodząc do chałupy zastają piec zatkany dobrze, a koło niego dużo kobiet, które go zasłaniają, a to dla tego żeby młoda nie zajrzała w niego i nie mówiła: „Czy je w pieczu jama? Czy się schowa do roku Tata i Mama, t. j. czy umrą w tym roku? — Družba znów młodych sadza za stół. — Rodzice i goście młodej przynoszą z sobą cztery pierożki, dwa séry i dwa obrusy, którymi nakrywają stoły, zdjąwszy obrusy młodego, a jedzenie stawiają i częstują. — Matka młodej bierze czerwonego kuśnika, rwie go na kawałki i obwiązuje nim butelki i kieliszki ubierając w rutę. — Wtedy dopiero družba zdejmuje z młodych płótno, które jest zawsze młodej, i te oddaje matce młodego. — Ta zawija się w nie i obraca parę razy tańcząc, poczem zdejmuje go z siebie, podrzuca trzy razy mówiąc za każdą razą: „to syn, to doczka” i nareszcie zarzuca go na piec mówiąc: „Nech doczka ne chodyt' do susidów, nech ide sia hniewaty u nas na piecz.” — Poczem już ciągle tańczą, jedzą, piją, przyśpiewują, powtarzają piosnki po kilka razy. Że się odbywa to we Środę najczęściej wesele się kończy tegoż dnia; u zamożniejszych jednak trwa jeszcze cały Czwartek, poczem wszyscy sobie wzajemnie dziękują i rozchodzą się do domów.

Wszystkie te pieśni z apostrofami do Ojca, służą i do Matki jeżeli ta żyje -- jeżeli zaś oboje żyją to śpiewają raz do Ojca, drugi raz do Matki.

Zwyczaj te jednak i pieśni nie są jedne i też same na całej Rusi; o kilka mil już, widać jakąś odmianę tak w obrzędach jak i w pieśniach.

Główne jednak ceremonje zbliżają się podobieństwem do siebie — a pieśni niektóre różnią się tylko innem złożeniem wierszy lub innemi wyrazami — sens przecież jednaki — ale nie wszystkich.

M. J.

O MLECZNYM SOKU ROŚLIN.

(Dokończenie: patrz kartę 96).

Upas nie rzadko natrafia się w powiecie *Palem-bang*, ale też jego sąsiedztwo nie jest niebezpieczniejszym od każdego innego rodzaju jadowitej rośliny.

Już ostrożni i nieśmiały *Kämpfer* w 1712 dodawał w swoim dokładnem opisanii o jadowitem drzewie z Celebes: „Któżby jednak według Azyatów mógł coś opowiedzieć żeby taka powieść nie była przeplatana bajkami.» Nowsze wszakże poszukiwania *Lechenaulta* (1810), *Dra Horsfield* (1802—1818) a nakoniec *Blume*, potwierdziły prawdziwość wszystkich pojedynczych wiadomości i pokazały nam jakim sposobem powikłania i pomieszania najrozmaitszych rzeczy dały powód do tych wszystkich, zawsze jednak po części bajecznych opowiadań.

W owych pierwotnych, mało zwiedzanych lasach Jawy, rosną dwa bardzo różne drzewa. Wszystkie przystępy do nich jak do wrót Najwyższego są zamknięte i strzeżone. Ogniem tylko i siekierą toruje się droga przez nieprzebytą sieć wijących się roślin, Paulinii z jój na kilka stóp długimi gronami wielkich purpurowych kwiatów, gatunków *Cissu*, na których szeroko ścielących się korzeniach wyrasta cudny olbrzymi kwiat *Rafflesii*³⁷⁾. Palmy z cierniami i kolcami, rośliny sitowiowe z ostremi jak nóż krającymi liśćmi, odstręczają śmiałka niebezpieczną nawet bronią, a w gęstwinie wszędzie grożą wspomniane straszne gatunki pokrzywy. Wielkie czarne mrówki, których bolesne ukąszenie trapi wędrowca, ściągają go z niezliczoną masą dręczących owadów. Po przewyciężeniu tych zawad następują gęste kity często na 50 stóp wysokich i grubości ramienia pnie bambusowe, których mocna i jak szkło twarda kora opiera się nawet toporowi. Nakoniec i tu otworzono drogę i dopiero pokazują się majestatyczne sklepienia prawdziwego pierwotnego lasu. Olbrzymie pnie drzewa chlebowego, twardego jak żelazo drzewa *Teck*, *Strączkowych* z przepyszniemi swemi kwiatowemi kitami, *Barringtonii*, fig i laurów, tworzą filary podpierające gęste zielone sklepienie. Z gałęzi na

gałąź przeskakują gromady zwinnych małp przedrzeźniające wędrowca i rzucające nań owocami. Z mchem porosłej skały powstaje poważnie oparty na kiju i w większą gąszcz oddalający się melancholizny *Orang-Utang*. Wszędzie rozlane jest bogate życie zwierzęce daleko różne od pustego i milczącego charakter noszącego wielu amerykańskich pierwotnych lasów. Tu wijący się i pnący krzew ogarnia swą grubości ramienia łodygą, filary tego stropu przenosząc wzrostem najwyższe drzewa, często w wysokości do stu stóp od korzenia bywa on pojedynczy i nagi, lecz wielorako powikłany i pogięty. Wielkie połyskująco-zielone liście przeplatają się z silnemi konarami z którymi mocno są spojone bogate okółki blado-zielonych, pięknie pachnących kwiatów zwieszających się. Tą rośliną, należącą do rodziny *Toinowych*, jest krajowców *Tzettech*³⁸⁾, z którego korzeni wygotowuje się straszny *Upas Radja* czyli książęca trucizna. Od lekkiego zranienia zatrutą nią bronią, małą strzałą z twardego drzewa, która tymże sposobem jak u południowych Amerykanów z rurki bywa wystrzelana, tygrys dostaje drżenia, chwilę stoi nieporuszony, a potem nagle jakby tknięty apopleksyą upada w krótkich lecz gwałtownych konwulsjach³⁹⁾. Sam krzew jednak nie jest niebezpiecznym i żaden uszczerbek nie grozi temu, czyja skóra zetkniętą zostanie z tym sokiem. Jeżeli zaś dalej postąpimy, spotkamy piękny wysmukły krzew przewyższający okoliczne rośliny⁴⁰⁾. Będąc całkiem okrągłym, gładkim i pozbawionym gałęzi, wznosi się on na 60—80 stóp w górę dźwigając piękną półkulistą koronę dumnie spozierającą na nizkie pod sobą rośliny, na wiele pniów czepiające się ziola. Biada temu, który zetknie swą skórę z obficie płynącym z lekko naciętej kory mlecznym sokiem.— Wielkie bąble, bolesne wrzody, tak jak od naszego, tylko daleko niebezpieczniejsze, są nieodzownemi tego skutkami. Jest to Jawański *Antjar* i *Pohon Upas* (dosło-

³⁷⁾ *Rafflesia Arnoldi* R. Br.

³⁸⁾ *Strychnos Tienti* Lesch. ³⁹⁾ Patrz na rycinę w dziele *Schlejdena* umieszczoną. ⁴⁰⁾ Toż samo.

wnie drzewo jadu) Malajczyków, *Ypo* na wyspach Celebes i Filipińskich ⁴¹⁾). Od niego pochodzi zwyczajny *Upas* (trucizna) służący mianowicie do zatrucia strzał, zwyczaj który jak się zdaje był upowszechniony po wszystkich wyspach Sundu teraz zaś znajduje się tylko po wprowadzeniu broni ognistej jeszcze w dzikich i nieprzystępnych górach wewnątrz wysp.— Straszny a razem wspaniale wzniosły jest charakter tych gór, które równie jak całe wyspy, winne są swój początek najmocniejszym wulkanicznym siłom. Wszędzie jeszcze pokazują się ślady działania podziemnego ognia, nawet i w samych lasach gdy wśród nich zacznie się stopniami wstępować od podstawy tych gór. Najwyższe szczyty tworzą najstraszniejsze wulkany, których okropności dawno są znane. Obok nich stają najznakomitsze błotne wulkany, które bez zjawisk ognia i światła często nagle bez żadnego ostrzeżenia wybuchają. Tak wybuchła 8 i 12 Października 1822 roku góra *Gelungung*, zmieniając w pustynię na około leżącą przestrzeń na 40 angielskich mil kwadratowych, wypełniając na 40—50 stóp głębokie doliny, wypychając ze swego łoża rzeki; pochłonięwszy w brudnych swoich falach 11,000 ludzi, niezliczoną ilość bydła pociągowego, 3,000 akrów pola z ryżem i 800000 drzew kawowych. Nakoniec dalej u stóp gór okazują się wszelkiego rodzaju źródła, z których jedne kwaśne z wielką ilością wolnego kwasu siarczanego, inne z rozpuszczoną krzemionką obracające w skamieniałość sąsiednie drzewa, albo też wydające się mleczno-białymi od drobnego w nich rozpuszczonego siarkowego proszku.— W innych miejscach spotykają się gruppami obok siebie stojące od 3—5 stóp wysokie gipsowe stożki wierzchołków, a nieustannie wytryskająca gorąca lub zimna woda, osadem swym ciągle te stożki powiększa. Od działania tych dzikich wulkanicznych zjawisk pustoszeją wielkie przestrzenie. Wszędzie jednak obok tego zniszczenia wyrasta nowe, świeże życie, i znowu przyodziewa nagą ziemię. Niektóre tylko okolice stanowią w tem wyjątek.

Wychodząc z gęstwiny pierwotnego lasu wstępuje się na niewielki pagórek, gdzie, wśród okropnej samotni, rozlega się przed okiem podróżnika prawdziwy obóz śmierci, wązka płaska dolina. Ani ślad jakiegos roślinnego krzewu nie pokrywa nagiej, wy-

schłej od słońca ziemi. Na ziemi leżą kościo-trupy wszelkiego rodzaju zwierząt. — Często z położenia rozpoznać można chwilę, w której straszny tygrys porwawszy swą zdobycz uległ z nią razem zniszczeniu; w której ptak drapieżny przybywszy dla pożerania świeżego trupa, w samem używaniu zachwyconym został przez śmierć. Całe kupy nieżywych koników, mrówek i innych owadów leżą między niem, potwierdzając tem bardziej stosowne nazwanie: *Doliny śmierci* czyli zatrutej doliny, gdyż tak to miejsce nazywają krajowcy. Okropność tej miejscowości zależy od wyziewów gruntu, składających się z gazu kwasu węglowego, który z przyczyny swęj ciężkości rozchodzi się powoli w powietrzu.— Tak właśnie jak w sławnej Grotta del cane przy Neapolu, w jaskini wyziewów w Pyrmoncie, ten rodzaj gazu każdemu zbliżającemu się do ziemi zadaje niezwłocznie śmierć przez uduszenie. Tylko człowiek, któremu Bóg przeznaczył prosto chodzić, zwykle nieuszkodzony przechadza się po tych pustych przestrzeniach, gdyż jadowite wyziewy nie dosięgają aż do jego głowy. Jak na Himalaj, krajowcy na wysokich alpejskich przejściach 15 i 16000 stóp, trudne wciąganie tchu, przypisują wyziewom jadowitych ziół, tak też i te strachem przejmujące zjawiska dolin śmierci połączone są z działaniem trucizny Antjar i niebezpiecznem dotknięciem Pohon Upas. Opowiadania zaś musiały tem straszniejszej nabrać cechy że dotąd żadna nie dała się odkryć przeciw-trucizna na te gwałtowne i szybko działające roślinne pierwiastki. Nie zazdrościmy zwrotnikowemu mieszkańcowi mleka z jego krowiego drzewa, a przestając na darze użytecznego kauczuku, chętnie wyrzeczemy się bujnej przyrody owych okolic, które obok wszelkiej piękności, tak wiele posiadają strasznych rzeczy. Jeszcze żaden środek lekarski nie wstrzymuje działań tych trucizn; występują one złowrogo przeciw rodzajowi ludzkiemu jako zgubna zagadka, sprawdzając ze swęj strony to zdanie, że jasne światła podzwrotnikowej przyrody również sprawiają czarne cienie i że nie jeden tylko smok strzeże tych hezperyjskich ogrodów. Lecz z obawą postrzegam że się za daleko od mego pierwiastkowego założenia zabląkał. Paletto i Mankintosh były hasłem tego sporu; zalety ostatniego miały być moim tematem, od którego jednak za dalekom odstąpił ażebym ośmielił się znowu do niego wrócić.

D.

⁴¹⁾ *Antiaris toniocaria*. Lesch.



COBAEA SCANDENS

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

W opisach podróży w krajach przyzwrotnikowych, często czytać można o lijanach olbrzymich czyli roślinach pnących się, które zaczawszy od cienkości nitki lub szpagatu, aż do najgrubszej liny, pną się po krzakach i drzewach dziewiczych przedhistorycznych lasów, od pnia do pnia, od gałęzi do gałęzi, w górę i na dół, w poprzek, pionowo i ukośnie, na tę i ową stronę, tak, że w wielu miejscach inaczej przejść niepodobna, jak torując sobie krok za krokiem drogę nożem myśliwskim lub siekierą. Czytając podobne raporta, nie bardzo czujemy przychylnie usposobienie dla tego rodzaju roślin, stanowiących tylko niby pajęczą sieć, porozpinaną po krzakach i drzewach, jakby na jakim przez długie lata opuszczonem poddaszu. Inaczej rzecz się ma, jeżeli podróżopisarz poda nam obraz wspaniałych świetnością postaci i barwy kwiatów, które u wielu tego rodzaju roślin znajdują się na ostatnich koniuszkach ich niby gałązek, najczęściej wieńcząc rozkosznym djademem wysokie drzew czoła. Wprawdzie dla przyjaciół kwiatów w zwykłym rozumieniu tego wyrazu, nie wiele pociągająca może być roślina, która takich wymiarów dosięga i potrzebuje oparcia całego pnia niebotycznego drzewa, aby na jego szczycie, w miejscu dla oka wędrowca nieprzystępnem, chyba dla ptaków rozścielać wdzięki swych kwiatów? I rzeczywiście w owych przyzwrotnikowych roślinach, tak się po większej części dzieje, bo tam te pnące się krzewy albo razem z drzewami powstały i wznoszą, albo za pomocą właściwej sobie budowy i szczególnych organów, obwijając się koło nich ku górze, młode pędy, na których kwiaty powstają z pośród cieniów gęsto zarosłej puszczy wznoszą w wyższe piętra przystępne światłu i słońcu, bez których kwiat ani żywej barwy, ani nawet siły do życia mieć nie może. Ale przy sztucznem hodowaniu w naszych ogrodach i cieplarniach, rzecz się ma zupełnie inaczej, bo te rośliny trzymane w doniczkach i w bliskości światła dziennego i słońca, a nawet choćby w wolnym gruncie cieplarni zasadzone, nigdy nie znajdują ani tak sytnego pożywienia jak w tysiąco-letnim humusie podzwrotnikowych lasów, ani będąc wjążane i ob-

strzygane, nie mogą tak się rozpościerać i muszą w mniejszej wysokości uwieńczyć się kwiatem.

Jedną z najwdzięczniejszych roślin tego rodzaju jest *Cobaea scandens* rodem z Meksyku, z kąd w końcu zeszłego wieku przywieziono ją do Europy. — Pierwszy opis naukowy podał uczony Cavanilles z egzemplarza hodowanego w królewskim ogrodzie w Madrycie i nazwał tę roślinę *Cobaea* na cześć Bernadéz Coba, hiszpańskiego jezuitę, który w szesnastym wieku przeszło czterdzieści lat zamieszkiwał w Meksyku i napisał historię Nowego Świata w dziesięciu wielkich tomach, które dotąd pozostają w rękopismie.

Ponieważ ta piękna roślina, w cieplarniach i w pokoju, a nawet w miejscu nieco słonecznem, przez lato w gruncie pomyślnie utrzymać się może i równie z nasienia jak z ablegrów łatwo się rozmnaża, przeto szybko wszędzie się upowszechniła i jest jedną z najulubieńszych bluszczowych roślin. W ostatnich czasach przez sztuczne sposoby, otrzymano odmianę, której liście mają białą obwódkę, wiele przykładającą się do podniesienia efektu wspaniałych ciemnofioletowych dzwonkowatych kwiatów, tem bardziej że jak wiadomo, obecnie wszystkie rośliny pnące się i zwieszające, stały się artykułem mody. Dołączona rycina przedstawia tę piękną roślinę, która u wszystkich ogrodników za tanie pieniądze jest do nabycia pod nazwą *Cobaea scandens foliis albis marginatis*. Hodowanie jej bardzo jest łatwe. Żyzna ziemia, niezbyt mały wazonik, miejsce na południu w pokoju, a w lecie na otwartem powietrzu przy ścianie południowej, gdzie jej obfite pędy wybornie dadzą się użyć na festony lub przystrojenie szpalerów. Spiralne wąsy przy nasadzie szypulek liści, dopomagają jej pnąciami się i trzymaniu jakiego bądź przedmiotu do którego dosięgnąć może. Posadziwszy tę roślinę pod uschlým krzakiem lub wysokim drzewem, w żyzną ziemię, w końcu maja, kiedy już nocnych przymrozków obawiać się nie można, ujrzymy ją w ciągu lata opasującą cały krzak lub pień i będziemy mieli w miniaturze wyobrażenie wzrostu roślin bluszczowych w krajach zwrotnikowych. W.

ANIELA,

TYP Z POEMATU J. J. K. POD TYTUŁEM:

SZATAN I KOBIETA.

I była dusza,— dusza kobiety,
Ta wieniec cierpień nosła u czoła
Była większa od duszy mędrca i poety,
Była tak wielką jak dusza anioła!

Piękna i skromna, wierząca w nieśmiertelność całą siłę przeczucia i prostoty, łagodna jak dziecko a wytrwała jak mąż silnej woli, zdrowym sądem o rzeczy przewyższająca mędrców świata, bogactwem uczuć szczytniejsza od marzeń poety — sercem, cicha jak pokora — oto obraz Anieli. Nie dziw że przed taką dziewczyną zasłabnie potęga piekieł, a wszelkie pokusy świata rozbijają się o hart tej młodej i cierpiącej duży. — Jakiś nudzący się w kącie piekielnej otchłani szatan, — chce poprobować sił swoich i jedną maleńką duszą z bogacić i tak już ludne piekło. — Lucyfer pozwala — i szatan używa wszelkich sposobów by pozyskać Anielę. Lecz duch opiekuńczy Anieli, jej Anioł stróż, strzeże serca dziewczicy, i młode lekkie dziewczę zawstydzia potęgę piekieł. Bo też u kobiety niech tylko serce ocaleje, to żadna burza życia rozbić jej cnoty niezdolna. — Smutny a piękny obrazek — ta dziewczyna, u której szczęście doczesne i wieczne jest igraszką piekieł i świata. Obrazek prawdziwy. — Aniela to całe plemię młodych, ubogich dziewczyn, uosobione w tej jednej. — Patrzcie jak tęskne jej spojrzenie! jak bolesny uśmiech! — młoda a z czary życia zna tylko samą gorycz; niewinna a wszystko co plugawe zbiegło się do koła jej serca i domu; święta a wszystko co występne do niej się ciśnie. Na progu życia spotkało ją sieroctwo, nędza — opuszczenie od ukochanego; ten ostatni cios najdolegliwszy, ten możeby zachwiał sierotę — ale ona miała pocziwego ojca i kochającą matkę, a taki skarb z żadnym ziemskim dobrem nie może iść w porównanie; pamięć rodzicielskiej miłości i szczęścia lat dziecinnych są tarczą przeciw wszelkim pociskom niedoli — to też zbawiło dziewczynę. Kraszewski tworząc ideał kobiety w Anieli — postawił ją tak wysoko że wszystkie postacie, które ją do upadku przywieść mają, karłowacieją w obec dziewczicy. — Zwycięzko wychodzi z każdej rozmowy, i swemi odpowiedziami raczej nawrócić może kuszących, niż dać

się namówić do złego. — Naprzykład jej rozmowa z babą sąsiadką — ma się rozumieć czarownicą nasyłaną od szatana, warta przytoczenia:

BABA.

Cóż pleciesz? ach cóżeś ty wyrzekła?
Czy ci to szatan podyktował z piekieł
A któż bez grzechu? kto, moje kochanie?

Czysty przed Bogiem zostanie?

Wszyscy grzeszą; cnotliwym, tego świat rozumie
Kto na pozór cnotliwy, cicho grzeszyć umie.
Słuchaj! żeby z twych oczu łzy spędzić dziewczyno,
Teraz nas tu nie zejdzie nikt nocną godziną,
Opowiem ci o sobie. Ujrysz, moje dziecko
Że nigdzie nie ma prawej cnoty na tym świecie.

Tak się każdemu młodemu wydaje
Póki świat jeszcze dla niego różowy —
Niech no wiek tylko lice mu pokraje
I mądrość siwa zawita do głowy...

ANIELA *żywo.*

Toż to jest mądrość, aby cnotę przeżyć?
Kazać w nią ludziom niewierzyć:
Jeśli to mądrość: niechcę jej nabywać
By siebie dręczyć a świat oszukiwać —
Tyś mię matko uczyła mądrości dziecięcej
Cały świat kochać — kochać... i nic więcej.
Pracować ciągle, rzadko się weselić,
Z biednym się chlebem i smutkiem podzielić;
Dziękować Bogu a o nic nie prosić
Rozkoszą gardzić — a cierpienia znosić.

Lecz kiedy baba wymawia dziewczicy, że nieboga szczęśliwą być nie może, bo nikogo nie kocha, Aniela w dziecinnym prostocie odpowiada:

Ja — kocham wszystkich, świat cały!
Zwierzęta, ludzi, ptaki,
Kamienie, głązy, skały —
Kocham wszystko — Któż jest taki
Komubym w sercu nienawiść chowała?

Na tę odpowiedź baba śmieje się szyderczo, mówiąc:

„I toż twoja miłość cała?” i zaczyna się rozwodzić nad miłością inną — gorącą, namiętą, ale gorliwość za daleko uniosła posłankę szatana; zaczyna spowtarzać młodzieńcze lata matki Anieli: dziewczica z oburzeniem słucha tego i w końcu prosi sąsiadki by już raczyła udać się na spoczynek — za nic przeto cała wymowa czarownicy! Anioł uśmiecha się radośnie a szatan szuka sobie nowych pomocników. — I znalazł filozofa. Szkoda że ten wyraz, mający oznaczać miłośnika mądrości, zwykle przyczepiany bywa dziwakom śmiesznym i zarozumiałym, których głowa pełna wiadomości, serce puste a rozum przygnębiony erudycją. Takim jest i ten filozof, zaiste! do innego niemiałby szatan tak łatwego przystępu. Idzie zatem do chatki dziewczicy, przyjęty gościnnie, nadużywa praw gościa nudząc niemiłosiernie dziewczicę — i mądrém niby dowodzeniem zachęcając do użycia świata.

Prostaczka nierozumie mędrca i odpowiada mu w ten sposób:

Każdy ma swoją przyszłość i nadzieje;
Ja, Boga, cnotę niebo, — widzę wszędzie;
Drugi się z Boga, cnoty, nieba, śmieje;
Zobaczmy, czyja wiara lepsza będzie.
Jam się w téj urodziła, karmiła, wyrosła —
A nadzieja co w niebo te oczy podniosła
Nie jest dumą, jest tylko przeczeniem méj duszy.

Kiedy nic niewskórał filozof — szatan przez piekielne kłamstwo pozbawia Anielę ukochanego. — Wmawiają w biedną dziewczicę że jój narzeczony ją zwodzi — jemu zaś mówią, że ona niewierna — On uwierzył nazbyt łatwo, a więc niedosyć ją kochał, bo miłość nieograniczona, ufną jest jak sama nadzieja. Biedna Aniela zostaje rzuconą w świat wyższy, zbytkujący, chciwy zabaw — zepsuty. — Tam hrabia bogaty i piękny kłamie na gorąco miłość dla dziewczicy; ale dziewczica niewierzy — bo jak w dobrem ufność jest zbawieniem, tak zwykle wśród złego nieufność, bywa aniołem stróżem. W rozmowie z hrabią, Aniela już nie jest ubogą prostaczką — jest to ukształcona kobieta z lekkim szyderstwem na ustach, zdrowym sądem o rzeczy i mocnym poczuciem prawdy. Prawdy rzuca w oczy hrabiemu, wychowawcowi świata, który wszędzie i zawsze kłamie — a kiedy jój hrabia o miłości nadmienia, — Aniela tak mu odpowiada:

Niewiem czy ten z miłości wędnie i usycha —
Kto noc w noc nie porzuca wina, kart, kielicha;

Kto w wesołem siedząc gronie
Śmieje się w wieczór z ludzi, którym ścisnął dłonie.
I przyjaciel serdeczny, z druha i kochanka
Obmówca — aż znów zacznie udawać od ranka,
Naprzemian tylko zmieniając słuchaczy;
Nikom z nich nie wybaczy.
Nie wiem czy kochać może i czy łyzy roni
Kto codzienną inną piękność po ulicach goni,
I chciałby zyskać wszystkie — nie dając się żadnej...
Hrabio! znamy się dobrze! — kłam, gdzie ci uwierzą,
Znajdziesz wiele łatwiejszych — bogaty i ładny,
W jedną pierś złoto, w drugą twe wdzięki uderzą,
U mnie tém nic niezyskasz, udajesz daremnie,
Szkoda czasu i pracy — odczep się odemnie!

Zdziwiony ale niezmiyszany i nie wątpiący o szczęśliwym powodzeniu swych dla Anieli affektów hrabia — wychodzi; myślą oburzenia towarzyszy mu Aniela; a wkrótce samotnej, wśród złoczonego tłumu, przychodzi na pamięć Staś, młodzian jeszcze, nieskalany kłamstwem ani światem, Staś który kocha dziewczicę. Ona radaby wierzyć w tę miłość, ale wśród kłamców któż się nie nauczy wątpić!

Dziś Staś może kochać szczerze,
Lecz biada mi! jeżeli w tę miłość uwierzę!
Świat go odmieni, z anioła, dziecięcia —
Zrobi tyrana, samoluba, zwierzę,
I we łzach się zakończą chwile wniebowzięcia
A czas miłość i szczęście i serce zabierze.
Staś się odmieni — rozumnym się stanie
Jak ci panowie i panie
Co się rozumnymi mienią,
Kiedy im serce na kamień stwardnieje,
Kiedy dla złota rzucają się, żenią —
Kiedy młodości, marzenia nadzieje
Na samolubne rachuby odmieniają.

Jednak serce dziewczicy łaknie miłości — dotąd wszędzie spotykała zdradę i samolubstwo; miłość zatem Stasia jest dla niej koroną marzeń, palmą ochłody w pustyni życia. Jedno też Aniela zniesie wspomnienie z ziemskich rozkoszy, jedno tylko; tém wspomnieniem będzie walc, w którego wir rozkoszny, porwały dziewczicę i uniosły, Stasia ramiona — oto wszystko, co jój miłość ta zostawiła godnego pamięci, bo Staś rzucił się w odmęt świata i od skromnej Anieli przeniósł serce do innych szczęśliwszych, a bardziej ziemią zajętych kochanek. — Te-

raz szatan widząc dziewczynę niewzruszoną w swój
cnocie, nasyła jęj poetę. Poeta marzy o gwiazdach
i Edenie, o kwiatach i pieśni— marzyciel upaja się
snami jak opium, błąka się duszą po nad światy,
zapominając że ten piękny świat boży, więcej w so-
bie zawiera prawdziwej poezji od wszystkich rojeń
marzycieli— niebacząc że prawda jest siostrą poe-
zyi, on szuka swego bóstwa w gorączkowych wy-
obraźni krajach. Taki też poeta choć powiedział
sobie że kocha tę dziewicę tęskną i powabną, nie
może obudzić w niej uczucia innego oprócz litości.
On ją unosi po nad nieba, w których nie był, ona
go sprowadza na ziemię — pokazując mu ponętną
stronę życia:

Na cóż tak długą męczyć się podróży?
Ażeby znowu zlecić tak jak wprzód?
Po co? wszak i tu, zapaleńcze młody
I na ziemi wybrańcom są szczęśliwe gody,
Pracować, modlić i smucić się razem
Niejestże szczęścia ziemi najwyższym obrazem?
To *razem* całe ziemi rozkosze zamyka,
Bo nie ma szczęścia—a cierpieć we dwoje
Największa rozkosz ludzi.

POETA.

Niech cierpieć przywyka
Komu zamknięte rajy poetów podwoje;
Lecz kto sercem lub myślą nad ziemię ulata,
Niezna co są łyzy, bole i cierpienia świata—
Nam, w eterowej wzniesionym przestrzeni,
Nic szczęścia nie zaciemni— pogody nie zmieni.

ANIELA.

A długoż?

POETA.

Zawsze!

ANIELA.

Zawsze! — marne słowo;
Człowiek jesteś i miałbyś zawsze jednakowo,
Zawsze być szczęśliwym lub nieszczęśliwymzawsze?
O nie! biednym się nieba uśmiechną łaskawsze;
Szczęśliwym burze zaryczą;
Życie jest mieszaniną rozkoszy z goryczą
Niema *zawsze* dla człowieka:
Czas ucieka
Śmierć go czeka.

A w życiu, jak w podróży,
Widzi naprzemian tysiączne obrazy,
Ścieżki słane liśćmi róży,
Gaje, ruczaje i głązy;
Ale, nim jedna róża — pustynie sto razy
Jego się oku rozwiną;
A potem róże i pustynie giną!
Żnów oko z inną spotka się krainą.
Tak zawsze, człowiek—podróżny
Uczucia zmienne ma i widok różny,
I nie może się kazać zastanowić sobie
Aż — w grobie.

POETA.

Smutno! skądże ci takie myśli przyplynęły?
I mnie — wychowanka rajy
Czarną szatą obwinęły.
Ah! wyszedłem z marzeń kraju!
Smutno dokoła (wzdycha).

ANIELA.

Smutno! — o poeto!
Czegoś świat nie uczyni, kiedy jedno słowo,
Kiedy słowa kobiety tak ci serce gnietą!
I ty marzyłeś szczęście zawsze jednakowo—
Zawsze pod niebem i w niebie!
Biedny — ty nie znałeś siebie!

Zniechęcony i rozczarowany poeta rzuca prawdo-
mówną dziewicę; on chciał igraszek dla umysłu i
serca; ona zaś wskazuje mu surowy obowiązek jako
szczyt ziemskiego szczęścia. Ostatni posłannik sza-
tana oddalił się, piekło zwyciężone.— Aniela wraca
pod domową strzechę; zwiastunka śmierci, gorącz-
ka, sprowadza jęj przypomnienia dziecinnych lat;
Aniela widzi matkę, ojca, rozmawia z nimi; kwiaty
barwią łąkę, wiosenne słońce opromienia ziemię,
pieśń płynie w powietrzu, woń rozlewa się dokoła.
Anieli serce, spokojne, szczęśliwe; ni bólu, ni troski
w łonie dziewicy.

Świat przed jęj oczyma
Jest tak różowym obrazem!
Matko! jak mi słodko, miło!
O! tak mi nigdy nie było!

I duch dziewicy wzniósł się w krainy nieśmier-
telności, a jęj anioł stróż nad zostygłymi zwłoki
zaśpiewał hymn wesela!

J. J.

STAN POLSKI

PRZED ELEKCJĄ MICHAŁA KORYBUTA WIŚNIOWIECKIEGO.

OBSZERNOŚĆ. Polska już za panowania Piastów przyszedłszy do znacznej świetności, łatwo pod Jagiellonami stanęła na szczycie potęgi i bardzo szeroko rozciągnęła granice. Od morza Bałtyckiego do Czarnego, od Odry do Ugry; od Karpat po Estoniją władali sławnem berłem Zygmuntowie. Z tak wspaniałego gmachu wiele ozdób za Wazów odpadło.— Pierwszy z nich niedołączny, utracił prawo do Multan i Wołoszczyzny; ostatni nieszczęśliwy, nie tylko uznać musiał samodzielną Pruss Książęcych, ale nadto wyrzec się Inflant prawie całych na rzecz Szwedów, a Smoleńska, Siewierza i Kijowa z całą Ukrainą Zadnieprzańską Rossyi ustąpić. Mimo to jednakże, w czasie jego abdykacyi a Elekcyi Michała Korybuta Wiśniowieckiego, jeszcze Królestwo Polskie, między 35 i 50 stopniem długości a 48 i 56 szerokości położone, obejmowało powierzchni 17,458 mil □; i graniczyło na zachód z Marchią i Śląskiem, na południe z Węgrami, na wschód z Rosyją, a na północ z Inflantami, do których przypierała hołdownicza Polsce Kurlandya.

PODZIAŁ. Tak obszerne państwo dzieliło się na trzy prowincye: Mało-Polską, Wielko-Polską i Litwę, do których Podlasie, Mazowsze, Ruś, Prussy i Zmudź były liczone. Prowincye składały się z Województw, a te z ziem i powiatów.

LUDNOŚĆ w nich ogólna zaledwie wtedy 13,300,000 wynosiła. Nad czem słusznie dziwić się musimy, bo położenie między dwoma morzami, mnogość rzek spławnych na północ i południe dążących, umiarkowane niebo, dobroć ziemi sprzyjającej wzrostowi wszelkich gatunków zboża, lasami na budowę nawet okrętów zdatnymi okrytej, żywiącej niezmiernie duże stada trzód i ptastwa, obejmującej kopalnie srebra, miedzi, żelaza. a na de wszystko soli w Wieliczce, Bochni i na Podgórzu,— wszystko to jednym słowem dawało możność wyżywienia przeszło dziesięć razy większej liczby mieszkańców.— Lecz płonna jest tam dobroć ziemi, gdzie srogiego ucisku ogół doświadcza, gdzie wojny kraj niszczą

i anarchia rozkorzenia się we wszystkich gałęziach administracyi krajowej.

RZĄD. Sto tysięcy szlachty, król obieralny i wieczny Senat—udzielnie Polską rządzą.

Szlachcicem czyniło albo urodzenie ¹⁾, albo nadanie przywileju od sejmu ²⁾. W obudwu razach nabywał prawa do równości, której książęca nawet godność ulegała. — Urząd tylko i majątek wyższość stanowił, z kąd imiona braci młodziej i starszej powstały. Szlachcic jedynie był obywatelem; mógł piastować wszelkie urzędy i posiadać dobra ziemskie, które przez to samo wolne się stawały od leż wojskowych. Wszelkie w nich kopalnie do dziedzica należały. Ani więzić szlachcica prawem nieprzekonanego, ani z domu jego bez pozwolenia brać winowajcy nie było wolno. O zdania w materyach rządowych, czy prywatnie czy publicznie wyrzeczone do Sądu pociągany być nie mógł. Tracił szlachectwo za zdradę kraju, albo za przejście do stanu miejskiego, lub zatrudnianie się rzemiosłem. Nie płacił podatków, których sam nie uchwalił, a wybierał króla dla całego narodu.

Król miał wszelką powagę i wspaniałość majestatu królów dziedzicznych. Gwardya ³⁾, liczni urzędnicy nadworni ⁴⁾, a przytem znaczne dochody ⁵⁾,

¹⁾ Nadanie Szlachectwa polskiego Szlachcicowi cudzoziemskiemu *Indygenatem* mianowano.

²⁾ Każdemu nieszlachcicowi dany przywilój *Nobilitacyą* zwano; i takiój nowo-kreowanej szlachty, nie dopuszczano do urzędów i beneficjów duchownych, aż do trzeciego włącznie pokolenia, co *Skartabellatus* nazywano.

³⁾ Gwardya królewska prawem 1648 i 1669 r. (V. L. 4. pag. 85. 15 pag. 15.) opisaną została do 1200 ludzi jezdnych, którym ze skarbu swojego król miał płacić, a starszymi nad nią tylko szlachtę polską lub litewską przekładać.

⁴⁾ Chwałkowski str. 163.

⁵⁾ 50,000,000 złotych terażniejszych. Stan. Hist. pol. Domin. Szulc 1862 str. 24.

powiększały tronu okazałość ⁶⁾. Osoba króla była świętą i nietykalną. Pod jego imieniem bito monety i wszelkie wydawano uchwały. Do niego należało rozdawnictwo prawie dowolne na dożywocie wszystkich urzędów tak duchownych jak świeckich, które iż żadnych nie miały oznaczonych dochodów, jemu zostawiono wydzielanie dóbr narodowych w miarę zasług dokonanych w ojczyźnie. Ale też z drugiej strony, gdy w czémkolwiek uchybił zaprzysiężonym warunkom, naród tém samem od posłuszeństwa uwalniał. Władza jego zupełnie od Sejmu co do prawodawstwa, a od Senatu co do mocy wykonawczej ograniczoną była, tak dalece, że w potocznych nawet sprawach słuchać musiał Rady przybocznej ⁷⁾, złożonej z Senatorów na których stał czele.

SENAT był pośrednikiem między majestatem a wolnością, do niego straż praw i powagi królewskiej należała ⁸⁾. Składał się on z 2 Arcybiskupów, 14 Biskupów, 34 Wojewodów i 84 Kasztelanów ⁹⁾. Najznakomitsza godność Biskupów; ci bowiem pierwsze w Senacie zasiadali miejsca i z pośród nich Arcybiskup Gnieźnieński był Prymasem Państwa, a do tego szczególnie należało upominać króla jeśliby prawa przestąpić zamierzał.

WOJEWODA był Naczelnikiem szlachty jednego Województwa. Prowadził ją na pospolite ruszenie i na pole elekcyjne; miał moc stanowienia ceny rzeczom i urzędzenia miar i wag najczęściej podług

⁶⁾ Jakie za Sukcesyjnych królów były dochody? wylicza Kromer. Za Zygmunta III. dobra stołowe od innych starostw oddzielono i z tych dochody zapewniono królewskiemu Skarbowi, a naprzód konstytucją z roku 1589 wyszczególniono w Litwie Ekonomie: Grodzieńską, Szawelską, Brzeską, Kobryńską, Ołycką, Mohilewską i dawne z ceł dochody. Z korony zaś na sejmie 1590 r. wyznaczono dla króla Wielkorządy Krakowskie, żupy solne,miny Olkuskie, Ekonomie: Sandomierską, Samborską, Malborską, Rogozińską i Czczewską, cła koronne i Ruskie.

⁷⁾ Niepodobną było rzeczą, aby Senatorowie wszyscy mieli zostawać przy królu, a naród zawistny władzy królewskiej, nie chciał jej zostawić bez pewnego ograniczenia. Dla tego roku 1641 ustanowiono, aby oprócz Ministrów, wyznaczono na każdym Sejmie 28 Senatorów do Rady przybocznej króla, tak aby Biskup co pół roku, Wojewoda zaś i dwóch Kasztelanów odmieniali się co trzy miesiące.

⁸⁾ Kochow. Cli. 1. lib. 5. pag. 312. Manifest Lubom. str. 2.

⁹⁾ Chwałkowski, w rozdz. 3.

własnego upodobania, a przytem sądził żydów po miastach królewskich mieszkających,— w nieobecności zastępował go mniejszy lub większy.

KASZTELAN, zwykle takąż miał władzę w jednej ziemi, jaką wojewoda w całym województwie. Kasztelanowie ci niegdyś zarządzali zamkami i miastami królewskimi, ale te urzęda jeszcze za Jagiełłów przeszły do Starostw, z których tylko jeden Zmudzki w godności Wojewody miał miejsce w Senacie. Zasiadali w nim także, chociaż Senatorami nie byli.

MINISTROWIE ¹⁰⁾. Z nich Marszałek na dworze królewskim na Sejmach i w czasie bezkrólewia, przestrzegał porządku i bezpieczeństwa; sądził i karał według własnego upodobania przewinienia, w okręgach trzech mil pobytu królewskiego wydane. W stolicy, policya cała należała do niego. *Kanclerz Wielki* trzymał większą pieczęć.— *Podkanclerzy* mniejszą; obadwa bez appellacyi sądzili assessorye, bez obudwu wiadomości nie mógł król żadnych pism urzędowych wydawać, ani ich od obcych mocarstw odbierać. Oni nadto imieniem króla odpowiadali wszędzie i zawsze. *Podskarbiowie* rozrządzali dochodami i wydatkami obudwóch narodów. Nie należy tu przemilczeć o *Hetmanach*, którzy lubo z urzędu swego w Senacie miejsca nie mieli, starano się przeciw zawsze połączyć Hetmaństwo z godnością Senatorską i dla tego w Senacie zawsze zasiadali.

WŁADZA PRAWODAWCZA: Zebranie się Szlachty, Senatu i Króla na Sejmie, stanowiło moc prawodawczą narodu. Co dwa lata król z Radą przyboczną układał propozycje tyczące się ustaw przyszłego Sejmu. Te przez zwołany cały Senat potwier-

¹⁰⁾ *Ministrowie w czasie Elekcji:*

Marszałek W. Koronny	1665—1674	Jan Sobieski.
Marszałek W. Litewski (zmarły 1669)		Zawisza.
Kanclerz W. Koronny	1666—1677	Jan Leszczyński.
Kanclerz W. Litewski	1656—1684	Krzysztof Pac.
Podkanclerzy Koronny	1666—1676	Jędrzej Olszewski.
dtto		Litewski (zmarły 1669) Naruszewicz.
Podskarbi W. Koronny	1668—1684	Jędrzej Morsztyn.
dtto		Litewski (zmarły) Zawisza.
Marszał. Nad. Koronny	1662—1673	Klem. Branicki.
dtto dtto		Litewski 1654—1676 Teodor Lacki.
Hetman W. Koronny	1667—1674	Jan Sobieski.
dtto		Litewski 1667—1682 Michał Pac.
dtto		Polny Koronny 1667—1676 D. Wiśniowiecki.
dtto		Polny Litewski (zmarły 1668) Wołłowicz.

dzone być musiały większością głosów, a dopiero kancelarya w imieniu królewskim wydawała uniwersały na Sejmiki. Na nie po Powiatach zebrał się szlachta, roztrząsała i rozważała z przytomnymi Senatorami wszystkie w uniwersale zawarte materye, — posłów z pomiędzy siebie obierała i instrukcye im przepisywała. Posłowie na Sejm do Warszawy zgromadzeni, po obraniu większością głosów Marszałka, po przeczytaniu paktów konwentów, nad którymi każdy mógł czynić uwagi i wyznaczeniu deputacyi do słuchania rachunków podskarbiów i Generałów artylleryi; do Senatu przychodzili gdzie były czytane propozycye od tronu i czynności Senatu. Poczém do Izby swojej powracali i tam według przepisanych instrukcyj prawa stanowili, a król tymczasem z Senatem i deputatami od posłów, sądził sprawy stanu w Izbie Senatorskiej. Na pięć zaś dni przed skończeniem Sejmu, łączyły się obie dwie Izby i wspólnie nad zapadłemi prawami radziły. Sejm bywał albo zwyczajny sześćo-niedzielny, albo nadzwyczajny trzy lub dwu-niedzielny, stosownie do potrzeby kraju zwołany, a obadwa jedynie miały moc nakazać podatki, wojnę wypowiedzieć, pokój zawrzeć i wszelkie stanowić prawa.— Ztąd wnieść łatwo, jak wiele zależało państwu na dochodzeniu sejmów, zwłaszcza w czasach pełnych zaburzeń, klęsk i innych nieszczęśliwości, którym one tylko mogły zaradzić. Lecz oddawna już u nas przyzwyczajono się czas trawić na sporach; oddawna radzono, a nic nie stanowiono, miłość ojczyzny przecież utrzymywała niejaką zgodę pomiędzy stanami, zaś teraz, kiedy wolność wyrodziła się w nieograniczone zuchwalstwo, kiedy i pieniądze zaczęły kierować obradami wielu, wynaleziono nieszczęśliwy sposób zniweczenia sejmu przez jedno słowo „*nie pozwalam*” wyrzeczone przez posła. Za Jana Kazimierza miała źródło owa zaraza która najdotkliwszemi klęskami kraj napełniła. — Sejm w 1662 r. ¹¹⁾, mający obmyślić środki do uspokoi-

¹¹⁾ Względem roku zerwanego po raz pierwszy sejmu, późniejsi zupełnie się mylą, kładąc 1651 r., a to z tej przyczyny, że w Vol. Leg. znajdują się konstytucye roku 1652, lecz zważać byli powinni co mówi Kochowski Clim. 1. lib. 5. pag. 312. a co na końcu téjże książki, a ztamtądby poznali, że w r. 1652 dwa były Sejmy, jeden pod laską Fredra zerwany, drugi nadzwyczajny pod marszałkowstwem Sielskiego doszły. — Po takiej uwadze nie nastąpiłoby zapewne w tłómaczeniu Jekla twierdzenie, iż sprzeciwienie się Sicińskiego pociągnęło za sobą tylko

jenia kozactwa i uwolnienia się od tak groźnych nieprzyjaciół, sprzeciwieniem się jednego, szczególniej posła Upitskiego, po raz pierwszy został zerwany. Wielu naówczas sejmujących nalegało, aby pomimo tego obrady ciągnęły się dalej, ale większa część utrzymywała, że nie zbronnie sprzeciwienie się choćby jednego posła, jest źrenicą narodowej wolności. Sejm zatém rozchwiały się bezskutecznie, a kraj na łup nieprzyjaciołom wystawiony. Dziewięć kroć za Jana Kazimierza i Michała Korybuta ponowiono ten czyn największej swawoli szlacheckiej; dziewięćkroć stawał kraj nad przepaścią zguby, bo tyle razy krępowano samowładność narodu, ile razy sejm był zrywany. Jedynie naówczas mogła ratować Polskę Konfederacya ¹²⁾, wszystkiej szlachty pod przewodnictwem obranego marszałka przysięgą stwierdzona. Tu bowiem niepotrzebowano jednomyślności, — większość głosów była dostateczną w naradach.— Konferencya łączyła Władze wszystkich urzędowań, przed nią ustawały wszelkie sądy, bo każdy stawać był powinien na ratunek kraju. Jak w Rzymie Dyktatura, tak Konfederacya w Polsce milczenie prawom nakazywała, sama będąc naprzeciw nich buntem. Jój zaś uchwały, by mogły się w prawo zamienić, musiały być potwierdzone jednomyślnością Sejmu. Pod Tyszowcami 1656 r. na obronę Króla i Ojczyzny, pierwszy raz wwiązana w konfederacyę szlachta, stanowiła nieprzełamany szaniec najeźdcom, i zmusiwszy ich ustąpić z granic polskich, zwyczajną postać rządu przywróciła ¹³⁾.

Pod względem Rządu opisanego uważany kraj polski, właściwie nie był Monarchią, bo król nic nie mógł bez narodu;— ani doskonałą Rzeczpospolitą, bo ta reprezentowała się tylko co dwa lata przez 6 niedziel na Sejmie, a Senat wieczny nic ważniejszego nie miał przedsiębrać, bo był tylko lichą i niedołączną machiną, której ani jeden popychać nie mógł, ani wszyscy popychać nie umieli, a jeden zawsze

skrócenie, a nie zerwanie Sejmu, który mając się ciągnąć sześć trwał tylko trzy tygodnie.

¹²⁾ Nie mówi się tu o miastach pruskich Gdańsku, Toruniu i Elblągu, które z taką władzą zajmowały miejsce w Senacie Pruskim, że bez ich zdania i zezwolenia, nie stanowioném być nie mogło.

¹³⁾ Inszy był *Rokosz* za Zygmunta IIIgo insza terazniejsza konfederacya; nie mówimy nic o pierwszym, bo wystawiamy tylko stan rządu pod Janem Kazimierzem i Michałem.

zdołał zatrzymać.— Przy takowym składzie rządu, jeżeli przypadła wojna, któż jój zaradzić potrafił? Królom, Senatowi, ani Ministrom nie wolno, potrzeba więc było cały naród zwoływać; (to jest szlachtę, bo w Senacie arystokracja zawartą była, a pospólstwo było niczem:) trzeba go uczyć interesów, odkrywać mu niebezpieczeństwa i powierzać roboty, które wtenczas tylko są doskonałe, gdy je tajemnica pokrywa. A nim król wydał Uniwersały, nim się te po Województwach rozeszły, nim przyszedłznaczony czas Sejmikom, nim po Sejmikach zbliżył się czas Sejmu, nim przyszło ułożyć doczesne ratunku sposoby, każdy nieprzyjaciół, któremu się podobało ucisnąć państwo, pod samą stolicę podstąpił, i na tymże Sejmie, który na obronę kraju zwołano, takie, i to nie raz, przepisywał prawa, jakie zazwyczaj daje zwycięzca niewolnikowi. Na uznanie też przestępstwa Senatorsa lub Ministra, trzeba było zwoływać stany. — Człowiek takowy, choćby największy zbrodniarz, miał zawsze stronników, którzy najmniejszą karę, stratę wolności mienili. — Cały naród zatrudniał się rozpoznaniem sprawy, a sąsiadom dawał czas do korzystania z kłótni domowych i zamieszek. Lecz co najbardziej wpływało na tamowanie obrad narodowych, przez co moc prawodawcza dziwnym i podobno jeszcze bezprzykładnym sposobem osłabioną została, i co Sejm wszechwładny martwym czyniło; to ta nieszczęsna wolność, że każdy poseł, bąco ze szczególnej niechęci, bąc z powodu własnego zysku, bąc lekkością i płochością umysłu uwiedziony, mógł jednem wyrzeczeniem „nie pozwalam,” nie tylko najroztropniejsze odrzucić prawo, zatamować narady Sejmu, ale nawet Sejm cały zerwać i rozproszyć. Napróżno wystawiono nieszczęsne skutki z takiego nadużycia pochodzące, napróżno czuć się dawał widoczny wpływ zręcznych sąsiadów, umiających złych obywateli użyć i nakłonić do swoich widoków; powszechne błędne zdanie jednak przemogło, i jednomyślność uznana została za nieodzowną tam, gdzie nadewszystko obawiano się, aby król, mający w mocy udział łask wszelkich, przez pozyskanie większości głosów, nie przyniósł uszczerbku źle rozumianej wolności. Począwszy bowiem od Zygmunta Augusta, po nieszczęśliwem wolnej elekcyi wprowadzeniu, ciągle widzieć się daje między królem a narodem podejrzenie o następstwo tronu. Obywatele prostym duchem myślący, upatrywali w nim tamę swobód szlacheckich, a przewrotna intryga i duma możnych, używała tego pozoru na dogodzenie swo-

jój wyniosłości.— Naród powodowany ich duchem, mniej dawał bacności na wzrastających sąsiadów, od własnych tylko królów obawiał się wszystkiego. Raz wkorzeniona nieufność od rodziców do synów ze krwią prawie przechodząc, zwiększała się coraz bardziej, i była skałą, o którą się okręt pomyślności krajowej roztrącał. Królowie podstępami, obietnicą, pieniędzmi i cudzych Bogów opieką, bronili całości swojej władzy. Bardziej to jeszcze pobudzało szlachtę do podkopywania powagi tronu. Jakoż ścieśniono ich władzę na zawsze i zapewniono elekcyę, która jest najgłówniejszą przyczyną upadku. Ponieważ ona otworzyła pole obcemu wpływowi do spraw polskich, ona nigdy nie dopuściła gruntownego utwierdzenia rządu, przez nią król stawał się uległym dla możnych, którzy, za ledwie go wybrali, zaraz o nowym myśleli, gdyż panujący nigdy nie potrafił zadosyć uczynić ich woli.— Dobroczynność jego zaostrzała chciwość jednych, a zuchwałość drugich; poufałość oswajała wszystkich z powagą majestatu, surowość zachęcała zuchwałą wolność, aby mu ręce wiązała; przychylność i pobłażanie jednych, oburzały przeciw niemu drugich, a duma przyodziawszy się tyłu pochlebniemi pozorami, wicherzyła całą machiną. W każdej chwili z jednego państwa mogły się zrobić dwa narody. Jedna Konferencya za królem, druga przeciw niemu powstała. Obiedwie mając prawo po sobie, za nieprzyjaciół ojczyzny swoich przeciwników sądziły; niszczyły, co tylko podlegało zniszczeniu, i gubiły się wzajemnie w gorszej nadewszystko wojnie domowej. Reszta Szlachty, która mimo równości prawami określonej, rzadko kiedy osiągała wyższe godności, nie mogąc sama przez siebie znaczyć, przedawała siły i drobne znaczenie dworowi albo panom, lub zagranicznym mocarstwom.

Taki to był stan władzy prawodawczej, który, co dwa lata, nic nie zrobiwszy dobrego, nasprzeczawszy się tylko o formalności rządowe, pomnożywszy w obywatelstwie niesnaski, stawszy się narzędziem zagranicznego przewożenia, gubił naród nie myśląc o tém bynajmniej, że nierząd i niezgoda o sroższy nieraz przyprawia narody despotyzm, niż najuciążliwsze jedynowładztwo.

WŁADZA WYKONAWCZA. Każda Rzeczpospolita która na zjeździe narodowym moc prawodawczą założyła, obowiązana jest do wykonania praw ustanowić urzędników i dostateczną nadać im władzę, ażeby powinnościom swoim zadosyć mogli uczynić. Lecz podział tej władzy najzawikłańszym jest węzłem. Doświadczyło tego wiele narodów, gdy z nich

jedne nie nadawszy przyzwoitej władzy zwierzchnikom, nieszczęśliwymi się stały, — inne nadawszy zbyt wiele, dostały się pod ich samowładztwo. Polska chcąc podobno niejako umiarkować błędy tych narodów, popadła w obiedwie ostateczności. Król z Radą przyboczną Senatu i Ministrowie mieli wykonywać zapadłe na Sejmie Uchwały, atoli król, ściśle ograniczony, nie doznając zaufania w narodzie, i równie do złego jak do dobrego, nieskończone przeciwności znajdując, stał się zupełnie bezczynnym i oddał prawo bogatemu za narzędzie do krzywdzenia ubogiego, przez co naród pogrążyć się musiał w bezrządzie okropnym. Przeciwnie Ministrowie nie będąc tyle groźnymi dla wolności, już to że ich kilku było, już też, że władza kończyła się z urzędem, który naród mógł odebrać, nieograniczoną moc objęli we wszystkich gałęziach administracji krajowej. Nie zależni od woli Monarchy, wyżsi byli nad urzędy i prawa. Gardzili Trybunałami i opierali się Sądom. Każdy z nich był małym samowładcą, który nie przywłaszczając do końca najwyższej powagi, niemniej jednak uciemiażał obywateli i dawał okropny, a nader naśladowany, przykład gwałcenia bez obawy praw i swobód pojedynczych osób. Król więc był tylko z imienia urzędnikiem najwyższym, Ministrowie wszystkiem władali. — Król nic uczynić nie mógł, oni nic działać nie chcieli, a ztąd jak rzadko mądre stanowiono prawa, tak je rzadziej jeszcze wykonywano. — Z czego płynie, że Polska z najświetniejszego stanu nabytego pod Jagiellonami dziedzicznymi, wiele bardzo utracić musiała pod bezwładnymi Wazami, jak się to przy abdykacji Jana Kazimierza okazało.

Szlachta tylko wpływała do rządu, wieśniacy byli wyłączeni od niego zupełnie, a miasta celniejsze jako to: Poznań, Wilno, Lwów, Warszawa i Kraków, lubo od Jana Kazimierza na Sejmy Konwokacyjne, Elekcyjne i Koronacyjne zaczęły wysyłać posłów, którzy tak na konfederacyach Generalnych, paktach konwentach, jak na potwierdzeniu praw i swobód narodowych imiona swoje podpisali, wszakże prerogatywy te nie dawały miastom polskim żadnej władzy istotnej, ani mocy stanowienia lub opierania się uchwałom szlachty ¹⁴⁾.

PRAWA CYWILNE MIAST I MIESZKAŃCÓW WSI. Zresztą ludu polskiego, stosownie do tego jak po

¹⁴⁾ Dla powzięcia wyobrażenia o stosunku dóbr Królewskich, Szlacheckich i Duchownych przytacza się wypis ułożony na mocy Taryfy z roku 1674.

miastach i wsiach Królewskich, Szlacheckich, albo duchownych zamieszkał ¹⁵⁾, los uważać należy. — W miastach i wsiach królewskich osiedli byli wolni tak co do własności jako i co do zatrudnień, handlu rzemiosł, lub przeniesienia się z jednego miejsca na drugie. Mieszczanie rządzili się prawem Magdeburgskiem lub Chełmińskiem; wybierali sobie Magistratury, od których wyroków appellować mogli do assesoryi;— poddani zaś udawali się w sprawach do Referendaryi. Nieszczęściem wszystkie Królewszczyzny poddane były drapieżnym starostom.

Nie posiadali i takich swobód ani mieszkańcy miast i wsi szlacheckich, ani też duchownych. Targi tylko rozróżniały miasta od wsi. Zresztą Mieszczanie mając za początek wolności gołosłówną dziedzicową, zależeli zupełnie od jego wielowładnego rozrządzenia i w niczem nie ustępowali wieśniakom. Ci z wygasłym domem Jagiellońskim stracili ostateczną zasłonę od przemocy swoich panów. Szlachta ubezpieczając wolności po śmierci Zygmunta Augusta, za pierwszy jej warunek położyła uciśnienie poddanych. „Chłop jest niewolnikiem, pan ma nad nim moc życia i śmierci,” wyrzekły stany na pierwszej zaraz konwokacyi. Przez dwa przeszło wieki nie zmieniono tego barbarzyńskiego prawa. Napróżno przeciw niemu podnosili niekiedy głos oświeceni.

¹⁵⁾ Tablica wyprowadzonego zboża z Gdańska 1649 do 1670.

Rok	Pszenica	Żyto	Jęczmień	Owies
1649	12435	39984	1478	—
1652	8202	25464	616	—
1653	5326	26791	2055	—
1654	9671	33789	1671	—
1655	7158	37531	260	—
1656	4564	6046	—	—
1659	369	126	13	2
1662	8172	25729	—	—
1663	6360	25729	293	93
1664	3903	11763	—	—
1665	2366	16647	—	—
1666	3223	13730	—	—
1668	12161	13713	3988	189
1669	10319	29865	2111	20
1670	12252	28462	3609	76

K a s z t ó w.

(Czacki Tom II. str. 246).

(Korzec żyta po zł. 60 pasek)

Większa czułość i tkliwość, z jaką ci mężowie za Jana Kazimierza i Michała żyjący, przeciw ciemnościom powstają, okazuje tylko iż stan rolniczy bez sprawiedliwości i opieki krajowej zostawiony, coraz sroższym uciskom szlachty musiał ulegać. Nie powróciły już więcej dawniejsze swobody wieśniaków, według których corocznie jeden mógł wieś opuścić, a wszyscy pozostać dla pana. Zabroniono dawać synów do nauki i rzemiosł. Pan każdy stał się wiosek i poddanych swoich małym niejako monarchą i udziałnym panem. Byli oni jego własnością i z potomstwem swoim, tak, że ich mógł darować, sprzedać, lub gdzieindziej przenieść. Zbiegłych, miał prawo wszędzie szukać. W sprawach własnych cywilnych i kryminalnych, poddani działać, ani odpowiadać bez pana, jako też nie mając w niczem zabezpieczonej prawem własności, nic nikomu zapisać, ani testamentem nie przekazywać nie mogli.

ROLNICTWO. Tak poniżony rolnik, oprócz wielkich i ciągłych podatków, oprócz przykrych dziesięcin, oprócz codzienną pańszczyzny¹⁶⁾, niszczone okropnymi najazdami nieprzyjaciół i stacyami swawolnego żołnierstwa, trapiiony klęskami morowej zarazy, a nadewszystko przez dziedziców i starostów łupiony, stracił chęć zupełnie do pracy. A jeżeli grzebał leniwo ziemię, to tylko o tem zdawał się pamiętać, aby nikczemnym jej płodem przewlec na chwilę strapione życie; lecz nie znał żadnej pobudki do gromadzenia więcej nad to, co mu nakazywała własna i nie odbyta potrzeba. Dla tego też pola, niegdyś bujnym pokryte żniwem, zamieniły się w ponure lasy; kwitnące łąki, w zaraźliwe bagna, a miejsca wesołych i rozległych wiosek, porosły chwastem. Ztąd głód srogi dał się uczuć po kilkakroć najżyźniejszemu krajowi, noszącemu miano śpichlerza Europy.

PRZEMYSŁ I HANDEL. Za upadkiem rolnictwa, musiał nastąpić upadek rzemiosł i handlu. Stan bowiem rolniczy, rzemieślniczy i kupiecki, jak mądrze powiedziano, przyrównać można do wozu ciągniętego od trzech koni, zaprzężonych jeden przed drugim; te, kiedy równo ciągną, wóz na którym złożone są dostatki krajowe pośpiesza i zbliża się co raz bardziej do zamierzonego celu. Przeciwnie, jeżeli który z nich zaniedbanym zostanie, morduje resztę, spóźnia postęp, a w zły przeprowadzie więzną wszystkie razem. Nie inaczej dziać się musiało w Polsce. Rzemieślnik, nie odbierając od rolnika płodów surowych, nie znajdując dostatecznego wy-

żywienia, nadto nie doznając opieki rządowej od dowolnych ucisków wojska krajowego i niesprawiedliwości panów, ciemniony podatkami, wystawiony na poniżenie i pogardę od innych klas obywateli, nie mogąc znieść ucisków starościńskich i niszczących miasta bezpłatnych pomieszkań dla wszelkiego stanu urzędników, a wreszcie dotykany klęskami wojny i morowej zarazy, porzucał zatrudnienia i wyrzekał się własnej ojczyzny. Z wielu miast, liczących za Jagiełłów po kilkaset warsztatów, teraz gruzy się tylko zostały. Imiona nawet osobnych gatunków przemysłu, jakie wówczas na wysokim stały stopniu, zupełnie zniknęły. Sprowadzać przeto musiano to wszystko co tylko do zaspokojenia najgwałtowniejszych potrzeb i do najwyszukańszego zbytku służyło. Tracono pieniądze, a nic nie zyskiwano od obcych. Z porównania taryf Gdańska, który był stopą zewnętrznego handlu polskiego, okazuje się, iż od roku 1649 do 1662 w rok średni, za ledwo wywieziono zboża 952,850 korcy, gdy tymczasem od 1790—1800 przy wiadomych okolicznościach, ilość takichże korcy przechodziła jeden milion. — Pszenicy też samej około roku 1655 na rok średni za ledwo 6,817 łasztów, kiedy w końcu XVIII wieku przeszłe 20,000 łasztów zakupiono¹⁷⁾. Nie mógł być korzystniejszym i spław drzewa, dla ciągłego pobytu nieprzyjaciela, dla której to przyczyny i handel wewnętrzny zostawał w najnędzniejszym stanie.

¹⁷⁾ Instruktarz Celny w skróceniu z roku 1661.

Rzeczy wychodowe	zl.	gr.	Rzeczy wchodowe	zl.	gr.
Od łasztu zboża	2	—	Od sztuki aksamitu	10	—
„Beczki potażu	2	15	Granat. i szkarlat.	10	—
„Łasztu smoły	4	—	Lisów moskiewsk.	—	3
Sta balów	3	—	Soroka kun (40)	—	15
Masztu jednego	4	—	Skór niedźwiedzich	—	5
Sta Klepek	5	—	Piesków białych	—	1
Kamienia lnu	1	15	Soroka gronostaj.	—	20
Łasztu soli	2	—	Okseftu wina	2	—
Beczki miodu	—	20	Kobierca Tureck.	—	10
Centnara cyny, ołowiu, siarki, miedzi	—	15	Fartucha	1	—
Kamienia wosku	—	25	Sztuki płótna zagr.	—	10
dtto łoju	—	3	Sta sierpów	—	6
Wołu lub konia	—	10	Kamienia pieprzu	—	15

Centnar ważył 5 kamieni, — kamień 32 fun. — fun. 30 łutów — 4 kwarty szło na garniec — a garncy 72 na beczkę. — Inwent. praw, str. 357.

¹⁶⁾ Kochowski Clim. I. pag. 343.

Trudnili się nim najwięcej żydzi, bo hańbił szlachcica, a mieszczanin oprócz kosztów celnych, musiał jeszcze opłacać dań kupiecką. Wpłynęły na to: po-falszowanie monety, nie jednostajność miar i wag, zaniedbanie dróg i oczyszczenie rzek, co wszystko sprawiło, że handel, który jest zawsze głównym źródłem bogactw narodowych, wtenczas się mało do nich przyczyniał.

SKARB. Dochody Polski były: z dóbr narodowych, podatków i mennicy. Dobra narodowe niegdyś wszystkie należały do króla, i wtenczas sam monarcha rządząc samowładnie, dochodów z nich, albo na swoją, albo na kraju potrzebę używał. Królewszczyzny też według upodobania na dożywocie lub na wieczność rozdawał. Ale kiedy niepomiarkowana rozrzutność panujących zbyt często skarb ubożyła, stany otrzymawszy przewagę, oddzieliły w roku 1590 skarb ich od skarbu Rzeczypospolitej; wyznaczwszy królowi pewne i stałe dochody, resztę zaleciły rozdawać dobrze zasłużonym pod imieniem Starostw. Posiadacze ci dożywotni, ten jedynie mieli włożony na siebie obowiązek, ażeby z dóbr czwartą część in-traty czystej (kwartę) jak jeszcze Zygmunt August ustanowił, na wojsko płacili, a to mogło kilkana-scie milionów złotych wynosić. Lecz kiedy Staro-stwa stały się ofiarą możniejszych, którzy przy zu-pełnej słabości władzy wykonawczej, to tylko co im się podobało płacili, z kwarty pod Janem Kazimie-rzem zaledwo 300,000 zł. do skarbu wpływało ¹⁸⁾. Oprócz tego stałego dochodu ze Starostw, było tak-że wybierane corocznie cło i czopowe, ale jak jedno tak drugie zaledwo milion zł. przynosiło. Reszta podatków, jak pobór, podymne, dań kupiecka, po-główne żydowskie, tatarskie, generalne, akcyza i tabaczne, podług woli stanów na każdym sejmie, stosownie do okoliczności nakazywane, odwoływane, zmniejszane lub powiększane bywały, ale i w takim razie zaledwie 4,000,000 zł. czyniły ¹⁹⁾. Miasta bo-

¹⁸⁾ Stara kwarta czyniła corocznie 148,617 zł. no-wa 117,798, na artylleryą zaś trzecią kwartę 45,000 Jan Kazimierz w r. 1655 naznaczył. Wszystkie od-bierał podskarbi z deputatami od Sejmu.

¹⁹⁾ Wszyscy kmiecie i mieszczanie trudniący się rolnictwem, a nawet Szlachta nie mająca poddanych, płacili od łanu po gr. 15 i to się nazywało *poborem*. Za Władysława IVgo przeszło 200,000 z samej ko-rony jeden pobór czynił. Ile za Kazimierza lub Mi-chała? niewiadomo, to tylko pewna, iż dla ubytój lu-dności zmniejszyć się musiał, i że dla tego jak potrze-ba wymagała stopniami (1661 r.) o pięćdziesiąt razy był powiększony. Jak Polska od gruntów, tak Litwa

wiem i włościanie zbyt wyniszczeni byli, aby mogli wszyscy nakazane podatki wypłacać, a szlachta nie

pospolicie płaciła od domów po miastach i wsiach będących, podług rozmaitej ich wielkości po zł. 3. 2. lub gr. 15. Podymne to ustanowione jeszcze 1629 r. równało się jednemu poborowi z korony, a z czasem o 30 razy pomnożono je. Niekiedy, ale bardzo rzadko, i prowincye polskie składały ten podatek, a w ten-czas summa ogólna do 300,000 zł. wynosiła. Nie można wiedzieć ile w szczególności każde wojewódz-two podatku płaciło; przynajmniej ilość podymnego obrachowaną jedynie z roku 1659. (V. L. fol. 298 i 426) następująca tabelka objaśnia. Dań kupiecka od kupców Polskich i Litewskich była płacona; wyso-kość jej oznaczała się podług okoliczności. Nie na majątki ani na osoby nakładano, lecz ogółem w ko-ronie najmniej 80, a najwięcej 120 tysięcy złotych,— w Litwie zaś od 8 do 60 tysięcy zł. owoczesnych czyniła.

Podymne z roku 1659.

W KORONIE	Zł.	W LITWIE	Zł.
Wa. Pozn. i Kal.	40058 ² / ₃	Wo. Wileńskie	5769 ¹ / ₂
— Krak. i San.	36896	Kap. Wileńska	13225 ¹ / ₂
— Sieradzkie	12574	Pt Oszmiański	6254 ³ / ₈
Ziemia Wieluńs.	3900	— Lidzki	5162 ³ / ₈
Wo. Łęczyckie.	5634	— Wilkomirski	6673
Wa. Brzesko-Kuj.			
i Inowrocławsk.	86220	— Braclawski	2295
Ziemia Dobrzyń.	2162	Wo. Trockie	5572
— Lwowska	11800	Pt Grodzieński	11952
Wo Lubelskie	15655	— Kowieński	6019
— Bełzkie	5972	— Upitski	10869
— Płockie	10822	Ks. Żmudzkie	17536
Ziemia Czerska	6578	Kap. Żmudzka	2442 ¹ / ₂
— Warszawska	5241	Wo Smoleńskie	7729 ¹ / ₂
— Wizka.	1173 ¹ / ₂	Kap. Smoleńska	1129
— Wyszogrod.	1109 ¹ / ₂	— Religii Grec.	310
— Zakroczyms.	2092	Wo Połockie	10172
— Ciechanow.	3100	— Nowogrodz.	17386
— Łomżyńska	2644 ¹ / ₂	— Zbor Grecki	208 ¹ / ₂
— Różańska	1112	Pt Słonimski	3453
— Liwska	1649	— Wołkowyski	4749 ¹ / ₂
Ziemia Nurska	3910	Wo Witebskie	6479
Pt Drohicki	4609	Pt Orszański	27473
— Mielnicki	3469	Wo Brzeskie	10548
— Bialski	728	— Mińskie	59 ¹ / ₂
Ziemia Rawska	3320	Zbor Grecki	3049
— Sochaczewsk.	2954 ¹ / ₂	Pt Rzeczycki	946
— Gostyńska	1900	Ziemia Inflant.	
Wa Ruskie in ho-		Reszta spusto-	
stico		szone lub zabra.	
Summa ogólna	277744	Summa ogólna	198186

opócz tego podatku, był dawniej podatek włożony na kupców cudzoziemskich, nie mających w Polsce

wiele dać chciała, mimo téj widocznej prawdy że wszystkie części związku jakowego przykładać się powinny do wspólnej obrony i uszczęśliwienia; gdyż potęga związku całego, czyni jedynie, iż każdy do niego wchodzący posiadać może spokojnie swoją własność w całości. Ale Szlachta polska potargawszy więzy, które ją trzymały w podległości władzy najwyższej, nie chciała już cierpieć i tych ogniw, które ją łączyły z niższymi klassami. Odosobniając się coraz bardziej, siebie tylko i swój interes miała na celu, zagarniała wszystko co było dla niej dogodnym, a przykre i uciążliwe zwałała na słabszych.

stałego mieszkania. Ten, za Jana Kazimierza i Michała, Tatarowie Litewscy bawiący się furmanką i żydzi, pod imieniem pogłównego płacili. Pogłowne tatarskie nie przenosiło 6000 zł. Pogłowne zaś żydowskie w Polsce od 70 do 105 tysięcy, a w Litwie od 10 do 50,000 złotych. Oprócz pogłównego które płacili ryczałtem, obowiązani byli żydzi i do innych wszystkich podatków, jakie na Chrześcian wkładano. Było też także pogłowne jeneralnem zwane, dla tego, iż się od wszystkich ludzi jakiegokolwiek bąć stanu, płaciło. Nakazano je roku 1661 na uspokojenie wojska. We wszystkich dziejopisach ówczesnych dają się czytać narzekania na tę nowość, chociaż w istocie nie było to żadną nowością, bo i Zygmunt Iszy roku 1520 także je uchwalił na obronę królestwa. A lubo stanął zakaz, aby na potem nie naglić stanów o przyjęcie tego podatku, za Michała jednak trzeba go było wybierać, a nawet potrając (pogłowne jeneralne zwano też subsidium Generalis Contributionis, albo subsidium Charitativum, którego nie trzeba brać za jedno z Subsidium Charitativum opłacanego przez stan duchowny, gdyż to zamiast hyberny, dopiero 1670 r. dawać zaczęto. Do podatków, które pośrednio naród opłacał, liczyć należy cło, czopowe, akcyzę i tabaczne. Cło od przywiezionych w granice i wywiezionych towarów (induktami i ewektami prawo nazywało) było dawne i nowe. Tamto opłacone na granicach, szło na intratę królewską; to zaś wewnątrz Polski i Litwy, tak na lądzie jako i na rzekach pod imieniem spławu wodnego, na potrzeby Rzeczypospolitej obracano. Szlachta i duchowieństwo nie ulegało mu, wyjąwszy rok 1661. O ilości dochodu z ceł, nie trudno sądzić dla upadku handlu. Najznaczniejsze cło wybierano pod Gdańskiem przy miasteczku Fordau, a Żuławy od wychodzących z portu towarów do 600,000 zł. czyniły, ale za okazaną wierność Gdańszczanów Janowi Kazimierzowi, znacznie się zniżyło. Czopowe jeszcze za Zygmunta Igo ustanowione, teraz czynić mogło rocznie 610,350 zł. Prowent tabaczny 1661 r. ustanowiony, tylko Litwa płaciła. Akcyzę od rzeczy na pokarm lub do wygody służących w Polsce i Litwie w r. 1658 wprowadzono, i żadnego stanu nie wyjmując, po dwa grosze od złotego wybierano. Podatki te

Gdyby przynajmniej w nakładaniu podatków znano istotne bogactwa, gdyby wiedziano z jakiego źródła je czerpać i w którym czasie nakazywać, jeszczeby może choć samym wieśniakom i miastom znośniej-szemi były; lecz nie zważano wcale, co składa masę bogactw krajowych i gdzie jęj poszukiwać na publiczną potrzebę, aby nowemu odrodzeniu reprodukcyi nie przeszkodzić; kiedy i jak często wybierać podatek, aby obrotu massy cyrkulujących pieniędzy nie tamować.

Uchwalano podymne bez pewnego opisanja; włożono pogłowne na pewną część ludzi, bo nimi opinia

składane były do poborców Wojewódzkich lub Ziemskich, którzy zawsze szlachtą być musieli, a nie płacących zapozywali na Trybunał Skarbowy, sądzący przez sześć niedziel po każdym Sejmie w Radomiu i w Wilnie, a niekiedy we Lwowie.

Godne są wiadomości wypisy z Inwentarza do pogłównego jeneralnego:

	z roku 1520 zł.	z roku 1661 zł.
Arcy Biskup Gnieźnieński ..	300	1300
— Lwowski	100	600
Biskupi	150	900
Opaci	500	300
Kanonicy	5	30
Księża inni	2	10
Wojewodowie	50	300
Kasztelani mniejsi	5	75
— więksi	10	150
Urzednicy Koronni	20	300
— Ziemscy	5	36
Dwór Królowej	3	10
— Biskupów	2	6
Szlachcic ze wsią	8	3
Szlachcic bez wsi	gr. 12	3
Żony	połowę	
Wdowy	—	2
Panny	—	3
Rajcy miast	5	30
Kupcy	3	15
Mieszczanie	4	2
Poddani	gr. 1	zł. 1
Hetman	20	30
Żołnierz	—	3
Żupnik ołowiu	gr. 2	zł. 100
— soli	300	300

Tym sposobem w szczegółach każdy urząd wymienićby można, gdyż są wszystkie stany wymienione tak w Przyłuskiego statutach fol. 956, 959 jak w konstytucjach V. L. fol. 166—189.— Złoty w roku 1523 ważył zł. 12 gr. 18,— w roku 1661 zł. 2 gr. 25.— Czacki.

w całym świecie wzgardziła, a nałożono to pogłównie ryczałtem, aby starszyzna miała sposobność do zdzierstwa; rozróżniano ziemię od ziemi, nie dla tego że była lepszą lub gorszą, ale dla tego, że ją różni i za różnym prawem posiadali: zaprowadzono daniny kupieckie, monopola, akcyzy i t. p. nie pomyśliwszy, że w rozdrobnionym gatunkowaniu podatków, największa jest niewola ich poddanego, który nie tylko wszystkie te gatunki, lubo pośrednio, sam jeden opłacać musiał, ale nadto opłacał z największą dla siebie uciążliwością.

Nic zaś nie masz, coby mądrość i roztropność bardziej mieć na względzie powinna, jak część odbieraną i zostawioną poddanym; bo ludziom sprawiedliwe przyrodzenie nagradza mozoły i czyni ich pracowitymi, kiedy z pracami większemi wiąże razem znaczne nagrody. Lecz jeżeli samowolna władza odbierze wszystkie przyrodzone użytki, niechęć pracy urośnie, a próżnowanie samo, za jedyne dobro poczytane zostanie. To też właśnie nastąpiło w Polsce; dla czego, gdy przy tylu ciągłych potrzebach kraju, z podatków zbyt szczupłe były dochody, musiano się udać do zarobków mennicznych²⁰⁾. Podniesiono zbyt cenę pieniędzy²¹⁾, zaczęto je bić po raz pierwszy z samej miedzi, a w końcu tak spodlono, iż 100 zł. szelągami, warte były tylko zł. 15 dobrej monety. Z początku, jakkolwiek to złe zdawało się znośnem, bo wielu zarabiało na dawnych pieniądzech, lecz kiedy cena rzeczy podwajać się za-

²⁰⁾ Mennica przedtem należała do króla. Zygmunt IIIci ustąpił jej Rzeczypospolitej aby lepsze bito pieniądze, co jednak wcale nie nastąpiło, gdyż podskarbiowie będąc dozorcami mennicy, jak tylko mogli, najdrożej ją w arendę puszczały, aby skarb i oni sami mogli mieć jak najwięcej intraty. Tak zatem moneta na wolę mennicznych dzierżawców zdana była, którzy pod pozorem dobra publicznego, mieszając wiele miedzi do srebra, niezmiernie szkody przynieśli. Na zapobieżenie szerzącemu się złemu nie znaleziono innego środka nad zamknięcie mennicy. Korzystali z tego prywatni bijąc potajemnie fałszywe pieniądze (Czacki T. I. str. 142) niezaniebali ciągnąć użytków i obcy, a szczególnie Szwedzi, stawszy się panami Rygi. — 6,000,000 sam król Gustaw wybił podstępem polskim. Co widząc Stany, kazały w roku 1658 Boratyniemu włochowi bić szelągi z samej miedzi, a Tynfowi 1662 wybijać złotówki, ale i na tych szukano zarobku (Czacki T. I. str. 145, 146 i 161 mówi o tem obszerniej).

²¹⁾ Dukat od r. 1650—1675 ważył terażniejszych zł. 16 gr. 20. Talar zł. 8 gr. 10, a złoty dzisiejszy 2 zł. gr. 23, 1 szeląg. Czacki.

częła²²⁾, kiedy z dobrych pieniędzy wszyscy się wyzuli, a na fałszywych nie wielu zyskiwało, kiedy po za granicą zupełnie zostały wzgardzone i z obcych krajów wywołane, wtenczas dopiero poznano, iż korzyść chwilowa, szkodę na kilka pokoleń ściągnęła.

Przy takich dochodach największy niedostatek w Skarbie zawsze musiał panować, zwłaszcza, iż Administracya wiele się przyczyniła do tego. Wprawdzie Podskarbiowie, których dozorowi i straży poleczone były nie tylko ozdoby królewskie, papiery publiczne, korony i inne bogactwa, ale osobliwie odbieranie i wydatek na potrzeby powszechnie wszelkich dochodów krajowych, mieli zdawać rachunki z postępowania swojego na Sejmie; przecież, gdy te za Jana Kazimierza zrywać poczęto, stawali się samowładnymi panami skarbu publicznego, i raczej na osobisty interes niżeli na dobro Rzeczypospolitej bez obawy dawali baczenie. Bo chociaż doszedł sejm wreszcie, i wyznaczono osoby na słuchanie rachunków, łatwo kwit zapłacony otrzymywali²³⁾. Dalej Podskarbiowie ci, tak wielką mieli władzę, iż stanowili podług woli urzędników

²²⁾ Nie mamy ceny rzeczy z r. 1661 kiedy zaraza pieniędzy dokuczała najbardziej, ale jest w Czackim (Tom I. str. 177) przed zupełnem zepsuciem pieniędzy bo jeszcze 1650 r. godna uwagi wiadomość:

Rok	Wóz Jana 4 konny		Krowa		Faska masła		Zapłata parobka		Cena dnia robotniczego Cieśli w Kra- kowie	
	zł.	gr.	zł.	gr.	zł.	gr.	zł.	gr.	zł.	gr.
1650	17	10	20	—	17	15	—	—	—	26 ² / ₃
1675	24	—	16	22	—	—	35	—	—	—

²³⁾ O zdawaniu rachunków przez Podskarbiów bierzmy wyobrażenie z następującego przykładu, który nam Jabłonowski (w Skrupuł bez skrupułu str. 39) naoczny świadek podaje. „Bogusław Leszczyński, mówi on, z podskarbstwa przechodząc na podkanclerstwo w r. 1658, starając się o kwit, ledwo nie całą Izbę Poselską ujął to pieniądźmi, to prezentami, że już secursus do czytania kwitu przystąpił. Kiedy cała Izba resoniat zgoda! po uciszeniu się jeden poseł zawołał „nie masz zgody“ i skrył się. A Leszczyński trzymając registr co komu dał, zawołał z impacyencyą: „a który-to tam taki syn com mu nie nie dał.“ A ów kontradykant nie pokazał się, bo był wziął i był w registrze. Conf. sat. Opal. 5 Ks. 3.

skarbowych, i mocą swoją zaciągali długi na koszt kraju. Potém, zbyt często brakowało im na wiadomościach potrzebnych, kiedy ten pospolicie interessami skarbowemi zawiadywał, komu opinia lub intryga do tego pomogły. A ztąd łatwo wnieść można, dla czego nigdy w skarbie gotowego grosza nie było ²⁴⁾, i czemu pożyczać musiano 400,000 talarów od Elektora Brandeburskiego, a 200,000 liwrów od Francyi. Chociaż król miał dochody oddzielne, urzędnicy wszelako płatni nie byli; koszt na poselstwa nie wielki, a Haracz Tatarów 90,000 zł. nie zawsze bywał płacony, tylko wszystko na wojsko obracano.

SILA ZBROJNA składała się z piechoty i jazdy. Piechota w Węgrzech lub Niemczech a rzadko w Polsce zaciągana ²⁵⁾, ćwiczona i ubierana była zawsze na sposób niemiecki. Liczba jój nieprzenosiła nigdy 8000, a i ta nie będąc w żywność opatrzona przez Rzeczpospolitą, kiedy żołd przez skarb, albo dowódców, co się często trafiało, zatrzymany został, opuszczała chorągwie, albo z głodu ginęła (Koch. Clim. 1. Libr. 4. pag. 222). Dla czego w czasie koniecznej potrzeby na dobywanie miast zajętych przez nieprzyjaciela, gdy Elektor Brandeburski, przysyłający niegdy 6000 piechoty jako lennik, wypowiedział posłuszeństwo, a posiłki księcia Kurlandzkiego 500 ludzi nie przynosiły; musiało nastąpić owo uniżenie się narodu o 15,000 austryaków, którzy więcej szkody zrzadzili, aniżeli pożytku przynieśli. Szlachcie albowiem za hańbę poczytywał służyć pieszo, a poddanemu obawiał się dać broń do ręki, aby zczasem nie zmusił go do łagodniejszego obchodzenia się z sobą. W lepszym

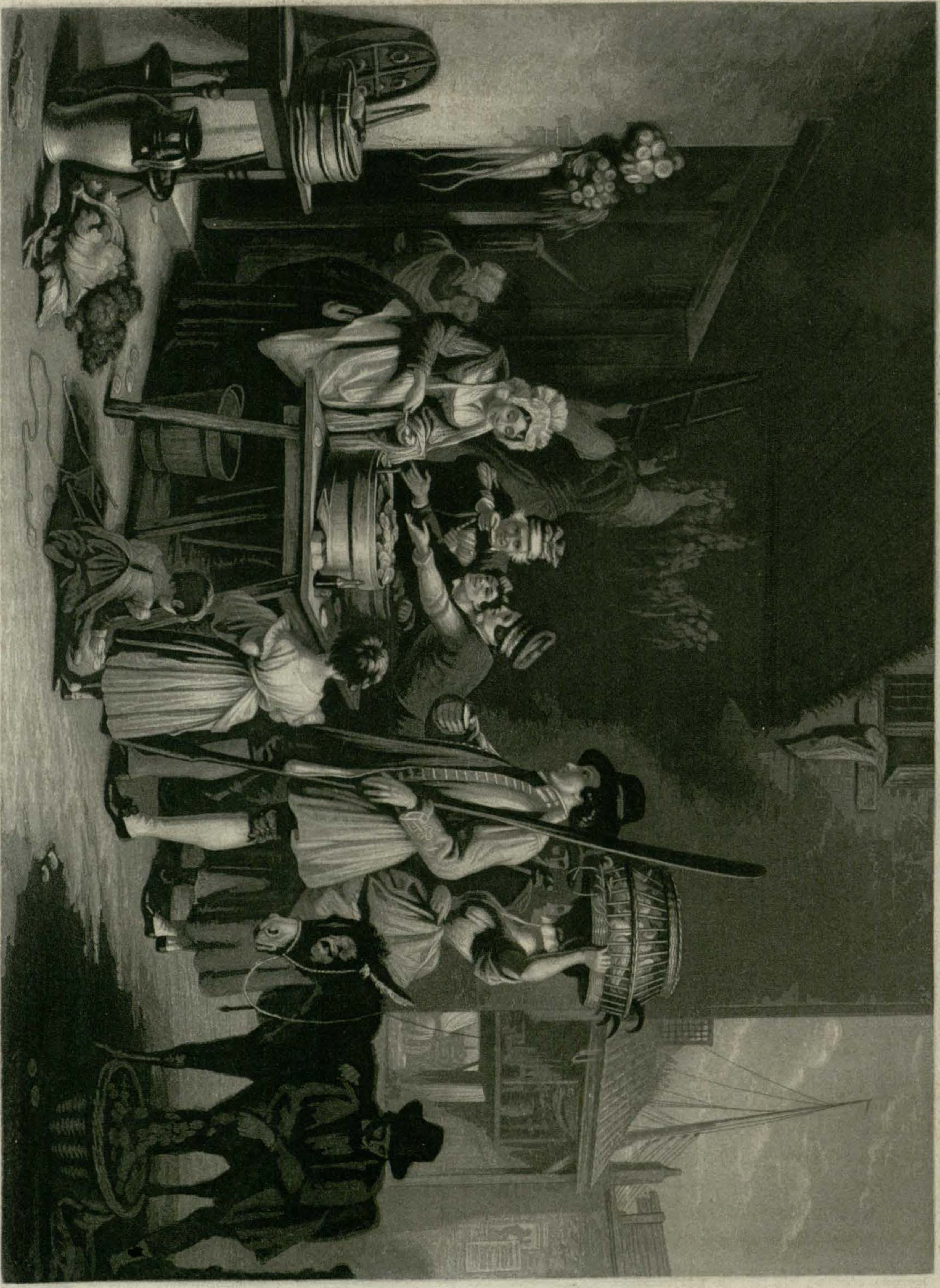
²⁴⁾ Rachunek Morsztyna z roku 1669 podpisany przez Deputatów, w oryginale dochowany w Archiwum Koronnem, o pieniądzech wcale nie wspomina.

²⁵⁾ Piechota zaciągana była w Niemczech za wiadomością Rzeczypospolitej za listami odpowiednemi króla (V. L. 4. fol. 83). W Polsce zaś, wysłani werbownicy przez Hetmana, chodzili po wsiach i miasteczkach z bębniem, i przystających wolnych ludzi (purgamenta et foeces pagorum) kilku złotemi pod chorągwie zaciągali. Gdy znaczną liczbę zebrali, napadli na wieśniaków, a nawet na domy i rekruta już przyzwyczajali do łupieztwa. Przeto też późno się zbierali do obozu (Koch. Clim. 2. p. 353). Tu dawano im ze skarbu pałasz, siekiere, strzelbę długą i proch. Pułkownikami czyli Oberszterami byli zawsze szlachta polska, lecz Majorowie, Kapitanowie, Lejtnanci i Porucznicy, jakoteż kwater-magister-Wachmistrze i inni Unteroficerowie (V. L. 5. fol. 174) mogli być Niemcy.

nico stanie zostawała Jazda; dzieliła się na lekką i ciężką. Do pierwszej należały chorągwie Kozackie, Wołoskie, Dragoni, Rajtary i Tatarzy Litewscy; do drugiej Husarze i Pancerni w Polsce, a Piatyhorcy w Litwie ²⁶⁾.

D. n.

²⁶⁾ Wołochów tylko po jednej chorągwi mogli Hetmanowie Wielcy utrzymywać (V. L. 4. fol. 522). Dragonia służyła pieszo lub na koniu według okoliczności. Rajtaryą pod tytułem Arkabuzerów jako milicyą w Polsce mniej potrzebną 1670 r. zwinięto (V. L. V. fol. 74). Całem uzbrojeniem jazdy lekkiej był pistolet i pałasz. Hussarze (Kopijnicy) nosili żelazne kaftany na sobie, szyszak na głowie i żelazne rękawice, a uzbrojeni byli w pikę długą 8½ łokcia, pistolet i dwa pałasze, z których jednego do cięcia a drugiego, do kłucia używali, siedząc na dzielnych koniach, wartujących niekiedy po 1000 i więcej dukatów. Na zbrojach zawieszono mieli skóry lampartów, rysiów, lwów lub niedzwiedzi, a za szyszakiem pióra strusie, sępie albo żurawie. Ci, albo w przechodzie, albo na łęgach, albo też w boju zawsze mieli pierwszeństwo, a petyhorcy i pancerni uzbrojeni w pancerze z łusek żelaznych, nie mogące wytrzymać impetu kuli, ale od strzał zabezpieczające, karabin, a niekiedy łuk ze strzałami nosili. Co do ozdób, w niczem Husarzom nie ustępowali. Lubo w jeździe ciężkiej, i nieszlachta, po widocznie okazanych męstwa dowodach, umieszczaną być mogła, — jednakże koszta, zawsze jój prawie wstęp zagradzały. Wszyscy nazywali towarzyszami, a ich służący za drugiego rzędu żołnierzy byli uważani, gdyż jak każdy z nich na 2 lub trzy konie służył, tak żołd pobierał, i liczbę ludzi według zobowiązania się utrzymywał. Ludzie ci mianowani szeregowemi, albo pocztowemi, stawali w obwodzie w chwili bitwy. Oprócz tych, wielu utrzymywało kozaków do prowadzenia koni podwodowych lub do noszenia broni (Koch. Cl. 1. lib. 64. pag. 821). Przy wozach zaś, wielka liczba musiała być czeladzi i ciurów opatrzonych w muszkiety i ręczną broń. Ale pod Pilawcami nie było 30,000 wojska, a wozów kutych 100,000 z górą rachowano. Z rodzajów żołnierzy tu opisanych składały się Gwardye Narodowe, nie przenoszące 1200 ludzi kosztem Skarbu królewskiego utrzymywane. Chorągwie pańskie, zaciągane dla okazałości w pokoju, a w wojnie płacone czasem przez samych panów, a niekiedy gdy się panu podobą, a Rzeczpospolita tego potrzebowała, na jój żołd przechodziły. Kwarciani ciągle ze Skarbu publicznego płaceni byli. Żołd wypłacany był kwarralnie: na Husarza 60 zł. Pancernego 48. Petyhorca 50. Rajtara 41. Dragona 36. Pieszego 33 (V. L. 4. fol. 297). Do tego żołdu, jeżeli w Prussach wojsko walczyło, dodawano prowiant, naznaczaając z jednego łanu żyta korzec 1½ — Słodu korzec 1½ — Owsa 3 korce. — Grochu ćwierć 1. — Kaszy ćwierć 1. — Z dziesięciu zaś łanów, mięsa poleć i Jałowicę.



MIŁOŚNICY OSTRYG

(ZE STALORYTEM).

Co było powodem, głód, czy zbytek? że ludzie przewyciężyli wstręt naturalny jakiego się doznaje na widok niekształtnego skorupiaka, do jakich ślimaki, ostrygi i raki policzyć można? nie wiadomo. Raczej domyślaćby się można, iż mieszkańcy nadbrzeżni, będąc w stanie dzikości jeszcze, a tém samym z nierozwiniętym smakiem i pojęciem o kształtach foremnych lub potwornych, wiedzeni tylko instynktem zachowawczym, spożywali najobrzydliwsze, byle nie trujące, twory i potwory morskie. — Nawyknięcie to podali przyszłym pokoleniom; a przesył, szukający rozmaitych sposobów aby coś podniebienie łechcącego nowością i rzadkością wymyśleć i wynaleść — podniósł wstrętne dla oka żyjątko, do zaszczytnego stopnia łakoci. — Smakosze przezwali je *owocami morza*, nie bacząc, że obok pięknych, nęcących oko, rozlicznych owoców świata roślinnego, stanowią one istną *parodję*; że morze na stokroć piękniejsze frukta zdobywa się zawsze; że te wyrzutki z łona jego, widocznie dla ptaków tylko, nie mających innego pożywienia nad brzegami zostawiane, raczej *śmieciami morza* nazwałoby można.

My, stałego lądu mieszkańcy, a mianowicie Polacy, którzyśmy mniej od innych narodów odbiegli od *zdrowego smaku*, podziwiamy to nadzwyczajne, szalone rzecz można, upodobanie mieszkańców nadbrzeżnych, do tych tak zwanych owoców morskich, a nawet ostryg, które sobie już w całej Europie prawo obywatelstwa wyrobiły. — Dla czego one takiego doznają szacunku? niewiadomo — boć wiele jest smaczniejszych a nie tyle obrzydliwej powierzchowności przysmaków. — Może słusznie twierdzą niektórzy, że gdyby ostrygi nie były rzadkością sprowadzaną z dalekich stron, którą opłacać nie tylko kieszenią ale i zdrowiem częstokroć trzeba; nie byłyby tak poszukiwane i nie tak łatwo zwalczyćby się dał początkowy wstręt, któremu prawie kaźden z początku ulega, gdy mu *wypada* dla ciekawości, lub mody, włożyć raz pierwszy w usta ślimaka! — Lecz gdy raz moda i zbytek odniosą zwycięztwo nad naturalnym wstrętem, wtedy rozsmakuje się podniebienie i brzydki ślimak staje się łakocią.

Dzięki kolei żelaznej, przysmak ten mniej jest

u nas niebezpiecznym jak dawniej; kiedy dłużej podróżując ostrygi mniej świeże przychodziły. — Bywało też mnóstwo smutnych wypadków. Pewien młody człowiek wytwornie wychowany, mający się wkrótce żenić, założył się z kolegami że od razu zjeść gotów 300 ostryg, tak jest do nich przyzwyczajony. — Dla czegożby koledzy niepoklasnęli podobnemu zakładowi, który im nastreczał sposobność wyrzucenia pieniędzy, pośmiania się i wypicia kosza szampana wygrywanego? — Zebrali się więc do sławnej wówczas Restauracyi na godzinę umówioną — Bohater odważnie spotkał się z ostrygami, istotnie połknął ich naznaczoną ilość z zadziwieniem wszystkich; — ale w kilka godzin narzeczona rozpaczała, Rodzice opłakiwali Syna, dla którego świetnej przyszłości, inną śmierci spodziewać się mogli! — Wiadomo jak często ten zbytkowy pokarm szkodzi zdrowiu; dzieje się to z powodu, że trudno aby wszystkie ostrygi żywe doszły — pakowane razem, nie dziwnego że z braku dobrego powietrza, wiele z nich nieżywych dochodzi, a im dłużej są w tym stanie, tém łatwiej swoim rozkładem zarażają sąsiednie muszle — i choćby z największą sumiennością i ostrożnością sprowadzający je kupiec, trudnił się tym handlem, odpowiedzieć nie może, czy pomiędzy sprowadzonymi nie było nadpsutych, a tém samym bardzo szkodliwych ostryg.

Mieszkańcy nadmorscy zabezpieczeni są z tej strony, i dziwią się, jak mogą ludzie smakować w przywiezionych a tém samym w nie dość świeżych ostrygach? — Oni bowiem, wszystkie zachowują ostrożności, żeby ten przysmak był dobry i nieszkodliwy. — Przez trzy miesiące letnie, to jest Czerwiec, Lipiec i Sierpień, nie jedzą ich wcale, tylko w potrzebie nieświadomych częstują cudzoziemców, nie troszcząc się czy im to posłuży na zdrowie. — Dopiero 11 Września jest dniem *Wielkim*, dniem jakby świątecznym, w którym kosze świeżych ostryg z morza wyjętych, zaraz nad brzegiem w sklepikach na to urządzonych, wabią różnego wieku i stanu mieszkańców. — Wszyscy tak natarczywie dopominają się długo niewidzianej łakoci, że przedsiębiorcy tego handlu, nie mogą nastarczyć podawać i otwierać skorupiek.

KRÓTKIE DZIEJE

JĘZYKA UKRAIŃSKIEGO.

Język ukraiński, bogaty i dźwięczny, na który już w wieku XVI przełożoną została ewangelija; język, w którym brzmią dotąd pełne rzewności dumy i pieśni ludowe; któren tak malowniczo wyraża humor ukraiński; pochodzi od tego, jakim oddawna mówili spokojni, łagodnych obyczajów Polanie, po obu brzegach Dniepru zamieszkali, Suliczanie, Uhliczanie i w ogólności miliony Słowian na przestrzeni od gór Karpackich aż do brzegów Donu. Język ten stał się narodowym, skutkiem wielu kolei, którym podlegały ludy, tymże językiem mówiący aż do naszych czasów; języki bowiem i ludy powstają razem, wspólnie wiek młodzieńczy przechodzą, męźnieją, kwitną i upadają.

Lud spokojny, małemi żyjący gromadami, podbijany był, jak zwykle, przez różne narody, a skutkiem długiej zależności, przyjmował obce wyrazy do swego języka. Tym sposobem, przed przyjściem Askolda i Dira do Kijowa, nad całą Rusią południową panowali naprzód Gotowie i różne plemiona azyatyckie, jako to: Hunnowie, Sarmaci i t. d., a następnie Kozarowie, Pieczyngowie i inni. Ztąd wiele wyrazów obcych pozostało w potocznym języku ukraińskim. Gdy język cerkiewno-słowiański utrwalił się przez pomniki piśmienne, ludowy ukraiński zmieniał się coraz bardziej, od czasu bowiem zburzenia Kijowa przez Mongołów (r. 1240), Ukraina trzy razy władców swych odmieniała.

Historję języka ukraińskiego na trzy okresy podzielić można: 1) od czasów najdawniejszych do podbicia Kijowa przez Mongołów: 2) od przyłączenia Rusi południowej do Polski za w. ks. litewskiego Jagiełły (1383) do hetmana Bohdana Zebnobjusza Chmielnickiego (1654), i nareszcie 3) nowszy okres, od Bohdana do naszych czasów.

I. OKRES NAJDAWNIEJSZY. W czasach oddalonych, nad Słowianami-Polanami panowali Gotowie aż do Ermanaryka, którego pokonał dowódzca Hunnów Attyla, *biczem bożym* przezwany. Od czasu panowania Gotów, wiele wyrazów, jako pomników lingwistycznych, pozostało w potocznej mowie ukraińskiej; takimi są, pomiędzy innymi: *plug* (pflug), *musity*, *mandrowaty* albo *wandrowaty* (wandern), *palamar* (palmer), *mordowaty* (mordern), *plundro-*

waty (plundern), *styna* (stein), *bereg* (berg), i t. d. Gdy zaś ciż sami Gotowie, pod nazwą Waregów-Russów albo Normannów początek dali państwu ruskiemu (r. 862), wiele wyrazów ich, swoją kolejną, językowi ukraińskiemu przyswojonych zostało. Przedtém jeszcze ten ostatni przyjmował wyrazy azyatyckie od Hunnów, Kozarów, Pieczyngów, Kosogów, Berendejów, Torków, Kłobuków czarnych, którzy nad Rosią i Dnieprem osady i miasta zakładali. Oto są niektóre z wyrazów azyatyckich: *saraj* (szopa), *ambar* (spichrz), *baszka* (głowa), *burdiug* (ogon barani), *kawun*, *basztan*, *kozak*, *hajdamak*, *karman* (kieszeń), *kowiar*, *kaiula* (gula, kula), *otara*, *buhaj*, *czaban*, *kukuruza*, *tiutiun*, *majdan*, *szater* (namiot) i t. d.

Po zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej przez wielkiego księcia Włodzimierza (r. 988), pojawiły się wraz z wyobrażeniami, wiary, nowe z greckiego języka wzięte wyrazy teologiczne, dogmatyczne i cerkiewne; niektóre z nich już przekrecone, dochowały się w mowie ludowej, jak np. *biskupij*, *proskura*, *pip*, *dyskos*, *orar*, *archipatryka*, *krutopip*, *kołof*, *kryłos*, i t. p. Do najdawniejszych okresu, tego pomników należą obrzędowe pieśni ludowe, „powieść o pułku Igora,” po części Prawda Ruska (r. 1020) i testament Włodzimierza Monomacha. Kronika Nestora będąc w języku cerkiewno-słowiańskim pisana, bardzo mało wyrażen ludowych zawiera, jak np. *wiëno*, (wiano), *grobla*, *kunica* (opłata za wywód) i t. d.

Zatargi książąt udzielnych, Ruś barbarzyńskiemi Połowców hordami napełniały i przyczyniły się też głównie do zepsucia języka ukraińskiego, który od tych, jak ich Mongołowie (od r. 1224) nazywali, *koniuchów*, nie mało przyjąć musiał wyrazów azyatyckich.

II. OKRES ZAPOROZKO-POLSKI. Baty, napadłszy na Ruś, zburzył Kijów, (r. 1240) i monaster pieczarski; miasta i wsie aż do Węgier i granic niemieckich pustkami stały; mieszkańcy zamiast niewoli, szukali ocalenia w lasach niedostępnych, wpośród bagien, na wyspach Dunaju, następnie na archipelagu w bliskości ujścia Dniepru, poniżej progów. Tu, z postępem czasu, założoną została *Sicz*

zaporozka albo po prostu *Zaporoże*. Mieszkańcy Siczy, łupiąc na lądzie i na morzu, hulaszce życie pędzili. Pod wodzą swych koszowych, stali się wkrótce postrachem dla Turcyi i Azji mniejszej. Trebizont, Synopa i inne miasta nieraz dzikiej ich srogości doświadczały. Zaporozcy osobny dla siebie utworzyli dyalekt, rozmaicie dźwięki słowiańskie przekręcając, tudzież wprowadzając *metaplazmy* czyli skrócenia (ucięcia). Napływ ludu do Zaporozża wzmagał się coraz bardziej.

Po za ostatnim progiem dniewprowskim, *wolnym* przewanym, leży na odległości wystrzału działowego, wyspa *Kaszowaryca*. Tu się zbierali Zaporozcy dla wyprawiania uczt, za skarby w Azji mniejszej i na Litwie zdobyte; z otwartymi ramionami przyjmowali oni każdego przybysza, przytułku u nich szukającego; uprzejmie ugaszczali go *salamatą*, *kuliszem*, i *wareniuchą*; potem przyjmowali go w poczet bractwa swego, następnych dopełniając obrzędów: kawalkiem kosy golono nowicyuszowi całą głowę, na prawej tylko stronie ciemienia zostawiając kosmyk (kosicę) włosów (po ukraińsku *oseledec*), tudzież wasy, zwyczajem Światosława, jako oznakę swobody i rycerstwa (po ukr. *tycarstwa*). Następnie koszulę przybysza umoczywszy w dziegiu, wkładano nań, ażeby ją aż do podarcia nosił na sobie. Nowoprzyjęty do bractwa, niepoprzestawał naturalnie na samej tylko zewnętrznej, jaką przybierał, postaci; lecz niebawem o ile można było, przez wrodzony każdemu pociąg do wszelkiej nowości, a następnie z przyzwyczajenia, usiłował przyswoić sobie mowę swych towarzyszków. Tym więc sposobem nowe na Rusi południowej pojawiło się narzecze; powstały wyrazy: *wedmił*, zamiast *miedwied* (niedźwiedź), *tycar*, zamiast *rycar* (rycerz); *namisto* zamiast *manisto*; zamiast: *był*, *jadł* (jeł)—*buw*, *jiw*, *wnuk*, *wdowa*,—*onuk*, *udowa*, i t. d.

Tymczasem w. ks. litewski Giedymin, dźwignął z pod gruzów Kijów około roku 1320. Zgliszczą się zaludniły, i niejeden zaporozec albo berładnik, sprzykrzywszy sobie awanturnictwo i krwawe z wrogiem zapasy, wracał ze skarbem nagrąbionym do życia rodzinnego, a zamiast siebie, wyprawiał już synów swych i wnuków do Zaporozża, do swych dawnych towarzyszków, dla kształcenia się w rzemiośle zaporozkiem i hajdamackiem. Pochodziło to już zapewne z wrodzonej do zysku i grabieży skłonności. Język, który Litwini *ruskim* nazywali, szerzył

się tymczasem po całej Rusi południowej, która na krótko przedtém nazwę Małej Rusi przyjęła.

Jagiello, w. ks. Litewski wstąpiwszy około roku 1383 w związek małżeński z królową polską Jadwigą, wszystkie swe posiadłości, *jako równe z równymi* (podług brzmienia aktów) z Polską połączył. Od tego czasu Ukraina czyli Ruś Mała do Polski należała, stanowiąc jej trzecią, główną prowincję i biorąc udział we wszystkich jej wojnach i zwycięstwach.

Stefan Batory nadał Ukrainie różne prawa i przywileje, jako to: *Statut Litewski*, a miastom *prawo magdeburskie*; podzielił ją na województwa, powiaty i pułki. Jednocześnie weszły do języka ukraińskiego nowe pojęcia i nowe nazwy, jako to: sądownictwa, urzędów i t. d., słowem język ukraiński wzbogacił się wyrazami *administracyjnemi*, *sądowemi*, *biórowemi*; przybrał styl Słowian zachodnich, a w szczególności polskich, co stwierdzają dowodnie liczne uniwersały i akta w owym czasie pisane. Otworzyło się pole swobodne dla pisarzy (sekretarzy) powiatowych, pułkowych, wojskowych: do wykazania swój biegłości (erudycyi), oraz upstrzenia stylu wyrazami polsko-łacińskimi, ażeby się od *pospólstwa* odróżnić mogli byli.

W tym okresie pojawiło się w języku ukraińskim wiele wyrazów z niemieckiego języka wziętych jak np. *kgwałt*, *kgwałtowny*, *szynk*, *szynkowaty*, *oręda* (aręda) *randa*, *orandar*, *lichtarnia*, *lichtar*, *meszenz*, *prancyber*, *rachunok*, *rachowaty*, *kwarta*, *kerbil*, *browar*, *talirka* i t. d. Wychodziły również w owym czasie w Kijowie, Lwowie i Krakowie kazania i nauki dla ludu unickiego pisane w języku, w którym większa część wyrazów z łacińskiego i polskiego przerobionych było, jak np. *purgatorya*, *limb*, *kanonik*, *sakramentowaty sia*, *uffaty*, *pragnuty*, i t. d.

Za czasów Chmielnickiego (który r. 1654 Ukrainę Moskwie poddał), powstało mnóstwo dum i pieśni treści elegicznej; nie brak też z owej epoki utworów, pełnych humoru satyrycznego.

III. Nowszy okres, od Bohdana Chmielnickiego (r. 1654) aż do naszych czasów, odznacza się zwrotem do starożytnych form języka cerkiewno-słowiańskiego. Kijowska akademija, przez hetmana Piotra Konaszewicza (Sahajdacznego) wznowiona, wykształciła wielu ludzi uczonych, rodowitych ukraińców, którzy pisali dla ludu *dramy* i *farsy wertepowe*, naśladowując podobne utwory Hiszpanów i Francuzów z wieku XVII. Treść ich zwykle brana była

z Pisma Świętego, przedstawieniom tym zaś śpiew i muzyka towarzyszyły. Przechodząc do nowszych czasów, wspomniemy tutaj o tych tylko, którzy ojczystą literaturę uprawiali. Z ich liczby na szczególną wzmiankę zasługują: *Kotlarewski*, autor trawestowanej („perelicijowanej”) Eneidy i kilku dramatów z życia ludu ukraińskiego (np. „Natałka półtawka”); *Kwitka* („Hryćko Osnowjanenko”), znany i powszechnie ulubiony powieścio-pisarz; *Hulak Artemowski*, autor kilku powieści wierszem pisanych, tudzież wyborny tłumacz ód Horacyusza i ballad Mickiewicza („Pani Twardowska”); *Hrebin-*

ka, powieścio-pisarz, tłumacz „Póltawy” Puszkina i t. d.; wreszcie *Szewczenko*, jeden z najulubieńszych poetów ludu ukraińskiego (zgasły w roku 1861; pani *Markowiczowa*, pisząca pod pseudonymem „Marka Wowczka,” autorka zajmujących powieści i opowiadań, z życia ludu ukraińskiego zaczerpniętych, i wielu innych. Obecnie literatura ukraińska, długo uszpaniona i zapomniana, obudziła się do nowego życia, a coraz wzmagający się zastęp pisarzy ukraińskich, uprawiając gorliwie język ojczysty, rokuje dlań przyszłość najpomyślniejszą.

J. S.

KURKA WODNA Z OSTROGAMI.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Ptaka przedstawiony na niniejszej rycinie znany był Linneuszowi i otrzymał od niego nazwisko *Parra Jacana*. Jest to jedna z najdziwniejszych postaci jakie w świecie skrzydlatym napotkać można. Smukła, udatna budowa, szerokie ostrogą opatrzone skrzydła, mały zadarty jakby ucięty ogonek, mięsiste narośle i wisiadła u dzioba, nakoniec nadzwyczaj wysokie, opatrzone długimi palcami i niesłychanie wielkimi pazurami nogi, nadają całemu składowi tego ptaka cechę nadzwyczajności a nawet dziwaczności.

Ten rodzaj Kurki wodnej żyje dziko w południowej Ameryce, mianowicie w Brazylii i tam jest najpospolitszym bagien mieszkańcem. Wszędzie gdzie tylko znajdują się wilgotne łąki i bagniste miejsca, tak w głębi kraju jak i nad brzegiem morza, nawet na mokrych brzegach rzek i na bagniskach w głębi dziewiczych lasów, Kurka ta obficie się znajduje. — W Brazylii znana jest pod rozmaitemi nazwami: I tak w prowincyi Bahja zowią ją *Jacana* (Jasana) na brzegach wschodnich *Piaçoca* (Piasoka). Ruchy jej są lekkie i zręczne, często stąpa z lekka po liściach wodnych roślin pływających na wodzie, przy czem wielką pomocą są jej niezmierne długie palce i szpony. Nie jest ona zbyt lekliwą; za zbliżeniem się człowieka lub łodzi, wzlatuje, ale zaraz w pobliżności znowu zapada. Książę Neu-Wied który miał często sposobność uważania zwyczajów tego ptaka, nie widział go nigdy pływającym, kiedy tym czasem właściwe kurki wodne, lubią bardzo pływać.

Spuszczając się z lotu i siadając na lądzie, rozwija szerokie, jasnozielonemi lotkami ozdobne skrzydła i wydaje głos podobny nieco do śmiechu ludzkiego. Szczególnie, korzystnie przedstawiają się stare kiedy w żywych ruchach przebiegają po szerokich liściach wodnych roślin ciągle schylając się, aby poszukiwać owadów, poczwerek i innych wodnych żyjątek.

Gniazd sztucznych nie robią, wybierają tylko na nie kawałek suchego miejsca wśród bagna. Znoszą po 4 do 6 jaj brunatno-zielonych z brunatnymi plamkami, składając je najpospolicij wprost na ziemię.

Mięso kurki tej jest smaczne, łatwo ją też oswoić i chować z drobiem na podwórzu.

Mała jest różnica między samcem i samicą; dziob pomarańczowy, koralowe mięsiste przyrośla, głowa, szyja i piersi szaro-czarne, grzbiet zwierzchnie pióra skrzydeł i ogon brunatno-czerwone, boki brzucha i górna część ogona purpurowo brunatne, lotki zielonkawato-żółte z czarnymi brzegami i końcami; nogi zielonawo-błękitne.

Taki okaz dojrzały przedstawia przednia postać naszego obrazu, za nią stoi młody samczyk który dla bardzo odmiennej barwy piór, uważany był dawniej za oddzielny gatunek i w gabinetach, dawano mu nazwę *Parra variabilis*. Brzuch u młodych jest biały, piersi żółtawe, nad oczami rysuje się żółtawo-biały (u samic czerwony) pas aż do szyi. Grzbiet jest brunatny, pióra na łopatkach czerwone, czarno zakończone; kolor dzióbka mniej jest żywy, a nogi bardziej szare niż u starych.



STAN POLSKI

(Dalszy ciąg).

W Polsce, dawniej ciężka jazda stanowiła właściwie siłę wojska koronnego. Z samej Szlachty złożona, dzielnie uzbrojona i najsilniejsza przy spotkaniu, stanowiła czoło Gwardyi królewskiej, chorągwi pańskich, i pomiędzy kwarcianami którzy jedynie byli stałem Rzeczypospolitej wojskiem, pierwsze miejsce trzymała. (Z jakiego gatunku żołnierza składali się kwarciani? i jaką ilość Województwa szczególne ich wystawiały, dostatecznie opisuje Konstytucya z roku 1649 Vol. Leg. 4. fol. 189 i 273). Łamała walecznie szyki nieprzyjaciół, gdy jazda lekka z Kozakami i Tatarami mogła się potykać korzystnie. Ale zbyt szczupła była liczba wojska stałego na tak obszerne państwo jakim była ówczesna Polska, aby zawsze dała skuteczny odpór nieprzyjaciółom. Więcej nad 36,000 za Jana Kazimierza nigdy nie liczono, a po jego abdykacyi zaledwo 12000 liczba wynosiła, przecież i na tych utrzymanie skarb publiczny nie wystarczał, chociaż zbyt mierny żołd pobierali. Zaczém ustępstwa czynić musiano, dla ułagodzenia żołdactwa, pozwolono mu z dóbr królewskich i duchownych wybierać stacye po 20 zł. z łanu. To zaś jak straszne za sobą pociągnęło skutki, łatwo sobie można wystawić, gdy szlachta obwarowała się konstytucyą r. 1653, ażeby pod infamią i pod gardłem, żaden żołnierz jakiego bądź stopnia nie poważył się stanąć w jej dobrach. Ponieważ wojsko z największym przepychem żyć nauczone, wiodąc za sobą tłumy ludu luźnego i wozów, bardziej dla okazałości niż do potrzeby służących, wszystko wydierało rolnikom, a wsie i miasta w niwecz obracało (Starowol. R. P. 27. — Koch. Clim. 1. lib. 1. pag. 53 et Clim. 2. l. 5. 351. pag. Tward. 95 kar.). Nie dość na tém; napróżno czekając od Sejmu płacy ze Skarbu, bunt podnosiło, nie dbało na prawa, rzucało się gwałtem na dobra szlacheckie, z nich podatek wybierając; wypowiadało posłuszeństwo Hetmanom; rwało święte związki i zamieniało się w nieprzyjaciela własnej ojczyzny; co większa, do

tego stopnia zuchwałości przyszło, iż niekiedy krwią swoich wodzów poważyło się zbrodnicze ręce zmaczać; a z tej niekarności i zbytków łatwo już poznać, jakim ciężarem stawał się żołnierz dla spółobywateli, a jak mało im pożytku przynosił. Najwięcej jednak do słabości jego przyczynił się brak ćwiczeń i rozdzielenie na dwa oddzielne, nie zależne od siebie wojska pod Hetmanami Koronnym i Litewskim. Hetmanowie ci, nie odpowiedzialni za postępowanie, według upodobania prowadzili wojsko, szykowali do boju, dawali znak do bitwy lub odwrotu i występnych karali. Często więc dla osobistej ich zawiści, kiedy jedno szło na nieprzyjaciela, drugie się zatrzymywało; nie raz same sobie zagrażały. Dla ich niedbałości, niedostatek w żywności prawie zawsze czuć się dawał. Wybierani powszechnie z najzamożniejszych domów i najprzychylniejszych dworowi, często nieświadomi taktyki wojennej byli; przez dumę popartą wojskiem, stawali się uciążliwymi całemu krajowi; przecież ich potęga jeszcze nie była na tym stopniu, na jakim pod Sobieskim, Pacami i Jabłonowskim stanęła.

To powiedziawszy o składzie wojska Rzeczypospolitej, — o sztuce wojennej, która po zagranicami kraju, w ościennych państwach, daleko wyżej stała, w krótkości należy nadmienić:

Stosownie do narodu z którym walczyli, zmieniali polacy sposób wojowania i odmiennie szyk ustawiali ²⁶⁾. Nie było takowych ćwiczeń, na jakie się teraz patrzymy; długie tylko doświadczenie pra-

²⁶⁾ *Szyk przeciw Moskwie*: na prawem i lewem skrzydle, na przodzie Husarze z pancernymi, na tyle chorągwie niemieckie, piechota w środku uszykowana (Koch. Clim. 2 lib. pag. 474).

Szyk przeciw Kozakom. Czoło szyku poprzedzały działa, dalej 6 chorągwi piechoty, potem zaciężne pułki, Husarskie rotty stały we środku, po bokach Rajtarskie, na tyle piechota. Prawe i lewe skrzydło we środku miało pancernych, po bokach Kozacy i Dragonia, za niemi armaty, a w tyle szlachta z po-

ktyczne tak jazdy jak piechoty, stanowiło całą umiejętność. Artyllerya tylko w kwitnącym była stanie. Generalowie ćwiczeni po większej części za granicą, wprowadzili to wszystko, czego używano po innych krajach, nawet wiele swoich własnych poczynili wynalazków ²⁷⁾. Z fortec obwarowanych były znaczniejsze: Lwów, Zamość, Częstochowa i Kamieniec podolski, reszta kraju była zewsząd otwartą; dla tego przy nazbyt szczupłym wojsku, ważnym było stanowisko obozu i uszykowanie taboru ²⁸⁾, które jeżeli przełamane zostały, jedyny naówczas był ratunek w *pospolitem ruszeniu*. — „Każdy szlachcic, mówiły prawa polskie, rodzi się „żołnierzem, tym końcem dobra i opatrzenie ma

spol. ruszenia. (Relacya zwycięstwa pod Beresteczkiem). Szyku pierwszego używano przeciw Szwedom, drugiego przeciw Tatarom i Turkom.

²⁷⁾ Arciszewski, zebrawszy zwycięskie laury w Ameryce, poświęcił nabytą sztukę Ojczyźnie i wynalazł pontony. Aders Inżynier, wymyślił moździerze kamienne, jako też gatunki różnych kul ognistych, któremi szczęśliwie raził tatarów. Getkant pułkownik, Archymedkem od ówczesnych zwany, wynalazł granatniki i rodzaj owych ogromnych ziemnych moździerzy, takiej wielkości, że z jednego czterdzieści wozów kamieni na raz wyrzucał. Dzi-boni, przy hojnym wsparciu Jana Kazimierza, zakładał prochowe młyny i ludwisarnie po różnych miejscach. W rozprawie pod Beresteczkiem, pokazują się ślady użytych armat, dzisiejszym sposobem podzielonych między hufce piechoty, — daje się także widzieć sprawność polskich artylleryzystów, kiedy Przyjemski Generał postrzegłszy Hana, kazał z dwóch armat dać ognia, od którego poległ przybocznik jego, a koń pod samym Hanem. Grodzicki w trzech godzinach zdobył szturmem Grudziądz, gdzie 21 armat i 2 moździerze zabrał. Niemniej też był sławnym następcą jego Wolf, a potem Kącki, który żył jeszcze za Jana III. (Jakubowski Tom I. str. 16).

²⁸⁾ Kiedy w polu stało wojsko, w około się okopywało. Za wałem pospolicie 10 stóp wysokim (Tward. 71) dawali mocne opalisadowanie lub parkany. Przy fosie w okopie, we cztery rzędy stawały wozy spojone łańcuchami i przeplatane działami. Plac ten mogli ścieśniać, kopiąc insze rowy, a czasem pod zasłoną samych wozów uchodzili i to się zwało *Taborem*. Lecz w takim razie, już w 8 lub więcej szeregów wozy ściągawszy, stawiali przy nich piechotę i czeladź muszkietami uzbrojoną, a jazdę wysadzano po bokach. Pod zasłoną takiego taboru, mimo ciężkość znojów, mimo gór, bagnisk, zarośli i nacierającego nieprzyjaciela, po kilka mil na dzień uchodzono (Tward. 9). częstokroć szczęśliwie, lecz często dla niekarność, ulegano przemocy.

„nadane, aby z nich sam na koniu z bronią przy-
„zwoitą, własnym kosztem, niósł Ojczyźnie wspar-
„cie i obronę.” — Kto tylko zatem posiadał dobra ziemskie, kto tylko nie miał słusznych powodów do uwolnienia się od żołnierki, pod utratą majątku, sławy i życia, za wyjściem trzecich *Wici*, stawać musiał przed swoim wojewodą. (Inwent. praw sub pospol. rusz.). Ten przejrzawszy zgromadzonych, prowadził na miejsce przeznaczone do potyczki, w której król osobą swoją koniecznie dowodzić był obowiązany. Przeszło 200,000 szlachty z Korony i Litwy, nie rachując w to Wybranieckiej piechoty dawaną z królewskiej i używaną do naprawy dróg, (Vol. Leg. 4. fol. 480) mogło stanąć niegdyś przeciwko nieprzyjacielowi. Lecz w tych czasach nigdy tak wielka liczba zebrać się nie mogła. — Oprócz tego bowiem, że żadnej prowincyi nie można było nakazać, aby szła na ratunek drugiej, mimo ubóstwa wielu województw, co zawsze przeszkadzało połączeniu się wszystkich, nastąpiło teraz odwyknienie od broni. Za każdą przegraną z kozakami, ładowano statki w zamiarze uchodzenia do Gdańska (Tward.—72.—); za napadnięciem Szweda, gromadnie uciekała szlachta do Węgier i Szląska, nie śmiejąc stawić czoła nieprzyjacielowi. (Koch. Clim. 2. lib. 1. pag. 29). Za postąpieniem Rossyan pod Smoleńsk, poddano się bez żadnego oporu, chociaż zapasów było podostatkiem. Gdy zaś z czasem stanęło kilkadziesiąt tysięcy, niekarność, nieumiejętność, krótkość czasu dwuniedzielna i brak magazynów żywności, nie zdziałać znakomitego nie dozwoliły. Wiedziono poswarki z królem, zwalano cały ciężar wojny na Kwarcyanów (którzy znowu domagając się o żołd niewypłacony, bić się nie chcieli) i rozjeżdżano się do domów przed zakończeniem wojny. Dawniejszych czasów, gdy pospolitem ruszeniem inne narody wojowały, póki jeszcze sztuka wojenna przez Gustawa Adolfa i innych wodzów tyle udoskonaloną nie była, póki samo męstwo stanowiło o wygranej, a wojna jedną się bitwą kończyła; — Polacy znani z przywiązania do Ojczyzny i waleczności, mogli odpierać nieprzyjaciół, a nawet rozszerzać granice swoje; lecz teraz, mając do czynienia z mężnym i udoskonalonym w taktyce szwedem, walcząc przeciwko sprawnemu kozactwu i natarczwym tatarom, — prowadząc wojnę z Rossyanami jak najściślej dopełniającymi rozkazów swojego wodza, — musieli być zawiedzeni. Wprawdzie na łonie bezrządu ukształcili się Czarnieccy, Koniecpolscy, Kowalscy i inni, którzy odświeżając przykłady Fabjuszów,

Kamillów i Cynegirów, kraj od jarzma uwolnili, lecz były to pojedyncze osoby, nie zawsze naśladowane przez ogół narodu.

Nie lepszą spokojność wewnętrzną prawa nadały krajowi.

WŁADZA SĄDOWNICZA. Wszedłszy powoli stany do uczestnictwa mocy prawodawczej, wchodzić też poczęły do wszelkich ustaw względem Sądów krajowych, które przedtém były wyłącznym zatrudnieniem króla. Stefan Batory w r. 1578 zrzekł się sądownictwa, przez ustanowienie *Trybunałów*, Koronnego i Litewskiego, zostawiwszy sobie tylko prezydencją na Sądach Sejmowych i Relacyjnych, jakoteż udzielanie władzy namiestniczej powagi kanclerzowi lub podkanclerzemu zasiadania na sądach assessor-skich, co wymierzały poddanym królewskim sprawiedliwość. Do tych dodawszy Marszałkowskie, Skarbowe, Metropolitalne i Nuncyatorskie, a w czasie bezkrólewia Kapturowe, będą już wszystkie sądy ówczesne najwyższe. Niższe zaś były Ziemskie i Podkomorskie; pierwsze we wszelkich sprawach szlachty, drugie o granice dóbr ziemskich, obudwu apelacya na Trybunał; Wojewodzińskie, sądzące żydów po miastach królewskich i miejskie, z odwołaniem się do assessorji; a nareszcie Duchowne konsystorskie w każdej Dyecezyi. Sądy te w sprawach cywilnych byłyby dostatecznymi, gdyby nie zrywanie sejmików i Sejmów, na których tylko wybierano deputatów na Trybunał, a sędziów do ziemstwa; gdyby nie zuchwale gwałty, stracony wzgląd na prawa i nieczęsta administracya, nie tamowały zbyt często biegu sprawiedliwości. Nie dosyć bowiem, że niepotrzebowano żadnych stopni przechodzić, ani wymagano od starającego się stósownych usposobień do tak świętego urzędu; niedosyć że los ślepy albo wziętosć najczęściej przewodniczyła w osiągnięciu godności sędziego, ale nadto za jęj sprawowanie jak nikt płatnym, tak nikomu nie był odpowiedzialnym; podług woli tłumaczył prawo, według przywidzeń lub interessu dawał wyroki. Do tego wielość spraw, zagnatwanie postępowania sądowego, mnogość ciemnych prawników, i zmiana dwuletnia sędziów, czyniły niektóre sprawy wiecznymi. Wreszcie eksekucya dopiero za uproszeniem siły od obywateli Powiatu przez dziwaczną mieszanię sprawiedliwości z gwałtownością, odbywać się mogła. Osądzony, ze swojemi przyjaciółmi, często dawał mocny odpór, z kąd ohydne najazdy wzięły początek. Napadano i niszczoneo się wzajemnie. Wielu nie mogąc doczekać się wyroku, sami zbrojną ręką wymierzali sobie spra-

wiedliwość, i nieraz widziano, jak potężny szlachcic oblegał zamek drugiego szlachcica. *Expulsia* z dóbr nie zamieniała się w występki, jeżeli kto nie mógł dowieść spokojnej possessyi, co trudno było okazać, gdy dowody przez nieprzyjaciół spalone, lub do Sztokolmu wywiezione zostały, a w zniszczonem tylokrotnie państwie zatracono dawnych granic ślady. Ztąd zatem od téj epoki, którą mamy tu przed oczyma, szermierstwa prawnicze wzmagać się poczęły; duch pieniaczki ogarnął wszystkich umysły; mniej zważano na Banicye i Kondemnaty, niegdyś tyle straszne, przez co żaden wiek, występków, zbrodni i gwałtów więcej nie wydał nad wiek XVII (Czerwiński Tom 2 str. 109).

Sądy Kryminalne w Polsce były dwojakie, jedne sądziły szlachtę, drugie karały mieszczan i poddanych. Pierwsze Starostom Grodowym, ostatnie niektórym miastom zalecano. Dopóki sami starostowie sądzili, porządek i bezpieczeństwo wewnętrzne było dostatecznie zapewnione; ale jak prędko w zaburzeniach pod Janem Kazimierzem, czasem, i kiedy im się podobało na sądy zjeżdżali; jak prędko władzę obierania Sędziego narodowi, albo samemu królowi właściwą, w bezkrólewjach sobie przywłaszczyli i słuźalców na miejsce swoje zasadzili; zginęła sprawiedliwość, wzniósł się nierząd, biegał bezkarny zło-czyńca szlachcic, nastaly po drogach publicznych kradzieże, gwałty i rozboje ośmielone prawami, gdyż według nich przytrzymanym być nie mógł, dopóki przekonany nie został przysięgą dwunastu obywateli. W sądach kryminalnych po miastach sędzia dla ludu bywał obierany i każdego czasu sprawiedliwość wymierzał; i ta to gotowość na ukaranie zbrodni sprawiła, że w pomiarze do liczby osób, więcej zło-czyńców ze szlachty, niżeli z mieszczan lub wieśniaków bywało (Staszic w uwagach nad życiem Zamojskiego). Od Sądów tych apellacya zostawała na Trybunał, gdzie równie jak i w pierwszych, przy ciągnięciu inkwizycyi, *tortur* używano. Oprócz tego zabytku barbarzyństwa średnich wieków, dochował się jeszcze jeden z sądów boskich *plawienia czarownic*, które, jeżeli nie utonęły, traciły życie na stosie wolnego ognia. Na istotne jednak zbrodnie nie było tak dalece kar srogich. Nieszlachcic karany bywał więzieniem, karą cielesną, lub wreszcie mieczem albo szubienicą, i w takim razie w Polsce, strona powodowa kata swoim kosztem sprowadzała; w Litwie zaś, płaciła mu strona żałobna. Skazanego na śmierć mógł ułaskawić Monarcha przez listy żelazne. Na szlachcica nie było straszniejszej kary jak

wieża dolna lub górna, infamia i grzywny. Wieża, czyli więzienie w jamie dwanaście łokci głębokiej i ciemnej, przyzwyczajonemu do nieograniczonej wolności, mogła się śmierci równać; infamia też pozbawiając go życia politycznego, wystawiała na dowolne zabicie; lecz grzywny jego zbrodnie bezkarnemi czyniły. Sto tylko grzywien płacił za głowę nieszlachcica, gdziekolwiek i czemkolwiek zabitego. (Vol. Leg. 3 fol. 601. z r. 1631), a za szlachcica 240 grzywien jeżeli szablą, a 480 jeżeli strzelbą, i prócz tego w obudwu razach rok i sześć niedziel wieży dolnej siedzieć musiał. (Vol. Leg. 1. 1543 fol. 573). Owóż znowu zabytek z owych wieków, gdzie naród wojenny i wolny sądził, iż krew jego tylko od nieprzyjaciela może być przelana. Przecież gdyby kto kogo z rusznicy lub łuku zabił, albo postrzelił na zjazdach, sądach lub biesiadach, nie tylko głów szczyzny zabitemu, a rannemu nawiązków płaceniem, ale gardłem i infamją bywał karany. (Vol. Leg. 2. fol. 1527. z r. 1601). Nie do nas należy zastanawiać się nad przyczynami takiej różnicy w prawach karnych; prawodawcy to uważali, iż w państwach wolnych, miłość ojczyzny, wstyd i obawa nagany, są pobudkami powściągającymi zbrodniarzy, i że największe ukaranie występku, będzie, przekonanie o nim widoczne. Lecz jak prawdziwym jest to zdanie Rzplitych oświeconych, tak przeciwnie najszkodliwsze ściągnąć musiało skutki u nas.

OŚWIATA. Znikać już na dobre poczęła pamięć złotych wieków Zygmunta Augusta. Nauki i sztuki, zamiast czynienia postępów, wyrodziły się do tego stopnia, że trudnoby uwierzyć było dziejopisowi o nich wspominającemu, gdyby same w całości naszych czasów nie doszły i nie były najoczywistszym złego smaku dowodem. Szpecono język narodowy wtłaczaniem wyrazów łacińskich, a pisano łaciną barbarzyńską. „Rzadki ktoby nauczał obcych języków, a jeszcze rzadszy, ktoby się ich chciał uczyć.” (Kochow. Clim. 2. Lib. 4. p. 302). Nadętość jest główną cechą ówczesnych poetów, wymowa tchnie samym panegiryzmem. Duchowni w naukach, zakonnicy po ambonach, nauczyciele w szkołach, na każdą uroczystość smażyli się na pochwały cnoty obywatelstwa i sprawiedliwość tych, którzy częstokroć największe niecnoty, krzywdy i zbrodnie popełnili.— Teatru publicznego nie znano; szkoły malarstwa nie było. Architektura spoczywała w kolebce. Tytuł Doktora, kupiony za granicą, całą umiejętność lekarza stanowił. (Opaliński str. 101). Matematyka nie wiele kogo zatrudniała, mniej jeszcze astronomia;

ale za to astrologia kwitnęła. Żórawski Mikołaj by nadwornym badaczem nieba. (Koch. Cl. 1. p. 33 et Cl. 2. lip. 1. p. 38). Stefan Tuhrman Gdańszczanin tyle w niej celował, iż się zdawało, że zasłony nieba przed nim są uchylone. (Koch. Cl. 1. lib. 2. p. 329). Lecz nie tylko niebo dostarczało przepowiedzeń przyszłości. W powszechniej ciemnocie, ozwały się z grot i miejsc nieprzystępnych wieszczę duchy, z którymi nawet ówczesni uczeni, według ich własnego wyznania, rozmawiali. (Koch. Cl. 1. lib. 2. pag. 329). Tyle to dziwnym był stan oświaty polskiej przy Elekcji Michała, już że wstrzymano ogół narodu od dawania do szkół dzieci, a szlachta na dość ograniczonych wiadomościach ze szkół ladajackich przestawała, już że zapaśnictwo szermierzy teologicznych i spory między akademją Krakowską, a wyznawcami Lojoli; pomiędzy znów Jezuitami i Pijarami trwające, zaszczepiały tylko w młode lato-rośle niezgodę, która z ich dojrzaniem, do wszystkich władz krajowych i dostojęństw przechodziła, — już wręście że nauki nie miały od rządu potrzebnego wsparcia, a królowi brakowało na przymiotach potrzebnych, aby mógł i chciał być ich protektorem. Najważniejszą zaś przyczyną tego były następstwa powstałe z ciągłych zaburzeń i nieszczęść, jakich w ciągu panowania Jana Kazimierza kraj doznał. Co tylko przed wściekłością rozhukanego żołdactwa nieprzyjacielskiego ocalało, to Karol Gustaw do Szwecyi przeniósł. Zbytne także ograniczona przez duchowieństwo wolność druku, nie mało się przyczyniła do rozpowszechnienia ciemnoty, której obrzydłym płodem była nietollerancja.

RELIGIA. Przebiegając dzieje narodowe, dostrzedz możemy, że tym bardziej wznosiły się nauki i doskonalily umiejętności, im większą zostawiono wolność myślenia. Wiek złoty Zygmuntoów, jak stał się dla Polski wzorem najwyborniejszego oświecenia, tak dla Europy dał przykład najrozsądniejszej tollerancji. Teraz więc dziać się musiało przeciwnie. Doznali tego naprzód od ludu zagorzałego żydzi i machometanie, w zupełnej pogardzie żyjący; doznali następnie i reformiści, z których jeden już tylko zasiadał w Senacie. (Zalus. pag. 281), a resztę starano się pozbawić znaczenia politycznego. Od czasów już Zygmunta III, bywały u nas przykłady nabożnego okrucieństwa, — przecież za Jana Kazimierza dopiero najwidoczniej grzeszyć zaczęto przeciw pierwszym zasadom Chrześcijaństwa, ludzkości i Ekonomii politycznej. W roku 1658 stanęła Konstytucya przeciwko Aryanom, skazująca ich na utratę mająt-

ności, czci i życia, jeżeli w ciągu trzech lat, albo się wiary swojej nie wyrzekną, albo nie ustąpią z królestwa. Postępek ten haniebny zjednał wprawdzie Janowi Kazimierzowi tytuł króla prawowiernego, który mu Aleksander VII papież nadał, — lecz ohydził naród w oczach całej Europy, ponieważ zanadto jawne były pobudki chciwych łupieży prawodawców, którzy na szlacheckie nawet domy Aryanów napadali, rabowali, palili, i wszelkie ich właścicielom gwałty wyrządzali bezkarnie. (Hist. Reformationis pol. Łubieński). Kilkanaście tysięcy rodzin najprzemysłniejszych ludzi, zabezpieczonych roztrwoniwszy dobra, opuściło wśród złorzeczeń ojczyznę. Stolica tych nieszczęśliwych, *Raków*, słusznie Atenami polskimi nazwana, upadła, gmachy jej rozrzucono, zburzono siedliska uczonych i rękodzielnie zniszczono. Żadne jednak prześladowanie tyle złych skutków nie ściągnęło na Polskę, co przymuszanie przez Jezuitów do *Unii*, wyznawających religię Grecką Kozaków. Nie wchodźmy ile uciemnienia podanych ukraińskich i inne okoliczności na to wpływały, dość na tém, że Chmielnickiemu, który chorągiew buntu powszechnego rozwinął, dawał błogosławieństwo Patriarcha Carogrodzki, a Nuncyusz papieżki przypasywał miecz poświęcony Janowi Kazimierzowi. Wzdryga się umysł na wspomnienie okrucieństw, z fanatyzmu popełnianych: w perzynę obracano miasta, a ich mieszkańców w pień wycinano dla tego jedynie że się trzymali Greckiego albo Rzymskiego obrządku. (Twardow. W. D. 13 i 17). A kiedy we wszystkich krajach ustawały morderstwa o religię, — w Polsce, — która się długo mogła szczycić, że z téj przyczyny kropla krwi nie wypłynęła, — teraz lały się potoki. Traktaty dopiero, Oliwski i Andruszowski, zapewniły wolność sumienia wszystkim obrzędom, lecz jeszcze w narodzie okazywały się ku nim niechęci, żywione przez wielu duchownych panującej religii Rzymsko-Katolickiej. Duchowieństwo Świeckie pobierając ogromne dochody z dziesięcin i dóbr obszernych, używało swobód równych ze szlachtą, tém się tylko różniąc, iż sądy miało osobne, lubo i na Trybunał koronny sześciu deputatów wysyłało. Duchowieństwo też zakonne, którego do 408 męzkich, a do 100 żeńskich klasztorów liczono. (Tur. ap. Malte Brun. p. 295) hojność pańów dostatecznie opatrywała. Ale jak księżom świeckim, tak i zakonnym, wyjąwszy nie wielu, brakowało zupełnie na usposobieniu potrzebném koniecznie osobom tak świętego powołania. Biskupi uganijając się za pomnożeniem coraz większych docho-

dów, mniej dbali o Seminarja, któreby godnych dostarczały pasterzy; proboszczowie poszli za ich przykładem, a zakonnicy żyjąc w wielkiej obfitości, nie widzieli potrzeby oświecenia siebie, a tém mniej ludu prostego, który często nie znał zasad religii wyznawanej. Ciemnota zatem rozszerzyła panowanie zabobonu po wszystkich klassach, a wzniosła nauka o Bogu, przeznaczona dla ducha i umysłu człowieka, którego składa najwyższą godność i najzaszczytniej uszlachetnia, zależała jedynie na samych zewnętrznych oznakach (Kazania pogrzebowe ówczesne). Z tąd wniesć łatwo, ile nieprzyzwoitości wpływać musiało w Sądownictwie, szczególnie, gdy wszystko prawie na przysięgach polegało, a ile też się przyczyniło do skażenia moralności, która bez religii utrzymać się nie może. Za osłabieniem zaś cnoty, wiążącej się z prawdami objawionemi, musiało nastąpić koniecznie zepsucie cnoty politycznej, która ludzi do powszechnego dobra kieruje.

CHARAKTER, OBYCZAJE I ZWYCZAJE. Otwartość, duma i wspaniałość, stanowiły cechę charakteru Szlachty, na której historia, mówiąc o ogólnym duchu Polaków, przestać powinna. Otwartość poszła z nieograniczonej wolności mówienia nawet królowi prawd najostrzejszych, i równie lekkimi jak niestatecznymi Szlachtę czyniła. Gdy bowiem przy wolności mniemań politycznych, prawa nakazywały jednomyślność, zaczęto dla niej poświęcać swoje opinie nienawiści, samę nawet wdzięczność, zrywać przyrzeczenia, cofać się nawet bez wstydu; — i widzieć można było wpośród zaciekłych stronnictw zapędów, taką łatwość do pojednania, jaka w każdym innym narodzie, byłaby niepodobną. Kłótnie najburzliwsze na pogróżkach się kończyły, wszyscy się wzięli do broni — i wszyscy zaspokojeni na zgodzie skończyli. Przy takowej niestałości umysłu, zawsze przecież okazywali powierzchownie największą powagę, która nierozdzielna jest towarzyszką lenistwa i pychy. Oboje panującemi były w polakach, oboje szkodliwe skutki pociągnęły za sobą; ale duma szlachetna, tak właściwa obywatelowi, który sobie króla obierał i sam mógł nim zostać, lubo w zbytnią zarozumiałość wprawiła, ustalała jednak miłość ojczyzny i wolności, a jedno i drugie żywiło odwagę i mężstwo. Te to niegdyś tyle głośnie przymioty, które za Jana Kazimierza i Michała, przez zaniedbanie ćwiczeń ciała, wyrodziły się w zuchwalstwo, nie tyle na obronę kraju, jak bardziej na poparcie stronnictwa jakowego pana służyły. Pomimo bowiem równości przepisanej prawami, gdy więcej lub mniej szcze-

ścia w ekonomii, względów, lub niełaski dworu, napływ dóbr spadkowych znaczną różnicę w majątkach i pomiędzy familiami sprawiły, — niektóre domy zgromadziwszy niezmierne skarby, wzbily się w pychę, i przez naśladownictwo dworu króla, którego wyższym nad siebie nie chciały uważać, zaczęły uboższą szlachtę zwabiać do siebie. Dawniej młodzież, wyszedłszy ze szkół, zaraz sposobiła się na tych dworach do dalszej służby krajowi; lecz teraz, kiedy przez ciągle wojny i klęski żywiołów, do największego ubóstwa wielu było przyprowadzonych, wszyscy cisnęli się do panów; a ci rozpustni, chci-

wi i marnotrawni, otoczywszy się stronnikami, cały kraj przyprawili o najsroższy bezrząd. Jedno małżeństwo, jeden urząd, jedno starostwo, nie podług ich dane; często zdanie im przeciwne, słowo ich żądzy niedogodne, w ostatnią ich zapamiętałość przeciw szlachcicowi, albo drugiemu panu rzucało. Rozboje, gwałty, najazdy, zastępowanie po drogach, krzywdy, wydzierstwa i krwi wylanie sprawowali. (Star. R. op. r. 4. str. 31). Aby tylko dogodzić swęj pysze, z jednego kraju robili dwa narody, aby się zemścić, gotowi byli siebie i Rzeczpospolitą zgubić.

(D. n.)

PODANIA MUŻULMAŃSKIE W JUDEI.

Znana jest płodność wyobraźni wschodniej, a mianowicie wyznawców Koranu. — Wielki Mahomet nie mógł im więcej dogodzić, nie mógł się więcej przyłożyć do rozwinięcia fantazyi, jak przedstawiając im Raj jako siedlisko nieporównanych piękności igrających wśród cudownych ogrodów, zdobnych w najpiękniejsze i najbogatsze stroje. — Tym sposobem zatrzymał, rzecz można, w dzieciństwie wyobraźnię; — zawsze ona fantastyczne, nie podobne do prawdy tworzy mrzonki, czasem ubierając je w romansowe jak tysiąc i jedna powieści, a czasem w mniej więcej straszne widziadła, rozmaitych miejsc legendy. — Stara ziemia Judzka najobfitszą jest w tego rodzaju podania — tam bowiem zbiegły się tradycje z najodleglejszych i najważniejszych dla ludzkości chwil przeszłości. — A dziecinna wyobraźnia Muzułmanów, przyswoiwszy je sobie, ustroiła we własne jaskrawe kolory, nadała im charakter gorączkowych, najmniejszego podobieństwa do prawdy nie mających mrzonek. Czasy przedpotopowe, czasy pogaństwa, czasy początkowego wzrostu dzieci Izraela i ich upadku, tak świeże w porównaniu z tamtymi, wszystko to razem miesza legenda dzieci Mahometa — a niepytając o wieki dzielące wypadki, kładzie je wszystkie w epokę dla siebie najważniejszą, to jest w chwilę największej potęgi Proroka i jego następców. Tylko wypadki z czasów bytności Chrystusa i jego Apostołów zostały nie naruszone — prawda ich zbyt czysta i jasna, tak, że nawet chorobliwa Mahometanów wyobraźnia, tykać się jęj nie śmiała i tym sposobem nieświadomie uszanowała i dała świa-

dectwo prawdzie. Oni święte miejsca wskazują ale oczywiście Boska postać Chrystusa nie podaje się im jak wielkiego Proroka do potwornych bajek, a chociaż Chrystusa nazywają prorokiem, nigdy On, jak, inni i sam Mahomet, nie jest w żadnej Arabskiej legendzie wzmiankowany.

Umyśliłszy przytoczyć tu kilka legend opowiadanych jednemu z tegoczesnych podróżnych, na dowód jak Arabowie przyswoili sobie podania Izraelitów.

Nie daleko na drodze prowadzącej do Jerozolimy, nie daleko Ramleh niegdyś wielkiego miasta a dziś lichęj mieściny odznaczającej się tylko kościołem i zakonem Franciszkanów, ukazuje się podróżnemu mała wioska, brudna, odpychającej powierzchowności, płot z ostrych kaktusów okala jęj pochyłość i na nięj rozrzucone zabudowania. — Zapytany Arab coby to było za miejsce — opowiada następującą historję:

„Prorok Salomon uskarżał się na mieszkańców „kraju tego, którzy pomimo wielkiej ilości bydła jaką „posiadali, nie chcieli nakazanę jako jałmużny dzie- „sięciny z wołów, baranów i kóz dawać. — Gdy pro- „rok rozkazał aby kaźden posiadający 40 sztuk by- „dła oddawał z nięj część na daninę; ci niegodziwi „synowie grzechu, rozmaitemi wybiegami wywijali „się od tego, sprzedawali niby, to swoim córkom, „to krewnym, to przyjaciołom, tak żeby nie było śla- „du ich własności. Jakże nie miał się oburzyć na ta- „kie bezprawie Salomon? On, tak wielki Prorok, on „rządzący wszystkiemi duchami, został oszukany „przez prostych, nędznych chłopów! Umyślił srodze

„ich ukarać. — Rozkazał tedy duchom aby zstąpili „w dolinę przybrawszy na się postać wilków — pod „postacią tych strasznych zwierząt, poczęły duchy „obiegać łąki, pola, gdzie się pasło bydło: z ich „paszcz otwartych wybuchał ogień, wszystko zboże „już dojrzałem było, pożar więc ogarnął całą oko- „licę; biedne zwierzęta przestraszone, nie wiedzą „gdzie się podziać, skupiły się w jedno miejsce, wte- „dy ogarnął ich ogień i wkrótce co do jednej sztuki „spalone zostały, a z kości czyli z popiołów ich „wzniosła się mogiła, na której zabudowano ę wio- „skę, noszącą na tę pamiątkę stosowne nazwisko „Kebab (po Arabsku: upieczone) ażeby na wieczne „czasy pozostała pamięć strasznej zemsty wielkiego „Proroka.” — W tej historii Muzułmańskiej, poznać można podanie o Samsonie, którego aby się pomścić na Filistynach, rozpuścił lisów zamienionych w podpalaczy i t. d.

Niektóre podania są zupełnie ze źródeł Izrael- skich czerpane; też same imiona grają w nich głów- ną rolę, tylko naturalnie ustrojone w bajecznych rozmiarów fantazję, podobną do bajek dzieciennych i tak np. posłuchajmy historii o początku świetno- ści Meczetu wielkiego Omara, dawniej przybytku Salomona.

Tradycja turecka wypuściwszy przez cie jakie przebył ten przybytek za czasów Heleny Cesarzowej i Cesarza Juljana; twierdzi, że skoro tylko po zbu- rzeniu Jerozolimy i napadzie chrześcijan Kalif Omar odzyskał miasto święte, pierwszą myślą jego było odgrzebać czyli odszukać kamień, na którym pro- rok Jakób to jest Izrael Ullah, miał wspartą głowę w czasie swego widzenia. Szczęśliwie kamień ten został wynaleziony; Meczet okrywający ten nie oce- niony skarb, przez Kalifa Omara wystawiony, dostał nazwę Ei-Sakhra (kamieni). Odtąd zaczął być Me- czet Omara przedmiotem wielkiej czci dla wszyst- kich dzieci Mahometa. Czasy, w których się okrył najwyższą sławą, były, za panowania Abdel-Mele- ka Igo, którego nie szczędząc złota i drogich kamieni, przyozdobił go bardzo, a przez nienawiść do poprze- dnicich kalifów zakazawszy pielgrzymek do Mekki, uczynił go miejscem świętym, przedmiotem pielgrzy- mek wszystkich Mahometanów; dotąd nawet, pomi- mo że Mekka i Medyna odzyskały pierwszeństwo, zaraz jednak po nich idzie święte miasto Jerozolima a w niem Meczet Omara. Według przekonania Tur- ków 70,000 Aniołów strzeże tego świętego przybytku pełnego uroku pod każdym względem, gdyż oprócz przepychu jaki go otacza, mieści w sobie pełno najo-

dleglejszych i najświętszych dla nich pamiątek. I tak, nie daleko tej cudownej skały znajduje się opona na kształt dywanu z czerwonego atlasu, na wzór na- miotu którego otrzymał Adam do Boga, gdy po sto- letniem rozłączeniu się z Ewą, znalazł ją na górze niedaleko Mekki spoczywającą. Nie tylko słynnym jest wzwyż wspomniony kamień z powodu że był niegdyś poduszką dla Proroka Jakóba, ma on szczę- ście oprócz tej zasługi, posiadać ślad stopy Eno- cha. — Wielki ten prorok przezwanym został przez Mahometanów Idzisz (uczony); przydomek ten zje- dnał sobie przez wielką miłość do nauk którym się oddawał. — Najwięcej uprawiał naukę astronomii, do czego ułatwieniem był blizki stosunek jego z niebem, a tém samém z gwiazdami. Bóg wynagradzając mu te jego prace, żyjącemu dozwolił wnieść się do nieba. Ten Enoch chciał zostawić jakiś ślad bytno- ści swojej na naszej kuli, ażeby przyszłe pokolenia wiedziały o nim. Zanim więc wznosił się w Niebo, stąpił na kamień Jakóba i ślad stopy na nim zоста- wił. Obok tego śladu, pokazują Muzułmanie inne równie cudowne i święte, lubo późniejsze ślady, już nie stóp, ale palców Anioła Gabrjela, które pochwy- ciły za kamień z następującego powodu: — Gdy wielki prorok Mahomet już dosiadł rumaka swego na którym puścił się w obłoki, skała, jak widać na- siąkła przez tak blizki stosunek z Jakóbem i Elja- szem, uczuciem ludzkim, chciała śpieszyć za Proro- kiem, lecz Przedwieczny nie dozwolił aby taka pa- miątka znikła z ziemi; rozkazał Aniołowi zatrzy- mać ją: wtedy, gdy on pochwycił, to palce zostawiły pięć dziur dotąd istniejących. Koroną z tych bajek o świętej skale, jest wieża która nie leży na ziemi, tylko się wspiera na niewidzialnej palmie, która także podtrzymywana jest przez dwie Matki dwóch proroków Jezusa i Mahometa, które tam ciągle się zajmują tkaniem materyj na płaszcze dla sprawie- dliwych. Położenie tej skały istotnie ma pod sobą próżnię, tak że zszedłszy po kilku wschodach, można widzieć od spodu skałę, kątami opartą na powierz- chni ziemi, i tym sposobem służącą za sufit tej pod- ziemnej komnacie, w której wszyscy święci prorocy od początku świata odmawiali swoje modlitwy. Na- turalnie Mahomet, prorok nad prorokami, także nie- siony na swoim koniu, śpieszył tu na modlitwy i na dowód zostawił ślad turbanu swego na jednej ze ścian tej modlnicy; — co i dziś pokazują odwiedzającym.

Przed jedną z bram Meczetu znajduje się wielka płyta jaspisu zielonego, która przymocowana była ósmnastą złotymi ćwiekami do gruntu; dziś tylko

3 duże w końcu żelazne gwoździe ją przytrzymują. — Dwie przyczyny przytaczają dla których tyle gwoździ zginęło; jedni twierdzą że złe duchy chcąc przestąpić tę bramę raję zbliżyły się do niej, a spostrzegłszy tak ponętą dla siebie rzecz, jak złoto, targnęły się na nie i wyrwali je, ale Aniołowie pilnujący przybytku, tak ich wtedy odpędzili i tak im zagrozili, że odtąd żaden się nie zbliża do Meczetu. Drudzy znów, niby to bardziej uczeni, dowodzą, że to sam prorok po każdym upłynionym wieku, wyjmując gwoździe jeden, a że gdy wyjmie ostatni, to będzie koniec świata. — A ponieważ jest jeszcze trzy gwoździe, możemy tedy śmiało rachować na trzy wieki istnienia kulki naszej.

Przy drzwiach zachodnich Meczetu pomiędzy podporami, żyły na marmurze wyobrażają jakby dwa ptaki; podanie, to zjawisko, w taki tłómaczy sposób: Gdy wielki Salomon ukończył budowę przybytku, chciał ażeby wszystkie stworzenia stawiły się i złożyły haracz na znak poddaństwa swego. Wtedy Lew grzywy swój ofiarę złożył. — Słoń na świętym kamieniu swoje drogocenne zęby zostawił. — Struś piękną kity z piór ogona. — Jednorożec broń swoją tak rzadką. — Pszczoły najpiękniejszy miód. — Mrówki z wielką ciężkością przyciągnęły udko szarańczy, a wiadomo jak szarańcza w tamtych stronach dorodna, praca więc tej małej rzeczypospolitej była nieocenioną. — Tak tedy wszystkie zwierzęta, wszystkie stworzenia złożyły hołdy jako wierni poddani; ptastwo tylko zbuntowane przez niegodziwą, szczebiotliwą srokę, nie stawiło się wcale. „Jako? — mówiła sroka — on śmie i nas ujarzmić, do poddaństwa zmuszać? pokażmy mu że nie cała natura jemu podlega; nie będzie on mógł zemstą ścigać nas w powietrzu! pokażmy mu że są jeszcze istoty dla których wola jego nie jest prawem, które cenić i szanować się umieją.” Napróżno dudek, wierny sługa Salomona, występował w obronie jego; zakrzyczała go sroka; a gdy jako przywiązany sługa przyszedł z doniesieniem i tłómaczeniem dla czego ptastwo nie stawiło się w przybytku, wielki król który rozumiał mowę wszystkich ptaków zwierząt, po wysłuchaniu dudka zażądał aby w przytomności jego odbyła się powtórna rada ptastwa, żeby sam mógł słyszeć występującą przeciw niemu niegodziwą srokę. — Stało się według jego woli, w kilka dni delegowani starsi z ptastwa zlecieli się i obsiadłszy święty kamień, zaczęli się naradzać, jakby to, nie tracąc swój niepodległości, można przystać na poddaństwo; dudkowi zdawało się że tę rzecz łatwoby pogodzić się dało, że można ni obrażając wielkiego króla, przyjąć jego

prawa, złożyć haracz w dowód wiecznego poddaństwa, a mimo to nie upodlać się i być wolnymi istotami. — Ale sroka znów wystąpiła z wymową. — „A my na co kłaniać się mamy człowiekowi i tym kamieniom przez niego nagromadzonym? czy to między nami nie ma lepszych architektów?” — takie i tym podobne obelgi wyszczebiotane przez jedną srokę, poparte zostały równie silną wymową drugiej jej towarzyszki. »Salomon — zawołały obie — może sobie rozkazywać kiedy chce, na ziemi; ale powietrze do niego nie należy; my mieszkańcy powietrza, nie poddamy się jemu, władza jego przynajmniej w powietrzu upaść musi, tam nas nie dosięgnie!” — „O! bezrozumna! szalona! — krzyknął na to piorunującym głosem — wieźcie że ręka którą Bóg wspiera, samo powietrze uwięzić może; żeby wam dowieść tego i ukarać waszą hardość, ja chcę ażebyście do końca świata pozostały jak niewolnice w murach tego przybytku.” — Na te słowa dwie sroki skamieniałe na wieczną pamiątkę pozostały w marmurze. — Za długo byłoby opisywać wszystkie naznaczone cudownością i przedwiecznymi pamiątkami miejsca w wielkim meczecie Omara, dawniej przybytku Salomona; wspomnimy tylko jeszcze o przygodzie jaka spotkała niegdyś tron wielkiego Salomona.

Gdy wielki Sułtan Nabuchodonozor został od Boga zesłany aby ukarać dzieci Izraela, za to że Go odstąpiły; wtedy przybytek Salomona obdarł ze wszystkich drogocennych sprzętów jakie tylko tam nagromadzone były. — Tron wielkiego króla dla siebie zatrzymał wraz z podtrzymującymi go dwoma lwami ze szczerego złota, które ożywione magiczną sztuką, były razem obroną jego, nie pozwalając przystępu do niego. Zaś resztę wielkich zdobyczy różnym hołdującym sobie królom porozdawał. Jednego z nich suknią tylko po Salomonie udarował, a lubo tradycja nie mówi z jakiej była materii, bez wątpienia król ten najlepiej był uposażony, posiadał bowiem najdawniejszą świata tego pamiątkę; suknia ta była suknią Adama! — Drugi król niemniej znakomity dar otrzymał, bo róższczkę Mojżesza. — Inny dostał pawia, którego ogon cały z drogich kamieni i djamentów gdy się rozłożył, stanowił oparcie do tronu. — Wśród takich i tym podobnych skarbów, znajdowała się szkatułka, a w niej zamknięta Biblia — nikt w takim chaosie i powszechnym w całym mieście rabunku, nie uważał na ową szkatułkę i gdzieś zupełnie znikła. — Po czterdziestu latach gdy gniew Boski uspokoił się i Izraelici powrócić mogli,

Prorok Euzer (Ezdras) wezwany został od Boga do spełnienia wielkiej misji — Był to nadzwyczajnej świętobliwości, odosobniony od ludzi, człowiek, żadnych nie miał z niemi stosunków, tylko ciągle przebywał wewnątrz skały, gdzie miał obszerną grootę, którą dotąd pokazują. Lecz gdy Izraelici na rozkaz Boży wrócili; opuścił swoje ulubione schronienie, stanął wśród nich aby ich nauczyć jak mają odbudować spustoszony przybytek i jak mają w czystości zachowywać obrządki religijne. — Ale dzieci Izraela nie chciały słuchać Proroka, a nadto oświadczyły mu że gotowi opuścić tę ziemię i nie tknąć się pracy około odbudowania Przybytku, jeżeli im nie będzie oddana księga Mojżesza, w której wszystkie były zapisane przepisy zachowania się dane od Boga na górze Synai. Tymczasem tej księgi, tej świętej Biblii, mimo największych poszukiwań nigdzie znaleźć nie mogli; widocznie przepadła w czasie wielkiego rabunku. Zakłopotany Ezdras, modli się i zapytuje Pana Boga co ma począć? co uczynić z tym nieposłusznym ludem? — Nagle słyszy głos z nieba mówiący mu: ażeby pisał — chociaż nigdy w ręku jego *gola*m (pióro z trzciny) nie powstało; zabrał się do pisania, tak że ani jadł, ani spał, bo nawet w nocy jakaś światłość niebieska mu przyświecała, tylko pisał... ale cóż z tego! podbudzeni przez szatana zli i niewierni ludzie, zaczęli dowodzić że księga, którą on napisał, była inną — Wtedy z rozpaczy Ezdras wzywa Boga o pomoc — idzie nad brzeg źródła Siole; lud mu towarzyszy: tam po krótkiej z ludem modlitwie, dostrzega że na powierzchni wody, jakby trzymany niewidzialną ręką, kamień kwadratowy wznosi się; podają mu ten kamień; była to jakby szkatułka z kamienia, która się natychmiast sama otworzyła, a z niej wyszła, także o własnych siłach, tak poszukiwana księga; którą skonfrontowali z tą, jaką napisał Ezdras! — A gdy okazało się, że żadnej nie było myłki, że nawet żadnego akcentu nie brakowało; Bóg ukarał wieczną ślepotą tych, którzy zarzucali Prorokowi niedokładność dzieła. Takim to sposobem Izraelici powracali do dawnych obrządków religijnych i praw przez Mojżesza spisanych.

Nie tylko pyszny Meczet, ale byle wodotrysk, byle skała, byle jaskinia, wszystko w ziemi tak bogatej w tradycje, ma swoje legendę powtórna, śmieszna, owoc chorobliwej wyobraźni, strojącej we wszystkie

małości ludziom właściwe, nie tylko proroków swoich, ale samego Stwórcę. Jak np. w podaniu o śmierci Mojżesza; którego Bóg chcąc do siebie zabrać, udał się do oszukaństwa! Mojżesz bowiem, mówi legenda — miał przywilój żyć, ile mu się spodoba; i tylko mógł umrzeć, *gdyby dobrowolnie sam wszedł w grób*, a gdyby tego nie uczynił, mógłby żyć wiecznie. — Gdy już doszedł do stu kilkudziesięciu lat, Bóg osądził, że czasby już było zabrać duszę jego — ale jakże to zrobić, kiedy Mojżesz mimo tak podeszłego wieku, nie myślał o śmierci, nie wybierał się do grobu? — Cóż się tedy robi? — Gdy święty Prorok przechadzał się koło Jeryho, spostrzegł że na skalistém piękném wzgórzu, czterech ludzi kopie: byli to Anieli w nędzną przebrani odzież aby lepiej oszukać Proroka. — „Co tu robicie w tak odludném miejscu” — zapytał ich Mojżesz, zbliżywszy się. „My kopimy dół, gdyż Pan nasz chce w nim ukryć najdroższy skarb, jaki posiada; ukończyliśmy prawie naszą pracę, czekamy tylko na skarb, sądzimy że wkrótce go otrzymamy.” — Skwar słońca był wielki, Mojżesz spojrzał dokoła, nigdzie cieniu! a chęć miał odpocząć; zobaczywszy więc łódkę w środku jaskini postawioną, wszedł w nią aby spocząć. — Skoro usiadł w zdradliwym miejscu, jeden z Aniołów przystąpił do niego i dla ochłody podał mu jabłko, które Mojżesz ledwie powąchał, zasnął na wieki! a duszę jego Anieli porwali i przed tron najwyższego unieśli. — Jednakże lubo Anieli z woli Najwyższego oszukali Proroka, skała jednak ukaraną została. — Odtąd wewnątrz jęj poczerniało i oszukuje dotąd, okazując ludziom wierzch z powłoką białą a wewnątrz z czarna. Skała ta dotąd jest miejscem pielgrzymek Muzułmanów, z jęj czarnego gruntu wyrabiają rozmaite wyrzeźbione przedmioty, a jęj dwoistą naturę zwierchu białą, wewnątrz czarną, cudowi i karze, że w niej Śty Prorok był oszukany, przypisują. — I kiedyż przyjdzie czas że ten lud dźwignie się, aby iść drogą postępu, światła z innemi narodami? pyta ze smutkiem podróżny, słuchając ich dziwacznych legend, patrzy na ich życie wśród uprawnionych nieprawości, bez czystych pojęć, bez moralnych i umysłowych pociech, jak na brudną kałużę płynącą, która tém bardziej razi oko przechodnia, że przez cudne urocze, przepływa krainy.

CYGANIE.

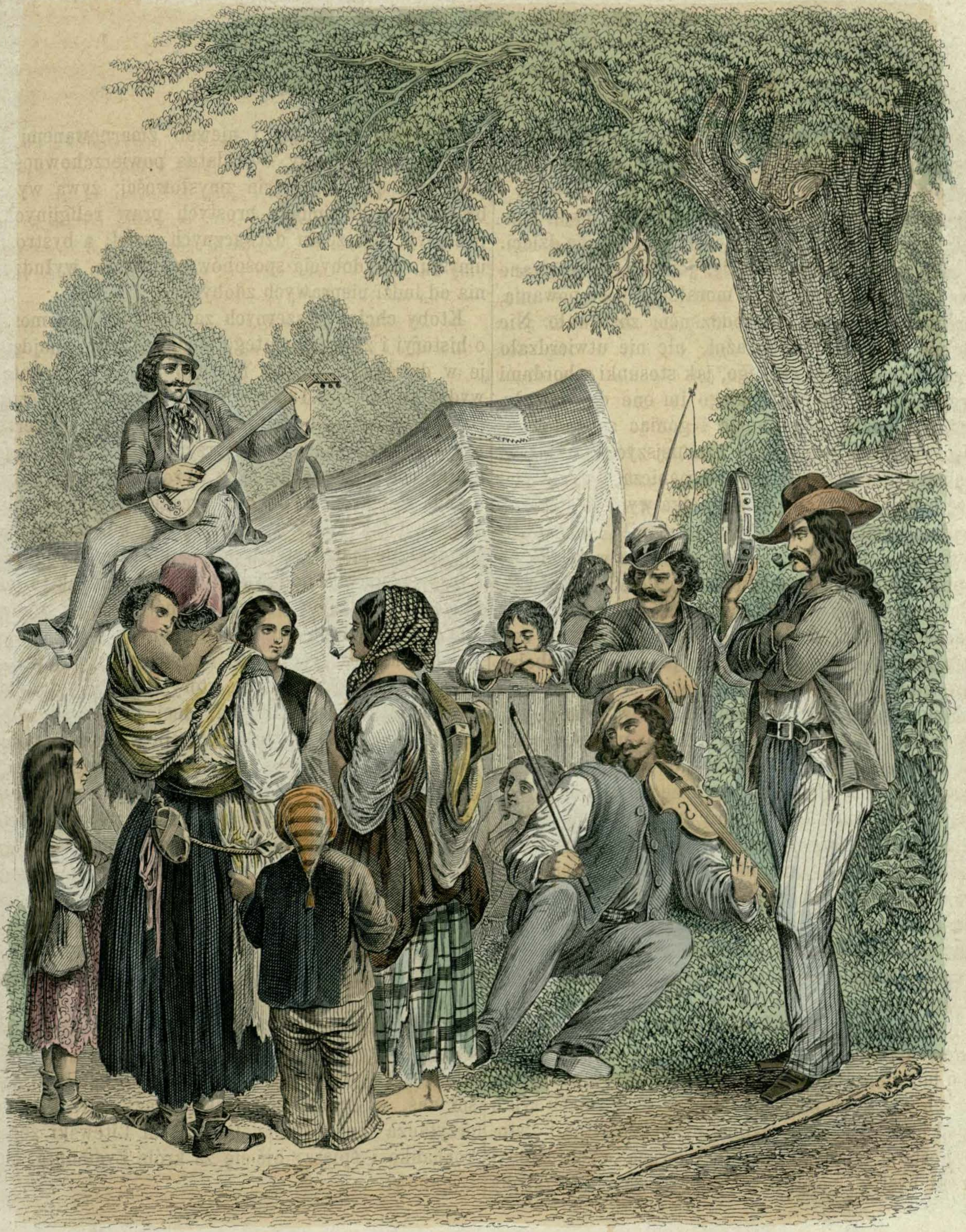
(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Awanturniczy i tajemniczego jak mniemano pochodzenia lud Cygański, dostarczał długie wieki wątków, do rozmaitych ciekawych, prawdziwych i bajecznych, opowiadań. — Z razu byłyto bajki nianiek, bawiących lub straszących niegrzeczne dzieci. W nich zawsze sens moralny, jak dziecko porwane przez Cyganów, z powodu moralnego postępowania, modlitwy, w końcu oswobodzonem zostawało. Nic tak nie podsycalo wyobraźni, nic nie utwierdzało w zabobonach ludu naszego, jak stosunki z hordami Cygańskimi. Na tle, jakiego im one dostarczały fantazja ludzka, potrzebując i goniąc za cudownością, rysowała większych i mniejszych formatów, dramaty. Tu Cyganie porwali panicza, owdzie sierotę biedną, z której potem wielka wyrosła Pani. — Owdzie Cyganka oczarowała, zamieniła ludzi w wilków; lub jeżeli dobra, próżne naczynie w chacie napełniła miodem lub mlekiem; gdzieindziej wywróżyła przyszłość o niebezpieczeństwie; zgoła przypuściłoby można, że pochodzenie rozmaitych do dzisiaj między ludem istniejących przesądów, zabobonów, od Cyganów początek wzięło.

Długo bardzo pochodzenie Cyganów było zagadką, nawet dla uczonych, a każdy kraj przezywał ich według swoich domysłów jak np. Francuzi nazwali ich Bohemiens, dla tego że od strony Czech przyszli do nich — dopiero w przeszłym wieku, w skutek głębszej znajomości języków Wschodnich i stosunków z Indjami, okazało się że lud ten sniadój cery, czarnych iskrzących oczu, z Indji początek swój bierze. Wszystkie poszukiwania historyczne zgodziły się na to, że Cyganie w XVtym wieku, w czasie napadów Tatarskich na Indje, opuścili ojczyznę swoją, w której widać do podrzędnej kasty (Sudra) należąc, nie wynieśli z niej ani tradycyi religijnych, ani nawet zwyczajów odznaczających się, jako lud nieprzypuszczony do oświaty, do praw, będących wyższych kast własnością. — Wynieśli tylko z pod pięknego nieba ciemną pleć, kształtną i zwinną postać, czerstwe zdrowie, gorącą wyobraźnię i umysł bystry i pojętny. — Niestety te zasoby

przez życie w nędzy i niewoli zmarnowanemi i skrzywionemi zostały. — Udatna powierzchowność, posłużyła do rozwinięcia zmysłowości; żywa wyobraźnia nie przyjmując prostych praw religijnych, posłużyła tworzeniu dziwacznych gusel; a bystrość umysłu, do zdobycia sposobów oszukania, wyłudzenia od ludzi nieprawych zdobyczy.

Ktoby chciał obszernych zacerpnąć wiadomości o historyi i zwyczajach tego biednego ludu, znajdzie je w dziełku historyka naszego Teodora Narbuta; wydał on w roku 1830 w Wilnie: *Rys historyczny ludu Cygańskiego*. Autor widać zajął się szczerze rozpoznaniem charakteru, przymiotów i wad, tego awanturniczego plemienia, z wyrozumiałością mówi o nich, tłómacząc niekiedy zwyczaje ich wstręt obudzające i tak np. Powszechnie było mniemanie, że Cyganie nie mają wstrętu jeść padliny, co w pogardę i obrzydzenie ich podawało. Narbut zaś tak to posądzenie wyjaśnia: „Gdy zebranój bandzie zbywa „na przyborach do kuchni potrzebnych i nie ma za „co ich kupić, zręczniejsi wychodzą na połów. — „Wporze nocnej wkrada się który cichaczem do obo- „ry zamożniejszego chłopka, dusi tam owcę, wie- „prza, albo czasem i tłustego wołu wiadomym sobie „sposobem. Nazajutrz gospodarz znajduje upadek, „rozumie że bydlę przez jakąś chorobę nagłą, padło „mu niespodzianie, wieść się o tém rozbiega po wsi „przybywają ciekawi oglądać, między niemi i sąsiad „Cygan; po różnych ubolewaniach, ten podejmuje „się zdjąć skórę, a za tę przysługę, uprasza o po- „zwolenie wzięcia mięsa na swoją kuchnię. Kiedy „chłopiek wspomni, że to nie czysty pokarm, odpo- „wiada: Bóg zabił bydlę, przeto jeść można Cyga- „nowi.” — Przytacza także Narbut, co wielką robi Cyganom chlubę, że przechowali pamięć dobroczyńcy swego Zygmunta Igo, któren nadane przez brata Aleksandra przywileje Cyganom potwierdził. W pieśni zaś, w cygańskim języku wraz z przekładem, przytacza tenże autor: Jak Cygan Litewski żegna kochankę i śpieszy bić się za króla Zygmunta, ojca Cyganów.



Zigeuner.

Nie wszędzie tak jak w gościnnój, pełnój zasad chrześcijańskich Polsce, Cyganie używali pewnych praw opieki a nawet pobłażania tak wielkiego, że choć później za Augusta Zygmunta wydanym został Edykt, wywołujący Cyganów z kraju jako włóczęgów szkodliwych dla bezpieczeństwa mieszkańców; to prawo nie było w czyn wprowadzone, bo jakżeż bitny, odważny, chrześcijański naród, mógł napadać bezbronnych Cyganów? potrzebujących koniecznie przytułku i opieki jego? — To prawo więc tylko do wyjątków, rzeczywiście na kradzieży schwytych zastosowywano. — Nie tak było w innych Europejskich, wyższych pozorną cywilizacją, krajach. — We Francyi za Franciszka okropne wydano prawo, rozkazujące ścigać Cyganów ogniem i mieczem i wyępieć jak szkodliwych! W Niemczech do najbardziej barbarzyńskich środków uciekano się przeciw tym biednym, pokornym, nie dopuszczającym się morderstw, włóczęgom! Zgoła oprócz Polski, Włochy tylko postępując w duchu stolicy Apostolskiej, jak Żydom w owych wiekach prześladowanym i wypędzanym z Francyi, tak Cyganom nie odmawiały chrześcijańskiego przyjęcia; — dla tego, jak twierdzi, zdaje się słusznie Narbut że Polska zamiast szkodować na szlachetnym z nimi postępowaniu, zyskała w końcu; albowiem hordy liczne Cygańskie osiedliły się w leśnych, nie dość wtedy ludnych, okolicach Litwy i Podlasia, wcieliły się w końcu w naród i w dobrych rzemieślników i zamożnych osadników go zapomogły, nawet niektóre wsie i miasta przez nich założone zostały. — Zwolna język przerabiać się zaczął na krajowym rusko-litewskim narzeczu i nazwiska przybierano tamtejszych mieszkańców. I tak bogaty Cygan mieszczanin z miasta Miru, sławny z przepyschu w strojach i ze sprawiedliwych rządów swoich, gdy królem ich obrany został, nazywał się Marcinkiewicz. — Tęgi ten człowiek, godnie odpowiadał dostojności swojej, rządząc ostro ale sprawiedliwie, zasiedloną już, tak zwaną *złotą hordą* cygańską — zaszczipiając w niej moralność i pracę. Nosił strój polski, przyozdobiony a raczej upstrzony według Cygańskiego smaku w różne jaskrawe kolory, ozdoby, jak np. do zielonego aksamitnego kołpaku z kutasem, dodał siedm złotych jakby kitek, z za obszycia barankowego wychodzących. — Było to prawdziwie zajmującym widowiskiem, dla skromnych w strojach mieszkańców Litwy, gdy w czasie jakiego wielkiego jarmarku, Cyganie trudniący się z właściwą sobie umiejętnością handlem koni, przyjeżdżali do miasta, mając na czele króla ze świtą, w złocistych wscho-

dnich dziwacznych strojach, podniesionych urodą młodych Cyganów i Cyganek, które tworzyły dwór królowej. — Przedostatnim królem Cyganów, który żył jeszcze przy końcu przeszłego stulecia i nie od jednego mieszkańca Litwy pamiętany, był szlachcic Znamierowski. Sposób jakim doszedł do tój godności, charakteryzuje usposobienie tego oryginalnego ludu. Znamierowski lubo był szlachcicem z powiatu Lidzkiego, dziwne miał z Cyganami podobieństwo. Znał go jeszcze Narbut i mówi że miał pleć śniadą i zupełnie Wschodnie rysy. — Był to szczególnie bystrego i awanturniczego umysłu człowiek — pomimo że odebrał nauki, jakich w klasztorach wówczas udzielano; — najmilszém jego zajęciem był handel końmi, jak Cygan prznosił on ten rodzaj zajęcia, nad rolnictwo szlachcie polskiej właściwe. — Z razu nie źle wychodził na koniach, dopomagali mu Cyganie z któremi się tak zbliżył, tak częste miewał stosunki, że się języka ich nauczył; — lecz w końcu szczęście przestało mu sprzyjać — tracić począł na koniach, tak że z dość licznej stada, już mu tylko jeden koń pozostał. — Cyganie pomimo przyjaznych z nim stosunków, widać w gwałtownej potrzebie, pochwycili mu tego ostatniego konia. — Oburzony Znamierowski postanowił choćby głową nałożyć a konia odebrać i pomścić się krzywdy. Namawia więc do swój trudnej wyprawy, dwóch odważnych i silnych Cyganów — a sam miał nadludzką siłę i odwagę, wspartą mocną budową ciała i olbrzymim wzrostem — bez obawy puszcza się aby napaść *złotą hordę* i odebrać konia. — Z razu zamiar udaje się, spłoszona niespodzianym napadem horda, korzyć się przed Znamierowskim poczyna — ale nagle przychodzi im upamiętanie, jak mogą, będąc w tak wielkiej liczbie (było ich bowiem kilkuset) poddać się trzem ludziom tylko? — Zaczynają więc bronić się — ale najezdca nie tylko że był obficie w broń opatrzonej, ale nadto posiadał nadzwyczajną wiarę w swoją siłę i odwagę; zamiast więc ustraszyć się tak wielkiej liczby nieprzyjacioł, gwałtowniej jeszcze napada na nich, więzi, krępuje kogo pochwyci, cuda waleczności i siły dokazuje — horda widząc większą część młodych i odważnych już w mocy jego, poddaje mu się zupełnie. — Wtedy on królem się ich ogłasza i odbiera przysięgę na wierność i poddaństwo. Ani się spodziewał opuszczając skromną już wtedy strzechę swoją, ażeby wynaleść jedyny dobytek, ulubionego konia, że nie tylko konia ale i królestwo znajdzie. Doszedłszy do tój dostojności, postarał się Znamierowski o zatwierdzenie praw swoich, z ebrawszy

znaczny zasiłek, dostawszy świadectwo od Marszałka Lidzkiego, udał się do króla Stanisława Augusta o potwierdzenie swój władzy — co też otrzymał w 1780 roku. Stanisław August zatwierdził go dyplomem swoim na Rządcę czyli panującego Cyganom. Odtąd Znamierowski jak panujący, sądził sprawy, ujmował się za poddanemi swemi, jeżeli jaka niesprawiedliwość przez miejscową władzę wyrządzoną im była. Pobierał podatku 15 groszy od głowy, co mu wcale nie zły czyniło dochód. Miasto Ejszyszki było główną jego rezydencją, lubo nie ciąglą, stósownie do potrzeb i interesów swego Państwa bez ziemi. — Przy schyłku życia znów doznał smutnej zmiany losu. — Cyganie rozpierchli się w różne strony a mianowicie do Turcyi — z małej pozostałej liczby nie mógł znacznych otrzymywać dochodów, zmienił życie wygodne i wystawne, zamieszkał lichą chatkę w Lidzkim powiecie i tam życie zakończył.

Po nim znów szlachezca Litewskiego obrała mała pozostała horda na Zwierzchnika — nazywał się Miłośnicki i także był rodem z Lidzkiego powiatu; osobistość jego niczém nie odznaczająca się nie zasługuje na szczególną wzmiankę, tyle tylko że on był u nas ostatnim królem Cygańskim i że w roku 1799 wyprowadzał horde do Turcyi. Gdy w skutek zmian politycznych Cyganie po większej części opu-

ścili kraj nasz, pozostali tylko albo prawdziwi włóczęgi, albo też tacy którzy, wcieliwszy się pomiędzy krajowców, już poprzestali uważać się za Cyganów. Włóczęgów rzadko już można spotkać, czasem jeszcze w Podlaskiem, jakby dla odwiedzenia dawnych swoich naddziadów siedzib, zjawiają się, w małej bo zaledwie kilku-dziesiątnej liczbie i jak dawniej starsze kobiety wróżą mniej dowcipniej biorąc się do tego, stósownie do mniejszej wiary jaką obudzają dzisiaj: młode tańczą, a cała banda prosi Dworu (na dziedzińcu którego odbywają się zwykle te przedstawienia) o wsparcie. Oprócz udatnej powierzchowności, posiadają Cyganie jeszcze wdzięk niepośledni, a tym jest dar do muzyki; łatwo bardzo pochwycą każdą melodję, łatwo nawet do wielkiej dochodzą doskonałości. W Węgrzech mianowicie odznaczają się dotąd jako muzycy. — Przed kilką laty Warszawa słuchała pełnych oryginalności i nawet melodyj, sztuk wykonywanych przez przybyłego z Węgier muzyka, którego nie tylko że w smagłej i pięknej twarzy nosił dowód pochodzenia swego, ale nadto sam twierdził że był Cyganem. Znakomity ten artysta nazwiskiem Farkas-Miszka, swoim pochodzeniem awanturniczem, piękną powierzchownością i muzyką całą duszą wykonywaną, obudził powszechne zajęcie.

MARTI

(Typ Z MINDOWSA p. I. J. KRASZEWSKIEGO).

I Mindows spojrzął, a serce mu z piersi
Zabiło silniej, niż kiedy u łoża
Ojca — ogniste polano druzgotał.

Z krzyżem w ręku i mieczem u boku, białym zakonnika płaszczem odziany, a rycerską zbroją pierś obwarowawszy, przeciągnął zakon krzyżacki z południa na północ. Jerozolima pozostała w ręku niewiernych, lecz Europa jeszcze nie zewszystkiem obmyła się z plam poganizmu, jeszcze było co do czynienia wśród swoich; a zatem opuszczając Azję, czynność swą i baczność krzyżacy zwrócili na pogan Europy. Potężnym ogniem tlał Zniec Litewski, Perkun miał mnóstwo czcicieli, a puszcze Litwy nie przestawały hodować bogów domowych, które pod postacią węży pilnowały ołtarzów Perkuna. Już Prusy

korzyły się przed znakiem krzyża, mistrz zakonu, strzegł nowo nawróconych, żelazną dłonią dzierżąc władzę; ale siostra Pruss, Litwa, urągała chrześcijaństwu i krzyżakom, a nie było sposobu złamać jej potęgi, bo na Litwie panował — Mindows.

Najmłodszy z synów Ryngolda lecz najdzielniejszy, wziął z rąk umierającego ojca władzę nad Litwą i braćmi — zadrżeli przeciwnicy, umilkli niechętni, bo Mindows miał szybkość błyskawicy, a moc gromu, nieprzyjaciół starł na proch, ukorzył hardych — i szeroko a swobodnie rozsiadł się na swój książęcej stolicy. W podziemiach Nowogródka jęczało troje młodych pacholąt. Ojciec ich Montwił, brat Mindowsa legł z ręki młodego władcy Litwy, dzieci wepchnięto do podziemia tam ciekły im leniwile lata cierpie-

nia i sromu. Wszędzie zresztą był pokój, wszędzie bezpieczeństwo, Kunigas Mindows nie walczy z wrogami; znudził się w swym zamku, często więc wyjeżdża w puszcę ze swym dworem na łowy by na niedźwiedziu łuk dziku ponowić dowody swego mężstwa i siły.

Kiedy bohater wśród walki i trudów tak przepędza sławne dni swoje — w grodzie Sudymunta wśród puszczy głębi, wzrasta piękna Sudymunta córka. Marti jój na imię; wzrastała przy boku ojca jak młoda kalina obok dębu, jedyna pociecha starzych lat Sudymunta, jedyny urok jaki mu pozostał w życiu. Z kwiatów, które oplatają wieńcem dni męża, wszystkie pożółkły lub powiędły — tylko miłość dla jedynego dziecka kwitła w całej pełni w piersi starca wojownika.

Piękna litwinka łączyła w sobie powab dziewczycy, słodycz dziecięcia rozpieszczonego przez ojca i odwagę młodziana. Nierozdzielna towarzyszka Sudymunta — dumna jak królowa, śmiała jak niewinność, lub myśl bohatera — Marti towarzyszyła ojcu na łowy, a gdy raz Niemcy Grodzisko napadli, na wałach stała jak stawa na łowach i biła Niemców — jak bije jelenie.... Raz kiedy z ojcem pojechała w knieje zdziwił ją odgłos trąbki zwiastujący, że ktoś drugi tropi zwierza w lasach Sudymunta; śpieszy Marti, śpieszy Sudymunt by poznać i ukarać zuchwalca, który znieważa ich prawa: podążyli na miejsce łowów i stary wojownik rozgniewany każe pojmać śmiałego myśliwca. Myśliwcem tym był Mindows, który nawzajem obrażony, że ktoś z nim jednocześnie poluje, poskoczył ku przybyłym. Piękności obrazów nakreślonych w tym poemacie, wytworności mowy, którą Kraszewski tak potężnie włada — ująć można bardzo wiele, a dodać lub sprostować niepodobna. Niech zatem mówi poeta, bo któż po nim to samo powtórzyć umiałby tak powabnie?

Gdy Mindows zjechał się z nieznajomymi, stanął i słowa nie wyrzekł zdziwiony ich widokiem.

Pierwszy był łowiec z posiwiałym włosem,
Twarzą zoraną zmarszczki głębokimi.
Silny, barczysty znać nie z Meszką tylko
W puszczech się dawniej sam na sam potykał.
Na twarzy starca znaczne były ślady,
Jak stare drogi zarosłe darnią;
Jednego oka brakowało w głowie,
Usta przecięte w półsine wisiały.
Straszny był jeszcze ze brwią namarszczoną,
Z czołem jak chmury piętrzącym się w wały,
Postawą dębu starego, piorunem

Roztrzaskanego z zdrowymi konary,
Wzniesioném czołem i barki silnemi
Któremi jeszcze wiatrom się urąga.

Drugi myśliwy tak przy nim wyglądał
Jak kwiat co rośnie pod dębem gałęzi,
Krew z mléką lice, wysmukły jak brzoza
Co po nad krzaki wyskoczy schylone
I wzniesie czoło liśćmi umajone.
Długie mu włosy na barki spływały,
Złotą przepaską tylko przytrzymane.
Lekki łuk, lżejszy kołczan miał na barkach;
A konik pod nim jak pierwszy śnieg biały,
Strojny był w złotém wyszytą purpurę. —
Dziecię to słabe, czy młoda dziewczyna?
Łatwo odgadnąć spojrzawszy na lica.
Było w nich mężkie, odważne spojrzenie
Uśmiech kobiecy, rumieniec dziecięcy,
Duma i zapal i jeszcze coś więcej
Czego i Bojan żaden nie wyspiewa...

Stary myśliwy krzyknął na Mindowsa:
Ktoś ty? na bogi? — Kto jesteś zuchwały
Co mi tu kradniesz w moim lesie zwierza,
I o dniu białym wypłaszasz mi knieje?
Mów! słyszysz? — albo tą strzałą na dzika
Gotową, serce harde ci przebiję. —

A ty ktoś taki? rzekł Mindows spokojnie.
Nie pytaj! — stary odpowiedział gniewnie.
Ja pytam ciebie, jam tu pan, mam prawo;
Jak śmiałeś w las mój puścić się z ogary? —
„Bom pan i lasu, i twój i tój knieie!”
Rzekł Mindows, gniew swój hamując na chwilę.
Cóż to? nie znasz mię? Znać dawno z tych lasów
Niewychodziłeś za domowe progi.
Imię twe? stary! Chcę wiedzieć — słyszałeś?”
A stary błyskał oczy iskrzącemi,
Wargi mu drżały, potem zwilgło czoło
Marszczył brwi — patrzył — Tyś Mindows! na bogi!
Zawołał, albo nim się tylko zowiesz
Abyś bezkarnie z cudzej wyszedł knieie.
Jam Mindows! groźno Kunigas powiedział;
Uderz mi czołem, starcze, jedź do domu,
I dalej moich nie przerywaj łowów. —
Wahał się stary, lecz córka mu dumnie
Krzyknie: — To kłamca! Mindows w Nowogródku!
Spojrzyj! — Także-to Kunigas wygląda?
Z pięcią sług w obcej sam jedenby stronie
Polował w kniejach? — Tyś nie Mindows kłamco!
Hola, dodała, związać bo uciecze.
To zbieg, z kurońskich granic lub Bajoras
Pruski — przed mieczem niemieckim spłoszony.
W tém Mindows dobył rog oprawny w złoto,
Zadał — i ziemia zatętniała w koło.

Stu sług przebiło gałęzie splątane
I milcząc swego otoczyli pana. —

Starzec nic nie rzekł, okiem kniazia zmierzył
Zsiadł z konia, upadł i czołem uderzył,
A wzięwszy nogę Mindowsa — całował.
Córka na koniu przelekła została
I lice drobną ręką zasłaniała...

Takie było pierwsze poznanie Mindowsa i Marti, na jej widok bohater uczuł, że ta jedna, serca jego i ręki jest godna — Wyniosłe czoło nadobnej dziewczicy stworzone było do korony, a serce jej miało być skarbem droższym nad wszystkie Litwy dostatki. Trzy dni bawił Mindows w dworcu Sudymunta, trzy razy wybierał się w drogę ze swym posłem, ale tajemnicza miłości władza zatrzymywała Mindowsa pod dachem pięknej Marti. Nowe to i nieznane pęta dla Mindowsa, pęta miłosne. Kunigas nie lubi przymusu, nie zna go wcale. — Gdy czwartą jutrenkę powitał pod Sudymunta dachem — żegna swego gospodarza i każe przywołać Marti.

Pojedziesz ze mną — mówi zdziwionej — zostaniesz księżną, żoną moją, pożegnaj ojca, ja biorę cię z sobą. Drogiemi kamieniami szyta czapka księżca, dostatki, godność, sława której się staje uczestniczką małżonka bohatera, mignęły tęczową barwą przed oczyma Litwinki. Ale spojrzała na przerażonego ojca i dwie jasne łzy potoczyły się po białem licu. Sudymunt siwą głowę chyli do stóp Mindowsa błagając, aby mu zostawił córkę; oddaje Kunigasowi swe mienie, zaklina, żebrze (o to), żeby go nie rozłączano z ukochanem dziecięciem — lecz Kunigas głuchy na zaklęcia, każe iść swęj przyszłej, sięść na koń: wtedy rozżalony ojciec przysięga, że dopiero po jego zwłokach Marti przekroczy próg ojcowskiego domu — Mindows zajadły uderza, słudzy porywając dziewczicę — a straszne przekleństwo na wydziercę i ród jego, cały Sudymunt wyzionął w ostatniej życia godzinie. To były zrękowiny — po których małżonkowie spieszyli przez trzy doby na zamek Nowogródka, słysząc ciągle jęk i przekleństwo Sudymunta za sobą. Łzami zalana i krwią zbroczona ojcowską, przybywa młoda księżna na weselne gody. Świetny orszak, tłum możnych Litwinów, przybiega oddać hołd małżonce Kunigasa: siedm dni Mindows ucztuje, siedm dni trwa wesele — a panna młoda z sercem zakrwawionem, kłamać musi obliczem. Musi mieć uśmiech na uśmiech Mindowsa, łagodną mowę na powitanie poddanych, udział w swych godach weselnych, kiedy w sercu ból tak okropny! — Wszakże i Mindows odurzyć się szalem nie może — jęk i przekleństwo Sudymunta brzmia mu nawet

w słodkich Marti wyrazach; chce ukoić pierś wzburzoną i wyszedł na wały; przecież i tam z pod wieży zamkowej ściga Mindowsa jęk przytłumiony. A więc uwolnić się od tych jęków — tam pod wieżą zakuci w dyby synowie Montwiła — wypuścić ich — i niechaj na szerokim świecie szukają dzielnicy dla siebie, rzekł Mindows: a synowcowie po raz pierwszy od lat wielu, ujrzeli wiosnę i ludzi.

Cicho żyje Marti na zamku książęcym; duma rycerki, swawola niewinna dziewczicy, ustąpiły przed ciężkimi obowiązkami żony i władczyni — łzy, które Mindows wycisnie, Marti powinna osuszyć — chmurę czoła mężowskie ćmiącą Marti rozpędzić musi; troje dzieci igra przy jej boku, mnóstwo służebnych tka drogie szaty pod jej nadzorem; Litwa cała bije czołem żonie Mindowsa, ale czy Marti szczęśliwa?

Niezwalczony dotąd Mindows wyciągnął na wojnę chcąc skarcić hardego Towciwiła, jednego z więzionych przed laty synowców. Zwały się hufce litewskie po nad Dźwiną z walecznymi Rusinami: bój był krwawy bo zemsta mu przywodziła, Mindows po raz pierwszy pierzchnął porażony! Na taką ranę męztwu Mindowsa zadaną, nawet Marti łagodne wyrazy przestały być balsamem; nawet Marti zdrowa rada przestaje być skuteczną. Mindows żąda zemsty odwetu, nie ma poświęceń jakichby nieuczynił, żeby tylko zyskać posiłki lub sprzymierzeńców.

Kniaź na Słonimie Daniłło postrzega u siebie posłów Mindowsa, którzy proszą o przymierze i w zakład wiodą najstarszego syna Marti Wojsielka. Lecz Daniłło urąga władcy Litwy, posłów Mindowsa odsyła znieważonych, małego Wojsielka oddał mniuchom na wychowanie — a księciu Litwy wtedy dopiero wrogiem być niezechce, gdy Mindows i wszystek lud jego wiarę Chrystusa u siebie zaprowadzą. Marti złorzeczy mężowi a płacze nad synem, gdy tymczasem Mindows ostatniego chwytając się środka, śle dary i posły do Maryi grodu.

I przyszli rycerze zakonnicy do Litwy, niosąc obietnicę potęgi, pokoju; kusząc blaskiem korony znękanę serce Mindowsa. Zwodzą się wzajemnie obie strony. Mindows przyrzeka to, czego dotrzymać nie myśli — przyjęcie chrztu i ustąpienie swych znaczniejszych ziem zakonowi — oni udają pokorę i gorliwość o zbawienie dusz pogańskich — a rzeczywiście myślą tylko jakby zakon postawić wyżej, od wszelkich sąsiednich mocarzy. Marti łaknie słowa bożego — pociechy — dotąd otoczona dzikiemi wojny obrazami, na czyny gwałtownego Mindowsa pa-

trząc lat kilka, Marti ohydziła sobie surowe pogan obyczaj. Może też i serce ciągnie do wiary, myśli, że pierwородne dziecię Marti niewinnemi ustyci już Boga chrześcijan, Wojsielko ochrzczoney i mnichem postrzyżony, zdala od rodziny modli się do ukrzyżowanego za swojemi, czemużby Marti śladem modlitw jego nie podążyła przed tron nieśmiertelnego Zbawcy, by w duchu spotkać się z kochanym synem? Gdy więc Mindows udaje wiare i skruche, Marti z radością przyjmuje chrzest święty — a pobożny zakon, który skarby zbawienia i światło wiary roznosi wśród niewiernych, żona Mindowsa czci — jak dawniej ojca swojego czciła.

Nie tak przecie myśli Mindows, nie tak czuje Litwa; krzyż dla nich nie jest godłem zbawienia lecz oznaką ich nieudolności, ich sromoty. Runęły posągi hożyszczów, pokryły się węże w zarośle, Znicz przygaszony; w niedawno wzniesionych świątyniach lud korzy się panu zastępów, słucha nauk Ewangelii; lecz ten lud niedojrzały jeszcze dla wiary — i cześć Znicza gorącym płomieniem rozgrzewa mu piersi. Już też krzyżacy nowo nawróconego pana Litwy mianują królem i wieńczą koroną. Mindows przychyła się do ich rad, do ich życzeń; na zwojach pergaminu krzyżak pisze sobie darowizny, a król Mindows przystaje z łatwością — Żmudzi krzyżakom i wszystkich żyznej Litwy dziedzin wkrótce może zakonowi odstąpi. Tak przynajmniej myślą krzyżacy, to — z oburzeniem przeczuwa Litwa — tylko Marti rada, że pokój, bo jej dzieci bezpieczne, dzieci jej nie idą na bezpowrotny zakład w dzleką stronę i nieprzyjazne ręce.

Lecz już przebrała się miara cierpliwości Litwinów, krzyżak mieczem spędza niechętnych do świątyni, krwią ich skrapia mury kościelne, zachęcając do słuchania nauki braterstwa i miłości — Żmudź tęskni za dawnymi bogi, Litwa ich przyzywa — Mindows żąda u Krzyżaków zadośćuczynienia za krzywdę księciu na Żmudzi, krewnemu Mindowsa wyrządzoną; Krzyżacy wymagają zapisu na rzecz zakonu, chcą w razie bezpotomnego zejścia Mindowsa, być następcami jego, Marti zjawia się jako pośredniczka ona łagodzi zwaśnionych, męża namawia do zgody, Krzyżaków chce przejednać — Marti niewie, że zgoda z zakonem nastąpić nie może, nie powinna; królowa nie pomna, że jest córą Sudymunta, a Mindowsa żoną, iż kiedyś niemców strzałami spędzała z wałów ojcowskiego zamku; że kiedyś wojnę tyle co płąsy i kwiaty lnbila, że mieczem tak dobrze władała jak wrzecionem. Teraz ona zapomniała o tém wie,

tylko, że jest matką, że jest chrześcijanką. Zbawca wyrzekł: błogosławieni pokój czyniący — i Marti chce widzieć pokój w Litwie i przyjaźń między Mindowsem i Zakonem. Napróżno! hardy Krzyżak za bardzo widocznie pomiata Mindowsem, syn Ryngolda ma jeszcze miecz ojca u boku i stokroć nad miecz hartowniejszą nienawiść dla niemców w sercu.

Skinął — a stosy wojenne zapaliły się w okamgnieniu, to hasło, że Litwa krzyż obala, dawne bogi przywraca i zakon wygania ze swych siedzib. Po długim spoczynku ocknęła się Żmudź i Litwa silniejszą i dzikszą niż była kiedykolwiek — zwalczeni Krzyżacy, zdeptana ich wiara, Mindows upojony zwycięstwem i radością, śle do żony Wajdelotów, chcąc Marti nawrócić do dawnych bogów; Marti płacze i modli się po chrześcijańsku; zaklina męża by nie porzucił nauki zbawienia: Mindows szydzi z jej łez i gniewa się na upor żony. Jeden już tylko węzeł łączy Mindowsa z żoną; dwóch synów, którzy rosną pod okiem tkliwej Marti, wszystkie inne już porwane; od pierwszego dnia oświadczyń, aż do dni zwycięstwa nad zakonem, co raz wolniały dla nich różane sploty małżeńskiej miłości. Krew Sudymunta wezbraną rzeką szerzyła ten przedział — teraz nawet obyczajem i wiarą Marti, oddzielona od męża. Lecz na tem niekoniec jej cierpień, serce żony i matki jedną jeszcze a najsroźszą przebyć musi burzę za nim Bóg męczenniczkę cichych cnót a niewyczerpanej cierpliwości, powoła na spoczynek wiekuisty.

Wieczorną godziną dumał Mindows o swych zwycięstwach radośnie powtarzając w duszy pieśni lat młodych — gdy z tego upojenia wyrwał go tentent wbiegającego na zamek konia. Jeszcze władca Litwy nie zdążył zapytać sług swoich, kto przybył na nowogrodzki zamek? kiedy już czarno ubrany, z młodem licem i jasnym włosom nieznajomy stanął przed obliczem Mindowsa. Z sukni znać Rusina. Kunigas zdumiony spojrzął gniewnie na przybylca, ten zaś klękawszy w milczeniu, podniósł niebieskie oczy na pogromcę Krzyżaków. Kto jesteś! groźno pyta Mindows — posłaniec wojny czy pokoju? Na to odrzekł nieznajomy: Więc mię niepoznajesz o panie! toś już zapomniał o synu?

W serdeczny uścisk porwał Mindows młodzieńca: to syn mój! to Wojsielko! nadbiegła uszczęśliwiona Marti z *twarzą splakaną; bez głosu i blada i pocznie syna ścisnąć, błogosławić, tysiącem pytań narzucać na niego tysiącem pieśczoł macierzyństwa swego, długą tęsknotę nagradzając sobie.*

Gdy pierwsze uniesienie minęło, Marti rada, że odzyskała syna, każe mu pozostać przy sobie, pewna iż odtąd nikt i nic nie wydrze go jój sercu. Ale Wojsielko smutno odpowiada, że słodycz rodzinnego pożycia zakazanym dlań owocem; on poświęcony Bogu i modlitwie; życie poświęceń to jego przeznaczenie. Przybyłby raz jeszcze ujrzyć swoich, raz jeden jeszcze uścisk matki i błogosławieństwo ojca otrzymać, a potem wróci do swój celi, i jak dym kadzideł, poniesie duszę, na obłoku wiary w hołdzie Przedwiecznemu. Życie jego ma być życiem pokuty i modlitwy; zrosł z niem tak, że innego dla siebie już nierozumie. Radują Marti te wyrazy, ta żywa młodego serca wiara; lecz Mindows słucha ze zgrozą syna; to chrześcijanin! a on nienawidzi chrześcijan! Zruc mniszą suknię, starszy synu Kunigasa Litwy; przywdziej hełm i zbroję, uczcij dawne bogi i zamną na wrogów, na krzyżackie zastępy. — Nie ojczel! mówi Wojsielko, ja nigdzie wrogów a wszędzie mam braci; ojczel! tyś odstąpił od twego Boga — o! nawróć się do wiary! nawróć — ja dzień i noc modlić się o to będę. — Dobrze dziecię moje! woła Marti, trwaj przy téj świętej objawienia nauce. — Ale rozjątrzony Mindows, grozi śmiercią nieposłusznemu synowi. — Bóg mi dał siłę by urągać śmierci — odpowiada Wojsielko, Marti splakane oczy błagalnie zwraca na męża tuląc w objęciu syna; wtém gniewny Mindows skinął na bojary, każe im związać Wojsielka i rzucić do ciemnicy...

Wojsielk słów nie mógł znaleźć w ustach drżących
A Marti płacząc do męża biegała,
Okuj mię: woła, a puść wolno syna!
Czyż nie masz nawet ojcowskich wnętrzności,
Czyż tak dopełniasz świętej gościnności,
Gdy krew twa własna pod twój dach się chroni?
Każ go rozwiązać...
U nóg twych leżę — czyn co zechcesz ze mną,
Zlituj się! albo wiąż i matkę razem,
I dzieci resztę!

Stał Mindows i słuchał,
Brew zmarszczył strasznie. Precz mi z tą kobietą!
A Marti w więzy kładła ręce swoje,
I syna ciałem schudłem zakrywała;
Bojary stali odepchnąć nieśmiejąc,
Sam Mindows porwał jój ręce — odrzucił,
I pchnął, aż z słabój niewiasty przed chwilą,
Co lzy ronila i u nóg leżała,
Silna i straszna Litewka powstała.
Taką raz pierwszy ujrzał ją Mindowe.
W oczach jój gniewy wybuchłe błyskają,
Drżą wargi sine i pięści się wznoszą,

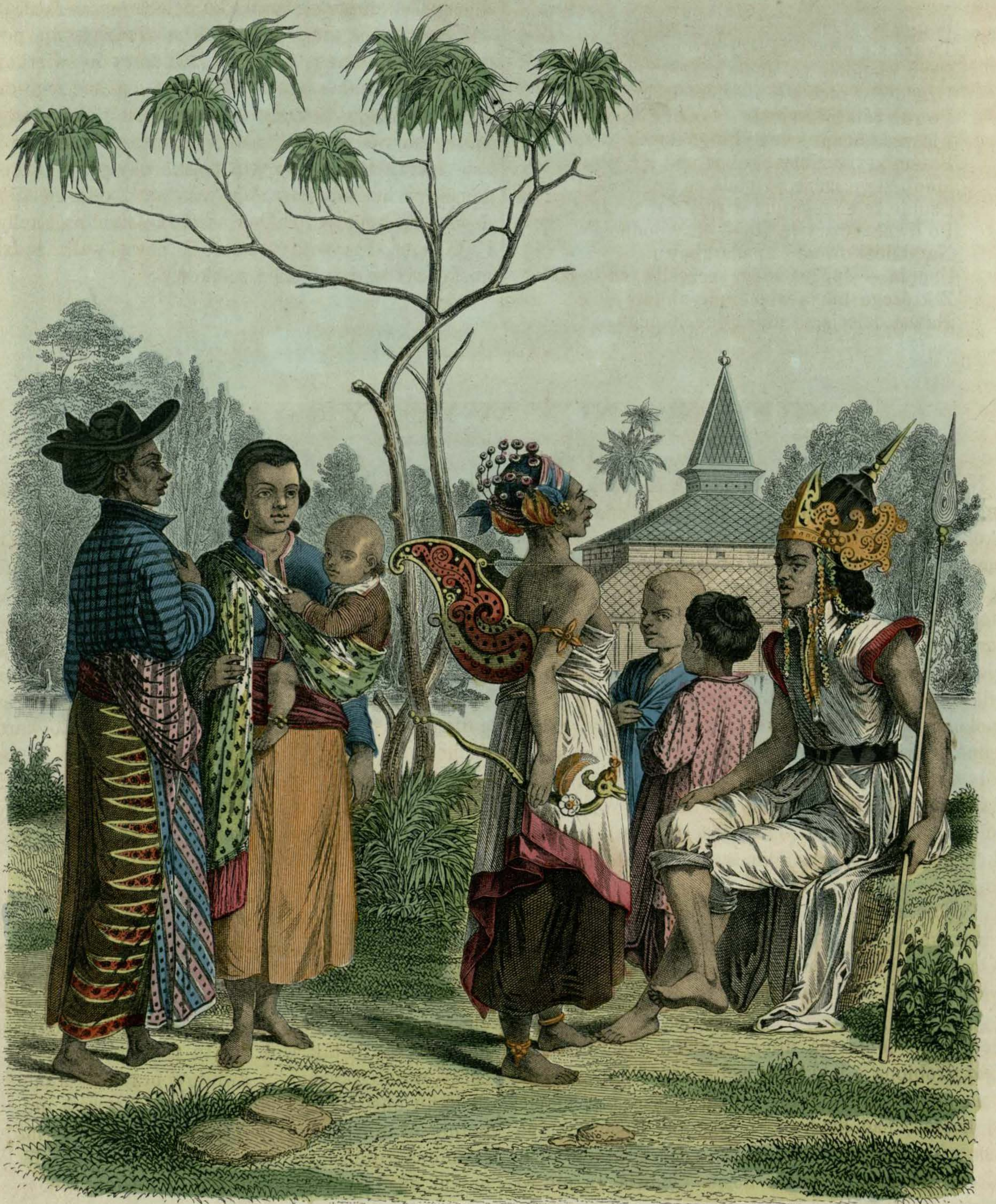
Skoczy wilczycą co szczenięcia broni —
I nie prośbami do Mindowsa woła,
Nie zniża głowy, nie uchyla czoła:
Mindowsie! krzyczy — nietknij go! śmierć tobie!
Jeśli Wojsielka niepuścisz swobodnie
Ja, śmierć ci zadam; ja, mą własną ręką.
We śnie zabiję, uduszę jak zwierza
Co do kolebki przypełzał dziecinnój.
Śmierć tobie! matki przekleństwo i żony!
Krew na twą głowę — zbójco rozjuszony!
Jam słaba — słaby mocnego zwycięża,
Żądło gadziny z nóg obała męża.
Ja tobie będę żmiją i gadziną,
Ja padnę błagać u mojego Boga
Zemsty na ciebie — Chrystus mię wysłucha!
Ja bogom Litwy poniosę ofiary
Ja lud poburzę — ja zbójców zapłacę —
Krew dam za śmierć twą — za twe życie — życie!
To syn mój Wojsielk! bojary! słyszycie?
To jego dziecię —

On chce je zabić jak zabił swych braci,
I ojca mego. — Jego więzicie, zdrajcę.
Wolność wam, skarby! oddajcie mi syna!

Wrzał Mindows gniewem a zdumione bojary niewiedziały czy słuchać rozkazów Marti czy Mindowsa. Aż młody Wojsielk łagodnie się odzywa: odstąp matko i ocal dni swoje — tyś potrzebna młodszym dzieciom — ja chętnie umrę — dodał — wyciągając ręce do więzów. — A na zamek wpada zdyszany jeździec, oblany krwią i kurzem okryty — wpada do komnaty i u nóg Mindowsa, wołając: zwycięstwo! — kona. Zwycięstwo nad chrześcijany przez Litwę odniesione, woła drugi jeździec, a za nim wszyscy wtorują, zwycięstwo!

Tłum ludu płynie na zamek cisnąc się do pana Litwy, Mindows radośne dzięki składa bogom — Marti zaś niepostrzeżona wysuwa się z komnaty wlokąc syna za rękę i błogosławiąc ukochane dziecię, ułatwia mu ucieczkę...

To było ostatnie Marti cierpienie. Sama wydalila syna od swego boku, syna, którego obecność byłaby jój szczęściem najżywszem. Walka uczuć gwałtownych jakie wrzały w wątłej, niewieściej piersi, wycieńczyła ostatek sił żony Mindowsa. Kunigas o nowych marzy zwycięstwach, lecz Marti znękana, nie czuje odwagi do dalszych cierpień, ani sił do téj nieustannej walki ze srogością męża i obawą o życie synów. Tam, z gwiazdzistego niebios przybytku, duch matki łatwiej czuwać będzie nad dziećmi, tam potęgą modłów nie zmaconych wrazeniami ziemi, Marti ubłaga Stwórcę o litość nad swemi sieroty. Teraz trzeba jój koniecznie wypoczynku — i téj opłakanój



nocy, kiedy Wojsielk ucieczką uchronił się przed gniewem ojca, kiedy go wśród łez, Marti błogosławiła na drogę tułaczą, tejże nocy Marti u kolebki śpiących synów, błaga Stwórcę o sen wieczny dla siebie.

Bóg ją wysłuchał — i oto w modlitwie
Twarz się promieni, łzy płynąć przestają,
Oczy wlepione na niebo patrzą —
I radość w nich się nadziejska maluje.
Po raz ostatni dzieci swe całuje
I jeszcze łzami swemi błogosławi.
Potém krzyż złoty kładzie pod ich głowy,
Modli się jeszcze — pada na posłanie,
Czując że z niego już więcej nie wstanie.
Po dwakroć zrywa się — oczy podnosi
Na dzieci swoje i upada znowu...
Usnęła — spi już snem szczęśliwych ludzi
Z którego nic ją więcej nie obudzi —
Nawet dziecięcia płacz ukochanego,

Na swych ręku Anioł śmierci unosi duszę Marti, przez światów obszary do krainy błogosławionych. Drżącą, osłonił w jasne białe szaty anioła i leci z nią; a Marti w pół niebie jeszcze po dwakroć od progów wieczności, duszą się matki ku dzieciom zawraca.

Z orszakiem sług zbrojnych w towarzystwie pogańskich kapłanów, wkroczył Mindows do świetlicy żony. Lecz hałas nie obudził już uspionej, gniew męża nie przejął dreszczem trwogi; jak piękny posąg leżała martwa na łożu, a dwa głosy dziecinne napróżno z krzykiem spojrzenia matki wzywały. Płacz dzieci, rozbudził osłupiałego na widok umarłej Mindowsa; na koń! zawołał — na chrześcian! na Lachy! i z tajemną zgryzotą w sercu a nową walk żądzą poskoczył w dziedziniec zamkowy.

J. J.

MIESZKAŃCY WYSPY JAWY.

(z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Najpiękniejszą z wysp Sundu w Indjach wschodnich i zarazem jednym z najhojniej uposażonych okolic ziemi, jest wyspa Jawa zostająca pod panowaniem Hollandyi. Ale na nieszczęście zbyt mało ją znamy, bo zazdrośni o tę posiadłość holendrzy nie wpuszczają tam żadnego cudzoziemca i sami bardzo mało o wewnętrznych stosunkach téj wyspy wiedzą. Jednakże w ostatnich czasach udało się kilku podróżnym, pod rozmaitemi pozorami zaspokoić żądzę wiedzy, a szczególnie wycieczkom jednego francuza winni jesteśmy nieocenione szczegóły w tym przedmiocie. Dołączony tu obraz przedstawiający kilku mieszkańców Jawy w ich szczególnych, krajowych strojach, jest mierną kopją uzyskanego z natury rysunku tego wytrwałego podróżnika.

Postać mężka po lewej stronie przedstawia jawanczyka wyższej klasy w świątecznym ubraniu. Włosy obiął jedwabną chustą a na wierzch włożył kapelusz, którego szerokie skrzydła podgięte są w górę dla osłony i cieniu od palących promieni słońca; na sobie ma długą kamizelkę nazwaną *katimo*, zrobioną z lekkiej bawełnianej tkaniny w pasy a na niej *sarony*, pewien rodzaj płaszcza spadający do kostek, nad biodrami powiązany pasem. Za pasem zatknięty jest *eris*, długi sztylet, który każdy dorosły jawanczyk zwykł nosić. Obuwia tu nie widzimy, bo tego w całej Jawie nie znają, pończoz-

chy i pantalony nie są tam także w modzie. Mimo to człowiekowi temu cudownie jest w paradnym stroju i niepomału pyszni się z tego. Mniej poważnie wygląda stojąca obok niego niewiasta. Niesie ona dziecko, ale nie na ręku tylko w szarfie zwanéj *Zelindung*, przewieszzone przez ramię tak mniej więcej jak to u nas noszą cyganki, żeby im dziecko nie przeszkadzało przy robocie. Ma ona na sobie bluzę nazwaną *Badjae*, umocowaną w pasie sznurem a długą do kostek; na niej suknia z przodu otwarta dochodząca tylko do kolan, nazwana *kajes feundung*. Pominąwszy nawet rysy twarzy, zbliżone do typu murzyńskiego, cała postać téj kobiety nie sprawia przyjemnego wrażenia, bo wygląda w swoim ubraniu jakby w worku.

Tem pyszniej odbijają od poprzednich pozostałe figury, przedstawiające jawańskich tancerzy, tak zwanych *Gambous*. Każdy bogaty jawanczyk, a szczególnie każdy naczelnik osady miejskiej, trzyma swoją własną grupę tancerzy i największej w tem szuka chwały, żeby ich najwspaniałej a raczej najdziwaczniej ubierać. I tak widzimy tu jednego z tych tancerzy, w sutéj koronie z kwiatów przymocowanej do turbanu obwijającego włosy. Uszy zakrywają mu zupełnie prawie bukiety z pomarańczowych kwiatów. Ramiona, ręce i nogi ma gołe, od piersi tylko do pół goleni spada maleńka suknia, u kostek i powyżej łokcia ma opaski z kwiatów. Jakieś dziwne cacko

w kształcie węża trzyma w ręku a u łopatek sznurami przymocował dwa skrzydła, które na pozor tak wydają się ciężkimi, że nie pojmujemy jak może dźwigać je w tańcu. Ale zbliska przekonujemy się że te skrzydła są delikatne, przezroczyste i wycięte z sztywnej ale lekkiej bawolej skóry a razem z zdobiacami je kwiatkami nie wiele pewno ważą. Z tego samego materiału jest imponujący hełm na głowie drugiego, siedzącego tancerza, a niby to łańcuszki zwieszane u hełmu, są to lekkie wiązanki z kwiatów trzęsące się wśród tańca na wszystkie strony. Ten tancerz przedstawia zwykle przy miejscowych uro-

czystościach, wojownicze pantominy i dla tego skrzydeł nie ma, ale za to dzierży w ręku tarczę, a strój jego z krótkimi pantalonami i obcisłą tuniką ma wojskowy charakter. Prostsze daleko jest ubranie dwóch stojących obok chłopców, którzy może także do podrzędnych ról w tańcu należą.

Wszystkie tu przedstawione ubrania, stanowią paradne świąteczne stroje; zwykle bowiem mieszkańcy Jawy młodzi i starzy, kobiety, mężczyźni i dzieci chodzą w pół nago, to jest noszą tylko rodzaj szerokiego pasa okrywającego samą średnią część ciała, bo gorący klimat wyspy nie wymaga innego ubrania.

KRONIKA NESTORA I PODANIA SKANDYNAWSKIE.

Zaczątki dziejów Rusi północnej w przeciągu wieków IX i X widoczne noszą na sobie piętno charakteru czysto skandynawskiego. Założenie państwa nad brzegami jeziora Ilmeń, naturalną komunikacją wodną połączonego z morzem Bałtyckim, ciągle pierwszych książąt wędrówki na południe, przeniesienie stolicy naprzód do Kijowa, następnie do Perejasławca nad Dunajem, nieustanne wyprawy morskie do Konstantynopola, świadczą wymownie o dążności, jaka w tym kraju panowała. Nie wchodząc w rozbiór kwestyi etymologicznej, zwróćmy uwagę na sam charakter życia ówczesnego. Ktoż inny, prócz Skandynawów, przedsiębrać mógł na ówczas wyprawy na łodziach do stolicy cesarstwa greckiego? Ktoż, oprócz Normanów na dokonanie podobnych czynów, odważyć się był w stanie? Napełniwszy bitnemi zastępy swemi zachodnie brzegi Europy, winni byli oni z natury rzeczy spróbować otwarcia nowej przez ziemie słowiańskie drogi do tego miasta, które z bajecznych bogactw słynąc oddawna, ciągle dla napadów łupieżkich cel stanowiło. Czyliż osiedlenie Waregów w Nowogrodzie i Kijowie nie mogło pozostać dla nich samem tylko stanowiskiem w celu otwarcia stałej przez kraje słowiańskie komunikacji z morzem Czarnym, aż do owjej chwili, kiedy długi ich w kraju stepowym pobyt, a następnie ogień grecki, odzwyczajwszy przybyszów od morza, zmusiły uważać Ruś za swą ojczyznę; przyjęcie zaś religii chrześcijańskiej, połączywszy ich węzłem braterskim z Carogrodem, całkiem ów zapał do podbojów ostudziło.

Porównanie zabytków literatury staro-słowiańskiej z pomnikami poezyi skandynawskiej, dobitnie jeszcze okaże, że okres pogański dziejów Rusi, nosi na sobie piętno wpływu normańskiego. Ten sam duch odwagi i meztwa służy za podstawę czynów bohaterskich, tak przez Nestora jak przez kroniki islandzkie opisanych. W pomnikach literatury staro-słowiańskiej, są miejsca nadzwyczaj podobne do podań przez północnych poetów i kronikarzy dochowanych.

Opowieść Nestora o śmierci Olega i opowiadanie sagi islandzkiej o zgonie Konunga Orwarda — Odda; powieść o spaleniu w łaźni posłów drewniańskich z rozkazu Olgi i podanie o podobnym czynie przez pewną królową norweską dokonany, z jednego bez wątpienia źródła powstały: Saga Ejmunda i panowanie Jarosława w kronice Nestora, jedną i też samą powieść stanowią.

Opowiadania Nestora, odnoszące się do pogańskiego dziejów Rusi okresu, będąc z literackiego punktu widzenia rozważane, przedstawiają zbiór powieści historycznych i poetycznych legend ¹⁾.

Zapewne, że mnich kijowski, czytaniem pisarzy byzańtyńskich przesiąknięty, nie mógł w zupełności oddać podań ludu pogańskiego, które z czynnego w ciągu wieków życia bohaterów skandynawskich

¹⁾ Dzieje pierwotne większej części ludów, na poetycznych opierają się podaniach. Niebuhr („w Römische Geschichte“) wykazał, że w historii Liwiusza znajdują się urywki z bohaterskiej poezyi pierwszych wieków Rzymu.

powstały; nie mógł on zrozumieć poetycznej czynów ich strony, patrząc na nie jako zimny kronikarz i zacięty pogaństwa nieprzyjaciel. Jednakże pomimo pogardy, jaką czuł Nestor ku starożytnemu światu chrześcijańskiemu, pomimo oschłego, pozbawionego życia stylu, spostrzegać się dają w kronice jego miejsca, świadczące niewątpliwie o istnieniu starożytnej jakkolwiek nieokrzeseanej jeszcze, poezji, która pod wpływem świata skandynawskiego, powstawać na Rusi zaczynała.

Szereg opowieści Nestora, poczynając od Ruryka aż do zgonu Świętopełka, przedstawia jakby ułamki zaginionego poematu, bardziej do utworu literatury, aniżeli do pomnika dziejowego mające podobieństwo. Jest to zapewne ofiara, którą zakonnik złożył na ołtarzu podań pogańskich, nie całkiem jeszcze z pamięci wyrugowanych. Jeden wspólny charakter bohaterstwa i poezji cechuje wszystkie te powieści, w których czas obejmuje przeciąg półtora wieku, a miejsce działania rozciąga się od morza Bałtyckiego, aż do carogrodzkiego Rogu złotego. Śmierć Askolda i Dira, wyprawa Olega do Konstantynopola i cudowny zgon tegoż; zemsta Olgi nad Drewlanami, bitwa przy Owruczu i śmierć Jaropełka; oblężenie Kijowa przez Pieczyngów i ocalenie go przez Pretycza; chybiona zemsta Rogniedy; czyny Świętosława i dzieje Świętopełka, oto są główne z tego poematu ustępy. A jakież to w nim osoby na scenę występują! Oleg, tarczę zwyciężką przybijający do bramy zdumionego Byzantium i Olga, chrzest przyjmująca w jego murach; Rognieda, drżąca na samą myśl stania się żoną syna niewolnicy („rabynicza“) pałająca zemstą do mordercy ojca swego i braci, — a na ostatku Świętosław i Świętopełk!

Życie Świętosława stanowi u Nestora zajmującą i poetyczną powieść. Świetnymi rysy odmalował on postać tego, bajecznej starożytności północy, Achillesa, od chwili, kiedy małym jeszcze będąc chłopięciem, wyjeżdża on na koniu przed wojska swego szeregi i słabą ręką rzuca włócznię na nieprzyjaciela, aż do méj strasznej katastrofy, kiedy w złoto oprawna czaszka bohatera, poległego w boju z przeważającymi wrogów zastępy, służy im za puhar w czasie uczty. Ileż to poezji w czynach tego bohatera, który całe życie na polu bojowym pędząc, *chodził jakby pardus* („aki pardus“); nigdy wrogów nie napadał, nie rzekłszy im wprzód „idę na was“ któren prosty miecz przenosił nad dary Cymiskijego, a walcząc z licznymi Greków zastępy, w te słowa do swój drużyny przemawiał: „legniem tu z kośćmi; umarli bowiem

wstydu (sromu) nie mają!“ Postać taka, godną zaiste była obudzić zapał w poecie! I Nestor pomimo swój ku pogańskim książętom nienawiści, szczególnie ku Świętosławowi, który „prósb matki o chrzest, do uszu nie przyjmował“, pomimo zwykłej w wykładzie oschłości i stylu napuszonego, napisał powieść, pełną zajęcia i poezji.

Lecz ciekawszym nierównie jest opowiadanie o *Świętopełku okajannym* (wyklętym). Tu się nadarza sposobność do oceny Nestora pod względem literackim; życie i zgon Świętopełka stanowią najgłówniejszą część *Sagi Ejmunda*, w XIII wieku z dawnych podań islandzkich zebranej, a porównanie jej z opowieścią Nestora, posłuży za dowód skandynawskiego, starożytnej poezji Rusi, pochodzenia.

Saga w następny sposób, powieść tę przedstawia Burisleif (tak Saga nazywa Świętopełka) domagał się od Konunga Jarisleifa ustąpienia mu kilku wsi i targowisk; ten zaś ostatni, nie chcąc ich oddać, wojnę z nim rozpoczął. Przeciwnicy się zwarli i Normannowie, w wojsku Jarisleifa służący, zaszedłszy tył wrogom, zmusili ich do ucieczki. Po kilku nareszcie wątpliwych potyczkach, wódz Normanów, Ejmund, dostaje się przebrany za żebraka do obozu Burisleifa, a wszedłszy do namiotu Konunga, zadaje mu cios śmiertelny.

Nestor wypadki te inaczej nieco opisuje. Świętopełk, postanowiwszy po zgonie Włodzimierza, opanować tron i posiadłości swe rozszerzyć, wysyła zbójców dla zamordowania braci, i trzech z nich pada pod nożami siepaczy. Lecz Opatrzność zsyła na mordercę mściciela w osobie czwartego brata, Jarosława nowogrodzkiego. Oba wojska spotykają się nad brzegami Dniepru i męstwo Nowogrodzian roztrzyga los bitwy. Po różnych szczęścia odmianach wrogowie stają na tém samym miejscu, gdzie jeden z braci Świętopełka zamordowany został. Jarosław wstępuje na mogiłę, a zaniósłszy modły do Nieba o pomstę na głowę Kaina, daje znak do rozpoczęcia walki. Bój wre z niesłychaną zaciętością: w tém aniołowie pańscy zstępują z niebios, niosąc pomoc mścicielowi i Świętopełk w ucieczce szuka ocalenia. Kara boska ściga mordercę. „Gdy uciekał — powiada kronikarz — napadł nań bies i osłabły kości jego, tak, że siedzieć nie mógł i niesiono go na noszach.“ Pędzony przekleństwem, podobnie jak Kain, ścigany od widm, Świętopełk z jednej do drugiej ucieka krainy, a nigdzie spokoju nie znajdując, ginie wśród odległej pustyni: „A jest — dodaje kronikarz, mogiła jego do dziś dnia na pustyni, a z niej smród idzie

Widzimy z porównania tego, że Nestor, pomimo jednostronnego poglądu, pomimo dodatków, dramat wypadku opisujących, przewyższa opowiadacza islandzkiego tak myślą, chociaż niedokłanie wypowiedzianą, jak rozwinięciem szczegółów, pełnych życia i poezji. O ileż niższym wydaje się Eymund w porównaniu do postaci, przez Nestora wyobrażonych! Z jakąż to prawdą i poezją wystawiony Świętopełk, ów syn greckiej zakonnicy! Poczęty w grzechu; już od samej chwili urodzenia nosi na sobie znamię przeklęctwa; chciwy panowania, przez bratobójstwo zdobywa tron, lecz na samym miejscu zbrodni odbiera karę od brata mściciela; ścigany następnie od widm, ginie wśród męczarni na pustyni! Nie wiemy, o ile powieść ta jest zgodną z historią; lecz patrząc na nią jako utwór literacki, nie podobna nie dostrzedz w niej prawdy dramatycznej, a nawet analizy szczegółów.

W tych opowieściach Nestora widzimy ów wiek bohaterski: kiedy chwała i honor znane były na Rusi; kiedy książęta idąc na wojnę, uprzedzali o tem nieprzyjaciół; kiedy posłowie zawierając traktaty z cesarzem, głosili: „niech się na wieki stanie niewolnikiem ten, kto słowa danego nie dotrzyma,“ poczytując to za najświętszą przysięgę. W prostodusznem mnicha opowiadaniu nie podobna nie zauważyć, jak wiele bogactw poetycznych ukrytych było w tém życiu, które pełni swój nie dobiegłszy, już w samym zaczątku śmiertelném otrętwieniem rażone zostało. A jakieżby to bogate plony przynieść ono mogło, gdyby nie było innym zupełnie poszło torem, a który obcym będąc poezji, położył tamy nieprzebyte dalszemu jój rozwojowi.

J. Sa...

STAN POLSKI

(Dalszy ciąg),

Nieszczęściem Jan Kazimierz nie miał energii i charakteru Ryszajego, który podobnych możnowładców pod Ludwikiem XIII umiał poskromić, a szlachta, niezależna od panów, szemrała tylko na ich zabiegi o łaski dworu, o ciemnienie siebie, ale nigdy nie odważyła się ich potęgę ukrócić. Na zgromadzeniu też powszechném, gdzie jedynie szlachcic równał się panu, chociaż wszystka nowa szlachta powstawała na Senat, z samych możliwych złożony, przecież zawsze kończyło się na pogrózkach, bo zanadto posunięto zepsucie obyczajów, aby panowie, przy niezmiernych dochodach, nie mieli przewodzić nad resztą ubogich współbraci. Jak tylko bowiem stały się bogactwa zaszczytem i zjednywać zaczęły władzę wziętość i znaczenie — zaraz poczęła słabnąć energia w narodzie; wszyscy się ubiegali za dostatkami, by ich użyć na najwyszukańsze zbytki. Wspaniałość polska była do nich powodem. Nie stawić się według możności okazale, nie przyjąć gościnnie cudzoziemca, nie uczęstować w dom przybywającego sąsiada, było jeszcze u Słowian nieodpuszczoną zbrodnią. Polacy szcycąc się ich pokrewieństwem, zawsze naśladowali ten zwyczaj, ale w tych czasach nie miewano względu na możność. Senatorowie, starostowie

i prałaci żyli z wschodnim przepychem, sadzili się na utrzymywanie licznych dworów, dzielnych koni i okazanie azyatyckiego przepychu. Naród, mimo powszechne zubożenie, podążał za ich przykładem. Gięły się wszędzie stoły pod ciężarem sreber i najwyszukańszych potraw i więcej łożono na kucharzy niżeli na wojsko (Koch. Clim 2. libl. pag. 16). Zbytki w téj mierze, mimo prawo z r. 1655, doszły do najwyższego stopnia. Na urodzinach, weselach i pogrzebach, trawiono dochody obszernych włości, zgromadzone znojem kmieci, pogrążonych w najsroźszej nędzy, a nie pamiętano na cierpiącą ludzkość i nie miano na względzie potrzeb Ojczyzny. Nic na szpitale ubogich, nic na fabryki, nic na podniesienie miast z gruzów, lub polepszenie handlu, nic na rozszerzenie oświaty, nie wiele nawet na piękne i wygodne pałace łożono — wszystko sypano na zgraje słuźalców, na zmysłowe rozkosze, a resztę — na budowanie kościołów i fundowanie klasztorów, sądząc, że tym sposobem zmażą winy w publiczném lub prywatném życiu popełnione. *Gościnność* zasadzała się teraz na pijaństwie, w którym wszystkie klasy i stany zarówno celowały „Piją wszyscy biskupi i senatorowie, a piją do humoru, piją i prałaci, żołnie-

rze, szlachta, mieszczenie, panowie i chłopci — owo zgoła pijana Polska zwać się może“ — są to słowa ówczesnego pisarza (Opalin. Sat. 8. Ks. 4). A z tak obrzydłego, lecz niestety powszechnego nałogu, jakież i skażenie moralne musiało wynikać? Skoro bowiem ginie cnota, zaraz ambicja do serca się wkrada, a łakomstwo wszystkich ogarnia. Im zaś bardziej zbytek w Rzeczypospolitej wzrasta, tym bardziej umysł prywatny upatruje interes. Ludziom, jedynie niezbędnych rzeczy potrzebującym, tylko sława Ojczyzny i swoja własna w pożądaniu zostaje, — lecz dusza zbytkiem zepsuta, do innych pragnień zmierza; — kto co kochał, więcej nie lubi, — kto był wolnym przy prawach — przeciwko nim powstaje, — głosy za pieniądze się dają, — a skarb publiczny, — polegający na dobru prywatnych ludzi — staje się ich ofiarą. Jakoż, przy ciągłych zaburzeniach przed elekcyą Michała, wszeteczeństwo i nierząd stanęło w cenie. Nie słyhać było, kogoby o lichwę na Trybunał pozwano, komubyzganiono zdrzectwo, lub zabrano majątek, za to, że grosz publiczny na swój prywatny użytek obrócił, — nie odsądzono od czci, że z pola bitwy uciekł, — nie oddano pod miecz sprawiedliwości, że niewinnego zabił, — nie ruszono z Senatu, kto się brudami, pijaństwem i uciemieniem ubogich bawił, bo najmożniejsi zhańbieni byli temi zbrodniami. Szlachcic prosty tém się różnił, że duch jego w postępowaniu publiczném był niezmienny, miłujący Ojczyznę, dbały o religiję i czystość obyczajów. W pożyciu domowem, gdzie rola i myśliwstwo bywały jedyném jego zatrudnieniem, uprzejmy i sprawiedliwy, w edukacyi synów surowy, z żoną nie znał rozwodów ¹⁾. U kobiet stare obyczaje jeszcze były nie straciły szacunku, — jeszcze w szkole własnego domu nauka podległości, cierpliwości i uprzejmości, zwykła się była odbywać, a o wyborze męża stanowiła wola rodziców. Robota krosienkowa wraz z sierotami, bywały gospodyń i matek głównem zatrudnieniem; do spraw mężów nie wtrącały się wcale; — dopiero za przykładem żony Jana Kazimierza zaczęły wpływu nabierać do interesów publicznych; równie gust do strojów, jako też zamiłowanie wygod od dworu przejęto. Mimo niedosyć wyraźnej władzy panującego w sprawowaniu rządu, cnoty lub wady otaczających go, tak jak we wszystkich państwach, wiele wpływały na obyczaje narodu, a to dla rozdawnictwa dowolnego

urzędów i starostw. Prawdą jest poniekąd, co mówi zagraniczny pisarz, że dopóty tylko Polacy byli nadskakującymi, dopóki łaski nie zyskali, — skoro zaś tę otrzymali, nie sądzili się obowiązany do wdzięczności; lecz mógłże się kto spodziewać posunięcia się na wyższy stopień, lub pomnożenia dochodów, jeżeli pierwszego daru nie zawdzięczył królowi? Ztąd zatem pod dzielnym Batorym waleczni; pod spokojnym Władysławem miłujący pokój; pod Janem Kazimierzem tak bitni jak on, a tyle intryganci ile jego żona Marya-Ludwika, która powodując mężem, wszystkim władała. Ta to kobieta, nieograniczonych zamysłów, pierwsza po Bonie, wprowadziła przedajność urzędów, oraz upowszechniła przekupstwa, a przez obietnice, łaski i groźby, usiłowała, nie bez skutku, poważnych senatorów przerobić na dworzan wersalskich. Nadto dla pozyskania panów dawała wielu za żony młode francuzki, a te, nie tylko potrafiły kierować zdaniem swych mężów w Senacie, na polu elekcyjnym, ale nawet zaszczepiły w Polakach upodobanie w modach i zwyczajach kraju rodzinnego. Zaczęto je naśladować, zaczęto wysyłać młodzież do Francyi, co jakkolwiek stało się później przyczyną złych skutków, wyznać przecież należy, że złagodziło nieco obyczaje, które ciągle wojny, barbarzyńskiemi prawie uczyniły.

To co się dotąd mówiło we względzie stanu moralnego o szlachcie, — to samo rozumieć należy i o miastach wolnych, które ją zawsze naśladowały. O poddanych zaś nie wiele mażna powiedzieć; — bo jakież można upatrywać przymioty w człowieku, którego niewola tak urządzoną była, iż mu ledwo tyle rzeczy pracą ciężką zyskiwać pozwolono, ile ich pierwsze potrzeby życia wymagały; cóż widzieć mamy w téj machinie, która *bez przymusu, kroku nie zrobiła*; jak uważać człowieka, któremu chęci nawet polepszenia losu srogiego zabroniono, — którego potrzeby ograniczono, a pragnienia, żądze i myśli tłumiono?

Dawszy niejakie wyobrażenie o stanie *wewnętrznym* Polski przy abdykacyi Jana Kazimierza, — rzućmy okiem na stan *zewnątrzny* i uważajmy ile wpływał na abdykacyą, a następnie na elekcyą Michała.

STAN ZEWNĘTRZNY. Jeszcze Karol V. zamyslał o monarchii uniwersalnej, stał się przyczyną równowagi europejskiej, a teraz widzieć się dały wszystkie państwa w systemacie związkowym. Wówczas już jak dzisiaj, monarchowie za familją się uważali, — najniżej księżęta wpływali do ogółu interesów,

¹⁾ Trzy tylko podobne zdarzyły się wypadki za Kazimierza, Michała i Augusta III. (Czacki str. 30, T. II).

a porozumienia się gabinetów, zakończyły najważniejsze sprawy traktami. Pierwszy z takowych traktatów był Westfalski; uporządkował on zaburzone trzydziestoletnią wojną Niemcy i całą południową Europę uspokoił. Traktat Oliwski również ułatwił interessa Północy, ratując Polskę i Danję od zguby, uznając za niepodległe Prusy, a Szwecyą wynoszący do państw pierwszego rzędu. Wschód pod dzielnym rządem Mahometa IV i mądrym wezyrostwem Kuprielego, obudził w sobie wojennego ducha przez 24 letnią walkę o Kandyę. Wenecya ze stratą téj wyspy utraciła zupełną potęgę na morzu, która się do Portugalii, Hollandyi i Anglii przeniosła; — lecz Portugalia dopiero 1668 r. wybiła się na wolność z pod jarzma Hiszpanii, która skutkiem ciągłych wojen ku upadkowi się chyliła. Hollandya jakkolwiek w żegludze przewyższała wszystkie inne narody, musiała przeciw ustąpić miejsca na morzu Anglii, które dla niej Kromwel na zawsze dziedzicznem uczynił. Ludwik XIV chciał Francyi nadać podobną przewagę na lądzie. Monarcha ten cheiwy sławy we wszystkim, a szczególnie w rozszerzeniu granic, — zafany w bogactwach zakwitnionego państwa, w biegłości ministrów i walecznych wodzów, kierując gabinetami: Tureckim, Szwedzkim i Angielskim, mając pod opieką Szwajcarów, niektóre Rzeczypospolite włoskie i księstwa niemieckie. — rzucił postrach na całą Europę: dom austriacki wyniszczony wojnami o religję i buntami węgierskimi, wspieranymi przez Turków, z żalością poglądał na wzrost potęgi Burbonów, a nie mogąc otwarcie jęj osłabić, przynajmniej skrycie usiłował przeszkodzić szerzeniu się onęj. Przy takim systemacie polityki i składzie państw Europejskich, Polska elekcyjna, żarliwa zbyt o wolność i zawistna władzy królewskiej, nie dopuszczając panującym bez wiedzy Sejmu wchodzić w żadne ściśle i tajemne związki z obcymi monarchami; nie mając nawet ciągle rezydujących posłów przy dworach zagranicznych, była jedynie celem niezgody między Austryą i Francją.

Ludwik XIV, zamierzywszy poniżyć dom austriacki i opanować porty nad morzem Bałtyckim, za konieczną rzecz uznał osadzenie na tronie polskim Burbona. Marya-Ludwika, kobieta ambicyjnieograniczonęj, a przytem czynna, obrotna i w przedsięwzięciach stała, miała służyć za narzędzie w wykonaniu tak rozległych planów. Wychowana przy dworze francuzkim, obeznana i świadoma z czynnościami najbieglejszych polityków, skoro tylko zaślubioną została Władysławowi IV, zaraz powzięła

myśl przeistoczenia państwa elekcyjnego na sukcesyjne i w tym względzie znosiła się z Mazarynim i innymi przyjaciółmi (Puffend. sub. anno 1667). Dopiero jednak drugiego małżonka Jana Kazimierza przywiodła do tego, iż zezwolił za życia na wybór księcia d'Angulem syna Kondeusza, który miał jedną z jęj siostrzenic pojąć za żonę. Senat przekupiony złotem francuzkiem nie opierał się temu zamiarowi; panowie litewscy, obawiając się, w czasie bezkrólewia, wpaść pod władzę obcych, prosili o przywiedzenie do skutku. Posłowie narodu zgromadzeni na Sejm r. 1661, doświadczywszy klęsk od Kozaków, Tatarów, Rossyi, Szwecyi, Prus i Siedmiogrodzian, upatrując w postępku króla poprawę rządu, zdawali się na jego dokonanie zezwalać; lecz Jerzy Lubomirski marszałek wielki i hetman polny koronny, sławny w pokoju i wojnie, potężny i dumny, zamyślając sam dla siebie o koronie, zburzył szlachtę i zmusił króla do wyrzeczenia się najzbawienniejszego pomysłu. Bannitowany przez zawziętość królowęj, uszedł do Wrocławia i z tamąd posiłkowany przez Austryą i elektora Brandeburskiego, rozniecił ogień wojny domowęj. Austrya dla zwykłej emulacyi z domem Burbońskim, życzyła sobie oglądać na tronie polskim księcia Karola Lotaryngskiego, który miał pojąć za żonę Eleonorę siostrę Leopolda Cesarza; elektor zaś Brandeburski Fryderyk Wilhelm wielki, silnie pragnął wyniesienia księcia Neüburgskiego Wilhelma-Filipa, którego (kończąc z nim oddawna trwające spory między elektorami a palatynami o posiadłości Julii, Kliwii i Bergu) przyobiecał popierać w osiągnięciu korony Polskiej. (Puffend. sub. anno 1654). Z takowych powodów mocarstwa te potajemnie działając, zmusiły Jana Kazimierza, przez Lubomirskiego, przyrzec narodowi, iż nie będzie się starał o następcę; Francya pewna przychylności najznakomitszych osób w Rzeczypospolitej, postanowiła go skłonić do złożenia korony, lecz już nie na rzecz księcia d'Angulem (bo Marya-Ludwika umarła) ale dla samego Kondeusza; którego dla zbytnej potęgi, jak starała się pozbyć, tak nierównie zdolniejszą uznawała do wykonania swoich zamysłów. Tajne i częste poselstwa, niezmierne przekupstwa, obietnice mniej ostrożnie czynione, i to przedsięwzięcie wykryły. Najbardziej niem przerażony został elektor, widząc zniweczone nadzieje pozyskania tytułu królewskiego i innych korzyści, jakieby mu książę Neüburgski zapewnił, gdyby królem polskim został (ugoda w r. 1668). — Wysłała więc jak najspieszniej jedno za drugim poselstwa do Szwecyi,

Cesarza, a nawet do Francyi, ażeby, po zawakowaniu tronu w Polsce, księcia Filipa wspierali. Przekłada Szwecyi pokrewieństwo kandydata z familją jej królów i zaręcza jego imieniem wolność wyznania Dyssydentom, cesarzowi wystawia potęgę stronnictwa francuzkiego w Polsce, — a Francyi — zbytnią odległość i sąsiedztwo austryackie, — wszystkim zaś dawał poznać, iż zalecenia ich tylko za księciem Neüburgskim skuteczne być mogą i że on tylko panując, potrafi utrzymać pokój na Północy. — Nie wszędzie ta intryga pożądany skutek odniosła, — Szwecya przychyliła się do niej, — cesarz nie mile spoglądając na wzrost domu palatyńskiego, długo się wahał, dopóki ministrowie Lobkowic i Auszperg nie namówili go, ażeby publicznie oświadczył się za nim, a potajemnie wspierał księcia Lotaryńskiego. Dwór francuzki chociaż jeszcze 1657 roku zachęcał księcia Filipa do starania się o koronę Polską, chcąc przez niego nabrać wpływu do interesów niemieckich, teraz jednak odpowiedział elektorowi, iż raz danego słowa Kondeuszowi zmieniać nie może. Nie lepszy wypadek nastąpił za kilkakrotnemi poselstwami samego księcia Neüburgskiego. Dopiero, kiedy Ludwik XIV wiedząc, iż jeżeli elektor Brandeburski zostanie w spokojności, inni książęta protestancy niemieccy, nie odważą się dać pomocy Holandyi, na którą wyprawę przedsięwziął, obowiązał się (1667 r. 15 Października) opuścić Kondeusza i popierać Neüburga, odwołać wszystkie układy z panami polskimi zawarte w celu wyniesienia pierwszego i one na korzyść drugiego wykierować; nakoniec dołożył starania, aby Jan Kazimierz jak najrychlej złożył koronę ¹⁾. Lecz czyż można było spodziewać się wykonania tak przeciwnego interesom Francyi i tylko przez okoliczności wymuszonego traktatu? Wprawdzie król Francuzki napisał list do stanów polskich, że Kondeusza z kraju nie wypuści, chociażby go obrali; lecz posłowi swemu listu tego zabronił pokazywać, aż dopiero po upadku stronnictwa austryackiego; darował 240,000 liwrów długu do Rzeczypospolitej imieniem księcia Filipa, a Sobieskiemu godność książęcą para, marszałka Francyi i ozdoby kawalerskie S-go Duchy przyobiecał; lecz to samo służyło na zjednanie umysłów Kondeuszowi; zakazał stryjowi księcia Karola dostarczać mu pieniędzy, ale to właśnie był interes Francyi, ażeby się przeciwne jej stronnictwo

nie wzmagało; doradził księciu Neüburgskiemu, aby prosił króla angielskiego, o zalecenie i wstawienie się Sułtana Tureckiego, ażeby ten, listy rekomendacyjne za nim do Rzeczypospolitej napisał; tudzież aby Szwedzi i elektor Brandeburski na pograniczu trzymali gotowe wojska, bo z góry obliczył, ile to wszystko oburzy Polaków. — Zresztą całą tę sprawę poruczył Resslerowi biskupowi Biterreńskiemu swojemu posłowi, a ten chytry i przebiegły człowiek wszystko działał na rzecz Kondeusza, lubo się zdawał wszystko robić za Neüburgiem. — Przyjmował podarunki i obietnice obudwu, chociaż drugiemu był najnieprzychylniejszy. Panowie Polscy poszli w jego ślady, sam nawet król przez Denhoffową, umiejącą słabym umysłem według upodobania kierować, dał się nakłonić do złożenia korony na rzecz księcia Neüburgskiego, otrzymawszy 6 Sierpnia 1668 roku przyrzeczenie od Ludwika XIV przepędzenia reszty życia wygodnie i swobodnie we Francyi. Austria dowiedziawszy się o tych układach, nie zjednawszy jeszcze znacznego stronnictwa dla księcia Karola, wszelkiemi sposobami starała się przeszkodzić, a przynajmniej odłożyć na czas dalszy abdykacyą, — lecz Ressler, nasadziwszy wielu znakomitych duchownych, którzy królowi ciągle wystawiali niebezpieczeństwo duszy, skłonił go do przepędzenia reszty życia, w stanie duchownym. Jan Kazimierz po wielu prośbach nadaremnych Stanów, ażeby nie osieracał narodu, uwolniony od przysięgi dnia 16 Września o godzinie 3-iej po południu r. 1668.

Rzecz dziwna, kiedy przez ciąg 21-letniego panowania Polska była trapiąca ustawicznymi wojnami zewnątrz i wewnątrz, teraz przy jego abdykacyi i w czasie bezkrólewia najzupełniejsza panowała spokojność. Turcy bowiem, chociaż zagrażali wojną, byli jednak od niej dalecy, raz przez wzgląd na zamieszany stan Węgier, — drugi raz na nietrwałą przyjaźń króla Pruskiego. Tatarzy niedawno przy Podhajcach 1667 r. przez Sobieskiego od napadu wstrzymani, dochowali zawartych traktatów. Kozacy na dwa obozy podzieleni, jeden pod Sierkiem H. w Polsce, drugi pod Doroszenką Turkom byli przychylni. Wiodąc ciągle między sobą kłótnie, zapowiadali burzę, która się miała wkrótce zakończyć wzięciem Kamieńca. Rossya przystąpiła do zgody, a układane zawieszenie broni w Krasném a później w Andruszowie, zamieniło się w traktat wiecznego pokoju. Inni zaś sąsiedzi mając na celu własne widoki i korzyści, tudzież dla wzajemnej obawy, dochowali oliwskiego traktatu.

¹⁾ Puffend. lib. 10 sub. anno 1668. Obszernie o tych działaniach.

ELEKCJA MICHAŁA KORYBUTA WISNIOWIECKIEGO.

Po abdykacyi, władza królewska, wyjąwszy rozdawnictwo urzędów, przeszła do Prymasa Mikołaja Prażmowskiego, z starożytnej wprawdzie, lecz w mierności żyjącej, rodziny urodzonego. Piękne przymioty natury, gładkość wymowy i rozsądek głęboki, dały go poznać Janowi Kazimierzowi, który go tém chętniej do najwyższych dostojenstw posuwał, że przez zręczność w wykonaniu zleceń, umiał pozyskać łaskę królowej. Uczyniony najprzód referendarzem, Opatem Sieciechowskim i proboszczem Gnieźnieńskim, otrzymał dalej Biskupstwo Łuckie, kanclerstwo koronne (nie był Podkanclerzym), a nareszcie w roku 1666 zasiadł na stolicy Arcybiskupiwej (Niesiecki T. 3. str. 728).

Tyle doznanych względów od Maryi-Ludwiki, musiały go przywiązać do strony francuzkiej; dał tego wielokrotne dowody przedtém, dał i teraz, kiedy uwiadamiając województwa, iż Rzeczpospolita w bezkrólewiu zostaje, zagrzewał naród, aby odprawiono elekcyą przez posłów, którzyby łatwo przekupionemi być mogli od Kondeusza. Po wydanych uniwersałach, dziwna zmiana w całym państwie nastąpiła; zamknięto trybunały i sądy wszelkie ustały; ztąd bezkarność zbrodni i zamieszanie spokojności publicznej wynikać musiało. Od Stefana już, nie zostawała Polska w podobnym stanie, gdyż pozostali króla synowie, łatwo jego miejsce zastępowali. Jan Kazimierz był bezdzielnym i ostatnim z rodziny Wazów. Różni różnie o nim mniemali; wielu pochwały, lub wady jego wytykało. Pierwsi mówili: był to pan godny lepszych czasów; jego duszy i ciała przymioty mogły się przyłożyć do uszczęśliwienia kraju, gdyby nie zgubna forma rządu i trudny zbieg okoliczności. Drudzy przeciwnie, mienili go sprawcą wszelkich nieszczęść; on jest, mówili, przyczyną wszystkich buntów kozactwa, nie chcąc ich w zarodzie przytłumić; on sprowadził wojnę szwedzką, dla czego tytułu, on utracił Prussy, Inflanty i Ukrainę; a gdyby nie męstwo Czarnieckiego, wszystkichby nas wydał na bezkarny łup nieprzyjaciołom; on przez zbytne uleganie żonie, dał powód do wojny domowej, zbuntował wojsko i zawierał potajemne z obcymi umowy, nastając na zgubę złotój wolności. Wyrzucano mu nawet życie prywatne, pojęcie bratowej za żonę, postępki z Radziejowskim i miłostki z niektórymi damami dworu królowej. W abdykacyi wreszcie samój, dostrzegano słabość charakteru

i przewodzenie Ludwika XIV w Polsce. Zgoła we wszystkich postępkach Jana Kazimierza upatrywali wszyscy prawie albo zamachy na wolność, albo uciśnienie narodu, tak dalece, że kaznodzieja Piekarski, przy ogłoszeniu bezkrólewia, wziął za tekst owe słowa Pisma Świętego „jam wyrwał lud mój z rąk wszystkich królów, którzy go trapiłi“ (Lauterb. 681).

Wśród takich mniemań o przeszłym królu, — myśleć zaczęto, gdy uniwersałami Prymasa przeznaczony na Sejmiki dzień 9 Października 1668 r. nadszedł. Zebrała się liczna obojga narodów szlachta i w powiatach sądy kapturowe ustanowiła. Sądy te z największą władzą wykonywania swoich wyroków, mając roztrząsać tylko sprawy kryminalne wydarzone od abdykacyi, nie zupełnie mogły zabezpieczyć spokojność: ażeby jój przeciw bardziej jeszcze nie mieszały obcy posłowie, Prymas doniósłszy pierwój wszystkim monarchom Europejskim o postępkach Jana Kazimierza, prosił aby się oddalili z Polski posłowie, aż do czasu nadejścia Sejmu elekcyjnego. Cesarski i elektorski, mając na względzie wzmocnienie stronniactw, odpowiedzieli, że na to rozkazów od swych panów nie odebrali, — rosyjski upatrywał w tém zniewagę swego władcy. Król dawny, który dopiero w czasie konwokacyi oddalił się z Polski wielu senatorów, obawiając się aby zmuszenie ich, złych za sobą nie pociągnęło skutków, zdawali się zezwalać na żądanie posłów, — lecz Prażmowski, stały w przywiązaniu do stronniactwa francuzkiego, które mogłoby ponieść jakowyś przez to uszczerbek, zagroził, iż złoży urząd i ogłosi, iż dla ich uporu, tak musiał postąpić, albo, jeżeli się w Warszawie zostanie, żadnemu nie da posłuchania. Groźba ta odniosła pożądaný skutek i wszyscy opuścili stolicę (Puffend. lib. 10). Nakazano, co się w poprzednich bezkrólewjach nie praktykowało, aby ewangelicy i inni różnowiercy oddalili się na 12 mil od miejsca elekcyi, a co większa, z namowy Nuncjusza papieżkiego Galeacjusza Marscatti Arcybiskupa Korynckiego, Stef. Wierzbowski Biskup poznański, mający w swój Dyecezyi Warszawę, wyklął w kościele Ś-go Jana, Dyssydentów jako heretyków, opieki rządu nie godnych i z całego Mazowsza, przez edykt, wyrugować ich zamierzył; kiedy przez szczęśliwe wstawienie się obcych dworów, a szczególniej szwedzkiego i pruskiego, rzecz tę zagodzono i projekta nierozsądnej gorliwości zniweczono.

Po załatwieniu tych spraw dnia 5 Listopada 1668

roku otworzył się Sejm konwokacyjny, czyli konfederacya generalna stanów. Tu cały Senat i posłowie ziemscy zebrali się w Warszawie, a marszałkiem koła poselskiego, jednozgodnie wybranym został z Litwy, na którą kolej przypadała, Jan Antoni Chrapowicki podkomorzy Smoleński. Po zwykłych obrzędach oddania laski i przygotowaniu materii, połączyły się obiedwie Izby 9 Listopada w Senacie i odtąd w nim ciągle do dnia 5 Grudnia trwały obrady dosyć spokojne, skutkiem których były ważniejsze uchwały: „Nikt bez jednomyślności głosów nie waży się przyszłego króla mianować; przed ogłoszeniem jego exorbitancye czyli nadużycia w prawach, przywilejach, swobodach szlachty i miast poprawione będą; wszelkie urazy z projektowanej przez Jana Kazimierza elekcyi po bratersku i chrześcijańsku jeden drugiemu daruje i wiecznie odpuści. Dysydyntom, na wniosek Prażmowskiego, wszystkie dawniejsze przywileje potwierdzono, lubo wielu biskupów zaniósł przeciw temu protestacyę. Na przedstawienie też Pieniążka (Dyar. Convoc.) Posła Województwa Krakowskiego, chociaż cały Senat i znaczniejsi posłowie byli przeciwni, aby każdy, kto tylko będzie na Sejmie elekcyjnym zaprzysiągł, iż tego tylko mianuje za pana, od którego i na którego imię nic nigdy nie wziął ani nawet obietnicy otrzymał i tego obierze, który mimo praw za przeszłego panowania o koronę nie zabiegał.“ — Z resztą czas rozpoczęcia Sejmu elekcyjnego, na dzień 2 Maja 1669 roku naznaczono. Ale jeszcze ciągnęła się konwokacya, kiedy wieść doszła, że elektor Brandeburski, starostwo Drahimskie, na granicy pruskiej położone, bez wiedzy stanów, zbrojną ręką opanował. Starostwo to dane było na dożywocie Dymitrowi księciu Wiśniowieckiemu hetmanowi polnemu koronnemu, a po jego dopiero śmierci miało być ustąpione na mocy traktatu Welawskiego Fryderykowi-Wilhelmowi, za podjęte koszta w czasie wojny szwedzkiej. On jednak przewidując, że Polacy za zgwałcenie przez niego innych warunków traktatu tego dopełnić nie zechcą, przemocą do skutku go przywiódł. Niegodziwość postępku przeraziła Sejm zgromadzony, — lecz gdy elektor wcześniej porozumiał się z Wiśniowieckim, a Hoverbek Jan poseł jego zwyczajny, najzawołany polityk ówczesny, jak język tak sprawy polskie przewybornie znający, chytry i wiele działający, skrycie potrafił uniewinnić swojego pana, — zapomniano wkrótce o tak nikczemnym kroku, a całą uwagę zwrócono na podających się do osieroconego tronu kandydatów.

Po przyszłym królu w ogóle tego żądano, ażeby był katolikiem; nie podejrzany o kacerstwo; nie posiadający państwa inszego i własną lub sprzymierzeńców potęgą niestraszny dla wolności, ażeby okazał już biegłość w taktyce, albo przynajmniej miał zdolność do prowadzenia wojny; ażeby licznem potomstwem nie był obciążony, lecz szczodry na zasłużonych i sprawiedliwy; ażeby z obcymi monarchami nie zostawał w zgodzie i przyjaźni, nie oddzielał interesów własnych od spraw narodu, nie z emulujących był mocarstw; aby spokojnego był umysłu; nie ociężały, nie okrutny, nie ubogi, zdolny przejąć obyczaje i nauczyć się praw narodowych. Dodawano więcej jeszcze wybornych i dziwnie pięknych warunków, gdyby tylko tak łatwo można było znaleźć doskonałego monarchę jak go sobie wyobrażano. — Z resztą zdania podzielono między Kondeusza, Filipa-Wilhelma księcia Neüburgskiego, Karola księcia Lotaryngskiego i Cara Rossyjskiego. Oprócz tych, Maciej książę toskański, mocno życzył sobie tronu Polskiego, lecz poznaawszy, iż skarby jego są zbyt szczupłe aby mógł niemi pozyskać przewagę nad współzawodnikami, nie wiele straciwszy, zaniechał zabiegów.

Książę Yorku Jakób, nie mniej zamyślał o koronie, ale kiedy Ludwik XIV, u którego z matką po zabiciu ojca przemieszkiwał, odmówił mu wsparcia, a brat, Karol II, król Angielski, rozrzutny, nie miał go czem popierać i on się wcześniej wyrzekł swych marzeń. Rakoczy też książę Siedmiogrodzki pisał list do Prymasa, ażeby go w liczbie kandydatów zamieścił, — odebrawszy jednak odpowiedź, że jest w powszechnej u Polaków nienawiści za nieprzyjacielskie postęпки ojca, także starań i kosztów daremnych zaniechał. Elektora Brandeburskiego szczególnie Wielkopolanie życzyli sobie mieli, lecz gdy żądali aby został katolikiem, odpowiedział, iż pod tym warunkiem nawet cesarskąby koronę odrzucił i że Polacy nigdyby dobrze o nim nie sądzili, gdyby Bogu niedochował wiary i bardziej miał wzgląd na pożytek aniżeli na sumienie.

Zdaje się jednak, iż przytaczający to zdanie pisarz (Puffend. lib. 10). raczej miał na celu wystawienie wspaniałomyślności elektora aniżeli prawdę. Nienawiść Polaków ku niemu za wiele występków, niezgadających się z pobożnością, potwierdza ten domysł.

Wreszcie Krystyna zapragnęła także tronu Polskiego. W szesnastym roku życia osiadłszy stolicę Szwedzką po Gustawie-Adolfie, wychowana przez

najbiegłych ministrów i świątłych mężów, jak pomiędzy politykami tak między uczonymi znakomite otrzymała miejsce. Kiedy jednakże trudno stać kobiecie na czele wojennego ludu i ona z kolei zaczęła powoli tracić na znaczeniu, które się do jęj krewnego, Karola Gustawa, dowódcy wojska przenosiło. Chcąc we wszystkim nad wiek się wynieść, tém bardziej nie mogła ścierpieć, aby w jęj państwie kto miał brać przed nią pierwszeństwo, dla tego pod pozorem oddania się zupełnie naukom, złożyła dziedziczną koronę Wazów i przyjąwszy wiarę Rzymsko-katolicką, raz w Niemczech, drugi raz we Francyi, a najwięcej we Włoszech przemieszkiwała. Ale tak dumna kobieta, miałażby długo żyć w prywatnym stanie? Zaraz po śmierci Karola-Gustawa zapragnęła powrotu do Szwecyi, aby powtórnie objąć rządy, lecz napróżno ludziła się nadzieją. W Hamburgu dowiedziawszy się o abdykacyi Jana-Kazimierza, zwróciła myśl do osiągnięcia elekcyjnej korony. Dziwną jest rzeczą, że kobieta nie mogąca przełamać wstępu do małżeństwa, bez pieniędzy, nie znana narodowi i nie mająca dla niego ofiar widocznych, wpadła na tak dziwaczny pomysł; lecz jeszcze dziwniejsza, że Klemens IX Papież, mimo całą powagę świętej stolicy i obawy ściągnięcia urazy interessowanych dworów, idąc jedynie za głosem przyjaźni i wdzięczności (Krystyna bowiem przez ujęcie Kardynała Azzolino, wiele się przyczyniła do wyboru Klemensa IX, dobrze przed tem sobie zuanego) w Breve przesłanem Nuncyuszowi w Polsce będącemu, zalecał Krystynę jako najzdolniejszą do rządów Rzeczypospolitej (oprócz Papieża, tylko Kardynał Azzolino, sekretarz Krystyny Santini, spowiednik Ks. Hacki i Nuncyusz Marescetti, wiedzieli o zamiarze Krystyny). To jednak na usprawiedliwienie tego postępku dodać należy, że jak Papież nie pierwój dozwalał pokazywać owo Breve, ażby stronnictwa przez wzajemne intrygi przyszły do największego poróżnienia, a Krystyna za jedyny środek przywrócenia spokojności publicznej uznana została, tak ona jedynie na tem się rozdwojeniu zasadzając, tajemnie przez Ks. Hackiego Polaka spowiednika swojego działała; ten zaś tylko pomiędzy znajomą sobie szlachtą wspominał o niej, lecz itu zarzucono jęj skazanie na śmierć sługi swojego we Francyi, herezyę w rodzinie, nieszczęśliwe panowanie Wazów, ucisk rządów kobiecych pod Janem-Kazimierzem i t. p. Posłała królowa z bicie tych zarzutów Nuncyuszowi, który chociaż miał przyrzeczony sobie kardynalski kapelus, nie wspomniał nawet publicznie o jęj zamysłach

a ona za szczęśliwą się poczytała, że przez dobowanie tajemnicy między kilkoma osobami nie stała się posmiewiskiem Europy.

Tak gdy dotąd wymienionych książąt nadzieja osiągnięcia korony Polskiej w początkach ominięła,— pozostało jeszcze czterech kandydatów, pomiędzy których naród zdanie swoje podzielił.

Pierwszym głoszą dom panujący w Rossyi, albo Aleksego, Teodora, lub też Iwana. Mieli oni obiecywać przyjęcie obrządku Rzymskiego; zdać na wolę Rzeczypospolitej, czy połączyć obadwa narody, czyli też aby jeden przez ojca, a drugi przez syna był rządzony; powrócić wszystkie zabory a nawet Smoleńsk; wypłacić 2,000,000 złp. wojsku i 3,000,000 Rzeczypospolitej i utrzymywać 40,000 żołnierza swoim kosztem w czasie potrzeby. Głoszono także o zawartych z Austryą układach, w których miano jęj ofiarować wieczyste przymierze, wsparcie w każdej potrzebie; zaślubienie syna z Austryczką, byle go wspierała w osiągnięciu tronu Polskiego. Twierdzono także, że w 80,000 stanął nad granicami Litwy car w poparciu elekcyi swego syna. Ale wszystkie te wieści nie miały podobieństwa do prawdy, już dla przywiązania Cara do religii greckiej, już dla obwarowywania na ten czas Smoleńska, już też dla okropnego buntu kozaka Razina we wnętrznościach państwa, lecz jedynie wymyślone były przez stronników Kondeusza, celem zaprzątnięcia umysłów szlachty i osłabienia stron Lotaryngskiej i Neüburgskiej. Tym sposobem ku pierwszej oburzali nienawiść o tajne traktaty Austryi z Rosyją, od drugiej odciągali wielu ewangelików, którzy w dogmatach wiary mniej się różnią od Greków niż od katolików. Wygnańcy też z krajów zabranych ciesząc się, iż będą mogli do dóbr straconych powrócić, chętnie łączyli się z Pacami stojącymi na czele tego stronnictwa ¹⁾ Kiedy bowiem uchwalono przysięgę na konwokacyi, iżby nieobierać tego, kto za Jana Kazimierza starał się nieprawemi krokami o koronę, w ten czas wiele bardzo znakomitych familij, dla uniknienia podejrzeń szlachty, oświadczyło się za

¹⁾ Jakkolwiek samo nieprzysłanie posła na elekcyę potwierdza już dostatecznie, iż Car o koronę Polską nie czynił zabiegów, przecież słowa ministra Olszowskiego świadomego wszelkich spraw postronnych monarchów, bardziej nas jeszcze o tem przekonywają. „Może nawet Car nie myśli o Polskiej koronie, gdy dotąd ni ustnie ni piśmiennie, ani jakimkolwiek postępkem nie ukazał, iż się o nią stara.“

Carem, a potajemnie sprzyjało Kondeuszowi. Sprzyjali mu zaś wszyscy, którzy albo łaskami zmarłej królowej, albo złotem francuzkiem przekupieni. Senat prawie cały do tych liczby należał, a Prymasa także do niego było przywiązanie, gdyż oświadczył, że chociażby korona z nieba samego spadła, nikomu by jęj chętniej na głowę nie włożył jak Kondeuszowi. Jakoż bohater ten sławny w boju, doświadczeniem i osobistą walecznością, tudzież innemi pięknymi przymiotami godzien był tronu Zygmunów i może przy pomocy Francyi, zdołałby rozszerzyć władzę monarchiczną, której ograniczenie stało się źródłem tylu klęsk. Lecz szlachta przypisując zabiegom Francyi wzniesienie wojny domowej za Jana-Kazimierza, oburzała się tém bardziej, że panowie zapredali jęj swoje głosy. Wielu mówiło o Kondeuszu: „był on sławnym niegdyś i jednał chwałę narodowi, lecz teraz wyniszczony pracami i wadami młodości, orzeźwia się jedynie dawnych czynów wspomnieniem; mamyż więc przyjmować ten ciężar, którego się Francya tak usilnie pozbyć stara? Chcemyż przyjąć na siebie jarzmo francuzkie? Zniesiemyż, aby dwór napełniony swoimi, szydził z powagi polskiej? Będziemyż służyli za narzędzie nieograniczonej ambicyi Ludwika XIV, której się już lęka Europa? Potém, Kondeusz przez niebiegłość w polityce, niewdzięczność, popędliwość, łakomstwo i nawyknięcie do nieograniczonej władzy królewskiej, daleko większych klęsk będzie przyczyną, aniżeli po nim spodziewać się możemy korzyści.“ Prócz tego rozgłoszono, iż nigdy się nie spowiada, że w piątek jadł mięsne potrawy z Radziwiłłem kalwinem, bawiącym niegdyż w Paryżu. Czém wszystkiem tyle podburzoną była przeciwko niemu szlachta, że jeszcze na sejmikach przedkonwokacyjnych wołała: „Kto trzyma z Kondeuszem, nieprzyjacielem jest Boskim.“ — Non est cum Deo, qui favet Condaeo.

Nie lepiej o Filipie-Wilhelmie księciu Neüburgskim myślano. Wprawdzie znajomy on był Polakom już przez małżeństwo z siostrą królewską Konstancyą, już z uczciwości, dobrego rządu i waleczności, dla czego niegdyś Władysław IV, zalecał go do korony polskiej; ale teraz wiek 60-letni, a z wiekiem duma, chciwość i egoizm, jedenaścioro dzieci nieletnich i ród niemiecki, odstręczały od niego umysły. Najbardziej mu zarzucano zbyt wczesne zabiegi i umowy z obcymi, którzyby go do Rzeczypospolitej narzucili przemocą. Twierdzono, iż w tajemnych układach przyobiecał elektorowi Brandeburskiemu godność królewską i Prussy Polskie, a Szwedom

Zmujdź. Udawano za pewność, że obadwa te mocarstwa już połączyły wojska w Pomeranii, aby w przypadku rozdwojonej elekcyi, jego wesprzeć mogły. Chociaż elektor najszczerzej księciu Neüburgskiemu dopomagał, mniej się to jednak zgadzało z prawdą, kiedy Szwedzi wyniszczeni ciągłemi wojnami pod Karolem-Gustawem, nie życzyli sobie nowęj walki w czasie małoletności króla i gotowi byli na kogokolwiek bądź zezwolić, z wyjątkiem Cara. Zdaje się więc, iż wieści takowe rozsiewane były przez Francyę, która lubo ogłosiła się za księciem Neüburgskim, przecieź potajemnie przeciwko niemu działała z całym swoim stronnictwem, tak dalece, że mu tylko Radziwiłłowie, z Pacami w nieprzyjaźni żyjący, istotnie sprzyjali, a reszta jedynie dla pozoru, lub zysku z niemi się łączyła. Takieź postępowanie było i Austryi. Cesarz Leopold w instrukcyach danych Chrystoforowi-Leopoldowi Szafgotsch, przykazał zalecać księcia Filipa, lecz dodał, aby skrycie popierał sprawę księcia Karola; co on chociaż wiernie wykonywał, z szyderstwem zawsze o nim wspominając i przywiązanych do niego odciągając, przecieź gniewało to szlachtę, że książę Neüburgski wielu bardzo miał potężnych przyjaciół.

Co tylko sprzeciwiało się księciu Neüburgskiemu to za Lotaryngskim mówiło. Niemiał żadnych publicznych zaleceń od mocarstw, zostawał w samym kwiecie wieku, zaledwie 26 lat licząc, a do niewieścich wdzięków połączył waleczność, której dał widoczne dowody w czasie wojny Węgierskiej. Oprócz tego spokrewniony z Jagiellonami, byłby może wskrzesił ich pamięć, gdyby jak był godnym korony, tak mógł żądze wszystkich zaspokoić. Urodzony z Mikołaja młodszego brata księcia Lotaryngskiego Karola III, miał prawo do następstwa po bezdzietnym stryju; — lecz gdy Karol III, tyle znajomy z niestałości, uczyniwszy dziedzicem Lotaryngii Ludwika XIV, dla tego jedynie, aby się liczyć do książąt krwi francuzkiej, — urażony, opuścił natychmiast Francyę i przez Włochy udał się do Niemiec, gdzie pierwęj z Leopoldem, jeszcze arcyksiążęciem, razem wychowany, w ścisłej zostawał przyjaźni. Cesarz mile go przyjął i nie mając ze swojego domu dla kogo starać się o koronę Polską, chciał ją pozyskać dla niego, dawszy mu swoją siostrę Eleonorę za żonę. Rządzony jednak przez ministrów, głównych nieprzyjaciół księżęcia, nie wielkie mu dawał zasiłki, a dostatki cesarzowej matki i starego księcia Lotaryng-

skiego niewiele ważyły naprzeciwko niezmiernym i oddawna sypanym summom francuzkim. Prócz tego zarzucano Karolowi, że ma stryja wylanego na wszelką rozpustę, — że po jego śmierci, jeżeli zechce odzyskać Lotaryngją, uwikła Rzeczpospolitą w wojnę francuzką jak niegdyś Zygmunt III-go ze Szwecją, i że już sama jego elekcja nie obejdzie się bez krwi rozlania, gdyż Ludwik XIV, żadnym sposobem niedozwoli, aby Austria osadziła tron Polski; mimo to jednak, sprzyjała mu wszystka szlachta, dla której ujęcia zjechał do Tarnowic w Szląsku. Z Senatorów tylko Dymitr książę Wiśniowiecki, hetman polny koronny, i Olszowski podkanclerzy koronny byli za nim: lubo ostatni w ogóle Piasta, a w szczególności Michała księcia Wisniowieckiego zalecał; a dopiero kiedy wraz z kandydatem od panów został wysmiany, przeszedł na stronę księcia Karola.

Wpółśród tak rozerwanych chęci, zabiegi, podstępny, niezliczone frymarki, podarunki i obietnice, musiały mieć miejsce. Z tym większą śmiałością przedawano za gotowe pieniądze niepewną nadzieję, gdy za bezskutecznym rzeczy upadkiem, upadały i przyrzeczenia. Kandydaci przez prywatnych wysłańców szerzyli przekupstwo, — Polacy przyjmowali od wszystkich, każdemu obiecując, że z nim trzymać będą, — dla osłonięcia zaś szkaradności postępów, jedni przez zakonników, drudzy przez żony działali, pomiędzy którymi celowały: Sobieska, Pacowa, Morsztynowa i wszystkie inne z rodu francuzkiego, życzące sobie Kondeusza, a wszystkie od każdego z kandydatów ogromne summy i szczodre obietnice przyjmowały. Stronnicy nawzajem codziennie rozrzucali pisma, w których z największą wolnością rozbierali zalety lub przywary współubiegających się, chwając lub ganiąc, jak komu nakazywał interes.

W takim stanie były rzeczy, kiedy w Lutym 1669 r. zbliżyły się przedelekcyjne sejmiki. Na tych Litwa i Prusy dla odległości miejsca chętnie zezwoliły, by podług życzenia Prymasa, przez posłów elekcyjną odprawić, lecz Województwa koronne jednomyślnie zgodziły się, aby wyprawić posłów na Sejm zwyczajny, a na sam akt elekcyjny stanąć w pospolitem ruszeniu; tym bowiem jedynie sposobem miano nadzieję, iż Francuz, którego szlachta cierpieć nie mogła, celu życzeń swoich nie dopnie. Ale już i na sejmikach powstały burzliwe przeciw niemu głosy. Pomnożył liczbę niechętnych Jan Sobieski marszałek i hetman wielki koronny

pensyonowany od Francyi, kiedy opuściwszy Ukrainę z kwarcijanami stanął w Prusach, dla poparcia stronnictwa na którego był czele.

Oświadczyły się przeciw Kondeuszowi sejmiki tameczne. Sobieski głosił, iż chciał Rzeczpospolitą zabezpieczyć od wojska cesarskiego i elektorskiego, które miały popierać strony książąt Lotaryngskiego i Neüburgskiego, — ale kiedy wieści takowe płonnemi się okazały, — unikając oburzenia powszechnego, a widząc, że czas sejmu zbliżał się, z całym wojskiem 12,000 wszedł do Warszawy.

Nie mniejszą liczbę wojska, chociaż własnego tylko przywiedli: Jan wojewoda krakowski, i starosta spiski Stanisław, Lubomirscy, mogący odnowić postępek Zborowskich, gdyby, jak oni, chcieli być wicherzycielami Ojczyzny, lecz nie szukali zemsty nad nikim, żądali tylko skassowania dekretu wydanego przez Jana Kazimierza na Jerzego marszałka wielkiego i hetmana polnego koronnego, o którym wyżej nadmieniliśmy. Więcej jeszcze ludzi Radziwiłłowie przywiedli. Sam książę Bogusław do 8,000 ich przyprowadził. Po nich Pacowie i inni panowie z licznymi równie orszakami wjazd odprawili. Szła za nim i szlachecka młodzież i gromady słuźalców, okazujących przepych darów, które się zdawały z ubóstwa publicznego urągać. Słusznie się przeto obawiano, aby przy rozróżnionych chęciach tylu potężnych naczelników stronnictw, pole elekcyjny nie zamieniło się w plac wojny domowej.

Rozpoczął się Sejm elekcyjny według uchwały zaszłej na konwokacyi dnia 2 Maja 1669 r. Senatorowie i posłowie po odprawionem nabożeństwie, zaraz w pole wyjechali, — jedni do okopu między Wolą a Warszawą wysypanego, drudzy z Prymasem do szopy, postawionój w tymże okopie. Według zwyczaju, marszałek przeszłej konwokacyi Chrapowicki, zdawał łaskę chcąc przystąpić do wyboru nowego marszałka w kole rycerskiem; lecz zatrzymano go rozrzuceniem przysięgi na konwokacyi opisanój. Wielu posłów przekupionych, nie mogąc bez wyrzutu sumienia stać się krzywoprzysięzcami, upornie przeto twierdziło, że dobro publiczne mieć trzeba na celu, że dla tego nie należy im opuszczać kandydatów, którzy się zdają najgodniejszymi, chociażby od nich jakie podarunki przyjęli, — i że konwokacya żadnego prawa stanowić nie mogła, nad żołnierza i podatki. Inni powstawali przeciwko amnestyi, inni wojsko i gwardye od obrad oddalone mieć chcieli; najwię-

cój jednak opóźniły wybranie marszałka rozterki, z przyczyny buławy polnej, danej przez Jana Kazimierza w 1668 r. Michałowi księciu Radziwiłłowi podkanclerzemu Litewskiemu, mimo życzeń i zabiegów Paców. Dwa te domy rozrodzone, potężne i emulujące, posiadające najwyższe godności w W. księstwie, całą Litwę na dwa stronnictwa dzieliły. Posłowie zatém obawiając się, aby w otwartą wojnę nie zamieniła się kiedy ich nieprzyjaźń, oświadczyli, iż nie pierwój zezwolą na wybór marszałka aż spory pomiędzy nimi przez stany Rzeczypospolitej załatwione zostaną. Niepodobieństwem zdawało w krótkim czasie tak delikatny uspokoić interes. Polska więc sama przystąpiła do czynności i jednomyślnie chciała wybrać Stanisława Lubomirskiego, starostę Spiskiego, w którym pokładała nadzieję, iż będzie mógł utrzymać ster nawy zakłóconej, wpośród zawziętych stronnictw; ale kiedy ten uprzejmie się wymówił, twierdząc, iż nie chce być sędzią w rodzica swojego sprawie, którą Rzeczpospolita zapewne roztrząsać będzie, podano do łaski Szczęsnego Potockiego podkomorzego koronnego i Jana Odrowąża Pieniążka starosty Oświęcimskiego. Pierwszego, stronnictwo francuskie i Neüburgskie wstrzymywało; za drugim oświadczyli się sprzyjający stronnictwu Lotaryngskiemu. Tamci pamiętając, iż Pieniążek na konwokacyi pierwszy podał wniosek owój przysięgi, która przeciwko nim nie na rękę wymierzoną była, wszelkimi sposobami przeszkadzali jego wyborowi, czyniąc zarzuty; (między innemi i ten, że gdy r. 1666 był marszałkiem Izby poselskiej Sejm zerwano), przy pożegnaniu wyrzekł: „zginęła już prawdziwa wolność Polski.“ Przeciwnie, podkanclerzy Olszowski, mąż cnotą, nauką i przywiązaniem do Ojczyzny wstawiony, naczelnik stronnictwa Lotaryngskiego, z obawy, ażeby wczesnie zaczęte spory nie skończyły się później na krwawym boju, namowami i prośbami tyle dokazał, że odstąpili kandydata swojego, mającego tylko 621 głosów, a zezwolili na Potockiego, który ich 926 otrzymał; bo i Litwa wreszcie, kiedy jej obiecano, że w Exorbitancyach żądania Paców i Radziwiłłów zaspokojone będą, na wybór jego zezwoliła. Pieniążek rozgniewany odrzuceniem, w piorunujących wyrazach powstał na skryte zamachy Kondeusza; poparto go wielce, lecz się i przeciwnicy znaleźli. Powstały uszczypliwe z obudwu stron głosy, jedni drugim zarzucali branie obcych pieniędzy; niektórzy mówili o usunięciu amnestyi i sądzeniu sprawców

wojny domowej; szczęściem, poczuwający się do winy, połączeni z najrozsądniejszym, utrzymali po kilkodniowych sporach ten konieczny środek w Rzeczachpospolitych, umorzenia wszelkich nieporozumień wzajemnych. Po obraniu marszałka, powinni byli iść zaraz posłowie na powitanie Senatu i na wysłuchanie jego wniosków; ale gdy to Potocki z urzędu przypomniał, Dębicki podchorąży Sandomierski, wzięty pomiędzy szlachtą dla mów śmiałych i siwizny „Franki są w szopie zawołał, nie chodźmy tam, aż one pan marszałek wielki koronny, do którego to należy, każe wyrzucić, bo się nie pomieścimy.“ Wzniosła się zatém znowu wrzawa na panów przekupnych i na Kondeusza, którego przez to za niezdolnego do korony polskiej już niektorzy sądzili. Taż sprawa ciągle zatrudniała umysły senatorów. Który mniej otrzymał, zazdrościł szczęśliwшему; przymówki wzajemne posuwały się do gminnego lżenia. Co większa, gdy raz pierwszy świecki senator, kasztelan Krakowski Warszycycki, w kłótni z Oborskim kasztelanem Warszawskim, uniesiony gniewem, pogroził mu laską, Oborski porwał się za rękę pałasza i zaledwo Arcybiskup wraz z innymi senatorami wstrzymał, że do walki nie przyszło w najpoważniejszém kole Senatu!

Tym sposobem gdy dwa tygodnie próżno stracono, dopiero 16 Maja koło rycerskie połączyło się z Senatem. Tu Prymas wymownie radził zachować większą spokojność w naradach, a potem wyznaczył Leżeńskiego Łuckiego i Paca Żmudzkiego biskupów do słuchania uchwalonej przysięgi. Marszałek koła dodał do tych, niektórych ze stanu rycerskiego, którzy wszyscy przysięgłszy pierwój przed kanclerzami, odebrali następnie przysięgę od wszystkich, którzy jej na konwokacyi byli nie złożyli.

I teraz przecież spokojność nie nastąpiła. Toczyła się znowu w kole mocna sprzeczka, czy marszałek, czy też posłowie mają obrać sędziów do kapturu generalnego? Zwyczaj przemawiał za pierwszym, lecz przeciwni Potockiemu wołali, że on i króla bez narodu gotów mianować. Zgodzono się jednak na niewprowadzanie nowości, z tém wszakże zastrzeżeniem, żeby się każdemu wolno było przymówić. Wyznaczono tedy dwunastu, z każdej prowincyi po czterech posłów, do których gdy Prymas dodał jeszcze czterech kasztelanów, marszałek wielki koronny Sobieski wykonawszy z nimi przysięgę, sądy w domu swoim na godzinę 9 przed

południem naznaczył. Po zabezpieczeniu spokojności publicznej przystąpiono do wysłuchania narad Senatu; tu zdawał sprawę Prażmowski przez swojego kanclerza, który doniosłszy o zawieraniu traktatu z Rosyją, o działaniach Kozaków, Turków i Tatarów względem Polski, przypomniał o wysłuchaniu posłów Cudzoziemskich. Naradzało się o tém w kole rycerstwo i po rozmaitych głosach postanowiło, aby nie pierwój do tego przystąpić, aż exorbitancje poprawione będą. Lecz znowu przez kogo, gdzie i jakim sposobem miano je odbywać? z nie małym poruszeniem umysłów radzono. Prymas mianował wszystkich wojewodów. Obruszyła się na to szlachta jako na rzecz dawnym prawom przeciwną i wymusiła na nim, iż takową deputacją odwołał. Po długich sprzeczkach w kole, stanęła nareszcie ugoda na dwóch deputatów z każdego powiatu do exorbitancji, na traktowanie których marszałek miejsce w zamku w Izbie poselskiej i czas od godziny 6 do 12 na znaczył, dozwalając każdemu bywać na sessjach. O czem donosząc, gdy weszli posłowie do szopy, 28 Maja, Prymas dwunastu senatorów mianował i wszystkich ministrów dołączył. Nim ułożono przeciw porządek i sposób traktowania, wiele czasu bezkorzystnie strawić musiano. Marszałek kole wniósł kassacją dekretu na Jerzego Lubomirskiego. Jednomyślnie przyjęto wniosek i wyrok, ex-króla jako nieprawnie i z ujumą szlacheckiej wolności wydany, zniweczono, przy małym oporze instygatora koronnego. Zamojscy potem wystąpili żądając sprawiedliwości od Dymitra księcia Wiśniowieckiego, który im Ordynacją zajechał. Stany rozsądzenie téj sprawy przyszłemu królowi zostawić chciały. Powstali na to pokrzywdzeni, oświadczając, że zatamują dalsze czynności sejmu i nie pozwolą przystąpić do elekcyi, dopóki teraz ich sprawa w liczbie najważniejszych exorbitancij wniesioną nie będzie. Zezwolono na ich żądanie ¹⁾. Za tym przykładem, każdy osobiste po-

¹⁾ Rzecz sama dopominać zdaje się, ażeby ją nieco obszerniej wyłożyć, dla tego że później wspomianana być musi. Jan 2 Ordynat Zamojski, wnuk Wielkiego Zamojskiego, umierając bezpotomnie 1655 r. zostawił dwie siostry; z których pierwsza Konstancja, była żoną Jeremiasza księcia Wiśniowieckiego; druga Aleksandra-Barbara poszła za Koniępczolskiego. Lecz na Janie 2 Ordynacie starsza tylko linia wygasła, młodsza zaś ciągle kwitnęła. Z téj za Jana Kazimierza żył Zdzisław kasztelan

krzywdzenia wykładał, każdy chciał, ażeby najprzód jego województwo lub powiat, albo też ziemia była na względzie, dopóki wreszcie nie zgodzono się, aby przedewszystkiem te nadużycia w karby dawne wprowadzono, które się ściągały do rządu i do przysięgi nowego króla były potrzebne, a po tych ażeby następowały województwa podług zwyczajnej kolei. Przecież, choć do końca elekcyi umawiano się, to tylko uradzono ważniejszego, że król na potem nie ma składać korony; buława z laską i pieczęcią ani z podskarbstwem jednemu dawane nie będą; królowa nie ma się mieszać do spraw Rzeczpospolitej, dwór nie będzie się osadzał Cudzoziemcami; Kamieniec Podolski, Bar, Białacerkiew, Kraków, Lubownia i Lwów opatrzone zostaną. Ale nie uprzedzajmy czasu. Skoro Lubomirskich i Zamojskich uspokojono, Dębicki uniesiony chęcią pokazania się gorliwym, zabrawszy głos, wyrzekł: „że stronnictwo Kondeusza coraz bardziej wzrasta, chociaż on, na mocy wykonanej przysięgi, nie zdatnym jest do korony Polskiej.“ Oborski kasztelan Warszawski przeciwnie utrzymując, dowodził, że żadne prawo nie może odejmować wolności mianowania którego zechce z kandydatów. Okrzyknęli go posłowie. Znała srożyć się grozić jedni drugim, a nawet porywać się do broni zaczęli. Jużby może przyszło do rozlewu krwi bratniej, gdyby Potocki, za radą roztropniejszych, nie nakazał posłom ustąpienia z Senatu i udania się do okopu. Tu gdy zasiedli w miejscach, jedni nastawali na karę na kasztel. Oborskiego jako krzywoprzysięzcy w Kapturze Generalnym, inni osobny sąd ustanowić radzili. Dębicki rozprawiał z zapałem, że się nie tylko wieści o stronnictwie Kondeusza wzmagają, ale że sami senatorowie publicznie i bezwstydnie ogłaszają za nim, mimo wykonanej przysięgi.“ Już się też taić nie

Czernichowski i miał 4-ch synów: Marcina, Kazimierza, Jana, Stanisława i jedną córkę Maryannę, wydaną za Dymitra księcia Wiśniowieckiego. Według prawa 1669, 1590 i 1635 najstarszy z synów Zdzisława powinien był na Ordynacją po Janie 2 nastąpić, przecież Koniępczolscy i Wiśniowieccy sądzili mieć przez żony bliższe prawa do dziedzictwa, od linii młodszej Zamojskich, Szczególniej Wiśniowieccy z obudwu linjami spokrewnieni, siłą roszczenia swoje popierali. Książę Dymitr napadł po nieprzyjacielsku na Zamość, opanował go i całą Ordynację zagarnął. Dopiero na elekcyi Jana III Marcinowi Ordynację przysądzono.

trzeba, wyrzekł za nim Pękosławski, że źródło wszelkich nieszczęść na Rzeczpospolitą, z niegodziwych rad Senatu wypływa. Oto są jawne téj prawdy dowody.“ Tu okazywał list bezimienny, w którym się zawierało: „iż 25 Maja odbywały się potajemne narady dwunastu senatorów u Prymasa, że ten żądał od nich, ażeby się podpisali na Kondeusza, upominając, iż chociaż przysięgli, tedy w tem sumienia nie obciążą, jako byli przymuszeni; że książę Neüburgski Turków, Tatarów i Kozaćstwo jednał przez wysłańców, aby przy ich pomocy łatwiej mógł dopiąć celu życzeń swoich; iż przez elektora i Szwecyą za króla przeznaczony, na ustroniu bez wiedzy szlachty od samych panów jest już wybrany.“ Długo zastanawiano się nad temi dosyć podobieństwa do prawdy mającemi wiadomościami, aż się zgodzono wysłać niektórych z pośrodku siebie do Senatu, z zapytaniem, czyli wieści rozgłoszone są prawdziwe? i z żądaniem kary na Oborskiego. Prymas wysłuchawszy spokojnie przełożeń, świadczył się Bogiem i sumieniem, iż się nie poczuwa do podobnych zarzutów; Oborski zaś nieszczęściu to swemu przypisywał, że krzykiem stłumiony, tego co chciał okazać, nie mógł powiedzieć, a chciał okazać równą niezdolność Kondeusza i księcia Neüburgskiego, jako równe szerzących przekupstwa; wyznał dalej, że obudwu jednakowym jest nieprzyjacielem, a wreszcie prosił o darowanie, jeżeli w czém mimowolnie Rzeczypospolitej zawinił. Uwierzono pierwszemu, gdy zarzut jedynie na bezimiennym liście się wspierał, przebaczone drugiemu i tak w Senacie jak w kole na czas niejaki umorzone zostały niezgody, by później z większą gwałtownością wybuchnęły.

Pierwszych dni Czerwca zaczęły się województwa pod Warszawę zgromadzać. Posłowie kandydatów zyskali pozwolenie zbliżenia się do stolicy. Pomnożono przekupstwa, gdyż pospólstwo za jakąkolwiek nagrodą głosy przedawało. Francuzcy jak dawniej działali skrycie, Lotaryngscy i Neüburgscy jawnie; większej jednak liczbie najbardziej przypadł do serca książę Karol, już dla przymiotów osobistych, już też przez zrzeczność posła Chavagnac, który nie mogąc panów od sprzyjania Francyi odciągnąć, uprzejmością i niezmiernemi obietnicami tyle szlachtę ujął, iż łatwo pozyskani przez niego mówcy, burząc ją na Senat przekupiony, do oświadczenia się przeciw Kondeuszowi skłonili. Za tych nastawianiem powstały

przeciwnie głosy na Francuza i panów, i natychmiast nierozważne to mnóstwo, surowo zaleciło posłom, aby Kondeusza z pomiędzy kandydatów wyłączyć. Marszałek Potocki, chociaż mu sprzyjał szczerze, widząc jednak ciągle nalegania koła 5 Czerwca na czele jego wszedł do Senatu. Zmieształ się on na uczyniony wniosek i mimo nalegania posłów, opierał się długo. Przystąpiono więc do wysłuchania zdań pojedynczych senatorów. Prymas zapytany oświadczył: „iż imieniem całego Senatu odpowiadać nie może, ale jako obywatel zapewnia, iż chętnie zgodzi się na tego, który wszystkich zezwoleniem będzie wybrany.“ Za nim, lubo okrzyk powszechny dał się słyszeć, że podobna wymówka nie czyni zadość woli publicznej, poszło wielu biskupów i wojewodów. Sobieski ufny w potęgę hetmańską, gniew tylko tłumiąc, powiedział: „nawykłem już wprawdzie ustępować zdania swego dla zgody powszechnej, lecz jeżeli mam być z równą zaciętością nagłony do wyłączenia inszych kandydatów, chętnie obrady opuszczę i raczej złożę marszałkowski urząd, aniżeli ścierpię przewożenia szlachty.“ Pac kanclerz W. K. Litewskiego obojętną mową zdawał się na wyłączenie zezwalać, naśladowując wielu, którzy ani żądaniu szlachty nie czynili zadosyć, ani się też pierwszych życzeń pozbyli. Przeciwnie postąpił biskup Kujawski Czartoryski Floryan, wyrzekł on otwarcie: „Wola jest Boską by Kondeusz wymazanym został z listy kandydatów, gdy tak ważny interes nie tylko z zapalem jest popierany, ale nadto z dziwną zgodą dobrych obywateli.“ Zacność i wziętość osoby, stała się hasłem następnie dającym głosy. Nie zważano na pogróżki Bessiera iż Polskę opuści, wszyscy się już prawie na wyłączenie zgodzili, gdy w tém Morstyn, Rej i Denhoff przystąpiwszy do Arcybiskupa radzili, by tę materią na czas inszy odłożyć. Niezmierny krzyk połączony z obelgami wzniósł się na takowy postępek. Tém zmuszeni powrócili na miejsce. Uciszyło się nieco i dalej głosy zbierano. Gdy ukończono, wstał Dębicki, a powinszowawszy Rzeczypospolitej, „że wzajemne zaufanie powróciło do serc braterskich, prosił Prymasa, aby w istotnem oświadczeniu się za wyłączeniem Kondeusza, odpowiedział oczekiwaniu narodu“ upornie milczał Prymas, kiedy jeden z posłów: „ponieważ, rzekł, książę jegomość z Prażmowa funkcyi swego urzędu niepełni, prosimy więc pana Krakowskiego jako pierwszego w państwie senatora, aby nam przewodniczył, wszak też to nie Papieża obiera-

my, możemy się obejść bez księdza“ (Pasek). Na to wstydem i gniewem miotany Arcybiskup, powściągnął tylko zapalczywość, w ułożonych wyrazach mówił: „iż więcej uczynił dla Rzeczypospolitej niż od niego żądano, kiedy się tak znakomitego i każdemu należnego prawa pozbawił, bez głosowania zezwalając na zgodnie wybranego króla.“ Przecież i tą mową nie zaspokoił umysłów. Karwicki podsędek z Nowego Miasta, ostre mu zaczął czynić wyrzuty o przedajność i mniej przyzwoite postęпки w życiu domowem; tego gdy niewzruszony słuchał, Piaseczyński starosta Braclawski do prósb się udał, zaklinając, aby się zlitował nad ludem żądającym koniecznie jego oświadczenia i za przykładem tylu biskupów dostojnością i świętością mu równych, zezwolił na wyłączenie Kondeusza. Błagali go i inni, aż nareszcie ów Prymas odkazujący się dopiero, iż pierwój ponieście męczeństwo, niżby innego jak Kondeusza królem mianował (Puffend. lib. 10), skłoniony prósbami, jak gdyby z kolei rzeczy ludzkich szydząc, ze spokojną twarzą, wśród zgiełku wyrzekł donośnie i „ja wyłączam“ opuściwszy imię Kondeusza, któremu sprzyjać nie przestał. Po oświadczeniu tém najzaciętszego stronnika Francyi i naczelnika Rzeczypospolitej, nikt już więcej odezwać się nie śmiał, ani protestacyi nie zaniósł, z obawy szlachty, która się coraz liczniej zgromadzała. Tak upadło stronnictwo francuzkie od wielu lat niezmiernemi summami Ludwika XIV utrzymywane i do tego stopnia pewne swoich nadziei, że Kondeusz zupełnie już był gotów do podróży i kazał bić medal z okoliczności mającej nastąpić elekcyi.

Z upadkiem jego, znikła i nadzieja możnych „uwolnienia Rzeczypospolitej od głupiej tyranii plebejów szlachty“ jak się Sobieski w liście do króla francuzkiego wyraził (Rhulier). Prócz tego bowiem, że byli wszyscy prawie pensyonowani, przecież widząc do jak nieszczęśliwego stanu przyprowadzoną została Polska przez elekcyę, zrywanie Sejmu, chcieli przy powadze najpotężniejszego z ówczesnych panujących, zaprowadzić rząd monarchiczny, a z czasem zupełnie nadużycia poprawić. Los Polski i sąsiedzi, od czasów Kazimierza szczególnie wywierający wpływy na interessa państwa, chcieli inaczej, i do wyłączenia największego z ówczesnych bohaterów dzielnie się przyłożyli.

Gdy z tylu podających się do korony Polskiej kandydatów, dwóch już tylko pozostało, między nich więc naród się podzielił. Większa część

szlachty sprzyjał a księciu Lotaryngskiemu, panowie za wolą Francyi mieli przystąpić do księcia Neuburgskiego. Brali oni sowite nagrody od obudwu i w miarę zapłaty oświadczałi się, to za tym, to za owym. Na intrygach tracono czas drogi, rzadki myślał o całości Ojczyzny. Na to jedynie powszechna stanęła zgoda, by dać posłuchanie cudzoziemskim posłom, a przedewszystkiem Nuncyuszowi papieżkiemu.

6 Czerwca Prymas na czele Senatu wszedł do koła, gdzie skoro senatorowie zasiedli przy posłach swoich województw, zalecił wyjść sześciu wojewodom i dwóm biskupom naprzeciw Legata. Wpóśród rozstawionych chorągwi od miasta do okopu, poprzedzany przez 126 powozów pańskich i liczną młodzież wspaniale przybraną, na dzielnych koniach siedzącą, przybył oczekiwany Nuncyusz. Wprowadzonemu do koła, wszyscy powstawszy okazali uszanowanie, a Prymas między sobą a biskupem Krakowskim miejsce naznaczył. Czytano potém list papieżki do Senatu przez referendarza duchownego; do stanu zaś rycerskiego przez marszałka poselskiego; treść ich była, aby wybrano zgodnie króla prawowiernej religii i aby to z pożytkiem całego państwa nastąpiło, Ojciec Święty Rzeczypospolitej błogosławieństwo apostolskie udziela. W podobnej myśli miał mowę Nuncyusz, na którą mu Prymas imieniem Senatu, a marszałek od koła w języku łacińskim odpowiedzieli. Po czém Legat o godzinie 9 wieczorem, w porządku jakim przybył do Warszawy — powrócił.

Z podobną okazałością nazajutrz był przyjmowany Szafgotsch poseł cesarza Niemieckiego Leopolda. Wprowadzony do koła przez deputatów ze stanu rycerskiego i senatorskiego (ale świeckich), pomiędzy marszałkiem koronnym a marszałkiem poselskim zajął przeznaczone miejsce. Listów cesarskich nie oddawał, napomniony prywatnie przez Arcybiskupa że opuszczenie tytułu Serenissimae Respublicae, stanom przyjemne być nie może. Czytał więc tylko mowę, że życzeniem najszczerzem jest pana jego zachowanie przyjaźni z Rzeczpospolitą i że zaleca księcia Neuburgskiego o którego stałości w wierze katolickiej, dojrzałym wieku i doświadczeniu w kierowaniu spraw napomknął. Nie gorliwiej i poseł szwedzki Klaudiusz Tott mówił 15 Czerwca za tym książęciem, lecz Howerbek 11 Czerwca, co tylko można było za nim powiedzieć, wszystko wyraził, a między innymi i to, że elektor nie z własnych widoków, ale za

radą najdzielniejszego wolności polskiej obrońcy Lubomirskiego, naprowadzony został na myśl popierania księcia Filipa, że przymierza z Francją, Szwecją, względem niego zawarte, wolność Polski miały zawsze na celu i że z niczyjego wyniesienia tyle korzyści Rzeczpospolita nie odniesie, ile spodziewać się może z tego, a to jak dla jego przymiotów, tak dla przyjaźni ze wszystkimi Europejskimi mocarstwami. Odpowiedzi także i przez tychże co i Nuncyusz, odebrali.

Posel francuzki Besier, według instrukcyj publicznych, miał także imieniem pana swojego, na mocy układów z elektorem, zalecać księcia Filipa, lecz gdy w dniu poprzedzającej audyencji po Szafgotshu pośle cesarskim, wymówił się słabością, odłożono ją na poniedziałek Zielonych Świątek. Tymczasem w samą niedzielę wszczął się okropny pożar w stolicy, trzecia część prawie miasta, albo spłonęła ogniem, albo przez szlachtę zgromadzoną na elekcyą rozebraną została. Nie masz rodzaju zbrodni, którejby w tym nędznym stanie miasta nie spełniono. Jak gdyby po wzięciu szturmem, widzieć się dawały na ulicach roty łupieżców, potykających się z mieszkańcami o szczątki uratowanego majątku. Dzień okazał sprawców i nienagrodzone szkody obywatelstwa, jednak stany zgromadzone, ani kaptur generalny żadnej sprawiedliwości na zanesione skargi nie wymierzyły, owszem, milczeniem zdawały się uprawniać postępkę szlachty. Większa lub mniejsza okazałość posła zaprzętała jedynie próżne umysły. Po Besierze spodziewano się najwspanialszego wjazdu, rozumiejąc, że z téj przyczyny wybrał dzień świąteczny; przecież zawiedziono się zupełnie, gdy odpowiedział, iż nie potrzebuje posłuchania, ponieważ pierwszego księżęcia ze krwi jego pana wyłączeniem znieważono i że się obawia, aby i samego króla jakowa wżgarda przy audyencji nie spotkała, chociażby księcia Filipa zalecał. Posłowie urażeni tak wyraźną odmową, żądali od Senatu, aby z granic Rzeczypospolitej wyjechać rozkazał, ale nie stało się ich woli zadosyć, kiedy — jak się zdaje, panowie mając jakieś nadzieje wyniesienia Kondeusza, w rozdwojeniu narodu pomiędzy księciem Neuburgskim a Lotaryngńskim, sami Besierowi radzili za inszemi się nie oświadczać, bo przez toby wielu jeszcze sprzyjających Francji potajemnie, mogło się zupełnie od jęj stronnictwa oddalić i z przeciwnymi połączyć. Sami się więc już tylko posło-

wie kandydatów zostali i dla tych dzień 12 Czerwca na posłuchanie przeznaczono.

Wcześniej zebrał się Senat i stan rycerski do koła. Według rozporządzenia wprowadzeni najprzód Lerard i Boimburg posłowie księcia Neuburgskiego, jeden list do Rzeczypospolitej, a drugi do Prymasa, oddali. Po przeczytaniu ich przez referendarza koronnego, Boimburg w wymownym głosie dziękował przedewszystkiem stanom, iż panu jego pozwalają być w liczbie kandydatów, dalej wynosił szlachetność jego domu, z którego wyszło tylu cesarzów i królów; wreszcie przypomniał pokrewieństwo z Wazami i chęci Władysława IV, widzenia królem Polskim księcia Filipa; wylizczał potem jego przymioty umysłu, ciała, jako też wyborne posiadłości nad Dunajem i Renem, które wszystkie prawie na użytek Rzeczypospolitej obróci i tak urządzi, iżby cały mógł się poświęcić jęj sprawom; los synów poda rozrządzeniu stanów; jeżeli Rossya dobrowolnie nie powróci zabranych prowincyj, po upłynionem zawieszeniu broni, wyda jęj wojnę, i na ten koniec 5,000 wojska własnym kosztem utrzymywać będzie; kwarcijanom za lat dziesięć żołd zaległy, a wynoszący 5,000,000 złp. wypłaci; ćwiczenia rycerskie przywróci; dla dwustu szlachty młodej, jadącej na zwiedzenie obcych krajów, da coroczne utrzymanie; przyjaźń z sąsiadami zachowa, lecz gdyby który krzywdę Rzeczypospolitej wyrządził, zemści się tego, a przedewszystkiem tatarskie napady powściągnie. Nakoniec, nim Rzeczpospolita przyjdzie do dawnęj świetności, uwolni ją przez ten czas od wszelkich podatków. Jak mowę, tak mowę równie chwalo-no, lecz nie zupełnie wierzono wszystkiemu dla wielości obietnic. Po otrzymanej odpowiedzi od Prymasa i marszałka koła, że Polacy tego obiorą, którego im przeznaczyła Opatrzność, powrócili do miasta.

Nim godzina wysłuchania posłów drugiego kandydata nadeszła, dozwolono Putkamerowi i Szubertowi internuncyuszom księcia Kurlandzkiego Jakóba, zlecenia do Rzeczypospolitej wyłożyć; miejsca im nie pomiędzy marszałkami, jak posłom obcych dworów, ale jako lennika, na prawej stronie między województwami pruskimi naznaczono. Ci w mianęj mowie, uskarżali się na uciążliwość od wojska litewskiego, na nieposłuszeństwo szlachty Powiatu Piltyńskiego i prosili, aby wolno było księżęciu nabyć dobra ziemskie w Koronie lub Litwie

dla opatrzenia synów. Zezwolono na prośbę, zażalenia przyobiecano załatwić przy koronacji przyszłego króla.

Wprowadzono potem do koła posła Hana tatarskiego. Ten zajmując miejsce na krześle w środku stojące (gdyż na kobiercu podług swojego zwyczaju usiąść nie chciał, dając za przyczynę nieprzytomność królewską), przez tłumacza powitał przyjacielsko Rzeczpospolitą i oświadczył, że Han szczerze dochowa paktów podhajskich, byle mu haracz obiecany zapłacono. Prymas wzajemnie przez tegoż tłumacza, zapytawszy się o zdrowie Hana i jego rodziny, powiedział, że Polska, pragnąc z Krymem pokoju, dotrzyma obietnic. Później ruszył się z miejsca poseł i oddawszy listy Arcybiskupowi i marszałkowi doniósł, iż ma wiele zleceń do stanów, na co otrzymał odpowiedź, że później wysłuchanym będzie, skoro listy przeczytane zostaną.

Już też zbliżali się posłowie księcia Lotaryńskiego, kiedy Małachowskiego referendarza koronnego wezwano do przeczytania listów króla angielskiego, aby nie czasu w dniu tym nie tracić. Listy te uprzejmie do wybrania księcia Neuburgskiego zachęcały Rzeczpospolitą. Za ledwie ukończono, odbyli wjazd wspaniały posłowie księcia Lotaryńskiego. Po przeczytaniu listów, w których to tylko nie podobało się Arcybiskupowi, iż w tytułach żadnej wzmianki o jego dostojności nie uczyniono, ale zresztą najbardziej uprzejmy i pełen uszanowania dla Rzeczypospolitej podniósł głos ksiądz Riket (pierwszym posłem był Hr. Chavagnac, lecz, że nie umiał po łacinie, zastąpił jego miejsce przydany mu do pomocy l'Abbé Riquet) i nim wszystkich zachwyił. Chwalił on naprzód starożytność domu Lotaryńskiego już w wojnach krzyżowych sławionego; zalecał dalej księcia Karola młodość, zdolną do nauczenia się języka polskiego, sztuki rządzenia i nawyknienia ku zwyczajom Polskim; wynosił potem jego osobiste przymioty, umiejętność siedmiu języków, a to najbardziej, że nie będąc przez nikogo obcego zalecanym, samemu tylko narodowi byłby winien koronę i wdzięczność; nakoniec przyobiecał, że da rocznie 500,000 ze swoich funduszów na wykupienie złej monety, że wojsku żołd zaległy wypłaci, ciosanym kamieniem Wisłę pod Warszawą wyściele, tamże most wymuruje, handel wesprze, 4,000 wojska na użytek Rzeczypospolitej wystawi, szkołę dla stu szlacheckiej młodzieży w Pont à Mousson

założy, żonę za wolą stanów pojmie i że gotów walczyć ze wszystkimi przeciwnikami. Zresztą nie w tej mowie nie opuścił coby albo dostojności domu książęcego nie wynosiło, albo nie czyniło zaszczytu Rzeczypospolitej, lub zjednać łaskę szlachty mogło. Dla tego też z nadzwyczajnym zapamięciem ją przyjęto, nie upatrując w niej nic lichego, ani nie podobnego do wykonania. Odpowiedziano jednak jak i poprzedzającym, ale powszechnie oklaski i okrzyki szlachty okazywały, o ile ci przeważyli tamtych. Jakoż, gdyby nazajutrz, który był dniem przeznaczonym na elekcyę, przystąpiono do głosowania, pewnieby książę Karol został wybrany. Przecież gdy nie wiele postąpiono w poprawieniu nadużyć, poczem dopiero nastąpić miała elekcyę, posłowie radzili ją odłożyć na dzień 19 Czerwca, do czego Senat i województwa już zgromadzone przychyliły się, lubo po długim oporze. Nie więcej jednak i przez ten przeciąg czasu działo się. Jak zwykle w licznych zgromadzeniach trudno utrzymać porządek, tak też w Polsce wśród szlachty, sądzącej się wyższą nad prawa, było niepodobieństwem. W okolicach rabunki, napady i zniszczenia, w kole okazywało się niezmierne mnóstwo ludu, chociaż wszyscy podług województw za okopami stać byli powinni. Wszędzie pełno mówiących i krzyżących, wszędzie głosy groźące i burzliwe słyszano. Senatorowie będąc przedmiotem hałasów, przestawali na obrady przyjeżdżać. Urażona témbardziej szlachta, z największymi pogroźkami zaleciła, aby ktokolwiek szczyił się brata starszego imieniem, stawił się w kole we trzech dniach ostatnich, kiedy najważniejsze sprawy mieli roztrząsać. Uczyniono zadosyć ich woli 17 Czerwca. Jednego tylko Arcybiskupa brakowało. Zaczęły się narady. Senatorowie jednak zamiast kończenia spraw pilniejszych, chcąc się pozbyć przytomności województw, nie mogących na upale i bez żywności dostatecznej dłużej się bawić, dla przedłużenia nad czas zamierzony Sejmu, pod pozorem poprawienia nadużyć, na niczem czas trwonili; gdy zaś szlachta odpowiedziała, iż na to żadnym sposobem zezwolić nie może, udali się do zwyczajnego sposobu kłócenia Rzeczypospolitej. Jedni żądali księcia Neuburgskiego listu, pisanego do podkanclerza Olszowskiego; przeciwni uwiadomili, że Prymas list od księcia Lotaryńskiego odebrał. Wysłano po niego trzech deputatów, a tymczasem zajęto się czytaniem pierwszego, który bez oporu wydał Olszowski, będąc przeciwnym partyi

książęcia. „Prosił on aby się za nim bez obawy oświadczył gdy za radą i naleganiem znakomitych panów już warunki względem zachowania wołności i elekcji podpisał.“ Oburzyło to wszystkich na senatorów, kiedy wysłani do Arcybiskupa wrócili i list żądany przynieśli. Marszałek koła, posunąwszy nieco krzesło na środek, przystąpił do odczytania go. W tém stronnictwo Lotaryngskie wzniosło krzyk straszny; zrywano się z miejsca i pogroźkami głos marszałka stłumiono. Wstrzymał się on od przedsięwzięcia, lecz tém zamieszaniem pobudzone województwa za broń się porwały. Szlachcie jeden z Łęczyckiego, które zaraz nad kołem stanęło, zawołał „nie odzywajcie się Kondeuszowie, bo tu kule mogą posypać się“ (Pasek.). Senator pewny odpowiedział mu nieco ostro. To było przyczyną wielkiej wrzawy, ognia nawet dawać zaczęto. Poruszony tém książę Czartoryski biskup Kujawski, otrzymawszy głos od marszałka koronnego, (gdyż obadwaj marszałkowie przydowali naówczas), naganął zamieszanie w naradach, karcił porywczosć gwałcących bezpieczeństwo publiczne przez wystrzały i żądał od marszałka wielkiego koronnego, aby jako ojciec czynności publicznych, rozruch uśmierzył. Szanowny ten kapłan posunął jeszcze wyżej śmiałość, udawszy się sam do bramy Wielkopolskiej ¹⁾ napominał województwa, żeby się skromniej zachowały; gdy w tém jakiś dyssydent Ramianin odezwał się po pijanemu: „na was to księża te bronie są przygotowane i te postrzały idą.“ Umilkł natychmiast biskup i do koła powrócił, a dyssydenta stłumiono powszechnym okrzykiem. Lecz kiedy jedni naganiali mowę, drudzy o osobę się bali, rozeszła się nagle pogłoska, iż za głos wolny śledzą obywatela. Gniewem zapalona szlachta, w jednej chwili z kilkudziesięciu tysięcy karabinów wystrzeliła. Żołnierze stojący przy okopie poszli za tym przykładem. Kule wpośród koła świstały. Senatorowie przestraszeni, z miejsc się ruszać, zniżać, a nawet pod krzesła chować zaczęli. Niektórzy, przewidując większą katastrofę, do bram uciekli, ale okryci hańbą i obelgami, przyłożonemi do piersi swoich pistoletami, ze wstydem odepchnięci zostali. Dwóch

¹⁾ Trzy były bramy w okopie przy których województwa stały. Małopolskie na Południe, Wielkopolskie na Zachód, a Litwa na Wschód, tak, jakie było położenie tych prowincji względem pola elekcyjnego między Powązkami a Wolą.

ludzi zabito, trzeciemu rękę strzaskano. Nie ubłagały szlachty te ofiary, rozpedziwszy piechotę, otoczyła koło, krzycząc „wytniemy was“ — „nie puścimy z rąk“ — „darmo mieszacie Rzeczpospolitą, inszych senatorów postanowimy“ — „króla z pośród siebie obierzemy, jakiego nam Pan Bóg poda do serca“ (Pasek.). Słusznie naówczas można było powiedzieć, że Senat jest w oblężeniu, a cała Rzeczpospolita własnymi siłami pracuje na okropny upadek, któryby był może nastąpił, gdyby grożącego niebezpieczeństwa, błagania więtość mających obywateli, prośby i napomnienia nie oddaliły. Powróciła spokojność. Senatorowie z wielkiego przestachu nieco ochłonawszy, porozjeżdżali się. Marszałek na dzień następny sessją odłożył.

Dnia 18 Czerwca województwa stały w obozie i nie wychodziły w pole. Posłów nie wielu przybyło do koła, a Senat zgromadził się w zamku. (18 Czerwca we wtorek nie było pospolitego ruszenia. Senatorowie mieli narady u Prymasa w zamku, bo się tam z pałacu swego przeniósł tak jak wielu innych senatorów i urzędników, obawiających się pospolitego ruszenia. Ze stanów nie wielu było w kole z téj samej przyczyny i dla gwałtownego wiatru). Tu Prymas uskarżywszy się nad okropnem położeniem Senatu w dniu wczorajszym, badał, jakimby sposobem zaradzić bezpieczeństwu publicznemu i czyliby nie znalazł się sposób na powściągnięcie szlachty od mieszania obrad. Doniósł potem, że marszałek wielki koronny rozesłał do województw listy w tym celu, na co odpowiedziano mu zaraz, iż listów tych szlachta nieprzyjęła, gdyż nie potrzebowała tam namowy i upomnienia gdzie szło o całość Rzeczypospolitej. Wreszcie z największym zapalem dowodził, że interessem jest Rzeczypospolitej, aby jakiś porządek przepisano, jak o tém przodkowie myśleli. Wiele po nim było głosów, ale wszystkie więcej burzliwości i zażaleń na zuchwałość szlachty, aniżeli rad zawierały. Jednem słowem zdawało się, że już senatowi polskiemu zabrakło na mężach, gdy w tém powstał kasztelan Lwowski Maxymiljan Fredro i „nie trudno, rzekł, zaburzenia uśmierzyć, bo mocną mam nadzieję, iż bracia postrzegłszy szkodę, jaką Rzeczypospolitej przez nierozsądną płochość zrzadzili, sami żałować będą postępków. Ale wybrać króla w takim poróżnieniu umysłów i zapaleniu stronnictw, niepodobną jest rzeczą. Ja więc sądzę, aby na jeden dzień nakazać post i nabożeństwo po całym królestwie, dnia

zaś następnego, wypisać imiona obudwu kandydatów na dwóch kartkach i te włożyć w poświęcony kielich, z tego niechaj dziecię trzechletnie wyciągnie, a czyje imię na niej będzie napisane, królem Polskim za sprawą Boską zostanie; tym sposobem wszystkie fakeye, intrygi i poswarki ustaną, a co nie mniejsza, unikniemy nienawiści i gniewu obcych monarchów.“ Mówił następnie, ze zwykłą wymową obszernie o użytku tego projektu, a zakończył nareszcie, iżby za bezbożnego, nieprzyjaciela i zdrajcę Rzeczypospolitej uważać, ktoby się tak wybranemu królowi przeciwiał. Biskup Kujawski oświadczył toż zdanie, z największą skromnością przekładając jego użyteczność. „Na cóż Polacy, rzekł między innymi, mamy się unosić zbytkiem przywiązania do kandydatów i dla ich sprawy krew obywatelską przelewać, kiedyśmy żadnemu jeszcze posłuszeństwa nie zaprzysięgli? Śmierć raczej obudwu oglądaćby należało, aniżeli śmierć jednego obywatela.“ Skutku jednak nie wzięły te rady, kiedy inni z obawy szlachty, którejby przez to odjęła się wolność obierania królów, wcale ich nie popierali, a owi senatorowie od bram odepchnięci, zaczęli zhańbienie swoje oplakiwać. Na ukończenie ich skarg, Dębicki jako deputat do exorbitancyi, przytomny w Senacie, zapewnił, że bracia już nad owym postępkiem ubolewają i że na znak żalu skromniejszemi się okażą, stawając na obrady, nie wszyscy jak pierwój, ale tylko w osobach posłów. Naówczas Prymas usilnie zagrzewał senatorów do namówienia województw, aby o pół ćwierci mili przynajmniej od szopy stawały, a deputowani od nich bez broni przychodzili do koła, dla ułożenia pactów-Conventów.

Rozjechali się senatorowie do szlachty, używszy całej dzielności wymowy, złagodzili rozjątrzone sprawiedliwie na siebie umysły i do wypełnienia pierwszej części woli Senatu skłonili. Nie więcej jednak nad trzysta osób przybyło do koła. Tu sam marszałek powstał i na zuchwałość szlachty zaniósł zażalenie; deputowani mniej skromnie odpowiadali. Wszczęła się wrzawa. Potocki rzucił laskę na środek i chciał składać urząd, lecz Dębicki zabronił mu tego w imieniu prawa; wreszcie uciszyło się; ale tyle tylko uradzono, ażeby nazajutrz do wyboru króla przystąpić.

Dzień 19-ty Czerwca we środę, był dniem, który tak wielu lat zabiegi, prace i wydatki niezmiernie udaremnił; dniem, w którym dwa stronnictwa zniszczyć się nawzajem usiłujące, trzeciemu nad-

spodziewanie do tronu utorowały drogę. Pogodne niebo, przyjemne powietrze, ani upał, ani wiatr zbyteczny, dozwalały wystąpić w całej okazałości województwom na pole elekcyjne, czyniły niejaką wróżbę dobrej przyszłości i zgody umysłów. 90,000 szlachty przy okopach stanęło. Połysk zbrój, przepych ryszunków, różnaitość ubiorów, powiewające chorągwie, wszystko podnosiło umysł i zarazem napełniało przestraczem.

W kole, marszałek stanu rycerskiego o 10 godzinie zaczął sessyę, chociaż Prażmowskiego, Sobieskiego i wielu innych brakowało. Po uczynionym wniosku, iżby w dniu tym nie zaprzętać się żadną inną sprawą, oprócz mianowania króla, przystępował do czytania pactów conventov. Ale już to skrycie działająca strona Kondeuszów, już też naczelnicy jój, Sobieski i Pacowie, nieulożywszy jeszcze z posłami kandydatów osobistych interessów i chcąc na nich więcej jeszcze wytargować pod pozorem miłości dobra publicznego, namowami skłonili Mazowszan i część Litwy do żądania poprawy wszystkich exorbintancyj. Podolanie o niezwłoczne wzmocnienie Kamieńca nalegali; wielu też utrzymywało, iż nie należy przystępować do elekcyi, z powodu zbyt szczupłej liczby senatorów. Ale Wielko- i Mało-polanie oświadczyli, że ani chwili nad dzień dzisiejszy nie pozwolą, niemogąc upałów i pragnienia dłużej znosić. Widząc to kanclerz Olszowski, wniósł, aby exorbitancye zaczęte, po obraniu króla, przez deputatów kończono, teraz zaś uwiadomiono senatorów, iż jeżeli się na godzinę pierwszą po południu nie stawią, naród bez ich uczestnictwa pana ogłosi. Usłuchano rady, a tymczasem pędzono czas na sprzeczkach. Starający się o odłożenie elekcyi, nic dokazać nie mogli, a wysłani do Arcybiskupa donieśli, że się słabością wymawia. Po uderzeniu więc pierwszej godziny, Podkanclerzy powstawszy i wybadawszy wolę szlachty, zachęcił biskupa Poznańskiego Stefana Wierzbowskiego, jako miejscowego pasterza, aby wystąpił na środek i wezwawszy Ducha Świętego, zgromadzonych pobłogosławił. Wahał się nieco biskup z obawy gniewu Prymasa; ulegając jednakże prośbom wielu, przemówił do ludu o uszanowaniu obrzędu świętego, padł na kolana przejęty duchem pobożności i zrosiwszy lice łzami, donośnie hymn o Duchu Świętym zaintonował. Przykłęka nabożnie szlachta i w tłumie zaczęty śpiew ukończyła, poczem pożegnawszy województwa i dawszy im błogosławieństwo, do stanowisk rozpuścił.

Województwa w pospolitém ruszeniu zgromadzone, stały za okopami; które zaś tylko posłów wyprawiły, jak np: Litwa cała, Prusy, Wołyń i Podole, w kole naradzać się miały; nadjechało w tém wielu senatorów i przyłączyło się do swoich.

Książęta Neüburgski lub Lotaryngski byli celem, do którego wszystkich chęci zmierzały. Prawiono za tym i za owym, jak komu interes doradzał. Naród cały pomiędzy nich się podzielił. Często jedno województwo miało dwa stronnictwa, ztąd pomnażały się sprzeczki i zamieszanie wzmagalo. Już obawiano się wojny domowej, już się porywano do szabel, kiedy rozsądni mężowie zawczasu to przewidując, za stronę pośredniczą wystawili *Piasta*. Zwrócono na niego uwagę, lecz któregoż *Piasta* wśród tylu zamożnych i emulujących domów wybraćby można? Wielu, którego z Radziwiłłów znanych Francyi, miłych Austrii, spokrewnionych z elektorem i wziętych pomiędzy szlachtą, radziło. Okrzyknęli ich zaraz Pacowie i rozruch powstał niemały. „Nam niepotrzeba bogatego pana, zawołano w województwie Brzesko-Kujawskiém, bo on będzie bogatym, zostawszy królem Polskim; nie trzeba nam spowinowaconego z monarchami, bo to jest niebezpieczeństwo wolności, ale nam trzeba męża wojennego. Gdybyśmy mieli Czarnieckiego, pewnoby zasiadł na tronie, lecz go nam Bóg wziął, obierajmy jego ucznia Polanowskiego (Pasek. Alexander Polanowski herbu Pobóg, był naprzód chorążym Sanockim, a potem stolnikiem koronnym). Sandomierzanie przeciwnie mówili: „Nie wieleby nam trzeba szukać króla, mamy go pomiędzy sobą. Wspomniawszy na cnotę i poczciwość i na wielkie zasługi księcia Jeremiego Wiśniowieckiego; słusznaby nam zawdzięczyć to jego potomkom. Owo jest książę Michał, czemuż go nie mamy mianować, albo nie z dawnéj i wielkiéj familii? albo nie godzien korony?“ Książę Michał siedząc skromnie w nic się nie wdawał. Strażniejszy bowiem przez wojnę kozacką cały prawie majątek, nie mógł nabyć pomiędzy obywatelami wielkiego znaczenia, ale też nie obrażał szlachty tytułem księcia, nie wzbudzał zawiści możnych, tém zaś mniej obawy w obcych monarchach; z téj przyczyny właśnie Olszowski podkanclerz, głęboki polityk, znając dokładnie stan umysłów wszystkich stronnictw i zapobiegając wszelkim burzom, jakiby z wyboru jednego z dwóch zagranicznych kandydatów, lub którego z możnych panów polskich, niechybnie nastąpiły, ośmielił się zalecić go do

tronu w książce mającej tytuł: „Censura Candidatorium.“ Mówił on w niej jak tylko można najpopularniej do szlachty, przypominał świetność panowania Piastów i swobody przez nich nadane, wzbudzał niechęć ku obcym; twierdził, iż tylko rodak może być wolnemi głósy narodu wybrany, a kandydata zagranicznego narzucają magnaci; zapewniał, że tamten wychowany w wolnościach, zechce je bardziej jeszcze pomnożyć, ten będzie się starał je stłumić, lub przynajmniej ograniczyć; poruszał wreszcie pychę stanu rycerskiego, że z pośród siebie najprzyzwoiciéj króla wybrać może. Poczém przekładał emulację między Polską a Litwą i pomiędzy najznakomitszemi familjami; jedynym zaś środkiem jéj uniknienia, uznawał księcia Michała Wiśniowieckiego, którego ród, z wielkich książąt Litewskich panujących w Polsce, wynosił nad innych, a mierność utrzymywała w równości.

Z lubością i radością czytano to pismo, lecz zysk, do obcych pociągał. Sam nawet Olszowski, unikając szyderstwa panów, oświadczył się za księciem Lotaryngskim. Ale, kiedy owemi listami, które tyle narobiły zamieszania, odrażone zostały umysły tak od księcia Filipa jak Karola; a teraz kiedy widziano, że jeden z nich jednomyślnie wybranym być nie może, postanowiono iść za radą mądrego podkanclerza. Sandomierzanie jednakże nie wszyscy zgodzili się na wybór Michała; wielu z nich wywoływało imię Dębickiego (Pasek), niektórzy zaś księcia Lotaryngskiego. Województwo dopiero Kaliskie, po mowie mianéj przez Stanisława Krzyckiego podkomorzego Kaliskiego, zgodziło się na księcia Michała. Od tego województwa głos przeszedł do poznańskiego, gdzie wojewoda za Lotaryngiem, a kasztelan za Neüburgiem obstawali. Szlachta usłyszawszy imię *Piasta*, gdyby natchnieniem powodowana, jednomyślnie królem go okrzyknęła.

Rozszedł się ten odgłos po wszystkich województwach. Łęczyckie i Kujawskie rozumiejąc, że los padł na ich Polanowskiego, złączyły się z Kaliskiem i Poznańskiem. Wkrótce cała Wielkopolska i Mazowsze zezwoliły na wybór Wiśniowieckiego. Sandomierzanie chętnie na swojego współobywatela głos dali, za nimi cała Małopolska z nadzwyczajnym poszła popędem. Nadaremnie panowie, tracąc nadzieję zysku, upierali się przy swoich kandydatach, ale gdy pałasze podniesiono, zamilkli. Województwa Ruskie i Bełzkie miały przy sobie hetmanów koronnych, pierwsze pod Sobies-

kim księcia Neüburgskiego, drugie pod Dymitrem Wiśniowieckim Lotaryngskiego stronę trzymały, obadwa sprzeciwiały się obraniu Piasta, potrzebując króla, któryby mógł żołąd zaległy wojsku wypłacić; ale i te odstąpiły uporu, skoro szlachta innych województw z dobytymi szabłami, krzykiem i groźbą przymusiła Sobieskiego umilknąć, a książę Dymitr zachęcony z namowy Olszowskiego przez Silnickiego rotmistrza husarów, łatwo się do wspierania brata stryjecznego nakłonił. Posłowie pruscy, jedni pod przewodnictwem Olszowskiego w okopach, drudzy w liczbie daleko znakomitsi, mając prezesem biskupa Warmińskiego Wydźgę, za wałem radzili. Szły poselstwa od jednej strony do drugiej, ażeby przeciwnych sobie pociągnąć; wystawiali pierwsi za sobą prawo, drudzy liczbę. Na pierwszych sporach czas drogi upływał, gdy w tém doniesiono, iż zgodnemi głosy wybrano księcia Michała. Za radą Olszowskiego oświadczyli się za nim będący w okopie, lecz radzący za wałem oburzyli się i zdumieli jak dziesięciu posłów mogło iść przeciw zdaniu trzystu, którzy żądali księcia Neüburgskiego. Jednakże Stefan Wydźga, mąż światły, uproszony od podkanclerza, roztropnie doradził, aby uleż czasowi, okolicznościom i przystąpić do braci. Za jego mową i przykładem wszystka szlachta i deputowani od miast pruskich, weszli do koła.

Powszechną zgodę spóźniło ociąganie się posłów litewskich, którzy podzieleni między dwa emulujące domy Paców i Radziwiłłów, kierowani byli duchem, jaki ich naczelników ożywiało. Radziwiłłowie chcieli mieć Neüburga, Pacowie, Lotarynga, jedni zaś i drudzy pragnęli, by król przyszedł im tylko samym winien był wyniesienie, gdyż oprócz chęci poniżenia przeciwników i to także przyłączyło się, iż nadwreżony majątek przez klęski i zbytki, żądali łaskami zobowiązanego sobie króla do lepszego stanu przyprowadzić.

Wśród ciągłych sporów i niepewnych nadziei z przestraczem dowiedziano się o wyborze przez szlachtę koronną Michała. Instrukcyje wszystkich województw litewskich wyłączały Piasta, to więc dało powód do niezmiernych kłótni, a następnie już przystąpiono do gwałtowniejszych środków, albo do zerwania obrad i odłożenia elekcyi, gdyby Olszowski, tyle dokazawszy, nie kończył z odwagą rozpoczętego dzieła. Przybrał on natychmiast miano posła od województw polskich, pociągnął za sobą Czartoryskiego, Gembickiego,

Tarłę i Tarnowskiego, biskupów: Kujawskiego, Potockiego, wojewodę i kasztelana Sandomierskiego i wraz z nimi do stanowisk Litwy pospieszył. Tu mówili naprzód towarzysze przypominając jak W. Księstwo od 300 lat w jedno ciało złączone z Polską używa równych jej swobód i że Wiśniowiecki lubo jest z rodu polskiego, przecież ze krwi książąt litewskich pochodzi; dalej sam podkanclerzy zdziwionych nowością postępu zaklinał i prosił, ażeby się do szopy udali, gdzie będą mieli dosyć czasu na rozważę. Zmieszało to bardzo Radziwiłłów i Paców, odpowiedzieli, że jeszcze nie dosyć są zgodne głosy na wybór Michała i że z Krakowskiego coś innego donoszą; ale szlachta uprzemie to poselstwo przyjąwszy, zawołała, iż trzeba się do Polaków przyłączyć, i z miejsc powstawszy, za podkanclerzem podążyła do koła. Pacowie i Radziwiłłowie ulegli. Można przeto powiedzieć że Olszowski dał całemu narodowi króla. Gdyby na przyszły dzień odłożono elekcyę, napełniłyby się okopy uzbrojonymi stronnictwami, wzmogłyby się zaburzenia, a ztąd niechybnie z rozdwojenia umysłów nastąpiłaby wojna domowa. Olszowskiemu więc król koronę, a naród spokojność winien.

Tymczasem w kole znakomitsza szlachta z województwa Sandomierskiego stanęła z kandydatem, z którym już wszyscy przytomni, jako z panem rozmawiali. On, w najskromniejszej postawie, skłoniony do ciągle winszujących, zapłakał nad swoim losem.

Lud zwłoki niecierpiący, nowego króla oglądać spragniony, nieprzeliczonemi głosy naglił o jego nominacyę, ale tak wszyscy marszałkowie jak większa część senatorów, opuścili pole elekcyi, a Prymasa, uwiadomionego przez Olszowskiego o tém co zaszło, spieszącego do okopów, zwrócono. Rozgniewana szlachta już groziła rozsiekaniem nieposłusznych swojej woli, gdy wtém Stanisław Lubomirski starosta Spiski, wziął łaskę, zastąpił miejsce Potockiego i wezwał województwa do uczynienia deklaracyi. Biskup też Kujawski Czartoryski, ulegając również powszechnemu żądaniu, chciał dopełnić arcybiskupiego obowiązku. Dowiedziawszy się o tém Prymas, mimo odradzań wielu, wyrzekłszy: „Palec Boży to działał“ (raczej Cenzura, dodał Sobieski) „nie bądźmy przeciwni szlachcie“ — z przytomnymi senatorami ruszył na pole elekcyjne, gdzie już się deklaracye zakończyły

przez okrzyk „niech żyje król Michał” każdego w szczególności województwa.

Prymas wówczas podług zwyczaju donośnym głosem po trzykroć zapytywał wszystkich, czy się jednomyślnie zgadzają na wybór księcia Michała Wiśniowieckiego? a gdy po trzykroć powietrze zabrzmiało powszechnym odgłosem „zgoda,” naówczas powinszowawszy elektorowi nowej godności, mianował go królem i zalecił marszałkom obojga narodów, aby przy wszystkich trzech bramach ogłosili, iż książę Michał Wiśniowiecki, zgodnemi głosami, obrany jest królem Polskim i wielkim księciem Litewskim.

Nie było marszałka Litwy, sam przeto Sobieski mimowolnie dopełnił tej powinności o godzinie 9 wieczorem; poczem za przykładem Prymasa i senatorów, przyklękła szlachta i *Te Deum laudamus* wszyscy śpiewali na polu przy wystrzałach z ręcznej broni.

Z pola elekcji wziął Arcybiskup króla do zamku w swojej kolebce, bo ten nie mając okazałego pojazdu, nie chciał z namowy matki przyjąć karety, którą mu Jan Sobieski ofiarował. Jadącemu zaszedł drogę lud z pochodniami na piaskach wiodących z pola elekcyjnego i przy okrzykach radosnych przeprowadził do zamku.

Tak więc sama szlachta dokonała tej sprawy bez żadnej powagi senatu, który siedm tygodni na próżnych sporach zmarnował. Radość z elekcji była największa, pochodząca zapewne z tryumfu, który pochlebiał równości, lecz niestety zasmucał przezorne umysły. Wprawdzie młodzian znakomitej cnoty, uczciwości i roztropności, lubiący nauki, i biegły w obcych językach, w meztwie naśladowcy ojca, zalecony do berła od biegłego polityka, który podobno nie bez porozumienia się z Austryą zawczasu odradzał mu śluby z Anną księżniczką Kurlandzką, za najgodniejszego ze wszystkich Piastów korony, przez Maryę-Ludwikę obdarzoną osobliwszą znajomością ludzi, osądzony, mógł wiele dobrego uczynić dla Polski. Lecz król, który z łaski jedynie królewicza Karola wychowanie odebrał, którego dotąd jedynym utrzymaniem była roczna pensja 6000 złp., przez królowę wyznaczona, który teraz potrzebował zasilenia u poddanych swoich w potocznych nawet życia swojego potrzebach, nie wiele wzbudzać musiał względów u tej wyniosłej szlachty, co władzę, powagę i talenta, obok okazałości, obok bogactw stawiała.

Rozterki tą elekcyą nieuspokojone, lecz ow-

szem, bardziej jeszcze rozniecone, nadzieja umorzenia długów, zaspokojenia wojska, wyguby fałszywej monety, niepłacenia podatków i t. p. zniknęła. Szczególniej jednak możni, pozbawieni uiszczenia obietnic kandydatów, już poczęli rokować z obcymi o zrzucenie z tronu Michała. Ale monarchowie poznawszy, iż Polska przez podobny wybór bynajmniej się nie wzmocni, zakazali posłom wchodzić w tajemne układy, a Prymas i Sobieski musieli przyrzec szlachcie, że królowi będą wiernymi.

Zaledwo przecież rozjechały się województwa i tylko Senat z posłami zgromadził się w zamku dla układania exorbitancyi i Pactów Conventów, Zamojscy tak z obawy, by przez wybór Michała, sprawa ich z Wiśniowieckimi nie upadła, a bardziej jeszcze podżegani od możnych, uroczystą zanieśli protestacyę przeciwko całemu aktowi elekcyi i wyszli z Senatu. Mniej z początku uważali posłowie na ten postępek, ale kiedy marszałek wielki koronny, który wtenczas prezydował, położył laskę i odmówił pozwolenia głosu, zaczęto bez żadnego porządku przeciw Zamojskim i za nimi mówić, jedni twierdzili, że nie mogą tego niweczyć na co sami zezwolili, drudzy utrzymywali (stronnictwo panów) że głos posła wszędzie i zawsze ma moc jednakową, radzili insi, aby raz na zawsze określić pewny porządek względem wolnego tamowania obrad sejmowych. Powstały ztąd spory niezmierne, dopóki wreszcie przez matkę królewską i biskupa Kujawskiego ułagodzeni Zamojscy nie powrócili do Izby. Panowie, niespodziewając się już na tym sejmie skutecznici swoich zamysłów, odłożyli je na czas dalszy i dozwolili przystąpić wreszcie do Pactów Conventów, z których oprócz zwyczajnych potwierdzeń, praw i swobód nadanych od poprzednich królów, następujące podano elektorowi punkta: „pokój z Dyssydentami zachowa, ukrajinę odzyska, wojsk obcych nie wprowadzi w granice, Kamieniec naprawi, Kozaków uspokoi, wojsko w porządek wprawi, postara się o wypłacenie mu długów, o wyzwolenie Drahimia i załatwienie z kurfirstem poróżnień; familii swojej nad równość obywatelską wynosić nie będzie.“ Gdy na te warunki, przy liczném bardzo zgromadzeniu ludu w kościele katedralnym Warszawskim, Michał w dniu 7 Lipca przysięgę wykonał, marszałek nadworny Branicki ogłosił ludowi, że już Polacy mają prawego króla, którego uroczysta koronacya nastąpiła 29 Wrześ. 1669 r., a śmierć 1673 r. d. 10 Listopada w kwiecie wieku, bo w 35 roku życia

FELIX MENDELSON BARTOLDI

(Z WIZERUNKIEM).

Życie tylu muzyków czémże jest inném jeśli nie historią zawiedzionych nadziei, sił zmarnowanych w rozwoju, zdolności łamiących przeszkody, lub zbyt zawcześnie torującym sobie drogę, w karby nie ujętém tworzeniem? do których najczęściej przyłączają się jeszcze: walka z materyalnemi potrzebami życia, zapasy ze światem, brak współczucia i współdziałania, uznania i zrozumienia ze strony współczesnych.

Ileż-to genialnych osobistości w ten sposób nie przepadło! a przynajmniej nie zdobyło wolnej chwili i niezależnego położenia, aby się swojej sztuce, nie dzieląc sił swoich z miłością, poświęcić mogły. Całkiem inaczej wygląda zawód artystyczny największego kompozytora z czasów pobeethowskich Mendelсона Bartoldi, który, jak się Gete wyraża, w szczęśliwej urodził się godzinie — i którego imie Feliks, już szczęście oznacza. Będąc synem zamożnych, wielce ukształconych rodziców, a wnukiem meża, który jaśniał w piśmiennictwie niemieckiego narodu, od dzieciństwa znajdował się on w stosunkach przyjaznych rozwojowi jego wrodzonych zdolności do muzyki; temu to więc położeniu z pewnością przypisać należy tę skończoność formy, tę w karby ujętą fantazyę, tę spokojną gorącość uczucia i to objawienie świata bogów przyrody, które go postawiły na czele nowej szkoły i zrobiły ulubieńcem wszystkich przyjaciół muzyki.

Szczęśny Mendelson ujrzał światło dnia 3 Lutego 1809 r. w Hamburgu, gdzie ojciec jego Abraham, syn wielkiego filozofa Mojżesza, poważanym był bankierem. W tym samym domu za kościołem S-go Michała, którego jeszcze wielki pożar nie zniszczył, urodził się w rok potem wierny Mendelsona przyjaciel i współtowarzysz w zawodzie sztuki, sławny skrzypek Ferdynand Dawid. Feliks był drugim z czworga rodzeństwa, z których równa mu co do zdolności muzycznych, ulubiona siostra jego Fanny, była najstarsza. Dwoje młodszych mieli imiona Pawła i Rebekki. Jego matka z domu Bartoldi kobieta znakomitem obdarzona umysłem, oddawała

się w zupełności rozkoszom sztuki i literatury, nie zbacząc bynajmniej z drogi przeznaczonej kobiecie i owszém chwałą ją jako niepospolitą gospodynię domu, której ręce w nieprzerwanym były ruchu. Skromna i łagodna, pełna serca i miłości, posiadała tę gładkość i szlachetność w obejściu, bystrość w pomysłach i wiadomościach, które jęj, matce genialnego człowieka, dawały możność ogrzewania i oświecania sfery w której się urodził i wychowywał Feliks. Jego ojciec również był człowiekiem, który wzniosłszy się nad powszednie sprawy i zyski swego stanu, starał się utrzymać w dziedzictwie po ojcu zostawione mu duchowe szlachectwo wyższego ukształcenia w niezachwianym blasku. Nie tylko w Hamburgu, ale nawet w Berlinie, kiedy we trzy lata po urodzeniu Feliksa przeniósł się był do tęg podówczas duchowo-zimnej i w cynizmie pogrążonej stolicy, dom jego stanowił przybytek sztuk i literatury; a w dalszym ciągu przekonamy się z dziennika Moschelesa, jakiego rodzaju opieki doznawała muzyka, którą dom ten przed innemi w Berlinie się odznaczał.

Nie powinno zatem zastanawiać, że talent muzyczny, który Feliks zarówno ze swą siostrą posiadał, tak wczesnie się u obojga rozwinął i do tak zadziwiającej jedności i siły w wykonaniu doszedł. W dziewiątym roku życia swego już grał na fortepianie z dziwną biegłością, posiadając również wczesnie bystry wzrok ostrowidza w grze partyturowej, gdyż, jak mówi Zelter, w partyturze pysznego koncertu Sebastjana Bacha odkrył sześć kwint jedna po drugiej, którychby on (Zelter) nigdy może nie był wynalazł; słuch zaś miał tak czuły, że wpośród muzyki choćby z największej masy tonów składającej się, był w stanie rozeznąć najmniejsze uchybienie instrumentu lub zboczenie głosu ludzkiego. Wielkiem szczęściem dlań było, że dwaj znakomiti nauczyciele berlińscy, mogli kierować jego wykształceniem. Gdy mu matka zaszczerpiła pierwsze zasady wstępne w muzyce, dała mu za nauczyciela Ludwika Cerger do fortepianu,

Zeltera zaś przyjaciela Getego, do nauki harmonii. Pierwszy z nich, uczeń Clementego, nie tylko był znakomitym fortepianistą i sumiennym nauczycielem, ale zarazem i niepoślednim kompozytorem na swój instrument tak dalece, że jego dzieła bynajmniej nie zasługują na zapomnienie, o jakie je nowa szkoła wirtuozów Talberga i Liszta przyprawiła i owszém każdemu uczącemu się na fortepianie, któremu chodzi o grę jasną, czystą, i wyrazistą, mogą Bergera *etudy, sonaty, toccata i rondo* (mianowicie *alla turca*), które wszystkie wyszły w odbiciu, nie małe oddać usługi.

Jemu-to zawdzięcza Mendelson swoją grę jasną, silną a niemniej przeto szybką, która go jako dzielnego fortepianistę i organistę odznaczała; że zaś od początku starał sobie przyswoić Bergera styl udatny, tego dowodzą trzy pierwsze jego kwartety na fortepian i rznięte instrumenta. (op. 1—3) i jego „siedm charakterystycznych kompozycji“ (Charakterstücke), które niestety za mało są znane, gdyż w porównaniu z jego pieśniami bez słów, uszom nawykłym do nowożytniej muzyki mogą się wydawać suchemi; a szczególnej jego pierwsza sonata na fortepian (op. 6), w której okazał się cały przyszły Mendelson z proroczym świadectwem swego twórczego geniuszu. Niestety praca ta, którąby nazwać można prologiem do muzycznych utworów Mendelsona, jeżeli nie mniej, to równie mało jest znaną jak jego charakterystyczne kompozycje, pomimo, że dla jej wielkich zalet, można ją uważać za klejnot muzyki fortepianowej.

Nie mniej zbawienną była nauka harmonii, którą od Zeltera pobierał, który pomimo, że długi czas był tylko dylettantem, początkowo będąc majstrem murarskim, jednakowoż był artystą natury jędrnej i treściwej, który z żelazną wytrwałością zgłębił tajniki umiejętności i trafnie uchwycił poezją sztuki. W swojej korespondencji z Getem okazuje się człowiekiem wielce genialnym, któremu się powiodło tak uniwersalnego geniusza, swojemi poglądami na sztukę zadziwić i którego nieskończoną jest zasługą, że przewodnicząc akademii śpiewu, zaszczerpił w berlińczykach chęć i zamiłowanie do prawdziwej muzyki. On to również może być uważanym za ojca kwitnącego dziś stowarzyszenia śpiewu męskiego, gdyż zawiązał pierwszy kółko pieśniarskie w Berlinie.

Zelter wcześniej ocenił umysłowe zdolności młodego swego ucznia i aby poskromić i ukształcić wybujałą jego fantazyą, rychło wtajemniczał go

przedewszystkiem w fugę i wpajał w niego zamiłowanie do stariej kościelnej muzyki i olbrzymich utworów choralnych Hendla i Bacha, czego owocem było, że późniejszy autor „Pawła” i „Eljasza” stanął na czele kompozytorów oratorij nowszych czasów.

Zelter z rozkoszą w listach swoich do Getego zdawał mu sumiennie sprawę z postępów młodego swego ulubieńca, co miało ten zbawienny dla jego duchowego rozwoju skutek, że się Gete żywo nim zajął i wkrótce z nim listownie zawarł znajomość. Żałować jednak wypada, że listy pomiędzy nimi zamienione, dotychczas nie zostały ogłoszone drukiem i musimy się ograniczyć na urywkowym przedłożeniu rozwoju przyjacielskich stosunków tych dwóch znakomych ludzi jak nam się z listów Getego i Zeltara przedstawiają.

Oto są słowa Zeltera o postępach najlepszego jego ucznia: „na fortepianie gra jak djabeł” albo „Feliks zawsze dotąd przodkuje.” Wreszcie w jesieni 1821 r. w tych wyrazach oznajmia poecie, że go wraz z swym uczniem odwiedzi: „mojej Dorydzie i memu najlepszemu uczniowi muszę pokazać twoje oblicze zanim się z tym światem rozstanę.” W listopadzie tego samego roku pierwszy raz odwiedził Mendelson Getego. W kilka miesięcy potem pisał Gete d. 5 Lutego 1827 r. „Feliksa pozdrów także odemnie. Od jego wyjazdu mój fortepian: oniemiał, bo daremnie kuśiem się, by go do życia pobudzić.”

Wreszcie zaczął Mendelson próbować sił swoich w pieśniach. Dwa zbiory (op. 8 i 9) składające się każdy z dwunastu śpiewów na jeden głos, świadczą o jego zdolności i pod tym względem, a widać w nich ukochanie głosów przyrody, które się we wszystkich jego utworach dadzą dośledzić. Wskazują to już tytuły tych pieśni, jako: „pieśń miłośna w Maju,” „tęsknota za krajem,” „pośród zieleni i t. d.” Drugi zbiór składa się z dwóch poszytów, z których jeden nosi napis: „Młodzieniec,” drugi zaś „dziewica.” Jestto rzeczby można mały romans opowiedziany w muzyce, tchnącej gorącym, niemieckiego młodzieńca uczuciem, który w cztertnastym roku życia swego tak pięknie oddał pierwsze objawy rodzącej się miłości!

Młody Feliks nie poprzestawał na tém i sięgnął jeszcze wyżej zebrawszy się do napisania trzech operetek, które trącąc naturalnie szkolarstwem, nigdy nie były wydane. Atoli w piętnastym roku wykończył dwu-aktową operę komiczną „wesele *Gamasza*,” która przyjęta dobrze w Berlinie, wyszła

w całości z akompaniamentem fortepiano wym przez samego autora ułożonym. O tém dziele pisze Zelter do Getego d. 8 Lutego 1824 roku co następuje: „Wczoraj wieczór przedstawiono u nas całkowitą Feliksa operę wraz z dyalogami i znalazła bardzo piękne przyjęcie. Z mojej strony nie mogę przyjść do siebie z zadziwienia, jakim sposobem chłopiec ten, który zaledwie piętnaście lat skończył, tak wielkie robi postępy. Wszędzie znajdziesz rzeczy nowe, piękne i niezaprzeczenie własne a przytém pełne ducha, płynności, spokoju, harmonii, wykończenia i dramatyczności, jakby to było dzieło doświadczonój ręki. Instrumentacya zajmująca, ale nie ciężka i męcząca; pomimo tego jednak nie jest jedynie akompaniamentem — dodatkiem. Muzycy wykonują ją z przyjemnością, chociaż nie jest łatwą. Rzeczy znane przychodzą i mijają, nie jako wyjątek jakiś, ale pożądane i na swoim miejscu. Swoboda, radość nie bez miary, słodycz, ozdobność, miłość, namiętność, niewinność, masz tam to wszystko. Uwertura jest oryginalna. Wystaw sobie malarza, który rzuciwszy na płótno bezkształtną masę farby, takową dopóty rozprowadza pędzlem aż z niej powstanie grupa, tak, że z zadziwieniem oglądasz się, ciągle za czemś, co, jako prawda, stać się musi. Bez wątpienia mówię tu jak dziadek o swoim wnuku, ale wiem, że cokolwiek mówię jestem w stanie dowieść. Najprzód tém że zyskał uznanie ze strony ogółu, co można najprędzej wymiarkować z orkiestry i śpiewaków, uważając na nich, co im porusza palce i gardła, czy ozebłość i niechęć, czyli téż miłość i przychylność.

Lubią oni, żeby dzieło, które wykonują było tak napisane, aby im się ich praca powiodła i aby sami używając rozkoszy i drugim mogli ją udzielić. To dużo znaczy.

Postępy jego w kompozycyi i grze fortepiano-wój tém więcéj zadziwiają, gdy zważymy, że i na polu nauk humanistycznych nie zasypiał sprawy. Abraham Mendelson wszelkich dokładał starań, aby syn jego klassyczne odebrał wychowanie. Trzymał mu nauczyciela domowego filologa, pod którego kierunkiem Feliks łacinie i greczyźnie oddawał się z zamiłowaniem, które go przez całe życie z pisarzami i poetami starożytnymi wiązało. W roku 1822 przetłumaczył Terencyusza „Andria, którą Getemu przypisał. Gete wyraził się z wielkimi pochwałami o téj pracy. Mówiąc o jego muzyce do Antygony, zobaczymy z jak dokładną

znajomością przelał starożytnego ducha w nowożytną muzykę. Przy tém wszystkim niezaniebawiał także kształcić swego ciała; jeszcze chłopcem będąc był zręcznym gimnastykiem, dobrze pływał i ćwiczył się pilnie w szermierstwie i konnej jeździe.

To wszechstronne kształcenie ducha i ciała, uważał jego ojciec za tém konieczniejsze, ile że długi czas nie mógł przemódz na sobie, by go wyłącznie na muzyka kierować. Pozwalał na muzykę jako szlachetną rozrywkę umysłową; pochlebiało mu, że dwoje jego starszych dzieci, jako dyletanci, tak wzniosłe w świecie artystycznym zajmują stanowisko; ale jednakowoż uważał, jak się zdaje za rzecz trudną do pogodzenia z godnością i świetnością swego domu, aby wnuk Mojżesza Mendelzona został muzykiem z powołania! Dopiero kiedy powodzenie jakie znalazło „wesele Gamasza,” dało mu nadzieję, że syn, jako kompozytor, sławę rodu jego i na pole sztuki przeniesie, pogodził się z tą myślą, że sobie ten zawód obierze. Niedowierzając atoli pochwałam przyjaciół i nauczycieli syna, szukał zapewnienia ze strony bezstronnego sędziego. Dla tego pojechał z nim w następnym roku (1825) do Paryża i przedstawił go Cherubiniemu z prośbą, aby zbadawszy rzecz sumiennie, rzekł, czy syn jego w istocie stanowczo ma do muzyki zdolności, by warto było w tym kierunku je kształcić? Feliks zagrał swój kwartet na fortepian H-moll (op. 3) i Baikot podjął się wykonania partyi skrzypcowej. Bezwątpienia musiał mu także zagrać swoje kompozycje charakterystyczne i E-dur Sonatę, bo opierając się na samym kwartecie, który jeszcze za nadto nosił na sobie ślady młodzieńczego utworu, Cherubini z trudnością mógłby stanowczo przychylnie się wyrazić. Świadectwo tego mistrza rozstrzygło o losie Feliksa i Cherubini dożył jeszcze (umarł r. 1842), że młodzieniec examinowany przez niego, zajaśniał na widnokręgu sztuki, w chwili, kiedy jego własna gwiazda z niego schodziła.

W powrocie z Paryża odwiedził ojciec z Feliksem Getego, który z jego domem teraz już w ścisłych przyjaźni stał stosunkach. O tych odwiedzinach pisał Gete do Zeltera nader pochlebnie wyrażając się o najnowszych młodego kompozytora utworach.

Największy wpływ na artystyczne wykształcenie Mendelzona wywarł Moscheles, bawiący podówczas w Berlinie, którego został uczniem. Biograf

Mendelсона o tym wpływie trafnie się wyraża mówiąc: „Ludwik Berger młode to drzewo zasiał, Zelter ziemię koło niego okopał i uprawił, a nawet można powiedzieć był on tym wichrem, który wstrząsając niem potężnie, zmusił je do tém mocniejszego uzasadnienia się, do coraz silniejszego zapuszczania korzeni. Ale nie stało jeszcze ogrodnika, któryby starannie koło drzewa chodził i ochraniał przed sronem i mrozem wąły kwiat jego aby pierwsze owoce świata zaniósł w dani.”

Sam Moscheles o swoim nauczycielskim do Mendelсона stosunku tak mówi w dzienniku własnym:

„W jesieni roku 1821 dawałem w Berlinie pierwsze moje koncerty. Zaznajomiłem się i przyjaźniłem z domem Mendelsonów. W codziennych moich odwiedzinach poznałem i pokochałem Feliksa, cudowne dziecko. Jego młodzieńcze prace już wtenczas dawały mi dostateczną rękojmię świetnej jego przyszłości. Rodzice F. M. kilkakrotnie mnie prosili, żebym mu dawał lekcye na fortepianie, ale pomimo że jego dawny nauczyciel Lud. Berger na to się zgadzał, wahałem się kipiącemu temu geniuszowi wskazywać kierunek, któryby go mógł odwieść z drogi, na którą go boskie objawienie wprowadziło. Jednakowoż usilnym naleganiem ustępując zgodziłem się na udzielanie mu nauki. Wtenczas już grał wszystko to co byłem w stanie wykonać, i każde skinienie moje rozumiał z szybkością błyskawicy. Mój Koncert Es-dur grał prima-vista prawie bez przygotowania, szczególnie zaś lubił i pięknie oddawał moją Sonatę melancholiczną.

Ta ostatnia kompozycja jest, nawiasem mówiąc, jednym z piękniejszych, wydatniejszych i oryginalniejszych utworów autora, który niestety! może za nadto często hołdował goniącemu za nowością smakowi swego wieku.

Kto ją pierwszy raz słyszy mógłby przysiąc, że to jest kompozycja Mendelсона, tak zapładniająco na tego ostatniego wpłynęło to, pełne słodyczy i rzewnego wzruszenia, ale zarazem wzniosłe pełną nadziei siłą, dzieło. Zwracamy uwagę naszych czytelników i czytelniczek na tę, bynajmniej technicznymi trudnościami nie przeładowaną, sonatę; bo sobie za zadanie położyliśmy, w ciągu tego życiorysu, naszemu kółku czytelników zapoznanie się z mniej znanymi kompozycjami Mendelсона ułatwić.

Następujące wyciągi z dziennika Moschelesa dają pogląd na cały sposób traktowania i pojmo-

nia muzyki w domu rodziców Mendelсона. W dniu 14 Listopada 1824 r. obchodzono urodziny Fanny. Grano przy téj sposobności Feliksa symfonie zdaje się, że z E-moll op. 11). On grał Mozarta koncert z C-moll, a razem ze siostrą skomponowany przez siebie.

Koncert z E-dur Obecni byli: Zelter i wielu członków niemieckiej kapeli.

W tym samym miesiącu, 28 w niedzielę rano, było znowu zgromadzenie muzyków w domu Mendelsonów, gdzie grano symfonią Feliksa z D-dur. On sam grał swój kwartet na fortepian z C-moll, siostra zaś jego Fanny koncert Sebastjana Bacha. W dniu 3 Grudnia tamże obchodzono rocznicę śmierci Mazarta i wykonano tegoż Rekwiem. Wreszcie znowu, d. 12 Grudnia był u nich poranek muzyczny na którym Feliks swój kwartet z D? moll, a później z Moschelesem na cztery ręce tego ostatniego kawałek pod nazwą „hommage á Itaendel“ odegrał.

Płodność Mendelсона w latach 1825 i 1826 jest prawdziwie podziwienia godną. Po swojej operze napisał następujące dzieła: Op. 11. Pierwsza symfonia. E-mou.

Op. 12. Pierwszy kwartet na rżnięte instrumenta Es-dur

Op. 13. Drugi takiż sam kwartet A-dur.

Op. 14. Rondo Capricioso na fortepian; kompozycja znana i zawsze lubiona.

Op. 15 Fantazja na pieśń irlandzką:

Ostatnia róża — mniej znaną i nie tak brawurową, jak Mochelesa fantazja na ten sam temat.

Op. 16. Trzy fantazje czyli Capricia, A-moll, G-dur i E-dur.

Op. 17. Variations concertantes.

Op. 18. Pierwszy kwintet — A-dur.

Op. 19. Sześć pieśni.

Op. 19 b. Pierwszy zeszyt pieśni bez słów.

Op. 20. Oktet na rżnięte instrumenta.

Op. 21. Pierwsza koncertowa uwertura do Szekspira „Snu Letniego.“

Tę kompozycją, która dopiero imię jego prawdziwie wsławiła jako nacechowana właściwym mu eteryczno-idealnym duchem, a dająca zawsze rozkosz lubownikom muzyki; tę kompozycję zagrał, ułożywszy ją na fortepian, na cztery ręce ze swoją siostrą Moschelesowi: są listy 1826 r., które przyznał, że utwór ten siedemnasto-letniego młodzieńca, jako tworzący nową szkołę, przeszedł wszystko cokolwiek on sam był napisał. Odtąd

stosunek nauczyciela zamienił się na przyjaźń i ktokolwiek miał sposobność spotkać tych mistrzów razem w Londynie i słyszał ich nazywających się po imieniu, mógł się przekonać, że ani zawiść ani wyższość talentu, ani odmienny kierunek ich twórczości nie były w stanie tych węzłów nietylko zniweczyć ale nawet osłabić.

Do roku 1830 w którym zaczął pisać listy swoje z podróży teraz ogłoszone drukiem, skąpe mamy wiadomości o stosunkach Mendelсона. Wiemy tylko, że w r. 1827 udał się na uniwersytet berliński, gdzie się głównie umiejętnościom humanistycznym poświęcił. Między innemi słuchał także wykładów Hegla, którego słowa, pisze Zelter, gdy o muzyce mówił, zręcznie chwycił i z wszystkimi właściwościami tego filozofa, trafnie i zabawnie naśladował. Przed takim słuchaczem, estetyk niebędący sam muzykiem, powinien się być bardzo mieć na baczności; w ogólności bowiem łatwiej jest, o sztukach plastycznych i poezji, aniżeli o muzyce mieć odczyty. Znając Hegla oderwane zapatrywanie się, jego dumę i chęć narzucenia swęj powagi, a przytęm zważywszy jak wszystkie zjawiska starał się wcisnąć w ciasne ramki swego zawikłanego systematu; można sobie wystawić, ile zdanie jego dawało przedmiotu do żartu, tak bystremu słuchaczowi jak Mendelson.

W tym samym roku 16 Lutego pojechał do Szczecina, wezwany aby tamże doprowadził do skutku przedstawienie najnowszych dzieł swoich. Jak wielką była już wtedy jego zdolność do dyrygowania, którą się później w Dysseldorfie, Lipsku i Anglii tak świetnie odznaczył, dowodzi ta okoliczność, że w dwudziestym roku życia był w stanie dyrygować w berlińskiej akademii śpiewu, wielkiem oratorium passyjnem Bacha, które tyle potu wycisnęło niejednemu dyrygującemu.

Tymczasem przeniósł się był Moscheles do Londynu; a że się zbliżał czas, w którym Mendelson miał podróżować, udał się więc najpierw do swego przyjaciela i nauczyciela do Anglii. Na dniu 26 Marca 1829 r. pisał Mendelson z Berlina do Moschelesa donosząc mu o wykonanem przez siebie Bacha oratorium passyjnem i oznajmiając mu blizki swój wyjazd; 20 zaś Kwietnia stanął sam szczęśliwie w Londynie. Moscheles na przyjęcie Mendelсона przygotował wszystko ze strony artystów londyńskich. Na koncercie filharmonicznym uwertura do Śnu Letniego sprawiła wielkie wrażenie. Cały Londyn zachwycał się młodym kompo-

zytorem. Na koncercie danym przez Henriette Sonntag na korzyść Szląska, któren ucierpiał od wylewu, grał Mendelson z Moschelesem swój koncert z E-dur na dwa fortepiany; a uwertura do Śnu Letniego po raz wtóry z wielkimi oklaskami była przyjęta.

Po uwerturze do Śnu letniego napisał był Mendelson przed swoim wyjazdem do Londynu następujące dzieła:

Op. 22. Capricio brillant H-moll.

Op. 23. Trzy muzyki kościelne na chór i pojedyncze głosy z towarzyszeniem organów.

Op. 24. Uwertura E-dur.

Op. 25. Pierwszy koncert na fortepian G-moll jedno z dzieł jego najpiękniejszych i najbardziej lubionych.

Z Londynu zrobił Mendelson wycieczkę do Szkocji. Jakie wrażenie zrobił na niego romantyczny ten kraj, okazują następujące dwa dzieła jego.

Op. 26. Druga uwertura koncertowa — H-moll pod tytułem: Hebrydy czyli grota Fingala.

O tej charakterystycznej kompozycji opowiadają następującą anegdotę. Za powrotem jego ze Szkocji prosiły go siostry, aby im co o tym kraju powiedział, a mianowicie o grocie Fingala opowiedział. „To nie da się wypowiedzieć, odrzekł, chyba wygrać.“ Siadł więc do fortepianu i zagrał temat, który później w czasie pobytu we Włoszech w uwerturze rozwinął.

Op. 27. Trzecia uwertura koncertowa. Cisza morska i szczęśliwa podróż.

Tę poezją Getego już był kiedyś Bethowen odtworzył w dziele choralnem z towarzyszeniem orkiestry, które przypisał nieśmiertelnemu jej autorowi. Muzyka ta naśladuje zdradliwą ciszę morską; dopiero przy słowach; „w niezmiernęj przestrzeni“ cała orkiestra wybucha krzykiem zgrozy i przestrachu i wraca potem znowu do poprzedniej ciszy. W utworze Mendelсона orkiestra maluje niepokój w czasie ciszy morskiej, radość z powodu pierwszego podmuchu wiatru, sygnalizowanie okrętu i jego ucieczkę do portu, ale jest to muzyka nie tak głucha jak u Bethovena: przeciwnie zdaje się, że widzisz płaszczyznę morza, słyszysz łagodne wznośnienie się bałwanów, które znowu spokojnie, bez burzenia się, o brzegi uderzają.

Ten nowy rodzaj malowania w muzyce głosów podsłuchanych u przyrody, postawił go na czele szkoły, w której chyba jeden Gade i Stendale Bennet się odznaczyli, gdy wielu innych wpadło w wy-

manizowanie mendelsońskie, nie umiając się ożywić jego duchem.

Należy się spodziewać, że niedługo będą ogłoszone drukiem jego listy, które z pierwszej swojej podróży po Anglii i Szkocji do domu pisywał. Na teraz wiemy z jego pobytu w Londynie w r. 1829 tyle tylko jeszcze, że na przejażdżce z jednym z swoich przyjaciół Anglikiem miał wypadek, iż go wywrócono, przyczem sobie lekko kolano uszkodził. Gdy Zelter Getemu o tém zdarzeniu doniósł ten mu odpisał z wielkim współczuciem: „Teraz chciałbym się dowiedzieć czy o drogim Feliksie nadeszły jakie dobre wiadomości.

Wielce on mnie obchodzi; bo byłoby nader przestraszającym, żeby tak szkaradny wypadek miał zagrozić przerwaniem człowiekowi działalności ciągle wzrastającej, z którego tyle się wyrobiło. Donieś mi jaką pocieszającą nowinę.“

Jeszcze w tym samym roku powrócił Mendelson do Berlina, a w Maju 1830 r. znowu się udał na drugą wycieczkę.

Tą razą zdążył ku celowi wspólnemu wszystkim artystom, do wiecznie młodej kolebki sztuki — Hali. Tam udamy się za nim trzymając się jego listów z podróży.

Miesiące, Kwiecień i Maj spędził Mendelson w Neapolu, robiąc ztamtąd wycieczki w okolice. Gdyby nie to, że ojciec sobie tego nie życzył byłby zwiedził i Sycylię; z przykrością więc, ale musiał ten plan zaniechać. W Neapolu poznał się z Donizettim, Benedictem i sławną śpiewaczką panią Fiedor. „Swoim śpiewem” pisze o niej „zrobiła mi wiele przyjemności“ bo ma łatwość i giętkość głosu nie do uwierzenia, a fioritury jej są tak pełne smaku, że widoczną jest rzeczą, że sobie od niej pani Sonntag wiele przyswoiła, mianowicie zaś śpiew półgłosem (*mezza voce*), którego pani Fiedor nie mając już całkiem świeżego i pełnego głosu, zręcznie w wielu razach umie użyć.” Nad tamtejszą operą gorzkie rozwodzi żale; „to co tam słyszałem nie warte było zachodu i drogi. Orkiestra taka jak w Rzymie, to jest gorsza jak każda niemiecka, ani jednej znośnej śpiewaczki (bo Fiedor wtenczas już nie śpiewała na scenie), Tamburini tylko jeden świeższym swoim basem ożywił nieco całość. Chcąc słyszeć włoską operę, trzeba jechać do Paryża lub Londynu. Proszę Boga, by się tak samo nie stało i z niemiecką muzyką.“

Do komponowania w tym czasie mało się zabierał, jednakowoż pracował nad swoją muzyką do

„Nocy na łysiej górze“ (Walpurgisnacht) i nad swoją symfonią włoską. Zresztą żalił się ciągle, że Włochy dziedzina sztuk, nie wywierają na jego studia muzyczne żadnego wpływu. I tak pisze z Neapolu d. 17 Maja: „Czas, który mi jeszcze dla Włoch pozostaje, mogę dalej poświęcić nad niebem, nie zajmując się czém inném, używaniu przyrody i błękitnego nieba. W nich tylko teraz jest sztuka Włoch, w nich i w pomocnikach; ale pozostanie ona w nich wiecznie i taki człowiek jak ja znajdzie w nich przedmioty podziwu i nauki, dopóki trwa Wezuwiusz i dopóki łagodne powietrze, morze i drzewa nie przeminą. Pomimo tego jako zabity muzyk, tęsknię za orkiestrą lub pełnym chórem. I w nich jest dźwięk, którego tutaj nie ma; stały one się teraz naszą własnością i jeżeli się musiało długo żyć bez tego żywiołu, to człowiekowi wielki brak czuć się daje. Orkiestra i chór są tu takie, jak u nas w podrzędnej mieścinie, tylko jeszcze niewprawniejsze i surowsze. Pierwszy skrzypek wybija tutaj przez cały przeciąg opery, cztery czwarte taktu o blaszany lichtarz, tak dalece, że go czasem lepiej słyszysz jak głosy, a pomimo tego orkiestra i głosy nigdy nie idą w parze. Przy najmniejszym solu, którego instrumenta, występują staroświeckie ozdóbki a szczególnie ton niestosowny. Całość zaś nie ma najmniejszego ducha, ognia i powietrza.“

Nie przestawał Mendelson jedynie z muzykami; gdyż spotykamy go także w towarzystwie dyseldorfskich artystów jako: G. Schadow, Ed. Bendemann. T. Hindebrant i jego syn Karol, z którymi zrobiona tu znajomość sprawiła, że się później do Dyseldorfa przeniósł. Hrabia Pleten przeciwnie wcale mu nie przypadł do smaku i o tym tak się wyraża: jest to zwiędły, ochrypły, trzydziestopięcioletni starzec o złotych okularach; nabawił mnie strachu. Grecy inaczey wyglądają! Niemcom strasznie łaje, zapominając, że sam postępuje w tém kierunku.

W początku Lipca wrócił do Rzymu, gdzie mu było przyjemniej, jak w Neapolu. Ciekawém jest jego dwóch tych miast porównanie.

I tak pisze do rodziców d. 6 Lipca z Rzymu: „przyszedł wreszcie znowu czas, że wam mogę napisać list porządny i rozsądny; zdaje mi się bowiem, że te które z Neapolu wam pisałem nie wiele były warte. Jest tam coś w powietrzu, co nie da człowiekowi rozmyślać; przynajmniej mnie bardzo rzadko się powiodło, zebrać myśli. Teraz zale-

dwie jestem kilka godzin tutaj, a już dawna rzymska swobodność i wesoła powaga, mnie ogarnęły. Nie mogę wysławić ile Rzym jest jednostajny, bez barwny, smutny i odludny i słusznie; bo Neapol mający więcej życia i różnorodności, wygląda więcej na wielkie europejskie kosmopolityczne miasto. Wyznam wam jednak poufnie, że zwolna coraz bardziej nienawidzę kosmopolityzmu; nie lubię go tak jak nieznoszę w ogóle wielostronności, a raczej w nią nie wierzę. Co ma być oryginalnym wielkim i pięknym, powinno być jednostronnym, jeżeli tylko ta jedna strona do największej doskonałości jest doprowadzoną, a tego nikt Rzymowi nie może zaprzeczyć. Neapol wydaje mi się za małym, aby jako wielkie miasto miał mieć odrobną cechę. Całe życie i ruch jego ograniczają się na dwie wielkie ulice: Toledo i wybrzeże od portu do Chiaja. Neapol nie przedstawia mi środkowego punktu wielkiego narodu, jak to dziwnie piękne widzimy w Londynie, dla tego właśnie, że tego narodu, nie ma; bo rybaków i lazaronów nie można nazwać narodem. Sa oni raczej dzikimi ludźmi, którym punktem środkowym nie jest Neapol, ale morze. Małą zaś tylko liczbę znajdziesz ludzi, którzyby mając ciągle zatrudnienie, lubili pracę dla samej pracy. Gete mówi, że niedolą północnych stron jest niestająca chęć robienia czegoś i przyznaje słuszność Włochowi, który mu radzi, by nie myślał tyle, gdyż to nabawia tylko bólu głowy. Dla tego Donizetti w dziesięciu dniach sporządza operę. Tak malują ich malarze do niewierzenia lichy obraz, stojące jeszcze o wiele niżej od muzyki. Tak ich budowniczy wnoszą gmachy bez najmniejszego smaku. Ale to wszystko jedno; obrazy są pstre, muzyka robi hałas, a gmachy cień rzucają — więcej nie wymaga magnat neapolitański. W miarę jak moje ciało ten sam stan owładał, jak mnie wszystko właściwie do lenistwa, przechadzek i snu pędziło i jak sobie w duchu mówiłem, że to źle, na próżno jednak usiłując czémś zająć się i zatrudnić powstawało we mnie niezadowolenie i niesmak, których uniknąć mogłem jedynie wałęsając się po górach, gdzie znowu prawie zanadto, bo bosko jest pięknie.

W Rzymie czuł się Mendelson bardziej w swoim żywiole, obcując ciągle z Bunsentem, Corneliuszem, Kochem, Overbeckiem, Thorwaldsenem i Horacym Vernetem. Thorwaldsen szczególnie lubił muzykę i Felix często mu grywał rano, przy pracy. „Ma on u siebie“ pisze Mendelson „wcale

dobry fortepian, a przytém kiedy widzę jak ten starzec zarobiwszy glinę, ramię albo draperyą delikatnie wygląda, słowem jak tworzy rzecz, którą później wszyscy jako skończoną i trwałą muszą podziwiać, wtedy niewymownie mnie ucieszy ta myśl, że mu mogę jakąkolwiek przyjemność zgotować.“ Kiedy Mendelson pierwszy raz grał u Horacego Vernetta i fantazyował na temat z Don Juana, którego malarz ten bardzo lubił, rzekł tenże do niego, że i on także umie improwizować i że się muszą mieniać.

Zrobił więc natychmiast szkic portretu Felixa, który rozwinął w piękny obraz, nie będący wcale tylko improwizacją.

Jego bytowi w Rzymie zawdzięczamy także jego trzy Motetty na głosy kobiece z towarzyszeniem organów, które później jako Op. 39 zostały ogłoszone. Okoliczność która go do tego spowodowała opisuje w następujący sposób: „Kiedy się zbliża Ave Maria, idzie się do kościoła „Trinità de Montii;—tam śpiewają zakonnice francuzkie cudnie i uroczo. Mrok zapadł; cały mały kościół różnobarwny, napełniony tłumem klęczącego ludu, oświecanego za każdym drzwiami otwarciem; promieniami zachodzącego słońca, obie zakonnice mają najśłodsze w świecie głosy, wruszające i dźwięczne; szczególnie zaś, kiedy jedna z nich łagodnym głosem śpiewa responsorium, któreśmy przywykli słyszeć wykonane przez księży tak twardo, ostro i jednostajnie; wtedy dziwnie się człowiekowi robi. Przytém wie się, że śpiewaczek nie wolno oglądać; padłem więc na szczególną myśl! napiszę co na ich głosy, które dokładnie zauważyłem i prześlę im, mając do tego liczne drogi i sposoby. Wtedy one to zaspiewają, jestem tego pewnym, a jakżeż to będzie pięknie słyszeć swoje dzieło odśpiewane przez osoby, których nigdy się nie widziało. Nie mało się na to cieszę. Zdaje się jednak, że ta radość go nie spotkała; przynajmniej nie znajdujemy w jego listach wzmianki, aby zakonnice odśpiewały były jego motetty. W Niemczech i w Anglii atoli melodie uważane są jako perły protestanckiego śpiewu kościelnego i równie służą ku zbudowaniu pobożnych gmin, jak motetty Sebastjana Bacha i Jana-Leona Haslera, w których duchu są napisane. Czuje się całą prawdę jego słów. Kiedy odpisuje bawiącej w Wiedniu baronowej Pereira, wzywającej go do napisania Przeglądu wojsk Zedlitz: „Zanadto z poważnej strony zapatruje się na muzykę i uważam za rzecz niedozwoloną napi-

sać poemat opisany. Wielka ilość utworów tego rodzaju nie świadczy przeciw mnie ale za mną; bo nie znam ani jednego między niemi, któryby się był udał. Trzeba się tu postawić między dramatycznością a zwykłym opowiadaniem: raz mając jak w Erlkönigu, szum łozy, krzyk dziecięcia i tentent kopyt końskich; drugi raz wystawiając barda, spokojnie, niby baśnie o strachach, opowiadającego pełne grozy zdarzeń. I ten to ostatni może najprawdziwszy, ale mimo tego mi nie odpowiada, bo muzyka mi przeszkadza. Mogłem być wprawdzie zrobić to opisowo, jak to zrobili Neukomm i Fischhof w Wiedniu; byłbym miał sposobność wpakować w basie oryginalny grzmot bębnow, w dyskańcie huk trąb wrzawę i t. p. okropności; ale na to za nadto kocham moje poważne tony, boby mi się to wydawało jak żart jakiś, albo jak te bohomy dla dzieci, między którymi znajdziesz domki z dachami ceglasto pomalowanemi, aby zaś dzieci zaraz domysliły się, że to mają być dachy.“

Téj zasadzie pozostał Mendelson zawsze wiernym; ztąd owa prawda i ten zapadł w jego utworach, nawet tam gdzie chce wywołać tylko zewnętrzny efekt, jak np. w jego Walpurgisnacht i Lotteley. Oby wszyscy początkujący muzycy wzięli sobie do serca słowa Mendelsona, które do Edwar-da Devrient jeszcze z Włoch pisze: „robisz mi wyrzuty, że jnż mam 22 lat, a jeszcze się nie wślawiłem; ja ci tylko tyle mogę na to odpowiedzieć, że gdyby Bóg chciał, żebym był sławnym w 22 roku to byłbym już nim prawdopodobnie; jam temu nie winien, bo piszę nie dla sławy, ani nie dla posady kapelmistrza. Pięknie by to było, gdyby i jedna i druga się znalazły; ale dopóki nie umieram z głodu, obowiązkiem moim jest pisać z serca i przekonania, a resztę zostawić temu, który o niezliczonych a większych rzeczach pamięta. O tém jedynie myślę coraz więcej i szczerzej, żeby tworzyć tak jak czuję, a coraz mniej baczyć na zewnętrzne pobudki: a jeżeli napiszę coś z serca i z uczucia, zrobiłem w tedy moją powinność i cóż mnie może obchodzić, czy mi to przyniesie sławę, zaszczyty, ordery lub tabakierki!“

Równie dobrze maluje jego pojęcie rzeczy, ustęp z listu pisanego w tym samym roku: „Kiedy odczytywałem Wilhelma Tella Szyllera, na nowo zachwycałem się tém niebiańskim arcydziełem, pełném zapachu natchnienia i ognia. Wtedy przyszły mi na myśl słowa Getego o Szylerze, które był wyrzekł w długiej ze mną o nim rozmowie: „Szy-

ler mógł rocznie *dostarczyć* dwie wielkie trajedye, nie rachując innych poezyi.“ To rzemieślnicze wyrażenie „*dostarczyć*“, tak mi w chwili kiedy czytałem to pełne świeżości i gorąca, dzieło, stało przed oczami i czynność tworzenia wydała mi się czemś tak olbrzymiem, że wydało mi się jakobym w życiu mojem jeszcze nie porządnego nie był zrobił. Wszystko zdaje mi się tak odosobnioném, sądzę, iż i na mnie przyjdzie kiedyś kolej coś *dostarczyć*.“

W Rzymie zabawił jeszcze tylko krótki czas. Po krótkim pobycie w Florencyi i Genuy, przybył do Medyolanu, gdzie poznał i polubił syna Mozarta, o którym tak pisze: „Pan Mozart jest urzędnikiem a właściwie muzykiem z serca i przekonania. Musi być podobnym do ojca, szczególnie co do wewnętrznego usposobienia; bo często usłyszysz od niego słowa, które cię rozczulały prostotą i otwartością listach jego ojca i dla których muszę go zaraz pokochać. Mendelson dobrze był widzianym w domu jenerała Erlmann gubernatora Medjolanu, którego żona znakomita fortepianistka, zawiązała była w Wiedniu ścisłą z Beethovnem przyjaźń i nawet od niego wielką sonatę A-dur Op. 101 w dedykacyi otrzymała. „Przyjęła mnie po przyjacielsku“ pisze z Medyolanu d. 14 Lipca „grała mi zaraz sonatę Cis-moll i D-moll Beethovena. Jenerał, stary człowiek, uszczęśliwiony płakał z radości, gdyż oddawna nie słyszał był żony swojej grającej; bo jak mówią, nie ma w Medyolanie ani jednej duszy, któraby podobne rzeczy chętnie słuchała. Potém opowiadał najzabawniejsze rzeczy o Beethovenie; jak raz wieczór, gdy mu grała, użył szczypców zamiast piórka do zębów i t. d. Opowiadała, że kiedy straciła ostatnie dziecko, Beethoven nie mógł przemódz na sobie, aby ją odwiedzić; wreszcie zaprosił ją do siebie, zastała go siedzącego przy fortepianie. Będziemy tylko tonami ze sobą rozmawiać; rzekł do niej i grał jój przeszło godzinę, i jak się wyrażała jenerałowa, powiedział jój wszystko i natchnął wreszcie otuchą. Słowem, znowu mi jest miło na sercu i dobrze, ile że niepotrzebuję politykować ani milczeć, bo się we wszystkiém nasze zdania zgadzają.“

Z Medyolanu udał się pieszo przez Szwajcaryą, ale niestety trafił na ustawiczną prawie słotę, rok bowiem 1831 pamiętny jest ulewami i klęskami. Budującą jest równość humoru, jaką tchną jego listy. Kilka szkiców jego ręki, świadczą o jego zdolnościach do rysunku.

Z Szwajcarii pojechał do Monachium, gdzie 17 Października dał koncert na ubogich, na którym grał swoją symfonią E-moll, Sen nocyletniej, a wreszcie po raz pierwszy dał publiczności poznać swój koncert na fortepian do Gis-moll napisany. Po długiej przerwie znowu dyrygował pełną dobrą orkiestrą o 32 skrzypcach, 6 kontrabasach, dętymi instrumentami. Na koniec musiał fantazjować; na temat *non più andrai*, który mu król Ludwik podał. Chociaż mu bardzo przyklaskiwano, pisze jednak: „utwierdziłem się w moim przekonaniu, że głupstwem jest publicznie improwizować. Dziwne uczucie mnie opanowało, kiedy usiadłszy, musiałem przed publicznością popisywać się z moją fantazyą. Nigdy tego już publicznie się nie podejmę; jest to bowiem nadużyciem i głupstwem zarazem..”

W Monachium otrzymał polecenie napisania opery, że zaś przed powrotem do Berlina chciał odwiedzić Paryż i Londyn, przeto udał się na Dyseldorf, aby po drodze Immermanna, który mu już był kilka pieśni napisał, prosić o sporządzenie libretta. Jego ojciec będąc zdania, że Niemiec nie potrafi zrobić dobrego Libretta, radził mu żeby się udał do francuzkiego wierszopisarza z francuzkich wierszopisów, dopiero do przetłumaczonego tekstu dokomponował muzykę. Immermann podał mu myśl, by Szekspira *Burzę* przerobić na operę, na co się Mendelson zgodził. Opera ta w prawdzie nie była nigdy wykonaną; ale zaszczytnym jest dla Mendelsona, że odrzucił radę ojca, do którego w tym względzie pisze: „Pisać muzykę do tłumaczonego tekstu francuzkiego, uważam za rzecz z wielu przyczyn nie do przeprowadzenia. Najpierw zdaje mi się jakobyś je cenił więcej dla ich powodzenia, aniżeli dla ich istotnej wartości. Przypominam sobie nawet, jak niezadowolonym byłeś z treści *Niemiej* i *Wilhelma Tella*, który jest umiejętnie napisany nudno. Powodzenie jakie mają w Niemczech, nie pochodzi ztąd żeby miały być dobre i dramatyczne, bo Tell nie jest ani jednym ani drugim; lecz ztąd jedynie, że przyszły z Paryża gdzie się podobały. Wprawdzie jest do uzyskania w Niemczech droga — droga na Paryż i Londyn, ależ to nie jest jedyna; tego dowodem nie tylko Weber, ale i Spohr, którego Fausta liczą teraz do klassycznej muzyki, a nawet mają go w przyszłym roku przedstawić w wielkim teatrze Opery w Londynie. Ja wspomnianą drogą nie mogę się udać, bo moją operę zamówiono w Monachium, a ja zamówienie przyjąłem. W Niemczech więc będę, szczęścia próbował i tam

zostanę, będę działał, dopóki będę się mógł utrzymać i działać, bo to w istocie jest pierwszym obowiązkiem. Jeżeli się nie ostoję, to wyjadę do Londynu i Paryża, gdzie rzeczy łatwiej idą: Jeżeli mi się zaś powiedzie w Niemczech, to chociaż rzeczywiście, że gdzieindziej lepiej ci płacą i oceniają i że żyjesz swobodniej i weseliej, kiedy u nas musisz postępować krok za krokiem i pracować bez wytchnienia; przecież do ostatka będę się trzymał.“

W Paryżu zabawił Mendelson całą zimę, aż do połowy Kwietnia 1832 r. Przeprowadził wykonanie kilku prac swoich, ale ówczesna publiczność paryzka była rozmarzoną Robertem Diabłem Majerbera, mogącego być uważanym za Antypoda Mendelsona, którego też w listach swoich za jego brak moralnej podstawy i uganianie za efektami, z całą goryczą (*geisseln*) karci. W tém przedmiocie tak się wyraża w liście swoim pisanym d. 11 Stycznia do Immermanna: „do takiego naciąganego utworu fantazyi, jak Robert Djabeł nie mogę sobie wyobrazić muzyki; i dla tego opera mnie nie zadowalnia; jest ona zawsze zimną i bez serca, a przytém nie robi na mnie żadnego wrażenia. Ludzie chwalą muzykę, ale gdzie jest brak gorąca i prawdy, tam także nie ma miary do ocenienia rzeczy.“ Po lekkim napadzie cholery, puścił się do Londynu tego miasta, za którym jeszcze we Włoszech tęsknił; jakto dowodzi jego list z Neapolu: „Niech że się już raz stanie, że to pełne dymu gniazdo, będzie mojem ulubionem miejscem pobytu. Serce mi się raduje, kiedy o niem pomyślę; a kiedy sobie nadto wystawię mój powrót, to już teraz mi się spieszy, żeby tam jak najprędzej stanąć.“ Nie powinno nas to zastanawiać, zważywszy, że w Londynie najpierw uznano jego talent a tém samym, podniecono jego twórczość, która tam również pod wpływem jego zapалу dla Hendla, dojrzała do wydania dwóch najznakomitszych dzieł jego, mianowicie oratoryów „*Pawła*“ i „*Eliasza*.“ Niestety tu kończą się jego listy z podróży; musimy się więc ograniczyć na niedostatecznych wiadomościach, które Lampadius w Lipsku, w braku dokładniejszego życiorysu, po jego śmierci zebrał.

Nowe kompozycje, które ze sobą do Londynu przywiózł, a mianowicie uwerturę do groty Fingala i koncert fortepianowy G-moll, przyjęto na koncercie filarmonicznym huczными oklaskami. Wielkie wrażenie sprawiła jego gra na organach w kościele Ś-go Pawła d. 10 Maja, gdzie także grywał czasem na cztery z Moschelesem, w którego rodzinie

uwazany był za przyjaciela domu. W ostatnich listach ogłoszonego zbioru pisze: „wyborni to są ludzie: dla mnie to jest zaś pocieszającym, że podługim przeciągu czasu natrafiłem przecie znowu na artystę, którym nie miota ani zazdrość, ani zawiść ani nikczemne samolubstwo.“

W czerwcu wrócił Mendelson do Berlina; gdzie zastał miejsce dyrektora Akademii śpiewu opróżnionem, w skutek krótko przedtem zaszłej śmierci Zeltera. Starał się więc o nie, ale pomimo sławy jaką miał w Londynie, w kraju tak mało go ceniono, iż dano pierwszeństwo miernemu dosyć kompozytorowi K. F. Rungenhagen, o którego dziełach, jak jego oratoria: Śmierć Abla, Chrystus w Jerozolimie, Cecilia i t. p. całkiem już zapomniano.

Czynność jego w Berlinie ograniczyła się na kilku publicznych koncertach, przez które chciał wpłynąć na wykształcenie smaku swoich współobywateli. To mu naturalnie nie wystarczało i znowu go widzimy następnej wiosny (1833) w Londynie. Tamże wspólnie z Moschelesem napisał w dwóch dniach, wariacje na dwa fortepiana z marszu cygańskiego z Preciozy, ułożone później na cztery ręce. W ogóle lubili wspólnie zabawiać się muzyką i często w poufanych kółkach można było ich słyszeć fantazjujących na cztery ręce, przyczem musiał jeden drugiego myśli odgadywać i temata poddawać. W dniu 13 Maja odegrano po raz pierwszy na koncercie filharmonicznym jego włoską symfonię A-dur, którą w Niemczech w długi czas dopiero po symfonie A-moll poznano.

Tymczasem wezwano go do Dysseldorfu, aby przewodniczył mającej się tamże odbyć uroczystości muzykalnej, gdzie się też w końcu Maja udał. Tu zszedł się z kółkiem przyjaciół, t. j. z Immermannem i z tymi artystami, z którymi się był spotkał we Włoszech. Dzięki jego doskonałej dyrekcyi, uroczystość tak świetnie się powiodła, że koniecznie chciano go zatrzymać w Dysseldorfie. Dawano mu właśnie jakby dla niego stworzoną posadę dyrektora miejskiej muzyki, z obowiązkiem kierowania, tygodniowemi z gromadzeniami pieśniarzy, koncertami zimowemi i muzyką w kościołach katolickich, to też nie wahał się jęj przyjąć. Pomimo, że Immermann musiał się czuć w duchu obrażonym, że Mendelson odrzucił jego text do opery „Burza“ jako nie zdatny do muzyki ścisła przyjaźń, która zmochniona zrazu wspólnem staraniem około podniesienia teatru w Dysseldorfie, wkrótce i to właśnie z tegoż samego powodu zaczęła się *osłabiać*. Mia-

sto Dysseldorf, siedziba tylu artystów i urzędników, miało bardzo lichej teatr; chciano więc korzystać z obecności dwóch poetów Immermanna i Uechtritza i dyrektora takiego jak Mendelson, aby scenę do świetnego doprowadzić stanu. Myśl tę silnie poparto i wkrótce przez akcyę potrzebny zebrano kapitał. Wiadomą jest rzeczą, z jakim zapalem Immermann wziął się do rzeczy i jak zabiegł jego utworzenia w Niemczech klasycznej sceny, wzorowemi przedstawieniami na wiosnę 1834 r. uwieńczone zostały. Mendelson atoli nie chciał poświęcać całych sił swoich urządzeniu i kierowaniu miejskiej opery i wezwał do pomocy przyjaciela swego Juliusza Reiz z Berlina. Zawsze jednak bardzo czynny brał udział w spieraniu opery, tylko zdaje się, że musiał popełnić błąd, w powołaniu młodych, niedojrzałych jeszcze talentów i że Immermann ze swojej strony, sprzyjał więcej dramatowi ze szkodą opery. To było powodem do wzajemnego niezadowolenia, a wreszcie całkowitego poróżnienia, Mendelson już w końcu tego roku usunął się i oddał zupełnie swoim obowiązkom dyrektora miejskiej muzyki, i kompozycyi. Na tę porę przypadają jego trzy *Capriccia* na fortepian Op. 33 *pieśni bez słów* (zeszyt 2) *trzy ojczyste ludowe pieśni* w 1-ym zeszycie op. 41), a przede-wszystkiem pierwsze jego oratorium *ś. Paweł*, nad którym bez przerwy pracował.

Jednakowoż już w następnym 1835 r., udał się jako *dyrektor dyrygent* koncertów do Lipska, na wezwanie, które dostał skutkiem zasługi jaką położył, w przewodniczeniu uroczystości muzykalnej w Kolonii, na którą i rodzice jego byli zjechali. W Lipsku rozwinął wielką sprężystość, w skutek której miasto to pod względem muzyki koncertowej i powszechnego życia i ruchu muzykalnego na czele wszystkich miast niemieckich stanęło. Umiał on zręcznie i cierpliwie korzystać ze środków obficie się mu nastreczających w orkiestrze, dyletantach i chórach i tym sposobem przyprowadzał do skutku wykonanie najwspanialszych i największych utworów muzycznych z jak najświetniejszym powodzeniem, budząc równocześnie w publiczności, przez liczne i pamiętne w historii muzyki koncerty, zamiłowanie sztuki i zapal do klasycznej muzyki. On to sprawił, że zrozumiano Bethowena dziewiątą symfonią i *Missa solemnis* (Msza solenna); on natchnął ogół miłością dla Haydna i symfonii Mozarta. On założył konserwatorium Lipskie i wymógł na królu, że hojnie wyposażył.

Jemu należy się wdzięczność za postawienie posągu Sebastyanowi Bachowi w szkole ś. Tomasza; gdzie on to wpadłszy na tę myśl, przez koncerta przysposobił potrzebne do tego środki.

Brak miejsca nie pozwala nam wchodzić w szczególności jego działalności, gdyż możemy zajmować się tylko głównymi zdarzeniami jego życia.

W Listopadzie tego samego roku (1835) stracił Mendelson ojca; ale boleść, którą mu ta smutna okoliczność sprawiła, złagodzoną była poniekąd spotkaniem w zasmuconym domu rodzinnym, miłego mu towarzysza młodości i przyjaciela Ferdynanda-Dawida. Ten wcześniej postradałszy rodziców, wychowywał się po większej części w domu ojca Feliksa a swego opiekuna. W nieobecności Feliksa wykształcił się pod przewodnictwem Spokrana znakomitego skrzypka, a Mendelson niebawem poznał jaką w nim znajdzie podporę. Wziął go więc zaraz ze sobą do Lipska, gdzie dnia 10 Grudnia po raz pierwszy wystąpił, a następnie już 25 Lutego 1836 r., na miejsce zmarłego Matthäi, koncertmistrzem mianowanym został.

Najważniejszém zdarzeniem z r. 1836 było wykończenie „*Pawła*“ i jego wykonanie w czasie dysseldorfskiej uroczystości muzycznej d. 22 Maja pod jego przewodnictwem. Powiodło się bardzo świetnie pomimo, że dwaj fałszywi świadkowie kiedy przyszło do duetu „*słyszeliśmy go jak bluznił*“ niedopisali. Fanny Hensel przyjechała na to przedstawienie z Berlina z bratem swoim Pawłem. Jój mąż wspólnie z Schröterem, Gübnerem, Steinbrückiem i Mückiem wygotowali byli ozdobny exemplarz partytury z odpowiedniami do ważniejszych chwil tego oratorium rysunkami, którem komitet uroczystości autorowi dał w podarunku. Znaną jest rzeczą, z jakim zapałem przyjęto to oratorium w całych Niemczech; a nawet w Anglii, Francji i północnej Ameryce oceniono je i powitano jako najpiękniejsze i najwspanialsze oratorium nowszych czasów. Tego stopnia potęgi, szczytności i wyrazistości prawdziwie chrześcijańskiego natchnienia nie osiągnął ani Spohr ani Schneider; a również w nowszych czasach, ani Ferdinand Hiller ani Molique, którego Abraham wcale jest udatny, nie zdobyli się na taki religijny polot.

Po tej uroczystości dysseldorfskiej udał się do Frankfurtu n. M., aby przewodniczyć stowarzyszeniu ś. Cecylii, w zastępstwie chorego Schelble swego przyjaciela. Tu mu się bardzo podobało i tu miał znaleźć sobie towarzyszkę życia. W domu

zmarłego reformowanego pastora Jeanrenaud poznał i pokochał najmłodszą córkę jego Cecylią, którą już następnej wiosny wziął z sobą jako żonę do Lipska.

Rzadką zgodnością uczuć serca i umysłu zgotowali sobie niezwykle szczęście domowe; dla tego też Mendelson do samej śmierci trwał w niezachwianym przywiązaniu do swojej żony. Że była godną takiego męża, dowodzi tego nie tylko jój charakter i postępowanie, ale jój bohaterskie zdanie się na wolą Opatrzności, w najcięższej chwili jój życia, kiedy go śmierć po jedenastoletnim zaledwie pozyciu, wydarła jój i dzieciom.

Następujące zdarzenie niech będzie dowodem, jakiego współdziałania brał Lipsk w jego małżeństwie. Na ostatnim koncercie którym przed wyjazdem do Frankfurtu dyrygował, objęto programem finale ostatniego numeru z *Fidelii*. Gdy więc chór przyszedł do słów: *Kto nadobną pajął żonę, niech uderzy w szczęścia stronę*, powstały w sali powszechne oklaski i radość. Mendelson wyzwany temi bez końca oklaskami, usiadł do fortepianu i zaczął na ten temat improwizować tak, że potężnie wszystkich wzruszył. Była to niejako uroczystość rodzinna, w której brało udział całe zgromadzenie.

W sierpniu 1837 r. odwiedził z żoną swoich przyjaciół w Dysseldorfie i zawiózł im najnowszy owoc swój twórczości: Psalm 42 (op. 42), drugi koncert na fortepian do D-moll (op. 40) i kwartet na skrzypce do E-moll (op. 42 Nr. 2).

Ponieważ na wielkiej uroczystości muzycznej w Birmingham miano wykonać jego ś. *Pawła*; pośpieszył więc tamże z Dysseldorfu i był świadkiem niepośledniego wrażenia, jakie to dzieło jego zrobiło nawet na marzących prawie wyłącznie o Hendlu Anglikach.

Z następnych lat to tylko należy wspomnieć, że w r. 1838 przewodniczył kolońskiej a w 1839 dysseldorfskiej uroczystości muzycznej, że napisał uwerturę do *Rug-Blasa* Wiktora Hugo, a w r. 1840 pierwszy raz dał poznać publiczności wspaniałe swoje choralne dzieło, t. j. Psalm 114 (op. 51), jako też pełne wdzięku Trio do D-moll.

Odwagą było z jego strony, iż na jednym koncercie wykonał wszystkie cztery uwertury do *Fidelii* Beethovena; ale przyjęcie okazało, na jakim stopniu wykształcenia muzycznego publiczność Lipska się znajdowała.

O delikatności uczuć i szlachetności Mendelsona świadczy następujące zdarzenie. Liszt w Styczniu

tego roku pierwszy raz zjechał do Lipska. Jego pełnomocnik, który za nadto dbały o stronę pieniężną, zaprowadził niesłychanie dotąd zmiany co do ceny miejsc w sali koncertowej; przez co znaczna część publiczności nieprzychylnie dla Liszta usposobioną była. Kiedy usiadł do fortepianu, dało się słyszeć głośne sykanie, które jednak przed końcem kawałka w szemrzące zamieniło się pochwałą. Pomimo tego Liszt czuł się obrażonym; a i publiczność czuła, że się nieprzyzwoicie z takim artystą obeszła. Mendelson wystąpił więc jako pośrednik, dając dla Liszta świetny wieczór w sali koncertowej, na który zaprosił połowę muzycznego świata. Po koncercie przyjęto bardzo wspaniałe towarzystwo, przyczem Mendelson i jego żona swoją uprzejmością się odznaczyli: Liszt pogodziwszy się z publicznością, dał jeszcze w Lipsku dwa koncerty,

Równie szlachetnie postąpił sobie z Hektorem Berliozem, obawiającym się, że jego muzyka, tak wręcz kierunkowi Mendelsona przeciwna, źle będzie w Lipsku przyjęta. Mendelson napisał sam do niego namawiając go by przyjechał i obiecując mu silne poparcie ze swój strony. „Mogę panu zapewnić“ są słowa jego listu „że pan będziesz z Lipska t. j. z muzyków i publiczności zadowolonym. Cieszę się, że będę mógł uściskać panu rękę i powitać go na ziemi niemieckiej.“ Podobnie jawnym hołdem uczcił Spohra, zwiedzającego Lipsk w 1845 roku. Urządził dla niego wieczór, na którym odegrano wyłącznie prace tego mistrza i te same arcydzieła jak uwerturę do Fausta, arię z Jesondy i inne.

Na czterechsetletnią rocznicę wynalazku druku w 1840 wykonał Mendelson dwa naumyślnie w tym celu przez siebie napisane dzieła: *pieśń uroczystą* na chór męzki i orkiestrę, oraz kantatę symfonią jedno z dzieł jego jeżeli nie najznakomitszych to najgenialniejszych.

Na wielkim obchodzie muzycznym w Birmingham, do którego dyrygowania zaproszono Mendelsona, wprowadzono do Anglii to ostatnie jego dzieło i przyjęto je z równym jak jego *Pawła* zapalem.

W Lipcu 1841 król Saski mianował go swoim nadwornym kapelmistrzem. Ale król Pruski Fryderyk IV, który starał się wszystkie znakomite talenta współczesne ściągnąć do Berlina, oddawna już był zwrócił uwagę na niego i prawie równocześnie mianował go swoim kapelmistrzem. Musiał

więc Mendelson przyjąć to ostatnie wezwanie, ale mu się jednak niedługo podobało w Berlinie. Choć król polecił mu ułożenie muzyki do *Antygony*, mało jednak widział pola dla swojej działalności. Nie miał kapeli do dyrygowania i stał na rozkazach ministerjum oświecenia, które nie mogło znaleźć dla niego zatrudnienia. Napisawszy więc w krótkim czasie bo w jedenastu dniach dla króla muzykę do *Antygony*; powrócił w tym samym jeszcze roku do Lipska. Muzyka do *Antygony* będzie zawsze doskonałym w sobie, pełnym charakteru utworem, w którym duch starożytny, z nowożytnym uczuciem i jego sposobem objawienia się, ze sobą się zbratały. Dla tego też zgromadzeni niemieccy filologowie, którzy w tym roku w Kassel na obrady się zebrali, wystósowali do Mendelsona list dziękczynny za to, że swoją muzyką do *Antygony* przyczynił się do wzbudzenia zajęcia się grecką tragedją.

Przez pewien czas prowadził Mendelson życie koczujące; jeździł bowiem często do Berlina dla przedstawienia *Antygony*, przewodniczył uroczystości muzycznej w Dysseldorfie, był z żoną w Londynie gdzie na koncercie filarmonicznym po raz pierwszy odegrano jedną z jego najpiękniejszych symfonii A-moll, bawił kilka tygodni w francuskiej Szwajcaryi, gdzie podczas jego pobytu w Lozannie wykonano jego hymn pochwalny, wreszcie zwiedził Frankfurt, a to wszystko w przeciągu 1842 r. Za ledwie wrócił do Lipska otrzymał nowe wezwanie od króla pruskiego z tytułem generalnego dyrektora muzyki, a z obowiązkiem kierowania muzyką kościelną w całych Prusiech, szczególnie zaś w katedrze berlińskiej. Przyjął wprawdzie to zaszczytne zaproszenie; nie chciał atoli opuścić Lipska bez pewności, że tamże konserwatorium będzie założonym i bez urzędzenia go i przyprowadzenia do stanu świetności. Jego to zabiegom należy się wdzięczność, że je minister Falkenstein mógł już w Kwietniu 1843 r. otworzyć. Pierwsze zdolności muzyczne w Lipsku brały udział założeniu tego instytutu: Mendelson, Schumann, Hausmann, Dawid, Becker, a wkrótce i Moscheles.

W roku 1844 pojechał znowu do Londynu gdzie bawiąc przez całą wiosnę często grywał publicznie a 28 Czerwca wykonał w Exeterhall swoje oratorium pod tytułem „Paweł.“ Wróciwszy do Berlina pracował nad muzyką do *Edypa w Kolonos* i do *Rasyna Athalii*, które w jesieni r. 1845 przedstawiono. W tymże czasie skończył swój wspania-

ły koncert na skrzypce, który napisał dla Dawida, wielkie Trio do E-moll Op. 66 i wydał kilka nowych zeszytów „pieśni bez słów.“ Ale przedewszystkiem zajmowało nowe na obchód muzyczny mający się odbyć w Birmingham w Sierpniu 1846 roku przeznaczone oratorium pod tytułem „Eliasz.“ Pomimo, że dzieło to świetnego doznało powodzenia, jednakowoż go w większej części przerobił i w tej nowej postaci wykonał go w Kwietniu 1847 roku w Exeterhall w Londynie. Autor niniejszych kilku słów nie może sobie odmówić, wspomnienia anegdoty, której sam był naocznym świadkiem. Wieczór d. 17 Kwietnia autor był obecnym na próbie Eliasza, która się pod przewodnictwem dyrektora „Saired Harmonic Society“ niejakiego pana Surman odbywała, ponieważ Mendelson nie był jeszcze nadjechał. Już była godzina 10, a dopiero doszli do Chóru Nr. 22 „nie obawiaj się“ bo wszystko szło niedobrze i wiele rzeczy musiano powtarzać. Chór ten szedł także nie lepiej, gdy nagle zjawia się Mendelson, który dopiero co przeprawiwszy się przez kanał, zmęczony i skołatany morską słabością, usiadł w cieniu na pustych prawie ławkach. Autor zbliżywszy się do niego aby go powitać, wyraził mu swój żal, że tak wszystko jeszcze źle idzie; wtedy Mendelson nagle wstąpił na trybunę dyrygenta, gdzie go z nadzwyczajnym przyjęto zapalem, ujął za laseczkę i kazał na nowo niektóre kawałki odegrać. Jego obecność działała tak dziwnie, jak gdyby duch jaki się pojawił; wszystko powiodło się nad spodziewanie dobrze, tak dalece, że już 23 Kwietnia można było Eliasza wykonać w obecności królowej Wiktoryi i księcia Alberta wielkiego czciciela Mendelsona. Królowa często go potem przyjmowała w swoim kółku rodzinnym; opowiadają nawet: że kiedy po raz pierwszy był na jej pokojach, przeproszała go, że w jej pokoju jeszcze niezupełnie sprzątnięte. Zaczęła więc sama sprzątać, a Mendelson jej w tym dopomagał. Papugi, które wisiały w pokoju i wielki robiły hałas, także razem wynieśli. Potem zaśpiewała mu niektóre jego pieśni i dodała w żartobliwym tonie, że lepiej umie śpiewać, oczem może poświadczyć Lablache, tylko jego obecność czyni ją nieśmiałą.

W dzień odegrania Eliasza posłał mu książę Albert na pamiątkę libretto z własnoręcznymi uwagami, które w czasie wykonywania popisał, z dodatkiem kilku słów wyrażających wielkie dla autora pochwały.

Był to ostatni wielki jego tryumf; gdyż nie dłu-

go miał już pożyć znakomity ten kompozytor i szlachetny człowiek. Przed kilku laty stracił był matkę; kiedy zaś wracał z Londynu, wiadomość o nagłej śmierci jego ukochanej siostry, zaskoczyła go w Frankfurcie.

Współzawodnicząc zawsze z swoim bratem, odważyła się ona była na napisanie muzyki do drugiej części Fausta i właśnie kiedy przewodnicząc próbie siedziała przy fortepianie, tknięta apopleksją padła nieżywa na krzesło. Wiadomość ta nadwyrężyła silnie jego układ nerwowy i tak już przedrażniony i wskutek natężonej działalności umysłu nie mało zawątłony; gdyż dowiedziawszy się o tém wypadku wydał krzyk, przy którym według zdania lekarza nastąpiło pęknięcie naczynia krwistego w głowie, bo od tego czasu często żalił się na mocny ból głowy, który zapewne naciskiem krwi na mózg był spowodowany. Przeczuwał on sam, że mu niewiele już czasu na ziemi żyć dozwolono. Żonie zalecającej mu aby się szanował i przyjaciółom doradzającym mu spokój odpowiadał: pozwolicie mi jeszcze pracować, bo przyjdzie i czas spoczynku. Nie wiedząc ile mi jeszcze czasu przeznaczono, muszę z niego korzystać. Atoli słabe jego zdrowie zmusiło go, do pokrzepienia sił swoich w Baden-Baden a następnie w Interlaken; ale pomimo tego umysł jego był tak czynnym, że i tu w pośród rozkoszy przyrody pracował nad oratorium *Chrystus* i nad operą *Lozelei*, do której mu tekst dorobił Emmanuel Geibel. Oprócz tego napisał kwartet na rżnięte instrumenta do F-moll (Op. 80) i kilka motettów i pieśni. Powróciwszy do Lipska 13 Września odwiedził stamtąd rodzeństwo swoje w Berlinie, gdzie niezagojoną jeszcze ranę na nowo podrażnił. Za powrotem do Lipska, bóle głowy się powiększyły i nastąpiło takie rozdrażnienie nerwów, że słysząc muzykę nie mógł się od łez wstrzymać. Dnia 9 Października zaniósł jedną swą znajomą ostatni swój utwór, muzykę do pieśni nocnej Eichendorfa „minął już jasny dzień,“ a kiedy ta mu ją zaśpiewała, nagle dostawszy zawrotu głowy pobladł i musiano go odwieźć do domu. Jednakowoż przyszedłszy cokolwiek do siebie, mógł z żoną jeszcze 28 Października przejechać się po świeżem powietrzu. Tego samego dnia dostał znowu apopleksyi, ale jeszcze otaczający go nie stracili nadziei. Dopiero 3 Listopada, w skutek wzruszenia wywołanego zdaje się błahą okolicznością, ponowił się napad ale tym razem już bez nadziei polepszenia, gdyż

już na drugi dzień o godzinie 9 wieczorem wyzionął ducha.

Lipsk pogrążony w głębokim żalu po ulubionym swym mistrzu, uczcił pamięć jego nabożeństwem żałobnym u Paulinów odbytym d. 7 Listopada w kościele, a godnym autora Pawła i Eliza. Zwłoki jego złożono w grobie rodzinnym na cmentarzu w Berlinie. W całych Niemczech odbywały się koncerty na jego pamiątkę, tylko Spohr jeden, któremu Mendelson sam był przygotował tak świetne przyjęcie, nie dostał pozwolenia od swego monarchy, urzędnika na jego cześć żałobnego obchodu.

Opływając we wszelkie ziemskie dobra, mógł być Mendelson używać błogięj rozkoszy spokojnego życia, gdyby nienasycona żądza wiedzy, niezmiordowane zamiłowanie pracy, nadludzka czynność na polu sztuki i powszechnego dobra, nie by-

ły nadwreżyły i tak już przez się wątłego jego zdrowia, przez co zszedł z tego świata przedwcześnie, bo za ledwie w 38 roku życia. Ale było to przymiot dziedziczny w jego rodzie, bo równie jak jego Mojżesz, syn ubogiego nauczyciela elementarnej szkółki żydowskiej w Dessau, który porzucałszy poniżające rzemiosło chłopca oszukańca, wyszedł dzielnością swego umysłu na jednego z najznakomitszych filozofów, doszedł do wielkiego majątku i stał się nieśmiertelnym w piśmiennictwie, tak i Feliks dążąc przez całe życie do wznioślejszych celów ludzkości, będzie nieśmiertelnym w dziedzinie sztuki.

To przypomnienie życia tego wielkiego mistrza oby mogło zachęcić łaskawego czytelnika, aby zarzuciwszy powierzchowne utwory salonowej muzyki, oddał się rozkoszy jaką następują, skończone w formie i pełne twórczej wyobraźni jego dzieła.

MORZE I JEGO MIESZKAŃCY.

O! nauczcie się tylko poznawać tę straszną głębinę kryjącą się pod zwodniczo-połyskającym zwierciadłem. Zniżacie się na dół — znika przed wami błękit nieba, światło dzienne; otacza was ognista żółtość, potem płomienista czerwoność jak gdybyście zatapiali się w wilgotne piekło morskie bez żaru i ciepła. Czerwoność ciemnieje — staje się purpurową, nakoniec czarną — ogarnia was nieprzenikniona noc. Co zaś naokoło was żyje i rusza się, jest istnieniem pozbawionem radości i spokoju, nieustannem gonieniem i unikaniem, łowieniem i pochłanianiem, nieskończoną nienawiścią, wiecznym morderstwem, nieskończonym tworzeniem dla dostarczenia tylko ofiar żarłocznej, nigdy niespoczywającej śmierci. A jak tu znika światło i blask kolorów a ciemna noc osłania nieskończoną cichą wojnę, głuchą walkę, tak również znikło bogactwo form, powabność kształtów, z niezgrabnym łączy się obrzydliwe, z niekształtnym to co skrzywione,

„Żarłoczny rekin, morska hyena;
Kołczasta raja, ta skalna, ryba
Okropny potwór ryby młota...“

Dobry geniusz nie rządzi temi głębinami, tylko złośliwe duchy, fałszywe, zwodnicze Undyny prze-

biegają to puste państwo! Tak wiara ludu, tak najpierwsze wiadomości o wodnym świecie wystawiają tę nieprzystępną dla człowieka dziedzinę a powoli wzrastająca nauka nie może obejść się bez dodania temu obrazowi coraz surowszych rysów.

Lecz niezmiordowanie sięgającemu dalej człowiekowi nigdy na zawsze nie ziemskiego nie zostaje zamknięciem, wszędzie toruje on sobie drogę, wnosi on światło badania w ciemną nawet głęb niezmiernego Oceanu; w tém zaś świetle nie jedna rzecz nabywa innego wyrazu, okazując przyjaźniejszą stronę. Wraz ze starą nocą uchodzą także jej dzieci, okropne straszidła. Pozostają wprawdzie w tym obrazie prawdziwsze i niezatar-te rysy; nauka musi to coraz więcej potwierdzić, że tylko wzajemne morderstwo i pochłanianie utrzymuje żyjące istoty głębiny, że pomiędzy tysiącami tysięcy rodzajów składających morską Faunę, dotąd za ledwie jedno z pewnością może być oznaczone stworzenie jako takie, któreby łagodniejszym sposobem karmiło się bogatą florą morską. Złożywszy jednak pojedyncze obrazy, linje i kolory nabyte dla nas niezmiordowaną pracą badaczy — jeżeli temu utworowi położymy za podstawę ogólny pogląd, który szczęśliwi podróżnicy w przyja-

zném objaśnieniu nabyli dla tego państwa głębin, otrzymamy galerję krajobrazów nie mniej rozmaitych, nie mniej pięknych, a może nawet wspanialszych, czarodziejskich i cudowniejszych jak gdziekolwiek na ziemi pokazać się może.

Wtedy jednak druga nam przedstawia się zagadka. Cała istota piękności polega wszakże na czującej duszy; nie dla siebie ani też otaczającej go kupy piasku, błyszczy djament promieniami swojej gry kolorów, lecz dla oka ludzkiego, zapomocą którego podziwia go pewna dusza. Nie dla góry leży dolina, nie dla strumienia schyla się nad nim szemrać żałobna trawa, nie dla ciemnego sosnowego lasu, pięknie, mile i ozdobnie błyszczy złota zieloność; lecz dla ducha pojmującego i ogarniającego to wszystko okiem miłości i rozwagi. Jeżeli tak jest słusznie, przeto zapytujemy: dla kogoż więc rozszerza się to bogactwo przepychu i piękności, które osłaniając ten stróp błękitny, którego zwierciadlana powierzchnia odbija promień światła, z szyderstwem prawie okazuje powiększej części ciekawemu postrzegaczowi jego tylko własny obraz?

Czy są tam na dnie u spodu czułe istoty, doświadczające widoku tego, co piękne? albo raczej przez to, że czują i doświadczają, umiejące podnieść do piękna? czy w zestawieniu postaci i kolorów są fizycznie obojętni? Wcale o tém nie wiemy; to tylko powinniśmy wnosić, że tą czującą istotą nie może być „rybka, której według naszego poety“ tak błogo jest na dnie“ gdyż oczy wodnych wszystkich zwierząt tak są zbudowane, że są tylko w stanie widzieć w bardzo małym obrębie to, co tylko najbliżej nich się znajduje, tak że nawet obcy temu żywiołowi człowiek ma szerszy i więcej ogarniający pogląd na jego właściwości, aniżeli prawdziwy stamtąd mieszkaniec. Przytém dla dojścia do pojęcia jedno nam tylko pozostaje. Tak jak na gotyckich wieżyczkach katedry medjolańskiej najwyższe posążki dla samej tylko symetrii stoją na takich miejscach gdzie ich oko ludzkie ani dosięgnąć, ani podziwiać nie może, tak równie fizyczny materiał wszędzie na ziemi jest urządzone, że musi sprawiać wrażenie piękna; cała zaś kreacja w najdrobniejszych swoich częściach bez względu nawet na myślącego i czującego człowieka okazuje się być ułożoną nie tylko jako technicznie zrozumiałą, ale też jako kunsztownie, estetycznie wykończoną.

Wróćmy jednak znowu na raz rozpoczętą przez

nas drogę. Obok tych posępnych ryśów znajdujących się w głębinach, a które my rzucamy jako cienie dla uwydatnienia, okazują się równie błyszczące światła, a łagodne pośrednie barwy nieskończony temu obrazowi nadają powab.

Przeciwko nieskończonej walce tylu tysięcy istot ożywiających świat wodny, łagodząc jej okropności i niszcząc jej skutki, występuje tak niewyczerpana siła płodności natury, że w całej swjej pełni nigdzie się ona podobną na ziemi nie napotyka. Wyliczono że przy najpomyślniejszych okolicznościach pokolenie jednej pary królików w dziesięciu latach może dojść do miliona, a wypadek ten podziwiano jakoby coś nadzwyczajnego. Przy podobnych przypuszczeniach pokolenie jednej pary karpiów już w trzecim roku utworzyłoby liczbę zaledwo przez nas pojętą, to jest kilka bilionów. Jeżeli dziwiono się kurom, które w jednym roku znosiły do 200 jaj, to u większej liczby ryb liczą się na statysiące. Lecz wszystkie te liczby przewyższa jeszcze mnogość mniejszych, niedoskonale uorganizowanych mieszkańców morza. Wieloryb za każdym kąsem połyka tysiące rybek *Clio borealis* będących prawie wyłącznym jego pożywieniem. *Treycinst i Turel* postrzegli z korwety „*la Creole*“ w pobliżu Tajó powierzchnię 60,000,000 kwadratowych metrów wody zafarbowanej szkarłatów czerwonym kolorem. Poszukiwanie pokazało, że przyczyną czerwonego zafarbowania jest mała roślina, której 40,000 dopiero pokrywa przestrzeń kwadratowego milimetra a zatem około 40,000,000 zapełnia dopiero powierzchnię kwadratowego metra. Ponieważ zaś zafarbowanie rozszerza się na dość znaczną głębokość, a zatem zaledwie jesteśmy w stanie nawet przez przybliżenie wyrazić słowami liczbę żyjących istot. Często na brzegach Grenlandyi okazują się pasy od 10 do 15 mil angielskich szerokości a 150 do 200 mil długości zafarbowane małą, ciemną, brunatnego koloru centkowaną meduzą. Jedna tylko kubiczna stopa zawiera już 110, 592 podobnych zwierzątek, a taki pas stanowiący zaledwo zasługującą na uwagę część niezmiernego Oceanu, zawiera ilość przynajmniej 1,690 biljonów żyjących istot.

Obok tego, co do liczby szybkiego rozmnażania się i rozplądniania, staje nadzwyczajnie szybkie rozwijanie się pojedynczych istot. Największa część ryb w jednym roku już się doskonale rozwinęła, chociaż wzrost ich co do wielkości daleko dłużej trwać może, a u niektórych wodnych mieszkańców

np. u wieloryba zdaje się, że na pozór nie ma nawet granic. W 1842 roku otrzymano dla znajomej *Galleryi Adelajdy* w Londynie dwa żyjące egzemplarze elektrycznego węgorza. Ważyły one cokolwiek więcej od funta. W 1848 r. jeden z nich ważył 40, drugi 50 funt., w jednym więc r. dokładnie prawie podwoiły się one co do wagi; wzrost jakiemu, żadne w powietrzu żyjące zwierzę, podobnego w przybliżeniu nawet nie może okazać.

Nakoniec do wielkiej liczby indywiduów, do szybkości rozwinięcia przydać należy bezwarunkową wielkość ciała. O ile tylko możemy porównać, każda grupa zwierząt ma największych swoich przedstawicieli w wodzie. Największe zwierzę ssące i w ogóle największe teraz na ziemi żyjące zwierzę, jest to wieloryb, który będąc zupełnie dorosłym, jest przynajmniej pięć razy tak długim jak największy słoń. Z pomiędzy ptaków prawie tylko nad morzem unoszący się *Albatros* ma największe rozpostarcie skrzydeł (15 stóp), z gromady jaszczurek najstraszniejszy rodzaj *Krokodyla*, żyje w wodzie; naprzeciw małemu pięknemu lądowemu żółwiowi staje 1000 funtów ważący olbrzymi morski żółw. Największy ze znanych brazylijski wąż *Anaconda* wyłącznie prawie żyje w wodzie a z pomiędzy węzów jadowitych zdaje się, że wschodnio-indyjskie wodne węże są najstraszniejsze. Przelotnie tylko chcę tu wspomnieć na utrzymującą się w naszej naturalnej historii cudowną powieść o olbrzymim wodnym wężu. Po sto razy dowiedziona jako złudzenie, po sto razy traktowana i na stronę odpychana powieść ta, znowu jednak zawsze się wciska.

Niewiarogodność, żeby podobne zwierzę istniało; niedawno jeszcze z wysokim dowcipem rozwinął jeden z naszych umiętnych zoologów profesor *Owen* w liście do *Galignanisa Messenger* (z 23 Listopada 1848 r.) to jednak niepodobieństwo nie daje się wcale wykazać i z najnowszych czasów, są jednak opowiadania kapitana *Sullivan* z *Halipaxu*, Kap. *d'Abnour* z *Havre de grace* i Kap. *Woodward* z *Penscot*, którzy z całym swoim ekwipażem przysięgli, że wyraźnie widzieli morskiego węża, ostatni nawet widział go przez całą godzinę o kilka kroków od swego okrętu ścigającego i chwytającego się go z wielką wściekłością; po wystrzeleniu do niego dwa razy, z małej karabinowemi kulami nabitą armatki, tak jednak, że go zdaje się bynajmniej przez twardy łuskowaty pancerz nie

zranił. Nadbrzeżni mieszkańcy Norwegii, takiego ktoby wątpił o rzeczywistem istnieniu węża morskiego, uważają za kompletnego głupca. Wielki wąż morski może jest jednym z żyjących indywiduów, z owych strasznych *Zeuglodon*, którego kopalny szkielet przed kilku laty Dr. Koch znalazł w Alabama i wystawił na pokaz w Niemczech, a biedna ta istota, jedyny żyjący jeszcze świadek dawno zaginionego peryodu stworzenia, włóczy się teraz, jak żyd wieczny tułacz, nieustannie, samotnie, pomiędzy zwierzętami po obcym dla niego świecie. Jakkolwiek bądź rzecz się ma względem niego, nie potrzeba nam istotnie bajek dla przyozdobienia morza wszelkiemi powabami czarodziejskich powieści. Dostyc będzie przelotnego obejrzenia flory i fauny morskiej dla usprawiedliwienia tego mniemania.

Cała podmorska roślinność wyłącznie prawie składa się z jednej wielkiej roślinnej klasy „Wodorostów“ i chociaż to są rośliny bezpłciowe i co do swoich organów rozkrzewiania bardzo jednostajne, rozwijają jednak one nadzwyczajne bogactwo form tak, że krajobraz dna morskiego o mało co mniej jest interesującym i różnym jak okolica, której cieplejsze zwrotnikowe słońce nadało charakter roślinnej bujności. Szczególna własność już to galaretowato miękka, już to chrząstkowato twarda wszystkich części; szczególniejsze połączenie okrągłych, długo wystających i znowu płasko rozszerzonych organów, pozwalające natychmiast uważać za niestosowne użycie wyrażenia „łodyga i liść“ przepyszne mocne kolory zielonego, oliwkowego, żółtego, różowego i purpurowego, czasami na kształt tęczy na tejże samej do liści podobnej powierzchni połączone, nadają tej roślinności zupełnie cechę nadzwyczajności i coś bajecznego. Jeszcze za czasów Linneusza wiadomość nasza o tych roślinach była bardzo mała, 70 rodzajów jakie ten ojciec botaniki znał przy układaniu swego systemu, obecnie pomnożyły się prawie do 2,000 ale nie tylko z małemi, łatwo pominąć mogącemi się, formami, lecz właśnie z największemi rodzajami na 100 do 1500 stóp długimi olbrzymami podmorskich lasów, obeznali nas dopiero nowsi badacze. Największe na tém polu zjednali sobie dla nauki zasługi *Lamouroux*, *Bory St. Vincent* i *Greville*. Przedewszystkiem zaś zupełnie nowy pogląd tych stosunków odkryli nam w najnowszych czasach wyprawy kapitana *Ross* do okolic bieguna połu-

dniowego i kosztem Cesarza Rosyjskiego i petersburskiej akademii przedsięwzięte podróże *Martinsa*, *Postels*, von *Baera* i innych do krajów biegunowego północnego.

Nie jest to jaknajmniej interesującym wypadkiem tych badań, że i morskie porosty i wegetacja stałego lądu, zawisła jest od jeograficznych granic i od pewnego sposobu podziału. Jeżeli zastanowimy się, że i na ziemi jeograficzne rozpołożenie roślin zależy szczególnie od rozmaitego rozdziału ciepła i wilgoci i że może podlega także małej nadzwyczaj różnicy temperatury i w stosunkowo szczupłej głębokości pod wszystkimi strefami, okazuje tenże sam stopień ciepła; z tem wszystkiem musi to zastanawiać, że w podmorskiej florze natrafiamy na tak ważne różnice, nawet w spokrewnionych i blisko leżących okolicach jak np. Czarne morze różniące się od Adryatyckiego lub morze Lodowate wzdłuż brzegów lapońskich lub syberyjskich, od morza Kamczackiego i brzegów alceuckich i kurylskich. W ogólności można także powiedzieć, że porosty szczególnie rozwijają całe swe bogactwo w strefie umiarkowanej, przeciwnie zaś ku równikowi w równej prawie mierze zmniejszają się jak ku biegunom. Na brzegach wyspy Sitki ta szczególna roślinność przedstawia się nurkowi w całej swojej bujnej obfitości. Roślina ciśnie się tu do rośliny nakształt pierwotnego lasu. Małe *Conferwy* (zieleniu) i *Ectocarpeae* pokrywają grunt zielonym jedwabistym kobiercem, na którym *morska salata* ze swoim szerokim liściem zastępuje największe zioła; między niemi jaśnieją przepyszny różowy lub szkarłatnym kolorem, potężne liście w kształcie płaszcza pofałdowanych *Irideów*. Rozmaite rodzaje sitowiów pokrywają oliwkowym kolorem skały, a pomiędzy niemi jaśnieje delikatną grą swoich kolorów wspaniała *morska róża*. Dziwnie w kształcie siatki poplątane *Thalassiophylle* i *Agary* połyskując żółto, zielono i czerwono, już to rozprzestrzeniając się jak olbrzymie wachlarze, już to chwając się w wodzie jako na kilka stóp długie i szerokie liście, tworzą większe tego lasu zarośla; którego drzewami okazują się często na 30 stóp długości szerokie wstęgi jednostajnie falujących *Laminariów* pomieszane z krzaczysto rozgałęzionymi rodzajami *Macrocytis* z gruszkowatymi bańkami; potem okazują się długo łodygowe *Alarie*, których pień dziwnie jakby mankietem wiązką liści otoczony, rozszerza się ku górze w olbrzymi

często na 50 stóp długi liść. Lecz wszystkie z nich przewyższając, wznoszą się z pośrodku godne uwagi *Nereocysty*. Z podobnego do koralu korzenia wznosi się jak nić cienka łodyga, aż do wysokości 70 stóp, rozszerzając się stopniami w kształcie maczugi, aż do ogromnej bańki i na tej dopiero unosi się gęsta wiązka wąskich do 30 stóp długich liści. Możliwość je nazwać morskimi palmami. Cała zaś ta ogromna roślina jest produktem kilku miesięcznym, gdyż w roku obumiera i znowu się z nasienia odradza. Dno tych podmorskich lasów ożywiają morskie gwiazdy, do pni przyczepiają się muszle i balany, pomiędzy liśćmi uganiają się za swą słabszą zdobyczą żarłoczne drapieżne ryby, a na pływających wyspach utworzonych ze ściśle ułożonych liści *Nereocystów* spożywa morska gadzina, grzejąc się spokojnie na świetle słonecznym, dla czego też i roślina nazywana jest od ludu *wężową kapustą* ¹⁾. Na tem kończy się odmalowanie krajobrazu, który podziwiać nie wielu śmiertelnikom jest dozwolonem. Malowniczy jego opis z wielką wykonany sztuką znajduje się w przepysznym dziele o porostach morskich *Ruprechta* i *Postela*.

Rzeczne konie i krowy morskie, Rytiny i Syreny żyją wegetacją porostów a naprzód już przyjąć potrzeba, że i tu nie zaniedbał człowiek zawładnąć częścią swego dziedzictwa. W rzeczy samej nie można lekce ważyć pożytku, jaki te rośliny dostarczają, mianowicie zaś dla nadbrzeżnych krajów. I teraz nawet rzadko daje mi się słyszeć na ulicach Edynburga rozlegający się odgłos: „Buy pepper-dulsc and tangle“ ²⁾, którym mieszkańcy pobliskich nadbrzeżnych wsi zalecają swoją *morską salate*; tak nazwany *Irlandzki mech* ³⁾ czyli *Carraghen* i *mączny mech* ⁴⁾ stały się znacznym artykułem handlu i zapisują się często zamiast Salepu Arrowroot lub mchu islandzkiego dla piersiowych chorych, lub dzieci, jako łatwy do strawienia pokarm. Jeszcze znaczniejszem jest użycie większych rodzajów mchów jak *cukrowego owczego* i innych do karmienia owiec i bydła, zwłaszcza na brzegach Normandyi, Irlandyi, Szkocyi

¹⁾ Bobrowaja kapusta.

²⁾ *Laurentia pinnatifida* Lamour i *Hafgygia dygitata* Kg.

³⁾ *Chondrus crispus* Lyngb.

⁴⁾ *Sporococcus confervoides* Ag.

cyi i Norwegii, jako też na wyspach Farvoer i Islandyi. Wielkie wzniesienia mchu, które każda burza wyrzuca na zachodnie brzegi Europy, wywołane są na brzegach północnej Francyi znacznymi kosztami od gospodarzy wiejskich o wiele mil w głąb kraju jako bardzo ważna pognojowa substancja. Lecz daleko ważniejszy użytek tych roślin opiera się na fizyologicznej własności ich procesu karmienia. W nowszych czasach nadzwyczaj ważnym stał się pod względem lekarskim zasadniczy pierwiastek *Jodyna*. Substancja ta okazuje się w czarnych metalicznie połyskujących krystalicznych blaszkach, rozpuszcza się w wodzie w kolorze ciemno-żółtym a podegrzywana zamienia się w prześliczne fioletowo-błękitne pary. Tę ostatnią własność winna jest Jodyna swoje nazwanie, które pochodzi od greckiego wyrazu *Jod* „Fioletek.“ Oprócz słabych jej śladów odkrytych w niektórych mineralnych wodach, pierwiastek ten znajduje się tylko w morzu, lecz i tu w tak małej tylko ilości że niepodobnaby jej było bez ogromnych kosztów wydobywać z wody morskiej. Tu nam przychodzą w pomoc porosty, które w karmieniu swoim jakoby zbierają i zachowują jodynowe połączenia wody morskiej tak, że je w dość znacznej ilości wynajdują w ich popiołach, Na brzegach Francyi, Irlandyi i Szkocyi często falami morskimi na brzeg wyrzucane nakształt gór massy morskich porostów, służą też biednym ludziom za materiał palny a starannie zebrany z nich popiół, w dawniejszych czasach znajdował się w handlu pod nazwiskiem Kelpu lub Varchu jako pewny gatunek nieczystej sody dla użytku przy wyrabianiu mydła. Ta gałąź zysku byłaby już dawno dla tych biednych ludzi zaginęła, albowiem przy postępach chemii można otrzymywać sodę inną drogą daleko łatwiej i taniej, gdyby w 1811 r. fabrykant mydła Courtois w Marsylii, nie zwrócił uwagi na nagle powstającą błękitną parę przy mocnym odparowaniu ługu, i nieodkrył był w kelpie Jodyny. Wkrótce stała się ona bardzo pożądanym pierwiastkiem, i w rzeczy samej otrzymuje się ona jeszcze i teraz wyłącznie z pozostałości w popiele morskich roślin.

Pierwój mieliśmy zreczność podziwiania w niektórych przykładach siłę produkcyjną morza i w istocie dziwić się potrzeba, widząc massy górzyste roślin, które każda burza na brzegu nagromadza, a które uganiający się za zyskiem człowiek używa

dla swoich celów, jakie mu corocznie w nie zmniejszonej ilości mokry ten żywioł coraz dostarcza. Już nawet najstarożytniejszym ludom następczała się ta twórcza siła morza i wszędzie dla nich najważniejszy żywioł „*plynny*“ jest zarodkiem wszystkiego co żyje. Poezye południowych i indyjskich ludów, bajki Greków o okrążającym ziemię Oceanie, a nawet żydowska powieść w tych wyrazach: „ziemia była pustą i próżną a duch boski unosił się nad *wodami*“ mniej lub więcej dokładnie wskazują na początek wszelkiego życia z wiecznie tworzącej się i wydającej wilgoci. Nawet w najnowszej nauce, w doktrynie o infuzoryach czyli wymoczkowych zwierzątkach i roślinkach utrzymała się myśl, że woda i ciepło dostatecznymi są do powstania organicznego życia. Zawsze jeszcze nie rozstrzygnięty jest spór czy mnóstwo małych zwierzątek i roślin, natychmiast w tworzących się w każdej nieczystej wodzie, jak tylko temperatura powietrza nie jest za niską, niewinne są istnienia swojego małym, niewidzialnym z powietrza przyniesionym zarodkom lub też ciągle trwającą twórczą siłą natury. Chociaż najędrsi badacze, najsobtelniejsi experymentorowie dziś coraz bardziej skłaniają się ku temu przekonaniu, że takie nieustające tworzenie organicznych istot nie może się pogodzić ani z doświadczeniem, ani z zasadami zdrowej filozofii natury; zawsze jednak są godni szacunku przeciwnicy tego poglądu i nie jeden fakt długo jeszcze musi pozostać jako nierozwiązana zagadka. Dalekim będąc od wdawania się w obszerniejsze spory, przywiodę tylko jeden najbardziej rażących i najbliżej leżących przykładów, gdyż stosowniejszym jest on od innych wystawienia w najjaśniejszym świetle razem najgodniejszej podziwu prędkości i bujności rozwinięcia organicznego życia. Przefiltrowawszy sok dojrzałych winnych jagód, otrzymuje się jasny jak woda, przezroczysty płyn. Już w pół godziny zaczyna on przybierać kolor opalowy, mętnić, wydobywać bąble gazu, słowem jednym przechodzić w fermentację; po trzech godzinach zbiera się już na powierzchni płynu, znaczna warstwa szaro-żółtawej substancji „zakisu“, która rozpatrywana pod mikroskopem daje się rozpoznać jako skupienie się mnóstwa małych roślinek z gromady zielenic, (*Confervae*). Dostyc jest kilku godzin, ażeby według ilości płynu wyprowadzić tysiące i miliony tych małych roślinek. Jeden tylko cal kwadratowy drożdzy składa się już z 1,152,000,000 roślinek, a te-

raz można wymierzyć jakie wydałyby liczby jednostki powstałe w jednej fermentującej kadzi, albo w fermentacji winnej lub piwnej jednego tylko roku.

Niech mi wszakże wolno będzie wrócić do zastanowienia się nad florą i fauną morską. Rozwińliśmy bogaty obraz jaki obfitość świata roślinnego wyprowadza nam w północnym morzu. Opuścimy teraz te podmorskie lasy z ich roślinnymi olbrzymami — *Porost gruszkowy* np. dosięga w morzach bieguna południowego niezmierną długości 500 do 1500 stóp — Oderwijmy przelotem oko od igrających wielorybów, od trzód psów morskich, od myriadów Kabeljanów śledzi, łososi i tuńczyków a zwróćmy się ku okolicom palącego słońca ze zwrokiem pełnym nadziei, że może i tu, tak jak i na lądzie i w głębiach Oceanu przyroda rozpostarła bogatsze swoje skarby.

Zanurzymy się do płynnego krystalu indyjskiego morza a odkryje się nam najcudniejszy powab ze świata bajecznego naszych dzieciennych marzeń. Dziwne rozgałęzione krzaki noszą żyjące kwiaty Gęste masy Meandrynow i Astreów stają w sprzeczności z liściastem i kubkowatym rozszerzeniem *Explanariów* z rozmaicie rozgałęzionymi *madreporami* posiadającymi poczęści łodygowe gałęzie, poczęści najozdobniejsze rozgałęzienie. Koloryt jest nieporównany; mocna zieloność przeplata się z brunatnym lub żółtym kolorem, z bogatymi purporowymi cieniami, z bladym ciemno czerwonym, z najciemniejszym błękitem. Jasno czerwone, żółte i brzoskwiniowego koloru, *Nullipory* pokrywają obumarłe masy, same zaś są przeplatane powierzchniami perłowego koloru podobnymi do najpiękniej wycinanej rzeźby ze słoniowej kości *Retiporami*. Obok tego unoszą się żółto lub liljowo kratkowane wachlarze *Georgoniów*; czysty piasek na dnie pokrywają tysiącem najdziwniejszych kształtów i gry kolorów, morskie *jeże* i gwiazdy *morskie*. Liściaste *flustry* i *Eschary* nakształt mchów i porostów wiszą na gałęziach koralów; jakby tarcze czepiają się ich pni, żółto, zielono i purpurowo pręgowane *Patelle*; jaśniejac najognistszemi kolorami nakształt olbrzymich kwiatów kaktusa rozciągają na pochyłościach skał swe wieniec *morskie Anemony* albo też skromniej nakształt Ranunkulów zdobią płaskie grzędy. Po nad kwiatami koralowych krzaków igrają morskie *Kolibry*, małe rybki już to z czerwonym lub błękitnym metalicznym połyskiem, już to iskrząc się złocistą zielo-

nością lub najjaśniejszym srebrnym blaskiem. Zwolna jak duchy głębiny chwieją się w tym zaczarowanym świecie delikatne mleczno-białe lub błękitnawe dzwonki *Meduz*. Tam pędzi fioletowo lub złocisto zielonym kolorem połyskująca „Izabella“¹⁾ i ognisto żółta, czarno i czerwono-cynobrowym kolorem pręgowana *kokietka*²⁾ w innym miejscu nakształt węża lub srebrzystej na pięć stóp długiej wstęgi, różowem lub błękitnem połyskującej światłem, przemyka się pomiędzy zaroślem ryba *wstęgowiec*³⁾. Dalej następują bajeczne⁴⁾ *Sepje* lśniąc się wszystkimi kolorami tęczy, powstających lub znikających bez wyraźnego zarysu, już to krzyżując się w najfantastyczniejszy sposób, już to szukając się i znowu rozłączając. A wszystko to przy najprędzej zmianie i najdziwniejszej grze światła i cienia za każdym powiewem wiatru i najlżejszym zmarszczeniem morskiej powierzchni. Gdy zaś dzień ma się ku schyłkowi a cienie nocy zapadają w głębinę, wówczas fantastyczny ten ogród zaświeca nowym przepychem. Miljony pałających iskier, małe mikroskopiczne *meduzy* i *raki*, jak świecące robaczki w ciemności odbywają taniec — dniem cynobrowo czerwone *morskie pióro* chwieje się wtenczas zielonawo fosforycznem światłem — świeci ono we wszystkich zakątkach; co za dnia, jako brunatne i niepozorne znikało w ogólnej jasności kolorów, to się teraz promieni najcudniejszą grą zielonego, żółtego i czerwonego światła, a dla uzupełnienia cudów tej czarodziejskiej nocy świecąc łagodnie wlece się w tłumie małych iskrzących gwiazd sześć stóp długości mająca srebrna tarcza ryby *księżycyca*.

Najbujniejsza roślinność zwrotnikowego krajobrazu, chociaż w różnaitości i okazałości daleko ustępuje przed grą kolorow ogrodowego krajobrazu, nie może rozwinąć większego bogactwa form jeżeli go wyłącznie składają tylko szczególne zwierzęta, nie zaś rośliny. Gdyż jakkolwiek charakterystycznym jest dla dna morskiego umiarkowanej strefy bujne rozwinięcie roślinnego świata, tak równie wybitnem jest w zwrotnikowych okolicach bogactwo i różnaitość morskiej *Fauny*. Co tylko pięknego, zadziwiającego, zawierają w sobie wielkie klasy ryb i kolcoskórych z pomiędzy polipów,

¹⁾ *Holocanthes ciliaris*.

²⁾ *Holocanthes tricolor*.

³⁾ *Lepidopus argyreus*;

⁴⁾ *Veretillum cynomorium*.

ślimaków i muszel, to tłumnie zbiera się w ciepłej i jak kryształ jasnej wodzie zwrotnikowych mórz, to się rozkorzenia w białym piasku, pokrywa chropowate skały, a po zajęciu już miejsca, czepia się pasożytnie drugiego, lub płynie w tym żywiole w górę i na dół, gdy świat roślinny tej masy nierównie od niego odstępuje. To przytém jest szczególnie, że prawo mające znaczenie na lądzie, według którego świat zwierzęcy, właściwiej się tu stosując do zewnętrznych okoliczności, ma większą rozciągłość aniżeli świat roślinny, gdyż polarne morza rojami posiadają jeszcze wieloryby, foki, ptaki morskie, ryby i niezliczone niższe zwierzęta wtedy gdy wśród wiecznie stężalego lodu, dawno już zniknął wszelki ślad roślinności, a przemarnięte morze nie posiada już nawet ani jednego porostu — prawo to powiadam, ma znaczenie względem morza w kierunku jego głębokości, gdyż jeżeli zstąpimy na dół, życie roślinne daleko wcześniej aniżeli zwierzęce znika nawet w głębinie, do której nie może dosięgnąć żaden promień światła, przynajmniej zapuszczona ołowianka wyprowadza na jaw żyjące jeszcze wymoczki.

Nie jest mojem powołaniem rozwijać dalej niezmiernie bogactwo tego wodnego zwierzęcego świata, jego godne uwagi właściwości, jego rozliczne stosunki do człowieka i jego gospodarstwa; nie wystarczyłoby mi tu nawet i czasu gdyż jedna jeszcze gromada zwróci na się naszą uwagę, w bliższym zostająca stosunku ze szczególnem zajęciem botanika, mająca przynajmniej udział w przygotowaniu gruntu, na którym mają się wkorzeniać rośliny — mówię tu o koralach. Dostyc więc będzie szkicem odznaczonego obrazu, bardziej dla odgadnięcia jak dla wykazania bogactwa, przedstawić oczom czytelników to, co godne raczej podziwu aniżeli wyłożenia w całej jego pełni i sile. Niewątpliwie, że z tego co dawniej zdawało się tylko żyć w powieściach poetów, wiele weszło w przyrodzono historyczną rzeczywistość. Niech mi tu wolno będzie jeszcze jeden zrobić rys dla nadania temu obrazowi całkiem charakteru czarodziej-skiej powiastki. Samotny podróżnik, którego żądza wiedzy zapędziła na brzegi Ceylanu dla zbadania tam w jasnym żywiole niezmiernego bogactwa stworzenia, wraca wieczorem z nabytymi skarbami do swego mieszkania; w tém z pobliskiego brzegu, w srod czarownej miesięcznej nocy jak eolskie arfy zabrzmiała melodyjnie melancholiczna muzyka i zmieniając delikatne swe dźwięki rozlega

się nakształt szumu bałwanów. Odżywa tu starożytna powieść o śpiewie syreny. Są to „śpiewające muszle“ dające słyszeć od brzegu swe słodko brzmiące głosy ¹⁾.

Wracam jednak do zwierzęcego krajobrazu, który starałem się narysować kilku pociągami. Po między rozlicznymi utworami wchodzącymi do jego składu, zwracają szczególnie naszą uwagę koralale po części swoją pięknoscia, po części dziwnem swoim urządzeniem, po części szczególniejszym swoim wpływem jaki wywierają na tworzenie stałego lądu. Znane już będąc Grekom i od nich nazwane „pannami morskimi“ ²⁾, były one od najdawniejszych czasów przedmiotem badania, ale razem też przedmiotem dziwnych bajek lub naukowych błędów. Zdziwieni tem zjawiskiem, że układają się one jako pięknie zafarbowane i wznoszą się ze swego żywiołu jako ozdobne kwiatowe kształty dostające się do rąk ciekawego tylko jako niepozorne brunatne kamieniste odłamki, długo stale byli tego przekonania, że to są prawdziwe, delikatne, miękkie morskie rośliny, kamieniejące natychmiast w powietrzu — błąd, który się jeszcze bardziej utwierdzał i utrzymywał pomieszaniem prawdziwych kamiennych koralali z miękkimi, chrząstkowatymi rodzajami. W przeszłym nawet wieku panowała jeszcze tak powszechnie wiara co do roślinnej ich natury, że przez samą względność zdawało się *Reaumurovi* (1727) potrzebnem zamilczenie nazwiska *Pajssenela* udzielając paryzkiej Akademii jego rozprawę o naturze koralów, z obawy, ażeby tak nedorzeczny pogląd nie był dostatecznym pozbawienia na zawsze młodego wra-stającego badacza natury, jego naukowej wziętości. Dopiero w 1740 r. nieśmiertelny holenderski uczoney *Trembloy* otrząsł ze wszelkiej wątpliwości zwierzęcą naturę koralów i pokrewieństwo zwierzęcia koralowego z innymi polipami, a w drugiej połowie 18 wieku *Ellis*, *Pallas* i *Cavolini* rozszerzyli naszą wiedzę o tej ciekawej klasie zwierząt.

Dawniej już zwrócono na to uwagę, że jedna przynajmniej część tych zwierząt wydziela wewnątrz siebie kamieniste jądro, które składając się z węglanu wapna, przedstawia rozmaitego kształtu już to płasko-pierzynowaty, już to nakształt drzewa rozgałęziony pień polipowy. Ten ostatni obciągnię-

¹⁾ Athenseum 1848, Nr. 1089, str. 915.

²⁾ Kurc halos ztąd nazwisko *Coralium*, później *Corallum*.

ty jest jakby skórą, szlamowato zwierzęcą substancją, która stoi jakby organiczne połączenie pomiędzy licznymi pojedynczymi zwierzętami polipów; tworzącymi tym sposobem całą żywotnie połączoną familję. W roku 1702 mało znany angielski podróżnik *Strachan* zwrócił na to uwagę, że korale same są w stanie tworzenia większych skalistych mass; lecz dopiero dowcipny towarzysz *Kooka*, Jan Reinhold *Forster* w 1780 z pewnością wyraził: że bardzo wiele wysp południowego morza bytność swą winne są tylko budowie zwierząt koralowych. Pogląd ten był później potwierdzonym i dalej rozwiniętym przez *Flindersa* a jednocześnie przez *Perona*. Przypisano owym małym polipom zasługę, wznoszenia z dna morskiego często z niezgruntowanej głębiny, kolistych murów aż do powierzchni morza, a później mieszkania w tym przez się zbudowanym i od uderzenia bałwanów zabezpieczonym spokojnym porcie, aż póki morze falami swojemi nie napełni téj przestrzeni piaskiem i odłamkami, muszel i póki napędzone pnie nasiona drzew i ptaki nie obejmą w posiadanie nowo utworzonego kraju, wypędziwszy tych budowniczych i pierwszych właścicieli. Nauka ta zdawała się mieć za sobą wiele prawdopodobieństwa i szczególnie chciwie została pochwyconą przez Geognostów, którym zdawało się, że znajdują w tem dostateczne objaśnienie dla niektórych zjawisk stałego lądu. W rzeczy samej często całe pasma gór składają się wyłącznie z koralów jak np. cały wieniec podobnych gór koralowych z małemi przerwami otacza podstawę całego turyngskiego lasu, mianowicie zaś w śmiałych skałach pojawia się w okolicy Posneck.

Lecz były to dopiero pierwsze początki długiego szeregu gruntownych badań i dowcipnych poszukiwań do wyjaśnienia potężnych utworów koralowych spokojnego Oceanu, które zdaje się, że dopiero przed kilku laty przez genialnego angielskiego podróżnika i zoologa Karola *Darvina* dostąpiło ostatecznego prawdziwego swego wykonczenia.

Zaczem dalej zapuszcze się w tę ciekawą materję niech mi wolno będzie poprzedzić ją skreśleniem raff koralowych i wysp morza Południowego. Nic tak bardzo nie wprawiło w zadziwienie wszystkich podróżników od *Kooka* aż do naszych czasów i nic tak nie pobudziło ku różnorodnej czynności bystrzej ich myśli jak wyspy

tak zwane *lagunowe*, czyli *atolle*. Często okrągłą na kilkaset kroków szeroką i na kilka stóp ponad morzem sterczącą wyspę, chociaż na około szumią rozbijały bałwany, otacza zatoka zupełnie spokojnej wody. Zawsze tylko przemagają niektóre gatunki roślin, a pomiędzy niemi palmy kokosowe, tworząc na około wewnętrznego wyęcia jakoby zielony wieniec. Płytką, jasną, cichą wodą tych lagun których dno składa się tylko prawie z oślepiającej białości piasku, przy pionowym oświeceniu od słońca okazuje się w mocno zielonym kolorze; połyskująca często więcej jak na milę szeroka powierzchnia oddziela się na około od ciemnej czarnej prawie falującej wody Oceanu, pasem śnieżno białych bałwanów od którego dziwnie ostro odbijają wysmukłe zarysy i świeża zieloność palm; ponad wszystkim zaś wznosi się jednostajnie głęboki lazurowy błękit niebieskiego sklepienia. Wszystko to czyni wrażenie majestatycznej wielkości i prostej wzniosłości. Dziwniejszemi jeszcze są zjawiska wielkich kolistych falowań otaczających spokojną wodną płaszczyznę, chociaż nie ma najmniejszego paska lądu, któryby występując z wód zwierciadła tworzył jej granicę tak ak to naprzód *Kook* zauważał na spokojnym morzu. Większa i rozleglejsza koralowa rafa ze swym palmowym wieńcem często w szeroko milowej odległości otacza górzystą wyspę a podróżnik siedząc u stóp liściatego pagórka, widzi na około siebie najbogatszą i najbujniejszą zwrotnikową roślinność, przed sobą zaś zwierciadlaną powierzchnię najczystszej wody, ograniczoną linią palm, po za którą znajdują się białe fale nieskończonego Oceanu. Właśnie są to wszystko żywioły porywające do zachwyty wszystkich, którym się udało odwiedzić powabną królową wysp O'Tahiti lub też tak smutnie wślawną rozbiciem się *Lapeyrouza* wyspę *Vanikoro*. Inne wyspy, tuż przy swych brzegach mają wązki wieniec koralowych ławic, gdy przeciwnie wzdłuż większych brzegów np. Australii potężne koralowe rafy w odległości 5—10 mil tworzą na 300 mil rozciągającą się zaporę. I znowu inne znajdują się wyspy, przy których równoległe z brzegami, górując po nad najwyższy stan wody leżą szerokie wały martwych koralów. Ten kto przedsięwzięje objaśnić właściwe utworzenie się koralów spokojnego i indyjskiego Oceanu, musi te wszystkie rozliczne stosunki objąć w jeden obraz, gdyż starać się tylko objaśnić pojedynczo oderwane zjawisko, zostawiając pominiętymi wszystkie inne

fakta, jako niezrozumiane, musiałyby się wydać koniecznie chybioną próbą lub nieudaniem się.

Jakieśmy już wspomnieli ze wszystkich utworów, wyspy lagunowe są nierównie ważniejszymi i dla też najwięcej na siebie ściągęły uwagę. Tysiące wysp rozrzuconych po obszernych przestrzeniach morza Południowego też same wszystkie okazują zjawiska; wszystkie wznoszą się tylko na kilka stóp po nad morzem, które zewnątrz okazuje niezgruntowaną głębinę; wszystkie w okrąg otaczają wodną zatokę, wszystkie z wyjątkiem wszelkiej innej materii utworzone są budową żywych jeszcze koralów i ze szczątków zniszczonych przez morskie bałwany, jako też z odłamków siłą ich na proch roztartych i świetnym białym przykrytych piaskiem. W tych szczątkach i piasku niema nic oprócz węglanu wapienia polipowego drzewa. Indyanin zaś który taką wyspę objął w posiadanie w chciwym pośpiechu szuka pomiędzy spletem korzeni przypędzonego zdaleka drzewa, ukrytego w nich przypadkiem twardszego kamienia dla zaostżenia swój strzały lub wykrzesania ognia. Łąd ten wzniesiony pod wodą przez polipów, podwyższony tylko odławkami, które fale po nad wodny rdzeń wyrzuciły, musi być także przez też same fale, którym winien swój początek, zarośniętym i zaludnionym. Fala przynosi nasiona, przynosi też całe żyjące jeszcze drzewa i z temi ostatnimi także jaszczurki i niektóre owady; niektóre także rodzaje wodnych ptaków ożywiają ubogi i dopiero stopniowo roślinnością pokrywający się pas lądu. *Wyspa kokosowa* czyli *Keelingsa* pomiędzy swemi 20 roślinami posiada niektóre przybyłe do niej z *Jawy* i *Australii*, co możebnem jest tylko w przypuszczeniu, że nasienia z *Jawy* będąc przypędzone aż do brzegów *Australii* północno-zachodnim wiatrem mussonem, i ztąd wspólnie z australijskiem nasieniem, dostały się za pomocą południowo-wschodniego passatu aż do wyspy *Keelingsa* zrobiwszy tym sposobem, pędzone na falach, drogę od 1800 do 2400 mil angielskich.

Najdawniejsi podróżnicy, którzy tylko postrzeegli te godne uwagi lagunowe wyspy, sądzili, że cała budowa z głębin morskich utworzona jest przez zwierzęta koralowe; pogląd który należało natychmiast zaniechać jak tylko postrzeżono, że koralowe budujące skały, nie mogą żyć głębiej nad 50 stóp pod płaszczyzną morską. Później sądzono że się to lepiej zgodzi z przypuszczeniem, że koralowe wykonywają swą budowę na brzegu wielkich

podmorskich wulkanów. Zapomniano tu o widocznem nieprawdopodobieństwie, że morze południowe powinnyby posiadać wiele tysięcy podmorskich wulkanów, które najdokładniej powinnyby być te same wysokości. Nie miano także względu przy tem tłumaczeniu na inne koralowe rafy, do których nie mogłoby się całkiem zastosować przypuszczenie podobnych podmorskich kraterów i pasm gór, gdyż rafy koralowe często ciągną się nieprzerwanie na długość 10 do 20 mil gdy zresztą na całej ziemi bezprzykładną jest rzeczą, żeby też sama wysokość ciągnęła się choćby na jedną milę.

Dopiero *Karol Darwin*, który w latach od 1832 do 1836 towarzyszył kapitanowi *Fitzroy* w jego podróży na około świata objął wszystkie wspomniane fakta w jedną całość i powiązał je jedną objaśniającą teorią. Szczególnie go w tem wspierała dokładniejsza znajomość właściwego życia koralowych zwierząt, przedstawiająca się mu jako gruntownie wykształconemu Zoologowi jaśniej aniżeli innym nie tak przyjaźnie uposażonym podróżnikom.

Granica wzrostu koralów oznaczoną jest w górze najniższym stanem wody, gdyż zetknąwszy się ze słońcem i powietrzem natychmiast one umierają. Nigdy one nie budują w mętnej ani też w spokojnej wodzie, lecz dziwnym sposobem tylko pośród najgwałtowniejszych bałwanów, tak dalece że tu siła żywotności wytrzymuje zwyciężką walkę z niszczącą najtwardsze masy skał siłą fal morskich. Rozważając wszystkie te szczególności, obejmując pilnem okiem wszystkie rozmaitości w tworzeniu i powstawaniu koralowych raff, przyszedł Darwin do tego niespodziewanego wypadku, że istotną, wszystkim tym zjawiskom służącą podstawą, nie jest budowanie koralów, lecz raczej stopniowe podnoszenie się lub opuszczanie się gruntu na którym koralowe naprzód rozpoczęły swą budowę. Prawdziwie godną podziwienia jest rzeczą jak prosto za pomocą tego przypuszczenia, z jednego i tegoż samego geologicznego zjawiska, dają się wyprowadzić wszystkie rzeczywiście zdarzające się zjawiska. Wyobraźmy sobie wyspę w zakresie skałę tworzących koralowych polipów; ustala się one na około niej i zaczynają swą budowę w takiej odległości od brzegu, że sprawiony ruchem fal u brzegu zamęt wody, nie przeszkodzi wcale pracowitym zwierzątkom. Jeżeli one tym sposobem wykonały około wyspy aż do wierzchu najniższego stanu wody, skalistą ławicę, to mogą

przynajmniej na zewnątrz budować ją w szerz. Lecz teraz fale będą wywierały swą siłę; nie jeden kawał koralowej skały oderwie się i wyrzuconym zostanie na ławicę oraz zgruchotanym przez tarcie się, przerwy zostaną zapełnione i zalepione prochem i wodą morską, i tak dalej aż póki ława nie zostanie tak wysoko wyniesioną, że już jej nie dosięgnie morska fala. Jeżeli teraz cała wyspa, jak *Tahiti*, zostanie powolnie siłami wulkanicznymi wyniesioną po nad fale, to koralowe zwierzątka pozamierają w powietrzu, a wtedy średnie wyższe części wyspy, otoczone są wieńcem koralowych skał i opok, po za którymi dopiero zaczyna się brzeg bardziej płaski. Taki najdokładniej jest stan w jakim się musiał znajdować Turyngski las w owym czasie, kiedy największa część Niemiec była jeszcze pokrytą morzem, z którego naksztalt turyngskiego lasu, jako górzyste wyspy, sterczały tylko wyżyny Harz, Taunus i niektóre inne pnie gór.

Daleko jednak rozmaitszemi będą obrazy jeżeli wyspa zostawszy otoczoną koralową ławicą, zamiast być podniesioną, opuści się.

Tutaj to ląd niepowrotnie zginął w Oceanie, nie jak rafa koralowa, gdyż w miarę tego jak się ona pogrąża w wodę, polipy zawsze zyskują przestrzeń do budowania w górę, wodne zaś fale ciągle podnoszą wyższą powierzchnię wyrzucając po nad jej powierzchnią odłamki i piasek. Prędko jednak tym sposobem ławica oddala się od coraz zmniejszającej się wyspy, chociaż i rafy koralowe, wznosząc się w górę, coraz się więcej zewężają przez to, że zewnątrz fale ciągle coś z nich obrywają i niszczą. Nakoniec zanurzył się w wodzie ostatni najwyższy szczyt wyspy i nic więcej nie pozostaje tylko okrągła koralowa ławica otaczająca zawartą część wody zabezpieczoną od wznoszenia się i uderzania fal. Gdy znowu nastąpi zniżanie się odbywające się za nadto prędko by budujące koralowe mogły pospieszyć ze swą pracą, tworzy się ztąd pod wodą kolista, wirująca rafa taka jaką naprzód Cook postrzegł. Tym sposobem dają się najzupełniej wytłumaczyć wszystkie na pozór nic nieznaczące osobliwości w budowie wysp koralowych, lękam się jednak, ażebym nie znudził wchodząc w zanadto wielkie wyszczególnienia.

Zwracam się raczej do tych, którzyby mogli odrzucić jako dziwaczne całe to mniemanie, że bez widocznych wulkanów mogą się wyspy powoli podnosić i opuszczać, z tego względu, że nie idzie

tu rzecz o małą jaką wysepkę lecz o cały obszar morza południowego i wschodnio-indyjskiego obejmującego wiele tysięcy mil kwadratowych. Przywykliśmy uważać ląd za coś stałego a morze za coś ruchomego, a jednak w oczach badacza natury właśnie rzecz ta ma się odwrotnie. Morze niezmienne utrzymuje też samą średnią swoją wysokość, gdy ląd nieraz stosownie do tego niezmiennego swego poziomu, zmienia swoje położenie. Darwin postrzeżeniami swemi dowiódł, że na morzu południowym leżą obok siebie wielkie pasy, na których naprzemian odbywa się podnoszenie i zniżanie. Do takiej okolicy zniżania się należy także i *Nowa Hollandya*. Szczególna ta część świata, nie będąc wcale nowym lądem, z całą swoją dziwną z niczem prawie nie spokrewnioną florą, z całym swoim zwierzęcym światem, w rozmaitym względzie mocno przypominającym dawno minione peryody tworzenia się ziemi, jest zgrzybiałym umierającym starcem, którego stopniowo pochłaniają fale.

Zanadto wiadomo, że przy wulkanicznych wybuchach mogą powstać nowe góry i wyspy, to jest: góry dna morskiego, żeby jeszcze potrzeba było przypominać niezliczone przykłady o wzgórzach przy *Methone* aż do *Jorullo* w *Mexyku*, o nowych wyspach przy *Santorynie*, aż do nowych wysp przy *Unmak* pod *Alentami*. Przekonano się bo też dosyć już nad tém zastanowiono się, według najdokładniejszych postrzeżeń w *Chili*, że przy gwałtownych wybuchach i trzęsieniach ziemi całe przestrzenie lądu znacznie się podnoszą. Podobnym podniesieniem w czasie trzęsienia ziemi 20 Lutego 1835 r. zmieniona własność dna morskiego była przyczyną zguby zostającej pod rozkazami kapitana *Fitzroy* frzegaty „*Challenger*“ w skutek czego kapitan oddany został pod sąd wojenny i naturalnie, że usprawiedliwiony został.

Przeciwnie daleko niewiarogodniejszą od tych przemian, przy których widzieliśmy wprowadzone w grę potężne siły, okazuje się, że bez wszelkich konwulsji ziemi, bez żadnego nadzwyczajnego zjawiska zwracającego uwagę człowieka, mogą się podnosić lub zniżać całe przestrzenie lądu, a jednak bezsporną tu jest prawdą i zdarza się może w największej części ziemi.

Łatwo to pojąć, że podobne niepostrzeżone zmiany w pośrednim lądzie rzadko można wykazać; wiadome zaś mi są tylko dwie tego rodzaju wzmianki. Jedna pochodzi od *Baussingaulta*, który z po-

równania wymiarów swoich granicy śniegów na kordyljerach *Bogoty* z wymiarami 50 lat wprzód zrobionemi przez Aleksandra Humboldta, wniósł, że góry te od owego czasu musiały się zniżyć gdyż linija śniegów na nich, bez widocznych klimatycznych przyczyn, wyżej na nich się posunęła. Inną wzmianką jest opowieść żyjąca w okolicach *Jeny* tycząca się tego, że wieża miasta *Jeny* daje się teraz widzieć z oddalonych punktów, z których przed 80 laty, z przyczyny znajdujących się pośrednich gór, nie można było dostrzedz. W tym jednak przypadku daleko podobniejszym jest do prawdy, że wyrąbanie pośrednio-leżącego lasu, tak nazwanego lasu *Schältyer* na części *Landgrafa* jest przyczyną tego zjawiska.

Tymczasem podobne wzniesienia się i zniżenia lądu przy brzegach, dają się dowieść według praw hydrostatycznych będącego w równym zawsze poziomie morza. Już za czasów *Celsiusza* było to ustalonym, w przekonaniu mieszkańców zachodnich i wschodnich brzegów Szwecyi faktem, że woda cofa się od lądu. Sam *Celsiusz* przedsięwziął dla tego dokładne poszukiwania, a rzecz sama nie uległa już żadnej wątpliwości, chociaż dopiero *Leopold Buch* wyrzekł prawdziwe objaśnienie, to jest: że cała Szwecya z wyjątkiem *Lehonen* leżącym na południu *Sölvitsburg* zwolna podnosi się z morza. Już *Celsiusz* dość dokładnie naznaczył nawet miarę tego podnoszenia się na 3 stopy w jedném stuleciu, tak dalece, że można przewidzieć, iż za kilka tysięcy lat można będzie suchą nogą przejść ze *Sztokolmu* do *Abo*. Wznoszenie się to coraz się zmniejsza od północy ku południowi; *Schonen* i *Bornholm* zostają nieporuszone, lecz za to też są jawne dowody względem powolnego zniżania się lądu w *Jutlandyi*, które się także rozciąga na pruskie brzegi Bałtyckiego morza. Zresztą wspomniane szczególne zjawisko wcale nie ogranicza się do jednych tylko tych okolic. Od czasu jak sławny angielski geolog *Lyell* wykazał imiennie okolice stopniowego podnoszenia się i zniżenia na wschodnich brzegach Ameryki, podobne fakta po części dawno już są znajome co do reszty Europy, tylko, że nie zawsze są objęte w całość i należycie ocenione. Cały prawie zachodni brzeg Szkocyi i Anglii, często aż do wysokości 500 stóp a nawet przy *Moel Tryfane* w *Caernarvonshire* do 1,000 stóp nad poziom morza, okazuje szeregami jedne nad drugimi stojące na brzegach ławice zawierające też same muszle które i

dotąd żyją w pobliskim morzu. Pomimo jednakłożonych starań w doskonałym niegdyś porcie *Hirt-he* w *Kent*, zamiast pływających okrętów pasie się dziś bydło. Lecz jawne te dowody stopniowego podnoszenia się lądu, któreby można pomnożyć niezliczoną liczbą przykładów, całkiem znikają ku południowemu cypłowi Anglii, a posuwając się dalej ku południowi wyraźnie wpadają nam w oczy przeciwne zjawiska

Tak jak koralowe zwierzątka na morzu południowym i na północnych także brzegach Niemiec i Holandyi walczą ludzie o utrzymanie ciągle zniżającego się lądu przeciwko wpadającym przez tamy wodom, które nieustannie muszą wznosić. Dotąd wszakże, bez niebardzo pomyślnego skutku. Tak niegdyś rozległa *Wschodnia Fryzja* w 1240 r. stała się w części pastwą morza, które, będąc jeszcze wtenczas kawałkiem 6 godzin obwodującym, wyspę *Nordstrand* całkiem od niej oderwało 11-go paździer. 1638 r. i ta także część została pochłoniętą i pozostały tylko małe wysepki, dzisiejsze *Nordstrand* i *Pelworm*. Coś podobnego sądzić należy o całym szeregu wysp rozciągających się wzdłuż brzegu morza północnego, a które się coraz więcej obrywają i niszczą. W 1277 r. wtargnienia morza powstały *Dollard* i *Zuydersee* a w 1421 *Biesbosch*. W 1532 uległa pod napływem wód wschodnia część południowego *Bewelandu* z miastami *Borselen* i *Remerswalen* i licznymi wioskami, jak równie w 1658 wyspa *Orisant* leżąca na północo-wschód *Nordbewelandu*. Na całym wschodnim brzegu *Jutlandyi*, podmorskie lasy i widocznie uprawny grunt w wodzie, okazują zniżenie się lądu. Lecz obok tych zniżeniu uległych okolic, zachodnie brzegi Francyi inny nam znowu przedstawiają obraz. W 1752 r. w *Bourgneuf* przy *Roszele*, angielski okręt uderzył się o ławicę ostrzgową i dotąd rozbitek ten leży na uprawnym polu wzniesiony o 15 stóp nad poziom morza. Sama gmina tego miejsca w ostatnich 25 latach zyskała na morzu przeszło 2,000 morgów zdatnego do uprawy lądu. Dawniej holandczycy wyładowywali swoją sól w porcie *Bahaut* leżącym dziś w odległości 1000 stóp od morza. *Olonne* będąca niegdyś wyspą, teraz połączona jest z lądem łąkami i niektórymi bagnami. Coś podobnego zastosować można do *Marennów* i na *Oleron*, a ciągnąc dalej tę linję spotykamy też same zjawiska na morzu Śródziemnem. W r. 1248 *Ludwik święty* wsiadł na okręt w sławnym wówczas porcie *Aigues Mortis*

leżącym teraz o godzinę drogi od morza. Jeżeli pójdziemy dalej ku Włochom, dają się zacytować ciekawe przykłady z Rzymu i Neapolu. Szczególniej sławny kościół *Serapisa* przy *Puzuoli*, którego trzy kolumny w znacznej wysokości okazują szeroką pręgę wygryzioną przez świdrujące muszle, staje jako nieprzeparte świadectwo o dawniejszem niżeniu się aż do tej głębokości i że się on dopiero później podniósł. Goethe wybrał także ów kościół za przedmiot badań w przyrodzono-naukowych swoich *Studjach*, lecz niestety nie tak mu był przychylnym naukowy jego jeniusz, jak jego muza i w tym względzie, tak jak w niektórych innych przypadkach, znacznie on pobił. Teraz wodą zalana posadzka kościoła pokazuje powtórne niżenie się dna, a niedaleko z tamtąd będący stary mnich, kapucyn, opowiada, że w czasie swojej młodości zbierał on w klasztornej winnicy winogrona tam, gdzie teraz na temże samem miejscu wesoło kołyszą się rybackie łódki. Lecz porzucmy te okolice, w których poruszenia lądu wyraźnie związane są z wulkanicznymi zjawiskami, a zwróćmy się raczej ku morzu Adryatyckiemu. Wiadomo jak niezmierną ilość mułu i kamyków wyrzuca corocznie Po, w dolnym kącie morza adryatyckiego, a zmniejszenie wody i podniesienie dna morskiego, stanie się bardzo naturalnem zjawiskiem. I rzeczywiście w pewnym względzie ma to miejsce; lecz tem bardziej musi nas zadziwić jeżeli mamy przed sobą najniewątpliwsze dowody, że pomimo tego, cały ten ląd zniża się. Wprawdzie powolnie ale nieustannie, stare, szanowne miasto Dożów, Wenecya pogrąża się w otchłań morską. Gdy już w 1722 r. potrzeba było bruk na placu Ś. Marka podnieść o jedną i pół stopy, przy zerwaniu go znaleziono jeszcze o 5 stóp głębiej bruk, który wówczas leżał o jakie 3 do 3½ stóp pod poziomem wody, a teraz znowu przy każdym podniesieniu się wody, napływają ona do magazynów i kościołów na tym placu. Nie mniej jawne dowody daje *Tryest*. W *Zara* najpiękniejszy bruk mozaikowy znajduje się pod wodą. Na południowym cyplu wyspy *Braganitz*a przy spokojnem morzu postrzega się szereg ustawionych obok siebie kamiennych Sarkofagów. Też same zjawiska uważać możemy wzdłuż całego brzegu Dalmacyi.

Jak tylko Anglik *Wilde* nadzwyczaj starannemi postrzeżeniami na ruinach i porównaniem z historycznymi wzmiankami dowiódł, że cały brzeg małej Azji, od *Tyru* aż do *Alexandryi*, od czasu Rzy-

mian powolnie zatapia się w morze, zaraz też i Murchison w swojej Geologii Rosseyi podał najpewniejsze fakta, że północna Rosya i Syberya, od czasu kiedy w tych krajach ogromne mammuty żywcem zostały zagrzebane, ciągle i nieprzerwanie podnoszą się z wód Lodowatego morza; a bardzo jeszcze niedawno Dr. Pingel z Kopenhagi licznymi przestrzeniami dowiódł stopniowego zatapiania się w morzu Grenlandyi. Słowem jednym gdziekolwiek teraz badaniami swemi zwróćmy się Geologowie, których uwagę obudzili Celsiusz i Leopold Buch pokazuje się podnoszenie lub niżenie się lądu, a studja geologii dają nam poznać, że zjawiska te, niczem nowem nie są w historii naszego planety lecz że przynajmniej na wiele set tysięcy lat przedtem taż sama gra oznaczyła i zmieniała geografją ziemi.

Z jakkolwiek uważnem okiem patrzalibyśmy na wskazówkę godzinową zegarka, nie będziemy jednak w stanie zauważać posuwania się jego, gdyż do tego potrzeba, ażeby w pewnym czasie przebiegła ona oznaczoną, nie bardzo małą, przestrzeń. Równie też poruszenie godzinowej wskazówki nie jest prawdziwszem i pewniejszym jak poruszanie się ziemi pod naszymi nogami, którego także nie możemy bezpośrednio zauważać, gdyż ono zanadto powolnie się odbywa, ażeby mogło wpaść pod oczy.

Według historii pisanéj przez człowieka, dramat ludzkiego rozwoju odgrywa się na gruncie tak zwanego stałego lądu. W jakiejże sprzeczności staje w przypuszczeniu niezmienna jeograficzna podstawa ruchliwości i poruszalności rodu ludzkiego; góra i dolina pozostają temiz samemi, lecz do jakichże zmian i rozwoju nie zdolną jest ludzkość? i jakże wielkimi są postępy, które ona już odbyła! Może też ich i nie odbyła!

W końcu zależy to od punktu stanowiska widzenia z jakiego się na rzeczy zapatrujemy. Przez użycie siły pary możebnem stało się dla człowieka, wznieść się w pewnym względzie po nad przestrzeń i powiązać z sobą w stosunkowo bardzo krótkim czasie pogląd na dwa oddalone miejsca. Według doświadczeń inżynierów na wielkiej zachodniej żelaznej kolei (*great westém rail road*) w Anglii ma być możebnem w prostym kierunku porównać z sobą w dwie i pół godziny Londyn z Paryżem, a w półtorej godziny Hamburg z Berlinem. Przypuśćmy tylko, żeby człowiekowi dozwolonem było w podobny sposób uczynić się niezależnym

od czasu i połączyć w jeden pogląd to, co wiekami jest rozdzielonem wpatrując się w historią naszą ziemi okiem Tego, przed którym tysiące lat stają się ulotnem mgnieniem oka; jakże odmienny byłby to widok! To co pozornie jest stałe i trwałe, zamieniłoby się z tem co się wydaje ruchomem i zmiennem. Ujrzelibyśmy tu ład nakształt wzburzonego morza przyplływający i odpływający a w drugiej chwili znowu w wodzie pogrążający się; tu góry piętrzące się, potem rozpadające się a w sekundę potem znowu wyrastające na również

niezmienne morze. A ludzkość? Okazywała ona przez wszystkie przeszumiałe tysiące lat tenże sam stały obraz. Na ulicach i placach, w świątyniach i kościołach zgromadza się milczący tłum około jednego wielkiego nauczyciela, każącego też same nauki mądrości tymże samym głuchym uszom od Chrystusa do Lutra, od Konfucjusza do Kanta. Tak było i tak będzie! Tylko przyroda posiada żyjącą historią stawania się. Ludzkość cicho stoi na przodzie, a w każdej jednostce rozpoczęta stara walka pomiędzy skłonnością i obowiązkiem.

SŁÓWKO O GAZECIE.

Pewne okoliczności zmusiły mnie na parę tygodni opuścić Paryż, w czasie najświetniejszych jego zabaw karnawałowych, ażeby się wydalić do małej wioseczki położonej w Pireneach.

Przed samym wyjazdem, poczciwy B. mieszkający od 1831 roku ciągle w Paryżu i będący od kilkunastu lat nieustającym korespondentem jednej z Polskich Gazet, proszony o zaopatrzenie mnie w książki podczas mego kilku-tygodniowego dobrowolnego wygnania, przysłał mi pocztą obszernie dzieło pod tytułem: „Histoire politique et littéraire de la Presse en France. Par Eugène Hatin.”

Nazwisko autora tego dzieła, znane mi zaszczytnie jako głównego Redaktora „Siècle,” rekomendowało mi to dzieło, z bardzo korzystnej strony i zajęło moje ciekawość — nie patrząc na to, że obszernych pięć tomów badań prawie czysto-bibliograficznych, mogłyby odstraszyć nie jednego... ale nudy, (choć winieniem tutaj nadmienić, że nudy w Pireneach, mniej mają ołowianej ciężkości aniżeli w innem miejscu,) przymusiły mnie przewertować 5 obszernych tomów; pomimo tego, że przedtem nieuczowałem w sobie nigdy dostatecznej cierpliwości do bibliograficznych badań... A ponieważ nudy były jedyną moją pobudką — w przeszłości, to i teraz nudy, ale z całą swoją ołowianą i pochmurną ciężkością, kładą mi pióro do ręki.

Dziennikarstwo w Europie i Ameryce, zyskało już dzisiaj sobie, niczem nieprzeczone prawo oby-

watelstwa, pomimo nawet różnych zoiloskich wysileń pomimo wszelkich starań uczynić dziennikarstwo adwokatem osobistych interesów...

Jak dla promienia słonecznego dosyć jest małego otworu, żeby wewnątrz ziemnego gmachu oświecić, tak dziennikarstwo w starym i spleśniałym gmachu Europy, od czasu do czasu już tu głosem broszur angielskich i brukselskich, już to okradkowymi promieniami stemplowanych gazet — zajmuje się ciągle wielką, chrześcijańską pracą: podniesieniem ludów...

Ze wszystkich punktów starej i nieruchliwej Europy, wschodzą już dzisiaj promienne gwiazdy, które daj Boże, żeby jak najprędzej oświeciły przestrzenie i przygotowały drogi do przyjścia najprawdziwszego Sakramentu — nauki Chrystusa...

Dzisiaj dziennik należy do potrzeb codziennych narodu, prawie równie koniecznych i niezbędnych jak chleb i woda... Francuzi, Anglicy, a nawet potrosze i my Polacy, tak przywykliśmy widzieć każdodziennie, nie tylko co się dzieje na naszym planecie, ale nawet przez szkła astronomów, zaglądamy na inne... Tak nas zajmuje wszystko, zacząwszy od jakiegoś skandalicznego wypadku w domu gry hamburgskiej lub w Bade-Baden, aż do najważniejszych pytań w kwestjach politycznych i konstytucyjnych. Tak powiadam, przywykliśmy do tego lekkiego i różnorodnego pokarmu chociaż, z bólem serca wyznać winniśmy, w wielu miejscach i bardzo często nadzwyczajnie nie zdrowo przyrządzanego, że zapewne wyobrażamy sobie że Dziennik (Gazeta) jeżeli nie jest tak starym jak

świat wyszły z potopu Noego, to przynajmniej rozwijał się z wydoskonaleniem sztuki drukarskiej równocześnie i równolegle, kiedy prawdziwe urodziny Dziennika nie dawniej jak 200 lat temu dopiero miały miejsce.

Wprawdzie zaciekli szperacze, nieomieszkali szukać śladów Dziennika, nie tylko u Greków i Rzymian, ale nawet mieli w silnym podejrzeniu pra starych Indyan i Egipcyan, przypuszczając, mianowicie u tych ostatnich, że zajadli faraonowie, podczas zbuntowania się żydowskiego i spisku Mojżesza, umieszczali listy gończe z najdokładniejszym rysopisem buntowników w Egipskich owoczesnych Dziennikach. Ale ponieważ, oprócz swoich przypuszczeń, uczeni, nie dali nam żadnych dowodów, a Jung i Champollion pomimo to, że odczytali wszystkie hieroglify egipskie, a przynajmniej zdaje im się, że to zrobili, jednakowoż nieznaleźli żadnego śladu ani najmniejszej wzmianki o Dziennikach Urzędowych na sfinksach i piramidach egipskich; początek przeto Gazety, z czystym sumieniem, możemy odnieść do bliższej cokolwiek epoki.

Dziennik (Gazeta) urodził się prawie równocześnie we Francji, Anglii i Hollandji w początku XVII wieku, zaszczyt jednakowoż tego wynalazku Pan Hatin przypisuje Francji: wprawdzie Wenecya, miałaby prawo przeciwko temu wyrokowi wystąpić, na zasadzie, którą zaraz przytoczymy, ale ponieważ Francya doczekała się pracy P. Hatin, a biedna Wenecya, pomimo rządów austriackich, nadzwyczaj rozwijających narodową literaturę, doczekać się go nie może, poprzestać więc poniekąd musimy na zdaniu P. Hatin, który jest wyższym nad etymologję w ogóle i nad etymologję tego wyrazu „Gazete“ w szczególe; jak to w tej chwili zobaczymy...

Badania ściśle naukowe pokazują, że nazwa Gazety, była dawana w Wenecyi małym świstkom drukowanym (arkusikom) zawierającym w sobie wiadomości polityczne podczas wojen z Turcyą tego handlowego grodu, w których to świstkach zamieszczały się bieżące wiadomości z pola bitwy, a które czytane były na placu S-go Marka, za co ciekawo płacili małą srebrną monetą, nazywającą się „Gazeta“, która to nazwa pozostała później i na samych arkusikach

Znaleźli się ludzie złośliwi, a takich, niestety, w żadnej epoce braku nie było, którzy chcieli wmówić w łatwowierną publiczność, że etymologja te-

go wyrazu: „Gazeta“ pochodzi od słowa „gazza“ (sroka), która w całym świecie jest symbolem gadulstwa, ale na ten raz szanowna publika nie dała się uwieść dowcipnemu omamieniu — co jój w każdym razie przynosi niezaprzeczony honor i zaszczyt.

Ostatniemi czasy, Niemcy chcąc powetować stratę Kopernika, którego narodowość tak niezręcznie i niefortunnie chcieli wykraść Polsce, umyśleli wynalazek Gazety sobie przywłaszczyć, ale i w tym razie nie byli szczęśliwsi od sumiennych swych ojców...

W pierwszej połowie XVII wieku, zamieszkał w Paryżu, młody doktor Medycyny, który wkrótce stał się nadzwyczaj popularnym.

Nazywał się: Teofrast Renado.

W roku 1620, jeżeli mnie pamięć nie myli, Teofrast Renado otrzymał w Paryżu urząd nadwornego doktora, dokąd przybył podobno z Montpellier następnie kardynał Richelieu oceniając zdolności młodego medyka, naznaczył go naczelnym inspektorem nad rannymi w całym królestwie Francuzkiem. Zajmując to ważne miejsce Renado odznaczył się niemniej starannością i pilnością, jak i wielką znajomością swjej sztuki, pomimo tego, że paryzki Fakultet medyczny, ciągle prześladował odmawiając mu jednej i drugiej.

Tyle o Teofrascie Renado, jako o doktorze.

Pomówmy teraz o nim jako o założycielu pierwszego Dziennika politycznego w Europie!

Pomimo ciężaru swego podwójnego urzędu, Renado, umiał jeszcze znaleźć dość czasu, do zajęcia się najrozmaitszemi pomysłami, które jego obfity w wynalazki umysł zdołał wprowadzić w wykonanie — i tak:

Renado pierwszy urządził w Paryżu Lombard (mont de piété), gdzie potrzebujący pieniędzy, dostawali na zastaw takowe w każdej porze dnia i nocy, płacąc za pożyczkę bardzo umiarkowany procent (3%).

Otworzył następnie pierwszy w Paryżu Kantor Informacyjny (Dom Zleceń) w którym się załatwiały rozmaite handlowe interesa, jako to: wiadomości o nadeszłych towarach, adresa rozmaitych fabryk i fabrykantów, reklamy kupców, pochwały kupujących i t. p.

Zdaje się nam zbyt cieżko powiedzieć, że podobnie szczęśliwy pomysł, a mianowicie jeszcze

w czasie, w którym te zwabiające środki, były dla publiczności rzeczywistą nowalijką, przyjął się jak najlepiej w Paryżu, który zawsze pasjami lubiał wszystkie nowalijki i siurpryzy...

Tym sposobem ruchliwy umysł Renado mógł śledzić za wszystkimi wypadkami i nowościami Paryża, za pośrednictwem swego informacyjnego kantoru, a przyjaciele, których miał pod dostatkiem zawiadamiali go o nowościach na prowincji a nawet z zagranicy. Oprócz tego Renado miał niewyczerpany zapas facecyj i anegdot; zmyślał i kłamał jak człowiek z najbujniejszą wyobraźnią, zabawiał przeto swoich klientów i pacjentów, a ci ze swojej strony nie tylko, że go szanowali jako zdolnego medyka, ale i chwyтали i kochali jako wesołego i przyjemnego biesiadnika.

Dostrzegłszy w publiczności, niepohamowaną skłonność do nowinek i plotek, Renadowi przyszła myśl arcyszczęśliwa, żeby takowe starannie spisywać na oddzielnych kartkach, które następnie rozdawał swoim znajomym, zdrowym i chorym, w celu zaoszczędzenia sobie cokolwiek czasu i języka. Kartki te tak miały ogromne powodzenie, z taką chciwością je chwytało i rozrywano sobie, że doktor wkrótce przekonał się, że pisać ich nie nadąży, postanowił je przeto drukować.

I tym sposobem narodziła się Gazeta...

Taka jest tradycja o pierwszej Gazecie i nie w tém dziwnego, że Renado przez swoje kantory informacyjne, uczyniwszy głośnemi, nie jako publicznymi stosunki handlowe, umyślił za pomocą Gazety wprowadzić to samo i w stosunki polityczne, a tembardziej, że może gdzie czytał o weneckiej Gazecie. Richelieu zaś, umiał dostatecznie ocenić ważność i wpływ takiego pisma, a zwłaszcza kiedy jest umiejętnie i zgodnie z widokami rządu redagowanem, udzielił więc Teofrastowi Renado urzędowe pozwolenie.

Że Renado wiedział o istnieniu weneckiej Gazety, to naprowadza nas na myśl, że nadał swemu Dziennikowi miano „Gazeta,” który zacząwszy od 1631 roku aż do dnia dzisiejszego, wychodzi w Paryżu; mając więc teraz lat 230 wieku, słusznie się może mienić prababką całej tak wielkiej rodziny gazeciarskiej, tak rozmnożonej w Europie i Ameryce; pierwszym zaś jej synem, podług starszeństwa chronologicznego, jest rządowy Dziennik „*Postosch Inrikes Tidning*.”

Jak już wyżej powiedzieliśmy, Richelieu dobrze zrozumiał, że Gazeta może stać się silnym narzę-

dziem w rękach rządu, posyłał bardzo często do Renado obszernie artykuły własnoręczne, w przedmiotach i kwestjach, które chciał, żeby pokazane były Europie, w świetle, w jakim sobie życzył przebiegły minister Ludwika XIII.

Utrzymuje p. Hatin, że sam Ludwik XIII, nieraz sekretnie *Lonore* opuszczał, udając się do gazeciarskiego kantoru, do którego wejście oznaczone było szyldem, na którym wyrysowany był *Kogut*, jako emblemat krzykacza; w terażniejszym czasie, gdyby kantory gazeciarskie opatrzone były szyldami, bez zaprzeczenia, *Kaczka*, mogłaby zamienić koguta. Tutaj to król zawojowany przez kardynała, dozwalał sobie rozmaitych dowcipków, jakby chcąc sobie powetować ceremonialną etykietę, która go krępowała na dworze. Tutaj to król, ze starym dowcipniejszym Renado, puszczał się w najoryginalniejsze dysertacje, udzielał sekretnie swemu przyjacielowi, małe, skandaliczne nowinki swego dworu, z całą mocą zatajonej złośliwości obmawiał kardynała i jego przyjaciół; na swoją ukoronowaną małżonkę rzucał dowcipne epigramata, jedném słowem z całą przyjemnością słabości mścił się za bezczynność, na jaką go skazał despotyczny kardynał; z tego wszystkiego zręczny Renado umiał doskonale korzystać, pod zasłoną anonimu i tarczą opieki królewskiej.

Dziwna zaiste rzecz, że Ludwik XIII, który nigdy nieumiał okazać swojej woli, który w obecności kardynała i królowej, nieośmielał się nawet głośno mówić, był jednym z najbardziej działających i najdowcipniejszych współpracowników Gazety Teofrasta Renado.

Jeżeli król miał jaką familijną, domową nieprzyjemność, na jakich mu z łaski Anny austriackiej nigdy niebrakowało, to za pośrednictwem anonimu i Gazety wynurzał swoje zatajone żale przed publicznością, głośno mówił o swoim nieszczęściu i żałośnie wyrzekał przed ogółem, czegoby nigdy nieśmiał wprost uczynić w obecności srogiego ministra i niewiernej żony.

Była to wprawdzie za słaba, ale jedyna tylko możebna zemsta zawojowanego króla, którą mógł wyrzucić na znienawidzonych przez się kardynała i małżonkę...

Po śmierci króla, kiedy Anna Austriacka ogłoszoną została rejentką państwa, prawie natychmiast pociągnęła Renada do surowej odpowiedzialności, za złośliwe artykuły wymierzone przeciwko swjej osobie... wtedy przebiegły Redaktor uspra-

wiedliwiając się w swojej niewinności, dowiódł własnoręcznym królewskim pismem, że pomienne artykuły, których treść i złośliwość on sam, *comme de raison*, w najwyższym stopniu potępia, są pisane własną ręką nieboszczyka króla, któremu biedny Redaktor, jako wierny i posłuszny poddany, nie mógł zabronić Jego Królewskiej Mości pisać co się Jój podobało.

Oczyszczona z tak niebezpiecznego zarzutu Gazeta, zyskała jeszcze większe względy w czytającej publiczności..

Kardynał Mazarini, także bardzo sprzyjał Gazecie i potęgował Redaktora, którym się nie raz bardzo z ręcznie posługiwał; co jednakowoż nie przeszkadzało bynajmniej, żeby Gazeta nie miała mnóstwa najzaciętszych nieprzyjaciół we wszystkich warstwach francuzkiego społeczeństwa, zaczawszy od dumnych i krótko widzących magnatów i prześwietnych członków francuzkiej akademii, a skończywszy na jakim prostym szlachcicu gaskońskim.

Nie umiemy powiedzieć, czy Renado, znał starodawne polskie przysłowie, *jeszcze się ten nie urodził, coby każdemu dogodził*, czy był umocnioną jaką inną filozoficzną sentencją; dosyć, że z tych wszystkich nienawiści nie a nie sobie nierobił i nigdy nieodpowiadał wprost na tysiączne czynione mu zarzuty, lecz za każdą zdarzoną sposobnością, mścił się za nie na swoich przeciwnikach znienacka i bez miłosierdzia, ostremi epigrammatami.

Do dzisiejszego dnia jeszcze przechowują się w starych bibliotekach francuzkich całe foljały satyr, ulotnych wierszyków, złośliwych artykułów i broszur, wymierzonych przeciwko biednemu Renadowi, pierwszemu odpowiedzialnemu Redaktorowi, który, jakby na większe swoje nieszczęście,

mając lat blisko siedemdziesiąt, ożenił się z młodą panią, nadzwyczaj wolnych zasad moralności; ożenienie to niefortunne, posłużyło za niewyczerpany temat, do najoryginalniejszych szykan i najwyuzdańszych obelg przeciwko siedemdziesięcioletniemu adonisowi Redaktorowi...

Mieliśmy sami sposobność odczytania w bibliotece Mazariniego parę podobnych satyr, w których opisywano nieszczęścia biednego siedemdziesięcioletniego małżonka, tak jasno i dotykalnie, że tylko sielankowa naiwność XVII stulecia mogła ścierpieć w druku podobne szczegóły i detale.

Zastanowiwszy się nad olbrzymiem znaczeniem dziennikarstwa, a mianowicie w dzisiejszych czasach, pomyślawszy nad ogromnym wpływem jaki Gazeta wywiera na całe masy i narody; przyznać musimy, że Gazeta Teofrasta Renado, była zaledwie słabym cieniem tego, czem w rzeczy samej być mogła...

Ale prawda, nieodrazu Kraków zbudowano. W każdym jednakże razie ś. p: Teofrastowi Renado należy się niezaprzeczenie zaszczyt ulepienia ciała, przygotowania formy, której niedostawało, bagatelki tylko... *duszy*.

Dopiero rewolucya francuzka, popchnąwszy cały świat naprzód, rozwiązując po aleksandrowsku węzeł gordyjski, zacieśniony tyloma wiekami i przesądami... nadała i Gazecie kierunek prawdziwszy, natchnęła w tę przygotowaną przez Teofrasta Renado formę — ideę wielką i prawdziwą.

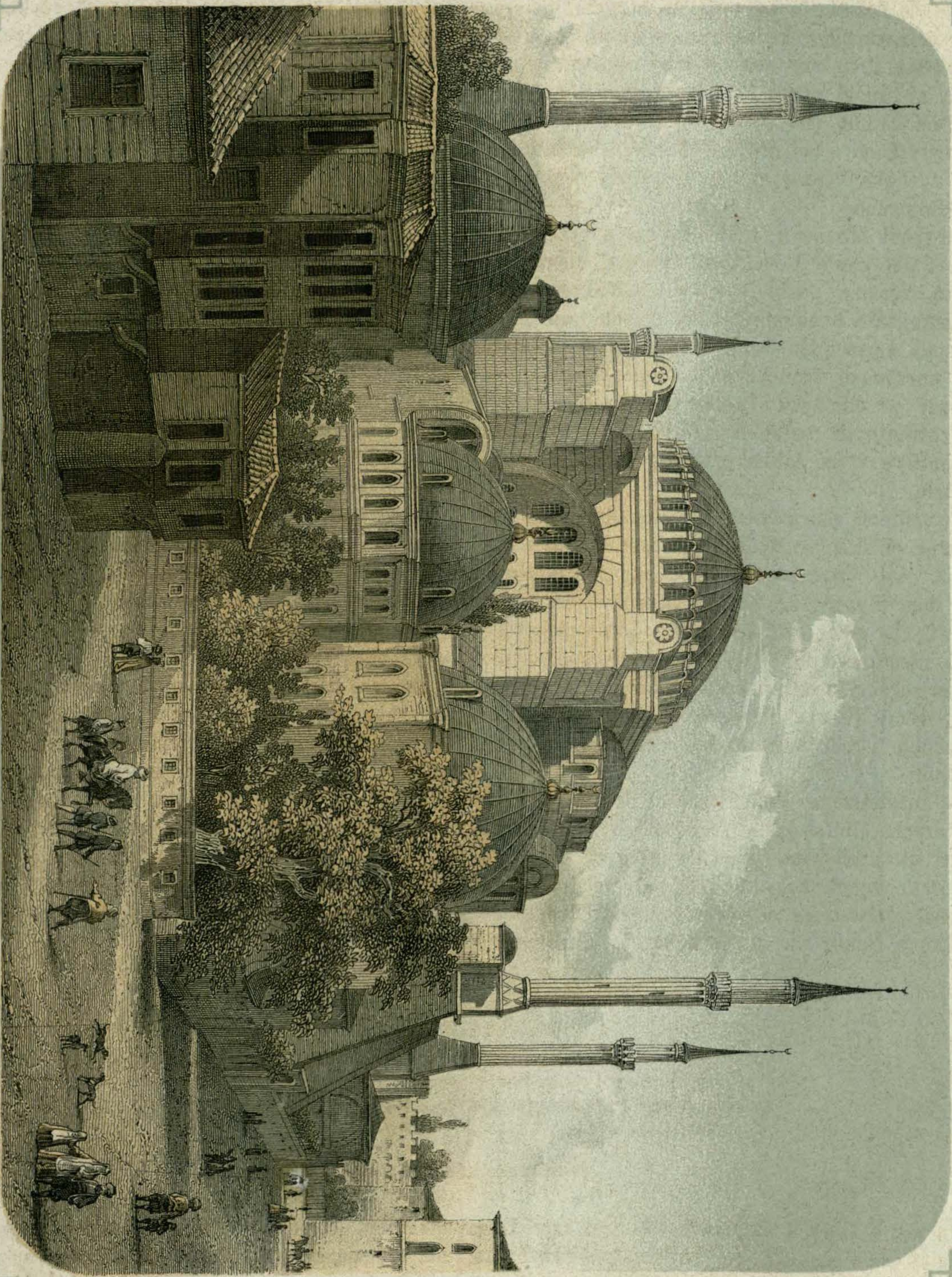
Głównie też od rewolucyi francuzkiej zaczyna się nowa epoka dla Dzienników, Gazet i od tego czasu liczyć można początek Dziennika politycznego.

SPOTKANIE W ŚWIĄTYNI Ś. ZOFJI.

(Z RYCINĄ KOLOROWANĄ).

Na marmurowych stopniach Ołtarza, czci Boga Rodzicy poświęconego, we wspaniałym przybytku, siedziała piękna Greczynka, więcej zadumaniu niż modlitwie oddana. Jakiż to niepokój osiadł na jój

gładkiem czole? dla czego niecierpliwe spojrzenia rzucają ku drzwiom jój duże czarne oczy? Oto oczekuje ona, czy nie spotka się z młodym Teodorem narzeczonym swoim. Rozpatrując się w wy-



S. SÖPHIEN - MOSCHEE
(Constantinopel.)

razie twarzy pięknej Ireny, odgadłby każdy, że ten niepokój, to oczekiwanie, nie z czystej pochodziły miłości: było coś zalotnego a razem coś oschłego w spojrzeniach, które dla skrócenia, jak zdaje się, niekiedy rzucała na uzbrojonych młodzieńców przybyłych jak widać, ażeby gotując się na wojenną wyprawę, cześć Bogu złożyć. „Jak na złość gotów dziś nie przyjść! a mówi, że codzień w cerkwi być musi“ rzekła do siebie niecierpliwając się Irena. Ledwie dokończyła monologu, gdy nagle ktoś mówi cicho; obejrzała się, poznawszy głos Teodora; oczy ich spotkały się a wyraz ich smutną uderzał sprzecznością: w spojrzeniu Teodora widać było głębokie uczucie; zaś oczy Ireny, pomimo lekkiego uśmiechu na ustach, zdradzały obojętność.

„Jaką masz do mnie prośbę,“ zapytała.

„Ojciec mój w ważnej sprawie, wysłał mnie do Anatolii — w krótko jechać muszę, pozwól aby ślub nasz odbył się pierwój. Matka twoja już mi to obiecała, idę od niej — idzie tylko o ciebie, nie odwlekaj dłużej szczęścia mego! zaklinam cię!

„Ja także mam do ciebie prośbę—odparła z ironicznym uśmiechem Irena, ale wprost twojej przeciwną.“

Słowa jej równie jak uśmiech przeszły bólem serce Teodora, jakby jakieś przecucie wielkiego nieszczęścia.

„Nie pojmuję cię Ireno; od niejakiegoś czasu jesteś zupełnie zmienioną — czyś ty kochała kiedy? powiedz.

„Czy ty mnie kochasz teraz? podchwyciła Irena.

— Czyż możesz pytać? szepnął Teodor i rzucił na nią głębokie, pełne miłości spojrzenie tak, że na chwilę jakby wzruszona prawdą uczucia, zawałała się Irena — czy ma mówić dalej. Wkrótce jednak wróciła do pierwotnego postanowienia i odważnie, lekko, jakby prosić miała o kupienie naszyjnika lub djademu, rzekła do niego:

— Jeżeli mnie istotnie kochasz, to mi dasz dowód, wyrzekając się mnie na zawsze. Ja twoją nie będę; nic mnie nie przymusi do zawarcia z tobą ślubu. Jeżeli mnie prawdziwie kochasz, nie będziesz się sprzeciwiał mój woli. Porzuć mnie, pojedziesz do Anatolii, ożenisz się z inną. Ja ci przysięgam u stóp tego Ołtarza, że cię nigdy nie poślubię.“

Teodor, jakby rażony piorunem, zdołał zaledwie kilka skleić wyrazów, niby do wyrzutu, niby do prośby podobnych. Irena znów czuła się wzruszoną — ale znów starała się, jakby słabość jaką,

stłumić głos, jaszczce nie zupełnie zagłuszony, sumienia.

— Żegnam cię — rzekła oddalając się Irena. „Słyszałeś moją przysięgę — łatwo ją dotrzymam, bo ci wyznaję, że nie kocham — rada będę jak sobie rychło inną wybierzesz.“ Z oddaleniem się Ireny, odzyskał biedny Teodor przytomność umysłu. Pospieszył za nią a dopędziwszy gdy wychodziła ze świątyni: „Niewierna! — zawołał — „więc to prawda, co mi mówiono; przyjmujesz zaloty Rzymianina, dla tego, że ma złoto! że w Senacie jest już wielkim dygnitarzem! Pamiętaj żeś ciężką popełniła zbrodnię zabijając w sobie uczucie, odpychając prawe, kochające cię serce! Bóg pomści się krzywdy mój, choć ja ci przebaczam! Nie życzę ci doznać piekła jakie mam w tej chwili w duszy! Obrałaś świątynię na zabicie twój ofiary, oby ona kiedyś dla ciebie grobem ciężkim nie była!“

Domawiając słów tych, wbiegł w ulicę, blady, napół ledwie przytomny Teodor. W pierwszej chwili tknięta do żywego boleścią jego, przerażona jego słowami, jakby przepowiednią, Irena, chciała pogonić za nim, lecz ona już się była nauczyła, acz w krótkim jeszcze życiu, lekceważyć i odpychać popędy szlachetne nie zgadzające się z jej zdołaniami chęciami: i tym razem także zatrzymała się, przystanąła, otarła zimny pot z czoła i w przeciwną ku domowi udała się stronę, spiesznym lubo drżącym krokiem. Czuła bowiem, że zabiła człowieka — ale jak zwykle dla własnej wygody, zaczęła sobie na dobre postępek swój tłumaczyć. „Jestem uboga, on nie bogaty, zlem zrobiła, żem od razu od niego nie stroniła — ach! bo z razu tak mi się podobał, że nie mogłam — teraz lepiej — i dla niego lepiej — nie kocham go już, nie byłby więc szczęśliwy.“ Takie i tym podobne uwagi uspokoiły sumienie Ireny. Matka ślepo ją kochająca, wszystko widziała jej oczyma, sądziła jej sądem. Dumną była z jej nadzwyczajnej piękności, ufała w siłę jej, miała nadzieję, że przez małżeństwo podniesie swój dawny ród, po którym tylko pamięć sławy i część walącego się w ruiny domu, kilka marmurowych posągów jej się dostało. Dla tego niechętnie z razu przyjęła oświadczenia młodego Teodora, syna mężnego wojownika, ale zupełnie posiadającego mienie, nie sprzeciwiała się jednak córce i w końcu sercem się przychyliła do wybranego przez nią młodziana. „O! nieszczęśliwy Teodor“ — zawołała, gdy jej Irena, w krótkości spotkanie się z nim w cerkwi, opowiedziała. „Bądź

spokojna matko, zapomni o mnie, poślubi inną, tak mu zaleciłam.“ „Alboż on będzie mógł zapomnieć ciebie mój aniele?“ Rozmowę między matką a córką, z wielkiem zadowoleniem ostatniej przerywały odwiedziny Rzymianina — pochlebiało matce, ile razy do ich ubogiego domu przybywał gość z liczną świtą, podług ówczesnego obyczaju; ale niewiedziała dla czego bytność Rzymianina tym razem zacieżyła jej na sercu. Uczyła, że on jest przyczyną zerwania z Teodorem i lubo widziała korzyści w tém małżeństwie, jakieś przeczucie mówiło jej, że córka jej zagrożoną być może jakimś nieszczęściem. A gdy Rzymianin mówił o pogłoskach, jakie o najściu Muzułmanów rozpuszczono, biedna kobieta po odejściu jego, rzekła ze łzami do córki: „nie pojęta trwoga ogarnia mnie o ciebie, dziecko moje! słysząc o zbliżaniu się strasznych najeźdźców pod mury naszej stolicy, pocieszałam się myślą, że Teodor w razie niebezpieczeństwa wywiózłby cię do Anatolii, gdzie wśród gór uszłybyśmy niebezpieczeństwa wojny.“ „Wstydz się matko — odparła z odwagą nieogledną młodości — bać się wojny, unikać przed nią, tém bardziej kiedy ona tak daleko.“ Nieszczęściem myliła się biedna Irena; wojna której się niespodziewała w dni kilka zagrzmiała. Działo się to bowiem w początku roku 1453, kiedy chciwy podbojów i sławy Machomet II przezwany *Bojciek* czyli wielki zapragnął zdobyć Konstantynopol, położyć koniec państwu Bizantyńskiemu i z ogromnemi siłami na nie uderzyć. Przerażony cesarz Konstantyn do dworów Europejskich się udawał. Pius II do krucjaty przeciw Muzułmanom grożącym państwu chrześcijańskiemu zachęcał. Europa z obojętnością patrzyła na bliski koniec wielkiego grodu, wielkiej chrześcijańskiej stolicy, tém bardziej, że każde prawie państwo zajęte było swojemi własnymi rozterkami, a zdobycie tak od natury strzeżonego miasta, zdawało się im nie podobnem do wykonania. Zgoła wszystkie warunki składały się na stronę najeźdźcy, tak zewnętrzne jak i wewnętrzne; mnóstwo bowiem ludzi z gminu i niektórzy bogacze, zamiast czynić wysilenia aby do obrony przygotowywać, opuściło miasto, a niezgody religijne jątrząc i dzieląc ludność na stronnictwa, odrywało od jedyne go, jaki mieć było powinno, celu, od bronięcia kraju.

Cesarz słusznie mniemał, że Unja, że zgoda z kościołem, pobudziłyby mogła katolickie ludy do pospieszenia na pomoc, ale Greccy księża sprze-

ciwiali się temu. Papież Mikołaj V prawdziwy Namiestnik Chrystusa, przez swoje światło a pełne miłości postępowania, zjednał sobie uznanie nawet u Niemców; wiele odszczepieństw nakłonił do zgody od naczelnika kościoła płynącej: zaniechano na czas jakiś niezgód i na sławnym w całym świecie Jubileuszu podano sobie ręce. Jedni Grecy Bizantyńscy, nie bacząc na ciężkie położenie swoje, pogorszali stan swój fanatycznemi stronnictwami. Naprózno cesarz legata Papieżkiego z największem uszanowaniem przyjmuje, Mszy łacińskiej w cerkwi S-tój Zofii pobożnie słucha, o rękę katoliczki, bo córki Doży weneckiego, prosi, przykład ten nie działa skutecznie na Greków, nie chcą się do zgody z Rzymem nakłonić. Gdy jednak w skutek prośby Konstantyna, Mikołaj V wyprawił kardynała Izydora z orszakami księży i żołnierzy, gdy niektórzy panowie Greccy i duchowni dawszy się namówić, wraz z cesarzem podpisali Unję i zebrawszy się w cerkwi S-jej Zofii, w modlitwach imiona Papieża i Patriarchów poprzednio przez Greków wypędzonych, wymienione zostały niezadowolenie więc stronników wzrosło do tego stopnia, że jeden z duchownych, zwanych Czercami, główny nieprzyjaciel Unii, na drzwiach celi swój wypisał zaprzysiężenie, że nigdy do téj zbrodni należeć nie będzie i dodał w ognistych wyrazach klątwę na tych co się z Unją łączą. Z tém pismem rozbiegło się po mieście mnóstwo czerców, przeklinających wszystkich tych, którzy się łączą z rzymskimi katolikami: ci wołali z zapamiętem: „Na co nam Unii, nie potrzebujemy posiłków! na pomoc Boga rachować powinniśmy! cud nas ocali.“ Wtedy kościół S-jej Zofii został opuszczony, osamotniony, jakby zwiastował smutną dla chrześcijaństwa w tym starym grodzie przyszłość, wtedy znajdowali się Grecy, którzy wołali: iż wola widzieć turban turecki, niż kapelusz kardynalski.

Mimo jednak tego fanatyzmu Greków, Mikołaj V zbierał krucjatę ku obronie chrześcijan w Konstantynopolu zagrożonych; zachęcał go głównie do tego poseł Polski, Mikołaj Lasocki, mową pełną uczucia i ducha tolerancyi, którą Polska w owych już czasach rozumiała; rozrzewnił Papieża i duchowieństwo — wszyscy uznali, że bliżnim w nieszczęściu, nie bacząc jakiej są wiary, pomoc się im należy. Zebrała się flota, ale na nieszczęście w wiekach gdzie ani siła pary, ani marynarka tak

jak dziś działać nie mogła, pomoc zapóźno przyszła pod zniszczone już mury miasta.

Mimo jednak braku pomocy, mimo stronnictwa fanatyków greckich nie chcących bić się, tylko na cud liczących, miasto broniło się z coraz bardziej wzrastającą zaciętością i wytrwałością. Cesarz i wódz Giustyniani nie schodzili z murów, które miasto opasywały — ciężkie prace Turków wśród gradu kul i ognia przez dzień poczynione, aby się za pomocą faszyn i kamieni dostać na mury; gdy noc nadeszła niszczyli Grecy. Tak, że razu jednego, jak twierdzą, już machomet zniecierpliwiony i zniechęcony, chciał był odstąpić od powziętego zamiaru zdobycia tak od natury zabezpieczonej fortecy. Porzucił wszakże tę myśl przelotną, podniecony przez pierwszego wezyra.

Nie mogąc zejść od morza, gdzie strzegł miasta łańcuch okrętów, postanowił Machmud od strony Bosforu lądem statki pozaciągać — z niesłychaną pracą ośmdziesiąt statków wydobytych z zatoki, na kółkach po sztucznych pomostach przeprowadzano przez góry i doliny; tak, że cała flota turecka, znalazła się w przeciągu jednej nocy spuszczoną do portu, gdzie ciężkie statki Greckie przystąpić nie mogły dla płytkości wody. Tym sposobem wojsko za pomocą drabin podchodziło pod mury.

Napróżno Grecy jednej nocy, pomost i statki kusili się spalić; po czterdziestu dniach oblężenia już ostatnia dla oblężenców zbliżała się chwila; niezbyt liczna załoga, broniąc razem z dwóch stron miasta, opadała na siłach; od strzałów tureckich waliły się wszędzie wieże i mury, które przez dziesięć wieków różnym wrogom państwa szczęśliwie się opierały; na opłacenie wojska skłonnego do rokoshu, musiał cesarz obedrzeć kościoły, co przeciwnicy Unii za nową zbrodnię mu poczytali; zwątlone siły Greków klótniami więcej jeszcze się zmniejszyły.

Genueńczykowie i Wenecjanie, Dżustyniani i naród, najwyższy państwa urzędnik, nie tłumiąc w sobie dawniej zawziętości, o tchórzostwo i zdradę obwiniali się wspólnie. Konstantyn już upadł na duchu, już chciałby był na wszystkie przystać warunki, aby tylko religję ocalić i przy koronie się utrzymać; od kilku dni gotowano się w obozie tureckim do walnej bitwy, astrologowie wyczytali z gwiazd, że dzień 29 Maja najpomyślniejszym będzie do bitwy. Na ten dzień wydał sułtan ostateczne rozkazy; heraldowie ogłaszali po całym obozie, iż gdyby zmykający miał skrzydła ptaka, nie

ujdzie mściwej ręki sułtana. Derwisze biegali po obozie, zapewniając, iż ci co za wiarę polegną, w raju używać będą wiecznej młodości i rozkoszy.

W Konstantynopolu rozległ się ponury smutek i rozpacz! odprawiano procesje, opłakiwano głośno swoje przewinienia, błagano niebios o powstrzymanie wiszącej nad głowami ich kary, oskarżano cesarza, że wczas nie poddał miasta. Konstantyn wieczorem 28 Maja zwołał wszystkich znakomitych Latynów i Greków i miał do nich czułą przemowę, która zdawała się jakby mową pogrzebową państwa rzymskiego; wszyscy się rozczulili, uścisnęli, zapominając uraz, własnych rodzin i postanowili umrzeć w obronie wiary i państwa. Po czém cesarz z orszakiem wiernych swych przyjaciół udał się do cerkwi S-jej Zofii, która za chwilę miała zostać meczetem i u stóp Ołtarza, wśród łkania i płaczu przyjmowano komunję. Odpoczął potem w pałacu, gdzie się rozlegały głośne płacze, tam błagał przebaczenia od wszystkich, których kiedykolwiek mógł obrazić, długo tłumione łzy spłynęły mu po twarzy; żal serca w tej chwili przemógł. Jednakże jako mąż dzielny, prędko się upamiętał, wskoczył na konia; objechał wszystkie stráže i o poruszeniach Turków wywiedział się, na wieżach stráže słyszały jak przez całą noc Turcy w największej cichości pod karą śmierci nakazanej, ściągali po pod mur armaty tak, że okręta ich dotykały się muru w najslabszym miejscu.

Z pierwszym zaraz brzaskiem, gdy jeszcze gwiazdy na niebie się iskrzyły, pamiętnego 29 Maja 1457 r., Turcy od lądu i morza bój rozpoczęli. Na pierwszy ogień wystawili zgraję włóczędów w nadziei łupów do obozu przybyłych; każda kula grecka miała śmierć w ścisniony szereg; tyle ich nagineło, że wkrótce trupami swemi rowy zasypali; nastąpili po nich paszowie Rumelii i Anatolii; pomimo wyniszczenia sił i straty wielu potrzeb wojennych, grecy przez dwie godziny mężnie walczyli, górę wzięli nad Turkami i ostatnia nadzieja zwycięstwa jeszcze nie upadła; słyszano wszędzie głos cesarza aby ocalili miasto i religję, po drugi raz janczarowie odparci zostali. Lecz w tem świeże zastępy janczarów do trzeciego boju ku murom się posunęły; jechał między nimi sułtan z buzdyganem w rękę i potężnym głosem a groźniejszym jeszcze okiem, porządne pułki wojowników rozsyłał. Koło niego szło dziesięć tysięcy wyborowego żołnierza, za nim liczna kupa katów; którzy występnych natychmiast karali. Rozpoczęła się krwa-

wa i piekielna scena: wśród wszystko porywającego odmetu, ciągłego ognia i huku przeraźliwego, ileż to czynów bohaterских, ile cierpień, wieczna pochłoneła niepamięć! Turcy sto razy byli liczniejsi od chrześcijan, podwójny mur otaczający miasto, już się rozsypywał w gruzy. Rojami Turcy pokryli wieże i mury; Grecy na ten czas pierzchać zaczęli. Poległa już garstka genueńczyków, którzy do ostatka bronili się. Jeszcze długo wśród najzacieśszego zgielku widziano cesarza, który w tej ostatniej chwili wodza i żołnierza obowiązki pełnił. Zniknął nakoniec. Wśród zgielku, poległ ostatni cesarz Rzymski od ręki nieznanéj! Wszystko więc pierzchło i w różne rozsypało się strony. Turcy obławą wałą się do miasta, a lękając się podobnego oporu jak na wałach, ścielą trupem kto się tylko im nawinie: w pierwszej chwili zaciekłości dwa tysiące chrześcijan padło od muzułmańskiego oręza. Inni cisnęli się hurmem do kościoła S-téj Zofii: rozeszło się bowiem proroctwo jakiegoś czerca, iż Turcy wzięwszy Konstantynopol, ścigać będą Greków aż do kolumny Konstantyna przed S-tą Zofją stojąc; że w tém anioł z mieczem w ręku zstąpi z nieba i odda miecz i państwo jednemu biedakowi, mówiąc mu: „Weź ten miecz i pomścij się za lud Boży; a na ten czas Turcy pierzchną a Rzymianie wypędzą ich z Europy i z całej Anatolii, aż na granicę Perską.“ Proroctwo to nie ziściło się, Turcy siekierami drzwi świątyni wyrabali a nie znalazłszy żadnego oporu, począł każdy żołdak wybierać co urodziwszą, piękniejszą, młodszą greczynkę. W godzinę wszyscy tam schwytni mężczyźni stali z powiązanemi wtył rękoma! Tam, równie jak na murach, rozpoczęła się rozpaczliwa scena; zerwano wszystkie związki natury, wszelką stanów różnicę: jęki ojców, rzewny płacz matek, szlochanie córek, biednych dzieci, nie mogły wzruszyć zakamieniałych serc pogańskich; długo jeszcze słyhać było przeraźliwie krzyki zakonnice czepiających się Ołtarzy. Ulice napełniły się jeńcami, którzy w oczach Turków przestali być ludźmi! Żołdacy spiesząc się po inne łupy, wolnym krokiem idących w niewolę Greków nielitościwie kijmi pędzili. To samo działo się po innych pałacach i domach; blisko 60 tysięcy ludu zabrano do obozu, na flotę i potem w różne miejsca i strony poprzedawano. Włoskie okręta, które w porcie pilnowały łańcucha, małą liczbę genueńczyków i Wenecjan uwiozły tylko. Rozpoczęty rabunek około godziny pierwszej z południa, trwał

do godziny ósméj; o tym czasie Mahomet kazawszy przestać łupieztwa i mordów; w orszaku Wezyrów, Paszów i straży przybocznej z samych prawie olbrzymów złożonej, bramą S-go Romana tryumfalnie wjechał; zdumiewając się nad wspaniałością miasta, kopułami i architekturą gmachów, potrójnego węża siekierą uderzywszy; zszedł z konia i wszedł do kościoła S-éj Zofii: ten był już przez żołnierstwo ze wszystkich bogactw i ozdób obdarty, kazał w nim popsuć jeszcze wszystkie mozaiki i malowidła, a w świątyni, w której ostatniej Mszy cesarz słuchoł; w tydzień potem, zamienionej na meczet, Iman kazał z kazalnicy, a Muezym z wieży wzywał *prawowiernych* na nabożeństwo! I tak w tysiąc sto dwadzieścia pięć lat po założeniu Konstantynopola, a w dziewięćset siedemdziesiąt siedem po upadku cesarstwa Zachodniego, upadło cesarstwo Wschodnie i jego stolica!

Jakież pióro opisać zdoła okropny stan wielkiego, szturmem zdobytego przez barbarzyńców miasta! Każda tam rodzina dotknięta boleścią, w każdej odgrywały się żywe rozpacz i poświęcenia dramata! W straszném zamieszaniu, wśród ognia i mordów, rodzice stracili z oczu dzieci, dzieci rodziców, a potem mijały, jak wiek długie, dnie i tygodnie za nim dowiedzieć się mogli, czy które z nich żyje jeszcze, gdzie się znajduje, lub jaką zginęło śmiercią?

W takim położeniu była pełna rozpacz matka Ireny: rozdzielono ją z córką, gdy się tłumnie lud różnego wieku i stanu chronił do cerkwi S-téj Zofii. Obalona na ziemię już nie zdążyła wejść do świątyni; potem stratowana końmi barbarzyńców leżała omdlała, a że ubiór jéj nie był bogatym, zostawili ją bez ratunku jak nieużytecznego trupa, dopiero w kilka godzin, gdy już z rozkazu Mahometa zaprzestano rabunku i mordów, nieszczęśliwa kobieta odzyskała przytomność, a gdy znalazła się sama między dwoma nieżywemi starcami jęknęła boleśnie, „córka moja! gdzie moja Irena?“ boleść dodała jéj sił: choć tak stratowana i pobita, że na całym ciele zdrowej części nie czuła, zwlekła się i słabą ozywioną nadzieją, szła wśród gruzów i dymiących się pożarów do domu swego, myśląc, że może córka jéj cudem ocalona tam jéj szukać przysła. Ale próżna nadzieja! W domu zrabowanym znalazła tylko jedną sługę ranną, która tylko będąc chorą, razem z innemi wśród popłochu, opuścić domu nie mogła. „Czyż podobna, mówił jéj stary sąsiad w rozwalonych gruzach znalazłszy

schronienie, czyż podobna wśród tylu tysięcy pomordowanych i pobranych w jasyr, znaleźć jedną dziewczynę? „Mówisz jak rozumny człowiek, odpowiedziała mu, ale nie jak matka, dla tego nie posłucham cię i dopóki mi życia starczy, szukać mojej ukochanej będę i znaleźć ją muszę, żywą czy martwą, znajdę koniecznie.“ Oczy biednej matki takim zajaśniały ogniem, że stary sąsiad umilkł a matka rozpoczęła swoje poszukiwania.

Mahomet stawszy się panem tak znakomitego grodu, chciał się okazać równie wspaniałym jak potężnym, tembardziej, że nieszczęśliwa zdobycz stawszy się własnością jego, już go obchodzić zaczęła; spieszył więc aby nagrodzić zniszczenie, któreby miasto do upadku doprowadzić mogło, głosić zaczął rozmaite łaski, pozwolił rodzinom odbierać rannych, grzebać umarłych, nawet sam z wielką wystawą pogrzeb zwłokom nieszczęśliwego Konstantyna wyprawił. Ogłosił mieszkańcom wolność wyznań, wolność trudnienia się handlem, wielu niewolników uwolnił. Starła się korzystać z tego ostatniego dobrodziejstwa nieszczęśliwa matka Ireny; póty z wytrwałością nadludzką do wszystkich i wszędzie gdzie tylko wiadomości o osobach pomordowanych w kościele zasięgnąć mogła, chodziła, że wkońcu po czterech tygodniach usilnych poszukiwań, dowiedziała się że Irena, żywcem pochwycona, do Seraju Sułtana zaprowadzoną została. „O! czułam że dziecko moje żyje! zawołała matka, bo i któżby miał odwagę ranić mieczem tak prześliczne czoło? teraz tylko idzie o to, abym ją zobaczyć i wyrwać z niewoli mogła i do tego dokazać muszę.“ Zaledwie rozpoczęła starania o zabaczenie córki, spotkała biedna kobieta jednego wypuszczonego z niewoli czerca; w kościele pochwyconego, którego ją zaręczał, iż widział jak wynosił na rękach janczar martwą i krwią zbroczoną Irenę. Komuż wierzyć miała biedna matka? wołała trzymać się pierwszej wiadomości jako nieodejmującej nadziei, a przecież obie prawie były prawdziwe. Irena oddzielona od matki, popychana tłumem w świątyni, u stopni Ołtarza Panny Maryi, blada, złowrogiem dręczona przeczuciem, oparła się o kamienną kolumnę i mimowoli, jak lot błyskawicy, mignęła się jej przeszłość, jak ostatni raz na stopniach Ołtarza, pełna nadziei, oddana zalotności, żegnała nieszczęśliwego Teodora. Obejrzała się do koła aby odepchnąć tę przeszłości marę, gdy w tem krwią zbrzydzany i kurzem pokryty, stoi koło niej rycerz z kilkoma innymi. „Teodor,“ krzyknęła. „Tak jest,“

odpowiedział jej; znów się tu spotykamy, „ale niestety! teraz zapewne raz ostatni.“ Ach ratuj mnie! wyprowadź ze straszego miasta“ — zawołała tuląc się do niego. „Idź za mną — odpowiedział — może cię zdołam ukryć w piwnicach klasztornych.“ „O dobry Teodorze! — zawołała Irena — widać, że cudem Bóg cię tu zesłał na moją obronę.“ „Być może, że mi na to zachował życie; oddawna bowiem szukałem śmierci na polu bitwy.“

Istotnie, mężny Teodor w nieustannych bojach szukał pociechy po stracie wiarolomnej Ireny, i nie raz złorzeczył kulom i pałaszom tureckim, że go mijaly. A w strasznym dniu, gdy już nieprzyjaciel wszedł w mury stolicy; Teodor na czele garstki mężnych, postanowił zginąć broniąc Ołtarzy pańskich i udał się do cerkwi S-tėj Zofii, a postrzegłszy Irenę, pospieszył za nią, party niewygasłą w sercu jego miłością. „Zmuszę ją przynajmniej do żalu po stracie mojej, gdy mnie w jej oczach zabiją.“

Stało się zadosyć życzeniom szlachetnego młodzieńca: zaledwie opuścili stopnie Ołtarza aby się w głąb klasztoru udać; okropne, dzikie krzyki zwycięzców, łoskot łamiących się drzwi i okien, jęk mordowanych ofiar, rozległ się po świątyni. „Nieszczęśliwa! zawołał Teodor — trzymaj się mnie, a przynajmniej choć na chwilę tarczą ci będę.“ Ledwie tych słów domawiał, gdy janczar chwytą za rękę Irenę, ale Teodor topi sztylet w piersi jego, ten się obala ze strasznym rykiem, wypuszcza z ręki zdobycz, ale kilku innych rzucają się na Teodora; broni się, zabija jednych, rani drugich, gdy w tém, z zakrzywionym pałaszem, olbrzymiej postaci Turek z boku uderza i odcina mu głowę! Irena stłumiony jęk wydała, krew zasłaniającego ją młodzieńca zrosiła twarz jej i całą obryzgała odzież. Silny olbrzym turek, ulubieniec machometa, chwytą ją jak piórko; uderzony pięknnością natychmiast pomyślał: złożę ją w darze panu! i uniosłszy w górę zemdloną już wtedy Irenę, wyszedł ze świątyni. Tym to sposobem dostała się do niewoli biedna greczynka. Matka domyśliła się, że w tém, co jej opowiadał mnich, wszystko mogło być prawdą prócz śmierci córki: „Czuję, że żyje moja Irena“ powtarzała i wszelkie czyniła starania aby się do niej dostać.

Wkrótce dowiedziała się, że Philelphus Włoch, niegdyś profesor wymowy w Wenecyi, wydobył swoją żonę i córkę z niewoli tureckiej z rozkazu Sułtana. Pospieszyła biedna matka do niego; a że żona włoskiego mówcy, była rodem z Konstanty-

nopola i daleką krewną ojca Ireny, tém śmielej prosiła ją o radę i ratunek.

Mahomet mający pretensyę do Europejskiej oświaty, tak dalece, że nawet w proroka niewierzył, protegował ludzi uczonych. Philelphus tém większe miał u niego łaski, że w wielkiej liczbie mów i od pochwalnych jakie napisał; była jedna na cześć Machometa; udał się więc na prośby żony i córki do wielkiego mocarza, aby wyjednać oswobodzenie Ireny: lecz jakież było zdziwienie, gdy otaczający Sułtana, dowiedziawszy się w jakim przyszedł celu oświadczyli mu, że Greczynka Irena w tak wielkich jest u Sułtana łaskach, że nie oddałby jej za żadne okupy; że w osobnym mieszka pałacu, a wszystkie niewolnice i eunuchy, wysilają się na dogodzenie jej w usługach; drogie zaś kamienie, najpiękniejsze tkaniny posyła jej Sułtan w podarkach.

Oslupiała nieszczęśliwa matka, gdy jej taką udzielono wiadomość. „Chce ją potwór kupić za cako, za drogie kamienie! zawołała; wydostać muszę koniecznie“ — łzami i prośbami dokazała tyle, że Philelphus obiecał wszelkimi siłami dopomóc jej. Tém łatwiej przychylił się do prośb matki, że pomimo, iż był uczony, miał wiele próżności i pychy; sądził więc, że i jemu przypomnienie się wielkiemu Machometowi i przyznanie się do pokrewieństwa z pierwszą ulubienicą, przydać się na coś może. Po wielu staraniach dopiął celu i wkrótce dzień byłznaczony, w którym pokrewna mówcy, miała mieć *szczęście oglądania pierwszej faworytki machometa.*

Olsniona przepychem, cała drżąca ze wzruszenia, minęła biedna matka kilka napełnionych wonią komnat, w ostatnim pokoju mniejszym od innych, ale najbogaciej w cudne kobierce, marmury, woniące fontanny ustrojonym: w rogu, na miękkiej ze złocistemi ozdobami sofie, siedziała idealnej piękności Irena. Zobaczywszy matkę, upuściła kwiaty, z których razem z siedzącymi u nóg jej niewolnicami, wiała wieńce, aby niemi ustroić klatkę złotą, w ogromnym oknie stojącą, napełnioną różnego rodzaju kolibrami. Matka ze łzami radości ścisnęła córkę. „Czego płaczesz matko moja! ani ty dla mnie, ani ja dla siebie, nie marzyliśmy o takim szczęściu“ — rzekła do niej z uśmiechem zadowolenia Irena. Biedna kobieta zawsze znajdowała usprawiedliwienie dla wszystkich córki czynności; ale dziś ta słaba matka poczuła się Greczynką, tradycyjne o wszystkim co piękne i szlachetne mającą pojęcie; jakby piorunem raziły ją słowa

Ireny. Z razu, martwa i blada jak posąg, stała chwilę nieruchoma; lecz wkrótce boleść jakiej jeszcze nigdy w życiu nie doświadczyła, okropniejsza od śmierci; boleść zawodu, bo odkrycie brudu w najdroższem dla niej sercu, wyprowadziło ją z téj chwilowej martwoty.

„Tyś szczęśliwa w pałacu zdobywcy, muzułmana, ty ściskasz rękę, która mordowała braci twoich! nie pamiętasz jak się dostałaś, zapomniałaś ofiary, której krwią obryzgana byłaś?“ „Ach matko! — zawołała zakrywając oczy Irena — nie przywołuj krwawej sceny, od której ja snu mieć długo nie mogłam, dla czego tém strasznym wspomnieniem chcesz zatruć szczęście moje? bo ty nie wiesz chyba, że Machomet kocha mnie nad życie, że ja wkrótce mogę największy w świecie tron z nim podzielić.

„Nieszczęśliwa! — zawołała matka rzucając do koła błędne spojrzenie — szukałam cię i znajduję zanurzoną w kale i szczęśliwą! nie! tak być nie może, ty pozostać tu nie możesz, czuję, że cię tu więcej szukać nie będę... że to raz ostatni“...

„Nie dobra matko! — przerwała Irena, zamiast cieszyć się z mego szczęścia, wolisz mnie widzieć we łzach — jeżeli tak, to lepiej żebyś mnie raz ostatni widziała — albo zapomnij przeszłości i nie mów mi o niej, albo nie staraj się widzieć mnie.“

„Nieszczęśliwa! powtarza jakby na pół obłąkana matka — ty niewiesz co to miłość mordercy braci twoich... idź ze mną! uciekaj ztąd... lękaj się kary niebios!“

„Zostaw mnie matko, bo ja się ciebie lękam“ to mówiąc Irena nacisnęła sprężynę, drzwiczki otworzyły się małe, wpadła w nie i zmęczona rzuciła się na miękkie sypialne łoże, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Biedna matka zaledwie się pojąć mogła jak córka znikła z jej oczu. Odejść musiała na znak służby, która wyprowadziła ją z pałacu:

„To jakieś złowrogie odwiedziny“ — rzekła do siebie Irena i zamyśliła się i znów przeszłość mimo woli stawała jej w pamięci — niecierpliwiła się bo raz oddawszy się chęci używania wszelkich zmysłowych rozkoszy, nasyceń próżności i pychy; oddalała wszystko coby jej terażniejszość zamącić mogło, Jak zostanie cesarżową pierwszą w świecie, to wtedy matka inaczéj do mnie przemawiać będzie, wtedy wszyscy czcić mnie będą, wszyscy o moje względy starać się — wtedy w piękniejszych jeszcze chodzić będę klejnotach o wtedy... żeby tylko prędko ta szczęśliwa nadeszła chwila! użyję

wszelkich sprężyn miłości, żeby ją przyspieszyć.“ Po tym monologu znów się Irena zamyśliła, znów zachmurzyło się jój gładkie, białe jak alabaster, czoło. A trochę już obeznaną będąc z intrygami seraju, zaczęła obawiać się czy kto nie chce jój szkodzić, tém więcej że nie wiedziała z jakiego powodu już dwa dni upłynęło jak nie widziała Machometa, którego jej zwykle wszystkie wolne poświęcał chwile, tak, że powstał głuchy szmer w wojskach jego na miłość Sułtana dla chrześcijanki, dla greczynki. Doszło to do uszu jego i postanowił raz temu koniec położyć.

Wezwał więc wszystkich wyższych wojskowych, towarzyszków swych dzieł wojennych, na wielką ucztę. A gdy zgromadzeni byli w ogromnej sali pałacu, gdy przepyszne, drogie łakocie, wyborne sorbety krążyć zaczęły, dał znak przybocznym dwóm janczarom, których poprzednio o zamiarze swoim uwiadomił: pospieszyli natychmiast, w korniej postawie stanawszy w pokojach Ireny, oświadczyli, iż mają rozkaz aby ją w najpiękniejszym stroju, osłonioną ze złotej tkaniny welonem, przynieść w cesarskiej lektyce do obiadowej sali.

Zerwała się pełna wzruszenia Irena z miękkiego łoża; było to właśnie w chwili gdyśmy ją marzącą po odejściu matki zostawili. Z całą zalotnością przybrała się w najpiękniejsze ozdoby i pospieszyła do pana, tysiącnie robiąc wnioski: „musiał za tęschnić się bezemnie, kiedy mię aż tu sprowadza, a może chce mnie ogłosić cesarzową“ te i tym podobne wnioski czyniąc, stanęła Irena w godowej sali, a obaczywszy miejsce gdzie siedział Machomet, pospieszyła do niego i wyciągnęła rękę, którą on pochwyił a przyciągnawszy bliżej, zerwał z jój twarzy zasłonę; na chwilę spuściła oczy zarumieniona, ale zaraz podniosła je; powiodła po sali, a potem z miłością zwróciła je ku panu swemu. „Patrzcie jak jest piękną i czém jest kobieta dla bohatera, tylko sławę i wojsko ceniącego!“ To mówiąc bierze do ręki w bogatej rękojeści sztylet i topi go w sercu biednej ofiary! Zaledwie miała czas wydać jęk głuchy: „o Boże!“ a gdy ją służba wynosiła, raz jeszcze otworzyła oczy, zalana krwią suknia przypominała jój ostatnie widzenie z Teodorem i śmierć jego — i zdało się jój, że go widzi... zawołała: „Teodorze! matko! przebaczcie mi!“ zamknęła oczy już na zawsze!

Czyn barbarzyński Machometa, wywołał wielkie

uwielbienie, wszyscy unosili się nad jego silnym, umięjącym panować nad sobą duchem. Machomet wraz z innymi, po tym spełnionym *heroicznym* czynie, smaczno zajadał — obmywszy ze krwi rękę w złotej miednicy. ¹⁾

Po tym wypadku przez lat kilka spotykano w mieście starą greczynkę obłąkaną; która kawał drewna owiniętego starannie w szal, dzwigała i tuliła do siebie. Gdy jój pytano co niesie? odpowiadała tajemniczym sposobem: „To córka moja, ona niewinna, niechcący zabiła kogoś, a ją zamordować za to chciano, więc ja ją wyrwałam z rąk zabijających, okryłam i teraz mam zawsze przy sobie, nikt mi już jój nie odbierze.“ To mówiąc uśmiechała się radośnie, rzucając wzrok obłąkany na szal, istotnie dawniej do córki należący, którym drewno owinęła. Nie potrzeba objaśnienia, że była to matka Ireny. Wyszła ona była jak odurzona z pałacu, ale opuścić go nie była w stanie. A gdy szczególnym wypadkiem spotkała potem wynoszących krwią zbroczoną Irenę, rzuciła się na nich, chcąc im odebrać jedyny skarb swój; odtrącona, pchnięta nielitościwie, padła bez zmysłów, których, powstawszy z omdlenia już nie odzyskała; pewna że jój się udało odebrać córkę, pochwyłszy kawał cyprysowego drewna, owinęła go szalem, którym odziana była i pospieszyła do domu. Jak na pociechę Opatrzność zesłała jój obłąkanie nikomu nieszkodliwe, nie przykre, a dla niej pełne pociechy. Tak lat kilka nosząc swoją ukochaną córkę, raz spiesząc do domu wśród burzy, żeby przed nią schronić drogi ciężar, padła na marmurowych wschodach domu własnego, i rozbiła sobie głowę tak silnie, że w parę godzin, na rękach służącej przyniesiona, umarła! S.

¹⁾ Wszyscy dziejopisarze zgadzają się, że piękna greczynka Irena, ulubienica Machometa takim zginęła sposobem; tylko jedni utrzymują, iż chcąc zadowolić wojsko i przekonać, że nie ma dla niej słabości, kazał jój w ich przytomności głowę uciąć — inni, że przy biesiadzie sam w jój piersiach sztylet utopił. Jeden Wolter wątpi o tém niewłaściwie. Bo kiedy Machomet, którego słusznie nazywają bohaterem potwornym, mógł kazać zamordować dwunastu młodych paziów, ażeby w żołądkach ich szukać zjedzonej łakoci i przekonać się, czy istotnie któregoś z nich dopuścił się téj śmiałości; to tém bardziej mógł własną ręką zabić kobietę chrześcijańskiego rodu.

GÓRA BIAŁA

(Montblanc).

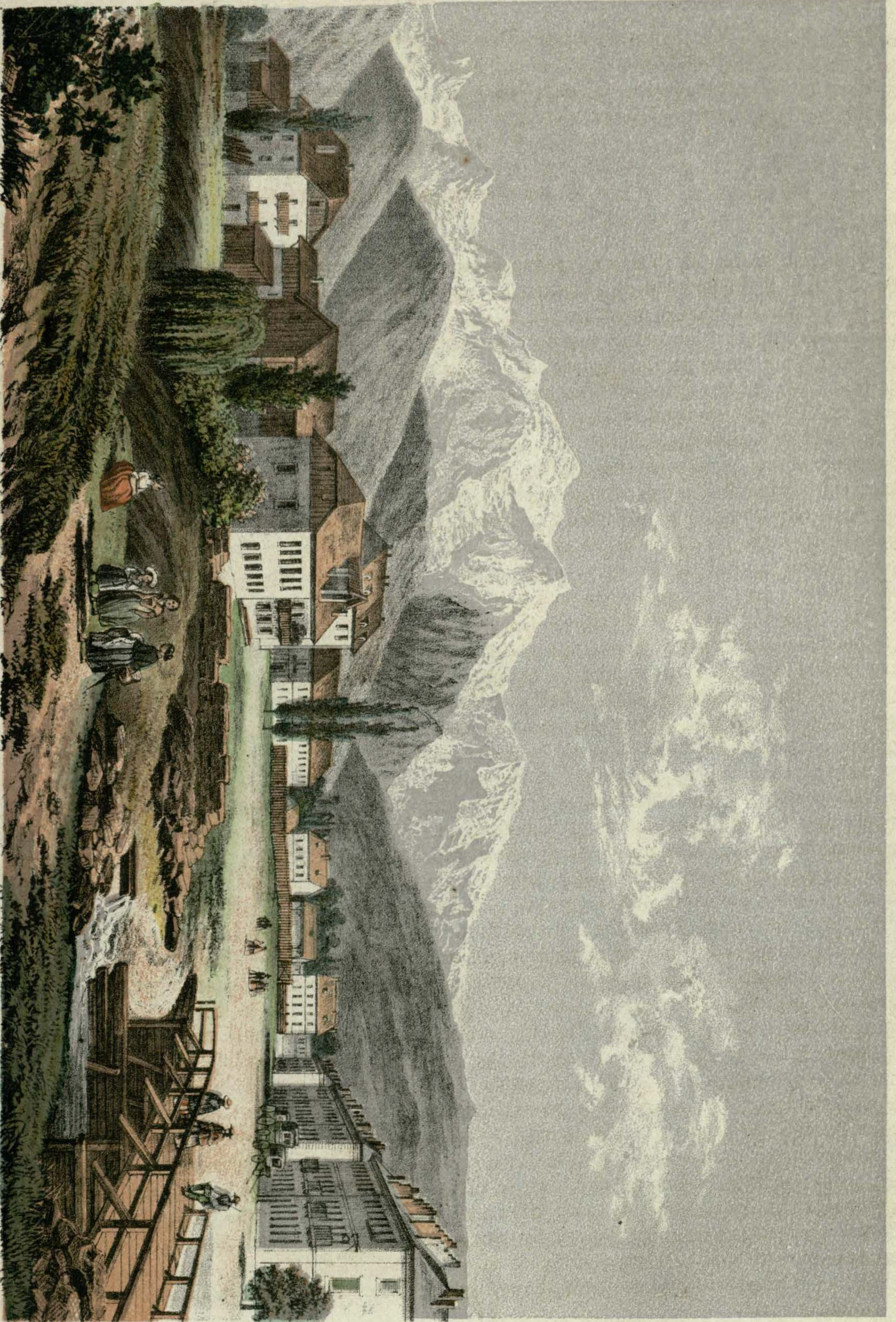
Z RYCINĄ SZTYCHOWANĄ NA STALI.

Wiele jest miejsc, jak to mówią, spowszedniałych, bo oddawna przez podróżnych zwiedzanych i opisywanych, a mimo to zawsze obudzających zajęcie, zawsze dostarczających malarzom pięknych krajobrazów—Któż nie wie że góra ta, będąca chlubą Szwajcarii jest najwyższą w Europie? Któż nie czytał opisów mniej więcej szczegółowych o lodach, skałach i śniegach strzegących ją dokoła? o cudownym widoku jaki czeka odważnego śmiertelnika gdy się na szczyt jej wgramoli? Wszyscy turyści angielscy, wszyscy wędrowcy zwiedzający nie tylko Szwajcarię, ale poblizsze jej kraje, choć zdaleka, jak to np. z Alduomo w Medjolanie starali się na wierzchołek, na koronę tej królowej gór starego świata ciekawem rzucić okiem. Wszyscy starożytni i dzisiejsi Geografowie dokładnie opisali wysokość jej nad powierzchnią morza, rodzaj skał i roślinności jaka ją otacza. Cóż więc pozostaje dla pisarzy, którzy siedzą spokojnie przy stoliku, patrzą na piękny krajobraz i radziby opisem miejsca dodać życia, obudzić więcej zajęcia w patrzących na niemy obrazek? Nader śliskie jest ich położenie, mimo to niektórzy przenoszą się wyobraźnią swoją z taką łatwością w miejsce nieznane im wcale, tak go sobie umieją uprzytomnić, iż nie tylko czytelnicy uwierzyć im gotowi, że istotnie zwiedzali te miejsca, ale nawet oni sami wątpić z czasem przestają, iż to *widzenie ich* miało miejsce przy stoliku.

Należąc do pierwszych, a nie mając zdolności drugich, w prawdziwym znajdujemy się kłopotcie, coby przy tym pięknym Miedziorycie przedstawiającym górę Montblanc, o niej napisać? Oto wspomniemy o ziomkach naszych, którzy wdarli się na ich wierzchołek — pierwszym był Antoni Malczewski Autor Marji, śmielszy i wytrwalszy od Wejmarskiego wieścza, któren i do połowy nie doszedł drogi. Wprawdzie Goethe znajdował się tam w końcu Października, pora więc była spóźniona; nadto wtedy nikt jeszcze nie stanął na szczycie, za ledwie kilku przewodników zachęconych naznaczoną przez Saussur'a nagrodą próbowało bosy wreszcie wdrzeć się na wierzchołek. To wszystko tłumaczy poetę, dziwna jednak

iż raz znajdując się w tych pełnych tajemnic okolicach, nie zapragnął ponowić podróży, nie powziął gorącej chęci, jaka się zwykle obudza w podróżujących po górach, ażeby się znaleźć na najwyższym szczycie: wróciwszy spokojnie ze swoim przyjacielem, księciem Weimarskim, do wspaniałych swych komnat, nie pomyślał o zrobieniu bliższej w stosowną porę znajomości z górą Montblanc. Inaczej było z Malczewskim—pomimo że mu wszyscy przekładali aby zaniechał niebezpiecznej i utrudzającej wycieczki, on raz postanowiwszy stanąć na szczycie, dopiął celu i w roku 1818, pierwszych dni Sierpnia, w towarzystwie 11-tu przewodników stanął u celu swjej podróży. „Pozostawaliśmy półtorej godziny na wierzchołku, pisze Malczewski, z którego widok był wyższy nad wszelkie opisy. Świerżość drzew i dolin, piękne zatoki, jeziora, mogą wprawdzie zachwycić umysł, ale zostając pośród tych gór rozrzuconych w nieładzie, tych brył olbrzymich i dziwacznych kształtów wystających wśród lodów i śniegów, patrzący, zdaje się być świadkiem tworzenia się świata. Wszystko co ma na sobie cechę człowieka, zniknęło i za ledwie tu i owdzie dają się spostrzegać jakby lekkie ślady miast, które ręka przeznaczenia ma wznieść w przyszłości; wszystko zdaje się znamionować tę wielką godzinę, w której i świat wychodzi z nicości“ Takie były wrażenia Autora Marji, gdy nagle objął okiem z olbrzymiej góry, jeziora, doliny Szwajcarii z porozrucanemi wodami z góry Alpy, łańcach Jury, dalej Sabaudię, Włochy aż do morza Śródziemnego.

Drugim polakiem patrzącym na ten olbrzymich rozmiarów krajobraz był Karol Hoppen, pochodzący jak zdaje się z familji litewskiej. Ten miłośnik podróży, naturalista i artysta razem, doszedł na szczyt góry w dwadzieścia lat później po Malczewskim, w dość spóźnionej porze bo 4 Września. Zdaje się iż teraz kiedy liczba odważnych wędrowców, wdzierających się na Górę, corocznie się powiększa, to może wkrótce znów usłyszemy imię ziomka pomiędzy niemi. Nie wiadomo, zaprawdę, czemu to przypisać należy, że powietrze na tych olbrzymich wyżynach



Sallenche

jakby razem ze ścieszczkami, coraz bardziej przystępnem się stawało. Z razu pierwsi podróżnicy znieść go prawie nie mogąc, po kilka razy napróżno pasowali się z niem: w skutek rozrzedzeniu powietrza, brakowało im oddechu—Nadto miejscami i chwilami wiatry i śniegi tak uszkadzały skórę że Balmatu który najpierwszy tam stanął, wróciwszy jak sam opowiadał, był zmienionym do niepoznania a za każdym ruchem twarzy, krew mu z policzków tryskała, towarzysząc zaś jego Doktor Pakard (Paceard) ogłuchł był i ośleplł na czas jakiś. Późniejsi wędrowcy już

podobnych nie przytaczają wypadków. Doświadczenie, jak widać, nauczyło przewodników, czego się wystrzegać i jakich *artydotów* przeciwko złemu używać trzeba. Dziś jak wszystko tak i o łwiedzanie szczytu Montblanc, zależy od dobrze zaopatrzonej kieszeni; bez tego najgorętsze pragnienia szukającego natchnień poety, nie doprowadzą tam go. Opłata przewodników, tragarzy, wełnianych kołder i t. p. rzeczy jest tak wysoką, że tę jednodniową, pełną znoju i trwogi przechadzkę, tysiącem franków opłacać trzeba. Już teraz zwiedzają Mont-Blanc i kobiety.

NANGASAKI.

Główny port w Japonii.

Jedną z najciekawszych, a najmniej bezwątpienia znanych cywilizowanemu światu krain, jest Japonja. Nieprzebyta tama przesądów i że tak powiemy sobkowstwa, oddzielała ją od reszty świata, który, jak się zazwyczaj w podobnych razach dzieje, plotł o niej dziwy niestworzone. To też Japończyk był do wieku dziewiętnastego dziwnie tajemniczą figurą:—nie umiano go oddzielić od Chińczyka, gwałtem przemieniano go na chytrego mieszkańca Państwa Niebieskiego, przypisując mu większe nawet barbarzyństwo niż temu ostatniemu.

Tymczasem najnowsi podróżopisarze, zupełnie w inném świetle kraj ten przedstawiają. Według ich zdania, przodkuje on innym państwom azjatyckim, tak pod względem oświaty, jak ze względu na dziwnie łagodny charakter krajowców, którzy jeżeli się sprzeciwiali dotąd wszelkim nowościom politycznym i religijnym, to nie dla tego, iż brakło im światła na ich ocenienie i zastosowanie, lecz raczej z tej przyczyny, iż owi nowatorowie nader niestosowne w tym celu obierali drogi. Nie do nas jednak należy kreślić dzieje tego kraju, przedstawiać stosunki jego z Europą od Marco-Polo, do znaniej czytającej Europie wyprawy lorda Elgin; ani też myślimy czynić jakichkolwiek uwag o tak dalekim i obcym dla nas przedmiocie: wolimy raczej obeznać czytelników naszych z niektórymi szczegółami o Nangasaki, podanymi w dzienniku pana Mutreci, podczas chińskiej kampanji 1859, 1860 i 1861 roku.

Territorium cesarstwa japońskiego składa się z 3,800 wysp. Wysokie góry, często śniegiem okryte, piętrzą się na głównych wyspach Japonji; najwyższa z nich znajduje się niedaleko Yeddo i nazywa się Fu-Jama (roztopiona góra). I rzeczywiście, wybuchy jęj zdarzają się dość często; odkrywają się w niej coraz nowe kratery i prawie co rok w Yeddo daje się słyszeć silne trzęsienie ziemi. Żegluga po tamecznym morzu nader niebezpieczna, skutkiem licznych przeciwnych prądów. Tyfony zdarzają się często.

Klimat Japonji bardzo chłodny na północy a nader gorący na południu, w ogóle jest suchy i zdrowy.

Najbliżej od Chin odległym miastem japońskim jest Nangasaki. Szang-Hai od Nangasaki leży w odległości dwóch dni i tylaż nocy żeglugi. Nangasaki, to główny port Japonji. Przestrzeń pomiędzy dwoma temi miejscami usłała natura podwodnemi skałami, które skutkiem swęj dziwnęj formy otrzymały miano oślich uszów. Ztąd konieczną jest rzeczą opłynąć wyspy Iwohosima, okryte pyszną roślinnością i położone u wejścia do zatoki Nangasaki, tak, iż za gęszczem drzew, miasta tego prawie nie widać. Miasto, zbudowane w głębi zatoki, ze wszech stron otaczają wysokie skały, za któremi ciągnie się łańcuch gór.

Liczba mieszkańców w Nangasaki wynosi około 30,000 dusz, zamieszkujących 80 ulic, z których każda ciągnie się najmniej milę; ulice te szerokie, po-

wietrze na nich czyste. Przedmieścia poczynają się w górach i przylegają do miasta z trzech stron.

Przez całą długość niższej części miasta, przebiega rzeka. Około 40 mostów łączy oba jej brzegi. Niektóre z nich murowane, z posągami poręczami, inne drewniane, nader wdzięcznie wygięte i ozdobione pnąciami się roślinami, które wraz z kwiatami i liśćmi, tworzą wspaniałe girlandy, spuszczone się do wody. Wszystko to razem wzięte nadaje temu miastu dziwnie czarującą postać.

Jedną z najulubieńszych zabaw Japończyków zamierzalnych bywa jazda konna. Codziennie kilka godzin rawia w obszernym cyrku, kędy ujeżdżają nawet konie najdziksze.

Rasa koni japońskich odznacza się dobrymi przymiotami; nie szkodzi im zmęczenie i nigdy prawie niepodobna osłabić, lecz są dzikie i nieposkromione. Konie japońskie przywiezione do Francji podczas chińskiej wyprawy, tylko po długim ujeżdżaniu, dały się powodować, a i tak wiele z nich padło.

Jeźdźcy japońscy noszą dziwny ubiór na głowie, składający się z płaskiej tarczy, położonej na głowie i podtrzymywanej mnóstwem wstążek pozwiązywanych pod nosem, podbródkiem i za uszami.

W Nangasaki znajduje się około 60 świątyń i więcej niż 700 herbaciarni, t. j. domów, kędy tamtejsi mieszkańcy schodzą się na herbatę. Świątynie te i herbaciarnie rozrzucone są po większej części na górach w wyższej części miasta; wszystkie otoczone prześlicznymi ogrodami, naksztalt angielskich, z niezliczonymi wodotryskami. Lecz nic nie masz cudniejszego nad widok z tego miejsca panoramy miasta, portu usianego okrętami i otoczonego ziele-

nią drzew, oraz błękitnego morza, które gdzieś w oddaleniu niknie. W dni gorące, gdy wiatr morski zaledwo odświeża powietrze, mieszkańcy Nangasaki tłumnie napełniają te wspaniałe ogrody.

Nie tak dawno jak Nangasaki stało się ważnym nadmorskim miastem; zyskało swe znaczenie dopiero od 1-go lipca 1859 r., gdy port ten został otwarty dla zagranicznego handlu. Jeograficzne położenie miasta, obfitość jego płodów i konieczność, wszystkim dająca się uczuć, stosunków z innymi krajami, zapewnia mu przyszłość kwitnącą.

Europejczycy najchętniej kupują w tym kraju papierowe tkaniny, lakiery, jedwab, stalowe wyroby i rozmaite kosztowne ozdoby.

Okolice Nangasaki wydają w wielkiej ilości herbatę, ryż, tytoń, siarkę, marmur, węgiel kamienny, azbest, wosk rodzimy i t. p.

Wosk rodzimy zbiera się w ogromnej ilości i sprzedaje się w Nangasaki po nader umiarkowanej cenie, bo od 5 do 7 funtów szt. za pikul (około 60 kilogramów). Wyprawa chińska zniszczyła w tym roku dwadzieścia tysięcy beczek węgla kamiennego, który wieziono z Hong-Kong, Tsan-Haj i Tschifu. Co się tycze siarki, tej prawie wyłącznie dostarcza wyspa Iwohosima, w południowej części prowincji Satsuma. Kopalnie siarki, huty i hamernie zbudowane w tej prowincji, stanowią główny dochód księcia Satsumy, jedyne z krewnych cesarza.

Temperatura Nangasaki bardzo zmienna a przejście od ciepła do zimna nadzwyczaj nagle. Nieraz, po upałach nie do wytrzymania, następuje nadzwyczajne zimno.

K. W.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

ZAWARTYCH W KSIĘDZE ŚWIATA 1861 — 1862 roku.

CZEŚĆ PIERWSZA.

	<i>Str.</i>
Wypadek na łowach, obrazek z wieku XVI.	1 i 62
Zdania filozoficzne z dziedziny nauk przyrodzonych	9
Bakczysaraj, przez Prof. J. S.	16
O handlu z murzynami prowadzonych przez chrześcijan	18
Zniesienie prowadzonego handlu z murzynami	23 i 77
Procesja Bożego ciała w Warszawie	29
Derkacz (z ryc. kolorowaną) przez prof. Ak. K. G.	31
Wiewiórka (z ryciną kolorowaną) przez Profesora Ak. K. G.	33
O początkach cywilizacji w Anglii	35
Wzmianki o Siennie (z ryc. na miedzi)	38
Ant. Allegri Corregio (z ryc. obrazu jego)	41
O muzyce	42
Urywki z dziejów Wenecji (z mapką kolor.)	45 i 159
Horacy Wernet i jego przodkowie.	56
Wycieczka na wieś (z krajobrazem kolor.)	70
Maszyna nowa do szycia	72
Niektóre ciekawe zwierzęta morskie (z ryciną kolorowaną)	74
Styr (z miedziorytem)	81
Kajetan Koźmian, przez Wieniarskiego	84
Rys dziejów szkoły Aleksandryjskiej, przez Sew. G.	88 i 117
Abissynia i Egipt	89
Szpadnik albo ostropysk (z ryc. kol.)	96
Rzuty ogólne o piśmiennictwie ukraińskim p. J. S.	97
Piśmiennictwo norwęgskie.	102
Mieszkańcy Borneo i Timor (z ryc. kolor.)	104
Pieśni ludu, przez prof. J. S.	108
Życiorys Antonilli i Eleonory Cyrynianek	111
Dolina Chamounix przez An. Sk. (z miedziorytem)	113
Lobelia i motyle brazylijskie (z ryc. kolor.)	122
Odrodzona literatura czeska:	
Paweł Józef Szafarczyk	202

	<i>Str.</i>
Wacław Hanka	124
Walki bawołów z tygrysami	130
Jan Ch. P. Molière, p. H. Sk.	133 i 146
Bolonia nadmorska, przez Juliję Janiszewską	138
Z niewydanych dotąd rękopismów J. Albertrandego	143
Rafael w Watykanie (z miedziorytem)	145
Nahun w Indjach Wschodnich (z ryc.)	149
O dwóch miastach umarłych	151
Nowe gatunki Buwardii i przetaczników (z ryc. kol.)	158
Czem człowiek żyje?	166 i 186
Andrzej Zamojski (z wizerunkiem)	164
Abissyńczycy (z ryciną kolorowaną)	169
Kościół ś. Katarzyny w Krakowie	172
Hyperydes	174
Podróżny, opowiadanie A. Sk. (z miedziorytem)	177
Rzym (z ryciną)	191
Estetyka roślin. p. doktor K. D.	194
Zebry (z ryciną kolorowaną)	202
Las Casas, oswobodziciel Indyi w Ameryce.	206
Zięby (z ryciną kolorowaną)	215
Rozmaitości	39 i 79

CZEŚĆ DRUGA.

	<i>Str.</i>
Peterwardein (ze sztychem).	1
Las Casas, oswobodziciel Indyi w Ameryce	2
Estetyka roślin	3
Admirał Nelson (z portretem na miedzi rytym)	12
Podróż p. de Saussure w Rzplitej Meksykańskiej	19
Niebezpieczny wypadek ze słoniem (z ryciną)	21
Ruiny Micery, Palmiry, Balbeku i Babilonu	22
Wyścigi wieśniaków (z ryciną kolorowaną)	25
Sześć tysięcy mil przebieżonych pędem pary	31
B. Murillo (z portretem malarza i wyobrażeniem N. P. Maryi, jego pęzla)	33
Kolibry przez A. M.	35
Diglossa, ptak meksykański	37

Inst. Zool. PAN
Biblioteka

P. 2790.